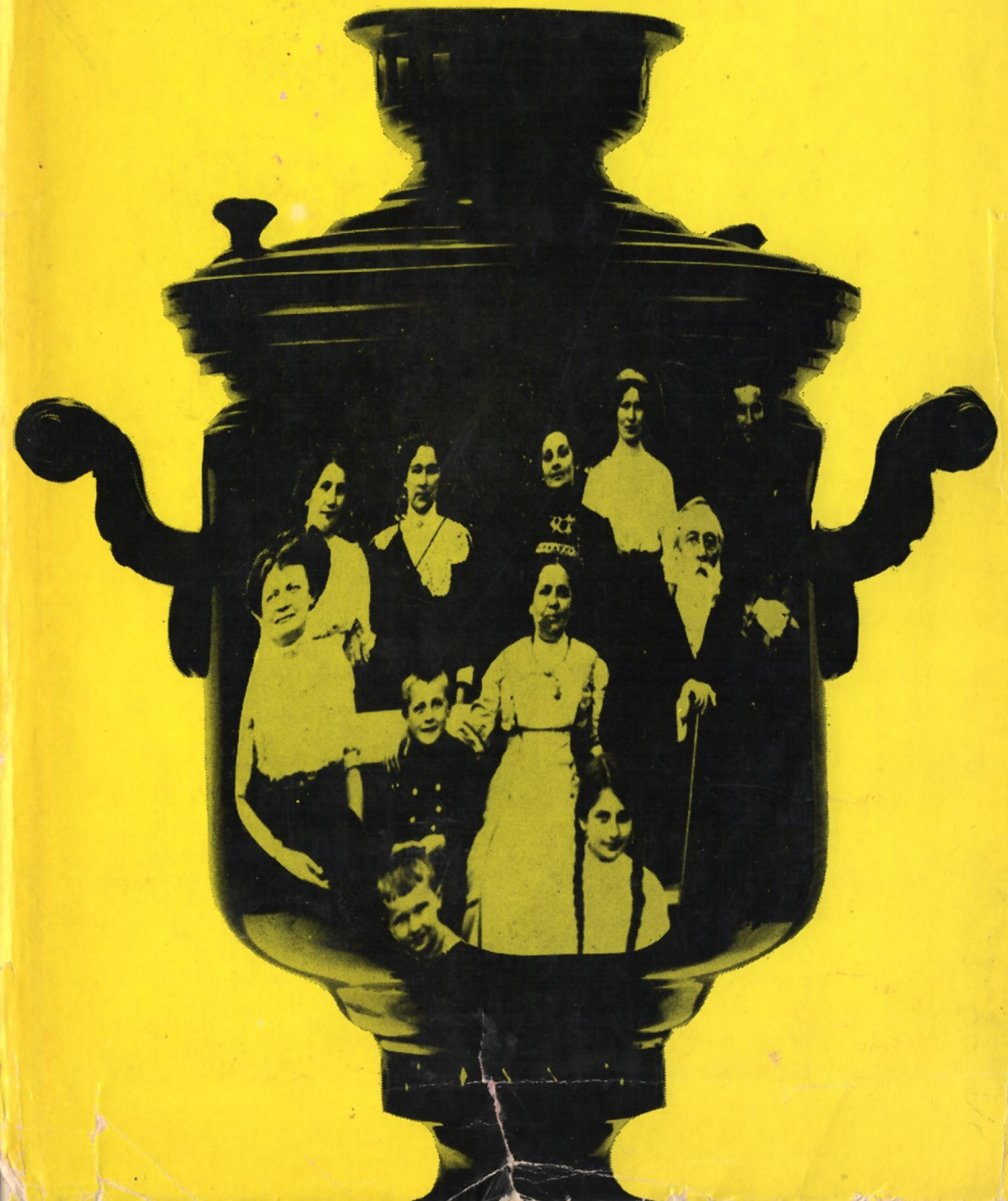


# STANISŁAW MAKOWIECKI

## Mamałyga, czyli słońce na stole





Autor tych wspomnień — bo tak trzeba określić *Mamałygę* — ma życiorys dość niezwykły. Urodził się w 1906 r. jako syn dzierżawcy majątku rolnego na Besarabii, w Skajanach, małej mołdawskiej wiosce; okres dzieciństwa tu spędzonego stanowi właśnie przedmiot niniejszej opowieści. Potem, w r. 1920, Stanisław Makowiecki wyjechał wraz z rodzicami do Polski i zamieszkał w Zakopanem. Skończywszy gimnazjum wyruszył na studia do Belgii i Francji. Po ich ukończeniu pracował jako inżynier konstruktor we francuskim przemyśle lotniczym. Od owego czasu przebywa stale za granicą; w r. 1941 osiedlił się w Hiszpanii. Nie zerwał jednakże więzi z Polską — wraz z żoną, Gabriellą Makowiecką, profesorem filologii polskiej na uniwersytecie w Madrycie i znaną u nas tłumaczką, przyjeżdżają często do kraju, gdzie wygłaszają wykłady i odczyty na tematy związane z Hiszpanią i polsko-hiszpańskimi stosunkami kulturalnymi, biorą udział w spotkaniach i zjazdach; byli przedstawieni polskiej publiczności w radiu i telewizji. Z okresu życia spędzonego w Mołdawii pozostały Stanisławowi Makowieckiemu bogate wspomnienia i trochę starych zdjęć w rodzinnym albumie. Ów materiał stał się twórczym *Mamałygi*. Przedstawia w niej autor — z perspektywy dzieciństwa — dawny, arka-dyjski świat, pełen zadziwiającej harmonii, mimo iż powstał na sty-



ku obyczajów i kultur: polskiej, rosyjskiej, mołdawskiej i rumuńskiej — stąd też płynie pewna egzotyka opowieści. Jest to prawdziwa mamałyga, „słońce na talerzu — jak to określił Wojciech Żukrowski — z pikantną bryndzą autoironii, suto okraszona życzliwością dla świata, zadumą nad ludźmi niezwykłymi i domowym zwierzyńcem, gdzie konie, psy, sroka i szczygły, lisek i żaba są godne zapamiętania, współżyją z rodziną”.

Autor *Mamałygi* maluje w swej książce szeroką panoramę życia ludzi osiadłych na besarabskim stepie, wrosłych weń, zakorzenionych. Opisy zajęć gospodarskich, wycieczek, polowań, zabaw itp., barwne, tętniące życiem, przeplatają się wzajemnie w epickim, bujnym wątku. Bogactwo anegdoty fabularnej, doskonale podchwycone scenki obyczajowe i wizerunki postaci — podkreślone egzotycznym kolorytem — to niewątpliwe walory tej żywej, sugestywnej opowieści o ludziach, jakich już dziś nie spotkać, o czasach, które bezpowrotnie odeszły w przeszłość.



**STANISŁAW MAKOWIECKI**

**Mamałyga, czyli słońce na stole**















Stanisław Makowiecki  
MAMAŁYGA  
CZYLI  
SŁOŃCE NA STOLE







Stanisław  
Makowiecki  
MAMAŁYGA  
CZYLI  
SŁOŃCE  
NA STOLE

WYDAWNICTWO LITERACKIE





*Cesarzowi Trajanowi, cywilizatorowi  
Moldawii i wielkiemu Hiszpanowi, te  
wspomnienia molderawskie poświęca  
Autor*





## Besarabia

...i oby Bóg wam pozwolił rychło powrócić! Stasik jest synem naszej ziemi i bratem synów naszych!

Żyją jeszcze w mojej wdzięcznej pamięci te serdeczne słowa i widzę jeszcze smagłe twarze chłopów mołdawskich, zebranych wokół nas, pełnych powagi w owej chwili rozstania.

Teraz siedzę w czworobocznej *tiepluszce* w towarzystwie ojca, cioci Modzi i kuzynki Loli. Dookoła piętrzą się kufry, walizki i paki z rzeczami. Pociąg biegnie ku granicy, gładko, nieubłagane... Każdy obrót kół oddala mnie od mego kraju, od mego rodzinnego kraju, który tak bardzo kocham. Daleko już są Skajany... Rozpłynął się w przestrzeni płacz i lament mojej mołdawskiej mamki i niani. Daleko zostały nasze szerokie, złociste równiny. Białe chaty mołdawskie, z ich świeżymi, miętą pachnącymi wnętrzami stały się niewidocznymi już punkcikami na horyzoncie... Mgły i opary jesieni zasnuwają szybko pajęczyną przeszłości i zapomnienia zagrody wiejskie, słomiane strzechy chat, ziemię i życie, które było moje, a teraz będzie należeć do innych...

Przelatują obok wagonu prądem nieprzerwanym chwasty i ostatnie bodiaki, które zabłąkały się tu z dalekiego stepu. Widzę je przez otwarte drzwi *tiepluszki*... Przypominają mi się botaniczne wycieczki i zbiory robione pod uważnym okiem dziadka Stefana, jego zielniki, mikroskop i pośpiesznie notowane zapiski w grubym zeszycie, zawierającym nazwy roślin w naszych pięciu językach, codziennie używanych; zdziwione spojrzenia mołdawskich bab i chłopów towarzyszące tym praktykom. Ożywiam się nagle i bez powodu wykrzykuję:

— Dziadzio Stefan podaruje mi słownik botaniczny, gdy go wyda w Polsce! — i ciągnę dalej w podnieceniu: — Prawda, że gdy już będziemy w Polsce, to tatuś pozwoli mi jeździć na nartach po tych Tatrach?

Ojciec zwraca ku mnie swą siwiejącą głowę i rzuca mi spojrzenie pełne powagi i smutku.

— Ty jesteś młody... Ty przystosujesz się do nowego życia w Polsce, ale ja? Ja się poświęcam, aby myśleć o twojej przyszłości, o twojej biednej matce... Gdy wiele lat temu przyszedłem na piechotę z moją sroką na Besarabię, byłem pełen otuchy i optymizmu. Teraz jadę koleją, ale jakże mi ciężko ten kraj opuszczać... Jemu oddałem serce i duszę! Haj! haj! ty też, mimo że staniem się Polakiem, kiedyś zapłaczesz za tym krajem, z którego wyrzucają nas Rumuni!

Przeniknął mnie nagły niepokój. Zamilkłem. Zagłębiłem się w bliżej nie określonych rozważaniach. Koła pociągu wybijały jakiś dziwny i nowy takt na złączeniach szyn, które jak dwa błyszczące promienie gubiły się w szarym odległości i wiodły nas ku mglistym horyzontom, gdzie skrywała się nasza przyszłość.

Ileż to lat przeszło od owego czasu! Furkocąc wirują kartki kalendarza. Wybuchają nowe wojny i nowe rewolucje... Ileż nieznananych dróg, ileż granic obcych krajów przesunęło się pod moimi stopami...

Dziś, magią pamięci wywołany z mroków przeszłości, kraj mojego dzieciństwa, mojej młodości nabiera realnych kształtów i życia w mej wyobraźni... Ten piękny i daleki już kraj ziem czarnych jak miał węglowy, łąnow kukurydzianych bez początku ani końca, stert słomy na horyzoncie — jak

egipskie piramidy, cumulusów, które eksplodują w szafirowej głębi nad morzem płomiennych kwiatów słonecznikowych.

Besarabia... Imię nasiąkłe chwałą starożytnych, kraj Amazońek mitycznych, które z rodzinnej Kolchidy wyszedłszy, stały na straży stepów, broniąc ich przed przedsiębiorczymi wojownikami Grecji antycznej; gładkie wybrzeże starożytnego Pontus Euxinus, na którym rozniecali nocne ogniska odważni Argonauci powracający z wyprawy po złote runo, z dalekiego i groźnego Kaukazu... Ziemia głęboka i lekka, przyniesiona na skrzydłach wiatrów polodowcowych i zsypywana przez tysiąclecia między Dniestrem szerokim, poważnym, i Prutem, toczącym kryształowe karpackie wody...

Kraj zbóż wysokich i dumnych, kraj wielobarwnych maków opionośnych, kraj burzanów i bodiaków z zaciętością splecionych na opornym człowiekowi stepie, zwalczanym przez ojca i oglądanym jeszcze przeze mnie w ostatnich redutach, płaskim, szorstkim, zielonym, rozśpiewanym trelami skowronków, gdzie bieleje niewinny kwiat trującego durmanu i wznoszą się smukłe, sokratesowskie cykuty. Spichlerz Europy, kraj bogactw roślinnych pożądanych przez wszystkich! Ciemne, pulchne ziemie zlane krwią najeźdźców i krwią swych obrońców! Tutaj walczyły i wycinały się w pień rasy, religie i narody. Rozstaje dróg i szlaki karawan, plac boju bez wyraźnych granic obronnych, stojący otworem przed najazdami. Besarabia niewiele miała lat spokoju i pokoju w swej historii. Gdy nie walczyli o jej zdobycie sąsiedzi, ukazywały się na rozległych horyzontach tej krainy sylwetki jeźdźców nieznanymi ludów, przybyłych z daleka, które staczały krwawe walki na jej ziemi. Tu zmagali się Azjaci z Europejczykami, Mongołowie z Aryjczykami, Scytowie z Dakami, Goci z Rzymianami, Grecy z Amazonkami, Fenicjanie z Grekami, Iberowie z nieznanymi ludami, Tatarzy z Mołdawianami, Polacy z Wołochami, Rosjanie z Turkami, Kozacy z Litwinami, muzułmanie z chrześcijanami, katolicy z prawosławnymi... słowem, jedni z drugimi i wszyscy z wszystkimi. Po odtąnczeniu swych harców bojowych, po zdeptaniu płonów, po zasnuciu nieba dymami pożarów, po zdziesiątkowaniu ludności — ludzki huragan pędził dalej, pozostawiając za sobą zgłiszczu, rannych i stare kobiety w czerni ubrane.

Lecz wystarczał jeden ciepły, ożywczy deszcz wiosenny, ażeby zmartwychwstały i rozkwitły ponownie niezniszczalne uroki tej żyznej ziemi. Zakwitały pożary słoneczników, falowały morza pszenicy, uginały się drzewa pod ciężarem owoców, jak granitowa morena leżały na polach czteropudowe tykwy. Ale już wzbierała tymczasem nowa zawierucha. Znowu rozlegał się tętęt wojowniczych i chciwych łupu najeźdźców, gnających po stepach w poszukiwaniu ziem obiecanych. Zostawiali rannych i jeńców i pędzili dalej. Nieraz przybywali wędrowcy z prośbą o gościnę lub koloniści osadzani na opustoszałych ziemiach przez możnych i władców. Besarabia, zachowując swój charakter mołdawski, stała się krajem nowoczesnym, przygotowanym do współżycia z innymi narodami. Nie zna zarozumiałości lub uczuć pogardy dla sąsiadów. Żyją na tej ziemi potomkowie Greków, Turków, Tatarów, Bułgarów, Ukraińców, Węgrów, Rosjan, Ormian, Rumunów, Polaków, Francuzów, Szwajcarów, Żydów, Niemców, Cyganów. Przyjmowali ich gościnni mołdawscy gospodarze, ciemnowłosi i pracowici, z humorem i dowcipem na ustach, przyzwyczajeni do życia z łopatą w jednej, a szablą w drugiej garści, ci zdrowi i bitni synowie dawnych cywilizacji, potomkowie rzymskich legionistów i pokój miłujących Słowian, których dźwięczny i wdzięku pełen język do dziś jest inkrustowany błyszczącymi cekinami słów łacińskiego po-



chodzenia; w ich ogrodach zaś przechowują się jeszcze uprawy o tradycjach sięgających dalekiej Hispaniae Tarraconensis\*.

Dawniej kąpałem się w nim beztrąsko, a teraz z szacunkiem zbliżam się do Dniestru, tego *limes orientalis*\*\* imperium rzymskiego, w którego jasnych wodach napoił rumaka prawie mityczny imperator Trajan, syn dalekiej hiszpańskiej Andaluzji i zdobywca Besarabii, z twarzą zwróconą ku wschodnim stepom, gdzie hasali Scytowie i Sarmaci. Powracam wspomnieniem do tego kraju, gdzie srożyły się Amazonki, gdzie wieczorne stoły rozjaśnia aromatyczna mamałyga, symbol, słońce i złoto bogatej ziemi mołdawskiej. Po tylu latach ten kraj realny i mityczny zarazem, rozległy i daleki, zasypany śniegiem lub zaszuszone pod słońcem kanikuły, wywołany magią wspomnienia nabiera kształtów i kolorów, pokrywa się kwiatem i żyje, prawdziwy, soczysty i gorejący.

— A więc naprzód! Mamałyga na stole i czekać nie może!

---

\* Hispania Tarraconensis — prowincja rzymskiej Hiszpanii, nazwana tak od m. Tarraco (I w. p.n.e.).

\*\* *limes orientalis* (łac.) — granicy wschodniej





## **POKÓJ**



## Mała mołdawska wioska

Urodziłem się w Skajanach, małej, skromnej wiosce urodzajnej i bogatej Mołdawii, w rodzinie rolnika, który z uprawy czarnej besarabskiej ziemi czerpał potrzebne do naszego utrzymania środki. Gdy po raz pierwszy otworzyłem oczy na bajeczny spektakl świata, nie wysilałem się nawet, żeby coś zrozumieć; widziałem tylko najprostsze kolory: błękit nieba, czerń bruzdy, złoto ścierniska i zieleń srebrnej topoli. Wraz z latami ukazywały się w moim polu widzenia formy i wypukłość rzeczy i zacząłem rozróżniać osoby, które mnie otaczały. Najważniejszą z nich był mój ojciec, którego inni nazywali z szacunkiem: Lew Nikiforowicz. Był to człowiek potężny i gdy poruszył czarnymi wąsami, wszyscy zaczynaliśmy drżeć z obawy. Wydawało się, że jest panem całego świata. Najbliżej mnie znajdowała się osoba zazwyczaj w biel odziana i łagodna, która bardzo mnie kochała, wciąż dotykała i nie była zdolna ukarać. Po każdym zderzeniu z dziwnymi rzeczami, na które wpadałem, chroniłem się pod jej opiekę i przytulałem się z ulgą do jej długiej spódnicy. Inni nazywali ją Marią Władimirowną, ale dla mnie była po prostu mamusią. Kochałem ciepłą pieśczętę jej rąk i gdy podnosiłem głowę, widziałem jej piękną twarz i oczy ciemne, które z góry uśmiechały się do mnie. Trochę dalej dostrzegałem osobę mojego wuja, Teofila Antonowicza z Tyrnowa. Twarz jego była pełna włosów, które laskotały, gdy mnie całował. Rychło też poznałem szorstką górę mięśni dziadzia. Wszyscy nazywali go z serdecznym szacunkiem: starszy pan albo stepun Asłan. W twarzy, otoczonej białym włosiem, sterczał jego wielki, ciemny nos w kształcie bakłażana.

Dookoła tych pierwszoplanowych postaci żyły i krzątały się pomniejsze figury naszej rodziny; ciocia Modzia, siostra ojca, zarządzała spichlerzami, spiżarniami, kuchniami, jadalniami i jadalniami; Munio, syn dziadzia Asłana, kierował pracami polnymi; dziadzio Julian, zawsze w pozycji leżącej, w łóżku, wyrabiał piękne pudełka kartonowe; jego żona, babcia Władysława, prześladowała mnie swoją lepką miłością i wydawała mi się stworzeniem komicznym; Aurelia Aramowna, córka dziadzia Asłana, umiała śpiewać aksamitnym głosem i była matką mego przyjaciela i towarzysza zabaw, Miszki; Lola, córka cioci Modzi, była dobra i strachliwa; moja mamka i niania Popowiczka, gruba i ciężka kobieta mołdawska, ubierała się w białe bluzki pełne wyszywań czarnych i czerwonych, z wieloma naszyjnikami, leżącymi na poziomym jak półka dekolcie, ponad obfitym biustem, którego nie zdołałem uszczuplić mimo sumiennych wysiłków; Mlle Juliette, lub też inna francuska nauczycielka; Jakub, pierwszy stangret; posłaniec Siańka i... Małka, wielka, stara suka, którą należy również wymienić jako wierną towarzyszkę naszej rodziny.

Nasz skajański dom był dość duży, ale skromny. Gliniane ściany wienczyła gruba strzecha ze słomy, która dopiero później i tylko częściowo została zastąpiona dachem z gontów i dranicy drewnianej. O siedem wiorst od Skajan znajdowała się wieś Tyrnowo, gdzie mieszkał wuj Teofil w pałacu kremowego koloru. I jeszcze dalej, daleko, daleko na północy, w wielkiej wsi całej z kamienia, mieszkał c a r.

— Manke! — spytałem raz mojej mamki: — Ty widziałaś cara?



Popowiczka przerwała piosenkę mołdawską, którą nuciła.

— Car! — wyszeptała z szacunkiem i podniosła wzrok w stronę sufitu. — Gdzieżbym ja mogła go zobaczyć? To jest pan Rosji całej!

Przechodziły lata i wciąż rosłem. Teraz konie przyciągały moją uwagę i wyobraźnię w sposób nieodparty. Jeździć, galopować — to było moje marzenie. Mężczyzna, który rodził się we mnie, spoglądał z pogardą na część żeńską naszej rodziny, na kobiety, słabe albo nie umiejące jeździć konno. Ojciec, wuj Teofil, stangret Jakub, który miał w swojej pieczy konie z domowej stajni, byli teraz dla mnie bardziej podziwu godni niż nawet daleki car w swym domu z kamienia.

Zauważyłem, że mamusia zniknęła z domu każdej zimy. Najpierw wracała w marcu. Potem w kwietniu. Co roku prawie opóźniała datę powrotu. Wreszcie ledwie mogłem ją widzieć w czasie żniw i jej imienin.

— *Dieduszka!* — spytałem raz dziadka Asłana. — Dlaczego mamusia nie jest z nami przez cały czas?

Westchnął dziadzio Asłan.

— Chodź tu! — zawołał i posadził mnie na kolanach. — Opowiem ci historię mamy. Wiele, wiele lat temu żyliśmy tutaj sami i smutni. Pan Komarowa, który teraz jest twoim stryjczym dziadkiem, przechadzał się samotnie po salonach swojego pałacu. Twój ojciec mieszkał w małej ziemiance na Frasinie i walczył przeciwko stepowi, aby zmienić go w pole uprawne. Biedni z całej naszej okolicy nie wiedzieli, do jakiego świętego się modlić, aby znaleźć ulgę w kłopotach. Pewnego dnia zabłysnął promień światła: zjawiała się w Komarowie dobra i pełna wdzięku dziewczyna, bratanica pana komarowskiego. Ona to miała zmienić nasze życie, ale nie rozumieliśmy tego jeszcze w owej chwili. Tym sposobem Opatrzność nam posłała z dalekich i chłodnych ziem Wołynia wróżkę dobrą i piękną. Zaczęto zjeżdżać się z wizytami, ożywiły komarowski pałac przyjęcia i bale. Wszyscy chcieli poznać Marię Władimirownę, obdarowywali ją, otaczali i podziwiali. Pewnego dnia w grupie młodych ludzi znalazł się twój ojciec. Skrzyżowały się spojrzenia obojga i wybuchła wielka wzajemna miłość. Ty wiesz, jaki jest twój ojciec, kiedy coś zamierza lub pragnie czegokolwiek. Nie minął rok, jak przywiózł do nowo wydzierżawionych Skajan zakochaną i poślubioną Marię Władimirownę, ścigany zazdrośnymi spojrzeniami kawalerów z całej okolicy. Rychło zjawiłeś się ty, podczas gdy dobra Maria rozdzielała między nas wszystkich skarby swojego serca. Przedsięwzięcie było wielkie, wyczerpujące. Znikali powoli opuszczeni i nieszczęśliwi, obsychały łąy na twarzach nieszczęśników i żebracy wystawiali dobroć twojej mamy. Ale ona trudziła się, szafowała zdrowiem, nie myśląc o odpoczynku, i wyczerpały się siły żywotne jej ciała. Teraz jest słaba i chora i nikt dopomóc jej nie może, chociaż wszyscy marzymy o tym, żeby w jakiś sposób móc to zrobić. Sama walczy odważnie przeciwko chorobie w ciszy wysokich gór. Czy odzyska rychło zdrowie? Daj Boże, aby to nastąpiło jak najprędzej.

Patrzyłem na dziadzia, starając się wszystko zrozumieć, w miarę jak mówił. Dziadzio pochylił głowę i widziałem, jak dwie wielkie łzy spłynęły z jego dużych czarnych oczu na pomarszczone policzki.

Raz, gdy byłem zajęty oglądaniem gniazda giłw, podbiegł do mnie zaspany Sianka:

— Chodź, Stasik, prędko! Twój ojciec cię woła!

Pobiegłem za nim, zaciekawiony, i zobaczyłem ojca wraz z Jakubem przed stajnią, z małym konikiem o wyglądzie niezgrabnego osła.



— Czas już, abys zaczął się uczyć jeździć konno! — powiedział ojciec. — Darowuję ci tego kałmuka, który nazywa się Muc, ale oporządź go i czyść sam. Munio i Jakub będą cię uczyć jeździć na nim.

Ucałowałem rękę ojca, ażeby wyrazić moją wdzięczność, i wziąłem do ręki sznur od uzdy. Muc rzucił mi niechętnie spojrzenie. Jego sierść była zmierzwniona, a uszy długie i włochate, ale wiedziałem już od Tatarów obsługujących tyrnowską stadninę, że kałmuki to konie nadzwyczajne. Aby pokazać ojcu, że znam się na rzeczy, wziąłem zgrzebło i szczotkę i zacząłem wygładzać sierść Muca. Obecni roześmiali się, gdyż była to beznadziejna robota. Zaraz następnego dnia zacząłem jeździć na Mucu, bez siodła i strzemion, pod uważnym spojrzeniem Munia.

— Ten chłopiec robi szybkie postępy! — orzekł Munio kilka dni później, podczas obiadu.

Milczałem, przerażony. Munio nie wiedział, że od dawna jeździłem już na różnych koniach po kryjomu, dzięki znowie z Siańką.

Każdy dzień w naszym skajańskim domu zaczynał się wcześniej. O czwartej rano wstawał Munio. Ubrawszy się, sam sobie robił śniadanie, siodłał konia i wyruszał w pole, gdzie ze wschodzącym słońcem zaczynała się praca. Potem dom zapadał w ciszę, aż do szóstej, kiedy budził się ojciec. Kiedy nie było mamusi, spałem w jej łóżku i gdy tylko otworzyłem oczy, widziałem zapaloną już lampę naftową, a w kręgu jej ciepłego światła dwie białe, wysokie poduszki, na których spoczywał ojciec, zasłonięty otwartą gazetą. Wstawałem, aby powiedzieć mu „dzień dobry”, i zostawałem w jego łóżku jeszcze chwilę. Ojciec czytał mi opowiadania o wyprawach do dalekich krajów albo ciekawe wiadomości z tygodnika polskiego „Moje Pisemko”. W tych okolicznościach dowiedziałem się o niezwykłym odkryciu Kolumba i o ciężkiej wyprawie Livingstone’a przez Afrykę Centralną. Po skończonej lekturze zaczynała się gimnastyka i wolna walka w łóżku, co najmniej przez dwadzieścia minut. O godzinie siódmej ojciec, ogolony i ubrany, wsiadał na ulubionego Tarkuna i wyjeżdżał w pole — z pustym żołądkiem. O ósmej spotykała się cała rodzina dookoła jadalnianego stołu, aby zjeść śniadanie. Munio i ojciec już byli z powrotem, po pierwszej inspekcji robót polnych. Gdy była w Skajanach mamusia, wracałem do sypialni, aby pobyć jeszcze chwilę z nią, podczas gdy jadła śniadanie w łóżku, gdzie później pozostawała aż do południa. Po śniadaniu ojciec znów wyjeżdżał w pole, tym razem siedząc okrakiem na linijce, którą ciągnął szybkim klusem rasowy rysak ze stadniny tyrnowskiej. O godzinie dziewiątej rozpoczynały się moje lekcje z kolejnym nauczycielem, lub nauczycielką, w biurze ojca. Tutaj wykazywałem mniej zdolności niż w sztuce konnej jazdy. Historia, gramatyka i monotony ciąg dwudziestu czterech wyjątków na „jat” nudziły mnie śmiertelnie. Natomiast nauki przyrodnicze wywoływały we mnie żywe zainteresowanie i zamęczałem Mlle Juliette pytaniami. Spędzałbym chętnie całe dni na rysowaniu figur geometrycznych, na wycinaniu ich z kawałków kartonu, które spadały stale z łóżka dziadzia Juliana, i na oznaczaniu ich środka ciężkości za pomocą nitki z kawałkiem ołowiu. Nauczycielki francuskie nie znały szcótów, używanych wszędzie w Rosji do wykonywania operacji arytmetycznych. Patrzyły z niedowierzaniem na dwukolorowe guziki, które przesuwałem zręcznie z jednej strony na drugą, po czym podawałem wynik szybko i dokładnie. Czasem współzawodniczyliśmy w szybkości i Mlle Juliette spoglądała ze zmartwieniem, że nie może nadążyć za mną ze swoim ołówkiem i papierem. W złości zakazała mi używania szcótów podczas lekcji:

— *Laisse tes chiottes!* \* — wołała — powinieneś dodawać na sposób europejski!

Inna przykrość ją spotkała, kiedy ojciec wytłumaczył mi zasadę drugich pierwiastków, dawał mi np. 49 ziarenek dyni i gdy je ułożyłem w regularny kwadrat i podawałem rezultat operacji, mogłem potem zjeść ziarnka. Od razu spodobała mi się matematyka w ten sposób rozumiana, a nie tak „na sucho”, jak chciała Mlle Juliette. Lekcje różnego rodzaju przeciągały się do pierwszej, kiedy rozlegał się dźwięczny klus rysaka. Siedząc okrakiem na elastycznej desce linijki, z rozwianymi połami surduta z surowego jedwabiu czesuczy, w eleganckim kapeluszu z panamskiej słomki „hipihapa”, zajeżdżał ze zwykłym rozmachem ojciec. Tymczasem przez półukryte za topolą okno kredensu wyglądała ciocia Modzia i obserwowała rysaka; jeżeli boki miał pokryte pianą, to był znak, że ojciec powracał głodny. Wyciągała wtedy szybko spirytusowy palniczek i ojciec, któremu dotrzymywałem towarzystwa po skończonej już lekcji, przysmażał sobie na czystym płomieniu alkoholowym parę kawałeczków kiełbasy. Dzięki tej zakasce, która zajmowała ojca przez chwilę, ciocia Modzia zyskiwała trochę cennego czasu, pozwalającego kucharzowi Aleksandrowi, wielkiemu artyście od chochli i rożna, dokończyć rozpoczętego wcześniej rano dzieła. W tym momencie wojowniczy indyk Musztułek stawał się bardziej złośliwy niż zwykle i gdy ciocia biegła do kuchni przez podwórze, rzucił się na nią z zaczerwienioną głową, z wojennym okrzykiem i biciem skrzydłami. Po chwili pokazywała się wreszcie któraś z mołdawskich dziewczyn w pasiastej spódnicy i w kolorowym fartuszk, niosąc półmisek z narodową mołdawską przystawką *ikre de winete* — „ikrą” z bakłażanów i cebuli. Zmuszano mnie, abym jadł dużo. Nie miałem złego apetytu, ale babcia Władysława uważała go za niewystarczający i napychała mnie herbatnikami i cukierkami o każdej porze. Ojciec był z tego niezadowolony, gdyż cukierki odbierały mi apetyt w momencie obiadu.

— Nie dostaniesz deseru, jeżeli nie zjesz tego wszystkiego! — wołał marszcząc brwi i wskazując na pełne talerze, które gromadziły się przede mną.

Sytuacja ta przeciągała się czasem i zostawałem sam przy stole, żując znudzony. Około trzeciej wyciągałem się na otomanie w bibliotecę, żeby się zdrzemnąć. Gdy się budziłem pół godziny później, znajdowałem pod poduszką trochę łakoci ofiarowanych przez tajemniczą rękę. Wychodziłem potem, aby obejść podwórze, stajnie i domowe gospodarstwo; wypadało być poinformowanym o najnowszych wypadkach. O czwartej znów zamykałem się w biurze, aby odrabiać lekcje i domowe zadania pod pilnym okiem nauczycielki. O piątej nakrywano stół na werandzie kolorowym, podwieczorkowym obrusem. Zależnie od pory roku podawano truskawki, maliny, porzeczeki, które jadło się ze śmietaną, lub herbatę i bułki. Ozdabiały więc stół kolorowe piramidy przykryte śniegiem śmietany i szronem krystalicznego cukru, nabieranego ze srebrnych cukiernic, zdobnych deseniem jaszczurzej skóry. Wszyscy wnosili swoje ulubione tematy do ogólnej rozmowy. Ojciec i dziadzio Asłan mówili o orkach, bronowaniach i sianach. Gdy była mamusia, rozmawiała z Lolą o szkółce i o biednych we wsi. Babcia Władysława, której nerwowe drżenie przechodziło stale w wahadłowy ruch na krześle, ana-

---

\* *Laisse...* (fr.) — Zostaw swoje wychodki! (Dla Francuzki *szcoty* brzmiały jak *chiottes*)

lizowała zalety różnych gatunków tytoniu Popowa albo tureckiego. Munio i nauczyciel Toki byli zagłębieni w dyskusji nad użytecznością takiej czy innej szlei lub o najlepszym miejscu przymocowania *naspinnego rziemienia*. Ciocia Modzia żaliła się na bezczelność *indiuka*, taka czy inna nauczycielka komentowała błędy, jakie przed chwilą zrobiłem w zadaniu, a ja... grzebałem łyżką w górze malin, starając się wykopać w niej tunel, aby nikt nie mógł wywnioskować z zewnętrznego kształtu piramidy, ile już zjadłem. Ukosne światło wieczoru zaczynało już złościć przedmioty i dalszy pejzaż — zbliżała się najbardziej poetyczna chwila dnia. Na tle nieba koloru stepowych ziemowitów pobłyskiwały drżące liście srebrnych topoli rosnących koło wodopoju.

Raptem dziedziniec ożywał się tętentem koni, wesołymi kichnięciami, rżeniem i ludzkimi głosami: — *Hou! Prrrr! Stoj! Poszoł won, Riabczik!* — podczas gdy bryczki i powozy ustawiały się przed wejściem. Była to godzina tradycyjnego wyjazdu na *odaję*. Panie zaczęły wychodzić przed dom i wybierać miejsca. Nauczyciel Toki zapraszał Lolę do eleganckiego koczka przeznaczonego dlań przez ojca. Dziadzio Aslan dosiadał inochodkę Karę, ojciec siadał okrakiem na swojej linijce, Munio jechał na klaczy Barini, a ja na moim młodym, ale już upartym i opornym kałmuku Mucu. Krzyżowały się w powietrzu głośne okrzyki i nawoływania; towarzyszyły im dźwięczne śmiechy pań. Ustawiały się wreszcie pojazdy w zamierzonym porządku i wyciągały na kształt karawany. Barinia drobiła elegancko bokiem. Kara wyciągała długie nogi, ale rysak ojca, waląc sążniowymi krokami i wyrzucając przednie kopyta na wysokość piersi, stale wysuwał się naprzód. Whitego w ziemię czterema kopytami Muca zacinalem nahajką, lecz szelma, zamiast stanąć dęba, spuszczał głowę i wierzał tyłem w powietrzu z zamiarem zrzućcia mnie przez łeb. Przejeżdżaliśmy przez wieś i docieraliśmy do wąskiego sogłówka między polami słoneczników i kukurydzy. Na końcu jechał pusty szaraban, aby można było potem załadować nań, co wypadnie, i wreszcie, przywiązane do tylnej osi, biegły spokojnym klusem dwa posiłkowe konie z głowami nisko przy ziemi. Inne konie obracały i nastawiały uszy na wszystkie strony, starając się odkryć niebezpieczeństwa dalekiego stepu. Orlik i Sokół szły z wyszukaną elegancją i godnością, zaprzęgnięte do dużego faetonu, gdzie siedziały mamusia i ciocia Modzia; konie rzucały do tyłu ukośne spojrzenia, by — wydawało się — stwierdzić, czy panie zdają sobie sprawę ze wspaniałości zaprzęgu. Prokus i Krakus przy drugim powozie, o wiele mniej wrażliwe na problemy miłości własnej i końskiej godności, szły spokojnym truchtem. Od czasu do czasu Prokus podnosił angliczowany ogon i wypuszczał z hałasem gazy. Jakub oburzał się na ten brak wychowania i powożąc więcej uważał na ten drugi zaprzęg niż na swój własny. Zwracał się do mamusi, aby usprawiedliwić choć trochę te końskie złe maniere: — *Prokus dielajet fokus!*\* — mówił za każdym razem, jakby prosząc o pobłażliwość dla swojego wychowanka. Wyskakiwały i przelatowały przez drogę zające, dropie, lisy. Dropie to spokojne ptaki, ale ich wielkość i rozłożone skrzydła mogły przerazić najdzielniejszego konia. Wśród śmiechów i niespodzianek dojeżdżaliśmy wreszcie do *odai*. Tutaj koncentrowało się gospodarskie życie. Tu stała ogromna stodoła, spichrze i gromadziły się owoce pełnej wysiłku pracy. Tu rozlegały się przeraźliwe kwiki tucznych świń, tu puszczała białe pióropusze cudowna lokomobila z żelaza,

---

\* *Prokus...* (ros.) — Prokus figluje!



tu dudniły i wyły młockarnie, tu zajeżdżały galopem wysokie *kary* pełne snopów, przelatywały nieokiełzane tabuny — i klęli woźnice. Wszystko było podniecające, interesujące w tym królestwie zwierząt, ziarna i ludzi. Czas schodził szybko, wieczór przyspieszał swój pochód i prędko słońce zanurzało się za horyzontem, zbyt prędko jak na moją niezaspokojoną żądzę przeżyć, wiedzy i sensacji. Podczas gdy jakiś usłużny mechanik starał się wytłumaczyć mi różnice między młocką banatki i młocką inkarnatki, rozbrzmiewał sygnał powrotu, zawsze przyjmowany z niechęcią. Raz schowałem się za snopami lnu i szukano mnie przez pół godziny. Ojciec odpowiednio natarł mi uszu i odeszła mnie ochota do powtarzania takich wyczynów. Nasze foksteriery uganiały też po *odai*, przeraźliwie szczekając na widok każdego szczura spichrzowego. Wreszcie spadała na *odaję* i otaczającą ją równinę dramatyczna, krwawa łuna zachodu. Pod tym bogatym deszczem złota i purpury znikwały nędze i niedostatki tego świata. Nawet skromne chaty wydawały się zaczarowanymi pałacami z bajki. Zatrzymałem się jeszcze raz, słysząc tętent nadbiegających koni. Poznałem pod światło czarną, smukłą sylwetkę watahy galopującego za kilkoma żrebcami. Podniósł się w strzemionach, odczepił arkan zawieszony na kuli u siodła i wirując nim ponad głową uwięził szyję jednego z uciekinierów. Jeździec i koń na tle gorejącego nieba wyglądali jak chiński cień na złotym ekranie. Stałem jak zahipnotyzowany.

— Dość już tego! jazda do domu! — rozkazywał ojciec.

Konie biegły klusem, rozdymając nozdrza, teraz bardziej strachliwe niż przedtem, starając się węchem rozpoznać niepokojące cienie. Prokus i Krakus wykonywały jakiś dziwny taniec, wyginały szyje, przysiadaly i rzucały się w bok co chwila.

— To komedia! — mówił Jakub. — Te bezwstydniki są odważniejsze niż sam generał Suworow! Chcą dodać sobie powagi! Popatrz, Stasik, jak po każdym przysiadzie odwracają głowy i patrzą, czy panie są dość przerażone!

Przyjeżdżaliśmy do domu już w momencie zapadania nocy, choć jeszcze płonęła na zachodzie resztką wieczornej łuny. Ojciec był znowu głodny i otwierał pochód do jadalni. Nasze kolacje były proste i zawsze takie same: mamałyga z bryndzą i kwaśne mleko do popijania. We wszystkich skajańskich domach i chatach jadło się zawsze o tej samej godzinie tę samą doskonałą mamałygę. Siadałem z ochotą do stołu i wyciągałem serwetkę ze srebrnego kółka — podarek dziadzia z Komarowa — z wrytą na nim rozpędzoną *trojką* w galopie.

Nawet gdybym był księciem gastronomów, jak później Pomian lub Co-urnonsky we Francji, nie umiałbym dać przepisu na naszą mołdawską mamałygę. Jest bardzo prosty — i tysiąc razy przyglądałem się jej przygotowaniu. Ale nie jest możliwe zrobić ją daleko od Besarabii. Ci, którzy nie odnoszą się do niej z właściwym szacunkiem, otrzymują zwyczajną tylko bryję, bez charakteru, bez duszy. Może kukurydza nigdzie nie jest tak wyzłocona przez słońce, może mąka nie jest tak aromatyczna, może woda nie jest prze-filtrowana przez czarnoziem? Tajemnica leży chyba w tej opalonej, pełnej wdzięku i talentu ręce gospodyni, która kolistym ruchem miesza drewnianą łyżką w małym wszechświecie kipiącego kociołka kwintesencję żyźnej równiny pokrytej szumiącą na wietrze kukurydzą... w tej foremnej, silnej ręce kochanej i podziwianej kobiety mołdawskiej.

Po szybko skończonej kolacji wszyscy przenosili się do salonu, żeby nie zakończyć dnia bez posłuchania muzyki.

— Muzyka jest w stanie obłąskawić każdego dzikusa! — mawiał ojciec, rzucając mi znaczące spojrzenie.

Gdy w pałacu diadi Teofila koncerty wieczorne miały wysoki poziom artystyczny, w naszym skajańskim domu panowała sztuka amatorów. Ciocia Modzia grywała kompozycje Bałakiriewa lub Czajkowskiego. Kuzynka Aurelia Aramowna śpiewała piękne romanse rosyjskie. Gdy miałem za nauczyciela polskiego hrabiego Raczyńskiego, dawał nam koncerty Chopina wykonywane na starych skrzypcach ręką prawdziwego artysty. Zmęczony, po pełnym wrażeń dniu, czasem zasypiałem na krześle. Babcia prowadziła mnie do łóżka i tak kończył się dla mnie skajański dzień, urozmaicony i podniecający, w miarę upływu długich godzin między zaraniem i wieczorem, wyczerpujący dla mojego ciała, ale zawsze krótki i niedostateczny dla żądzy wrażeń, która wtedy mnie pożerała.

Przechodziły dni jedne za drugimi, zmieniały się pory roku, mijały lata. Moje spodnie stawały się krótkie, krawcy bryczawscy szyli mi następne dłuższe, i te znowu stawały się za krótkie. Zmieniały się nauczycielki, lekcje stawały się trudniejsze i ciekawsze. Pewnego dnia orzeczono, że moje nogi są już za długie dla kałmuka, na którym jeździłem, i ojciec dał mi Bułanę, długonogą klacz kozacką. I tak rosłem, i galopowałem po tym mitycznym kraju Amazonek, po tej czarnej ziemi przyniesionej na skrzydłach Eola, po tej między pomiędzy dzikim stepem i uprawną, żyzną równiną, pod szafirowym niebem, z którego spoglądał na nas właściwy władca i car naszego kraju, ogniste słońce. A na ziemi miliony i miliony kwiatów słonecznikowych, jego poddanych, składało mu hołd zwartymi falami, które w godzinie zachodu zamieniały czarną besarabską ziemię w ocean niebieskiego ognia, bez początku i bez końca.

## Chata

W cztery głównie kolory przystrajała się nasza okolica w ciągu roku. Czarny — w czasie orki i siejby. Biały w zimie. Zielony na wiosnę i złocisty pod słońcem kanikuły. Doroczne i niezmiennie następstwo tych kolorów nie miało wpływu na ciepłą białość wioski, która spod jasnych i ciemnych strzech rzucała na nas niezliczone spojrzenia bliźniaczymi okienkami, typowymi dla mołdawskiej chaty. Domy, wybielone wapnem z odrobiną sinki, układały się w kształt amfiteatru po dwóch stronach jaru zwanego *rypą*. Przyjezdni, pod skromnym urokiem tych uśmiechniętych chat, przystawali na chwilę, aby spojrzeć na panoramę wioski.

Po to, by powstał dom w Skajanach, niepotrzebne były fundamenty. natomiast niezbędna była miłość. Gdy dwoje młodych przy końcu długiego nieraz narzeczeństwa postanowiło zawrzeć małżeństwo i założyć nową rodzinę, ofiarowywali się krewni i przyjaciele, aby wybudować im nową chatę. Po wybraniu odpowiedniego miejsca zabierali się do pracy najpierw mężczyźni. Zaczynali od drewnianego szkieletu, obciosywali dębowe pale i wbijali je w ziemię — według projektowanego planu. Pale przeplatano wierzbowymi gałęziami, aby oblepić je potem nakładanymi na siebie warstwami gliny, aż do otrzymania wymaganej grubości. Glinę wydobywano zazwyczaj spod grubej warstwy czarnoziem; ożywione deszczową porą strumyki wyrzynały w nim

rowy i jary, na których dnie żółciła się poszukiwana glina. Kopanie tej gliny, jej zwózka na miejsce budowy dobrze wyładowanymi *karami* — to też była męska sprawa. Glinę rozsypywano grubą warstwą dookoła pala wbitego w środek równego klepiska, rozbijano grudy, posypywano sieczką lub plewami i wreszcie polewano wodą. Para koni przywiązanych na długim sznurze do pala ruszała do monotonnej pracy, wyrabiając glinę cierpliwymi krokami, rozgniatając grudy, mieszając zaprawę z sieczką i wodą, kręcąc się bez wytchnienia w kółko. Popędzali zwierzęta zręczni chłopcy moldawscy, brodząc bosymi, opalonymi nogami w jasnym błocie i zmuszając konie do nieustannego kręcenia się dookoła pala. Dodawano jeszcze krowieńca lub dłuższej słomy, aby uniknąć pęknięcia ścian. Sznur rozwijał się i nawijał na pal, powodując spiralny ruch koni, tak że pod koniec nie pozostawała ani jedna piędź ziemi bez odpowiedniego przemieszania. Po kilku godzinach tej znoјnej pracy, wykonywanej zazwyczaj pod gorącymi promieniami majowego słońca, zaprawę uznawano za dostatecznie wyrobioną i zdatną do użytku.

Wkraczały wtedy na scenę kobiety. Nabierały i nosiły gotową glinę wiadrami i zaczynały nią pokrywać szkielet chaty, rozmazując ją rękami, w cienkich warstwach, jedna na drugiej. Powierzchnia, otwory i krawędzie miały formy dość nieregularne, kanty były zaokrąglone, a linie proste chwiały się jak na wybojach. Zresztą tym sposobem nie można było otrzymywać jasnych i ostrych form geometrycznych, zwłaszcza że ręce pracowitych kobiet zamiast całkowicie oddawać się pracy akompaniowały raczej ożywionej rozmowie, która rozwijała się jednocześnie, i niejeden wybój na ścianie upamiętniał jakąś sensacyjną wiadomość o nocnych spacerach Horpyny z Dżdżulem. Dzięki temu brakowi ostrych i prostych krawędzi chata nabierała własnego charakteru i specjalnego wdzięku. Wydawała się bardziej ludzka, bardziej swojska, bardziej *priјutna*. Zdawała się wyidealizowana na ciałach mieszkańców — jak but, który po latach przyjmuje formę nogi w niego obutej. Twierdzę nawet, że chaty moldawskie miały własny styl, styl, który można by nazwać biologicznym. Formą bliższe były żywej komórki niż kamiennej geometrii katedr. Wielki architekt hiszpański Gaudí był uczulony na nieuchwytny czar tych form zhumanizowanych i pomiędzy dziełami sztuki, które pozostawił, jest wiele form obcych tak geometrii Euklidesa, jak i Łobaczewskiego. Nasze chaty moldawskie miały geometrię własną, bardziej ludzką — i nieraz patrząc na La Pedrera\* lub El Parque Güell\*\* w Barcelonie wspominam nasze czarujące chaty skajańskie.

Praca postępowała szybko. Znów pokazywali się mężczyźni i ustawiali belkowanie dachu na gotowych już ścianach. Ciężkie *kary* wysypywały ładunki żytnich snopów, wymłóconych cepami. Rychło były dopasowane i zeszyte, tworząc ten dach gruby, dający ciepło w zimie, a chłód w lecie, którego niskiej strzechy można było ręką sięgnąć i który nadawał fasadzie chaty wygląd ludzkiej twarzy z małymi i wesołymi oczami pod jasnym oseledcem.

Na koniec budowano z gliny *kuptior*, wielki piec, który zajmował środkową część izby i miał płytę do gotowania, sklepioną komorę do pieczenia chleba, a u szczytu płaski strop, gdzie można było spać w okresie wielkich zimowych mrozów. Podłogę robiono zazwyczaj z ubitej i wygładzonej gliny, a w bogatych chatach z desek świerkowych.

---

\* La Pedrera — budowla, zaprojektowana przez A. Gaudiego, w Barcelonie

\*\* Praque Güell — park w Barcelonie z pawilonami i galeriami projektu A. Gaudiego

Wychodziły znów kobiety z pędzlami i kubłami pełnymi rzadkiego wapna i zaczynały bieleć chatę, już suchą, od wewnątrz i na zewnątrz. Jedna z kobiet, obdarzona artystycznymi zdolnościami, kreśliła bez linii czy sznurka niebieskawe pasy przy otworach i pod przyzbami, a czasem dookoła chaty, która po tych ostatecznych zabiegach zostawała uznana za skończoną.

Ten domek, tak prosty i skromny, był jednakże cudem technologii, ekonomii i racjonalnego użycia materiałów obfitujących i charakterystycznych dla naszej okolicy. Dębowe kołki, wierzbowe pręty, glina, żytnia słoma i garść wapna! Czyż potrafiłby nowoczesny architekt zrobić domek jeszcze oszczędniejszy? Domek solidny, higieniczny i praktyczny, jakim była chata, która musiała zwycięsko odpierać ataki lodowatych wiatrów stepowych, letnie skoki temperatury, słoty pory deszczowej, zimowe śnieżyce i inwazje wszelkiego rodzaju gryzoniów, owadów i grzybów domowych. Podczas kanikuły chata była świeża i cienista, w epoce deszczowej sucha, w zimie ciepła i przytulna, przykryta żytnią baranicą i grubą warstwą śniegu, który ją ukrywał przed pożądliwym spojrzeniem stepowych wilków. Gdy zbliżał się zmęczony podróżny, w chacie pojawiały się gościnne dzbany pełne kwaśnego mleka, kociołki wonnej mamałygi, a podczas długich, pięknych zachodów słońca chata ofiarowywała miłośnikom wieczornej gwiazdy swoje ciepłe jeszcze przyzby, na których siedząc śpiewano długo w noc liryczne pieśni mołdawskie, trzymając się po bratersku za ręce.

Po tygodniu chata była już gotowa i mogli wejść do niej nowi mieszkańcy, aby rozpocząć nowe życie, założyć nową rodzinę. Wchodzili pochylając głowy pod łukiem z zielonych gałęzi przybitych nad drzwiami na znak pokory i prośby do Opatrzności o szczęście dla obecnych i nowych, w przyszłości oczekiwanych mieszkańców chaty.

## Żniwa

Jak wojenny zgiełk z daleka było słycać szum żniw. Sierpień był już dobrze zaawansowany i kanikuła u szczytu. Na niebieskim niebie ani jednej chmurki. Czarna ziemia tak wyschła, że aż zmieniła kolor i stała się szara. Od wschodu do zachodu słońce prażyło ognistymi strzałami. Pszenica, wysoka i dobrze wykłoszona, dochodziła raptownie. Należało żąć szybko i wszędzie, każde bowiem spóźnienie powodowało poważne straty. Tu leżał, w gruncie rzeczy, prawdziwy problem Besarabii: wszystkie pola dojrzewały jednocześnie! Jak zapewnić punktualne żniwa na wszystkich polach, w tym samym czasie, przy nielicznej ludności, która miała własne ziemie obsiane podobnymi gatunkami i chciała obrobić swoje przede wszystkim? Niektórzy zaczęli żąć zboża jeszcze zielone, aby zyskać na czasie, ale otrzymywali jedynie ziarno źle wypełnione, którego cena była niska. Natomiast ci, którzy się spóźniali, tracili część zbioru przez wysypkę.

Zmechanizowanie żniw mogło rozwiązać ten problem, ale w ówczesnej Rosji nie było przemysłu, nikt nie produkował maszyn rolniczych. Trzeba było sprowadzać je za drogie pieniądze z zagranicy; rzecz nie dla wszystkich dostępna. Teofil Antonowicz wywołał sensację w całej okolicy swoimi kanadyjskimi kombajnami Mac Kormicka. Przyszły z Odessy rozebrane, nikt nie wiedział, jak je złożyć. Po kilku dniach przybyli technicy zagraniczni i z fajkami

w zębach zabrali się do roboty. Przyczepiłem się do nich jak pijawka i ojciec, zrezygnowany, już nawet nie protestował, że przez cały dzień w domu się nie pokazuję.

Stała wreszcie ciężka, ogromna maszyna na kołach, poprzedzana przez morze końskich grzbietów. Na co czwartym koniu siedział chłopiec, czterech zaś woźniców siedzących na wysokim koźle miało w garściach całe snopy lejców. Parobcy krzyczeli idąc obok koni i maszyny, a wataha Wańka już pędził do pierwszej czwórki, już to zawracał galopem do maszyny, wymachując nahajką. Ja też ochryplem, krzycząc z entuzjazmu. Było czym się zachwycać i wrażenie na wszystkich sprawiło to piorunujące; jak ciężki okręt płynęła maszyna po morzu kłosów, wśród kotłujących się zwierząt i ludzi. Za nią zostawało tylko ściernisko i smuga zmłóconej słomy. Obok jechały czterokołowe *kary*, uginające się pod rozmachem każdego wylatującego z maszyny worka, pełnego zmłóconego, zbekierowanego i przewianego ziarna, zaszytego w worki przez jadące na maszynie dziewczęta, gotowego do załadowania na tyrnowskiej stacji.

Pracę rozpoczynano od brzegu i jeżdżąc dookoła dochodzono pod wieczór do środka pola. W zbożu żyły i gnieździły się różne zwierzęta, które wciąż cofały się przed przeraźliwym hukiem maszyny, szukając schronienia na nie zżętym jeszcze kawałku pola. Gdy pod wieczór zostawał ostatni mały czworobok, mrowił się od dziobów, uszu, ogonów i łap. Wyskakiwały oszalałe zające, wylatywały spomiędzy nóg koni przerażone dropie. Inne zwierzęta cofały się bojaźliwie i starały się ukryć w tym zbożu, które jeszcze było na pniu. Zaczynała się wtedy rzeź okropna, noże maszyny cięły nogi i pióra i po jej przejściu ukazywało się ściernisko pokryte wijącymi się w bólach agonii ciałami niewinnych zwierząt. Nie wiedząc, jak ptaszkowi zaoszczędzić męczarni, dobiłem raz beznogą czajkę z Budżaku i przypiąłem do kapelusza jej biało-czarno-niebieskie skrzydełko.

Zeby uniknąć tej okrutnej rzezi, zatrzymywano na chwilę maszynę i ludzie starali się wypłoszyć zahipnotyzowane światłem pochodni zwierzęta. Wolno mi było wtedy zostawać do późna koło maszyny i brać udział w tej humanitarnej akcji. Uganiałem bijąc w bęben i dmąc w nikłową trąbkę wzdłuż ściany nie zżętego zboża, usiłując wypłoszyć i uratować życie wdzięcznym ptaszkom i płochliwym czworonogom. Gdy wreszcie maszyna atakowała ostatnie kłosa, nie było już między nimi ani jednego żywego stworzenia. Przed przeraźliwym dźwiękiem mej trąbki uciekały nawet świerszcze i koniki polne.

## Słońce na stole

Od dzieciństwa już byłem wrażliwy na dramatyczne piękno zachodów słońca, które można było oglądać na pobliskim stepie. Pewnego wieczoru wdrapałem się na dach stajni. Wypsała od deszczu i słońca słoma rozłaziła się, gdy usiłowałem ją chwycić rękami. Byłem już w połowie wysokości, gdy pośliznąłem się i zjechałem, nie mając za co się złapać, aż na sam dół. Znalazłem się na ziemi i z szerokiego, niskiego okapu spadła mi na głowę kaskada słomy i kurzu. Otrząsając się i kichając, zacząłem ponownie się wspinać. Szczyt był przykryty wzdłuż leżącymi snopami żytniej słomy — młóconej specjalnie na ten cel cepami — przymocowanymi skrzyżowanymi wierzbowymi gałęziami, aby uchronić strzechę przed atakami wiatru. W tej chwili



szczyt był jeszcze ozłocony zachodzącym słońcem, które, zmrużywszy oczy, mogłem widzieć w dali nad horyzontem, otoczone wieńcem płomieni. Siadłem okrakiem na szczycie i poddałem się wieczornemu nastrojowi. Długie promienie jak złote oszczepty raniły pejzaż, wyciskając z niego krople krwi. Koloryt był tragiczny i dusza mi zadrżała nieznanym smutkiem. Jakaś siła magiczna kierowała mój wzrok wprost na słońce, które zaczęło się powoli zanurzać za linią horyzontu. Przygłuszając dzienne dźwięki, wieczorny spokój rozciągał się nad zabudowaniami, drzewami i polami. Czasem słychać było wysokie głosy cieląt, długie i wilgotne ryki krów, a w pobliskich drzewach gęsty, ziarnisty świergot układających się do snu ptaków.

Niebo ciemniało. Jak rozpalone węgielki błyszczała na jego tle klucze żurawi. Dolatywało do mnie ich dalekie gęganie. Oświetlone ostatnimi promieniami niewidocznego już dla nas słońca, leciały spokojnie, poruszając skrzydłami w majestatycznym ruchu. Głosy pobliskiej wsi cichły coraz bardziej. Zapach dymu z palonej słomy rozciągał się sinymi strugami między strzechami, przynosząc myśl o wieczornym posiłku. Zapalały się tu i tam światła i w każdej chacie stała przed ogniskiem żona, matka lub siostra i rzucała garście złotej mąki na bułgoczącą w czarnych kociołkach kipiącą wodę. Na zewnątrz, na ciepłych jeszcze od słońca przyzbach, rozmawiali i śmiali się chłopcy i dziewczęta, zawodząc od czasu do czasu piękne, liryczne mołdawskie melodie. Dalekie głosy dochodziły do mnie spowite w aromat rodzącej się we wszystkich chatach mamałygi. Improwizowane chóry były jednogłosowe. Od czasu do czasu wplatał się jakiś odważny głos w tercji minorowej, przywołując na pamięć sąsiedztwo odgradzonej Dniestrem, ale bliskiej Ukrainy. Zza węglów chat, spod drzew wypełzały nocne cienie. Na wschodzie zapalały się pierwsze gwiazdy na ciemniejącym już niebie.

— Cóż ty tam robisz na górze? — drgnąłem, usłyszawszy donośny głos ojca. — Złaż zaraz, już czas na kolację!

Zmieszany, jakby przyłapany na gorącym uczynku, wszedłem do jadalni, oślepiiony jeszcze zachodzącym słońcem, nie mogąc otrząsnąć się z przeżytych wrażeń. Wieczorny stół nabrał dla mnie jakiegoś nowego, przejmującego uroku. Stałem bez ruchu, patrząc jak urzeczony: tam, na środku stołu... leżało to słońce, które przed chwilą zegnałem na szczycie dachu. Było złote, wspaniałe, królewskie... Leżało w czarnym kociołku z *czugunu*, jakby w oprawie z mołdawskiego czarnoziem. Było spowite aromatyczną mgłą, kłębiącą się nad stołem. Wyniosłe, niedosiężne... Tu! Tutaj było, tu, na naszym rodzinnym stole!

Ciocia Modzia, spokojna i rzeczowa, pogrzyżała drewnianą łyżkę w gorącym sercu niebieskiego ciała. Nakładała nam tę substancję, na którą czekaliśmy z pełną wzruszenia niecierpliwością.

— Siadaj! — przywołał mnie do przytomności ojciec. — Jedz mamałgę z szacunkiem i z wdzięcznością. To jest słońce i złoto naszej czarnej ziemi besarabskiej!

## Młocka na odai

Odaja wrzała od pracy. Ozdobiona pióropuszcami pary lokomobila dyszała rytmicznie, wyznaczając takt pracy. Z daleka było słychać jęk młockarni, wydawało się, że w jej barabanie kotłują się wściekłe bąki w walce z osami.

Nadjeżdżały na wysokich *karach* zgrabne snopy spięte w pasie i wnet zamieniały się w pomierzwioną słomę i deszcz ziarna. Góry słomy i zaspy ziarna! — to była *odaja*. Słoma gromadziła się szybko, choć sucha już, zdawała się jeszcze rosnąć, mnożyła się, wypełniała wolne miejsca, unosiła się w powietrzu gnana wiatrem, pokrywała ziemię i łąki, tworząc gruby, złotawy dywan, błyskający pod prostopadłymi promieniami południowego słońca, niby piaski pustynne.

— Dawaj! Dawaj! — rozlegały się wołania i wędrowały snopy wysoko na widłach, na tle niebieskiego nieba, i przechylały się nad poręczą. Pokazywały się kolorowe chusty i zręczne ręce kobiece chwytaly za snop, błyszczący sierp przecinał szpagat z sizalu; ciężkie kłosy wpadały w ryczącą paszczkę uzbrojoną w stalowe zęby. Czasem wybuchała sprzeczka między parobkami moldawskimi i ukraińskimi:

— Jeżeli chcesz, żebym cię rozumiał, mów po rosyjsku jak wszyscy!

Od północnej strony piętrzyły się rzędem ogromne sterty, wysokie jak góry: słomiane Karpaty. Para wołów, powolnych i zamyślonych, ciągnęła wyslizgany kabel stalowy, na którego końcu były uwiązane sanie do wyciągania słomy na szczyt sterty. Gwizdał maszynista lokomotywy i woły ruszały posłusznie. Na górze kilku zręcznych parobków, utrzymując cudem równowagę na tej niestalej grani, przyjmowało i układało słomę widłami, starając się nadać stercie odpowiednią formę. Widziani z dołu, wyglądali jak mrówki. Raz pośliznął się któryś i spadł na dół. Sterta była tak wysoka, że zabił się na miejscu.

Na środku *odai* wznosiła się wielka stodoła, szeroki i długi budynek z drzewa, z niskimi ścianami i wysokim dachem z dranic. W niej przechowywało się ziarno jeszcze nie sprzedane, mak, słonecznikowe *siemiaczki*, rzepak, len, groch, kukurydzę etc. W czasie młocki rzepaku wstęp do stodoły był mi wzbroniony. Wchodziłem czasem pod dozorem starszej osoby i patrzyłem jak zahipnotyzowany na górę czarnego ziarna, z którego wygniatało olej w tyrowskiej *masłobojni*. Kuliste ziarenka toczyły się bystro po podłodze z desek, płynęły jak woda. Ja i inni chłopcy z naszej bandy lubiliśmy ślizgać się na nich jak na łyżwach i popychać się wśród śmiechów i krzyków nieraz padaliśmy nabijając sobie bolesne guzy. Gdy rzepakowe nasienie tworzyło wysokie kupy, rzecz stawała się poważna i nikt nie ośmiewał się śmiać. Niebezpieczeństwo było duże. Chłopiec z zagranicy, który spędzał lato w Radimarach, wylazł kiedyś po kładce z desek na szczyt kupy. Zachwiał się i spadł na rzepak. Okrągłe ziarno, zamiast go podtrzymać, zaczęło się usuwać i wciągać ciało chłopca, który w miarę jak się rzucał i starał ratować, topił się coraz głębiej. Każdy ruch zagłębiał go coraz bardziej, rzepak wydawał się być już olejem grząskim; przykrył wreszcie głowę nieszczęśnika, zagłuszając jego ostatnie wołania o pomoc, których nikt nie usłyszał. Dlatego gdy babcia Władysława stawała czasem przed kupą rzepaku, żegnała się odwracając głowę:

— Ta kupa może ukrywa zmarłego — mówiła, a ja zaczynałem już drążyć tunel, w nadziei że znajdę nieboszczyka.

Czy rzeczywistość, czy fantazja, na *odai* wszystko pociągało mnie intensywnym życiem, nowością, emocją. W innym miejscu cały różaniec wozów wyladowywał snopy lnu. Dziadzio Aslan pilnie obserwował końce łądyg i usmiechał się zadowolony: widać było korzeń nie naruszony! Nierozważni zwolennicy przesadnej modernizacji propagowali ideę koszenia lnu zwyczajnymi kosiarkami.

— Jak się na to zgodzić! — wołał dziadek oburzony. — Len trzeba mykać,

wyrywać z korzeniem nie naruszonym! Przecież już Homer to zalecał! I jeżeli tak się robiło przed *Odyseją*, i po niej należało tak dalej czynić!

Rzucając bolesną skargę, podnosił się i opuszczał żuraw studzienny. Na wolnym końcu długiego koromysła przywiązany był biały kamień, który równoważył ciężar wiadra. Trzy beczki na szarabanie cyrkulowały między studnią i lokomobilą. Przy panującym upale wszyscy wypijali wielkie ilości wody. Chłopcy, dziewczęta, konie — pili co chwila, a lokomobila więcej niż wszyscy razem. Koromysło przypominało szyję kolosalnego bociana. Szyja pochylała się, dziób znikał pod ziemią. Bocian potrząsał głową, jakby chciał coś uchwycić w niewidocznej głębi, po czym podnosił szyję i w jego dziobie pokazywało się połyskujące wodą wiadro. Srebrzysty strumień wody spadał raz i drugi do beczek położonych na słomie szarabana. Wolny już od ciężaru, bocian znów podnosił głowę wysoko i z powrotem wkładał dziób pod ziemię, szukając więcej i więcej wody.

Raz się zdarzyło, że pękły obręcze beczek. Wybuchła kaskada wody spomiędzy rozluźnionych klepek.

— *Atencije!* — ryknął mołdawski maszynista i dodał, aby wszyscy mogli zrozumieć: — *Zadierżywaju maszynu!*\*

Krzyki te dotarły do uszu dziadzia Asłana. Nadbiegł śpiesznie, sadząc sążnistymi krokami:

— Prędko! Do wiader! Wy wszyscy ustawcie się rzędem!

W mig zorganizował różaniec wiader i bez zwłoki lokomobila otrzymała wodę potrzebną do pracy. Westchnęli z ulgą ojciec i dziadek; nie zmarnowano ani jednej minuty młocki!

Praca postępowała krokiem cyklopa. Sterty wznosiły się coraz wyżej ku niebu i były widoczne już z bardzo daleka na linii horyzontu. Wciąż, nieustannie, zjeżdżały się *kary* z ładunkiem snopów. Parobcy, w czapkach na bakier, współpracownicy w zręczności i sile i wyrzucali wesoło w powietrze snopy, ofiarowując je dziewczętom z młockarni, jakby to były bukiety kwiatów. Inne dziewczęta zaszywały w gorączkowym pośpiechu napełniające się ziarnem worki. Różaniec *karów* łączył odaję ze stacją kolejową w Tyrnowie, gdzie na bocznicę stojące wagony napełniały się z niewiarygodną szybkością. Potem nadjeżdżała lokomotywa z bieleckiej stacji i zabierała ciężki pociąg. Przy akompaniamencie świstu pary i zgrzytu hamulców wyruszało besarabskie zboże w daleką podróż, wyruszało ku granicznej Oknicy, ku dalekim zachodnim krajom, które były tak odległe, że nawet wylazszy na najwyższą stertę na *odai*, nie mogłem ich dostrzec moim bystrym wtedy i młodym wzrokiem...

## Soroka

Nie pamiętam już, z jakiego powodu ani kiedy zaczęła mieszkać razem z nami *soroka*. Odkąd ją sobie przypominam, była oswojona, zadomowiona i współżyła z rodziną na prawach trochę innego niż wszyscy, czasem nawet złośliwego, dalekiego krewnego. Jej mocny dziób zamieniał się niekiedy w broń niebezpieczną, gdy jednym celnym uderzeniem przetrącała kark polnej my-

---

\* *Atencije!* (mołd.) *Zadierżywaju...* (ros.) — Uwaga! Zatrzymuję maszynę!

szy. Karmiłem *sorokę* ręką, ale musiałem uważać, bo mogła dziobnąć lub nawet boleśnie uszczypnąć.

— Ona nie jest zła! — tłumaczyłem przyjezdnym. — Ona nie zdaje sobie sprawy!

Wydawało się, że *soroka* nas kocha wszystkich. Gdy szliśmy na piechotę do Tyrnowa, upierała się, by iść z nami. Ale sroki nie umieją chodzić, skaczą tylko jak wróble na sztywnych łapkach. *Soroka* starała się nam dotrzymać kroku i z gracją przechylała główkę, aby wyczytać w mej twarzy każdy zamiar zatrzymania się lub zmiany kierunku. Ale po chwili była już zmęczona, zostawała w tyle i gdy byliśmy daleko, podlatywała na skrzydłach, aby zrównać się z nami, znów trochę podskakiwała po ziemi i znów leciała kawałek. Idąc w ten sposób, do Tyrnowa dochodziliśmy w ciągu godziny. Tam *soroka* pakowała się przez wejściowe drzwi do pałacu, bez najmniejszego wahania. Mogliśmy się potem wysilać, nie było sposobu, żeby ją wyrzucić — w stronę zabudowań kuchennych albo na dwór. Wchodziliśmy do biura wuja? *Soroka* wciskała się z nami i zasiadała na rogach jelenia, skąd pilnie baczyła, czy aby nie wychodzimy bez niej. Szliśmy do dużego salonu? *Soroka* przemierzała go wzdłuż, trzepiąc skrzydłami, i siadała na wielkim pająku wiszącym u sufitu, dzwoniąc kryształowymi wisiorami. Szliśmy do jadalni? *Soroka* też leciała za nami, siadała na wysokich oparciach krzeseł i starała się coś ukrąść z mojego talerza. Po kolacji robiła się senna i zasypiała w jakimś kącie. W ciągu dnia nie było łatwo złapać ją w rękę, ale wieczór klapała oczami, nic nie widząc, i nieraz trzymałem ją zawiniętą w baski, gdy odwożono nas końmi do domu. W końcu usadzałem ją na szczycie kredensu, gdzie kładła się do snu w poczuciu bezpieczeństwa. Kiedyś Munio zawołał:

— Czemu byś nie uszył *soroce* spodni? Zdaje się, że ta *soroka* jest samcem i takie chodzenie bez spodni to nieprzyzwoitość!

Nie zastanawiałem się wiele. Porwałem kawałek materiału łososiowego koloru z neseseru z przyborami do szycia cioci Modzi, resztkę po jaśku ojca.

— Ten kolor na pewno spodoba się *soroce*! — rzekł Munio z powagą.

Wziąłem potrzebne miary i za chwilę spodnie były gotowe. Przypominały styl ubierania się teraźniejszej młodzieży postępowej. Poczekaliśmy do wieczora, aby móc złapać srokę, włożyliśmy jej spodnie i puściliśmy ją na jadalniany stół, gęsto otoczony widzami. Biedna *soroka* niewiele widziała przy świetle lampy naftowej, klapała oczami i nie chciała się ruszyć z miejsca.

— Widzi tasiemkę i myśli, że jest przywiązana — zastanawiał się Munio.

Dałem jej parę prztyczków w ogon i popchnąłem ją naprzód, ale *soroka* przewróciła się na bok i otworzyła dziób, jakby miała zdychać. Nie chciała już zrobić ani kroku. Zaśmiewaliśmy się do łez, ale było jasne, że nic już z tego nie będzie. *Soroka* nie miała dość inteligencji, aby czuć dumę z prawa do tego sławetnego męskiego stroju.

W przeciwieństwie do młodzieży, ojciec nie lubił, aby sroka kręciła się blisko niego. Ojciec bowiem, którego zręczne ręce nie ustawały w pracy ani na chwilę, doskonale naprawiał zegarki. Wszyscy sąsiedzi zwozili mu swoje, gdy wymagały naprawy, i ojciec zamawiał za granicą części zamienne według katalogów, które miał w domu. Gdy wkładał sobie zegarmistrzowską lupę do oka, nie widział, co się dzieje dookoła, i wtedy *soroka* stawała się niebezpieczna. Na widok błyszczących malutkich stalowych części nie mogła się powstrzymać i wartkim szusem sfruwała z szafy, porywała błyskawicznie zębate kółeczko i uciekała z nim do jakiejś kryjówki. Na alarm wybiegaliśmy w po-

ściąg, lecz rzadko kiedy udawało się nam odebrać jej łup. Przeważnie umiała ukryć go w tak niezwykłym miejscu, że nie można było go znaleźć. Ojciec złościł się na próżno, aż wreszcie zaczął grozić, że zastrzeli sorokę. Cóż to za tajemniczy urok krył się w błyszczącym kawałeczku metalu?

— To nie to! — wołał ojciec oburzony — to wrodzona złośliwość!

— Słuchaj, Leon — odpowiadał dziadzio Asłan. — Czy ty myślisz, że sroki są mądrzejsze od ludzi? Ileż to ludzi ma ten sam odruch chowania błyszczących przedmiotów pod materac! Cała różnica w tym, że w wypadku ludzi chodzi o złoto. Nawet sympatyczniejsza jest bezinteresowność sroki, która nie rozróżnia wartości metali i chowa żelazo.

Pewnego dnia odkryliśmy za wielką encyklopedią cały skład pordzewiałych części, za drogie pieniądze sprowadzonych z zagranicy. Ojciec się wściekł i złapał dubeltówkę, aby zastrzelić srokę. Poskoczyłem czym prędzej, aby ratować psotnego ptaka, który nic nie rozumiał i patrzył spokojnie, jak ojciec w niego celuje. Otworzyłem okno, ale nadaremnie, soroka nie chciała uciekać. Na moje krzyki nadbiegła mamusia i raptem sroka zdecydowała się i wylądowała na dwór. Mamusia pociągnęła ojca z dubeltówką do gabinetu i tam zamknęli się, podczas gdy ja starałem się nie dopuścić sroki do domu, gdzie z uporem chciała wrócić. Po chwili otworzyły się drzwi — i dusza poszła mi w piętę, gdy znów ukazał się ojciec z dubeltówką.

— Nie bój się! — uspokoiła mnie mamusia — ojciec raz jeszcze przebaczył sroce, ale musisz jej wytłumaczyć, żeby więcej sprężynek nie kradła... bo wtedy ja jej już nie zdołam uratować!

Zaśmiał się Munio i gdy rodzice wyszli, zapytał mnie:

— Iloma językami mówisz?

U nas mówiło się kilkoma językami, było to konieczne — lub też wymagała tego grzeczność — aby z różnymi ludźmi móc się porozumieć. Nie umiałem ich policzyć.

— Wszystko jedno! — rzekł Munio. — Rzecz w tym, że będziesz musiał jeszcze jednego języka się nauczyć, ptasiego, jeżeli chcesz sorokę uratować.

## Ogród zoologiczny

Oprócz domowych były też w Skajanach „dzikie” zwierzęta. Gdy ojciec był zły, mówił, że ja należę do tych ostatnich. Mimo to z zapalem zajmowałem się, opiekowałem i hodowałem „inne” zwierzęta. Zawsze miałem pudełko po tytoniu Popowa pełne żuków i gąsienic. Gdy czułem na sobie spojrzenie wygłodzonych zwierząt, zaraz powracałem obładowany suchym chlebem, ziarnem lub sałatą. Umieszczona w szklanym słoju żaba barometryczna siedziała rozparta, z jedną łapą na szczęblu małej drabinki. Widziałem jej oko, powiększone przez wypukłość szkła; zdawało się mnie hipnotyzować. Patrzyła na mnie z powagą prezydenta trybunału, nie wiedząc, że gdy jej zachowanie było sprzeczne z przepowiednią barometru, wybuchały w domu wielkie dyskusje między zwolennikami instrumentów tradycyjnych i nowoczesnych w agronomicznej meteorologii. Decydował wreszcie o wyniku Jakub, którego reumatyzm był instrumentem niezależnym od poglądów i od epoki. Jak już mówiłem, po całym domu fruwała swobodnie soroka. Na jej czarno-białą strój niepocieszonyj wdowy rzucały niechętnie spojrzenia jaskrawo upie-



rzone papużki nierozłączki w klatce. Pięknym za nadobne odplącała im sroka, która nie cierpiała tych krzykliwych brazylijczyków, uważając się za inteligentną osobę, bo ona, gdy chciała wylecieć na dwór, umiała zastukać dziobem w okno, abym jej otworzył; papużki zaś nie umiały wyjść ze swojej klatki.

— Chcę poznać dropia! — zawołał mój tyrnowski towarzysz zabaw, wysiadając z bryczki.

Zabrałem go do ogrodu i zacząłem wołać naszego dropia. Za altaną pokazał się ostrożnie dziób, potem wąsy i wreszcie czarne oczko, które nam się przyjrzało z uwagą. Nie byliśmy groźni, po chwili ukazał się cały drop i podbiegł kołyszącym się klusem na moje zawołanie.

— Droch! Droch! — zachęcałem go, podając mu główkę ślazu do zjedzenia. — Masz! Droch!

Drop rzucił niechętnie spojrzenie na ślaz i chciał odejść, ale złapałem go za skrzydło i podsunąłem mu ślaz aż pod sam dziób. Drop się uwolnił, strzepnął skrzydłami i widząc, że nalegam, wziął ślaz z mojej ręki i zjadł.

— Głupi drop! — zaśmiał się Kazio — przecież dropie tego nie jedzą!

Gdy drop odszedł parę kroków, otworzył dziób i wypuł ślaz z wyrazem wstrętu, po czym szybko wrócił do zajęć, w których mu przeszkadziliśmy.

Ukazanie się śniegu było sygnałem rozpoczęcia epoki siodeł i potrzasków. Czasem zaczynał śnieg padać z wieczora i na rano wszystko już było białe. Ptaszki zapadały się w śniegu i siadały tylko na ubitych saniach drogach, mogąc odżywiać się wyłącznie zmarzniętymi jagodami na krzakach. Od małego nauczyłem się robić sidła z podziurawionych desek, do których przymocowywało się pętle z końskiego włosia. Ustawiałem je w ogrodzie, posypywałem ziarnem i na wieczór trzepotały się już złapane na włosień ptaszki, które wypuszczaliśmy następnego dnia na wolność — ponieważ nie dawały się oswoić — naznaczywszy je najpierw minią, aby potem wiedzieć, czy się dadzą po raz drugi złapać. Szczygły, zrazu przerażone, ciskały się o druty klatki i pierwszego dnia nie chciały ani jeść, ani pić. Ale po jakimś czasie głód robił swoje i widząc, że nic złego im się nie dzieje, zaczynały jeść. W małej główeczce szczygła ukrywa się i inteligencja, i poczucie humoru, można więc te ptaszki nauczyć wielu rzeczy zabawnych. Pod kierownictwem ojca przygotowywałem „materiał pedagogiczny”: małą studzienkę z kamyczków, z naparstkiem jako wiadrem do wyciągania wody, pudeleczek od zapalek na kółkach pełne ziarna, które trzeba było wyciągnąć, aby się najeść, itp. Po ośmiu, dziesięciu lekcjach szczygiełki umiały już same nabierać wody wiadrem lub wyciągać szufladę z ziarnem. Ci, co przyjeżdżali z wizytą, nie mogli oderwać się od klatki patrząc, jak szczygieł łapie dziobkiem za nitkę, podciąga wiaderko w górę, podtrzymuje łapką nitkę, łapie ją dziobkiem trochę niżej, podciąga znów wyżej — i tak kilka razy, aż naparstek pełen wody osiągał potrzebną do napicia się wysokość.

Gdy podziwialiśmy szczygły, oswojone wiewiórki, Czaszka i Laszka, nie mogły ukryć zazdrości, biegały, fikały koziółki, wdrapywały się na szczyt bambusowego stojaka z kwiatami, robiły co mogły, żeby zwrócić naszą uwagę. Wreszcie Czaszka pakowała się do kieszeni ojca w poszukiwaniu łakoci i nic nie znalazłszy, zaczynała wyrzucać z wściekłością przedmioty dla niej bezwartościowe: klucze, zapalniczki, chustkę do nosa etc.

Mamusia raz rzuciła się na ojca chustkę, zakrywając ją rękami: — Co

za wstyd! Czemuś mi nie powiedział, że jest już brudna! — podczas gdy ja pękałem od śmiechu.

Według wskazówek ojca zbudowałem bęben z drewnianych listewek, do którego wiewiórki wskakiwały przez boczny otwór, i trzeba było widzieć, z jaką radością i zapalem galopowały w środku, obracając bęben dookoła osi. Bacznie tym zabawom przyglądał się kuzyn Wania i kiedyś przyjechał przywożąc mnóstwo przedmiotów z tyrnowskiego laboratorium: kółka, pasy sprężynowe, druty, żarówkę i małe dynamo. Po skończonej przebudowie klatka wiewiórek stała się podziw wzbudzającą we wszystkich, a oczywiście we mnie najwięcej, małą siłownią elektryczną. Przez długi czas później wiewiórki oświetlały nam stół przy wieczornym majsterkowaniu i choć w miarę ich galopu żaróweczka raz się rozpałała, a raz przygasała i trzeba było dodatkowo dostawiać lampę naftową, mnie się to pełgające światło wydawało wspanialsze od znakomitego oświetlenia, jakie widziałem w Kiszyniowie.

Czasem słyszeliśmy krzyk przerażenia babci Władysławy i jednocześnie szczeknięcie Małki. Wiedziałem już, co to znaczy, i wybiegałem na pomoc babci przerażonej widokiem małej świnki morskiej, która o pewnych godzinach lubiła spacerować po domu. Przyjezdni przypatrywali się temu zwierzątku uważnie, ale ich zdziwienie wzrastało, gdy wyglądali na werandę: stały tam rzędem poważne jak archijereje czajki i żurawie z Budżaku, każdy w misce do połowy napełnionej wodą. Czasem był też jakiś kulawy bocian, który nie odleciał z innymi, albo nawet goście egzotyczni, jak ten biały, krótkonogi ptak z wielkim dziobiskiem, pod którym zwiślał worek ze skóry. Jako dostawca tego zwierzęcego dworu, miałem sporo roboty z łapaniem żab i myśli, w czym pomagali mi chętnie chłopcy z naszej bandy, ale za to, gdy goście przyjeżdżali z wizytą, mogłem popisywać się wiadomościami, podczas gdy oprowadzałem przybyłych po naszym skajańskim ogrodzie zoologicznym:

— „...pewnego ranka... krzyczał Siańka na koniu: Ptaki z tamtego świata!... Nie gadaj głupstw... Cha! Cha! Cha! (śmiechy)... dziadzio Aslan wsiada na klacz Karę... galop do Jeziora Szuwarów... czekamy, ciekawość nie daje nam spokoju... powrót dziadzia z białym ptakiem. Łabędź! — krzyknęła Nastka... To łabędź?... chyba karykatura łabędzia! — rzekł dziadzio.”

Kto miał cierpliwość i wysłuchał tej historii aż do końca, dowiadywał się, że ten dziwny ptak to był pelikan; gość otrzymywał przy tym w darze wdzięczność małego przewodnika, jakim byłem wtedy, zawsze chętnego do oprowadzania po naszej skromnej menażerii.

## Cerkiewne akacje

Widnokrąg wznosił się, wznosił... potem opadał, opadał... Białe chmurki płynęły nad moją głową. Płynęły po morzu szafirowego powietrza, welniste, włochate... Kołysał się rytmicznie smukły pień, do którego byłem przywarty. Stopami spoczywałem na cienkiej gałęzi, rękami trzymałem się pnia i wisiałem nad głębiną. Wiatr nucił smętną melodię w drżących cienkich gałązkach... Rój czarnych i szarych ptaków kółował nade mną, przesywając powietrze żalobnym krakaniem... Przechodziły minuty, jedna za drugą, przechodziły godziny, płynąc powoli jak te białe chmurki na niebie. Wisząc tak na kołyszącym się pniu w szumiącym wietrze, poddawałem się jakiemuś dziwnemu, dalekie-

mu rzeczywistości upojeniu. Chwilami wydawało mi się, że przeżywam sen. Nad głową widziałem świat błękitny. Pod nogami miałem świat zielony. Uczucie szacunku graniczące z obawą przenikało mnie do głębi, do najdalszych zakątków jestestwa. W dole widać było zielonkawy dach cerkwi z kopułami w kształcie cebul, z których jedna połyskiwała nową miedzią. Niżej jeszcze, w cienistej głębokości, uwijały się czarne punkty i podskakiwały koło pni drzew. Były to psy, wierni towarzysze zabaw, które też chciały wdrapać się wysoko, aby dostać się do mnie. Nasz dom i ogród były odgródzone od cerkwi wysokim kamiennym murem; rzadkość w tej bezkamiennnej okolicy. Za murem rozciągała się łąka, a na niej rosły ogromne akacje, których smukłe pnie i gałęzie wyrastały ponad obciążone łańcuchami krzyże cerkwi. Wysoko, na cienkich gałęziach zawieszzone, widniały na tle nieba gniazda wron. Wyglądały jak żydowskie lisie czapy, rzucone przez jakiegoś wielkoluda aż pod chmury, aby właściciele nie potrafili ich dosięgnąć. Wrony wzmacniały stare gniazda i co roku budowały nowe. Było ich tyle, że gdy spłoszone jakimś hukiem wlatywały bijąc skrzydłami w powietrze, tworzył się wir, który przechodził w czarną, kotłującą się chmurę, unoszącą się nad cerkwią jak dym ekspresu nad tyrnowską stacją.

Pop wciąż narzekał na tę wronią zmorę. Gdy odprawiał nabożeństwo, krakanie zagłuszało śpiew, gdy wychodził przed cerkiew z procesją, wroni kał spadał mu na głowę. Zebrano myśliwych, aby wystrzelali wrony, ale śrut z takiej odległości wiele szkody nie robił; wrony uciekły na pola, a gdy ludzie rozgrzanych do czerwoności dubeltówek nie mogli już utrzymać w garści, natrętne ptaki wróciły spokojnie do swoich gniazd, kracząc urągliwie. Nasza młoda banda dostała więc polecenie niszczenia samych gniazd, aby zmusić wrony do wywędrowania gdzie indziej, i mieliśmy wolną rękę co do wyboru środków i sposobów. Próbowaliśmy najpierw różnego rodzaju pocisków, rakiet z piłkami, łuków ze strzałami, kamieni rzucanych ręką. Ale nie mogliśmy osiągnąć tak znacznej wysokości. Raz przyszedł jakiś czaban i zręcznie operując procą nadwerężył jedno gniazdo. Staraliśmy się go naśladować, ale używanie pasterskiej procy wymagało zręczności, której nie posiadaliśmy. Kamienie wlatywały warcząc w najbardziej nieprzewidzianych kierunkach i gdy raz o mało nie rozbiliśmy głowy diakowi, zakazano nam używania proc.

— Nic z tego! Nie damy rady stąd, z dołu! — zawołał Mojsiej. — Trzeba zaatakować gniazda i wdrapać się tam, gdzie one są!

W ten sposób powstała grupa, którą obecnie można by nazwać „akacyjową drużyną”, złożona z najważniejszych chłopców skajańskich. Wiele miesięcy trwała ta wronia wojna, zaciekle, rozpoczęta wśród okrzyków zapału, znaczo- na czarnymi trupami ptaków na trawie, okrwawionymi rękami rozdartymi na kolcach i zakończona pewnego jasnego dnia gromem tragedii...

Wdrapywać się na akacje, osiągać ich szczyty — nie była to rzecz łatwa. Od ziemi do pierwszych gałęzi było daleko. Obejmowałem pień rękami i nogami, starając się drapać jak żaba. Gałęzie musiałem najpierw oskrobywać z kolców, aby móc za nie złapać, i tak, naśladując wiewiórkę, wznosiłem się z gałęzi na gałąź. W młodocianym zapale, nie chcąc dać się wyprzedzić innym, nie baczyłem na krwawiące ręce, na wiszące w strzępach spodnie, na niebezpieczeństwo upadku, tylko piałem się wyżej i jeszcze wyżej, aż do szczytu. W miarę jak się wznosiłem, pień dzielił się, rozdrabniał na gałęzie, stawał się coraz cieńszy i coraz bardziej giętki. Każdy podmuch wiatru powodował silne kołysanie i dawał wrażenie wolnego lotu, wrażenie, które miało być tak do-

brze mi znane później, podczas mojej pracy inżyniera lotniczego. Byliśmy odważnymi chłopcami mołdawskimi, nie cierpieliśmy na zawroty głowy, ale chłopski rozum doradzał nam wielką ostrożność w tych niebezpiecznych wyprawach. Akacje osiągały na czarnoziemiu znaczne wysokości, ale drzewo ich było zdradliwe, kruche, łamało się nagle z suchym trzaskiem i już było wtedy za późno, aby za inną gałąź się chwycić.

Na wiosnę akacje pokrywały się kiściami białych, pachnących kwiatów. Zrywałem je i nosiłem całe naręcza mamusi, która lubiła ich zapach. Ciocia Modzia robiła akacjowe konfitury, a motyle ledwie mogły w powietrzu się utrzymać, ciężkie od akacyjowego nektaru. Łapaliśmy je z łatwością, obrywaliśmy im skrzydła i jedliśmy z rozkoszą jeszcze drżący życiem odwłok, zachłystując się jego słodką i aromatyczną zawartością.

Wielkie jak szydła kolce na cieńszych gałęziach przedstawiały poważne niebezpieczeństwo, które wciąż na nas czyhało w tych podniebnych wyprawach. Czując ukłucie w rękę, można było w instynktownym odruchu puścić gałąź i runąć w dół, bez możliwości zahamowania upadku. Gniazda wronie znajdowały się u samego szczytu; ileż razy widziałem je z bliska! Ale nie było łatwo dosięgnąć ich ręką, były wczepione w rozgałęzienia cienkich gałązek, łamiących się z łatwością, i nie mogłem tak wysoko się wdrapać. Zrobione były prymitywnie, z patyczków nałożonych jedno na drugie. Wiatr przeszywał to mieszkanie na wylot i nie mogło ono tworzyć ciepłego, *prijutnego* gniazdka. Małe wrony, nie opierzone, musiały kłaść się na tych patykach, ale były zdrowe i nie wydawały się cierpieć od braku komfortu. Brałem długi kij, przywiązany z tyłu do pasa, gdy tymczasem drapałem się mozolnie w górę. Gdy byłem już na wysokości gniazd, obejmowałem pień nogami, lewą ręką chwyciłem za gałąź, pilnie bacząc, aby się nie nabić na kolce, a prawą, uzbrojoną w kij, starałem się zrzucić gniazda razem z ich zawartością. Rozdrażnione wrony krakały, kołując nad naszymi głowami, podczas gdy wiatr potrząsał drzewami i w tym rozkołysaniu widziałem gniazdo raz wyżej, raz niżej ode mnie. Rozpalony i przejęty wojennym zapalem, nie myślałem o przepaści czyhającej w dole. Wymachując to jedną, to drugą ręką, dżgając gniazda kijem, wydawałem dzikie okrzyki. Czasem wskutek niezręcznego ruchu kij mi wylatywał z ręki. Musiałem opuszczać się w dół i prawie już sił mi brakowało, aby ponownie na górę się wspinać.

Ciocia Modzia nic nie wiedziała o tych wyprawach. Raz ktoś jej pokazał mały czarny punkcik na tle nieba, mówiąc, że to ja. Mało nie zemdlała z wrażenia i zaraz zwołała całą rodzinę na naradę, domagając się, aby te wspinaczki zostały mi zabronione. Przerażony obrotem sprawy, wymknąłem się przez tylny ganek w stronę cerkwi. Cała banda była zebrana pod czarną *smorodina*.

— Chodźmy, prędko! Chcą nam zakazać zrzucania gniazd! — krzychałem biegnąc, naśladowany przez wszystkich, w stronę cerkiewnych akacji. Zaczęliśmy się wspinać. Było nas czterech, każdy na swojej akacji. Tego dnia wyleźliśmy wyżej niż kiedykolwiek. Na lewo widziałem między liśćmi Jakubka, naprzeciwko był Miszka, a na prawo... ledwie to pomyślałem, rozległ się trzask, krzyk i zobaczyłem coś, co spadało w zielonkawą głębokość łamiąc gałęzie i rzucając okrzyki bólu i trwogi.

— Mojsiej! Mojsiej! — zawołałem zdławionym głosem i usłyszałem głucho uderzenie w dole.

Zapanowało przerażające milczenie. Nie odważałem się nawet oddychać i drżąc nasłuchiwałem dalszych odgłosów. Nie czułem, że kolce rozdzierają mi ręce i że plamie pień ciekącą krwią. Naciągając się, ujrzałem jasne

drzazgi złamanej gałęzi. Akacje przestały szumieć, zrobiła się przejmująca cisza. Serce mi się ścisnęło i poczułem, że zaszło coś strasznego. Na pewno Mojsiej złamał nogę, spadając z takiej wysokości. Ojciec mnie ostrzegał wiele razy. Ładna awantura czeka mnie teraz, gdy okaże się, że Mojsiej coś sobie złamał!

Nie musieliśmy się nawoływać ani umawiać, wszyscy razem zaczęliśmy złączyć. Nie patrzyłem na kolce, zsuwałem się po pniu między gałęziami, zostawiając na sękach kawałki portek, a na gałęziach pokrwawioną skórę. Spuszczałem się pośpiesznie coraz niżej, myśląc tylko o tym, by jak najprędzej stanąć na ziemi. Nigdy jeszcze akacje nie wydawały mi się tak wysokie. Nareszcie zeskoczyłem na trawę i na uginających się nogach podbiegłem do Mojsieja, który leżał pokurczony pod sąsiednią akacją.

— Mojsiej! — zawołałem. — Co się stało? — i widząc, że nie odpowiada, dodałem: — Złamałeś nogę?

Mojsiej nie odpowiadał. Zdawało się, że śpi. Nadbiegli Jakubek i Miszka i razem przewróciliśmy go na plecy, aby go zbudzić. Nie było widać żadnej rany ani krwi na jego ciele. Zaszumiały akacje i poczułem powiew jakiejś nieokreślonej trwogi.

— Co mu się stało? — wrzasnął Miszka spazmatycznym głosem.

— A bo ja wiem! — rzucił Jakubek bladym jak papier. I nic nie tłumacząc, poleciał galopem w stronę naszego domu. Przejęci trwogą, staliśmy nie wiedząc co robić. Raptem przez kratę w murze ujrzeliśmy ojca, za którym biegł Jakub. Ojciec zbliżył się do Mojsieja, bacznie go obserwując. Podniósł mu rękę, która opadała bezwładnie. Wziął go za puls, jakby na coś czekając. Potem uklękł i przyłożył ucho do jego piersi. Po chwili wstał, zdjął czapkę i rzuciwszy na nas poważne spojrzenie, rzekł:

— Zabił się.

Nie wiem, czemu to nam na myśl nie przyszło przedtem, od razu. Widocznie możliwość zabicia się nie dochodziła do naszej świadomości, podczas gdy wspinaliśmy się na zawrotne wysokości. Skostnieli z wrażenia, nie wiedzieliśmy co odpowiedzieć ani co zrobić. Staliśmy milczący, przerażeni, nie mogąc oderwać oczu od biednego Mojsieja.

Wiele razy widywałem martwe zwierzęta i dzięki doświadczeniu, które daje życie na łonie natury, wiedziałem mniej więcej, co to jest śmierć. Ale to były zwierzęta. Traktowaliśmy je w sposób dwuznaczny: gdy były żywe, były naszymi towarzyszami zabaw, wiernymi przyjaciółmi nam równymi, członkami naszej bandy. Ale martwe, traciły ten charakter, były jak popsute zabawki. Mojsiej nie wydawał się jednak teraz popsutą zabawką. Patrząc na niego doznawaliśmy jakiegoś nowego, głębokiego wzruszenia, którego nie można było sobie wytłumaczyć.

Podnieśliśmy Mojsieja i pod kierunkiem ojca nieśliśmy go przez wieś, aż do jego domu. Na widok tego żałobnego pochodu żegnały się mołdawskie gospodynie i gromkie pytania krzyżowały się nad naszymi głowami od chaty do chaty. Wiele kobiet i dzieci szło za nami, tworząc długi korowód. W domu Mojsieja dopiero zaczęły się jęki, płacze, krzyki rozpacz. Kazano nam Mojsieja położyć na łóżku i wyjść. Zaczęły się potem obrządki, które widziałem po raz pierwszy. Wreszcie zawołano nas, aby czuwać przy zmarłym. Przejęty szczerym smutkiem, wszedłem do izby. Mojsiej, ustrojony w ubranie od święta, leżał spokojnie na łóżku. Raptem na myśl mi przyszło: on udaje! Taki był naturalny... zresztą zawsze był żywy, jakżeż tu raptem wyobrazić sobie, że jest martwy. Ot, podskoczy i zawrzaśnie, aby nas przestraszyć!



Gdyby był nieżywy, po cóż by kazali go pilnować? Przecieżby nie uciekł? Ale na drugi dzień nie było już wątpliwości: poszliśmy do cerkwi i potem na cmentarz, gdzie zagrzebano drewnianą skrzynię z Mojsiejem w środku. Jego rodzice i krewni płakali i zawodzili głośno. Nam kazano wziąć łopaty i rzucać ziemię do dołu. Jeszcze dziś słyszę, jak dudnią grudy na drewnianych deskach odgłosem wielkiego, ponurego bębna. Wiele razy widziałem, jak się napełnia doły ziemią i nikt nie płakał z tego powodu. Tak... ale tym razem na dnie dołu spoczywał Mojsiej...

— Co też ty gadasz! — oburzył się Jakubek. — W dole Mojsieja nie ma, *batiuszka* powiedział, że Mojsiej już w niebie.

Słyszałem to wprawdzie dawniej, od nauczycielki, ale czyż można było to zrozumieć? Objawił się we mnie praktyczny Mołdawianin i spytałem bez zwłoki:

— Więc co? Na czym staniemy? Jest w dole czy w niebie?

— W niebie! — odpowiedziało kilka głosów.

— A kto jest tam w dole, w tej skrzyni? — rzuciłem wyzywająco.

— W skrzyni jest zwierzę — usłyszałem głos dziadzia Asłana — ludzka osoba poszła do nieba.

Zapanowało milczenie. Jeśli tak dziadzio powiedział, to tak było. Skrzynia, dół, cmentarz, wszystko to przestało nas interesować. Odeszliśmy.

— Zobaczycie — szepnął Jaremkę — po tym wszystkim zakażą nam drapania się na akacje.

Ale pomylił się. Ojciec zachował się w sposób nadzwyczajny, nie zrobił nam jednego nawet wyrzutu. Zresztą byliśmy ochotnikami, każdy drapał się na własne ryzyko. Ojciec wiedział, że dostaliśmy dobrą nauczkę, że wypadek Mojsieja ochłodzi nasze zapaly i zniechęci nas do wariactw, może na zawsze. Rzeczywiście, przez następny tydzień spoglądaliśmy na cerkiewne akacje z niechęcią i obchodziliśmy je z daleka. To po tych akacjach wdrapał się Mojsiej do nieba? Tak jak my, wspinając się od gałęzi do gałęzi, od grubych do cienkich, od cienkich do tych najcieńszych, nam niedostępnych, co jak różgi chłostały świszczący wiatr — i potem z wiatrem do nieba? To tak dostawał się człowiek do nieba? Miałem nad czym się zastanawiać...

— *Niczewo!* Nie bądźcie *tchórzami!* — zawołał Saszeńka. — Co mają z tym wspólnego akacje, czemu są winne? Ot, po prostu Mojsiej nigdy nie umiał drapać się na drzewa. Był patałach! My to coś całkiem innego. Nikt tego lepiej od nas nie umie. Nam nic stać się nie może!

Podeszliśmy do akacji. Obejrzelismy miejsce, gdzie spadł Mojsiej. Trawa już się była podniosła; gdybyśmy nie wiedzieli, co się stało, tobyśmy się tego nie domyślili. Nie zostało ani śladu. Ale w nas też już nie było zapалу do wspinania się.

Płonął ogień w smutny jesienny dzień i szary dym kreślił arabeski nad pachnącą plesnią ziemią. Wkładałem małe kartofelki do żaru, aby je upiec. Krucha i przypalona skórka, wewnątrz mączyste, aromatyczne, dymiące, wszystko to nadawało kartofelkowi smak wyjątkowy. Co za rozkosz móc jeść te chrupiące kartofelki pieczone na żarze ze słomy! Gdy Miguel de Unamuno zwiedzał Paryż, nieczuły na jego piękno, żył wspomnieniem swojego kraju i zamykając oczy zawołał: *Gredos!* Nie wzruszyły go cuda francuskiej architektury. W sercu nosił obraz wyniosłych i chłodnych gór *Avili*. Niedaleko tego miejsca, gdy w *Café de Paris* próbowałem świetności francuskiej kuchni, ja też, zapominając gdzie jestem, zamknąłem oczy i wykrzyknąłem: „Och, skajańskie kartofelki!”

A wrony dalej krakały jakby nigdy nic. Obejrzałem się w poszukiwaniu jakiejś broni. Nie było nic, nawet kamieni. Na kartoflisku pozostały rozrzucone kartofelki, uznane za zbyt małe. Wyciąłem pręt z leszczyny i nabijając na jego szpic kartofelki zacząłem bombardować gniazda wronie. Moi towarzysze zrobili to samo i strzelaliśmy z rozmachem, jakbyśmy byli żywą zapowiedzią przyszłych baterii przeciwlotniczych. Wrony siedziały na szczycie akacji i z pogardą spoglądały na przelatujące poniżej po parabolicznej orbicie małe kartofelki, które nie dotknąwszy ich nawet, spadały na cerkiewną łąkę. Zmieniliśmy miejsce w poszukiwaniu lepszego. Wysilaliśmy się coraz bardziej, w nadziei że przynajmniej spłoszymy te bezczelne wroniska. Ale nic z tego, tymi rozpaczliwymi rzutami nadwerżyłem sobie tylko staw w ramieniu, który zaczął boleć, jakby był wywichnięty. Daremne to były wysiłki. — Kraaaa! Kraaaa! — pokrzykiwały urągliwie żałobne ptaszyska, przekreślając szare, ciche, jesienne niebo czarnymi lotami. Nienawidziliśmy ich. Były obrazą, urąganiem, szyderstwem z nas wszystkich. Były złowrogie, tragiczne...

— To są dusze piekielne przysłane przez diabła, aby zabrać Mojsieja! — wyszeptała Nastka, przewracając oczami i ściskając rękę Mlle Berthe.

Przechodziły tygodnie. Przeszła zima, stopniały śniegi i znów zakwitła wiosna. Poczuliśmy nostalgię, pomyślawszy o drogich nam, a obecnie opuszczonych wysokościach. Wymyślaliśmy różne zabawy, aby się rozerwać, ale wciąż nam czegoś brakowało. Czasem przystawałem milczący i nie odpowiadałem na wołania towarzyszy. Czekałem na coś bez przyczyny, słuchałem śpiewu wiatru, który grał na cienkich gałązkach cerkiewnych akacji jak na harfie. Nie musieliśmy się umawiać, raptem znaleźliśmy się pod tymi samymi drzewami co w dzień śmierci Mojsieja. Zaczęliśmy się wspinać w milczeniu. Na akacji Mojsieja był Fomka — piął się z trudem. Nam też jeszcze nigdy akacje nie wydawały się tak wysokie jak wtedy. Może straciliśmy wprawę? Teraz wszystko wydawało się nam trudniejsze i groźniejsze. Zatrzymywałem się od czasu do czasu, aby odsapnąć. Objąłem pień mocno i zamknąłem oczy, aby nie patrzeć w dół. Potem spojrzałem w górę i znów zacząłem się wspinać. Tego dnia wdrapaliśmy się wyżej niż zwykle. Moja akacja rozgałęziała się wysoko, a pień powyżej korony nie był grubszy od kaczana kukurydzy. Pchamy jakimś dziwnym podnieceniem, wspierałem się aż do następnego rozgałęzienia, znacząc każdy chwyt krwią z pokłutych, obolałych rąk. Po chwili cała nasza banda była już na podobnej wysokości, kołysząc się z wiatrem nad zieloną otchłanią. Nad nami widniał błękit nieba, niby wielkie oka między dużymi szarymi chmurami, które płynęły i zderzały się jak wiosenna kra na Dniestrze. Trwaliśmy tak długą chwilę, upojeni szumem wiatru, zapachem kwitnących akacji i tym lekkim kołysaniem się w bezkresnej przestrzeni. To już chyba nie była ziemia... może już byliśmy w niebie? Raptem trójkąt ciemnego błękitu ukazał się nad naszymi głowami. To tam był Mojsiej? Wzmógł się szum akacji, teraz wydawało się, że to oddech jakiegoś potężnego jestestwa, które z góry na nas patrzy, niewidoczne... Raptem usłyszałem wołanie Jakubka:

— Mojsiej! Mojsiej! To my! Wspięliśmy się aż pod niebo, aby ciebie zobaczyć. Gdzie jesteś?

Nie było odpowiedzi. Poczekaliśmy w milczeniu i teraz zawołał Misza:

— Mojsiej! Wracaj do nas! Nie mam pary do odeskiego sznura!

— Mojsiej! Mojsiej! — wołaliśmy wszyscy. — Odezwij się!

— Idioci! — zakończył Griszka — z nieba jeszcze nikt nie wrócił!

Trwaliśmy nadal milczący, powstrzymując oddech, nastawiając uszu,

w oczekiwaniu na jakiś znak od naszego Mojsieja. Ale nadaremnie. W chwilach gdy wiatr ustawał, ciszę przerywały odgłosy pobliskiej wsi. Teraz i te nawet ustały i już nie było słychać ani skrzypienia wozów, ani rżenia koni, ani śpiewów moldawskich. Poczułem trwogę. Głęboka cisza wydawała się zapowiadać rzeczy bezmierne, przerastające rozumienie. Błękitny trójkąt przesunął się na niebie. Jak błysk złotej szpady spadł na mnie promień słońca. W dali usłyszałem szum, który się zbliżał. Było to coś jak wielka rzeka, jak szum Morza Czarnego. To był głos Mojsieja? Nareszcie nam odpowiadał? Ale jak mogliśmy zrozumieć tę mowę bez słów? Nie... to był tylko wiatr. Przypuszczalnie Mojsiejowi nie wolno było rozmawiać z nami. Poczułem ciepły powiew na twarzy, zaczęły kołysać się wokół mnie gałązki i zawirowały opadające kwiaty. Zaczynała się burza.

Odważnie wytrzymałem jeszcze długą chwilę, uczepony cienkiego pnia, który chwiał się jak maszt okrętu miotany falami powietrza. Wreszcie, przerażeni, trzęsący się, z oczami w ślup, zaczęliśmy się spuszczać na dół. Zeskoczyliśmy na trawę wyczerpani, niezdolni do zrobienia kroku i w milczeniu dyszeliliśmy, odpoczywając. Zaczął padać deszcz. Mokrzy i trzęsący się z zimna, patrzyliśmy na pędzące chmury, za którymi kryło się niewidoczne niebo, to, gdzie był nasz Mojsiej, nieosiągalny...

Nie mogliśmy, nie chcieliśmy go zapomnieć... Ale życie biegnie tak szybko! Koło fortuny zaczęło się obracać i poniosło mnie daleko od tego kawałka nieba błękitnego, pachnącego kwiatem akacji, gdzie pozostał kochany Mojsiej... na zawsze.

### **Tytoń Popowa**

Gdy zbliżało się lato, ziemia i powietrze napełniały się szelestem, szumem, brzękiem milionów stworzeń pragnących żyć i mnożyć się. Glisty, turkucie, myszy i krety ryły ziemię, po której biegały inne zwierzęta, podczas gdy w powietrzu latały ciężkie żuki z jelenimi rogami na głowie. Prawdziwą plagą były muchy i mimo siatek w oknach trzeba było je z domu usuwać. W tym byłem specjalnie pomocny, a sekundowali mi czasem towarzysze z naszej bandy. Zaciągaliśmy firanki, aby zaciemnić pokój, pozostawiając tylko szparkę w drzwiach, by światło przyciągało muchy. Potem, poczynając od jednego rogu, zaczynaliśmy wypędzać muchy wymachując rącznikami i posuwając się zwartym frontem w stronę drzwi. W ogrodzie czekała na nas bardziej odpowiedzialna praca: walka z tarantulami. Mieszkały one w głębokich i prostopadłych szybach wygrzebanych w ziemi, których wylot był otoczony kołistym płacykiem, wygładzonym starannie. Nierozważne stworzenia, jakie nań się wpakowały, były zabijane i wysysane przez tarantule. Uklucie ich stanowiło też groźbę dla ludzi, powodowało puchnięcie, ostry ból i gorączkę. Jako szef łowów tarantulowych, chodziłem dumnie pokazując konewkę i kijek, oznaki mojej władzy. Gdy pilnie bacząc odkryłem gniazdo tarantuli, wlewałem do dziurki trochę wody. Pająk wylazł szybko na powierzchnię, aby się nie utopić, i wtedy dostawał kijem po łbie. Było to jednak odważne stworzenie; jeżeli go nie zabiłem od razu, ustawiał się na łapkach do boju, kierując niebezpieczne żądło w moją stronę. Oczywiście także łapaliśmy liczne motyle; niektóre z nich miały pięknie ozdobione skrzydła. Dziadzio Stefan nauczył mnie zasuszać je w odpowiedniej formie w prasie, tak jak wszystko

u nas, domowej roboty. Przerobiłem jakieś wielkie pudełko znalezione w spiżarni, wprawiłem mu szybę zamiast wieka i wypełniłem je motylami nabitymi na szpilkę. Nauczyciel wykalgrofał napis: „Motyle Besarabii centralnej”. Trochę żal mi było zabijać te piękne i niewinne owady i wolałem inną pracę „naukową”, która polegała na hodowaniu gąsienic. Najlepiej nadawały się do tego pudełka po tytoniu Popowa, zrobione z mocnego kartonu, oblepione amarantowym papierem i przepasane banderolą. Gwoździem robiłem parę dziurek w wieczku i wraz z odpowiednim liściem zamykałem w tym więzieniu najróżniejsze gąsienice, obserwując co dzień ich zachowanie, aż się przepoczwarzyły i wreszcie zamieniły w motyla.

— Chciałbym, żebyś w historii był taki mocny jak w gąsienicach i motylach! — mawiał ojciec z westchnieniem rezygnacji.

Gdy nadchodziła pora babiego lata, wybiegałem na pola, aby przyglądać się niezwykleму widowisku: wiatr niósł pajęczę sieci, pozlepiane, ciągnące się, które zaczepiały od czasu do czasu o badyle i ścierniska i znów podrywały się do lotu przy silniejszym podmuchu. Pajęczyny bieleły lub połyskiwały w słońcu, było w tym coś ze śnieżycy, coś z urojonego ataku nieznanych sił, które nas zasypywały poszarpanymi bandażami z gazy, przyczepiającymi się do włosów lub owijającymi dookoła szyi. Ale w rzeczywistości były to samoloty pajęczę, i przyjrawszy się uważnie, można było odkryć na każdym szmacie pajęczyny siedzącego pajaka stepowego. Ten zmyślny owad siedział blisko wciąż zmieniającego się centrum ciśnienia i przesuwając się odrobinę w jedną lub drugą stronę mógł wpływać na lot, tak jak spadochroniarz, który pociąga za sznurki. Zbierałem te stepowe pajęczyny, bo były uważane za czystsze od domowych, a potem zagniatą je z chlebem dla leczenia ran i zadarć na skórze — pamiętam, jak pod tym tradycyjnym, lecz krytykowanym przez mego ojca chrzestnego, lekarza państwowego w Tyrnowie, okładem wszystko mi się goiło i zablizniało bez kłopotu.

Któregoś wieczora siedzieliśmy przy świetle lampy naftowej w altanie. Widziałem, jak wlokąc ciężki odwłok latają dookoła nas jakieś żuki z wielkimi rogami; łapiąc je z łatwością rękami, załadowałem nimi całe dwa pudełka po tytoniu Popowa, gdzie kłębiły się z chrobotem. Idąc za pomysłem Miszki, zakradłem się do pokoju cioci Modzi i podniósłszy koldrę wpuściłem żuki do łóżka. Później pobiegłem do naszej sypialni, rozebrałem się i zacząłem udawać śpiącego. Na drugi dzień, nie mogąc opanować podniecenia i ciekawości, wcześniej wszedłem do jadalni na śniadanie. Ojciec już na mnie tam czekał. Podobno na wrzaski cioci Modzi zbiegła się cała rodzina; łóżko mrowiło się od czarnych żuków z rogami, których wygląd był przerażający. Niestety, pod koldrą zostało wieczko od pudełka, czego nie zauważyłem w pośpiechu, i wszystko się wydało. Łatwo domyślić się zakończenia: przez tydzień mogłem bawić się pudełkami tylko na stojąco. Próbowałem kilka razy usiąść, ale było to zupełnie wykluczone. Do dziś pamiętam te piękne, praktyczne, czerwone, z *kazionną* banderolą, pudełka po tytoniu Popowa.

## Francuski chór

Któregoś dnia bawiliśmy się na podwórzu wjazdowym. Miszka, Jakubek, jeszcze kilku innych i ja. Było gorąco i zdjawszy koszule, paradowaliśmy w samych spodenkach. Na frontowym ganku pokazała się Mlle Juliette:

— *Allons!* Ustawcie się! Zobaczymy, czy jesteście zdolni nauczyć się pewnej znanej piosenki francuskiej, którą śpiewają na trzy głosy dzieci francuskie... doskonale!

Zamilkliśmy, spoglądając na nią niechętnie. Bawiliśmy się w kiczki i nie mieliśmy ochoty śpiewać właśnie teraz. Ale Mlle Juliette rozkazywała:

— Zrobimy trzy grupy: Stanislas i Miszka w pierwszej, Kazio i Sasza w drugiej, a Jakub z tym czarnym w trzeciej! Każda grupa prowadzi inną melodię, którą wam zanuć. Nie słuchajcie, co śpiewają inne grupy, każdy niech idzie za własną melodią! Ale wszyscy mają utrzymywać ten sam takt. Wiecie, co to jest takt?

Ogłuszała nas krzykami i tłumaczeniami, w głowie już się nam kręciło. Nigdy się tego majufesu francuskiego nie nauczymy — pomyślałem.

— Marmuzel! — zawołał głośno Kazio, wiedząc, że Mlle Juliette wściekała się, gdy się ją tak nazywało. — Zostawże nas w spokoju, my śpiewać nie umiemy, my chcemy grać w kiczki!

Ale *mademoiselle*, rozpędzona, ustawiała grupy, już podśpiewywała melodię i znała takt, wymachując rękami jak dyrygent orkiestry. Co? To jest francuska piosenka? — pomyślałem zdziwiony. Myśmy ją znać! I zaczęliśmy mrugać porozumiewawczo, jeden do drugiego.

— „*Frère Jacques, frère Jacques...*” — śpiewała Mlle Juliette wymachując z zapalem rękami.

— Jazda! Śpiewajcie za mną wszyscy! — nawoływała, wymawiając z największą precyzją: — „*Dormez-vous? Dormez-vous?*”

Staliśmy niemi jak posągi z kamienia.

— Naprzód! Dzieci! Głuptasy! Cóż tak oniemieliście?

Cóż takiego nowego wymyślili ci Francuzi? — myśleliśmy tymczasem. Przecież to była piosenka rosyjska, znaliśmy ją doskonale i nieraz śpiewaliśmy ją z Wołodią. Na mrugnięcie Miszki zaczęliśmy wszyscy razem zgodnie:

— „*Fila Filałowicz! Fila Filałowicz! Czto ty spisiz! Czto ty spisiz!*...”

Mlle Juliette zatrzymała się, zaskoczona. Stała z otwartymi ustami i rozpostartymi ramionami, zupełnie zdębiała. Na widok jej wybałuszonych oczu nie mogliśmy się powstrzymać i parsknęliśmy śmiechem. Chór pokiełbał się i rozleciał zupełnie.

— To jest piosenka francuska! — krzyknęła obrażona, tupiąc nogą. — Czemuż ją śpiewacie po rosyjsku?

— *Mais non, mademoiselle!* \*\* — zabrzmiał głos Munia za naszymi plecami. — Ta piosenka jest rosyjska!

*Mademoiselle* z odmienionym natychmiast wyrazem twarzy odwróciła się w stronę Munia, cała uśmiechnięta:

— Och! Nie wiedziałam... pewnie tak jest, skoro pan tak mówi! Jednakże znajduje się ona w moim zbiorze francuskich piosenek, wydany w Paryżu... to też coś znaczy!

Śpiewaczy mecz między Francją i Rosją, wydawało się, zostanie nie rozstrzygnięty. Ale Munio, nieustępliwy, rozwiązał francuskie wątpliwości:

— To paryżanki nauczyły się tej piosenki od kozaków Aleksandra I, gdy przysiadły z nimi w cieniu drzewek Lasku Bulońskiego. — I dodał: — Wtedy kiedy nasi okupowali Paryż!

---

\* „*Frère Jacques...*” (fr.) — słowa popularnego kanonu francuskiego, śpiewanego także w Polsce do słów: „Panie Janie, rano wstań!”

\*\* *Mais...* (fr.) — Ależ nie, proszę pani!

## Narzutka Teofila Antonowicza

Czarna, dziarska sylwetka wuja Teofila na koniu była dobrze znana w całej okolicy. Podczas gdy inni jeźdźcy ubierali się na różne sposoby i w różne stroje i od zimy do lata ich wygląd zmieniał się całkowicie, Teofil Antonowicz miał zawsze ten sam, własny styl, któremu był wierny. Inni jeźdźcy pokazywali się w surdutach, nieraz nawet kolorowych, w kaftanach, w kurtkach skórzanych i nawet w szubach, zależnie od okoliczności. Wuj Teofil zawsze był ubrany na czarno i miał na sobie elegancką narzutkę o specjalnym kroju, która okrywała go od stóp do głów, nadając mu dzięki połom i pelerynkom fruwającym w rytm galopu lub unoszonym wiatrem, zupełnie swoistą i niezapomnianą sylwetkę. Narzutka składała się z kilku pelerynek ułożonych schodkami jedna nad drugą, z kapuzy na głowę na wypadek deszczu i z rozciętego od tyłu płaszcza, który osłaniał nogi jeźdźcy i boki konia. Wyglądało to trochę jak chochoł z czarnej słomy, posadzony ręką czarnoksiężnika na siodle. Nikt nie wiedział ani się domyślał, gdzie można było dostać takie niezwykle narzutki, wuj zaś nigdy się nie wygadał, gdzie je kupował. Mówiło się, że szył je zagraniczny specjalista na zamówienie i według oryginalnego modelu zaprojektowanego przez samego pana Teofila. Ale gdzie, w jakim kraju? Byli tacy, którzy byliby dali wiele, aby odkryć tę tajemnicę. Miejscowi krawcy nie odważali się tych narzutek naśladować, albo po prostu nie potrafili. Od wewnątrz narzutka była dość skomplikowana, gdyż stanowiła zestaw materiałów, podszewek i akcesoriów, takich jak skuwki metalowe w otworkach dla wentylacji, rynienki i rurki do odprowadzania wody deszczowej, kordonki, haftki itp., na które patrzyłem zawsze z podziwem.

— Dobra narzutka do konnej jazdy — mawiał Teofil Antonowicz — powinna chronić jeźdźcę przed deszczem, przed gorącem, umożliwiać wentylację, odprowadzać parowanie ciała, osuszać pot i w razie deszczu odprowadzać wodę z dala od konia, aby go jeszcze więcej niż deszcz nie moczyło. Moja narzutka uszyta jest z dwóch materiałów, oddzielonych siatką sznurkową z węzłami. Wewnątrz, pod pachami, są te oto dziurki — tłumaczył wuj pokazując nam odwróconą narzutkę — i powietrze może cyrkulować swobodnie! Deszcz nie może mnie zmoczyć, natomiast pot z łatwością paruje. Gdy deszcz pada, nie wystarczy myśleć o jeźdźcu, trzeba też myśleć o koniu. Mam wolne ruchy, mogę z łatwością trzymać cugle, mogę się schylić, nagiąć i nawet coś w sprzączkach poprawić, podczas gdy woda deszczowa ścieka do tych oto rynienek i tymi rurkami odpływa na zewnątrz. W ten sposób woda deszczowa wytryska z jednej i drugiej strony konia, nie moczając jego boków ani moich butów!

— To niezwykle! — przyznał ojciec. — Ale... wyobraźmy sobie, że zrywa się burza! Włożyć tę skomplikowaną narzutkę, ułożyć porządnie wszystkie warstwy płótna, nakierować w odpowiednią stronę rurki — to musi trwać długo! Deszcz cię zmoczy, zanim to zrobisz!

— Gdzie tam! — odpowiedział wuj śmiejąc się. Machnął narzutką jak skrzydłami w powietrzu i gdy opadła mu na plecy, okazało się, że jest równo i porządnie włożona. Teorie ubraniowe Teofila Antonowicza nie ograniczały się do narzutek, obejmowały całość ubrania. Na przykład — wuj nosił aż trzy podkoszulki, jeden z grubej sieci rybackiej, drugi z siatki, a trzeci z siateczki o całkiem drobnych oczkach. W ten sposób, gdy się spocił, koszula nigdy mu się nie przylepiała do ciała i nie było obawy, że się zaziębi.



Ta sztuka ubraniowa była sławna w całej okolicy i nieraz przyjeżdżali ludzie z daleka, aby spróbować odkryć miejsce zaopatrzenia, zachowywane przez wuja w tajemnicy. Raz pokazał się jakiś generał kawalerii, któremu wszyscy nisko się kłaniali. Wołodia wytłumaczył mi, że order, jaki generał nosił pośrodku, pod szyją, jest ważniejszy niż te po lewej stronie piersi. Naturalnie wuj musiał pokazać mu swoją narzutkę, ale zdumieliliśmy się, gdy mu ją podarował.

— Ha, ha! Nie martwcie się! — zawołał wuj. — On będzie szefem komisji remontowej w przyszłym roku. Ładnie bym wyglądał, gdyby się na mnie pogniewał! Dałem mu dawną narzutkę, sprzed trzech lat, i teraz jest szczęśliwy! Według tego, co on się na tym zna — to i tak dobra dla niego! A już mam zamówiony nowy model ostatniego pomysłu, z wewnętrzną kieszonką na nożyczki do wystrzygania znaków na sierści, z podwójnie zagiętym kołnierzem i z wentylacją kieszeni, żeby wysychała chusteczka do nosa — bez potrzeby wyciągania jej i wietrzenia!

## Remont

Zbliżał się okres świąt wiosennych. Oswobodzone od śniegu pola przybierały różnokolorowe szaty. W tyrnowskim parku już kwitły kwiaty. Trudziło się pracownicy ogrodnicy, wysypywali piaskiem aleje, podcinali drzewka, wynosili kwitnące doniczki z oranżerii i przesadzali rośliny do gruntu, w nadziei że drzewa je uchronią przed wiosennymi przymrozkami. W pałacu też wrzała praca, służba odczepiała firanki i żaluzetki, aby je dać do prania, myto okna, froterowano parkiety. U nas w Skajanach i w innych, nieraz dość odległych, lecz spokrewnionych lub zaprzyjaźnionych z Teofilem Antonowiczem domach odbijała się echem ta gorączkowa aktywność: kobiece ręce szyły, prasowały ubrania i stroje, a dziewczęta siedziały godzinami przed lustrem, usiłując wymyślić jakąś oryginalną fryzurę. Na błoniach, za tyrnowskim parkiem, rozbrzmiewały wesole stuki i ciosy siekier zręcznych huculskich cieśli. Wbudowany w labirynt barier, które tworzyły korytarze i przejścia, wznosił się lekki szkielec zrobiony z prostych, cienkich jedlic świerkowych. Gdy go przykryto zielonym brezentem, ukazywała się przed mymi wciąż ciekawymi oczami duża i wygodna pałatka. Na podłodze z desek stały ławy i ogrodowe krzesła ustawione rzędami, czekające na przyjazd komisji.

Remont! To magiczne słowo wyzwalało niezwykłą energię w tych wszystkich ludziach. Remont, oprócz tego że spełniał podstawowe zadanie potrzebnej operacji handlowej, był też jednym z największych dorocznych świąt w Tyrnowie i trwał bez mała tydzień. My przyjeżdżaliśmy zazwyczaj o dzień wcześniej i mieszkaliśmy w pałacu cały czas, nie wracając do skajańskiego domu nawet na noc. Zresztą... wtedy noc była nocą tylko dla mnie, starsi zmieniali ją w dzień i przy rozjarzonych kandelabrach, żyrandolach, świecznikach i pajakach grali lub tańczyli aż do rana. Wielki salon olśniewał urodą kobiet, błyskami i brzękiem ostróg i orderów, męskością i zawadiacką elegancją oficerów, którzy wprost z tańców szli do roboty na błoniach, gdzie przez cały dzień, spędzane przez watahów, rżały i galopowały tabuny koni z tyrnowskiej stadniny. Wszyscy byli owładnięci niecierpliwością i pośpieszali w pracy.

— Prędko! Ganiaj! Patrzaj, żeby to było gotowe za godzinę! — zewsząd brzmiały i krzyżowały się w powietrzu rozkazy. Pośpieszali cieśle, parobcy, stajenni, Kozacy i Tatarzy. Nawet watahy i falczowi przykładali ręce do pracy i przybijali łaty i deszczułki, pilnie przy tym zerkając na bok, aby dozorować jednocześnie podwładnych. Wujcio Teofil i tatuś byli wszędzie, pilnując, kontrolując i wydając rozkazy.

— Już idą! Już idą! — rozległy się zewsząd krzyki. Powiodłem wokół spojrzeniem w poszukiwaniu jakiegoś drzewa. Na skraju błonia rosła żółta akacja, więc wdrapałem się na nią bezzwłocznie.

— Nu, skąd idą? — spytał mnie ojciec, którego wysokie czoło bieleło w dole, pode mną.

— Stamtąd! — o mało nie spadłem, puściwszy drzewo, aby pokazać ręką kierunek.

Z mojej akacji widok był wspaniały. Całe tabuny koni zbliżały się ze wszech stron, kierując się na błonie. Dziesiątki, setki koni! Już słyszeć było w dali nawoływania Kozaków i Tatarów krymskich, trzaskania batów, głucho uderzenia nahajkami, tętent kopyt i zdenerwowane rżenia. Zlazłem z drzewa i pobiegłem do balustrad, gdy tylko pierwsze konie zbliżyły się do nas. Wchodziły w ogrodzenia, z obawą strzygąc uszami, ale popychały je z tyłu te, które nadbiegały galopem z rozwianymi grzywami.

— Ho-hou! Ho-hoooo! — uspokajali je Kozacy, aby nie pocięrały sobie boków o bariery, gdy biegały w kółko, szukając wyjścia z ogrodu.

Stadnina Teofila Antonowicza dostarczała koni różnego rodzaju: angielskich półkrwi, klusaków, zwanych rysakami, do wyścigów, arabsów pod siodło i zwyczajnych pociągowych do roboty i dla artylerii. Rysaki były selekcyjonowane starannie i wuj Teofil wypróbowywał często ich szybkość w określonym biegu na błoniach, z chronometrem w ręce, sam albo w obecności nabywców. Jeśli chodziło o ten rodzaj koni, Teofil Antonowicz miał tytuł dostawcy carskiego dworu w Petersburgu. Raz do roku robiło się wielki remont dla wojska, przyjeżdżały wojskowe komisje na zakupy i Tyrnowo roiło się od przeróżnych mundurów, zielonkawych, białych, szarych etc. Większość wojskowych siedziała w pałacie, przed którą defilowały konie. Każdy z nich miał na zadzie znak tyrnowskiej stadniny i swój numer indywidualny, zaznaczony pędzlem. Konie przyjęte były zapisywane przez sierżantów w rejestrach na rozkaz oficerów, którzy często rozkazywali zaprezentować niektóre konie raz, drugi i trzeci, sprzecząc się na temat dostrzeżonych defektów i ich ważności. Czasem konia kazano osiodłać i zaprezentować powtórnie z jeźdźcem na grzbiecie. Wuj Teofil także siedział w pałacie, pod zielonym brezentem, obok generała otoczonego oficerami. Po rannej defiladzie rozchodzili się wszyscy na obiad, ale po kawie i konfiturach znowu rozpoczynała się praca. I tak defilowały setki koni, kobył, ogierów i roczniaków przez cały tydzień. Wieczorem, zamiast koncertu po kolacji, były tańce, aby zabawić oficerów czcigodnej komisji. Zajeżdżały przed tyrnowski pałac powozy i bryczki z sąsiednich majątków i wysiadali poważni panowie z żonami i córkami, które dygały uprzejmie przed generałem, gdy tymczasem wuj wymawiał imiona i nazwiska gości. Po kolacji ukazywali się lokaje, Andrzej i Antoni, trzymając nad głowami zapalone kandelabry z rżniętego i złoconego brązu, które rzucały migoczące cienie na ściany, podczas gdy idąc za nimi zbliżaliśmy się do wielkiego salonu. Zapalano, jeden po drugim, kinkiety i żyrandole, jakaś miłościwa dusza zasiadała do fortepianu i zaczynał się walc. Ci-

chły rozmowy tych, którzy już się usadowili w fotelach, panowie pochylali się przed paniami, tworzyły się pary i w jednej chwili parkiet salonu był jak łąka pokryta wdzięcznymi, kolorowymi motylami, wirującymi dookoła kwiatów, rozkładających jedwabiste skrzydła. Długie spódnice, które wtedy nosiły kobiety, fruwały w powietrzu, muskając po kolanach siedzące wzdłuż ścian osoby. Nieraz muzykę przygłuszały okrzyki lub śmiechy tańczących, słychać było nieustanne szuranie bucików po podłodze i pobrzękiwanie ostróg. Poławski dywan, wielkich rozmiarów, leżał zwinięty w rulon pod ścianą... jak rura — pomyślałem, nie mogąc od niego oderwać oczu. Jak armata! — raptem olśniło mnie i w mig pojąłem, jak ją wykorzystać do zabawy. Pobiegłem po kule do sąsiedniego bilardu, posadziłem Witka u drugiego wylotu i zaczęliśmy „strzelać” jeden do drugiego z tej armaty. Raptem Witek przewrócił się i moja kula wyleciała z lufy, odbiła się od ściany i wpadła między tańczących. Patrzyłem skonsternowany, jak toczy się zygzakiem, kopana dziesiątkami nóg, i tylko czekałem, skąd spadnie na nas awantura. Na wszelki wypadek schowałem się za fotel.

— Czy zechce pan zatańczyć ze mną? — usłyszałem nagle melodyjny głos. Odwróciłem się i ujrzałem mamusię, która pochylała się w pięknym dygu przede mną, jakbym był jakimś księciem z bajki, i wnet pociągnęła mnie w taneczny wir. Nigdy jeszcze nie tańczyłem, nogi mi się płatały albo rozjeżdżały na śliskim parkiecie, nadeptywałem na jakieś buty i ślaniając się, bo mi się już w głowie kręciło, rozdawałem szczerze kopniaki na wszystkie strony. Raptem zdrewniałem: zobaczyłem tuż koło nas ojca, który tańczył z jakąś panią. Mamusia zawołała do niego:

— Podejrzewam, że to nie jest twój syn! Za każdym razem nabija mi nowego sińca!

Wszyscy się roześmiali. Wreszcie mamusia zmęczyła się tą zabawą i kazała mi iść spać, lecz najpierw skłonić się przed wujciem Teofilem i generałem.

Na drugi dzień wstałem świeży i wyspany i od razu pobiegłem do zielonej pałatki, bo tak jak później samochody, a wreszcie samoloty, wtedy konie przykuwały moją uwagę i patrzyłem na nie z zachwytem. Na błoniu już wrzała praca. Wybrane dla artylerii konie były znaczone żelazem, które grzali żołnierze w ognisku, aby żaden handlarz nie odważył się w przyszłości takich koni kupować, bo były od tej chwili *kazionne*. W innym końcu błonia żołnierze grupowali w czwórki zakupione konie, wiązali im uzdy i odprowadzali je na stację, gdzie czekały już wagony z napisem: „osiem koni — czterdzieścioro ludzi”. Po skończonym remoncie koni pociągowych i kawalerijskich generał zwrócił się do wuja z uprzejmym uśmiechem:

— Teofil Antonowicz! Widział pan, jaki wielki zakup w tym roku zrobiliśmy! Chyba pan zadowolony? A nu, niech pan teraz każe wyprowadzić te lepsze konie, które pan ma schowane! To dla moich oficerów!

Wuj krzywił się, niby zakłopotany, i zapewniał, że mało co mu zostało, ale wobec nalegania komisji rzucał rozkaz bliskiemu wataże. Wyprowadzano po chwili angliki półkrwi, na których koncentrowała się uwaga wojskowych. Pod koniec dnia znów odchodziły w stronę stacji czwórki koni prowadzone przez kawalerzystów — i wuj oddychał z ulgą.

Na drugi dzień generał uśmiechał się jeszcze uprzejmiej i serdecznym gestem brał wujcia Teofila pod ramię:

— Teofil Antonowicz! Teraz już mam konie dla żołnierzy i dla oficerów i muszę panu powiedzieć, że w tym roku bardzo mi się podobały. Ale...

niech pan będzie dla mnie łaskaw i każe wyciągnąć któregoś z tych arabów, co je pan ma pochowane po stajniach! To dla moich sztabowców!

— Mało co mi zostało! — wołał wuj, rozkładając ręce na znak szczerości — wasza ekscelencja już widział wszystko! Co ja zrobię... Gdzie ja tych koni mam szukać? — dodawał niby zafrasowany.

Pośredniczył wtedy ojciec, niby zmartwiony, że tacy dwaj przyjaciele od lat, jak wuj i generał, mogli się poróżnić o parę głupich koni.

— Teofil! — mówił ojciec tonem perswazji — dla takiego jak generał przyjaciela warto poświęcić co jest najlepszego! Nie dałeś mu jednak twojej własnej narzutki? Daj mu teraz twojego własnego konia, daj mu Azowa!

— Nie, nigdy nie przyjmę takiego poświęcenia! — protestował generał.

Inni zaczęli dawać różne rady, mówili coraz głośniej, powstawał harmider, ale ja się nie bałem, wiedziałem, że nie będą się bili, bo już to widziałem ubiegłego roku. Rzeczywiście, po chwili zaczęli się ścisnąć i poklepywać, więc popędziłem do *pałatki*, aby zająć dobre miejsce, bo za chwilę mieliśmy zobaczyć, co Tyrnowo miało najlepszego. Za mną nadeszli wszyscy i ledwie usiedli, ukazali się parobcy w białych, niebieskich i czerwonych lej-bikach, prowadząc za uzdę cały korowód arabów, które tańczyły, wyginały szyje, drobiły małymi kopytkami, rzucały ogniste spojrzenia i prychały nie mogąc okiełznać roznoszącej je żywotności. Generał wyciągał szyję, oficerowie powstawali z krzeseł, wykrzykując z zachwytu i gestykulując. Stojący za fotelem wuja główny wataha-koniuszy głośno wykrzykiwał imię każdego ogiera, a gdy te przedelfowały, każdej klaczy, podczas gdy prędko odprowadzano ogiery, bo na widok klaczy byłyby pourywały postronki i rozniosły całą *pałatkę*. Imiona były dziwne. Sły seriami, zaczynając się na tę samą literę, bo wszystkie araby były zarejestrowane i miały *pedigree*. Generał wybierał kilka i każdego z nich odprowadzało na stację dwóch żołnierzy, pilnie bacząc, aby się im nie wyrwał.

Tego dnia praca skończyła się wcześniej. Wszyscy wstali i *pałatka* pułstoszała. Był to koniec remontu. Wszyscy chcieli jeszcze zwiedzić park, czego niełatwo było dokonać na piechotę. Wozownia i dworska stajnia dostarczały tarantasów, bryczek i koczów. Oficerowie zapraszali panie i sadzali je po swojej lewej stronie na kozłach. Po chwili znikli wszyscy w oddali. Tyrnowski park był rozległy i najlepiej było zwiedzać go konno lub powozem, jadąc najprawdziwszymi drogami, które rozchodziły się we wszystkie strony. Gdy w kilka lat później została przeprowadzona przez Rumunów reforma rolna i każdy właściciel mógł zachować działkę stuhektarową, Wania, spadkobierca wujcia Teofila, został z samym parkiem, i to nawet okrojonym.

Ożywiły się polany, między zaroślami błyskały mundury i białe suknie kobiet. Pod wieczór wszyscy podążyli nad jezioro, aby podziwiać szczególnie piękny w tym miejscu zachód słońca. Nazajutrz rano przed stajniami panował wielki ruch. Parobcy i stangreci zaprzęgali konie do powozów gości, którzy odjeżdżali. Część wojskowych wyruszyła już na stację, inni żegnali się, zapisywali adresy, przyrzekali wrócić — lub szepotali po kątach z dziewczętami. Wuj, uściskawszy się z generałem, dopomógł mu wdziać podarowaną narzutkę. Był to oficjalny koniec tegorocznego remontu.

Tyrnowo wydawało się opustoszałe. Jeszcze na szczycie *pałatki* powiewały trójkolorowe chorągiewki rosyjskie, ostatnie konie odprowadzano na miejsce. Na błoni już pracowali Huculi. Wyciągali kleszczami skrzypiące gwoździe, odbijali deski, tłukli młotkami. Znikały bariery i rosły stosy jedlic na

ziemi. Gdzie indziej układano deski, składano prezenty w kostkę. Około południa pokazał się wuj Teofil. Popatrzył na robotę i rozkazał:

— Schowajcie mi to wszystko porządnie, pod dachem. Każda rzecz się przyda. Do przyszłorocznego remontu już niedaleko!

## Szachy telefoniczne

Miało stać się coś niezwykłego! Byłem podniecony wiadomością: ojciec zdecydował się zainstalować w naszym skajańskim domu telefon!

Zamęczałem mego kuzyna Wanę pytaniami. Ze sznurka i dwóch pudełek po tytoniu Popowa zrobiłem sobie prymitywny telefon, przez który słychać było doskonale na odległość. Ustawiony na drugim końcu telefonu Miszka tak ryczał, że wszystko słyszałem i byłem przekonany, że to sznurek przekazuje głos. Wreszcie Wania dał mi kompletny kurs telefoniki, którego część była całkiem dla mnie zrozumiała, bo znałem już dzwonki elektryczne oraz ogniwa suche i mokre Leclanchégo.

Gdy przyjechali elektrotechnicy instalować telefon, przyczepiłem się do nich jak pijawka do końskich nóg. Pilnie obserwowałem każdy ich ruch, aparaty, które przywieźli, i podawałem im obcegi i śrubokręty, zanim jeszcze ich potrzebowali. Dopiero interwencja ojca zmusiła mnie do porzucenia tej pasjonującej pracy i pójsia na obiad.

Nasz telefon nie był byle jakim przedsięwzięciem. Około dwieście słupów podtrzymywało linię, która łączyła Skajany z Tyrnowem. Biegł jak strzała błyszczący drut miedziany między szumiącymi zbożami i błękitem nieba. Słupy były pokrzywione i sękaty, jakby się ugięły pod ciężarem niewidocznych rozmów. Aparat telefoniczny został zainstalowany w przedpokoju na ścianie, ponad stolikiem. Był z drzewa dębowego, miał pulpit, na którym można było robić zapiski, szafeczkę z bateriami i czarny lejek, do którego się mówiło. Z prawej strony wystawała niklowana korbka, którą musiało się pokręcić, aby wywołać aptekę w Tyrnowie. W rogu między domem a gankiem wbito, odgarniając pędy winorośli, miedziany pręt stanowiący uziemienie. Rychło nauczyłem się telefonować i nieraz dzwoniłem do Witka, syna aptekarza, aby umawiać się z nim na różne spotkania i zabawy. Raz, gdy Witek był w Skajanach, zachciało się nam wieczorem grać w halnę. W jadalni na stole posuwaliśmy sztony z jednego pola na drugie, gdy wpadła ciocia Modzia, krzycząc:

— Won stąd! Zabierajcie to świństwo ze stołu!

Uciekliśmy przerażeni, sztony rozsypały się po ziemi, ale musieliśmy je wybierać, gdyż to one tak ciocię oburzyły; były to czarne, błyszczące oliwki, które zbieraliśmy po przejściu stada kóz, bez żadnego obrzydzenia.

— Zostaw halnę! — mówił mi ojciec. — Graj w szachy! To rozwija inteligencję!

Tak ja, jak i moi towarzysze musieliśmy więc grywać w szachy. Była to jakby część normalnej nauki. Ojciec, mocny gracz, bił z łatwością nas wszystkich. Lubił grać z doktorem Władimirem Iwanowiczem, lekarzem państwowym w Tyrnowie i moim ojcem chrzestnym, który mu nieraz stawiał czoło z powodzeniem. Gdy jesienne pluchy rozmoczyły drogi i nie można było się z domu ruszyć, zasiadali z szachownicą, jeden w Skajanach, a drugi

w Tyrnowie, przy telefonie. Partie te przedłużały się nieraz do późnej nocy i szliśmy wszyscy spać, podczas gdy ojciec nie ruszał się od telefonu. Korzystałem z tego, aby dokładnie wypróżnić słoik z konfiturami, który stawiano wszystkim wieczorem na nocnym stoliku, i oblizując się jeszcze po ulubionym dereniu, układałem się do snu pod ciepłą kołdrą.

— Wieża lewa na A-7! — słyszałem jeszcze z głębi przedpokoju głos ojca. Dobrze przykryty, zmęczony całodziennym hasaniem, zapadałem powoli, z rozkoszą i ufnym spokojem w sen głęboki, pod grubą i ciepłą strzechą rodzinnego domu w Skajanach, która okrywała mnie przyjazną pieśczęcią, jak opiekuńcze skrzydła płowej kwoki, pod zimnym i wygwieżdżonym niebem sklepiającym się nad nieskończonością stepu.

### Igła z platyny i igła ze stali

Pośród niezliczonych prac rękodzielniczych, które wykonywaliśmy w naszym domowym warsztacie, była jedna, dla mnie zadziwiająca: bez pędzli i dłutek można było zdobić ściany pudełek czy drewnianych wazonów rysunkami wypalanimi rodzajem ognistego ołówka. Cały aparat do wypalania składał się z buteleczki pełnej benzyny, rurek gumowych, gruszki do pompowania powietrza i igły z platynowym szpicem, oprawnej w korkową rączkę. Dziadzio Julian albo ojciec kreślili linie koloru palonej kawy na jasnych deszczułkach igłą trzymaną w rękach przyzwyczajonych do pracy. Ja też chciałem wypalać. Powierzono mi więc gruszkę do pompowania powietrza. Najlepiej jako materiał nadawały się deszczułki gruszkowe i jabłoniowe, pochodzące z drzew zmarzniętych przed kilku laty, kiedy spadła na nas ście syberyjska zima. Robiliśmy z nich piękne pudełka, półki, etażerki, na ich jasnych ścianach dobrze wyglądały wypalone rysunki. Ledwie zaczynałem dmuchać gumową gruszką w sznurkowej siateczce, gdy już rozpalala się do czerwoności platynowa igła.

— Powoli, powoli! — mówił ojciec. — Dmuchasz za mocno.

— *Tisze jediesz, dalsze budiesz!*\* — dodawał sentencjonalnie Munio, który się przyglądał i z igły oka nie spuszczał.

Trzeba było pompować powoli. Po chwili zaczynałem myśleć o czym innym. Ta locha Jaruga była niezwykła, już po raz drugi rodziła po osiemnaście prosiaczków... wszystkie były jednakowe, zgrabne, różowe... żeby tak mi dali jednego, tylko po to, by się nim pobawić...

— Prędzej! Ty zasypiasz! — wołał ojciec.

Tak przechodziły nasze długie jesienne i zimowe wieczory. Dziadzio Julian wypalał wzory roślinne, a ojciec motywy wschodnie lub zakopiańskie, bardziej zgeometryzowane. Trzeba było mieć pewną rękę, osoby wahające się lub bojaźliwe psuły tylko drzewo drżącymi liniami, których nie można było wytrzeć jak ślady ołówka na papierze, a ponowne heblowanie nie zawsze się udawało. Wszyscy podziwiali pełne elegancji rysunki ojca i jego zmysł dekoracyjny. Zrobione w ten sposób przedmioty służyły potem jako podarki, których nigdy nie było dość w tym kraju, gdzie brakowało wyrobów przemysłowych. W mniej widocznym rogu ojciec wypalał nasz znak fabryczny: trzy maki. Widząc go, mówili ludzie z uznaniem: „To trojka Makowejów”.

---

\* *Tisze...* (ros.) — Wolniej jadąc, dalej zajedziesz!

Trojka to byliśmy my: dziadzio Julian, ojciec i ja! Bardzo byłem z tego dumny i z zapalem dąłem w moją gumową gruszkę.

— Ho-hou! Stępa! — wołał ojciec. — Jeszcze dom podpalisz, jak tak będziesz galopował!

Dziadzio Julian leżał zawsze w łóżku w swoim pokoju, obok naszego warsztatu zainstalowanego w „ciemnym pokoju”. Miał sparaliżowane nogi i babcia Władysława opiekowała się nim z samozaparciem i miłością, której wtedy nie byłem zdolny ocenić. Od pasa w górę dziadzio poruszał się swobodnie. Był wesoły i dowcipny. Nie lubił czytać i podczas owej przymusowej nieruchomości jego wrodzona aktywność znalazła ujście w tej formie artystycznego rękodzielnictwa. Miał specjalnie przystosowane do pracy w pozycji leżącej stoliku na łóżko i obok łóżka, jego specjalnością zaś były przedmioty robione z kartonu i wyklejane kolorowymi papierami. Dziadzio lubił rozmowę i wizyty. Po każdym polowaniu chciał słyszeć różne wersje tych samych wydarzeń od kilku osób. Dziadzio w młodości był zamiłowanym myśliwym. „Co on wilków ma na sumieniu!” — mawiał ojciec. Raz, gdy polował w Karpatach, brunatny niedźwiedź przetrącił mu stos pacierzowy. Życie mu uratowano, ale jeden uszkodzony kręg spowodował paraliż. Wieczorem, gdy siedzieliśmy już przy warsztacie, drzwi do pokoju dziadzia były otwarte i wciąż tam wchodziłem, żeby dziadzia informować o tym, co robimy, albo pokazywać mu rozpoczęte lub wykończone już przedmioty, bo żywo się interesował naszą produkcją. Natomiast ojcu nie chciało się ruszać i odpowiadał dziadziowi donośnym głosem, nie odrywając się od pracy.

Od czasu do czasu smutna scena przerywała naszą spokojną pracę: twarz dziadzia ściągała się bolesnym grymasem, zacinął zęby i przez chwilę wytrzymywał w milczeniu, ale raptem wyrывał mu się jęk: „Aj! Aj!”, który już znaliśmy. Przybiegała babcia Władysława, otwierała białą apteczkę i drżącymi rękami wyciągała z niej strzykawkę i parę buteleczek z tyrnowskiej apteki. Ze zręcznością wskazującą na lata praktyki robiła zastrzyk z morfiny. Dziadzio jęczał jeszcze przez chwilę, potem uspokajał się powoli, wzdychał głośno, jakby z ulgą, i usypiał.

— Jak tam, już po zastrzyku? — pytał mnie ojciec z niepokojem.

Babcia wychodziła na palcach i zamykała drzwi pokoju dziadzia, a my powracaliśmy do pracy. Smutne uczucia ścisnęły mi serce, aż wreszcie i my szliśmy do łóżka, gdzie sen rozpędzał moje fraszobliwe myśli.

Następnego dnia dziadzio Julian powracał, jakby nic nie zaszło, do normalnych zajęć. Oparty na wysokich poduszkach, majstrował na poprzecznie ustawionym na łóżku stoliku. Na innym stole, obok łóżka, płonął spirytusowy palnik z klejem do lepienia kartonu. Na brezencie, który przykrywał koldrę, widniały porozrzucane narzędzia, noże, linia stalowa, cyrkiel, nożyczki, ołówki. Kto po raz pierwszy widział ten skromny warsztat zainstalowany na łóżku sparaliżowanej osoby, nie mógł uwierzyć, że pozwalał on na wykonywanie tych pięknych przedmiotów, którymi dziadzio wielu obdarzał: pudła na przybory do szycia, szkatułki na biżuterię, kosze na papiery, urny na bukiety z suchych kwiatów, kolumny pod rzeźby i posadzki itp. Pomagałem dziadziowi w przynoszeniu potrzebnych mu materiałów, rozkładałem kartony na podłodze, aby je pokrajać. On nauczył mnie kreślenia regularnych wieloboków i dokładnego dopasowywania krawędzi. Ale radość pracy, spokój wieczoru lada chwila mogły być zakłócone bolesnym jękiem i zastrzykiem morfiny, który robił na mnie ponure wrażenie. W naszym zazwyczaj optymistycznym nastroju pojawiał się, jak *memento mori*, element cierpienia i bólu. Smutek



opanowywał mi serce, pochylałem głowę nad stołem, nie widząc tego, co robię. Ojciec przestawał mi dawać nauki i milczał grobowo.

— Życie jest smutne! — mawiał Munio.

Życie? Po co żyć, myślałem, jeżeli dziadzio tak cierpi...

Raptem otwierały się drzwi do jadalni i wchodziła ciocia Modzia, wołając wesoło:

— Kończcie już tę robotę! Mamałyga jest gotowa i czekać nie może!

Mamałyga była dla mnie nadzieją, zdrowiem, przyszłością, ogniskiem domowym. Paraliż dziadzia, smutne myśli, bezradność — wszystko odsuwało się w dal po tym wezwaniu do życia, które miało trwać. Spadał mi kamień z serca, witałem z entuzjazmem wejście cioci Modzi i do dziś brzmią w mych uszach te proste i zarazem symboliczne słowa:

— Chodźcie! Mamałyga już gotowa i czekać nie może!

### **Tyrnowski ogrodnik**

W tyrnowskim parku założono wiele klombów i kwietników, w których trzeba było często zmieniać lub przesadzać rośliny, gdy już przekwitły. Pracowało przy tym kilku ludzi pod kierownictwem zawodowego ogrodnika z Bułgarii. Nic w tym dziwnego; w naszej okolicy większość ogrodników, zajmujących się warzywami i kwiatowymi ogrodami, to byli Bułgarzy. Ale tyrnowski ogrodnik był inny, specjalny. Kulał na lewą nogę, mówił z namaszczeniem i miał się za poważnego naukowca, który z góry patrzy na nieuków. Na moje pytania odpowiadał tonem wyższości:

— Nie wiem, czy mnie potrafisz zrozumieć, ty łaciny się nie uczyłeś.

Pewnego dnia, gdy spacerowaliśmy z wujciem Teofilem wśród klombów, zobaczyliśmy ogrodnika klęczącego koło grządki, na którą wysadzał różnokolorowe bratki. Wujcio Teofil zbliżył się i spytał:

— Słuchajcie, ogrodniku, jak się nazywają te kwiatki?

Ogrodnik podniósł się, stęknął i zaczął wyprostowywać się powoli, rozcierając sobie krzyże. Zmarszczył brwi, wydał usta, widocznie zastanawiał się nad postawionym pytaniem.

— Hm! — odchrząknął. — Jak się nazywa po waszemu, to ja nie wiem. Po naszemu nazywa się *viola tricolor*.

— Co znaczy „po naszemu”? — zapytał wuj zdumiony.

— Znaczy, że nie w języku wulgarnym, tylko w naukowym, po łacinie!

— To rosyjski język jest „wulgarny”? — spytał jeszcze wujcio Teofil, coraz bardziej zdziwiony, i dodał: — Od jutra, zamiast „ordynarnymi” rublami, każę wam pensję wypłacać rzymskimi sestercjami, których nie brak w kurhanach stepowych!

### **Największe skajańskie święto**

Zbliżał się dzień niezwykły: imieniny mamusi. Wszyscy z niecierpliwością czekali na tę ważną datę, piętnastego sierpnia. Z dorocznych świąt, których nie brakowało, to sierpniowe było najwspanialsze, a jednocześnie najbardziej serdeczne i rodzinne. Łączyła wtedy obcych i krewnych pełna sza-

cunku miłość do tej w biel odzianej pięknej osoby, promieniejącej urodą i dobrocią pośród zgromadzonych.

Dziadzio Julian, otaczając się zakazami i tajemnicami, przygotowywał monumentalny kosz na papiery, w formie greckiej urny, jako prezent dla mamusi. Klęcząc na kartonach rozłożonych na podłodze, rysowałem pod jego kierunkiem skomplikowane rozwinięcia i przekroje. Wiele lat później, gdy zajmowałem pierwsze miejsce w klasie geometrii wykreslonej, często poświęcałem wdzięczną myśl dziadziowi, który mnie nauczył fundamentalnych zasad tej sztuki.

Przechodziły dni, postępowały przygotowania do wielkiego święta i zbliżał się powoli wielki dzień. Ciocia Modzia, wspomagana przez cały zastęp dziewcząt, przygotowywała nakrycia, kompletowała talerze, szyła obrusy i serwetki. Munio kierował odnawianiem domu i porządkami. Kazał myć, skrobać i polerować podłogi, ściany zaś malować od nowa. Nie można było w domu wytrzymać, żyliśmy na dworze, a jedliśmy w altanie. Najważniejszą pracą stanowiła przeróbka salonu, zbyt małego dla tylu roztańczonych gości, wobec czego trzeba go było powiększyć.

Nasz dom, choć najskromniejszy w całej okolicy i wyglądający jak wielka wiejska chata, cieszył się zawsze zadziwiającą popularnością. Pojawiali się niespodziewanie różni goście z wizytami, wciąż ktoś telefonował i o coś się dopytywał, a w święta zjeżdżały się całe hurmy ludzi, którzy spacerowali po ogrodzie, grali na fortepianie, jedli, pili i zaśmiewali się z ostatnich kawałów, które tatuś opowiadał z niezrównaną werwą. Sąsiednie pałace napępiały się nieraz z trudem, zawsze kogoś brakowało lub przylatywał konny posłaniec z listem, aby usprawiedliwić czyjaś nieobecność. W naszym skromnym domu było całkiem inaczej. Nigdy nikogo nie brakowało i zaproszeni bez pytania przywozili jeszcze swoich krewnych i znajomych, tak że nasz dom robił się podobny do puszek ze stłoczonymi jak sardynki ludźmi. Pogodny charakter mamy, werwa i dowcip ojca więcej przyciągały ludzi niż luksus i bogactwo. Lubilem tę gościnną atmosferę i przepychałem się między ludźmi, a czasem nawet pełzałem na czworakach między nogami, aby być jak najbliżej i słuchać rozmowy starszych.

Data, którą obrała mamusia na swoje imieniny, była w zasadzie bardzo niewygodna. Lato w pełni, upał, susza, ludzie zmęczeni niewyspani, bo żniwa i młocka osiągały szczyt nasilenia. Wszystkie głowy były owładnięte jedną tylko myślą: o zbożu. Mimo to nie uświadczyłbyś sąsiadów, przyjaciół lub krewnych, którzy by nie porzucili na kilka dni swoich pilnych zajęć, aby móc powinszować, ofiarować jakiś prezencik lub po prostu zatańczyć mazura na cześć powszechnie lubianej i cenionej Marii Władimirowny.

Monumentalny kosz na papiery nabrał kształtu. Była to trudna i artystyczna praca. Zaczęliśmy go teraz oblepiać papierami odpowiednich kolorów. Dziadzio kazał mi wygładzać kanty pałeczką z kości słoniowej, aby były równiejsze. Kosz miał kształt urny stojącej na dwunastobocznej podstawie o cienkiej nóżce. Dwanaście boków, tworząc załamania, gzymsy i ścianki, łączyło się na krawędziach czystych i prostolinijnych, dając wrażenie rzeźby w kamieniu. Jak można było uzyskać tę skomplikowaną formę z tak mało wdzięcznego materiału jak karton? To był sekret dziadzia Juliana. Gdy przyjechał Wania, ustawił kosz na podłodze, w drzwiach do ciemnego pokoju, a w tyle postawił niewidoczną lampę. Kosz miał arszyn wysokości i ukośne światło uwydatniało jego plastyczny kształt, uwyrażniając załamania i ostre cienie. Wydawało się, że to marmur.

— Wygląda jak klasyczny kapitel z Partenonu! — zawołała Mlle Juliette, klaszcząc w dłonie.

Wiedzeni tym samym uczuciem, wszyscy zwrócili się do twórcy arcydzieła, aby mu pogratulować. Ucałowałem jego biedne, pomarszczone ręce, zmęczone nieustanną pracą. Pachniały karukiem. Dziadzio leżał w milczeniu i uśmiechał się zadowolony.

Tymczasem w domu działy się dziwne rzeczy; wydawało się, że murarz Sima i jego pomocnicy wzięli go całkowicie w swoje posiadanie. Narysowali wielki prostokąt węglem na ścianie i zaczęli wyrывать okno w salonie; co najdziwniejsze, ojciec to widział i za takie psoty wcale ich z domu nie wyrzucił. Na podwórzu zwożono smukłe jedlice, które tworzyły pokaźną już kupę na ziemi. W drewnutni już czekały przygotowane worki z gipsem, w stolarni młotki, dłuta i piły intonowały wesołą pieśń pracy, domowi spece od lamp napełniali zbiorniki naftą, przycinali knoty, lutowali cyną.

Przygotowania szybko posuwały się naprzód. Ciocia Modzia nie wychodziła z kuchni, której komin wyrzucał kłęby ciemnego dymu, obiecując wiele arcydzieł kulinarnych. Drzwi spiżarni otwierały się z trzaskiem pod kopnięciami dziewcząt z pełnymi rękami słoików, garnków i półmisek. Spiżarnia napełniała się powoli, na jej półkach gromadziły się wiktuały. Dzwonił telefon w aptecce, gdzie aptekarzowa przygotowywała tubki z różnymi przyprawami korzennymi, po które pędził potem galopem posłaniec Siańka. Ojciec pracował więcej niż zwykle, aby odrobić naprzód przyszłą nieobecność na *odai* z powodu imienin. Jakub, wspomagany przez parobków, czyścił stajnie. Orlik był oburzony i stawał dęba, gdy parobcy wylewali nań kubłami wodę, aby go wykąpać. Kobiety, pod kierownictwem Popowiczki, chodziły z miotłami i drabinami po całym domu i czyściły, co same uważały za stosowne. Większość tych prac była wykonywana z własnej inicjatywy ludzi; kobiety bieleły ściany, nie pytając Munia o pozwolenie, kołodziej ze stelmachem sprawdzali powozy i smarowali osie, kowale kuli na nowo niektóre konie i opłowywali im kopyta. Wszyscy sobie wyobrażali, że ich odcinek pracy jest najważniejszy, i chcieli, żeby goście podziwiali gospodarstwo skajańskie oraz przez wszystkich kochaną Marię Władimirownę.

— Pałacu u nas nie ma — rzekł Jakub sentencjonalnie — ale takiej chaty nie ma nikt na sto wiorst dookoła!

Banda moich rówieśników zdecydowała także coś zdziałać, aby wykazać naszą użyteczność. Ale do jakiejże pracy mieli się zabrać? Sima nie chciał słyszeć o takich pomocnikach do murarki. Cieśle nas odpędzili mówiąc, że palce sobie siekierami poobcinamy.

— Przede wszystkim — rzekł Jakubek — musimy zakopać to, cośmy zrobili po drugiej stronie jarmużu!

— A cóż to takiego? — spytałem zdziwiony.

— Patrzcie go! — roześmiał się Wowa — ma kabaka zamiast głowy. To ty nie pamiętasz, że wczoraj wychodek był taki pełny, że musieliśmy pójść za jarmuż? A niech pójdą goście spacerować po ogrodzie, to aż po kostki się umażą! A twój ogródek, Stasik? Więcej tam łopuchów niż niezapominajek.

To była prawda. Czasem pracowałem w moim ogródku z entuzjazmem, ale kiedy indziej zapominałem o nim przez całe tygodnie. Było nas sporo, więc roboty te zostały szybko ukończone. Zobaczył nas ojciec i kazał wygracować ścieżki w ogrodzie. To już była inna sprawa. Dwa dni ciężkiej pracy nas to kosztowało i zużyliśmy cały nasz zapas zapału. Tymczasem cieśle po-

zbijali jedlice, przykryli je brezentem i na podwórzu pokazały się dwa duże zielone namioty dla gości.

W przeddzień imienin nie robiono obiadu. Nikt nie miał czasu ani ochoty gotować — lub jeść siedząc przy stole. O pierwszej pojawiły się tace z butterbrodami z żytniego chleba z bryndzą, z kiełbasą, z wędzonką i ludzie przystawali na chwilę w pracy, aby zjeść nie schodząc z rusztowań i drabin.

Mamusia nie brała udziału w przygotowaniach i siedziała zamknięta w sypialni. Nie wolno jej było iść do salonu ani wyrzeć na podwórze, ani zobaczyć, co się robi w kuchni. Nazajutrz wszystko musiało się jej wydać niespodzianką. Czy były dla niej te imieniny tak przyjemne i pociągające, jak to sobie wyobrażaliśmy?

— A nu, zobacz, co robi mamusia! — rozkazał mi dziadzio Asłan.

Siedziała pod oknem, z *Marią* Malczewskiego w rękach. Był to prezent z przeszłorocznych imienin. Złote litery na szafirowej okładce błyszczały w słońcu.

Czuła się mamusia zadowolona? Czy też opuszczona, samotna? Może. Ale za to następnego dnia była wesoła i szczęśliwa, gdy w otoczeniu przyjaciół i krewnych słuchała życzeń i serdecznych słów myśląc, że to dzięki niej tyle ludzi ma rozrywkę po pracy.

Raptem zadzwonił telefon w przedpokoju. Nie było nikogo ze starszych; zbliżył się murarz, zdjął słuchawkę i krzyknął do niej: — *Cze wrei?* — po mołdawsku, i jeszcze ze dwa razy: — *Cze wrei?* — bo nikt nie odpowiadał. Wreszcie cisnął słuchawkę na stół ze złością: — *Dute la draku!* \* — i odszedł. Wtedy podszedłem do telefonu ja. Był to starodawny aparat z małą ścienną szafeczką, w której znajdowały się baterie. Przycisnąłem widełki lewą ręką, a prawą pokręciłem korbką. Przyłożyłem słuchawkę do ucha i zawołałem do mikrofonu: — Halo! — Poznałem głos naczelnika stacji. Murarz zza drzwi przyglądał mi się z uwagą. — Halo! — powtórzyłem — tutaj Skajany! — Naczelnik zawiadomił o przyjeździe orkiestry wojskowej.

Rychło zorganizowano karawanę szarabanów wymoszczonych słomą, ciągniętych przez konie do pracy w polu, sprowadzone z *odai*. Te dobre, pocciwe konie spędzały całe życie orząc i bronując pola, a teraz wydawały się przeżalone dziwną misją, jaką je obarczono. Potrząsały płowymi grzywami i rzucały ukośne spojrzenia na szarabany, które w niepokojący sposób wciąż wlokły się za nimi i nie chciały się odczepić. Przed stacją czekali już wojskowi z instrumentami, ale turkot kół na bruku tak konie przeraził, że niektóre szarabany zostały zawleczone daleko, w głąb wsi, zanim woźnice zdolali zawrócić i konie opanować. Orkiestra była z Kiszyniowa, a muzycy, mimo że byli wojskowymi, na koniach się nie znali. Patrzyli nieufnie na szarabany, z trudem ustawione rzędem, i nie żalowali drwin z tego wiejskiego środka lokomocji.

— Ho, ho! tyle słomy nałożyli do tych luksusowych faetonów, że nawet nie będziemy mogli papierosa zapalić w drodze, aby się nie upiec jak *kebab*!

W domu tymczasem robota postępowała naprzód. *Pałatka* dla orkiestry już była gotowa, druga dla gości też i wykończano trzecią, gdzie miały znaleźć pomieszczenie fryzjerna, pralnia i szwalnia. Trzy dni i trzy noce! Nleż to miało być brudnych kołnierzyków, chusteczek zmoczonych potem, rozdartych strojów lub bród do ogolenia! W trzeciej *pałatce* każdy mógł znaleźć

---

\* *Cze wrei?... Dute...* (mołd.) — Czego chcesz? Idź do diabła!

radę na te małe nieszczęścia, i ci, których domy były daleko, wychwalali zmysł praktyczny ojca, doskonałego organizatora wszelkich przedsięwzięć.

Tego wieczora, w przeddzień święta, muzycy, my i służba szliśmy spać wcześniej, w przewidywaniu zmęczenia, które nas czekało. Dom, z pootwieranymi drzwiami i oknami, okupowali jeszcze murarze i stolarze. Przybijali deski, ciągli cebry murarskie pełne gipsu, zamiatali podłogi dużymi miotłami z miotłyeczyni.

Na drugi dzień rano, gdy otworzyłem drzwi do salonu, stanąłem jak wryty: znikła cała jedna ściana i salon przedłużał się w głąb pod wielkim namiotem dostawionym do domu. Zielonkawy półmrok panował w tej nowej przestrzeni, polyskiwały tylko w głębi miedziane trąby i trombony, ułożone na ławkach orkiestry. Nasz salon, tak dobrze mi znany i swojski, wydawał się teraz sienią zaczarowanego pałacu.

Przy śniadaniu pokazała się nareszcie mamusia. Rzuciliśmy się z radością, by jej składać życzenia, całować ją i ścisnąć, i wręczać nasze prezenty. Ja ofiarowałem jej laurkę ozdobioną przeze mnie malowanymi kwiatkami i złożoną ramką, w której wykaligrafowałem wiersz okolicznościowy, ułożony przez mego korepetytora. Po śniadaniu mamusia poszła do pokoju dziadzia, aby przyjąć jego życzenia. Tam czekała mnie niespodzianka: łóżko było puste. Dziadzio, ogolony i uczesany, ubrany w szary garnitur, siedział na bujającym się fotelu i uśmiechał się, zadowolony z wrażenia, jakie na nas zrobił. Obok fotela stała grecka urna, którą mamusia przyjęła z wdzięcznością i dziadzia w rękę pocałowała. Lecz rychło wywołano nas do przedpokoju, bo już zaczynali się zjeżdżać goście. Składali mamusi życzenia i wręczali różne upominki: kwiaty, pudełeczka, kryształ, porcelanę i klatki z ptaszkami różnego rodzaju. Gdy zebrało się ich kilka, wyszliśmy na werandę, gdzie miała się odbyć ceremonia wypuszczania ptaszków. Mamusia otwierała drzwiczki klatek i gdy ptaszek wznosił się furkoczając skrzydełkami i znikał na tle nieba, osoba, która go darowała, mówiła sentencjonalnie: „Oby pani była tak szczęśliwa jak ten ptaszek w tej chwili!” Mamusia śmiała się, zadowolona, jej policzki zaczerwieniły się z emocji i pokrzykiwała wesoło, podczas gdy wypróżniały się klatki.

Wreszcie zasiadliśmy do stołu, pod naciągniętym brezentem, na dworze. Stół był długi. Taki długi, że siedząca na głównym miejscu mamusia była maleńka jak laleczka, bo ja... oczywiście, siedziałem na samym końcu, między korepetytorem i klucznicą z Tyrnowa. Podawano sobie karafeczki z wodką, zakąski i przystawki. Potem pokazały się półmiski z drobiem, udekoroowane liśćmi, chryzantemami z papieru i piórami. Przy deserze zaczęła się strzelanina korków szampa i imieninowe toasty. Gdy zaczęto roznosić kawę turecką, wymknąłem się do pałatki gościnnej, aby się zdrzemnąć i potem móc dłużej wieczorem się bawić. Gdy się wreszcie zbudziłem, była już szósta. Z salonu dochodziły dziwne dźwięki, pobiegłem patrzeć, jak się stroi instrumenty. Wreszcie, na znak dyrygenta, skupiła się orkiestra i rozpoczęła rytmem wojskowego marsza, dającym wrażenie mocy i głębi. Nie mogłem nóg utrzymać w spokoju, chciało mi się gdzieś iść, maszerować w szeregu, bić się.

— Tak, tak! — rzekła Tatiana — głos każdego instrumentu dodaje się do innych. Człowiek jest jak jeden instrument. Ojczyzna jest jak orkiestra, w której nasze skromne głosy harmonizują się i tworzą w rezultacie życie całego narodu!

Nadszedł moment otwarcia balu. Mamusia wyglądała pięknie w białej długiej sukni z koronek, z kokardkami i woalem gazowym opuszczonym na

plecy, obok ojca całego czarnego i połyskującego lakierkami. Dyrygent podniósł batutę i... co to będzie? Ledwie to pomyślałem, gdy zaczął się walc. Powolny, sentymentalny, rosyjski walc. Rozstąpili się wszyscy i rodzice sami wirowali na środku salonu.

— Urra! Niech żyje Maria Władimirowna! Niech żyją szczęśliwie małżonkowie! Urra! — jak fajerwerki rozbrzmiewały okrzyki w salonie. Po walcu bal był zainaugurowany. Mamusia przeszła w objęcia generała i inne pary zaczęły wirować dookoła, tworząc kolorowy, ruchomy kobierzec. Wobec dużego tłoku trzeba było być dobrym tancerzem, aby nie zderzać się z innymi. Długie suknie fruwały wysoko, nieraz głaszcząc siedzących pod ścianami po twarzy. W tyrnowskim salonie czterdzieści par mogło swobodnie tańczyć mazurę jednocześnie. U nas było ciasno i skromnie, lecz nigdzie ludzie nie bawili się tak dobrze i tak ochoczo jak w Skajanach. Ale więcej niż sala interesowała mnie orkiestra. Muzycy w mundurach, w furażkach na głowach, siedzieli poważnie na długich ławach i patrząc na sierżanta, grali z uczuciem. Obok kilku smyczkowych instrumentów większość dętych połyskiwała srebrem i mosiądzem: klarnety, trąby, rogi, tromfony i bombardon. Ten ostatni był niezwykły. Wydawał niski, chrapliwy głos, jak ryk lwa, który dzia-dzio Asłan umiał naśladować. Poniżej wielkiej miedzianej paszczy, poważnie kiwającej się nad głową muzyka, widniała jego czerwona twarz, z wielkimi, czarnymi wąsami. Wydęte policzki, nalane krwią oczy, pot spływający kroplami wywoływały wrażenie, że to jakiś mosiężny wąż boa otaczał ciało człowieka, zganiał mu żebra w śmiertelnym uścisku, wydobywając zeń bolesne rżenie.

Po lekkiej kolacji na stojąco, w pałatce na ten cel przeznaczonej, znów wrócili wszyscy do salonu. W dzień imienin mamusi było mi wolno zostawać do późna. Siedziałem w kącie kiwając się w takt muzyki, z zamkniętymi oczami. Zegar w jadalni zaczął wydzwaniać dwunastą. Rzadko kiedy mogłem słyszeć tę godzinę. Zachciało mi się spać. Raptem porwałem się na nogi:

— Godzina poloneza! — zawołał generał.

Pary zaczęły się ustawiać. Orkiestra trwała w milczeniu, a dyrygent partrył wyczekująco na salę. Na samym przedzie stanęli wujcio Teofil i mamusia, ale tymczasem, przechodząc między przepychającymi się osobami, pokazał się generał. Jego lewa ręka spoczywała na rękojeści szabli, a prawą zawiadliwie podkręcał wąż. Stał, uderzył elegancko obcasami i rzekł:

— Drogi Teofilu Antonowiczu, jako najstarszemu wiekiem i rangą, mnie się ten honor należy! — po czym uklonił się i wziął mamusię za rękę, dumny i zadowolony jakby z wygranej bitwy. Teraz generał podniósł dłoń, zrobiła się cisza. Raptem zawołał:

— Niech żyje Maria Władimirowna i przyjmie hołd swojego wiernego admirałora!

Jak na rozkaz zabrzmiała orkiestra i ruszyły pary w takt poloneza Ogińskiego. Byłem jak urzeczony. Salon napełnił się ruchem, sunęły przede mną pary harmonijnym i rytmicznym krokiem, tworząc długi, kolorowy wąż. Ze względu na brak przestrzeni generał poprowadził tańczących jak wojsko z pokoju do pokoju, w głąb domu, przez korytarz, jadalnię, kredens. Ocknąwszy się z osłupienia, biegłem przed generałem otwierając zasuwę i zamki, tam gdzie wskazywał mi ręką, i widziałem, jak mamusia, która tańcząc rozmawiała, uśmiecha się do mnie. Wreszcie wypłynęli wszyscy przez tylne drzwi na podwórze kuchenne i zaczęli okrażać dom. Stajenni, stangreci i służ-

ba piekli całego barana na rożnie nad wielkim ogniem, który rzucał krwawe blaski na białe suknie pań. Wstali ze swoich miejsc, baran przestał się obracać, i patrzyli w podziwie na ten niezwykle widok. Orkiestrę było dobrze słyhać, ale za węglem tańczący wąż wszedł w nocny mrok. Mleczne światło księżyca dawało słabe cienie, w których połyskiwał czasem jakiś damski klejnot, jakiś order wojskowy. Wreszcie weszli wszyscy przez drzwi wejściowe znów do domu i w salonie pochód się rozwiązał.

Poszeptawszy z Wołodią i sierżantem, kuzyn Rudolf zwrócił się ku sali prosząc o ciszę i zawołał:

— Panie i panowie! Teraz mazur!

Usłyszawszy to, generał skłonił się przed mamusią:

— Pozostawiam tę piękną rączkę dla kogoś młodszego ode mnie! — i usiadł koło mnie na krześle, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. — Stasi! Patrzaj uważnie. Jakie piękne są te polskie tańce!

Z piekielnym hukiem zaczął się mazur. Trzeszczały deski podłogi, sypało się wapno z sufitu, gdy rytmicznie przytupywali tancerze. Panowie z zadziwczystymi minami i zawadiackimi wąsami tańczyli patrząc w oczy swoich partnererek. Wołodia i Rudzio rej wodzili. Wreszcie zostali tylko Wołodia i Nadejda Iwanowna i rozstąpili się wszyscy, aby móc ich podziwiać. Dyrygent, obserwując salę, dyrygował odwrócony plecami do orkiestry, aby nie stracić ani jednego szczegółu.

— A ty, czemu nie tańczysz? — spytał wujcio Teofil swego syna, Wanię.

— Mazur mnie męczy! — odpowiedział Wania swoim nosowym głosem, nie ruszając się z fotela, gdzie siedział rozwalony wygodnie.

— Urra dla polskich tańców! — zawołał Wołodia, zakończywszy taniec.

— Urra! — odpowiedziała sala. Rudzko milczał.

— Niech żyje rosyjska młodzież, która je tak dobrze tańczy! — zawołał ktoś w głębi.

— Wiwat! — odpowiedziało kilka głosów. Rudzko i Wołodia popatrzyli na siebie niechętnie.

— Żadna sztuka! — tłumaczył nam potem Rudzko na stronie. — Ja tańczyłem z aptekarzową, a on miał artystkę opery petersburskiej!

Wtem powstał jakiś wir w głębi salonu, przy drzwiach. Ujrzałem wystającego ponad głowy innych dziadzia Asłana, który usiłował przebić się przez tłum zgromadzonych, aby dostać się do orkiestry. Muzykanci odpoczywali, odkręcali naustniki, odwracali instrumenty, aby wykapała z nich woda zebrana we wnętrzu.

— Alakiaz! — rozkazał dziadzio. — Zagrajcie mi *alakiaz*!

Muzykanci dalej zajmowali się czyszczeniem instrumentów, nie zwracając uwagi na dziadzia. Kilku parsknęło śmiechem. Dziadzio miał w ręce bukietik stepowych ziemowitów, tak mały, że zniknął w jego wielkiej garści.

— *Alakiaz*! — krzyknął rozniewany. — Ja chcę, żeby zagrano dla mnie *alakiaz*!

Dyrygent poszedł do bufetu i orkiestra sama, bez niego, nie mogła nic zagrać. Ale dziadzio widocznie był zdania, że muzykanci nic sobie z niego nie robią. Jeden z nich w zdenerwowaniu upuścił klarnet, który spadł na podłogę z metalicznym dźwiękiem. Dziadzio kopnął go ze złością i instrument przeleciał ponad głowami muzykantów, aby upaść z trzaskiem w głębi namiotu. Twarz dziadzia Asłana zrobiła się fioletowa i groźna zmarszczka przecięła jego czoło między czarnymi brwiami, które mimo swej obfitości nie mogły przygasić ciskających błyskawice oczu.



— Cha! cha! — roześmiał się Rudzio zuchwale. — Teraz zacznie łamać instrumenty!

Byłem przerażony. Kochany dziadzio, gdy się rozgniewał, był zdolny zrobić to i... nawet jeszcze więcej! Ale para ciemnych oczu obserwowała tę scenę z daleka. Elegancka, cała w niepokalanej bieli, nadbiegła uśmiechnięta mamusia. Bez obawy zbliżyła się do dziadzia, który wyglądał jak Jupiter wszechmocny na swoim Olimpie.

— Dobry wieczór, wujciu! — rzekła uprzejmie. — Te kwiatki są dla mnie, prawda? — I wzięła dziadzia za rękę z ziemowitami, przysuwając je sobie do nosa. Powąchała je, wciągnęła powietrze, z rozkoszą przymykając oczy, jakby czuła rajski aromat. — Och! Jakiż to piękny prezent, i taki delikatny! Właśnie to, co najbardziej mi do serca przypada!

Gniew dziadzia stopniał jak zasy pył śnieżny w Floreszti, gdy je przygrzało marcowe słońce.

— Maryja! — zagrmiał. — Maryja! Żebyś sto lat żyła!

— Wiwat! Urraaa! — podjęło parę głosów.

Przepychając się między zgromadzonymi, nadbiegł wreszcie zafrasowany dyrygent. Jakaś dobra dusza zawiadomiła go w bufecie.

— Uwaga! — zawołał do orkiestry. — Strona czterdzieści cztery!

I podczas gdy muzycanci grzebali w nutach i teczkach, wylazł na skrzynkę od szampana, która służyła mu za podium; jakby najadł się gipsu, stanął sztywny, w bezruchu, podobny do marmurowego posagu.

— Proszę uprzejmie wszystkich obecnych — rzekła mamusia swoim śpiącym głosem — aby zachowali chwilę ciszy! — Wzięła dziadzia pod rękę i oboje zwrócili się twarzami do sali. — Teraz usłyszą państwo *alakiaz* kaukaski, którego wysłuchamy ze wzruszeniem, powodowani szacunkiem i miłością, jaką żywimy dla pana Asłana!

— Tin-tin-tin! — zabręczała orkiestra w przejmującym pianissimo. Ustały rozmowy, wszyscy umilkli. Twarze były poważne, słuchano w skupieniu. Ja siadłem na ziemi, u stóp dziadzia i mamusi. Tak wysłuchaliśmy tej pięknej melodii, którą dziadzio wchłaniał jak nektar szczęścia. Na zakończenie ozwały się oklaski. Dziadzio, zadowolony, zapomniał o swoim gniewie i wyszedł na środek salonu. Przykucnął i położył rękę na podłodze, zwracając ją dłonią do góry.

— Stasik! Stań mi na ręce! — rozkazał.

Posłuchałem bez wahania. Dziadzio zaczął podnosić mnie powoli. Ramię jego było sztywne i mocne jak dębowa belka i nie zadrżało pod moimi stopami. Wstał wreszcie bez wysiłku. Głowa moja dotykała sufitu. Rozległy się oklaski i okrzyki podziwu. Gdy dziadzio mnie spuścił na ziemię, wszyscy go otoczyli, dotykali bicepsów, poklepywali po ramieniu, stawiali pytania i podziwiali. Dziadzio, bardzo zadowolony, odpowiadał uprzejmie, uśmiechał się z satysfakcją. Raptem stanął nieruchomo, otworzył usta i ziewnął szeroko. Zaczęła go ogarniać senność. Rzucił spojrzenie w kierunku drzwi i pożegnał się z mamusią, całując ją w oba policzki.

— Powinienem pójść spać! — rzekł, jakby usprawiedliwiając się. — Jutro muszę wstać wcześniej, na tych hulaków liczyć nie można, a na *odai* przecież praca w pełni.

Gdy za dziadziem zamknęły się drzwi, wyszedł ojciec na środek salonu, poprosił o ciszę i obwieścił:

— Zapraszamy wszystkich na ognie sztuczne! Wszyscy, którzy je chcą widzieć, winni wyjść przed dom na podwórze!

Wybiegliśmy śpiesznie. Między topolami i aleją morwową widniała tajemnicza konstrukcja z listew, łązy i tataraku. Tatuś zaczął zapalać lonty i rozległ się ogłuszający huk kartaczy. Potem z drapieżnym sykiem wyleciały w niebo rakiety, jakby chciały firmament przedziurawić ognistymi żądłami. Wybuchwały na tle wygwieżdzonego nieba kolorowe kwiaty, zdobne w złote strusie pióra lub falujące grzywy. Noc stała się jasna — jak dzień prawie. Na rozkaz ojca poskoczyłem z zapalnikami ku świecom rzymskim, wbitym w ziemię. Wzniosły się iskrzące kule: zielona! czerwona! niebieska! Twarze obecnych nabierały widmowych, trupich odcieni. Zbiegła się służba, mnie objęła Popowiczka drżącymi rękami i pochłaniałymi wzrokiem ten niezwykły w naszym pracowitym życiu spektakl.

Zmęczone jaskrawymi ogniami oczy zaczęły mi się zamykać. Poszukałem w ciemnym kącie fotela i zasnąłem w mgnieniu oka. Gdy się zbudziłem, był już jasny dzień i słońce wesoło patrzyło na nasz dom z czystego, niebieskiego nieba. W salonie nie działo się nic nowego: dalej niezmordowanie wirowały pary i wciąż grała orkiestra wojskowa. A gdzie mamusia? I dziadzio Aslan? Gdzie generał? Nie było ich widać nigdzie. A! tu był Wołodia. Z wyrazem zachwyty przyglądał się swojej partnerce. Tam siedział Wania, a dalej Munio ze swą siostrą Aurelią. Przeciskałem się przez taneczne fale, poruszające się w takt trzech czwartych, i znalazłem się przed orkiestrą. Ci sami muzycanci grali na tych samych instrumentach, z tą samą powagą. Może jednak wasy trochę opadły? Nosy pań połyskiwały jak wyświecone buciki, a panowie, trochę rozczochrani, mieli twarze przypominające grzbiet jeża.

— *Halt! Halt!* — krzyknął ktoś koło mnie. — To jezd obraza sztugi!

Zatrzymała się orkiestra, która grała sama, bez dyrygenta, gdy podszedł do niej świeżo ogolony, pachnący wodą kolońską profesor Horr, z twarzą ozdobioną siwą i finezyjnie przyciętą brodą, przypominającą do złudzenia twarz austriackiego cesarza Franciszka Józefa. Ubranie profesora było wyprasowane i z całej postaci biło wrażenie porządku i czystości.

— *Halt!* — krzyknął raz jeszcze. — Jeżeli gracie wals wiedeński, to tempo też ma być wiedeńskie! *Verstanden?*\*\*

— Wiedeński walc! — zawołało parę osób. Zaczęło się suwanie krzesłami i na czele przepychającej się grupki stanął Rudzko. Ubranie miał wymiętoszone, a twarz obsypaną czarnym zarostem. Profesor Horr, nadworny pianista w tyrnowskim pałacu, była to osobistość poważna, nie znosząca żadnej repliki ani opozycji, a poza tym wielki artysta, dla którego sztuka muzyczna nie miała sekretów. Był Austriakiem czy Węgrem, w młodości zaś uczniem samego Liszta. Po rosyjsku mówił okropnie, trudno go było nieraz zrozumieć. Zaśmiewaliśmy się po kątach, gdy coś powiedział, ale z niejaką ostrożnością, bo gdy raz Witka na drwinach przyłapał, tak go zdzielił laską, że aż pękła mu na grzbiecie. Profesor teraz wyciągnął ołówek z kieszeni i podnosząc go na kształt batuty, rozkazał orkiestrze gromkim głosem:

— *Donauwellen!* \*\*

Po czym zwrócił się do sali i ukłonił się. Zabrzmiało kilka oklasków. Zadowolony z tego udanego początku, obrzucił spojrzeniem całą orkiestrę. Zmarszczył brwi, wydał policzki i podniósł ręce, opuszczając je natychmiast energicznym ruchem. Zabrzmiało parę niezharmonizowanych dźwięków. Cze-

---

\* *Halt!... Verstanden?* (niem.) — Stać! Jasne?

\*\* *Donauwellen!* (niem.) — *Fale Dunaju*, tytuł znanego walca J. Straussa

kający tancerze zaczęli się kręcić. Profesor podnosił i opuszczał ołówek w takt walca, którego nikt nie grał. Twarz jego między białą brodą a wąsami nabrała koloru dojrzałego pomidora. Zaczął coś krzyczeć, ale nikt go nie rozumiał. Nie mógł wyrwać orkiestry z oszołomienia.

— Zamiast *Fal Dunaju* profesor nas raczy symfonią stada na pastwisku! — zawołał jakiś dowcipniś. Tańczący zatrzymali się i rozległy się śmiechy. Profesor zaczął tłuc ołówkiem w skrzynkę od szampana, ale nikt tego nie słyszał w ogólnym hałasie.

— *Donnerwetter, noch einmal!* — wrzasnął profesor rozjuszony, piorunując muzyków wzrokiem. — *Naczinajcie!* \* — chciał powiedzieć, ale wyszło coś innego; muzycanci kręcili się zaniepokojeni, nie wiedząc, co mają robić.

Znów ktoś pobiegł wołać sierżanta na pomoc, ale tym razem nie można było go odszukać. Raptem pokazał się uśmiechnięty Wołodia, uklonił się z szacunkiem przed profesorem:

— Jeżeli *Herr Professor* Horr pozwoli, to ja będę tłumaczem! — i dodał po rosyjsku, zwracając się do orkiestry: — *Wnimanije!* \*\* Znacie ten walc? — ściągając wargi zaczął gwizdać melodię.

Kilku muzykantów zaczęło wtórować i zagrała wreszcie cała orkiestra, bez patrzenia w nuty. Pary znów zaczęły wirować. Walc trwał dosyć długo. Wołodia miał już suche wargi, a profesor pocił się obficie, wymachując ołówkiem zamasyżycie, aby lepiej go rozumiano. Wreszcie Wołodia zakomenderował gromko:

— Przy końcu tej części, *stoj!* — i stanęli wszyscy zgodnie jak jeden mąż.

Profesor zadowolony z tak poprawnego zakończenia, które przypisywał wyłącznie swej zasłudze, uklonił się w stronę sali, po czym zlął ze skrzynki.

— Ale się pan napracował! — rzekł do niego Wołodia, uśmiechając się uprzejmie. — Zapraszam teraz profesora na filiżankę barszczu!

Raptem pokazał się dyrygent.

— *Nu, sława Bohu!* — westchnął, patrząc za odchodzącymi. — Teraz my zagramy im nasz odeski walc, żeby te Mołdawianie zobaczyły różnicę!

Znów ustawiły się pary i zaczęła grać orkiestra z nieodpartym liryzmem. To był walc! Nie można było usiedzieć spokojnie na krześle, wszyscy kiwali się w rytm melodii, a tańczący, upojeni, wirowali wpatrzeni w siebie. Aurelia wzięła mnie za rękę i wyciągnęła na środek sali. Objęliśmy się i w ten sposób zatańczyłem mojego pierwszego walca w życiu. Wirowaliśmy wszyscy lekko i bez zmęczenia, zdawało się, że kołysz nas wody Czarnego Morza. Unosiły się kolorowe spódnice, ocierały się o mnie, nieraz owijały wokół, jakby chcąc mnie uwięzić.

Tymczasem w gościnnej pałatce począł się ruch i do salonu zaczęli napływać pobudzeni goście, naciągając rękami pomięte ubrania i suknie, ziewając i przecierając oczy.

— Prosimy wszystkich na śniadanie! — zawołał ojciec.

Wszczęł się ruch, w korytarzu pokazała się czereда służby z samowarami i wszyscy wyszliśmy do ogrodu. Tam, pod naciągniętym brezentem, stały stoły, ławki, etażerki i stoliczki pełne talerzyków i filiżanek, owoców, ciast i konfitur. Wszyscy jedli i pili na stojąco, rozmawiając i gestykulując z oży-

---

\* *Donnerwetter...* (nlem.) *Naczinajcie!* (ros.) — Do stu piorunów! Zaczynajcie!

\*\* *Wnimanije!* (ros.) — Uwaga!

wieniem. Nikt na mnie nie zwracał uwagi, zanurzyłem więc łyżkę w ulubionej konfiturze z dereniu i nałożyłem sobie głęboki talerz do pełna, jakby to była zupa. Raptem zawołał coś ojciec. Weisnąłem się do kąta, przerażony.

— Teraz organizujemy wyprawę na *odaję*! — obwieścił tatuś. — Kto chce się przewietrzyć i przetrząść, niech zajmie miejsce w powozie! Zaczną zaraz podjeżdżać pod ganek!

Ruszyli się prawie wszyscy. Jakub posyłał zaprzężone powozy na wjazdowe podwórze, potem bryczki i wreszcie szarabany wymoszczone słomą — dla młodzieży. Wygarnął całą wozownię, zaprzęgał konie od pług, sadzał na koźle przygodnych stangretów, ostrzegając ich przed używaniem bata i dając różne rady. Słońce już było wysoko i zaczynał się zwyczajny o tej porze upał. Dom opustoszał i w salonie zaległa cisza. Muzykanci powstawali z ławek, na których siedzieli już ponad dwanaście godzin, i runęli pokotem na sienniki przygotowane w ich *pałatce*. Około jedenastej wyszła mamusia, gotowa do drogi. Zająchał przed dom faeton zaprzężony w ulubione przez mamusię konie, Orlika i Sokoła, i ruszyliśmy na *odaję*, by ci, co się poświęcali pracy, podczas gdy myśmy się bawili, mogli złożyć mamusi życzenia. Na koźle siedział sam Jakub, ubrany odświętnie, ogolony, uczesany i pachnący wodą kolońską. Na tylnym szerokim siedzeniu siedziała mamusia, ubrana w białą suknię przybraną koronkami i gazą. Konie dojrzały te niezwykle stroje i nie reagując na szarpanie lejcami ani nie słysząc przekleństw stangreta, odczuwały widocznie swym przenikliwym instynktem solenność dnia. Prowadzone krótkim klusem, drobiły elegancko w szarym kurzu kopytami polakierowanymi na czarno. Wyginały z gracją szyje i odwracały głowy, tak jak je do chodu w *trojce* przyuczono, rzucając ukradkiem niespokojne spojrzenia na mamusi białą parasolkę, która w niewytłumaczony dla nich sposób wyrosła raptem jak magiczny kwiat z czarnego siedzenia i kiwała się wdzięcznie na tle nieba. Ja jechałem z tyłu, na moim kałmuku Mucu, jako gwardia honorowa.

— Ho-hoou! — zawołał Jakub ściągając lejce i stanęliśmy pod domem klucznika, na *odai*. Po stopniach mamusia zeszła na trawę, zbierając z wdziękiem długą spódnice. Stali tam już ludzie, inni nadbiegali. Raptem coś się zakotłowało:

— Won! Brudna świnia! — krzyczał świniarz, kopiąc na ziemi leżącą lochę, z przywartymi do cycków prosiętami. Mimo gradu kopniaków locha nie ruszyła się z miejsca. Mamusia podbiegła do niej:

— Nie ruszajcie jej! — zawołała z błyszczącymi oczyma. — Jest na *odai* dość miejsca, by każde stworzenie mogło żyć w spokoju!

Po czym, przełożywszy parasolkę do lewej ręki, zaczęła przyjmować życzenia zgromadzonych. Tymczasem Jakub wydawał klucznikowi zawartość wozu, który przyjechał za nami, załadowany wiktuałami i łakociami przeznaczonymi dla pracowników. Na zawsze wryła mi się w pamięć ta scena; obraz dobrej wróżki, w biel odzianej, która z życzliwym uśmiechem i pełną wdzięku prostotą rozmawiała z opalonymi, strudżonymi pracownikami *odai*, podczas gdy noskiem swojego białego bucika skrobała grzbiet pochrzäkującej lochy, karmiącej prosięta.

— Jest lepszą matką od wielu innych! — brzmi jeszcze dziś w mych uszach głos mamusi.

Gdy wróciliśmy do domu, zastaliśmy więcej ludzi w pralni i u golibrody niż w salonie. Kto mógł, przygotowywał się do drugiego dnia imienin. Inni jeszcze spali na siennikach pod namiotem. Golibroda bryczawski operował

brzytwą, poruszając się ze swadą godną śpiewaka włoskiej opery. Raptem w drzwiach ukazał się generał. Nie bacząc na nikogo, zawołał:

— *Bystro!* \* Golibroda! Wyskrob mi te obrzydliwe kłaki, co mi wyrosły na gębie!

Golibroda był zajęty. Inne osoby czekały w kolejce. Generał się zniecierpliwił i zawołał:

— Rzuć to! Ogól mnie natychmiast!

Nie mogłem rozpoznać tego, kto siedział w fotelu. Miał całą twarz pokrytą pianą mydlaną, widać było tylko oczy. Popatrzył na generała, po czym bardzo grzecznie ustąpił mu miejsca. Generał siadł i widocznie zawstydział się. Gdy już miał ogolone pół twarzy, powstrzymał znakiem ręki golibrodę, wstał i wskazując na fotel, rzekł do namydlonego pana:

— Teraz pana kolej, panie... pan wybaczy, ale nie mam przyjemności go znać.

Nieznany pan usiadł znów na fotelu i patrzyliśmy ciekawie, czyją twarz odkryją postępy brzytwy. Raptem zdrętwiałem i wrzasnąłem:

— Dziadzio Strienkowski!

Dopiero będzie chryja! — pomyślałem, znając jego charakter.

— Och! To pan, panie pułkowniku? Nie poznałem pana w tej pianie. Proszę mi wybaczyć! Ale czemu pan nie powiedział mi od razu, kim jest?

— Co miałem zrobić? — westchnął dziadzio. — Znam pański charakter, panie generale. Jestem tylko pułkownikiem rezerwy, byłby pan mnie posłał do diabła albo czyścić wychodki! Tak duży zaś jest mój szacunek dla pana, że byłbym skłonny posłusznie to wykonać.

Słońce znów zaczęło skłaniać się ku zachodowi. Salon był pełny, grała orkiestra pod zielonym brezentem, wirowały niezmordowane pary. Wałęsałem się ziewając i nie wiedząc, czym się zająć. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Gdy się ściemniło, powlokłem się do altany, gdzie paliła się jaskrawym światłem karbidowa lampa, dookoła której latały setki muszek, ciem i żuków, a od czasu do czasu kołowały bezszelestnym lotem nietoperze. Była tam mamusia, zamyślona... Siadłem obok niej milcząc.

— Słuchaj, synku! — rzekła ziewając. — Pójdziemy sobie spać razem, dobrze? A tamci... — i wyciągnęła rękę w stronę domu — niech sobie dalej tańczą!

### **Tyrnowska stadnina**

Stadnina Teofila Antonowicza dostarczała koni różnego gatunku. Od roboczych i wojskowych, poprzez rysaki, aż do półkrwi arabów. Te ostatnie odróżniały się od reszty harmonijnymi kształtami, zgrabnością dobrze sformowanych smukłych odnóży, małymi kopytami, dumną postawą i pięknym, tanecznym chodem. Stadnina składała się z kilku stad, pasących się swobodnie, każde z osobna. Zmieniały one bez przerwy swoje pastwiska, zależnie od stanu trawy; kłaczki były szczególnie wybredne, jeśli chodzi o paszę. Ogiery trzymano osobno, ale i tak nie było rzeczą łatwą radzić sobie, przepędzać lub rozpraszać te stada kobył ze źrebakami, choć były one łagodniejszego bez wątpienia charakteru. Zajmowała się tym grupa watażków i atamanów,

---

\* *Bystro!* (ros.) — Szybko!

przeważnie kozackiego lub tatarskiego pochodzenia, ludzi, którzy całe życie spędzali przy koniach, toteż ich zamiłowanie i przywiązanie do tych zwierząt przechodziło nieraz w autentyczne bałwochwalstwo.

Gdy wujcio Teofil chciał jakiegoś dostojnego gościa wyróżnić i specjalnie uhonorować, zapraszał go na dondiuszańskie błonia i sam mu swoją ukochaną stadninę pokazywał. Było to dość daleko od tyrnowskiego dworu, zresztą usytuowanie stad wciąż się zmieniało i konny posłaniec informował wuja codziennie o zaszłych zmianach. Gdy były panie, jechało się powozami, a ja, stojąc na kozle, z trudem utrzymywałem równowagę i obracałem głowę na wszystkie strony, usiłując pierwszy zobaczyć stadninę. Nie przychodziło to z łatwością, gdyż ta sławna besarabska równina była gdzieś tam połaćkowana i jeśli ktokolwiek znajdował się w wądole, to daleka nie był widoczny. Trzeba było obserwować ślady, oceniać, do jakiego stopnia stratomiana trawa się podniosła; nieraz zeskakiwałem z kozła, aby obejrzeć porozrzucany nawóz i sprawdzić, czy jest jeszcze ciepły, co wywoływało okrzyki obrzydzenia przyjezdnych gości, nieprzywykłych do naszego stepowego życia. Nie zawsze okazywało się to potrzebne, bo gdy pasły się na pagórku, kobyły z daleka już były widoczne. Piękno widoku zachwycało oczy; ciemne sylwetki zwierząt odcinały się na niebieskim niebie jakby chińskie cienie. (Kilka lat później Munio narysował mi taki obrazek, który potem wyciąłem nożyczkami, i rzucaliśmy te „dondiuszańskie cienie” przez latarnię magiczną na białą ścianę skajańskiej jadalni). Kobyły, gdy się pasły, obwąchiwały nieufnie trawę, starając się zwęszyć obce zapachy, które wskazywałyby na obecność innych, wstrętnych im zwierząt.

— Konie są bardzo czyste i wybredne w jedzeniu — mawiał wujcio Teofil, objaśniając przyjezdnych. — Wystarczy, że przejdzie po pastwisku jakieś obce zwierzę, i gorzej jeszcze — stado, aby odmawiały już jedzenia dotkniętej przez nie trawy, nawet najlepszej. Najbardziej się brzydzą kóz albo świń, potem idą owce i wreszcie bydło rogate. Konie mają tak delikatny węch, że po kilku dniach nawet rozpoznają nieświeżą trawę; nie można ich oszukać. Oczywiście, gdy deszcz spadnie, zmywa zupełnie nieprzyjemne zapachy. W każdym razie muszę bardzo dbać o to, ażeby kobyły brzemienne dobrze jadły i były w dobrym humorze; one, biedaczki, są takie nerwowe! Nie lada to robota, gdy trzeba z dala, wielowiorstowym łukiem przepędzać inne stada i uważać, żeby przypadkiem jakieś bydło nie wdarło się na dondiuszańskie błonia. Nauganiają się czabani i pastuchy z psami, bo bydło wie, że w Dondiuszanach najlepsza trawa!

Podczas gdy wszyscy podziwiali rasowe, piękne zwierzęta, zbliżyłem się do młodziutkiego żrebaka o sympatycznym wyglądzie, który nie objawiał strachu i przyglądał mi się uważnie.

— Chodź tu! — krzyknął wuj. — Nie ruszaj żrebaka! — a potem dodał zwracając się do gości: — Gdyby to matka zobaczyła, poczęstowałaby chłopca kopytami!

Nie wziąłem jednak poważnie tego ostrzeżenia; udając odważnego zbliżyłem się jeszcze bardziej i zacząłem głaskać żrebaka, który wcale się nie bał. Włożył mi pysk między nogi i zaczął szturchać i grzebać w spodniach w nieprzyjemny jakiś sposób.

— Ty głupi! Co ty wyprawiasz! — wykrzykiwałem, trzymając go za uszy, aby się nie wyrwać.

Zanim zrozumiałem, co się dzieje, usłyszałem tętent i zobaczyłem piękną klacz zbliżającą się galopem. Odepchnęła żrebaka i obróciła się do mnie za-

dem, przygotowując się do ciosu. W tym momencie zabrzmiał głos wujcia Teofila, który podbiegł, puszczając wolno swojego wałacha:

— Ho-hooou, Akermanka! Spokojna! Hooou! — i mówiąc to, lekko trącił ją rajpajczem w tylną pęcinę.

Usłyszawszy swoje imię, klacz zatrzymała się i wstrząsnęła skórą; podniosła się z przysiadu, poniechawszy wierzgnięcia. Zrobiła parę kroków, obróciła się i rzuciła na mnie pełne podejrzliwości spojrzenie, rozdymając chrapy i strzygąc uszami, jakby czekając na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa, by ponowić atak.

— Ho! Hooou! Akermanka! — zawołał znów wujcio Teofil, zniżając głos i zbliżył się do niej, poklepując ją po szyi. Potem podał jej na wyciągniętej dłoni kawałek cukru, który Akermanka wzięła delikatnie wargami. Usłyszałem chrzęst miazdżonego między potężnymi szczękami cukru, podczas gdy uradowany żrebak rzucił się do mamy, wypychając jej pysk pod brzuch. Tak się zakończył incydent, który mógł mieć poważne konsekwencje, gdyby nie czujna obecność wujcia Teofila obok mnie.

Kiedy indziej znów asystowałem przy operacji znakowania. Dla swoich szlachetnych koni nie pozwalał Teofil Antonowicz używać rozpalonego żelaza. Wycinało się sierść małymi nożyczkami z zakrzywionym końcem i bezboleśnie powstawał znak, który niknął zresztą łatwo, gdyż sierść przycięta odrastała, i trzeba było go ponownie wycinać. Kozacy krytykowali te „kosztowne fanaberie” wielkiego pana, ale wuj zdecydowanie trwał przy swoim. W lewej kieszonce kamizelki zawsze nosił te zakrzywione nożyczki i często, gdy wyruszał odwiedzić swoją kochaną stadninę, wyciągał je i mnie kazał odświeżać znaki, podczas gdy on zabawiał konia cukrem i głaskał go po pysku, przemawiając doń czule.

Wieczorem komentowaliśmy w Skajanach wypadki dnia. Zawołałem:

— Ja nic złego nie zrobiłem temu żrebakowi! Czegóż ten głupi szukał w moich spodniach? Czemu chciał mnie w górę podrzucić?

— Słuchaj — rzekł dziadzio Asłan — nigdy nie zrozumiesz zwierzęcia, jeżeli będziesz rozumował jak człowiek. Zwierzęta mają swój własny sposób myślenia, choć ich instynkty są podobne do naszych. Chcesz zrozumieć żrebaka? Pomyśl, że dla niego każda osoba dosyć wysoka i z dość długimi nogami ma przypuszczalnie wymię pełne mleka, tak jak jego matka. Zaczął więc go szukać tam, gdzie się kończą nogi, z zamiarem ssania. Wyobraź sobie, co by to było, gdyby mu się to wymię udało znaleźć!

Zamilkłem, zdumiony. Ja, wymię? Gdzież ja miałem wymię?

Wszyscy zaczęli się śmiać i Toki puścił nieprzyzwoity dowcip. Wybiegłem na dwór, aby nie widziano, że się zaczerwieniłem.

## Gigant

Tyrnowski park widziany od strony pałacu wyglądał wspaniale: kwietniki, płaty trawników, grupy ozdobnych krzaków, aleje i drzewa tworzyły malowniczą dekorację, która była dowodem artystycznego talentu Teofila Antonowicza. W głębi parku były inne, nieraz niespodziewane atrakcje: place tenisowe, boisko do gry w piłkę i w krokieta oraz przedmiot mojego podziwu: gigant. Był to ogromny słup, który służył do uprawiania akrobatycznych wy-



sokich lotów; coś w rodzaju rytuału religijnego meksykańskich Indian Czi-  
czikastenango.

Słup, wbity na środku wysypanego żwirem boiska, na szczycie miał osadzone na łożyskach kulkowych żelazny krzyż z hakami, z których zwisały sznury zakończone wielkimi pętlami. Pętla była obszyta wypchaną kłakami skórą i do nich osoby biorące udział w „locie” wkładały nogę aż po pachwinę i zaczynały bieg po ziemi, dookoła słupa, przyspieszając coraz bardziej ruch obrotowy powodujący powstawanie sporej siły odśrodkowej. Po chwili biegnący unosili się w powietrze falistym ruchem, to lecąc w górę, to w dół, co wykorzystywano, by silniej jeszcze odbić się nogami od ziemi i jeszcze wyżej potem podlecieć. Najlepiej z uczestników leciał prawie cały czas w powietrzu, nazywało się to, że był „na jaskółce”. Często mnie spotykała ta przyjemność dzięki przyjaźni Wani, Wołodi i innych chłopców w ich wieku. Zrazu biegłem najprędzej, jak tylko mi dech pozwalał. Gdy czułem, że już zaczyna mi się usuwać grunt pod nogami, podkurczałem je pod siebie, mocno trzymając się sznura. Inni rozpędzali gigant jeszcze bardziej, gdy tymczasem ja już fruwałem wysoko w powietrzu. Wiatr świszcział mi w uszach, horyzont obracał się dookoła, wydawało mi się, że straciłem ciężkość i mogę już stałe trwać w powietrzu, nie powracając na ziemię. Znajome przedmioty widziane z góry wydawały się mniejsze, ponad drzewami parku pokazywały się łąny pofalowanych zbóż i kręcąc się bez przerwy, biegły aż do krańca widnokregu. Ogarniało mnie jakieś dziwne upojenie, jak gdybym był w innym świecie, gdzie wszystko jest odmienne, gdzie nie trzeba mieć ani nóg, ani żołądka — żeby istnieć.

Po kwadransie moi przyjaciele byli już zmęczeni. Powoli zniżał się lot i gdy już muskałem ziemię, wyciągałem nogi jak ptak, który przygotowuje się do lądowania. Po spokojnym szybowaniu ten pierwszy kontakt z ziemią wydawał się brutalny. Raz, drugi, trzeci, wciąż zwalniając, zaczynaliśmy biec ile sił w nogach; chrząścił żwir, podnosił się kurz, czasem ktoś się pośliznął albo przewrócił, aż w końcu stawaliśmy i jeszcze przez chwilę drżały pod nami kolana. Wysoko na niebie płynęły białe, delikatne chmurki, wzrok mój zawisał na nich lekko, ale ziemia jak magnes mocno mnie już trzymała za nogi.

Gigant stał nieruchomo. Sen lekkości i przestrzeni był już tylko odrealnionym wspomnieniem.

Tego dnia wieczorem zgromadziło się wiele osób przy kolacji. Siedziałem koło wujcia Teofila, który lubił mieć mnie blisko i rozmawiać ze mną. Przy deserze nałożył mi porcję kisielu z *klukwy* i rzekł:

— Żeby Stasik tyle kręcił się w kieracie co na gigancie, mielibyśmy pełny zbiornik wody przez cały rok!

— Ech! On przecież nie pracuje — zaprotestował Wania — on na jaskółce lata! To my, Wołodia, Grisza i ja, ciągniemy!

— Czemuż ty tak lubisz na gigancie latać? — wuj chciał mnie wciągnąć do rozmowy starszych. — Powiedz!

— Bo tam w górze jest inne powietrze! — wypaliłem bez namysłu. Kilka osób przestało jeść, przyglądając mi się uważnie.

— Inne? Jak to inne? — spytał wuj zainteresowany. — Inne od naszego, zwyczajnego?

— Nie śmierdzi wsią, jest takie jak w Polsce! — wyrwało mi się, mimo że ojciec kiwał do mnie, abym umilkł. Poczułem, że to się nie spodobało.

— Tak! *Eto chto ja m ó w l u!* — wtrąciła się zarządzająca pani Helena,

która kaleczyła okropnie język rosyjski — w Warszawie *lepszy j wozduch*!\*

— Cała młodzież parsknęła śmiechem.

— On tak mówi — tłumaczył ojciec — bo zawsze zachwycamy się powietrzem, gdy jesteśmy w Zakopanem.

— Ot, gadanie! — wykrzywił się jakiś urzędnik w mundurze. — Gdzie tam Polska! Daleko i nigdy tu powietrza nie przyśle!

— Daleko — warknął mój korepetytor Kasprzycki i zmarszczywszy się dodał: — ale już tu była!

— Jak to była? Kiedy była? — wołały różne osoby. Zrobił się hałas przy stole, zapomniano o mnie. — Chciałaby dusza do raj! Uważajcie, on zabierze ze sobą Besarabię, gdy będzie wracał do swojej Pipidówki!

Wytrzeszczałem oczy na jednych i drugich, starając się coś zrozumieć. Wujcio Teofil wstał i poprosił o ciszę:

— Dziękuję wszystkim za towarzystwo! Rozmowa jest bardzo interesująca, ale zapraszam do salonu na wieczorny koncert!

### Babcia Mena i babcia Nucia

W obrębie zabudowań tyrnowskiego pałacu, wśród wysokich drzew, otoczona parkanem, stała mołdawska chata. Mieszkały w niej dwie pomarszczone i sympatyczne babcie, których już tylko imiona pamiętam: Mena i Nucia.

Ich chata wydawała mi się podobna do tej z *Czerwonego Kapturka*, tyle że zamiast jednej babci były dwie. W środku domek był wygodny i gdy wchodziłem tam w zimie, otaczała mnie miła, ciepła atmosfera. Ogromne kaflowe piece grzały dzień i noc.

Dlaczego babcie mieszkaly przy tyrnowskim pałacu? Dlaczego w osobnej chacie, a nie w jednym z niezliczonych pałacowych pokoi? Czyje to były krewne? Podówczas wszystko wydawało mi się proste i naturalne, na myśl mi nie przyszło o coś takiego się pytać. Wiele lat minęło od tamtej pory i smutno mi pomyśleć, że nigdy już pewnie się nie dowiem, kto to były owe dwie samotne babcie.

Drzwi i okna ich chaty były małe. Między podwójnymi szybami widać było piękne kwiaty, wycięte z kolorowego papieru. Okna przysłaniały firanki z frędzlami ciemnoczerwonego koloru i jak damska bielizna wyglądały spod nich bielusińkie żaluzetki z koronkowym obrębem. Drewniane podłogi z świerkowych desek były pomalowane na czerwono. Meble, świeżo polakierowane, wyglądały jak zabaweczki w domu lalek. Krzątały się między nimi uśmiechnięte, gościnne babcie i witały czule, otaczając mnie atmosferą dobroci i życzliwości. Jakie były zadowolone, kiedy wpadałem do nich z wizytą! Otwierały zaraz szafy i spiżarnie pełne słoików z konfiturami.

— To ci smakuje? — pytały patrząc na mnie wyczekująco. I jeżeli zaraz nie odpowiadałem, dodawały: — Nie szkodzi, mamy też inną, jest z róży, lubisz?

Gdy wychodziłem z chaty, musiałem często popuszczać pasa. Mój pełen słodyczy brzuch odejmował mi apetyt przy obiedzie czy kolacji. Ojciec rzucał mi podejrzliwe spojrzenie i wołał:

---

\* *wozduch* (ros.) — powietrze

— Huncwocie! Znowuś był z wizytą u babć!

Przez chwilę miałem poczucie winy, ale szybko to przechodziło i gdy tylko mogłem, znów szedłem z wizytą do gościnnych babć. Lubilem tę czystą, prostą i serdeczną atmosferę małej chatki po wspaniałościach sąsiedniego pałacu. Gdy wchodziłem z ganku do salonu, rzucały mi się najpierw w oczy dwie ogromne szafy, tak duże, że sięgały do sufitu. Połyskiwały politurą na cennym drzewie.

— *Eto gdanskije szafy!*\* — mówiły babcie z dumą i pocierały kanty filcową ściereczką, by jeszcze bardziej błyszczały.

Zgrzytały wysokie drzwi i mogłem zerknąć do wnętrza podzielonego ciemnymi półkami, na których widniały stosy bielizny, czystej i gładko wyprasowanej. Cała szafa pachniała lawendą i spośród białych prześcieradeł wystawały żółta aromatycznych trawek. Między bielizną widać było kryształowe flakony z macerującymi się w spirytusie kwiatami białych lilii. Na samym dole, za stosem kolorowych serwetek, stały schowane słoiki z dereniową konfiturą, na którą rzucałem pożądliwe spojrzenia. Była schowana, abym zapomniał o niej trochę, gdyż wciąż tylko o niej myślałem, taka była doskonała.

Babcie krzątały się, rozmawiały ze mną, pytały, co się tam na dworze dzieje, gdy tymczasem rozkładały na stole czarnymi i czerwonymi krzyżkami wyszywany kanwowy obrus i kładły na nim talerzyk ze srebrną łyżeczką. Potem przysuwały krzesło i zapraszały, abym usiadł:

— Dzisiaj na jakie konfitury masz ochotę? — i czekały uśmiechnięte, gotowe zaspokoić każdy mój kaprys. — Możesz wybierać, są konfitury z róży, z moreli, ze śliwek węgierskich, z mirabelek, z brzoskwiń, z fig, z wiśni, z zielonych migdałów, z malin, z młodych orzechów, z porzeczek, z agrestu, z czarnej *smorodiny*, z poziomek, z truskawek, z melona, ze słodkich winogron, z dyni, z czereśni, z *klukwy*, z jarzębin, z kwiatu akacji, z brusznic, z borówek, z krymskich pomidorów, ze ślazu, z jabłek, z gruszek, ze złotych rajszych jabłuszek, ze słodkich buraków ogrodowych, ze skórki pomarańczowej, z cytryn, z pigwy... i... i... — po zaprezentowaniu tej niezwyklej kolekcji zatrzymywały się biedaczki, jakby im brakło już tchu, jakby w obawie, że jeszcze o czymś zapomniały. Rozkładały ręce... już więcej nie pamiętały. — Ach! Prawda! — wołały raptem uradowane i dodawały: — Jest jeszcze konfitura z dereniu! Chcesz?

Zbliżanie się zimy dawało mi okazję, aby odwdzińczyć się i pokazać babciom moją dobrą wolę i sympatię. Była to pora opatrywania okien na wielkie zimowe chłody i wiatry mroźne, które się zbliżały i zamieniały na kilka miesięcy bujne, południowe besarabskie ogrody w syberyjską tajgę. Okna były podwójne, jedno otwierało się na zewnątrz, drugie do wnętrza. W lecie otwierano wszystkie, ale na zimę zamykano je, zostawiając tylko dwa dla przewietrzenia mieszkania. Biorąc odrobinę mąki kartoflanej, z wprawą przygotowywałem słoik białawego kleju na kuchennej płycie. Potem, uzbrojony w wielkie nożyce, ciąłem pasy pakunkowego papieru i zaklejałem nimi porządnie wszystkie szpary w oknach. Między szybami układałem odrobinę siana albo watę rozłożoną płasko, przykrytą arkusikiem bibułki i związaną kolorowymi wstążeczkami. Aby zebrać wilgoć i uniknąć zamglenia szyb, używało się różnych produktów: węgla drzewnego ułożonego na tackach, kwasu solnego w szklaneczkach lub soli na spodeczkach. Dookoła przylepiałem kwia-

---

\* *Eto gdanskije...* (ros.) — To gdańskie szafy!

ty wycięte z kolorowego papieru, rozrzucałem groch albo farbowaną cieciorę dla ozdoby. Gdy ta artystyczna działalność była już skończona, zamykałem i zaklejałem okna wewnętrzne, ostrzegając babcię poważnym tonem, aby pamiętały, że ich nie wolno otwierać aż do wiosny.

— To mały Makowej opatrzył nam okna w tym roku! — mówiły potem z dumą, gdy ktoś przychodząc zwracał uwagę na moje dzieło sztuki.

Gdy kiedyś, idąc za swym przeznaczeniem, opuściłem wraz z ojcem naszą mołdawską ziemię, zabrałem ze sobą wśród tylu obrazów Besarabskiego życia, którego nigdy nie miałem zapomnieć, także i te dwie dobre, kochające babunie; jeszcze je widzę w tej małej, poetycznej chatce z limpacza, pod grubą strzechą, w zimie przysypaną śniegiem, z bliźniaczymi oknami ozdobionymi czerwonymi kwiatami z papieru. Nigdy więcej już o nich nie usłyszałem.

Chcę wierzyć, że dalej jeszcze prowadzą swoje ciche i proste życie w Tyrnowie mojego dzieciństwa.

... Wtedy miały chyba z dziewięćdziesiąt lat... A teraz?...

### Bał w rusiańskim pałacu

Pewnego dnia ojciec obwieścił nam podczas obiadu:

— Umyć się i ubrać czysto, macie całe poobiedzie, żeby się przygotować. Dziś wieczór jedziemy do Rusian na kolację i bal. Przyjechała komisja zakupów dla armii i wuj Strienkowski wydaje przyjęcie dla oficerów.

Dom napełnił się ruchem i krzątaniną. Dziewczęta biegały z dzbankami pełnymi wody, napełniały miednice, wylewały wiadra. Skrzypiały drzwi od szaf, w pralni prasowano pośpiesznie damskie bluzki i nakrochmalone kołnierzyki. Ciocia Modzia, uzbrojona w igłę, chodziła od jednych do drugich, przyszywała guziki, fastrygowała rozprucia, dawała rady. Raptem do jadalni wpadł ojciec, z wiszącymi szelkami, które wóczyły się za nim po ziemi. Na twarzy miał bindę zaczepioną o uszy, dla zaprasowania i uformowania czarnych, zawadiackich wąsów. Wydał mi się tak komiczny, że wybuchnąłem śmiechem, lecz zamilkłem natychmiast, przerażony własną bezczelnością.

O szóstej zajechał wielki faeton prowadzony przez Jukuba i zatrzymał się przed frontowym gankiem. Zdębiałem, gdy wszyscy wyszli przed dom, przygotowując się do wsiadania. Nikt nie był podobny do siebie samego; aż owczarek Turok zaczął szczekać, ale jednocześnie merdał ogonem, bo wiedział dobrze, że to my. Panie, zamiast fartuszków, miały wspaniałe długie suknie z mnóstwem falbanek, sutaszków, koronek, a na głowach kapelusze o wygładzie koszów pełnych kwiatów i owoców. Ciocia owinęła dookoła szyi jakiś dziwny szal, najeżony piórami strusimi, i wyglądała jak kogut przygotowujący się do walki. Munio stawiał wielkie kroki w swych wspaniałych butach z połyskującymi wysokimi cholewami, naciągniętymi na kremowe bryczesy, który to strój uzupełniał surdut z turkietańskiej czesuczy. Najdziwniej ze wszystkich prezentował się mój ojciec: miał na sobie jakiś czarny strój, powycinany ze wszystkich stron, z białą, połyskującą blachą na piersiach i dwoma czarnymi ogonami, które wisiały mu z tyłu, jak u jakiegoś żuka. Znowu napadł mnie szalony śmiech; tym razem już nie do powstrzymania.

— Śmiesz się z mojego fraka? — spytał ojciec, wcale nie rozgniewany. — He, he! Nie wiesz, jaki ty sam jesteś śmieszny w swoim marynarskim przebraniu!

Umilkłem zawstydzony. Wylazłem na kozioł, koło Jakuba, aby móc dobrze obserwować nasze najlepsze konie, Orlika i Sokoła. Już mieliśmy ruszyć, gdy pokazał się dziadzio Aslan i kiwając po przyjacielsku ręką na pożegnanie, zawołał:

— Żebyś was nie widział z powrotem przed wschodem słońca!

Pałac rusiański był pięknym budynkiem, z daleka już widocznym pośród zieloności parku. Ściany jego, ozdobione białymi gzymsami, parapetami, łukami i kolumnami, zadziwiały moje oczy, przyzwyczajone do widoku białych chat, swoim kolorem bordoskiego wina. Wewnątrz był przestronny, ogromny. Trzeba było wielu, wielu kroków, aby przejść z jednej sali do drugiej, uważając, żeby się nie pośliznąć na wypolerowanych i misternie z różnych deszczułek składanych parkietach. Dziadzio Strienkowski przyjął nas sucho i nie zwracając uwagi na innych, od razu zwrócił się do mnie:

— Jakie to są drzewa? — spytał, świdrując mnie siwymi oczami spod siwych brwi.

Wiedziałem już, o co mu chodzi, poza tym znałem te deszczułki doskonale. Wyrecytowałem więc jednym tchem:

— Deseczki białe są z jawora, gliniaste z dębu, te tutaj — mówiąc to rzuciłem się na kolana i pokazywałem palcem na parkiecie — są z kasztana jadalnego, te inne są bukowe, te czarne z hebanu, a te ostatnie — tu zawałęm się trochę, patrząc na dziadzia, któremu broda, widziana z dołu, zasłaniała całą twarz — te koloru *françois* są mahoniowe! — dokończyłem z ulgą, jak na egzaminie.

— Co znaczy „*françois*”? — spytał dziadzio zdziwiony.

— On chce powiedzieć: czekoladowy — wtrąciła Mlle Juliette i zaśmiała się nerwowo. — Widział czekoladę w Odessie w cukierni „*Chez François*”.

Podczas tych wstępnych formalności przed purpurowy pałac zajeżdżały bez przerwy powozy, zaprzęgi i goście wchodzili do wyłożonego tym moim parkietem wielkiego westybulu. Pan Strienkowski zajął się witaniem gości; rzuciłem się i ja w ten ludzki nurt i odpłynąłem w głąb pałacu. Nasze skąpańskie stroje straciły oryginalność, zmieszane z tyloma innymi podobnymi i jeszcze świetniejszymi. Wszystko tam było: popie sutanny, mundury wojskowe ze złożonymi epoletami i błyszczącymi medalami, jedwabne damskie suknie z koronkami i haftami, czarne fraki z białymi gorsami, ponad którymi widać było zadzierzyste wąsy i rozwiane brody; pyszniły się aksamity, błyszczały klejnoty i ostrogi. Bal miał zacząć się o dziesiątej, o ósmej więc zasiedli wszyscy do kolacji w wielkiej jadalni rusiańskiej. Stół był długi i siedzący przy nim ludzie tworzyli wokół wieniec kolorowych plam, podczas gdy na śnieżnej powierzchni obrusa połyskiwały srebra i kryształ. Na głównym miejscu zasiadł dziadzio w mundurze pułkownika, mając po swojej prawej ręce ogromną panią Rozynę. Rodzice byli dość daleko, a na szarym końcu, między młodzieżą, posadzono mnie. Weszli lokaje we frakach i zaczęwszy od dziadzia, podawali z dwóch stron stołu. Patrzyłem na wazę z zupą. Nachylała się przed każdym biesiadnikiem, chochła pograżała się coraz głębiej, w miarę jak waza zbliżała się do nas.

— Nie starczy dla nas! — rzuciłem szeptem, ale tak, by mnie słyszeli rówieśnicy.

— Wody doleją, nie martw się! — odpowiedział Mitia.

Gdy lokaj Józef zbliżył się do mnie, zerknąłem w głąb wazy: jeszcze coś tam było. Nalał mi do talerza czegoś dziwnego, szarego. Wyglądało to jak rozdrobnione siano. Podniosłem łyżkę do ust i nie odważyłem się przełknąć; zapach był dziwny. To mi nie wyglądało na jedzenie. Odsunąłem talerz z okrzykiem:

— Ja tego nie jem!

Nie wiem jak, bo dziadzio był daleko, ale jednak mnie usłyszał. Zrobił ruch ręką i gdy ucichły rozmowy, zmarszczywszy brwi, rozkazał ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem:

— Jeśli gardzisz kupą z jaskółczych gniazd, nic tobie tu smakować już nie może! Wstań! Ukłoń się! Idź do swego pokoju bez kolacji, może jutro nabierzesz apetytu!

Rodzice patrzyli to na mnie, to na dziadka, ale nic nie powiedzieli. Inne osoby, zdziwione tak ostrym skarceniem, próbowały wstawić się za mną. Nie czekając na ulaskawienie, wstałem obrażony, ukloniłem się i wyszedłem. Podczas gdy siedziałem, żując gorycz, w małym pokoiku, gdzie ułożono nas razem z Muniem, otworzyły się drzwi i przyciskając serwetkę do piersi, jakby tam coś chowała, weszła ciocia Modzia:

— Biedaku! Nie bierz tego tak do serca! Nic nie mogłam ci przynieść, bo wszyscy patrzyli! Ale nie martw się, idź, połóż się!

Pierś napełniła mi się wściekłością i goryczą i rzuciłem się na ciocię:

— Tak! Teraz kładź się! Nawet kawałka mamałygi mi nie dali w tym zasn... — dostałem czkawki — pał... acu! Ja wronich... gniazd nie... będę jeść!

Gdy zbudziłem się na drugi dzień, wesołe słońce wpadało przez okno i nie było już śladu po smutkach poprzedniego wieczora. Łóżko Munia było nietknięte. Odgłosy muzyki tanecznej dochodziły aż do mojego pokoju. Ubrałem się i z lekkim żołądkiem zbiegłem na dół. Pierwszy salon był pusty. Parkiet połyskiwał pięknymi wzorami, a dookoła ścian biegły rzędy delikatnych, złożonych krzesełek, wybitych szafirowym atłasem. Kto widział *Bal kadetów*, balet Liszina, łatwo może sobie ten rusiański salon wyobrazić. W następnym salonie było sporo par, obracały się nieznuzenie w takt muzyki. Żyrandole jeszcze się świeciły, ale światło dzienne surowo sądziło wygląd tańczących. Wąsy panów były mniej zadzierzyste, na twarzach znać było zmęczenie, nosy pań połyskiwały, a z fryzur zwisały kosmyki włosów. Najlepiej wyglądał kuzyn Rudolf, wesoły, pełen animuszu, roześmiany. Na wizytach, ucztach, przyjęciach i balach czuł się jak ryba w wodzie. Otworzył się wielkie podwoje i weszli lokaje, roznosząc na tacach czerwony, klarowny barszcz w filiżankach. Józef patrzył pobłaźliwie, jak wypijałem duszkiem aż trzy, aby zapełnić trochę pusty żołądek.

— Czardasz! Czardasz! — rozległy się wołania.

Zaczęły ustawiać się pary. Na przedzie stanęło kilku huzarów cesarskich, dzwoniąc ostrogami i orderami. Na obcisłych spodniach niebieskiego koloru mieli wyszyte czarne i czerwone parzenice, a z ramion spływał im piękny dolman janczarskiego stylu, ze szkarłatnego tesalonickiego sukna, ozdobiony złożonymi akselbantami, plecionkami i pasmanterią.

Zabrzmiała słodka muzyka, powolna i melancholijna. Na chwilę zapadła cisza. To był *lassu*, wstęp, zaproszenie do czardasza. Oficerowie objęli prawą ręką swoje partnerki, opierając zawadiacko lewą na biodrze; uniesiony na ramieniu dolman rozchyłał się na wyszamerowanej piersi.

Po *lassu* zagrzmiała *friska*: czardasza część właściwa. Ruszyły pary z impetem. Fruwały spódnice, podnosiły się dolmany w powietrzu, połyskiwały

temblaki i dzwoniły ostrogi w takt dwóch czwartych. Każda para tworzyła wir kolorowy, którego osią i motorem był zadzierzysty, siarczasty huzar. Tempo utrzymywało się tak ostre, że partnerka porucznika Zubowa wyrwała mu się w gwałtownym zawrocie i nie przestając kręcić się jak fryga, poleciała w głąb salonu, pędzona własnym rozmachem.

Około południa wróciliśmy do Skajan. Kuzyn Rudolf, młody i elegancki student lwowskiego uniwersytetu, był pod wrażeniem rusiańskiego balu, komentował, podziwiał i nie był w stanie mówić o czym innym.

— I ten parkiet! — wykrzykiwał. — I te złożone krzeselka!

Usłyszał to dziadzio Asłan.

— Wiesz, do czego służą te dwie rzeczy? — zapytał Rudzka. — Ja ci powiem: pierwsza, żeby się popisywać; druga, żeby krytykować. Oba złe uczynki, których należy unikać.

## Wyścig

W owym czasie pociąg był na Besarabii rzeczą znaną. Linia kolejowa prowadziła z Odessy przez Kiszyniów, Bielce, Caul i przechodziła przez Tyrnowo. Byliśmy już przyzwyczajeni do widoku wagonów ciągniętych przez lokomotywę z kominem, nad którym unosił się długi pióropusz dymu. Przechodziły też do Tyrnowa pociągi towarowe, które na bocznicę zostawiały puste wagony. Niezliczone ilości *karów* zmierzały wtedy ku stacji, wioząc ziarno, buraki cukrowe lub bydło. Gdy wagony były już pełne, przyczepiano je do innego pociągu i wyruszały w drogę do swojego dalekiego celu. Zналиśmy też pociągi osobowe. Zatrzymywały się na chwilę w Tyrnowie, a maszynista zszedł z lokomotywy, żeby porozmawiać z naczelnikiem stacji. Zawsze zdążaliśmy na czas do pociągu; raz nawet ojciec zatelefonował na stację i pociąg na nas uprzejmie poczekał.

Pewnego dnia usłyszeliśmy wiadomość niezwykłą: miano zainaugurować kurs pociągu ekspresowego.

— Co to takiego? — spytałem zdziwiony.

— Ekspres — rzekł ojciec profesorskim tonem — to jest pociąg pasażerski, który jedzie z wielką szybkością i nie zatrzymuje się na małych stacjach.

— Lecz w Tyrnowie — zawołałem — będzie musiał się zatrzymać?

— Ale skąd! — odpowiedział ojciec. — Dla dykcji Južno-Zapadnoj Żeleznoj Dorogi Tyrnowo jest małą stacją bez żadnego znaczenia. Jestem pewien, że ekspres u nas nie będzie się zatrzymywał!

Zamilkłem, zaskoczony. Tyrnowo wydawało mi się najważniejszym miejscem na całym świecie. To jakiś kiepski będzie ekspres — pomyślałem — jeżeli nie będzie stawał w Tyrnowie.

— *Pustiaki!* \* — zaopiniował dziadzio Asłan. — Najważniejsze, że będziemy mieć ekspres, tak jak inne gubernie. I ważne osobistości będą jeździć naszą linią!

Ekspres miał przejechać po raz pierwszy następnego dnia. Zamiast pojechać jak zwykle na *odaie*, wyruszyliśmy wszyscy do Tyrnowa i ustawili-

---

\* *Pustiaki!* (ros.) — Drobiazgi!

śmy się wzdłuż toru, koło przejazdu, aby zobaczyć ten nowy wynalazek, symbol nowych, nadchodzących czasów. Było piękne, typowe besarabskie popołudnie. Nie ruszała się ani jedna trawka, ani jeden listek na drzewie, a mimo to upał nie był duszący. Słońce pochylało się już ku widnokręgowi i w panującej ciszy czysto dźwięczały dalekie głosy, porykiwanie bydła schodzącego z pastwisk na wieczorny udój. Wydając ostre piski, przelatwały nad naszymi głowami jaskółki, w pogoni za kłębiącymi się w powietrzu muszkami. Wyciągaliśmy szyje patrząc w stronę Cauła, gdzie na zżętych już polach pobłyskiwała słoma wysokich ściernisk, rzucając złotawą poświatę.

Wysilając wzrok, dojrzałem małą plamkę, która zdawała się zbliżać. To był ekspres! Po chwili już widać było wyraźnie lokomotywę i czarną grzywę dymu wlekącą się za nim. Besarabskie lokomotywy miały swoistą sylwetkę z powodu swoich kominów. Nie kończące się łąny dojrzałych zbóż, długie letnie susze stwarzały stałe niebezpieczeństwo pożarów wzdłuż toru. Pierwsze lokomotywy wyrzucały z dymem iskry, płomienie i rozpalone węgielki. Wielu godzin i dni trzeba było potem, ażeby ugasić rozniecone pożary, zagrażające nawet stepowi. Aby temu zapobiec, dyrekcja rosyjskich kolei wprowadziła do eksploatacji specjalne lokomotywy z wodnym filtrem u podstawy komina, który już nie wyrzucał iskiek na zewnątrz.

Podczas gdy ojciec dawał nam te objaśnienia, ekspres zbliżył się znacznie i pędząc z niezwykłą szybkością przeleciał przed nami z hukiem i łoskotem. Zadrżała ziemia pod nogami i owiał nas tuman kurzu, w którym fruwały żdźbła słomy, porwane prądem powietrza. Cofnąłem się kilka kroków. Tymczasem ekspres znów już stał się tylko małą plamką w dali. Wróciła cisza i spokój wieczorny. Ruszyliśmy w kierunku stacji, aby sprawdzić, czy przypadkiem ekspres się nie zatrzymał.

— Nie zatrzymał się i nigdy się nie zatrzyma! — odpowiedział naczelnik stacji, ubrany w białą, letnią rubaszkę i czerwoną furażkę na głowie. — Bóg świadkiem, że dla mnie posiadłość Teofila Antonowicza jest najpiękniejszą, jaką znam. Na nieszczęście, dyrekcja naszej kolei uważa kategorię tej stacji za minimalną!

To przemówienie zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Ale co znaczy „minimalna”?

— Znaczy mniejsza, gorsza, nędzniejsza od innych! — wytłumaczył mi Rudzko, złośliwie kładąc nacisk na każdy epitet, by nasze Tyrnowo poniżyć. — Ach! Żeby to było w Austrii, inaczej by ta sprawa wyglądała!

Jak nasze Tyrnowo mogło być najgorsze ze wszystkich? Nie mieściło mi się to w głowie. Popatrzyłem na Rudzka z niechęcią.

— Chyba że wielmożny pan... — rzekł naczelnik z ukłonem w stronę Teofila Antonowicza — poprosi o zmianę kategorii naszej stacji! Wielmożny pan jest przyjacielem gubernatora i zna tylu generałów, że oni na pewno by to zrobili, kazaliby wybudować jeszcze jeden tor i ekspres zatrzymywałby się na naszej stacji — z wielką korzyścią dla całej okolicy.

Minęło parę tygodni. Ekspres kursował normalnie i codziennie przejeżdżał przez Tyrnowo około szóstej wieczór, nie zatrzymując się. Aż pewnego dnia...

Wpadł na podwórze wuj Teofil, galopując na tak pięknym arabie, że zbiegła się cała wieś, aby go podziwiać. Zeskoczył z siodła gracko i rzucił cugle Jakubowi, który wybiegł naprzeciw. Zawoławszy ojca wszedł do salonu i zaczął przechadzać się z rękami skrzyżowanymi na plecach. Ja wśliznąłem się za nimi i przysiadłem na krześle koło drzwi, by się przysłuchiwać.



— Słuchaj, Leon! Ty wiesz, że ja mam najlepsze konie w całej okolicy? Otóż chcę to udowodnić! Ten ekspres jedzie szybko, ale moje konie go przegonią! Co ty o tym myślisz?

Ojciec pokiwał głową, jakby z powątpiewaniem, ale nic nie powiedział. Wuj Teofil przeszedł na drugą stronę salonu i odwrócił się:

— Wiesz, że między Caułem i Tyrnowem — ciągnął dalej — droga jest prosta jak strzelił, równoległa do toru, prawda? Wezmę dwa z moich najlepszych arabów, zaprzęgnę je do tego lekkiego tilbury, ustawię się koło Cauła i gdy ekspres ze mną się zrówna, wypuszczę się galopem. Ta prosta droga ma z sześć wiorst, zobaczymy, kto pierwszy przyleci do tyrnowskiej stacji! Ja czy ekspres? Co o tym myślisz?

Ojciec nie śpieszył się z odpowiedzią. Znow pokiwał głową, widać było, że projekt mu się nie podoba.

— Słuchaj, Teofil — rzekł wreszcie, jakby szukając słów — to jest niebezpieczne... konie ci się mogą spłoszyć, kiedy maszynista puści parę. Przy tej szybkości na każdym dołku można koło złamać. Możesz zjechać z drogi do rowu. Może się przewrócić twój tilbury, kark możesz skrócić! I po co to? Żeby pokazać, że maszyna parowa nie jest tak szybka jak koń? A czyż ty jesteś wrogiem maszyn parowych? Przecież sam niejednej używasz do młoczek i do innych robót na twoich *odajach*! Zostaw je w spokoju!

Najwidoczniej te słowa nie podobaly się wujowi. Jasne było, że powziął już decyzję. Obrócił się w stronę drzwi i jeszcze tylko krzyknął, jakby na pożegnanie:

— Słuchaj! Jeżeli nie chcesz stracić tego widowiska, to przyjedź jutro o szóstej wieczór na linię kolejową, gdzieś między Caułem a Tyrnowem. Ale gdybyś był tak dobry i zechciał mi pomóc, tobyś stanął koło tyrnowskiej stacji jako sędzia ze stoperem i mierzyłbyś czas mój i ekspresu! — Po czym wyszedł przed dom, wsiadł na konia i zniknął w tumanie kurzu.

Przy obiedzie tylko o tym się mówiło. Wyścig między lokomotywą i końmi? Ten nowy pomysł wujcia Teofila zdumiał wszystkich. Ale ojciec był oburzony:

— Ten człowiek nigdy nie przestanie! — wołał machając ręką. — Ciągle musi wymyślać coś nowego! Teraz chce zwyciężyć lokomotywę! To szaleństwo!

— Nie gadaj głupstw, Leon — zabrzmiał bas dziadzia Asłana. — Czyż nie ma Teofil stadniny znanej w całej okolicy? Czyż nie jest naturalne, że chce wszystkim pokazać szybkość swoich arabów? I dlaczego by nie? Czy gdy gania konno po polach i wertepach z chartami lub *wołkodawami*, nie może jeszcze łatwiej karku skrócić? Możesz zrobić, co chcesz, ale ja jutro pójdę, nawet bez ciebie, zobaczyć ten wyścig.

Wszyscy obecni zaczęli protestować i zgodnie postanowili, że nie pójdą przyglądać się podobnym wariactwom. Ale następnego dnia przed szóstą wszyscy spotkali się na linii wyścigu. Wzdłuż toru widać było wiele powozów, jeźdźców i pieszych z różnych stron. Był tam mój ojciec chrestny, szef tyrnowskiego szpitala, aptekarz rządowy z żoną, był *pristaw*, *urządnik* i kilku policjantów, straż pożarna, pracownicy ze dworu, stelmach, cieśla, kowale i ludzie ze wsi. Przyjechała z nami ciotka Modesta, Mlle Juliette, obok zgromadziła się rodzina wujcia Teofila i różni sąsiedzi, bliźsi i dalsi. Zobaczyłem też kilku oficerów i *dienszczyków* z bieleckiego pułku kawalerii. Przyjechaliśmy dość wcześnie i zaraz zaczęły się dyskusje: gdzie jest najlepsze miejsce, pozwalające dobrze widzieć cały wyścig. W tym momencie pokazał

się lekki, elegancki tilbury, polakierowany na czarno, z dużymi żółtymi kołami, których szprychy rzucały błyski obracając się w słońcu. Ciągnęły go dwa przepiękne młode araby z rozwianymi ogonami. Podnosząc wysoko, pełnym elegancji ruchem, przednie nogi, wykonywały popisowy taniec, defilując powoli, drepcząc prawie w miejscu, wyginając szyję i rzucając na nas ogniste spojrzenia. Zabrzmiały okrzyki podziwu i wszyscy zaczęli okłaskiwać Teofila Antonowicza, który w jednej ręce trzymał naprężone lejce, a drugą machał do nas po przyjacielsku. Pod białym panamskim kapeluszem czerniała jego szeroka broda. Oddalił się w stronę Cauła, ażeby zająć miejsce na starcie.

— Chodźmy! — zawołał ojciec.

Wsiadłem do powozu i ruszyliśmy w stronę stacji. Tam ojciec przywiązał lejcami konie do jednej z tych czterech wysokich topól, które do dziś jeszcze rosną przed tyrnowską stacją. Po czym podeszliśmy kawałek, wzdłuż torów, aż do zwrotnicy. Stąd mogliśmy obserwować i tor, i drogę bez przeszkód — prawie do samego Cauła. Ojciec usiadł na dźwigni zwrotnicy i wyciągnął z kieszeni chronometr.

— Uwaga! — zawołał — brakuje zaledwie kilku minut do przyjazdu ekspresu!

Patrzyłem bez przerwy w górę toru i wytrzeszczałem oczy, w nadziei że zobaczę coś na tej drżącej linii, gdzie ścierniska odcinały się od szarego błękitu nieba. Wtem ukazał się czarniawy punkcik, coś jakby żuczek leżący po ziemi.

— Idzie pociąg! Ekspres! — wrzasnąłem podniecony, pokazując palcem daleki punkcik na horyzoncie.

— Pociąg czy konie? — spytał ojciec.

Nie można było jeszcze rozróżnić. Po chwili usłyszałem jednak jakiś szum, jakby ciężki oddech koni ciągnących załadowane szarabany. A może to była lokomotywa? Czarny punkcik zaczął rosnąć coraz bardziej, wreszcie zobaczyłem wyraźnie smugę dymu falującego nad pociągiem jak czarna wstążka. Ale obok widać było jakąś plamę jaśniejszego koloru.

— To chmura kurzu wokół zaprzęgu Teofila! — krzyknął ojciec. — Patrz! Zdaje się, że i jeden, i drugi wałą z tą samą szybkością!

Opanowało mnie wielkie podniecenie. Podskakiwałem w poszukiwaniu czegoś wyższego, by się gdzieś wysoko usadowić. Ojciec wstał, a ja wdrapałem mu się na ramiona. Nic nie powiedział, tylko złapał mnie za nogi, aby zabezpieczyć mnie przed upadkiem.

— Co widzisz tam z góry? — zawołał. — A nu! Opowiadaj!

— Widzę...

— Cóż widzisz? Mów!

— Widzę... nie wiem, co widzę...

— Rzeczywiście, warto cię trzymać na karku! Wiesz, ile ważysz?

Podczas gdy tak sprzeczaaliśmy się, daleka i tajemnicza rzecz zbliżyła się znacznie. Teraz już można było rozróżnić szczegóły. Były dwie chmurki: jedna czarniawa i nieprzeźroczysta, druga szarawa i pobłyskująca w słońcu. Ledwie poczyniłem te obserwacje, gdy usłyszałem galop koni. Galop huraganowy, coraz potężniejszy, huk kopyt wbijających się w ziemię, która zadrzęta przerażona, przenosząc na nas wstrząs kataklizmu. Ogarnęła nas lawina wiatru, kurzu, potu i bryzgów piany. Jak strzała przeleciał przed naszymi zmrużonymi oczami Teofil Antonowicz, panując, jakby bóg szybkości, nad tą rozkiełzaną burzą. Arabi gnały jak wiatr, a on siedział spokojny,

wyniosły, uśmiechnięty. Narzutka z czarnego jedwabiu trzepotała, miotana podmuchem. Skinął po przyjacielsku, jakby chciał nam powiedzieć, że wszystko w porządku, i zniknął w tumanie kurzu.

Jaki wielki! Jaki niezwykle był wuj Teofil! Zacząłem skakać i krzyczeć z radości, bo było jasne, że ekspres został w tyle.

— Urra! Wygraliśmy! — wrzeszczałem podniecony do najwyższego stopnia. Ojciec prędko pozbył się swego ciężaru, stawiając mnie na ziemi. Krzyknął:

— Stój spokojnie! Dość sińców już mi narobił! Przestań kopać!

Ale przerwał mu ekspres, który teraz dopiero nadleciał. Cofnęliśmy się instynktownie parę kroków, przerażeni łoskotem wagonów, które prawie się o nas otarły. W oknach tłoczyli się ludzie i machali do nas rękami. Z wielkim zdziwieniem zauważyłem, że ekspres zaczął hamować, przeszedł przez zwrotnicę zwalniając i potem usłyszałem wyraźnie przeraźliwy zgrzyt hamulców, które uwięziły koła. Potoczył się jeszcze trochę, gnany potęgą rozpędu, i wreszcie stanął, dokładnie przed tyrnowską stacją.

— A cóż to się dzieje?! — zawołał ojciec zaskoczony. — Chodźmy prędko na stację!

Gdy przybiegliśmy, ujrzeliśmy już nieruchomo stojący ekspres; lokomotywa wypuszczała w górę cienką, białą strużkę pary, jakby odpoczywała po ukończonym wyścigu. Na peronie stał na baczność naczelnik stacji, który salutował po wojskowemu pod kazirok, nie odważając się odjąć ręki od czerwonej furazki z czarnym błyszczącym daszkiem. Pasażerowie zapychali szczelnie okna, machając rękami, powiewając czapkami i chusteczkami, krzycząc:

— Urra! Urra! Niech żyje czarny jeździec!

Za naczelnikiem, na peronie, widać było tylko dwie osoby, na których koncentrowały się wszystkie spojrzenia: mój wuj i jakiś imponujący wojskowy, ze złotymi epoletami, z piersią błyszczącą od orderów. Ściskali sobie ręce, potrząsali nimi, rozmawiając o czymś z ożywieniem.

— Ekscelencjo! — rzekł drżącym głosem naczelnik stacji. — Jest to wielki honor dla tyrnowskiej stacji, że ten wielki ekspres... że wasza ekscelencja... raczyli się zatrzymać na... na naszych nędznych torach!

Zbliżyliśmy się. Był to generał-gubernator besarabskiej guberni, który z okna swojej salonki przyglądał się niezwykleму wyścigowi. Widząc wspaniałe araby, którymi brawurowo powoził sportowiec pełen zapału, kazał zatrzymać pociąg, aby poznać osobiście tego ognistego kawalera, odzianego w czarny jedwab. Teraz wuj mu objaśniał różne szczegóły wyścigu.

— Wasza ekscelencja — rzekł — zrobił mi wielki honor, za który jestem wdzięczny. Moje skromne konie nie zasługują na taką łaskę!

— Całe życie byłem miłośnikiem tych szlachetnych zwierząt! — odpowiedział generał. — Kto żywi dla nich podobną miłość, jest moim przyjacielem. Nie miałem przyjemności znać szanownego pana do tej pory. Ale teraz proszę o przyjęcie zapewnienia mojej przyjaźni i wyrazów podziwu dla tego niezwyklego wyczynu, którego pan dokonał. Według mojego obliczenia wyprzedził pan ekspres na tym prostym odcinku o dwanaście sekund. To jest wyczyn niesłychany i gdy będę na petersburskim dworze, nie omieszkam poinformować kogo należy o tej wspaniałej arabskiej rasie z tyrnowskiej stadniny.

— Ekscelencjo — ciągnął dalej wuj Teofil — po tak szarmanckim początku nie może wasza wysokość odjechać, nie uhonorowawszy swoją obecnością mojego skromnego domu!

Gubernator zastanowił się chwilkę, po czym uczynił gest wskazujący na powziętą decyzję. Skinął na adiutantów:

— Wyładujcie bagaże! Wsiadajcie wy też, razem ze mną! — I zwracając się do naczelnika stacji, dodał: — Zatelefonujcie do Kiszyniowa, żeby jutro ekspres też zatrzymał się w Tyrnowie, gdzie wsiądę, by jechać dalej.

*Dienszczycy* zaczęli wyładowywać walizki i teczki, wreszcie wynieśli duży samowar, buchający iskrami i parą, jakby był podniecony jeszcze wyścigiem, w jakim wypadło mu mieć swój udział.

Wuj Teofil przyjacielskim ruchem wziął generała pod rękę i poszli razem podziwiać zwycięskie araby, które strzygły uszami i grzebały niecierpliwie kopytami, jakby chciały rozpocząć nowy wyścig.

## Pożar stepu

Słoma, słoma... słoma... i jeszcze słoma! Rzeki, morze słomy! Leżała rozwłoczona nogami zwierząt na ziemi, tworzyła grubą ściółkę w oborach, stajniach i chlewach, znikająca pod lokomobilą i w piecach, piętrzyła się w ogromnych jak drapacze chmur stertach, widocznych z dala na horyzoncie. Nikt nie wiedział już, co wymyślić, co zrobić z tym zalewem słomy, który płynął fala za falą. Zboża wyrosłe na bogatym czarnoziemiu były bujne, wysokie. Słomiany kapelusz dorodnego mężczyzny nie wystawał ponad kłosa, które dumnie wznosiły się i kołysały nad głową, jak gdyby świadome tego, iż kryją w sobie najlepszą pszenicę świata.

Z rozpoczęciem młocki zaczynała płynąć złota rzeka słomy. Aby zmniejszyć ten wylew,stawiano noże żniwiarek wysoko, na arszyn od ziemi. Duża część słomy zostawała więc na ściernisku, ale i tak jeszcze snopy były gigantycznych rozmiarów, a sterty mnożyły się i rosły ku niebu.

Na jesieni, przed orką, trzeba było wypalać te ścierniska, aby pług mógł wejść w ziemię. Widnokrąg ożywiał się czerwonymi blaskami, powietrze pachniało dymem dzień i noc. Kiedy zbliżałem się do ognia, w momencie gdy wiatr dmuchnął, porywały się z ziemi płonące żdźbła i warkocze wonnego szarego dymu starały się mnie opleść, wciągnąć w płomienie. Wieczorem pod ciemnymi dymami pełgały pomarańczowe języki ognia. Czasem pożar przenosił się na pobliski step i raz po raz rozpalały się z trzaskiem ogniste kandelabry, gdy płomienie pięły się węzowym ruchem na burzany i bodiaki. Był to widok niezapomniany... płonęły ścierniska, płonął step, cała ziemia szeroka i długa, płonął horyzont i płomienie wznosiły się aż do nieba, gdzie co chwila zapalała się jakaś chmurka.

Czasem na jakimś polu pozostawały jeszcze nie zebrane snopy, poskładane w kłanie, których rzędy biegły równo w dal, pochylone jak żołnierze idący do ataku. Na szczycie każdej kopy leżał pochylony w jedną stronę snop, który spełniał ważną rolę w czasie deszczu. Ojciec pilnował, aby wszędzie ten szczytowy snop był jednakowo dobrze ustawiony; nadawano kłani sylwetkę pochylonej kobiety.

— *Kłania kłaniajetsia* — mówił ojciec mentorskim tonem do pracujących ludzi.

Gdy pożar się zbliżał, sprowadzano kosiarki, konne grabie i w mig wycinano szeroki pas „ziemi niczyjej”, aby kłanie od ognia odgrodzić.

Gdy płonął step, wyjeżdżaliśmy konno w pole, by przyglądać się temu niezwykłemu widokowi. W nocy dym przysłaniał gwiazdy, czasem przeglądał przezeń księżyc, nabierając koloru pieczonego indyka. Gdy owiewały nas gorące podmuchy, przerażone bliskością ognia konie stawały dęba lub odwracały się tyłem, przysiadając na drżących nogach. W olbrzymim kotle płomieni rozlegały się trzaski i długie gwizdy, jakby z przekłutej opony. Wydawało mi się, że to westchnienia jakichś ginących istot. To, co było dla nas widowiskiem, stanowiło tragedię dla biednych zwierząt mieszkających w stepowych chaszczach. Oszałałe z przerażenia stworzenia, nie bacząc na obecność groźnych ludzi, wyskakiwały nam spod nóg i pędziły w dal, dobrze widoczne na wypalonej przestrzeni. Nieraz widziałem, jak biegle wilki współ z zającami lub lisy z dropiami, które kłusowały z godnością, kołyszac się jak strusie. Łatwo było wtedy urządzić myśliwską hekatombę. Ale dubeltówki i psy zostawiało się zazwyczaj w domu. Groza żywiołu przygluszała normalne zwierzęce instynkty i w obliczu kataklizmu rodziła się solidarność między drapieżnikiem i jego ofiarą. Czuły to wilki i lisy, i najzapaleńsi myśliwi. W gruncie rzeczy my też czuliśmy głuchy niepokój na widok tego morza płomieni, które groziły zniszczeniem otaczającego nas świata...

### Indyk Musztułek

W naszym skajańskim domu kuchnia była oddzielona; znajdowała się po drugiej stronie gospodarskiego podwórza, w odległości jakichś czterdziestu kroków. Prowadziła do niej dróżka wyłożona kamiennymi płytami, niezwykły luksus w naszej okolicy, gdzie nie było kamieni. Ciocia Modzia, wówczas pięćdziesięcioletnia kobieta w pełni sił, przebiegała tę dróżkę wiele razy w ciągu dnia, nie okazując zmęczenia. Ale od pewnego czasu pójście do kuchni stało się dla niej prawdziwym problemem.

Na gospodarskim podwórzu pełno było drobiu, gołębi, psów, które to zwierzęta czuły się tam jak właściciele terenu. Mielśmy wtedy też indyka zwanego Musztułkiem, którego wygląd, gdy się rozsierzdził, był wspaniały: ptak roztaczał ogon na kształt koła, opuszczał skrzydła i z chrzęstem wóczył nimi po ziemi; krew napływała mu do głowy i rzucał wojenny okrzyk. Nie było psa ani najbardziej nawet odważnego koguta, który by się nie cofnął przed tak przerażającym i groźnym przeciwnikiem.

Wiele razy w ciągu dnia przebiegałem przez podwórze, nie zwracając specjalnej uwagi na indyka. Nie wiadomo, dlaczego wojowniczy Musztułek obrał sobie za ofiarę ciocię Modzię. Ledwie się pokazała na kamiennej dróżce, choćby był daleko, nadbiegał szybko jak strzała i z wrzaskiem i biciem skrzydłami rzucał się do ataku. Ciocia Modzia nosiła wtedy długie spódnice obszyte u dołu szczoteczką, która zamiatała kurz, podczas gdy całość falowała w bogactwie różnych szmerów i szelestów. Musztułek nie mógł tego znieść i chyba dlatego starał się ciocię zadziobać.

— Jeżeli nie zabierzecie tego indyka — skarżyła się ciocia — on mnie zabije! Któż będzie was żywił, gdy mnie nie będzie? Moje nerwy tego nie wytrzymają! Nie mam odwagi wyjść na podwórze!

Zazwyczaj salwa śmiechu odpowiadała na te biadania. Mimo że kochałem ciocię, ja też się śmiałem. Nie mogłem pojąć, że osoba dorosła, której ja musiałem słuchać, mogła się bać jakiegoś tam indyka!

Pewnego dnia ojciec znalazł się przypadkiem na terenie popisów Musztułuka. Stał przed beczkowozem i zapytał o coś woziwodę. W tym momencie otworzyły się oszklone tylne drzwi domu i ukazała się ciocia Modzia. Włócząc spódnicą po ziemi szła szybko, aby dojść jak najprędzej do kuchni, zanim się spostrzeże pilnujący podwórza indyk. Ledwie zdołała przejść pół drogi, nadbiegł indyk. Nastroszył pióra, nadał pierś, rozwinął ogon i czyniąc niezwykle skok, rzucił się cioci z wściekłością do twarzy. Biedna ciocia zakryła się rękami i czując, że indyk jej rozdziera bluzkę pazurami, zawróciła i zaczęła uciekać w stronę domu, wołając:

— Ja już nie mogę! Ja już nie mogę!

Ten bezczelny pokaz agresywności Musztułuka przypieczętował jego zgubę. Ojciec przekonał się na własne oczy, że to nie są dowcipy i że należy bezwzględnie uwolnić ciocię Modzię od tego drapieżnego ptaka, który mógł ją przyprawić o rostrój nerwowy. Poszedł do kuchni i wydał zarządzenia kucharzowi Aleksandrowi. Po czym zwrócił się do mnie:

— Idź! Przepędź mi tego indyka wokół klombu wjazdowego i po ogrodzie. Nie daj mu odpocząć ani chwili, aż wrócisz znów tu, przed kuchnię!

Bardzo w moim guście było to zarządzenie. Wierzbowym pręcikiem lunąłem Musztułuka po grzbiecie. Natychmiast zwinął ogon i położył pióra po sobie, widząc, że ma do czynienia z mężczyzną. Popędziłem go przed sobą i zaczęliśmy bieg po naznaczonej trasie. Pies Riabczyk chciał się przyłączyć do nas, myśląc, że nadeszła godzina polowania. Odskoczył skowycząc, gdy poczuł mój pręt na grzbiecie. Zaczęliśmy okrążyć klusem ogród. Indyk biegł z otwartym dziobem, widać było, że już ustaje. Gdy znaleźliśmy się z powrotem przed kuchnią, ja też już biegłem z wywieszonym językiem. Ugięły się przede mną kolana, siadłem na ziemi z otwartymi ustami, chwytając powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Jak przez mgłę zobaczyłem, że z kuchni wybiega Aleksander z wielkim nożem, którym przejeżdża chwiejącemu się indykowi po szyi.

Tak zakończył się koszmar cioci Modzi. Dwa dni później pokazał się jeszcze raz Musztułuk, ale tym razem na półmisku, na stole. Wśród śmiechów i dowcipów zaczął go dziadzio Asłan rozdzielać:

— Noga dla Stasia, który go gonił, głowa dla Leona, który jest głową rodziny, dziób dla Modesty, która go się bała... dla Loli pióra, a reszta, co już jest niewiele, będzie dla mnie!

Podniósł się chór protestów. Co za straszna niesprawiedliwość! Ja sam, choć moja noga była dość duża, czułem się do głębi oburzony. Ale ciocia zaśmiała się:

— Cha, cha! Chcieliście mnie nabrać? Ja byłam sprytniejsza, wszystko, co dobre, już sobie schowałam!

Dziadzio zamilkł z wrażenia. Wstał, dwoma widelcami podniósł indyka i zaczął go oglądać. Widać było, że jest pusty w środku, wyglądał jak kosz na raki; brakowało nadzienia, właśnie tego, co dziadzio najbardziej lubił.

— Cha, cha! — dodała ciocia Modzia, obrzucając nas spojrzeniem spod zmarszczonych brwi. — Teraz tym, co się śmiali ze mnie, nadzienia nie dam!

## Tyrnowskie laboratorium

Przechodziły lata i jak jesienne liście spadały kartki z naszego ściennego kalendarza. Wszyscy mówili, że rosnę, choć ja tego nie czułem. Odbływały się we mnie jakieś zmiany, zaczynałem mieć inną naturę. Moich towarzyszy bawiły wciąż jeszcze dziecinne zabawy, gdy tymczasem ja się interesowałem coraz bardziej przyrodą, fizyką i wciąż zamęczałem starszych coraz trudniejszymi pytaniami. Lubilem siadywać przy drzwiach i przysłuchiwać się rozmowom dorosłych, w których zawsze znajdowałem coś dla mnie ciekawego. Pozostawały mi potem w pamięci nowe, nie znane słowa, komentarze o pożyteczności maszyn lub różnych upraw rolnych. Najwięcej podziwiałem kuzyna Janka, studenta kijowskiego uniwersytetu, biegłego w naukach przyrodniczych, którego wszyscy nazywali Wanią.

W tyrnowskim pałacu był na pierwszym piętrze pokój, którego drzwi oprócz normalnego zamka miały zamknięcie na wielką kłódkę. Trzeba było wyjść po schodach na prowadzący do gościnnych pokoi korytarz i skrócić w prawo, aby znaleźć się przed tymi drzwiami. Za nimi otwierał się świat moich marzeń: laboratorium Wani. Był to duży, jasny pokój, gdzie na stołach stały tajemnicze aparaty, metalowe maszynerie, szklane kolby, magnesy, solenoidy i inne jeszcze przedmioty, które dla mnie symbolizowały naukę; słowo to wymawiałem z szacunkiem. Wujcio Teofil kazał urządzić tu laboratorium dla Janka, aby robiąc w domu różne eksperymenty, mógł czynić coraz lepsze postępy w studiach. Janek znał wszystkie aparaty oraz ich trudne nazwy i umiał wytłumaczyć ich zastosowanie. Pewny swojej wyższości nad nami, pozwalał sobie nieraz nawet na dowcipy. Raz, kręcąc dyskiem pełnym metalowych płytek i manewrując szklanym słoikiem, powiedział mi:

— A nu! Dotknij palcem tej kulki, ale nie złam mi tego!

Na całe życie zapamiętałem sobie potem nazwę butelki lejdejskiej, gdy zielona iskra wbiła mi się jak szpilka w palec! Później byłem już ostrożniejszy i moi towarzysze też. Raz, pokazując coś białego Kaziowi Sułkowskiemu, Janek spytał z uprzejmym uśmiechem:

— Może chciałbyś to zjeść?

Kazio, pamiętając inne przykre doświadczenia, potrząsnął głową przecząco.

— Doskonale — odparł Janek — właśnie jestem głodny! — i zaczął zjadać ze smakiem. Ten podejrzany przedmiot okazał się... serem.

Ot, jak to z Wanią nigdy nic nie można było przewidzieć. Podziwiałem go i jak najprędzej chciałem wiedzieć to wszystko co on — i nawet więcej. Więcej? Nie wiedziałem, czy to możliwe. Bo Wania wiedział wszystko.

Kiedys Zula przyniosła żabę. Janek pomyślał chwilę, potem wziął żabę i przywiązał jej cienki drucik do nogi. Gdy innym drucikiem dotykał drugiej nogi, żaba jak na rozkaz podskakiwała. Zaśmiewaliśmy się na ten widok. Zula złapała żabę, krzycząc: — Biedna! Zamęczysz ją! — i pobieгла wypuścić ją na łąkę.

W jednej z oszklonych szafek znajdowała się „cewka Ruhmkorffa”; wyglądała jak duża szpulka pięknego, jedwabistego, zielonego drutu. Kilka lat później odkryłem czytając *Tajemniczą wyspę* Juliusza Verne opis tej samej cewki. Pomyślałem, że ten „Nautilus” to było coś jakby laboratorium Janka. Może oni nawet się znali — Janek i kapitan Nemo?

Na stole, pod ścianą, stała maszyna godna podziwu. Zbudował ją sam

Janek z takich elementów, jak gramofon, kozacka szabla, kociołek do palenia kawy, kawałek rowerowego łańcucha, palnik spirytusowy etc. Służyła do robienia kokoszy z kukurydzy. Na inauguracyjny pokaz działania tego niezwykłego aparatu zaprosił Janek wujcia Teofila, mojego tatusia i jeszcze kilka innych dorosłych osób oprócz mnie i moich towarzyszy. Nałożył płytę, nasypał kukurydzy, zapalił palnik. Maszyna zaczęła się obracać, rozległa się piosenka *Oczy czornyje* i gdy się skończyła, kokosze miały być gotowe. Rzeczywiście, aparat stanął, Janek otworzył klapkę i wysypało się parę węgielków, dokumentnie spalonych.

— Zepsuł mi dwa gramofony — narzekał potem wujcio Teofil — a w Bryczawie dostaniesz za kopiejkę pół worka kokoszy bez kłopotu!

Byłem oburzony tym brakiem zrozumienia. Kokosze się spaliły, to prawda, ale cóż znaczy garść kukurydzy w zestawieniu z takim wynalazkiem! Starsi nie mieli zrozumienia dla nas, młodych wynalazców. Wujcio Teofil miał genialnego syna, ale nie umiał go ocenić jak należy, tak jak ja go oceniałem. Często opowiadał o nim różne historie i potem, ku mojemu oburzeniu, wszyscy się głośno z Janka śmiali. Nie przychodziło mi wtedy na myśl, że te opowiadania w rzeczywistości wyrażały ojcowską dumę — pod płaszczykiem dowcipu.

— Raz wchodzę do jego pokoju w Kijowie — opowiadał wujcio Teofil — bo jeżdżę odwiedzać go, gdy tylko zajęcia na to mi pozwalają, otwieram drzwi i... cofam się osłepiony! U sufitu wisi ogromna, tysiącświecowa żarówka, Janek siedzi w przydymionych okularach przy stole i czyta książkę. Zasłaniam sobie oczy ręką i wywołuję go na korytarz. — Co ty wyprawiasz! — wołam. A on nic, z całym spokojem podaje mi drugie takie okulary, abym mógł wejść. Musiałem zdjąć surdut, tak tam było gorąco od tej ogromnej żarówki. I tak siedzieliśmy w okularach i w koszulach z podwiniętymi rękawami jak na plaży czarnomorskiej! Gdy tylko dowiedziałem się, jak idą jego studia, uciekłem do hotelu! Taki to jest ten mój wynalazca.

Kiedy indziej wuj opowiedział inną historijkę:

— Siedzę w Kijowie, w jego wynajętym pokoju. Zachciało mi się pić. Czy jest tu woda do picia? — myślę. Zazwyczaj wodę zakładają w łazience, w kuchni, nie w studenckim pokoju. Rozglądam się i... co widzę? Rura, kran na ścianie! Rozglądam się dalej, idąc wzrokiem za rurą, widzę drugi kran!... i trzeci, i czwarty! Osiem kranów dookoła pokoju! Na to Janek podaje mi szklankę i mówi, żebym się napił przy kranie, który wolę. — Teraz na uniwersytecie egzaminy — tłumaczy — nie mam czasu chodzić daleko po wodę. W zależności od tego, w którym miejscu ogarnie mnie pragnienie, tam od razu się mogę napić. — No — ciągnął dalej wujcio Teofil — wszyscy wiemy, że jak w Kijowie jest upał, to jest upał! Ale żeby instalować aż osiem kranów? Taki to jest ten mój Wania.

Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem, krzyżowały się żartobliwe uwagi i kpiarskie komentarze. Krew we mnie wrzała z oburzenia. Taki wielki wynalazca i dorośli nie chcieli tego uznać!

Ale i wynalazca, i ja, jego pomagier, byliśmy często przydatni w wielkim tyrnowskim pałacu. Kiedyś wujcio Teofil zawołał Janka do kancelarii. Wśliznąłem się za nim, nie proszony.

— Słuchaj, ty Torricelli! — rzekł wuj, któremu ciemna broda nadawała, nawet gdy się uśmiechał, poważny wyraz. — Umiałbyś zainstalować mi bieżącą wodę w domu?

— Tak, papo — odpowiedział flegmatycznie Janek.



— Taaak! — wrzasnałem, nie mogąc powstrzymać się od entuzjazmu. — Ja będę pomagał!

Bąłem się, że przez obojętność Janka stracimy taką okazję. Już widziałem w wyobraźni rury, kolanka, krany, ręce umazane minią i inne cudowne rzeczy tego rodzaju.

— Pomału — rzekł wujcio Teofil, widząc mój entuzjazm i żalując widocznie nieopatrzenie wysuniętej propozycji. — Jeszcze zobaczymy!

### Szuwarowy Staw

Wiele powstało pięknych i dźwięcznych nazw geograficznych na Besarabii. Tylko na atlas spojrzeć: Gudalba, Tatar Kopczak, Suraja, Achmangit, Traianul Nou, Faraonea... Ludy zamieszkujące ten kraj miały wyjątkową wyobraźnię, nie zadowalały się zwyczajnymi Fokszanami, Papriczanami lub Skajanami. Pilnie notował te nazwy Henryk Sienkiewicz, aby upiększać sceny i rozdziały, które pisał w bibliotece dziadzia Stefana, przygotowując Trylogię. Na południu leżało wielkie i piękne jezioro noszące nazwę Jałpug, której samo brzmienie działało na moją wyobraźnię, wywołując jakieś nieuchwytnie echa, tak że przestawałem się bawić i zaczynałem patrzeć w dal, zamyślony, z oczami wlepionymi w horyzont.

Nie wiem, jak się to stało, ale aż mi wstyd było się przyznać, że skajański staw nie miał żadnej nazwy. Nazwy prawdziwej, dawnej, bo trudno brać za taką „Lac des Joncs”, którą wymyśliła Mlle Juliette. Jednakże, choć wiedzieliśmy, że to nie jest na serio, zaczęli wszyscy używać nazwy Szuwarowy Staw i ta już została w mojej pamięci.

Gdy zamiast jechać wprost na odaję, skręcało się w lewo, można było ujrzeć po pewnym czasie wśród zielonych łąk, w niewielkim zagłębieniu leżącą, jakby płytę szarego marmuru. Podnosząc się w strzemionach, wołali ze zdziwieniem przejeżdżający tamtędy podróżni: — Patrzenie, staw! — I potem puszczali się galopem, aby czym prędzej dobieć do brzegu i konie napoić. Z jednej strony brzeg był odsłonięty, z drugiej nikał w szuwarowych chaszczach. Ich pióropusze pochylały się i chwiały tanecznie pod podmuchem wiatru. W gęstwinie gnieździły się lub kryły różne ptaki: kurki wodne, dzikie kaczki, czasem nawet jakaś mewa czarnomorska, która łowiąc ryby wzdłuż Dniestru aż tu zalaatywała. Oparta na palach dębowych wbitych w błotniste dno, cienka kładka prowadziła od brzegu do przywiązanych konopnymi sznurami łódek. W wodzie pływały leniwie grube i ciężkie karpie, które poruszały od czasu do czasu ogonem, objawiając wygodnictwo istot mających świadomość zapewnionego już bytu. Dopiero widok zbliżającego się szczupaka wyrwał je z letargu. Głowacze panicznie bały się szczupaków, ale nie zawsze mogły uciec lub skryć się przy brzegu. Gdy zakotłowała się woda, wiadomo było, że biedny głowacz został pożarty. Mimo pewnej rozrywki, jaką dawały mi te obserwacje czynione w zadumie, gdy siedząc na kładce wpatrywałem się w wodę, świat żywy, który się w niej rozwijał, wydawał mi się odległy, obcy. Gdy obejmując rękoma psa, czułem ciepło jego ciała pod włosiem, gdy krowa westchnęła, koń kichnął lub kwiknęła świnia, nie znając teorii Darwina czułem od razu, że to są bratnie stworzenia. Ryby były zimne, nieme, nie miały płuc i zdawały się nie mieć serca. Nie objawiały podobnych na-

szym uczuć. Powierzchnia stawu, gładka, połyskująca, ale tak łatwa do przebicia ręką, kamieniem czy patykiem, że jak gdyby nie istniejąca, rozgraniczała w rzeczywistości dwa obce sobie światy. Była ważniejszą granicą niż miedza dzieląca pola, niż mur cerkiewny, ważniejsza nawet niż austriacka granica w Oknicy.

— Ty możesz żyć w Austrii, gdy jeździsz z rodzicami do Zakopanego — tłumaczył mi dziadzio Asłań. — Ale ryba, gdy wyjedzie ze swojej ojczyzny, musi zdechnąć na powierzchni ziemi! A znów gdybyś Riabczika wysłał za tę granicę na dno stawu, utopiłby się bez ratunku!

Tak, ten nasz spokojny Szuwarowy Staw krył w sobie wielką tajemnicę przyrody. Siedząc na kładce, ze spuszczonej ku wodzie nogami, mogłem nad tym godzinami rozmyślać. Jakież to świat był trudny do zrozumienia! Ale jaki ciekawy!

Pod pewnymi warunkami wolno było łowić ryby w stawie na wędkę. Gdy czasem zjawiał się niespodziewany gość, którego trzeba było ugościć czymś niezwykłym, ciocia Modzia podnosiła ręce do nieba, wołając: — Boże! Co ja mu podam? — Spizarnia mogła być pełna najlepszych wiktuałów, których mnie tknąć nie pozwalano, ale to nie wystarczało. Na rozkaz cioci gnaliśmy bryczką do Szuwarowego Stawu, aby złowić jakąś rybę na wędkę. Nigdy nie lubiłem polowań. Żał mi było biednych zwierząt mordowanych dla ludzkiej przyjemności. Ale łowić ryby? To było co innego. Mogłem bez wyrzutów sumienia złowić ich nawet więcej, niż ciocia Modzia chciała. Nie znajdowałem w tym wprawdzie żadnej przyjemności. Siedzieć z wędką w ręce na brzegu? To było najnudniejsze zajęcie, jakie znałem. Gdy ja tkwiłem nieruchomo na kładce, czekając, aż zmiłuje się nade mną jakaś uprzejma ryba, gościa tymczasem zabawiano w domu rozmową — i zakąskami.

Raz, kiedy tak siedziałem rozmyślając, usłyszałem skrzypienie zbliżających się wozów. Za chwilę ujrzałem szarabany załadowane beczkami.

— Ho-hou — zawołali brodaci woźnice.

Zaraz poznałem, że są to obcy ludzie, byli ubrani inaczej niż tutejsi.

— A nu! Pomóż nam wykopać tu rowek! — zawołali, wyciągając łopaty z wozów.

Gdy rowek był gotów, wyladowali beczki, powyciągali czopy i zaczęli wylewać zawartość beczek do kanału. Lała się brudnawa woda, a w niej znajdowało się dużo jakichś... klusieczek?

— To małe rybki! — zawołałem, jakbym dokonał odkrycia. Tysiące i tysiące małych rybek wylatywało z beczki; wpadały w dół, do kanału, gdzie przewracały się i kotłowały w wartkim strumieniu, a potem spokojnie już wypływały na szerokie wody stawu.

— Żeby twój ojciec nie zrobił tego głupstwa, które mu odradzaliśmy, i nie był wpuścił szczupaków do stawu, to teraz nie musiałby wydawać tyle pieniędzy na narybek! — rzekł rybak.

Wbili z powrotem czopy, załadowali lekkie już beczki na szarabany i idąc pieszo koło wozów, odjechali. Zostałem sam. Nie dochodził tu teraz żaden głos; zaległa cisza. Pochyliłem się nad wodą, aby poobserwować małe rybki. Biedactwa! — pomyślałem. Takie małe, takie bezbronne, tak brutalnie wrzucane do nie znanego stawu. Nie będą wiedziały, gdzie płynąć, co robić, jak ukryć się przed tymi straszliwymi szczupakami... Gdyby się dało, byłbym pogłaskał z czułością każdą rybkę po grzbiecie. Chciałem im wytłumaczyć, uprzedzić je o niebezpieczeństwie, które na nie czyha... Ale gdzie były rybki? Znikły. Ledwie jedną udało mi się zobaczyć. Poruszała małym ogonkiem

i płynęła zygzakiem po dnie, jakby czegoś szukając, jakby chciała odnaleźć coś, co przedtem zgubiła.

Rybki nie potrzebowały niczyjej pomocy. Wydawało się, że znają Szuwarrow Staw lepiej ode mnie. Poczułem się niepotrzebny, obcy w tym dziwnym wodnym świecie, którego mieszkańcy nie bali się człowieka ani go nie potrzebowali. Wziąłem za uzdę Muca. Położył uszy po sobie i podrzucił łbem, usuwając się niechętnie, bym nie mógł na niego wsiąść. Był zły, że mu prze-rwałem jakąś medytację. Zazwyczaj złościły mnie te jego nieprzyjemne fochy. Ale dziś wydały mi się zrozumiałe, sympatyczne nawet... i jadąc w stronę Skajan, pogłaskałem go po szyi z czułością.

## Lekarstwa i recepty

Mój ojciec chrzestny, doktor Włodzimierz, był lekarzem rządowym i kierował w Tyrnowie wcale poważną, jak na taką małą wioskę, placówką, składającą się z konsultorium, szpitala i apteki państwowej. Był częstym gościem w naszym domu. Trochę się go bałem, bo gdy łyżeczką przyciskał mi język, aby zajrzeć do gardła, brało mnie na wymioty. Ale moja mamka Popowiczka, przeciwnie, czekała na niego, a potem łąziła za nim po domu, prosząc o lekarstwa.

Stanowisko mamki było w naszym kraju ważną godnością; *Manke* była uważana u nas za członka rodziny. Mieszkała w osobnym własnym domu z córką, która potem wyszła za mąż za ślusarza Wachę, i z młodszym synem, moim „mlecznym bratem”. W Mołdawii, zgodnie ze starymi obyczajami, mleczny brat też był bliską i ważną osobą, nieraz ważniejszą niż brat rodzony. Mikołaj był więc naturalnie moim towarzyszem i przyjacielem. Nieraz spędzał całe dnie w naszym domu; siedząc obok siebie zajadaliśmy wieczorną mamaligę, rozcierając ją mołdawskim zwyczajem na dłoni. *Manke* też była codziennym gościem, wchodziła bez pukania i krążyła po całym domu, zaglądając do łóżek i szaf, bo zarządzała bielizną, praniem i prasowaniem. Ja stałem byłem w konflikcie z domowymi władzami, bo wciąż coś darłem czy plamiłem. Nieraz *Manke*, która uważała się za moją prawdziwszą matkę niż rodzona, ratowała mnie z opresji, wynosząc mi tylnymi drzwiami czyste koszule lub zeszywając podarte na akacjach spodnie, gdy tymczasem prawie goły ukrywałem się w wiśniowym sadzie.

Babcia Władysława, która pochodziła gdzieś z daleka, nie była z naszych stron, nie lubiła Popowiczki. Wodziła za nią niechętnym wzrokiem i mówiła do ojca po polsku, jedynym językiem, jaki oprócz niemieckiego znała:

— Leon! Jak możesz pozwalać tej babie wszędzie wlaźć? Ty zobaczysz, że ona coś ukradnie!

Babcia nie mogła zrozumieć, jaką to ważną osobą była, zgodnie z naszymi mołdawskimi obyczajami, mamka jedynego syna. Ojciec wzruszał ramionami, nic nie odpowiadając. Wiedział, że byłoby to bezcelowe. Babcia nie lubiła Mołdawian ani Besarabii. Nigdy nie jadła mamaligi z bryndzą, mówiąc z pogardą: — To jedzenie dla świń! — Ja się zaśmiewałem, wcale nie urażony w moim mołdawskim patriotyzmie, bo świnię zawsze specjalnie lubiłem, tak żywe, jak i na półmisku. Inne osoby jednak zacięły usta i rzucały babci niechętnie spojrzenie. Biedna *Manke* miała więc zakazany wstęp do pokoju babci, gdzie leżał dziadek Julian. Martwiło ją to i nieraz wzdychała, mówiąc:

— Ten biedny człowiek, taki dzielny w swoim nieszczęściu, taki pracowity, taki niezwykły artysta! Ty widziałeś, jakie mi zrobił i podarował piękne pudełko do szycia? Jest osobne miejsce na igły, na szpilki z metalową i na szpilki ze szklaną główką. Na haftki, na zatrzaski, na te guziki do kalessonów, których ty tyle gubisz! Żeby on miał Mołdawiankę za żonę, inaczej by wyglądało jego życie. Leży w tym barłogu, kartonowe obrzynki wpijają mu się w ciało, przykleja się do schłapanego karukiem prześcieradła! Zaraz bym mu to wyporządziła, łóżko prześcieliła, pachnące, czystusiśkie, świeżo wyprane i wyprasowane prześcieradła przyniosła; przecież to jest człowiek godny podziwu, poświęcenia! A tak, biedak... ot co! Ani długo nie pożyje!

Władimir Iwanowicz, jak wszyscy nazywali mojego ojca chrzestnego, też nie lubił Popowiczki. Zabawne było widzieć, jak się przed nią ukrywał i jak ona wyglądała przez okno w kredensie — gdy przyjeżdżał tyrowskim powozem — aby go dopaść znieśnaka. *Manke* miała jedną wielką manię: lekarstwa. Wciąż chciała brać lekarstwa. Te czy inne, mniejsza z tym, była szczęśliwa, gdy miała coś do zażywania.

— Zapiszże jej cokolwiek! — prosił ojciec doktora. — Ona nas zamęcza! Władimir Iwanowicz przeczył głową energicznie:

— Co jej mam zapisać? Ona jest zdrowa jak byk! No, powiedzmy, jak krowa, ze względu na ilość mleka, jaką jest w stanie produkować!

Raz tatuś się zapóźnił i nie wracał z pola. Siadł doktor razem z babcią przed karafeczką wódki, czekając na obiad, który podawano dopiero, gdy wrócił pan domu. Na ogół nie lubili się. Doktor był wielkim patriotą rosyjskim, a babcia... austriackim! Oboje jednak kochali Polskę ponad wszystko. Nie mogłem wtedy zrozumieć takiego galimatiasu. Ale przeszła przez salon *Manke* i... oboje znaleźli wspólny temat. Doktor zasłonił twarz ręką, aby *Manke* go nie poznała.

— Ta mnie zamęcza, wciąż chciałaby zreć jakieś lekarstwa! — szepnął po polsku.

— To ciemna Mołdawianka! — dodała babcia zachwycona. I zasłoniwszy usta ręką, zaczęła wylewać swoją złość na *Manke*. Ale doktor nie słuchał jej już i idąc za swoją myślą mówił:

— ...Tak, tak. Niełatwo tu być lekarzem. Mołdawianie to twardy naród! Z początku myślałem, że mnie nie wzywają, bo boją się, że będą musieli mi zapłacić. Jako lekarz urzędowy od nikogo oczywiście nie biorę pieniędzy. Jak mi ktoś chce coś dać, to przyjmuję, zwłaszcza od ludzi bogatych, ale chłop, żeby nawet chciał mi kurę podarować, to od niego nie biorę. Myślałem, że jak ludzie o tym się dowiedzą, to zaczną przychodzić. Ale gdzie tam! Sami się leczą trawami i bańkami, a jak już mnie wołają, to wiem z góry, że to beznadziejny wypadek. Raz przywłókł się do mnie stary Barbú. Ledwie szedł, tak ciężko dyszał. — Nic! — powiedział — boli mnie trochę w boku. — Trochę! Okazało się, że ma zapalenie opłucnej jak pomnik pod Cecorą! Zarządziłem: — Do łóżka i masz tu ten plaster gorczyczny, namocz go i przyklej na tym boku! — Po tygodniu znów przywłókł się sapiąc Barbú. — Co? — spytałem — nic ci nie lepiej? A plaster? — Dał mi pan plaster zwietrzały; nie działa. — Zobaczyłem wtedy plaster: był przyklejony na kożuchu! — Tu doktor nalał sobie następny kieliszek wódki. — Kiedy indziej przyleciała Marfa, krzycząc: — Ratunku! Mój barbat umiera! — Wziąłem kapelusz, łaskę i pobiegłem do ich domu. *Barbat* leżał na łóżku, wydawało się, że kona. Taki był wzduęty, że kołdra wznosiła się na nim jak góra. Podniosłem ją, żeby zobaczyć ten wzduęty brzuch. Patrzę, patrzę, oczom nie wierzę: zamiast postawić

mu kilka baniek na piersiach, jak to przepisałem na przeziębienie, Marfa postawiła mu jeden wielki garnek gliniany na środku brzucha. Garnek wciągnął mu wszystkie flaki do środka, tak że *barbat* Marfy się dusił.

— I zdołałeś go wyratować? — spytał raptem ojciec, który właśnie wrócił z pola i też nalał sobie kieliszek wódki.

— Mołdawianie mają twarde życie! — zakończył doktor opowiadanie, wstając i idąc w stronę jadalni. — Trzasnąłem laską po garnku, który pękł, ukazując spuchnięty, zsiniały brzuch. Okazało się, że garnek pomógł choremu na przeziębienie i po kilku dniach zobaczyłem go, jak orał swoje pole. — *Mulcemiesk, domn medik!*\* — zawołał, kiwając do mnie przyjaźnie biczyskiem.

W gabinecie ojca wisiała na ścianie piękna etażerka z gruszkowego drzewa, ozdobiona zakopiańskimi motywami. Byliśmy z niej dumni, bo była zrobiona całkowicie w naszym domowym warsztacie. Mieściła się w niej domowa apteczka, tylko olej rycynowy ciocia Modzia chowała w innym miejscu, bo ojciec uważał go za przysmak i wypróżniał buteleczkę, oblizując się jeszcze. *Manke* rzuciła pożądliwe spojrzenia na lekarstwa, mając surowo zakazany wstęp do gabinetu. Kiedyś siedzieliśmy przy stole, gdy raptem wpadła babcia Władysława z błyszczącymi oczyma, krzycząc:

— Ktoś ukradł wszystkie lekarstwa! Etażerka pusta!

Porwaliśmy się z miejsc, żeby sprawdzić ten dziwny wypadek i podejrzenie padło zaraz na moją mamkę. Odkryliśmy ją w jej własnym domu, jedzącą z apetytem obiad.

— Bój się Boga! — krzyczała ciocia Modzia. — Coś ty zrobiła! Zjadłaś to wszystko? Przecież możesz umrzeć od tego! — Zapakowała ją siłą do łóżka, gdy tymczasem ojciec telefonował do szpitala w Tyrnowie, starając się przekonać doktora, aby przyjechał zrobić płukanie żołądka.

— Czego tam nie było! — wołał przejęty. — Maść cynkowa, woda Burowa, chinina, łój koźlęcy na nagniotki, fityna, urodonal, spirytus, wazelina, reum, krople Inoziemcowa... czy ja już wiem, co jeszcze? Przyjeżdżaj zaraz, biedaczka może umrzeć od tego!

Ale doktor się jakoś nie kwapił. I nie przyjechał. Przejęty, nie ruszałem się od łóżka chorej i zasnąłem na krześle, gdy zmrok zapadł. W nocy podobno *Manke* wstała i ułożyła mnie obok siebie. Rano poszliśmy wszyscy do normalnych zajęć. Około południa pokazał się doktor. Nic nie pytał, ale wodził po nas oczami, jakby czekał na jakąś rewelację. Rozległa się głośna piosenka mołdawska i weszła *Manke* z naręczem prześcieradeł. Poruszała się swobodnie i smagła, uśmiechnięta, wyglądała jak okaz zdrowia i tuszy.

— Jak się czujesz? — zawołał doktor uradowany. *Manke* przystanęła, patrząc na niego z wyrzutem:

— O wiele lepiej niż przedtem. A mówiłam, że mi trzeba lekarstw, ale pan nic sobie z chorych nie robi!

## Kulisty piorun

Osłepiające promienie letniego słońca wysysały każdą kropelkę wilgoci ze spękanej ziemi. Rośliny kurczyły się i wędły, i ojciec wracał z pól coraz bardziej zafrasowany. Jedynie ogród warzywny odznaczał się bujną zielonością.

\* *Mulcemiesk...* (mold.) — Dziękuję, panie doktorze!

cią. Co wieczór, z wielkim nakładem pracy, podlewaliśmy go wodą z beczkowiezu, który napełniało się w wielkiej studni za cerkwią. Nie czując suszy, bujnie rosły w gorącu bakłażany i papryki, połyskujące czerwonymi i fioletowymi owocami. Samo powietrze, którym oddychaliśmy, wydawało się wyprażone w piecu pełnym żużli i traw aromatycznych.

Kiedyś, w samo południe, pokazała się na niebie mała, biała chmurka. Stała beczelnie na samym środku nieba.

— Będzie burza — rzekł dziadzio Asłan.

Gdzie tam! Nikt nie mógł uwierzyć w taką zmianę pogody. Ale po chwili chmurki pomnożyły się, już było całe stado wełnistych owieczek, które jakby pasąc się, posuwały się powoli na wschód. Ciągnęły za sobą wielką szarą pierzynę, która zajęła pół nieba. Usłyszałem pierwsze grzmoty, zawiął jakiś dziwny wiatr i poderwał chrzęszczące liście, leżące u stóp spragnionych drzew. Chmura jak pokrywka zapadła na horyzont, a my znaleźliśmy się we wnętrzu garnka. Ogniste linie rysowały zielonawe pajęczyny na tle chmur, zrobiło się czarno; pomiędzy jednym a drugim piorunem zapadała złowroga cisza. Nastka z dziewczętami biegały po podwórzu, goniąc kury i indyki, aby je zamknąć pod dachem. Nikt nie myślał o obiedzie, aż raptem usłyszeliśmy szybki kłus rysaka ojca. Otworzyłem drzwi na jego przyjęcie i dziwny widok ukazał się moim oczom: linijka rozbita, ojciec siedzi na przednich kołach, a tylnych zupełnie brak.

— Wracałem przez czortyński pagórek, uciekając przed burzą — opowiadał ojciec przy stole. — Rysak walił jak lokomotywa, myślałem, że zdążę. A tu raptem jak nie huknie! Wyciął mi piorun w tylne koła. Rysak stanął dęba. Sam nie wiem, jak to się stało, że nie straciłem przytomności ze strachu! Ale widzę, że przednie koła trzymają się. Więc przyjechałem.

— Jezus Maria! Panno Częstochowska! Święty Boże! — wykrzykiwały babcia Władysława, ciocia Modzia i Lola. Mamusia milczała, tylko trzymała ojca za rękę i patrzyła na niego wilgotnymi od łez oczyma.

Tymczasem burza rozpętała się na dobre. Błyskawice łączyły się jedne z drugimi, deszcz lał jak z cebra i zaczęły pokazywać się skaczące po ziemi, między kroplami i strumykami wody, białe kulki gradu. Ojciec podszedł do telefonu, aby dowiedzieć się, czy grad pada też w Tyrnowie. Podniósł się krzyk, panie protestowały, bo „podczas burzy nie wolno telefonować”. Chciałem wyjść na werandę, gdzie stał w miednicy z wodą żuraw z podwianym skrzydłem; podniósł się wrzask, bo „podczas burzy nie wolno drzwi otwierać”. Zacząłem się bawić z wiewiórkami w klatce, znów wrzask, bo „metalowej klatki nie wolno dotykać”. Ani tatuś, ani ja nie mogliśmy nic zrobić, żeby zaraz nie usłyszeć protestów. Znużony, siadłem w kącie i zacząłem kłaść pasjansa „Walka krzyża z półksiężcem”. Babcia przyglądała mi się już od chwili i raptem podniosła wrzask:

— A co będzie, jeżeli zwycięży półksiężec, teraz, podczas burzy, kiedy potrzebujemy jak największej opieki krzyża chrześcijańskiego?

Wreszcie, nie wiedząc co robić, zacząłem rozbierać zapalniczkę ojca, na co by mi nie pozwolono w normalnych warunkach. Nagle gdzieś blisko huknął straszliwie piorun i zalało nas oślepiające światło.

— Och! — wrzasnęła babcia Władysława, klęcząca w kącie jadalni przed obrazem Matki Boskiej. — To w dom Popowiczki!

Popatrzyliśmy z ojcem na siebie; przecież babcia prawie nigdy nie wychodziła, wsi nie znała, jakże więc mogła wiedzieć, gdzie jest dom mojej mamki?

Burza trwała aż do wieczora i wreszcie, znudzony, poszedłem spać. Na drugi dzień przy śniadaniu komentowaliśmy wczorajsze wypadki, oceniając szkody wyrządzone przez burzę. Nagle otworzyły się drzwi od kredensu i wpadła Popowiczka. Była rozczochrana, brudna, w koszuli, na którą narzuciła jedną tylko spódnicę.

— Przez całą noc oka nie mogłam zmrużyć! — zawołała, stając przed ojcem i widać było, jak falują jej obfite piersi pod rozpiętą koszulą. — Przecież mógł mnie zabić ten piorun! Niedoczekanie jego! Siedziałam przed ogniem na stołku, miałam na trójnogu kociołek z mamałygą, w przewidywaniu że mężczyźni przyjdą wcześniej, widząc, co się święci! Raptem jak nie huknie! Oślepiło mnie światło, przewróciłam się na ziemię, łyżka mi z ręki wypadła... Już po mnie! — pomyślałam. Drzwi były otwarte, bo komin coś nie ciągnął. Patrząc... wpada do domu kula, jasna jak słońce, toczy się gładko po ziemi omijając mnie, wywraca kociołek z mamałygą, wyskakuje lekko na płytę kuchenną, słyszę, jak brzęczą garnki, potem na półkę i traaaaach! — przejeżdża po talerzach, z których tylko czerepy spadają na ziemię! *Remyj ku niczodate!*\* Taki piękny serwis wyprawny mojej córki! Podkurczyłam nogi, bo ta diabelska kula znów do mnie wali... ale nie! Wskoczyła do ognia i potem śśśsiuuust! wyleciała kominem! Więcej tego czorta już nie widziałam. Gdy przyszli zmoknięci mężczyźni, zastali rozlaną mamałygę i mnie leżącą na ziemi...

— Co ona mówi? — spytała babcia, która nie rozumiała po mołdawsku.

— Ee, nic! — odpowiedział ojciec. — Mówi, że w jej dom wyciął piorun.

Babcia poderwała się z krzesła i pod wrażeniem tej wiadomości wyleciała błyskawicznie z jadalni. Ja za nią. Zastaliśmy ją przy łóżku mamusi, która spokojnie jadła śniadanie na tacy.

— ...Mówię ci! — krzyczała babcia rozgoryczona do głębi — Maryniu! — Ty postaw się w mojej sytuacji! Ja im to powiedziałam wczoraj! Bo ja wiedziałam! Ale oni śmiali się! Teraz, kiedy przyszła ta Mołdawianka, to oni jej zaraz uwierzyli! Ja stąd wyjadę! Nikt mnie tu nie słucha! Nie szanuje! Tu sami Mołdawianie, nie ma ludzi z towarzystwa jak w Widniu, sam Leon się zmienił, no a Staś to przecież zupełny Mołdawianin!...

### Eskapada Zojki

Mój ojciec chrzestny, Władimir Iwanowicz, miał córkę Zojkę. Była to ładna, dorosła dziewczyna, która często do nas zajeżdżała. Ale lubiła przedstawiać tylko ze starszymi, ze mną się prawie nie zadawała i zaraz odchodziła, gdy zbliżała się moja banda. Była milcząca, nigdy się nie śmiała. Lubiła siadywać sama na ogrodowych ławkach, zamyślona, wpatrzona w dal. Doktor leczył jakieś jej niedomagania. Brałem chętnie udział w przygotowywaniu lekarstw; bardzo to było interesujące. Przez całą zimę Zojka jadła jabłko, przechowywane na słomie w naszej spiżarni, ale tydzień przedtem musiałem je przygotować, nabijając je gwoździemi do kucia koni. Gwoździe zostawiały rdzawą plamę w jabłku — i to nie jabłko, tylko ta plama była lekarstwem. Przed obiadem Zojka piła pół szklanki mleka z kroplą jodyny.

---

\* *Remyj*... (mołd.) — Żegnajcie na zawsze!

W ogrodzie wykopałem w ziemi specjalny piec i paliłem w nim różne kości, których nigdy nie brakowało, bo ojciec lubił je obgryzać, podczas gdy my zjadaliśmy mięso z pieczeni. Doktor mełł spalone kości w aptecznym młynku i potem posypywał tym czarnym proszkiem chleb, który Zojka i ja musieliśmy jeść na śniadanie.

Zojkę zapraszano wszędzie, ale ona wolała pozostawać w domu i czytać poezje. Nie mogłem tego zrozumieć.

— Ta dziewczyna w niczym nie jest podobna do swojego ojca! — mawiał tatuś. — On jest taki dowcipny, towarzyski! — I dodawał: — Ona coś ukrywa!

Pewnego dnia zadzwonił telefon.

— Leon! — krzyczał doktor. — Zojka znikła!

Przybiegłem galopem do domu, gdy się rozeszła ta niezwykła wiadomość. Zwołano wielką naradę, aby zdecydować co robić.

— Znikła, to znaczy, że jest żywa, ale nie wiadomo, gdzie się podziała — tłumaczył ojciec.

— Gdzie tam znikła! — rzekł dziadzio Aslan. — Na naszym stepie wiadać człowieka na dziesięć wiorst z daleka.

— Tak, ale może ona wlaźła w kukurydzę? — dodał ktoś inny.

— No i czego by ona szukała w kukurydzy? — uciał dziadzio. — Na pewno gdzieś siedzi w tym ogromnym tyrnowskim parku z książką w ręce.

— Albo wpadła do studni, wyciągając wodę! Albo jakiś chłop zaprosił ją na mamalygę! Przecież jej matka, z Królestwa, nie umie jeszcze robić mamalygi! — krzyżowały się domysły i okrzyki w salonie. Doktor wstał:

— Dzwonię do *isprawnika* Brazúla. Moja żona jest nieprzytomna z rozpaczy, muszę coś zrobić!

Moja banda postanowiła też coś zrobić, aby przyczynić się jakoś do zarządzonych poszukiwań. Nie było wprawdzie możliwe, aby Zojka zabłądziła w naszym ogrodzie, ale mimo to w zapale podzieliiliśmy go na strefy i zaczęliśmy metodycznie przeszukiwać krzaki. Strefa pod cerkiewnym murem, gdzie rosły cykuty, została jakoś zapomniana, ale za to inna, ta, gdzie rosły agrest i czarna *smorodina* w pełni owocowania, zabrała nam najwięcej czasu. Wreszcie, zmęczeni i nażarci, poszliśmy spać.

Na drugi dzień po południu zjawił się *uriadnik* z Bielc.

— Nu, wszystko już wyjaśnione — powiedział — panna Zojka jest już w domu. — Poczekał, aż wszyscy się zebrali w salonie, i opowiadał dalej: — Ogrodnik zobaczył ją na stacji w Tyrnowie, jak wsiadała do kiszyniowskiego pociągu. Dowiedziałem się w kasie, że jednak żadnego biletu nie kupiła!

Nadjechali tymczasem wujcio Teofil, aptekarz i nawet profesor Horr.

— Jak to? — zdziwił się ojciec — wsiadła bez biletu?

— Ten pociąg prowadzi zazwyczaj maszynista Smolit — tłumaczył dalej *uriadnik* — ona go... znała! Wziął ją na lokomotywę! W Bielcach była zmiana maszynisty, tam oboje wysiedli.

Relacja ta uczyniła wielkie wrażenie. Wszyscyśmy oniemieli. Poczułem, że flaki się we mnie przewracają. Oburzony do głębi wrzasnąłem:

— To ona taka? To mnie było obiecano!

Ojciec mi się przyjrzał, jakby dopiero teraz zdał był sobie sprawę z mojej obecności. I krzyknął:

— Co ty tu robisz? Idź, zamknij drzwi z drugiej strony!



Wychodząc z żalem, słyszałem jeszcze głos Munia:

— Fiu, fiu! To przystojny chłopiec! Ja wiem, że dziewczęta chodzą na stację, żeby...

Mijały dni. Wreszcie komentarze ustały, eskapada została zapomniana. Aż raz w alei tyrnowskiego parku spotkałem się z Zojką twarzą w twarz.

— Zojka! — zawołałem uradowany. — Gdzie ty się chowasz? — I raptem wstała we mnie dawna zazdrość i złość: — Pięknie! To ty sobie przejażdżki ze Smolitem urządzasz! A ja to co? Teraz, gdy już to widziałas i wiesz, wytłumacz mi przynajmniej!

Zojka, oniemiała, nerwowo gniotła chusteczkę w rękach. Raptem obróciła się i uciekła, znikając za klombem z palmą. Rozgoryczony wołałem za nią:

— Tak to! Obiecanki cacanki! Ja ci jabłka nabijałem gwoździami, a ty mnie nie wzięłaś z sobą na lokomotywę! Chciałem widzieć, jak się dodaje pary, żeby pociąg ruszył!

### Morderstwo w Brzawie

Pewnego dnia do domu wpadł ojciec, bardzo zdenerwowany. Podbiegł do telefonu i zaczął dzwonić. Porzucony przed gankiem rysak pociągnął linkę w stronę klombu i zaczął obgryzać astry. Słyszałem, jak ojciec krzyczy do telefonu:

— *Gdzie że on? Mnie nużno goworit' s niom siejczas! \**

Potem rozmawiał z *isprawnikiem*, z *pristawem*, z doktorem i z innymi jeszcze osobami, wciąż krzycząc. Ciocia Modzia słuchała, schowana za drzwiami.

— Ciociu, co się stało? — zapytałem z pełną niepokoju ciekawością.

— Boże mój! Co za nieszczęście! Twój ojciec zamordował Żyda!

Kobiety zbiły się w kupkę, szepcząc i żegnając się. Gdy ojciec skończył telefonować, przeszedł przez korytarz nie patrząc na mnie i zamknął się w gabinecie. Zrobiło się cicho, słychać było tylko popłakujące dziewczęta. Po pewnym czasie rozległ się galop i przyleciał przed dom na spoconym koniu *pristaw*. Rzucił mi uder, wpadł do domu i zamknął się z ojcem w gabinecie. Wyleciała Mlle Berthe, która nie rozumiała po rosyjsku i umierała z ciekawości, aby dowiedzieć się, co się dzieje. Złapała mnie za rękę, zaczęła mnie ścisnąć i całować, błagając, abym jej wszystko wytłumaczył.

— Berta! — krzyknęła ciocia Modzia — zostaw dziecko w spokoju! Idź zaraz do swojego pokoju!

Tupnąłem nogą ze złością, słysząc, że obraźliwie nazywają mnie dzieckiem. Może nie byłem dorosły, ale miałem już swoje lata i wiele rzeczy już umiałem robić! Uważałem się za człowieka, choć mniejszego od innych, to jednak kompletnego.

Z gabinetu wyszedł *pristaw* z ojcem, każdy wsiadł na swojego konia i zniknęli za bramą. Ujrzałem babcię Władysławę zapłakaną, z rękami wyciągniętymi do nieba:

---

\* *Gdzie że...* (ros.) — Gdzież jest? Muszę z nim natychmiast porozmawiać!

— Matko najświętsza! Zabierają zaaresztowanego Leona! Niestety spadło na nasz dom! — po czym pobiegła do jadalni i rzuciła się na kolana przed obrazem wiszącym na ścianie. Parsknąłem śmiechem, bo obraz przedstawiał zakopiańskiego zbójnika w góralskim stroju. Babcia wstała, okropnie zła, i poszła do swojego pokoju.

Ciocia Modzia zaczęła płakać i zawodzić:

— Biedny Leon... przez wiele, wiele lat nie będziemy go widzieć... za takie przestępstwa w Rosji kary są ciężkie... kto się zajmie majątkiem i dobytkiem? I gdzież go zamkną? Jeść mu nie dadzą... trzeba przygotować koszyk z czymś, co się nie psuje...

Za drzwiami gniotły się pochlipujące dziewczęta, nosem wciągały głośno powietrze, aby powstrzymać kapiące łzy. Cały porządek domowy został przewrócony do góry nogami, kucharz Aleksander tłumaczył coś Popowiczce, Jakub stał niezdecydowany przed domem... Raptem pokazał się dziadzio Asłan na swojej wołoskiej inochodce i zszedł spokojnie, nic jeszcze nie wiedząc o naszym nieszczęściu. Podbiegłem do niego, w obawie że ktoś mnie uprzedzi:

— Tatuś zabił Żyda! Zabił Żyda! — wołałem jak opętany.

— Co ty mówisz? — rzekł dziadzio i z całkowitym spokojem zaczął skrecać papierosa. — Nie bujasz?

— Nie! — zapewniłem go. — Żyd umarł! Całkiem umarł!

— Nu, to dobrze. Ty się nie martw! — I poszedł do telefonu. — Ze szpi-talem! — poprosił. — Władimir Iwanowicz? Tak, to ja. Dobrze, dziękuję. Te brzoskwinie... te w waszym ogrodzie... tak! Trzeba je już zerwać, zielone nie dojrzewają, przejrzałe gniją... No tak...

— Co za człowiek! — zawołała ciocia. — Zamiast nerwów ma struny fortepianowe!

— *Da, wsio w poriadkie!* \* — mówił dalej dziadzio. — Nu, a co to za historia z tym Żydem?... Kto?... Ach! Już wiem. Tak, to ten sam. Aha... Co? Nie-możliwe? Dobrze... Tak... Mogę, czemu nie?... Już jadę! — i nic nam nie mówiąc, wsiadł na inochodkę i zniknął.

Pod wieczór pokazali się wszyscy: dziadzio, *pristaw*, ojciec, doktor... Wybiegły babcia i ciocia, dopadły ojca, zaczęły go ścisnąć, wołając:

— Leon! Kochany Leon! Nic ci nie zrobili? Jakżeż cię wypuścili? Biedaku! Coś ty się musiał naciерpieć! Ale my tu jeszcze więcej! Oczy wyplakałyśmy z powodu twojego nieszczęścia!

— Co? Jakiego nieszczęścia? — spytał ojciec i dodał: — Chodźmy do jadalni, wszyscy jesteśmy strasznie głodni... tam wam opowiem!

— ...Pojechałem do Bryczawy kupić trucizny na szczury! No i patrzcie, co się z tego narobiło!... — I przy mamałydze, która pięknie dymiała na środku stołu w *czugunnym* kociołku, opowiadał dalej, nałożywszy sobie bryndzy na talerz.

Kupiec Langmeyer, Żyd, jak wszyscy kupcy w Bryczawie, coś na wagę nasypywał, przekładał torby z miejsca na miejsce i obróciwszy się do ojca tyłem, coś tam majdrował. Ojcu od razu się to nie spodobało i śledził jego ruchy podejrzliwym wzrokiem. Wreszcie, nie wydając towaru, kupiec zażądał najpierw pieniędzy:

— Dwie okki, dwa ruble! — rzekł. Ojciec ocenił wzrokiem worki:

— Ani dwie okki, ani dwa ruble! — zawołał, zły już. — Dwa razy

---

\* *Da...* (ros.) — Tak, wszystko w porządku!

w pysk takiego złodzieja jak ty! Myślisz, że mnie nabierzesz? Tu nie ma pełnej wagi. I co to za cena?

— Jak to nie? — zawołał Langmeyer i zaczął krzyczeć coś w żargonie, powołując wszystkich w sklepie na świadków. — Ot, tu jest ziarno, a tu ciężarki, niech państwo, gospoda! policzą, skoro ten człowiek — i palcem dźgnął ojca w kamizelkę — nie umie doliczyć do sześciu!

— Ciężarki są sfałszowane! — zawołał ojciec oburzony i odwrócił jeden, aby pokazać wszystkim, że w środku ołów był wydłubany.

— Co ten człowiek gada! — wrzeszczał cienkim głosem Żyd. — Jak się ośmiela! To jest firma poważna, a on wymawia jakieś słowa jemu tylko znane! Ja nawet nie mogę zrozumieć jego języka!

— Złodzieju! — krzyknął ojciec. — Zjesz sam swoje zatrute ziarno! Mnie nie nabierzesz! Wszystkich uprzedzę! A jak ci dam w mordę, to zaraz zrozumiesz język, jakim do ciebie mówię!

— On to wie — krzyczał Langmeyer pół po rosyjsku, pół w żargonie — bo to on dopiero ludzi okrada, gdy w Skajanach waży zboże! Tam znalazłbym więcej oszustw niż tu, gdybym pojechał wagę tego nabieracza zobaczyć!

Gdy posłyszał obelgę, ojciec, czerwony i nie panujący już nad złością, chwyciwszy ciężarek wyrzucił kupca z całej siły w samą głowę. Żyd się zachwiał, palce mu się rozwarły i puścił klapę od ojcowskiego surduta, za którą szarpał przed chwilą. Wywrócił się jak kłoda i jeszcze upadając uderzył głową o okuty żelazną walcówką kant wagi. Za ladą powstała kałuża krwi.

— Aj, waj! Aj, waj! — rozległy się w sklepie lamenty Żydów. — On umarł! On już nieżywy! Ten goj go zabił!... go zabił!

Ojciec widząc groźny, gestykulujący tłum Żydów, którzy — wydawało się — chcieli go zlinczować, odwrócił się:

— Won z drogi! — rozkazał — urządzę jak Langmeyera każdego, kto mi drogę zastąpi!

Przysłowiowa jest ostrożność Żydów. Zebrani widocznie nie mieli ochoty powiększać rozmiarów nieszczęścia. Zrobił się szpaler aż do drzwi i ojciec wyszedł powoli, rzucając na prawo i lewo groźne spojrzenia. Wskoczył na linijkę i rysak, zdenerwowany krzykami, które było słyhać aż na dworze, ruszył od razu galopem. Zebrani wybiegli przed sklep, wygrażając pięściami, tymczasem domniemany morderca oddalał się w tumanie kurzu.

— Jezus Maria! *Je ne comprends rien! Czort pobieri!*\* — wykrzykiwali obecni w różnych językach. — I co potem się stało?

— Co miało się stać? — zabrał teraz głos doktor. — Żyda przywieźli mi kulawą szkapą do szpitala. Gdy zadzwonił Aram — dodał zwracając się do dziadzia Asłana — Żyd już był na stole. Nie ruszał się, oczy miał zamknięte, pejsy i broda posklejane krwią, chałat też. Wyglądał, jakby go z rzeźni przywieźli...

— Leonku! Gratuluję ci! — rzekł dziadzio Asłan rozanielony — to wszystko jednym uderzeniem tylko! Tak się bije!...

— ...ale ja nie takich widziałem! — ciągnął dalej doktor. — Kazałem przynieść dwa wiadra wody i lać mu na głowę... żeby krew odmoczyć! Patrzę, rusza gałką oczną pod zamkniętą powieką... długo już nie mógł wytrzymać! Zerwał się raptem wrzeszcząc, że go chcemy utopić, że jemu lekarstwa się należą, a nie zwyczajna woda. No, odetchnąłem — mimo wszystko — bo

---

\* *Je ne...* (fr.) *Czort...* (ros.) — Nic nie rozumiem! Niech to lichu!

my według reglamentu musimy w takich wypadkach policję zawiadomić. Krzyczał jeszcze, że piecze, że go boli, ale skończyło się na plastrach i na jodynie. Wyrwał mi się wreszcie z rąk i pognął do Bryczawy z powrotem, bo sobie przypominał, że sklep był pełen ludzi, a kasa została otwarta!

Na drugi dzień sytuacja wyglądała już inaczej. Przyjechał z Bieli *isprawnik* Brazuł, bo ktoś mu doniósł, że zdarzył się tu poważny wypadek. Zaśmiewał się, popijając wódeczkę na werandzie, podczas gdy dziadzio Aslan i Munio opowiadali mu całą historię... z odpowiednimi dodatkami! Potem okazało się, że zamiast tatusia policja chciała aresztować Langmeyera — za sfałszowane odważniki. Nawet ojciec interweniował, prosząc, aby dano spokój Żydowi. W niejednym sklepie w Bryczawie oszukiwano... Nie można było wszystkich aresztować. Wreszcie uspokoiły się wzburzone umysły i cały wypadek został zapomniany. Jeszcze czasem ktoś wspominał o tym wydarzeniu przy kieliszku — lub *isprawnik* się zaśmiewał:

— Cha, cha, cha! Lew Nikiforowicz, jak pan się przejmował wtedy! Bał się pan, że go do ciupy wsadzę, co? Cha, cha, cha! Od nie lada złodzieja byłby nas pan uwolnił!

W kilka miesięcy potem weszliśmy raz z ojcem do sklepu, gdzie niegdyś odbyła się główna część dramatu. Podbiegł do nas uśmiechnięty Langmeyer, pytając grzecznie, czym może służyć. Potem zaczął przewracać w szafkach, postawił pustą torebkę na wadze i zanim zaczął do niej szuflą siarki nasypywać, powiedział do ojca:

— Przepraszam pana dobrodzieja na chwilkę, dla pana mam specjalne ciężarki, chowam je pod łóżkiem!

Po tych wypadkach ojciec stał się znaną i popularną osobą w Bryczawie. Pamiętam, że gdy czasem chodziliśmy od sklepu do sklepu po chodnikach z desek przerzuconych przez błotniste ulice, wszyscy kupcy ojcu ustępowali z drogi i nieznanymi nawet z daleka mu się kłaniali. Nieraz słyszałem, jak sobie ojca pokazywano, mówiąc z szacunkiem:

— To ten Lew Nikiforowicz, ze Skajan! On taki mądry, jakby nie był goj! U Langmeyera ma nawet prawo do specjalnych odważników!

### Pierwszy samochód

Przeglądałem się, jak stajenny szczotkuje Popa, którego piękna gniada sierść nabierała połysku. Raptem wpadł Siańka do stajni i krzyknął podniecony:

— Hej! Wy wiecie, że dziś przyjeżdża generał na podwieczorek?

Stajenny wlepił w Siańkę oczy i gębę otworzył z wrażenia, nie przestając szczotkować.

— Timofiej! — powiedziałem do niego poważnie, jakbym już był dorosłą osobą. — Patrz, co robisz! Czeszesz pod włos!

Jakub zagwizdał z podziwem. Zaczął skręcać papierosa z machorki:

— Ho, ho! Nie lada konie będzie miał generał! — rzekł. — Wiesz, Stasik, podczas gdy *jego wysokobłagorodie* \* będzie pić herbatę z twoim ojcem,

---

\* *jego wysokobłagorodie* (ros.) — jego dostojność

my prędko jego konie wyprzęgniemy i postawimy w stajni między Popem i Orlikiem, żeby nasze nauczyły się od nich dobrych manier!

— Mój *inochodiec*! — rozległ się głos dziadzia Asłana, który wszedł w tej chwili. — Wy tu gadacie o generale, a mój koń nie osiodłany!

Rzuciliśmy się wszyscy, ten po uzdę, tamten po siodło, inny, żeby wyprowadzić konia przed stajnię. Gdy dziadzio już na nim siedział, odjeżdżając rzucił:

— Nie róbcie sobie nadziei. Koń generała jest taki wielki, że przez stajenną bramę nie przejdzie!

Zdziwienie odmalowało się na wszystkich twarzach. Czy to możliwe? — pomyślałem. Dziadzio już był daleko. Jakub zaciągnął się dymem:

— Chyba przyjedzie na słoniu? — zastanawiał się, po czym wzruszył ramionami.

— Stasik! *Où es-tu?*\* — zaskrzeczała Mlle Berthe.

Trzeba było iść na lekcje. Przyjemność ta trwała aż do obiadu. Historia, kaligrafia; zasypiałem. Na fizyce się ożywiłem, a wręcz podskoczyłem z radości, gdy o pierwszej usłyszałem głos ojca:

— Dość! Nie pracuj już więcej! Teraz będziemy kucharzami!

Wyleciałem biegiem, ojciec stał już w jadalni przed dębowym kredensem i wyciągał palnik spirytusowy. Nad ogniem upiekliśmy parę kawałeczków kiełbasy, by zaspokoić pierwszy głód. Ale już wchodzili Nastka z półmiskiem, dziadzio Asłan, mamusia i inni. Gdy usiedliśmy i serwetki były już związane pod szyją, nie mogąc powstrzymać ciekawości spytałem na cały głos:

— Tatusiu! Na jakim to koniu przyjedzie generał? Dziadzio mówi, że nie zmieści się w stajni?

Niezwykła wiadomość wybuchła raptem jak bomba:

— Generał przyjedzie swoim automobilem! — rzekł ojciec spokojnie, jak gdyby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

Automobil! Zobaczę automobil w Skajanach! — myślałem czując, jak ogarnia mnie podniecenie. Dziś nie trzeba było na mnie czekać. Zjadłem szybko obiad, wybiegłem na frontowe podwórze i wdrapałem się na wielką żółtą akację, która rosła na rogu, u wejścia do parku. Widać było stamtąd wieś po drugiej stronie rypy, zбочze Nowackiego i... jakiś tuman kurzu.

— Już jedzie! Już jedzie! — zacząłem wrzeszczeć i o mało nie spadłem z gałęzi.

Ale nie. To było tylko stado *szirokogonów*. Zaczęły upływać minuty, które mi się dłużyły jak godziny. Widziałem z góry całą krzątanicę wokół domu, ciocię Modzie idącą do kuchni, Munia wyjeżdżającego konno w pole, parobków, którzy wywozili gnój i czyścili stajnię. Gołębie klaskały głośno skrzydłami, latając dookoła gołębnika, ich lot przysłaniał czasem słońce, które powoli posuwało się po niebie. Nikt mnie nie wołał, siedziałem cicho, aby sobie mnie nie przypomniało. Czyściutkie chaty, pięknie wybielone, pod czapkami grubych, słomianych dachów, zaczęły wreszcie lekko się złocić. W dali migotały dojrzałe łany pszenicy, falujące pod pieszczotą wiatru, a nad głową widziałem bezkresne niebo, którego błękit ocieplał się w poobiednich godzinach. Znałem już samochody. Zjeździłem z rodzicami całą Europę Zachodnią i na Côte d'Azur widziałem ich mnóstwo. Ale to nie było to samo, we Francji wydawało się to rzeczą naturalną, we Francji nic mnie już nie

---

\* *Où es-tu?* (fr.) — Gdzie jesteś?

dziwiło. Ale w moim rodzinnym kraju... zobaczyć automobil w Skajanach — to dopiero była sensacja! Zresztą to pewnie nie taki sam, tu... to co innego. A może generał mnie weźmie na przejażdżkę?

Raptem, daleko na drodze, ujrzałem coś białego. To chyba nie automobil, pomyślałem, posuwa się tak wolno... Minęła długa chwila. Białego punktu już nie było widać. Ale słyszałem jakiś warkot... potem krzyki... trzask łamanych deszczulek i bum! coś spadło. Gdy nastawiłem uszu, nagle w bramie wjazdowej ukazało się coś cudownego! Bielusiński automobil z dwoma wielkimi, błyszczącymi oczami! Sunął po ziemi sam, lekko, gładko, objechał klomb dookoła i stanął przed samym domem. Dusza, serce, kiszki wychodziły mi oczyma! Za tak przeźroczystą szybą, że jej nie było widać, siedział generał. Był poważny, jak na jego wysoką rangę przystało, ubrany we wspaniałe uniform. Otworzył drzwiczki, wysiadł, obszedł automobil dookoła i otworzył drugie drzwiczki. Pokazał się wtedy drugi generał, miał piękne epolety, złożone akselbanty... Ojciec wyszedł tymczasem przed dom... uściskali się.

— Stasik! Gdzie on jest? — zawołał ojciec. — Niech przyjdzie powitać generała!

Oprzytomniałem i zlałem prędko z akacji.

— Oto mój syn — przedstawił mnie ojciec. — Niech pan generał mu wybaczy, jest zwariowany na punkcie samochodów i chce być inżynierem!

Weszli do domu. Gdy tylko zobaczyłem dziadzia Asłana, zacząłem mu opowiadać o przyjeździe dwóch generałów.

— Głupiś! — rzekł dziadzio. — Ten pierwszy to tylko szofer! — i widząc, że nie rozumiem — *Jamszczik!* — dodał. — Ten drugi to jest prawdziwy generał, i jaki! To księżę Kantakuzen! \* — wyczułem uznanie i respekt w jego głosie.

Poleciałem przyglądać się automobilowi, który wciąż stał przed domem. Szofer kręcił się koło niego, pozamykał drzwiczki, ale nie miał zamiaru jechać za dom, by postawić automobil w stajni.

— Jest tu woda w tej wiosce? — zapytał mnie i zaczął odkręcać jakiś korek. — Przynieśże mi wiaderko!

Ruszyłem galopem po wodę. Przed beczkowozem zderzyłem się z Siańką, który też chciał zanieść wodę szoferowi. Bijąc się o dostęp do czopa oblałem się cały. Wyratował mnie Jakub:

— Siańka! Wracaj do swojej roboty! — rozkazał.

W pośpiechu wychlapując wodę po drodze, dobiegłem z ledwie do połowy napełnionym wiadrem do auta. Szofer skrzywił się, wyłowił palcem żdźbło słomy i zaczął nalewać wodę do dziurki. Patrzyłem na to zdziwiony:

— Ja myślałem... — rzekłem nieśmiało — że do auta się nalewa benzyny!

— Cha! Cha! Cha! — zaśmiał się szofer. — Nie myl nigdy dziurki z dziurką! Rozumiesz? Ani teraz, ani gdy już będziesz za dziewczętami biegał! Tu, do tej dziurki, leje się wodę! A benzynę do tamtej!

Tak rozmawiając, otrzymując ironiczne nieraz odpowiedzi na moje naiwne pytania, obchodziłem samochód dookoła, obserwując pilnie każdy szczegół. Do dziś pamiętam dziwny kształt przednich błotników, latarnie w formie trąb, a także markę.

---

\* Wiele lat później, w 1955 r., miałem w Hiszpanii pilota próbnego, oblatywacza, księcia Kantakuzena, bratanika tegoż właśnie generała.

— To nasz, rosyjski samochód! — informował mnie szofer z wyższością. — To piersarow! \*

Czas przechodził szybko. Jeszcze o wiele rzeczy chciałem się spytać, gdy pokazali się na progu domu ojciec i generał. Szofer zakreślił korbą, jakby chciał wodę wyciągnąć ze studni. Generał pożegnał się i automobil odjechał. Siańka podprowadził ojcu osiodłanego Tarkuna i przytrzymał mu strzemień. Gdy ojciec znikł za bramą, Siańka rzekł do Jakuba, wytykając mnie palcem:

— On nic nie rozumiał z tego, co mu szofer pokazywał!

I potem zaczął mi tłumaczyć na swój sposób sprawę tych dwóch dziurek. Przerwały nam jakieś krzyki dochodzące od bramy. Weszło kilku ludzi niosąc kogoś rannego na noszach.

— *Aj! Matuszka moja! Aj!* — jęczał ranny. Miał twarz posiniaczoną i plamy krwi na lnianych spodniach.

Wybiegła ciocia Modzia i zawołała:

— Czuwas! Co ci się stało?

— *Aj! Pani moja!* Jak zobaczyłem ten szaraban, który jechał sam, bez koni!... Biedni ludzie! — pomyślałem. — Konie się im odczepiły, jeszcze wpadną do *rypy*...

— Przynieśliśmy go tu — przerwali chłopci — żeby go *stepun* Asłan zobaczył. Jeżeli ma jakąś kość złamaną, to stąd można do szpitala zatelefonować! On pokrywał dranicami dach Wołocha. Tak się przestraszył, że spadł na ziemię i potem stoczył się na dno *rypy*!

— *Aj!* Ty byś się nie przestraszył? — jęczał dalej Czuwas. — Gdy zobaczyłem ten dziwny szaraban jadący potem pod górę, zrozumiałem, że to diabeł go ciągnie. Zrobiłem znak krzyża w jego stronę! Na psa urok! — powiedziałem i sam się przeżegnałem. Ale diabeł to zobaczył. Wskoczył na dach i jednym kopniakiem zrzucił mnie na dno *rypy*!

### Czabani i karakuły

Pomiędzy różnymi ciekawymi typami ludzkimi, których było wiele, wyróżniali się moldawscy czabani. Przebywali daleko na stepie z swoimi stadami, ukazując się w wioskach tylko od czasu do czasu, gdyż życie ich upływało na łonie natury, pod palącym słońcem w dzień i chłodem wygwieżdżonego nieba w nocy. W dzień nie było ich widać w szarej dali; dopiero gdy się podjechało bliżej, ukazywała się ciemna postać czabana obwieszona skórą, opartego na wielkim jak pastorał kosturze, rzeźbionym w kunsztowne desenie. Nie ruszając się prawie, manewrowali ogromnymi stadami ze zręcznością generałów napoleońskich, wspomagani przez kudłate owczarki, obwieszane kolczastymi kulkami stepowych bodiaków. Z łbami odwróconymi pod wiatr, ściśnięte jedna przy drugiej, pasły się owce. W dali widać było zawsze konia z tatarskim siodłem, który prychając ze wstrętem, starał się wybierać trawy nie cuchnące owcą. Wieczorem znaczył się step ogniskami. Na

---

\* Gdy już byłem studentem na Zachodzie, zobaczyłem taki sam samochód. Był to produkowany w Stanach pierce-arrow. Miał indiańską strzałę przewleczoną przez litery marki fabrycznej. Obecnie ten typ już nie istnieje.

płonących gałązkach twardego burzanu w *czugunnym* kociołku gotował każdy czaban odwieczną mamałygę.

Stad owczych było w Skajanach kilka; dostarczały wełny, mleka, z którego robiło się bryndzę, ojciec zaś miał popularną w Mołdawii hodowlę karakułów. Pola uprawne stanowiły teren dla owiec zakazany, mogły paść się na stepie i na ścierniskach w jesieni. Step był miejscami nie do przebycia. Zwarte, zaciekle z sobą splecione, obronne kolcami, rosły bodiaki i burzany jak las. U dołu, przetorowane przez zwierzęta, biegly wśród tej szumiącej na wietrze gęstwy kręte, cieniste korytarze. Tam kryły się wilki. W miejscach gdzie step opadał w wądoły, gromadziła się sól i woda deszczowa. Na miękkiej, słonawej trawie pasiono barany przeznaczone na mięso.

Step wielki, szeroki był wciąż żywy i zmienny. Raz suchy i zalany słońcem, raz ciemny pod niskimi chmurami, na jesieni zdrewniały, na wiosnę zielony i soczysty jak sałata w ogrodzie, krył w sobie tajemnicę i napawał nas wszystkich respektem dla rzeczy wiecznych i wielkich. Step był wielki... Potem w Polsce nieraz myślałem: Jak tu ciasno! U nas na stepie było szeroko, było dość powietrza dla wszystkich i koń galopował szczęśliwy, upojony swobodą, a wiatr od wschodu rozwiewał mu grzywę... Czasem czabani znajdowali bielejące w trawie kości czy całe szkielety ludzkie. Czyje? Trudno było się domyślić, kto tu je pozostawił. Kozak? Tatar? Turek? Polak? W każdym razie jakiś przybysz z daleka, oderwany od swego kraju i swoich ludzi. Mołdawianin to nie był, bo po swoich wychodziły rodziny. Przy szkielecie nie było broni ani drobnych przedmiotów. Wędrowcy dawno już zabrali wszystko, co nadawało się do użytku. Po takim odkryciu ładowaliśmy kości na szaraban i zawozili do cerkwi, gdzie pop potem je grzebał we wspólnym dole na zielonym *kładbiszczu*.

Widziane z daleka, stado karakułów było raczej rude niż czarne, co przyjezdnych wprawiało w zdumienie. Jedynie śliczne małe jagnięta, nowo narodzone, były czarne jak węgiel i tylko oczka im błyszczały jak dwa diamenty. Skazane na wczesną śmierć, były one przedmiotem okrutnej eksploatacji. Zasztyte w pokrowce z płótna, z których wystawały nogi, głowa i ogonek, skakały wesoło koło matek, nie rozumiejąc złowrogiego znaczenia tego ubrania. Gdy nadchodził odpowiedni dzień, przyjeżdżali z Bryczawy specjaliści i... nigdy nie chciałem patrzeć na tę rzeź okropną. W kilka dni potem huśtały się na wietrze setki skórek napiętych na kablakach z łoży i zawieszonych pod okapem stodoły. Raz na rok przyjeżdżali futrzarze, przeważnie Żydzi, i po długich targach z ojcem ładowali skórki na swoje wozy.

W okresie rżnięcia jagniąt jedliśmy codziennie młodą baraninę i kto tylko mógł, przyjeżdżał do nas z daleka, by zachwycać się tym delikatnym daniem, jakim był *żarienyj baraszek* z chlebowego pieca. Osobno podawano specjalny przysmak: jagnięce oczy. Leżąc na talerzyku zdawały się rzucać pełne wyrzutu spojrzenia na tych, którzy los taki im zgotowali. Poważni, brodaci panowie polewali je octem i oliwą i bez wzdragania się wbijali widelec w ścięte białko otaczające czarną źrenicę.

— To kasek godny greckich bogów! — wołali ocierając wąsy.

Matki jagniąt karakułowych były strzyżone normalnie. Kobiety przedły ich wełnę i z niej to powstawały oryginalne kilimy, rozkwitające kolorami na tle głębokiej czerni. W ich środku widnieje zawsze ta droga mołdawskiej duszy doniczka z kwiatkiem, którą w różnych wariantach można ujrzeć na słupach i domach Mołdawii kamiennej, leżącej na południe od naszej, stepowej. Taki też jest ten siedmiometrowy skajański kilim, który razem ze



mną zawędrował do dalekiej Hiszpanii. Posiada on wszystkie atrybuty swojego mołdawskiego szlachectwa: czarne tło z karakułowej wełny; piękne, niezniszczalne kolory — uzyskiwane dzięki naturalnym barwnikom pochodzącym ze zbieranych na stepie roślin — i naturalnie doniczkę z kwiatkiem, na którym siedzi wesoły ptaszek. Jako prezent ślubny dla mamusi utkała go moja mamka Popowiczka, tęga Mołdawianka, która była moją drugą matką. Gotów i Daków podbił hiszpański Trajan, rzymski imperator. Z hiszpańskimi centuriami zajął południe Besarabii, gdzie jeszcze do dziś istnieją rzymskie wały obronne, i stanął, by konia napić w Dniestrze. Jego żołnierze zostali w tym kraju, na działkach podbitej ziemi. Doniczka z kwiatkiem wydaje się symbolem andaluzyjskiego ogrodu, może właśnie Italiki, koło Sewilli, gdzie Trajan się urodził?

Zimę spędzały owce w *stynach* i szałasach, na suchej paszy. Gdy wiosenne słońce spędziło śnieg ze stepu, rzucały się z radosnym bekiem w otwarte wrota na zieleniejące pastwiska. Porządku pilnowały w tej wzburzonej czarnej fali mołdawskie owczarki karpackie, posłuszne rozkazom czabana, umiejące rozróżniać nie tylko słowa, ale i intonację głosu, która wskazywała na potrzebę śpiesznego wykonania rozkazu lub ważność komendy. Hodował je wuj Teofil w Tyrnowie. Niektóre należały do tej niezwyklej rasy *pali smala* — była ona rezultatem wielowiekowej pasterskiej selekcji — cenionej i poszukiwanej przez czabanów. Warto było konia zatrzymać, aby przyjrzeć się pracy tych niezwyklej psów; okrażały owcę, która zapędziła się zbyt daleko, i dając susa wskakiwały jej na grzbiet. Przerażona owca gnała ile sił w nogach z powrotem do stada, podczas gdy zadowolony owczarek, z wywieszonym jak sztandar językiem, zręcznie utrzymywał się na jej grzbiecie. Kiedy indziej, by zbliżyć się jak najprędzej, biegł skrótem po grzbietach ściśniętych owiec i siadał przed czabanem, czekając na oznakę aprobaty po wykonaniu zadania. Gdy nie było nic do roboty, owczarki i tak trzymały się blisko pana. Zdawało się, że lubią zapach jego wysmolonych butów, że chcą być w pobliżu, by słyszeć każde jego słowo. Mimo że nam owce wydawały się jednakowe, czabani rozróżniali je doskonale, wiedzieli, ile każda ma lat, ile miała baranków, niektórym nawet nadawali imiona. Jagniętom przyglądali się uważnie, zwłaszcza gdy bodły się ledwie widocznymi różkami.

— Baaaraaam! — wołali, gdy jagnię zrywało się, i potem: — Buc! — dodawali, gdy zderzały się głowy. Zabawy te pozwalały zaobserwować, który baranek jest silniejszy lub odważniejszy. — Ten jest dobry! — wołał ubawiony czaban. — Zaraz widać, że to syn Kindżała! Tego zostawimy!

Z nadejściem nocy układało się stado do snu, przeważnie w przenośnej *stynie* ze smukłych karpackich jedlic. Dookoła ogrodzenia spały psy, czujne, uważne, gotowe do ataku z wściekłym charkotem, w razie gdyby pokazał się zniechęcony wilk. Czabani zasiadali wokół ogniska z burzanów, gotowali na trójnogach mamałygę, otwierali chlebaki, krajali pajdy chleba i bondza. Te noce przy ognisku, na otwartym stepie, pod chłodnym, wygwieżdżonym niebem, miały urok niezapomniany. W lecie rozciągał się nad śpiącymi spokój zmęczenia po upalnym, długim dniu; ciszę pełną szelestów i westchnień przerywało od czasu do czasu jakieś beknienie. Na jesieni zaczynały się poszczekiwanie wilków, daleko, za horyzontem. Trzeba było przywiązywać psy, bo wyrwały się w step bodiakowy i wracały potem pokrwawione, z poobrywanyimi uszami, powiewając wiszącym językiem jak tryumfalnym sztandarem. Czasem któryś nie wracał i wiadomo było, co to znaczy. Przywiązywano je więc na noc, aby je uchronić przed własną odwagą.

Lubiłem spędzać wieczory przy ognisku z czabanami. Jadłem ich pachnącą dymem mamałygę, słuchałem opowiadań, spałem z wypchanym zielem workiem pod głową. Czabani zbierali różne zioła, znali nawet takie, które pozwalają zobaczyć przyszłość we śnie. Raz, pamiętam, czaban Apostol wyciągnął stary stepowy instrument: teorban. Kręcił korbką i śpiewał. Była to długa epopeja o Tatarach na szybkich koniach, o Turkach z zakrzywionymi szablami, o Polakach w żelaznych zbrojach, o Kozakach, o wielkim Donie niosącym pomoc bratniemu Dniestrowi. Kiedy indziej opowiadano o niezwykłych wypadkach, o czynach heroicznych, o wojnach między królami, o piorunach, które sprawiedliwość wymierzają, o wilkach pełnych łitości dla zbłąkanych dzieci i o innych rzeczach niezwykłych, które sędziwi czabani widzieli na stepie bez cienia ni krańca.

— Raz — mówił czaban Birar — gdy wracałem z Bryczawy, upał był straszny. Patrzyłem na skłębione chmurzyska, wzdychając do burzy, bo już nawet brakowało suchej trawy. Oszczędzałem przez długie lata, by kupić sobie srebrny zegarek za kilka rubli u bryczawskiego Żyda. Czuję go za pasem i macałem od czasu do czasu, by nacieszyć się jego posiadaniem. Duże, chłodne krople zaczęły spadać z nieba i z radości pogroziłem chmurom moją pałką do mierzenia bydła. Raptem coś huknęło, błysnęło oślepiającym światłem, jakby słońce zważyło mi się na łeb. Więcej nie pamiętam, nie wiem, co się stało... Gdy otworzyłem oczy, nie mogłem zrozumieć, gdzie jestem... Leżałem w kałuży, byłem mokry, usmarowany błotem... Trząsałem się z zimna! Wstałem z trudem, zacząłem sobie przypominać, rozumieć... Piorun we mnie uderzył! Czy jest ktoś, kto może o takim zdarzeniu potem opowiedzieć? Pałka była zwęglona, ubranie podarte na kawałki, przez dziury przeświecało gołe ciało... gołe, ale zdrowe! Byłem żywy i nawet nie przysmalony! Pozszywam wszystko, myślałem, mam czas, gdy owce się pasą. Przypomniałem sobie mój nowy zegarek, macam się po pasie... jest! Wyciągnąłem go, by zobaczyć, czy idzie, i... zdębiałem! Znikły wskazówki, cyferblat, piorun go stopił na masywną kulę!

— Ja znów widziałem latającą kobietę — zabrał głos czaban Romaszkan — choć nie była duchem jak anioły ani nie miała skrzydeł jak bociany. Przepędzałem stado przez pola wypalonego stepu. Był to sierpień, z nieba walił żar jak z chlebowego pieca. Raptem zawirował kurz, zaczęła się tworzyć trąba stepowa, coraz grubsza, coraz wyższa. Owce, przerażone, nie słuchały już psów, zaczęły się rozbiegać. Patrząc, trąba kręci się i warczy jak wrzeciono, wciąga kurz i popiół, nie dopaloną trawę i patyki, a u góry dymi jak komin fabryczny. Zza stada owiec wyszła jakaś baba z kociołkiem w jednej i dzieckiem w drugiej ręce. Krzyknąłem, żeby ją ostrzec, ale huk już był taki, że nie mogła mnie usłyszeć. Trąba wpadła na nią i baba znikła mi z oczu. Po chwili widzę ją wysoko, na niebie, z nadętą spódnicą, jak ci święci w cerkwi na ścianie. Coś krzyczy, macha rękami, nie widzę już kociołka ani dziecka, znów wszystko znika w tumanach kurzu. Gdy trąba przeniosła się dalej, na polu usianym odpadkami leżała martwa baba i opodał dziecko, żywe i zdrowe!

— A widziałeś, Stasik — pyta mnie czcigodny szeful-czoban Tatarkun — tańczące owce? Źle jest, gdy owce tańczyć zaczynają. Pochylają głowy i kręcą się w kółko jak fryga. Nic na to nie można poradzić, psy szczekają, ale w tańczącą owcę wstępuje jakaś dziwna odwaga. Zazwyczaj taka strachliwa, gdy tańczy, to nawet psa się nie boi. Tańczy, tańczy, wreszcie pada na ziemię, myślałbyś, że jej się we łbie zakręciło, trącasz ją kosturem, a ona już

martwa! Niektórzy mówią, że to kara boska za męczeństwo karakułowych jagniątek, inni że tylko *szeful-czoban* Syrbun zna radę na to nieszczęście. Wyciąga swoją zaczarowaną wioarę i zaczyna grać. Owca zrazu jeszcze prędzej się kręci, ale on zwalnia, owca go słucha, on jeszcze zwalnia i wreszcie powolutku muzyka owcę uspokaja, aż stanie. Na skrzydłach muzyki wychodzi z niej zły duch przez uszy.

— A widział któryś z was, jak owce same w ogień skaczą? — wmieszał się do rozmowy czaban Saranian. — Mówią ci którzy owiec nie znają, że to są głupie zwierzęta. Ale jakie są w przyjaźni wierne! Czy człowiek rzuci się w ogień, dlatego że jego przyjaciel w nim zginął? A owca to potrafi! Raz jedna moja owca złamała nogę. Złożyłem jej złamanie i zostawiłem przywiązaną do kołka w cieniu sterty, bo nie mogła iść w step ze stadem. Wieczorem, gdy wracaliśmy ze stadem, z daleka już widzę ogień, dym, sterta się pali! Zacząłem biec, przypomniawszy sobie o przywiązanej owcy. Owce, jakby słyszały beki swojej towarzyszki, popodnosiły głowy i puściły się kłusem. Byłem rad z tego, bo chciałem dobiec czym prędzej, aby tę biedaczkę wyratować. Biegliśmy więc razem, mój *kurdul* wyciągnął się, wyglądał jak karawana. Na przedzie galopowały rogate barany, potem młode, a wreszcie stare owce. Psy też biegły, ucieszone tą nie przewidzianą zabawą. Zapamiętałem tę zabawę! Zdyszałem się strasznie i gdy już prawie nie mogłem się ruszać, dobiegliśmy do *odai*. Kula owca jeszcze żyła, ale już beczała coraz słabiej, osmalona z jednej strony. Raptem kupa żaru zwała się na nią i znikła w ogniu. Przepadła owca, myślę, nawet pieczeni już z niej nie będzie! Ale rozpedzone stado wprost w ogień wali! Pędzą owce jak otumanione, ze ślepiami wpatrzonymi w ogień. Drogę im zastępuję, wołam, krzyczę, kijem walę. Musiałem odskoczyć, bo i mnie byłyby w ogień wepchnęły. Jedna po drugiej znikają w żarze piekielnym, tylko smród spalonej wełny po nich został. Stałem oglupiały z rozpaczy. Co teraz powiem właścicielowi? Następnego dnia poszedłem z duszą na ramieniu do kamiennego domu. Ale *stepun* Cstap to był mądry pan. Posłuchał mego opowiadania, pokiwał głową. Zrozumiał, że to nie była moja wina.

— No, trudno — powiedział — na wiosnę dam ci nowe stado.

### Pierwszy lot

Pędzić, gnać, prześcigać, lecieć... latać! — tym miałem wypełnioną głowę, ku złości profesorów mohylowskiej *gimnazji*, którzy usiłowali mi ją napęłnić ortograficzną sieczką. Krótkie nogi Muca nie pozwalały na rozwijanie wielkich szybkości. Zresztą, zmusić go do galopu to nie była łatwa sprawa. Powozem można było jechać tylko powoli, tak jak pociągiem osobowym, a pośpieszny nie zatrzymywał się w Tyrnowie. Automobilu nie mieliśmy, więc... cóż wymyślić?

W lecie cała nasza banda bawiła się w puszczanie latawców. Były to prymitywne zabawki, zrobione z dwóch skrzyżowanych patyków obciążonych papierem tworzącym kształt deltoidu, z długim ogonem niezbędnym do utrzymania kąta natarcia. Lubiłem leżeć na wznak na trawie i patrzeć na unoszący się na tle niebieskiego nieba latawiec. W wyobraźni leciałem lekko na falach wiatru i patrzyłem na wieś z góry, czując, jak pęd powietrza rozwiewa mi włosy.

Gdy zaczynały się wakacje na kijowskim uniwersytecie, wracał Janek. Zaczynał się wtedy okres montażu aparatów, pokazów naukowych i doświadczeń w „laboratorium Wani”. Nie odstępowałem wtedy Janka na krok, pilnując, żeby sobie nie wziął innego pomagiera. Mój mistrz przyjeżdżał do Skajana często, nie do mnie zresztą, lecz dlatego że razem z moim ojcem budowali wielkie, „prawdziwe” latawce. Były to obszyte silnym, czerwonym madapolamem konstrukcje w formie prostopadłościanu. Widząc je, nikt by nie uwierzył, że mogą wznieść się w powietrze. Miał kształtu ptaka — przypominały skrzynie. Ale latały „jak anioł”. Drewniany szkielet zrobiony był z mocnej i lekkiej jodły karpackiej, beleczki zaś łączone kunsztownym wiązaniem sznurkowym; nie używało się gwoździ ani metalowych części. Mimo że bardzo duży, latawiec taki nie był ciężki i dało się go unieść nad głowę, gdy bieглиśmy pod wiatr na cerkiewnej łące. Dorosli przychodzili jednakże nam pomagać, bo przez dłuższy czas sami nie dalibyśmy rady. Gdy byłem już zdyszany i nogi się pode mną uginały, czułem, jak latawiec zaczynał drżeć, martwa skrzynia zamieniała się w żywe stworzenie, przez chwilę przestawał ważyć, aż nagle... jak z klatki wypuszczony ptak wyrwał się w niebo! Wznosił się szybko, widać było, jak faluje i drży madapolam na żebrowaniach, musiało się popuszczać sznura i baczyć, aby się z rąk nie wyrwał. Latawiec ciągnął coraz mocniej i czasem trzeba było kilku dorosłych, silnych ludzi, by go utrzymać. Zapierali się obcasami w trawę i nieraz ustępowali krok za krokiem, nie mogąc podołać. Zdarzyło się, że pękł naprężony sznur; latawiec podskoczył w górę jak korek w wodzie, ale wnet się przechylił, stracił nośność i spłynął ukośnym poślizgiem w dół, za wieś, gdzie trudno było potem odnaleźć jego szczątki. Zbierało się na burzę. Janek kazał nam wszystkim oddalić się, bo istniało niebezpieczeństwo wyładowania elektrycznego. Latawiec, przywiązany do drzewa, niknął chwilami w czarnych chmurach. Ukryty w bramie cerkiewnej, widziałem, jak Janek nie bacząc na pierwsze grube krople deszczu wybiegł, niosąc wielki kuty klucz od bramy stajennej. Dotknął nim sznura, gdy ja tymczasem wytrzeszczałem oczy, w nadziei że coś zobaczę. Potem tłumaczył nam, przy wieczornej małydze, na czym polega doświadczenie Beniamina Franklina.

W tych okolicznościach zrodził się w mojej gorącej głowie szaleńczy pomysł: chciałem latać. Moja banda, przerażona tym projektem, dała się jednak groźbami i obietnicami namówić do współdziałania. Wlażłem do wnętrza latawca i wszyscy ruszyli biegiem, niosąc mnie nad głowami. Pojawił się nagle mój ojciec, zawiadomiony przez jakąś litościwą duszę o niebezpieczeństwie. Puścił Tarkuna pełnym galopem w chwili, gdy latawiec już drżał i podrywał się w górę. Okładani rajpajczem koledzy opuścili mnie na ziemię mimo moich protestów i hrymnałem ciężko na trawę wśród trzasku łamiących się beleczek. Tak zakończył się pierwszy lot w moim życiu.

Wiele lat później spotkałem się w lekturach z opisami lotów tybetańskich lamów. Technika tych lotów, dla innych niezrozumiała i przyjmowana ze sceptycyzmem, była jasna dla mnie, jako uczestnika pamiętnej sceny na łące przy skajańskiej cerkwi. W himalajskiej dolinie górskiej, gdzie wiał silny, wstępujący wiatr, wznosił się wielki latawiec o kształcie prostopadłościanu, prowadzony na mocnym, długim sznurze przez grupkę lamów stojących na dnie doliny. W latawcu, trzymając się rękami jednych, a nogami drugich poprzeczek, szybował lama nowicjusz, odbywający obrzędowy, inicjacyjny lot. Przez szparę w płótnie trzepocącym na wietrze starał się ujrzeć ziemię leżącą daleko, w dole. Loty te były religijnym obrzędkiem, kon-

sekwencją ciągłej medytacji i koncentracji mistycznej, pozwalały świątobliwemu mężowi zbliżyć się do nieba, poczuć wokół siebie obecność boską. U skajańskich chłopców zaspokajały po prostu żądze przygód, szybkości, nowych przeżyć — i nie miało to w sobie nic niezwykłego. Ludzkość, mając przed oczami przykład owadów i ptaków, zawsze marzyła o podboju trzeciego wymiaru przestrzeni, czego dowodem są takie legendy, jak ta o Ikarze.

Niezwykłość, tajemnica tych wielkich latawców, puszcanych wysoko w niebo przez mojego ojca i Wanię, polegała na czym innym — i jest dla mnie wciąż nie wyjaśniona. Skąd pomysł budowania wielkich latawców, które mogły unieść człowieka? Jaką drogą dostał się do nas ten model latawca z Dalekiego Wschodu?

### Królowa owoców

Między różnymi owocami naszego kraju wyróżnialiśmy specjalną sympatią śliwki. Wyglądały skromnie; byli tacy, którzy twierdzili, że nie nadają się do zdobienia kloszów na paradnych stołach, tak jak brzoskwinie lub winogrona, ani na elegancki prezent, tak jak koszyczek poziomek lub malin, ani jako model do malowania obrazów martwej natury, tak jak szkarłatna tarcza arbuza. Może to nawet była prawda, ale śliwki, choć skromne, miały dużo innych, i to zasadniczych zalet. Byłem do nich bardzo przywiązany i z pewną przykrością patrzyłem, gdy ktoś przebijając w owocach odrzucał śliwki z gestem pogardy.

Śliwki, zazwyczaj małe, nie dochodziły do takich jak inne owoce rozmiarów, niektóre z nich jednak osiągały wielkość kurzego jaja. Inne były pokryte apetycznym, niebieskawym pyłkiem lub miały złocisty, soczysty i smaczkowity miąższ. Łatwo było dosięgnąć je na nie za wysokich nigdy drzewach, których smukłe gałęzie dawały się nagiąć do ziemi. Miały dużo oryginalnych odmian, można było robić z nich różne potrawy, desery, napoje, soki, konfitury, marmolady i powidła. Były uniwersalne. Jakż inny owoc mógł porównać się z tą naszą dobrą i kochaną przyjaciółką, królową stołu, spiżarni i sadu? W lecie śliwka panowała na plackach, tortach i ciastach, w wieczornych knedlach ze śmietaną, w kompotach, gdzie — oprócz tego, że sama zalecała się smakowitością — zamieniała zwyczajną wodę w doskonały sok owocowy, w deserach surowa, albo nawet jedzona wprost z drzewa. Towarzyszyła nam również w innych porach roku. Wysuszona na słońcu była używana do zimowych kompotów, zakonserwowana w occie okraszała pieczenie i dziczyznę, sfermentowana dawała pyszną śliwowicę, wędzona i nadziana makiem, suszona i nadziana kminem lub orzechami, połyskująca od lukru, była pierwszorzędnym smakołykiem, smażona w cukrze dawała najróżnorodniejsze marmolady i konfitury. Wreszcie, przerobiona na powidła, była podstawowym i popularnym dodatkiem do chleba, nieodzownym przy śniadaniach i podwieczorkach. Zawsze lubiana, wiernymi przyjaciółmi otoczona, zadziwiała śliwka najróżniejszymi kolorami, kształtami i smakami; mirabelki były drobne i okrągłe, lubaszki wesołe, węgierki jędrne i zdrowe, renklody złote i miodowe, japonki aż do serca karmazynowe. Piękna kolekcja dla najlepszych smakoszy.

Gdy nadchodził czas smażenia powideł, wykopywano między kuchnią

i gołębnikiem wielki dół, który służył jako piec. Czarnoziem nadawał się doskonale do drażenia kanałów o gładkich ścianach, robiono więc w nim palenisko, ciąg i komin przedłużony nad ziemią za pomocą blaszanej rury. Na głównym miejscu umieszczano ogromny kocioł miedziany, którego gruby brzeg trochę zaledwie wystawał ponad poziom ziemi. Był taki duży, że chowała się w nim całkowicie myjąca go na kolanach dziewczyna. Znoszono potem śliwki wielkimi koszami; skrzyknięte przez ciocię Modzię dziewczęta myły je i drelowały w kuchni, po czym w drewnianych korytach — cierpliwie wyżłobionych wcześniej dłutem w grubych pniach brzoźowych — niesiono je do kotła, który już buchał parą, podczas gdy wesoly mołdawski chłopiec podsyczał ogień, ładując bez przerwy słomę do paleniska. Powidła smażyły się powoli, nie można było operacji przerwać ani przyspieszyć. Pod wieczór koncentrowały się wszystkie spojrzenia na cioci, która z talerzykiem i łyżeczką w ręce wychodziła kosztować ciemniejącą już masę. Jeżeli powiedziała: — Gotowe — przykrywano kocioł drewnianą pokrywą, aby wystygł do dnia następnego, ale nie za bardzo, bo powidła musiały być jeszcze letnie, gdy je wkładano do beczulek i garnków; po czym wśród okrzyków radości rozbiegali się wszyscy do domów. Zdarzało się czasem, że przy powidlach trzeba było siedzieć do późnej nocy. W ciemnościach ogień otaczał płomiennym konturem sylwetkę uwijającego się przy palenisku palacza, który wyglądał jak diabeł smażyący w czarnej smole grzeszne, wzdychające boleśnie tysiącem baniek dusze. Raz dziadzio Aslan przystanął koło kotła trzymając konia za cugle i patrząc w ogień powiedział zamyślony:

— Musisz wiedzieć, że najprawdziwsze owoce to śliwki... inne bywają okazalsze, doskonalsze, ale do czego służą? Pomyśl... Jabłko jest jak szlachcic, który z piękną żoną Gruszką siedzi w salonie... na wakacje przyjeżdża do nich ponętna ciotka Morela... czasem pokazuje się podróżnik z południa, Pomarańcza... jest osiemnastoletnia córka na wydaniu, Brzoskwinią... są chłopcy Agrest i Dereń... i młodsze dziewczęta Wiśnia, Truskawka i Malinka... są dzieci Poziomki i Porzeczek... ale któż w tej rodzinie pracuje? Kto gotuje, szyje? Pocziwe, pracowite śliwki! One są jak Jakub, jak Popowiczka, jak ciocia Modzia, jak ty — bo przecież nauka to też praca! Jak ja, co mimo moich lat z konia nie zlążę... Wśród zarozumiałych owoców śliwka to pracowity, dzielny lud... i dlatego jest ich królową!

### Ciocia Modzia

Odkąd owdowiała, ciocia Modzia mieszkała z nami. Jej pracowitość, jej zdolności kulinarne, a przy tym częste nieobecności mamusi, rosnące gospodarstwo — zrobiły z niej szefa naszej aprowizacji. Skromna, nawet nieśmiała, ciocia wpadała czasem jednak w złość. Lubiła pracować w kuchni, piec ciasta, wymyślać nowe potrawy. Jak inni wielcy artyści nie używała miar ani wag, ani zegarka: robiła wszystko „na oko”. Wychodziły z tego potrawy nie wymęczone, nie wymacerowane, świeże, jędrne, pełne życia i własnego charakteru.

Inwencja cioci nie miała granic. Bywało, że gdy przyjechał na proszony obiad jakiś ważny czynownik i wszyscy siedzieliśmy już przy stole, przebierając w zakąskach i trącąc się kieliszkami, w kuchni otwierano du-

chówkę i okazywało się, że... katastrofa! Nie starczało już czasu, by rznąć i piec kurczęta dla zastąpienia spalonej pieczeni. Nie można było przecież podać gościowi zwyczajnej kiełbasy i bondza. Od najbliższego sklepu dzieliła nas godzina drogi końmi. Kucharz Aleksander uciekał wtedy z kuchni, wołając:

— ...Zobaczycie! Lew Nikiforowicz nas pozabija! — i ukrywał się w winiowym sadzie.

Przerażona Nastka radziła, żeby zaraz wszystko panu wyznać, jak na spowiedzi, a potem... „niech będzie, co Bóg da!”

Gdy wszyscy okazywali bezradność i przygnębienie, w ciocię wstępowała jakaś nadludzka odwaga. Wpadała do kuchni, jednym spojrzeniem jak Napoleon ogarniała pole bitwy i oceniała rozmiary katastrofy. Nie tracąc czasu rozsyłała dziewczętą po potrzebne jej wiktuały i zabierała się do pracy. Po chwili otwierały się drzwi od jadalni i wnoszono oczekiwany półmisek z jakąś nową potrawą. Pamiętam, jak pewnego razu, gdy wydawało się, że sytuacja jest beznadziejna, wjechało na stół nie znane, doskonałe danie: przekładaniec z chlebowych skórek, szynki, jaj na twardo, talarków kiełbasy, skropiony mięsnym bulionem, posypyany smażoną cebulką i ozdobiony jarzynkami. Wszystkim bardzo to smakowało, *czinownik* zachwycony poprosił o przepis i dobrał po raz drugi. Ciocia wykorzystała ten moment, stwierdzając dyplomatycznie:

— Widzę, że więcej już jeść panowie nie będą w stanie. A ja tak się pracowałam nad pieczeniem! No, trudno! Każę podawać deser!

Dawno, gdy ciocia przyjechała do Skajan, była blada, chuda i chora. Doktor Włodzimierz skonstatował wrzód żołądka i przepisał leki oraz ostrą dietę. Ale ciocia wdała się z babami mołdawskimi w jakieś konszachty i lekarstw nie brała; doktor awanturował się i groził, lecz wreszcie znudziwszy się zostawił ciocię samej sobie. Trudno było podpatrzeć, co je, bo przecież w kuchni i w spiżarni mogła jeść, co chciała, bez kontroli, a do stołu siadała zawsze pod koniec posiłku, zaczynała od deseru, a kończyła, gdy już wszyscy wstali. Wyglądała coraz lepiej, ale domowi, widzący ją codziennie, nie zwrócili na to uwagi. Po dłuższej nieobecności przyjechał kiedyś doktor Włodzimierz i zdumiał się. Po badaniu zaś obwieścił:

— Ona już jest zdrowa! — A potem zapytał groźnym głosem: — Coś z twoim wrzodem zrobiła? Na pewno mołdawski znachor pieniądze z ciebie doił?

Ciocia Modzia roześmiała się, trochę speszona:

— Ja nie... Ja nic... — zaczęła się wykręcać i wybiegła z pokoju.

Doktor długo jeszcze perorował przed ojcem i dziadziem Aslanem, ale niczego nie mógł się dowiedzieć. Zaintrygowany, pobiegłem zapytać Nastki.

— Ooo! To nie lekarstwa z apteki. Starsza pani mało co przy stole jadła, ale tak jak u nas, na wsi, kilka razy na dzień piła szklankę soku z kiszzonej kapusty!

## Rozkosz picia

Pić! W rozżarzonym jak piekarski piec upale dopaść studni i pić! Była to rozkosz dla wszystkich dostępna, jeżeli tylko było co pić. Na spienionym koniu siedział spocony jeździec, nad czarną rolą pochylał się spocony chłop,

pocili się wszyscy, młodzi i starzy, biedni i bogaci. Sprawiał to klimat, praca, sposób życia, może nawet charakter mołdawski... Od maja do października wszystkie koszule były do ciał przylepione, wszystkie czoła potem zroszone. Wyjątkowo był suchy, choć pocił się nawet więcej niż inni, wujcio Teofil; nosił bowiem specjalną bieliznę: oddzielające koszulę od ciała siatki sznurkowe, surduty z otworami wentylacyjnymi, do jazdy konnej lekkie narzutki z pozszywanych pelerynek, które furkając w galopie wzmagały cyrkulację powietrza między różnymi częściami ubrania. Pociłem się i ja; nieraz zaniepokojona mamusia dotykała moich mokrych pleców. Doktor Włodzimierz śmiał się z jej obaw. Na mamusine: — On jest słaby! — odpowiadał ironicznie: — Czyżby? — Mamusia wreszcie sprowadziła petersburskiego doktora Szonina, aby zbadał mnie dokładnie. Dziadzio Asłan był oburzony:

— Coś takiego! Doktora woła się, gdy ktoś ma dyfteryt lub cholera! A nie, bo ktoś się spocił! — wykrzyknął i zaraz zamilkł, żeby mamusia go nie usłyszała.

Rychło obaj doktorzy, trącając się kieliszkami, zgodzili się we wspólnej opinii, że pocenie to zdrowa funkcja, bo z potem wychodzą z ciała i duszy złośliwe miazmaty.

— Najgorszy typ ludzki, gdy rów wykopie i dobrze się spoci, zaraz straci zawiść lub złość do bliźniego, które wyjdą z potem — zgodzili się i znów popili.

Pociliśmy się więc swobodnie, bez ograniczeń i bez lekarskiej kontroli. Wobec tego trzeba było i pić. Piło się wszystko, co było i co się dało wypić. Gdy spojrzenie spragnionego padło na jakikolwiek płyn, pierwsza jego myśl była: może to się da wypić? Pomolog dziadzio Stefan propagował picie wody źródlanej. *Isprawnik* Brazul polecał wódkę lub chłodną, nie słodzoną herbatę. Dziadzio Asłan popijał kaukaskie, a tatuś besarabskie wino. Mamusia wodę z sokiem malinowym. Munio kwaśne mleko lub serwatkę. Ciocia Modzia sok z kiszanej kapusty. A babcia Władysława podkreślała swoją odrębność, nic nie pijąc.

— Jak mamy lubić tę kobietę! — mawiał dziadzio Asłan. — Ona nic, poza czarną kawą, nie pije!

Kilka lat później miałem okazję przekonać się osobiście, że zwyczaje te zupełnie inaczej wyglądają w krajach bardziej na północ położonych. W Polsce pije się bardzo mało, ludzie zjadają nieraz cały obiad, nie wypijwszy ani kropli płynu. Nieraz szklanek w ogóle nie stawia się na stole. „Pić” — znaczy pić alkohol. „On dużo pije” — tak określa się pijaka. U nas kto pił, pocił się, a kto się pocił, to znaczy, że ostro pracował. Pamiętam, jak wataha poganiał kopiących rów parobków:

— ...I żebyś widział te koszule mokre od potu!

Dziś w Europie Zachodniej pije się ostrożnie i po trochu. Gdy chcemy sięgnąć po karafkę, lekarz stawia weto: „od picia się tyje”, „szkodzi na trawienie”, „to niebezpieczne dla serca”. Trzeba chyba dotrzeć do Hiszpanii, aby móc beztrudno oddawać się rozkoszy picia, tak jak się piło za moich czasów na Besarabii.

Dwa musujące arcydzieła sztuki przyrządzania napojów ożywiały gazowym temperamentem nasz pejzaż butelek, karafek i garnków: kwas i kumys. Kwas! Orzeźwiający, musujący, chłodny, letni kwas! Jak smutno wyglądają teraz po nim te nowoczesne, fabryczne płyny, nie mające już związku ani ze studnią, ani z piwnicą, ani z rodzimą skałą czy ziemią, powstałe w metalowych zbiornikach, gdzie maszyna kazi wodę barwnikiem anilinowym, smakiem syn-



tetycznym i chemicznym środkiem słodzącym... Ale z kwasem musiało się uważać, był pełen charakteru, był gwałtowny, czasem niebezpieczny. „Czy w butelce, czy w brzuchu, zawsze gotów do wybuchu!”

Otyli starsi panowie popijali wody mineralne ze źródła w Kisłowodzku lub ze sławnych źródeł kaukaskich Narzan, Borżom czy Jessentuki. Niemo-włęta miały też swój napój: wywar z główek makowych, zmieszany z mlekiem, który pili się przed snem, aby nie płakać i nie budzić rodziców w nocy. Medycyna dwudziestego wieku zwalcza ten starodawny zwyczaj, jako szkodliwy dla zdrowia dzieci, ale dziś, przy wciąż zwiększającej się konsumpcji środków nasennych i uspokajających, wydaje się on bardzo niewinnym domowym środkiem.

Kto pije dużo, ten się nie upija, i w tym Besarabia była podobna do innych krajów południowych, gdzie kwitną winnice i wino jest — jak sól, ocet i oliwa — nieodzowną częścią nakrycia stołu, pragnienie zaś gasi nasza prawdziwa matka, rodzicielka i żywicielka: woda.

### Besarabska kozina

Miedzy różnymi zwyczajami związanymi ze sztuką gastronomiczną był na Besarabii jeden specjalnie honorowany, tak że przeistaczał się w rodzaj obrządku. Dziadzio Strienkowski, dziadzio Aśtan, wujcio Teofil, tatuś i inni starsi panowie, wielcy smakosze, podtrzymywali kult koziej szynki. Przysmak ten był zarezerwowany dla najbardziej wyrafinowanych „znawców tego, co dobre” — jak mawiali o sobie. Zwyczaj jedzenia koziny pochodzi podobno z Armenii. Na Besarabii żyło wielu Ormian i mój stryjeczny dziadek Aśtan też był Armeńczykiem, „przez nos gadał i kozinę jadał”. Podawało się ją pod koniec obiadu, wtedy gdy we Francji podaje się sery. Każdy wybierał odpowiedni kawałek, zapadała uroczysta cisza i przystępowano do obrzędu. Mężczyźni wyciągali z górnej kieszonki kamizelki ostre jak brzytwa nożyki i krajali możliwie najcieńsze płatki. Kozina jest sucha, twarda, ma ciemny kolor, który jaśnieje w cienkim płatku. Im płatek jest cieńszy, tym wyraźniej i ostrzej odczuwa się jej smak. Sztuka więc polega na uzyskaniu tej cienkości i prawdziwi mistrze otrzymywali płatki jak bibułka do papierosów, prawie całkiem przezroczyste. Oczywiście, nikt koziną nie mógł głodu zaspokoić, ale stanowiła ona okrasę, ozdobę choćby najbardziej wykwintnego posiłku. Było to coś jak kwiat w ręce urodziwej dziewczyny, jak wieniec okalający głowę marmurowego posągu.

Nigdzie w Europie nie ma zwyczaju podawania wędlin pod koniec posiłków i pod tym względem nasz zwyczaj jadań koziny był oryginalny. Z prawdziwym więc zdziwieniem odkryłem wiele lat później podobny zwyczaj w dalekiej Hiszpanii, wtedy jeszcze ożywionej echem epok minionych i obyczajów, które obecnie zanikają. Hiszpania ma zupełnie niezwykły rodzaj szynki *jamón serrano*, którą podawało się często pod koniec obiadu. Ma też kozinę w niektórych regionach, zwaną *cecina*. Nie wyklucza to teorii armeńskiego pochodzenia zwyczaju jadań koziny, gdyż są w Hiszpanii liczne wpływy kaukaskie.

Do dziś pamiętam smak koziny, jej zapach oryginalny, zwierzęcy, leśny zarazem. Przypominał wieczorny nastrój, czabanów siedzących poważnie dookoła ogniska, pod chłodnym spojrzeniem gwiazd na aksamitnym niebie... po-

zwalał na chwilę powrócić niejako intuicją do czasów najdawniejszej, prymitywnej cywilizacji, kiedy to nasi przodkowie żyjący w jaskiniach suszyli i wędzili mięso upolowanych z trudem zwierząt, aby je przechować na okres niedostatku lub głodu.

## Prawo stepu

Mołdawianie, poza wielką pracowitością, odznaczają się jeszcze innymi zaletami, takimi jak poważanie dla bliźnich, dobroć serca, zrozumienie dla zwierząt, poszanowanie dla obyczajów i tradycji. Zwierzęta domowe są dobrze traktowane, a tak zwane „dzikie”, dziś chronione ustawowo, dawno temu, za czasów mojego ojca, też miały swój statut, ustanowiony mołdawskim ludowym obyczajem. Rząd w Petersburgu, zajęty własnymi, poważnymi sprawami, rzadko kiedy przypominał sobie o swojej dalekiej Južno-Zapadnoj Gubernii, tak że mołdawskie życie szło — wyłączając jakieś poważne lub specjalne problemy — odwiecznym, tradycyjnym trybem. Zresztą, któż zajmowałby się takimi drobiazgami, jak sprawy zwierzęce, psie obyczaje na przykład? W życiu domowym nie były to jednak takie „drobiazgi”, jak by się zdawało. Psy cieszyły się ogólną sympatią, każdy z nich należał niejako do rodziny, która go otaczała ochroną, i miał przyjaciół, którzy bronili jego praw. Zgodnie ze starym, tureckim obyczajem nie topiło się szczeniąt. Pies miał też swoje obowiązki, a psie obyczaje uwarunkowane były swoistym kodeksem, który rozgraniczał rzeczy dozwolone od niedozwolonych. I kiedyś, w dramatycznych okolicznościach, przekonała się o tym nasza Małka.

Małka, duża, kudłata suka, była rasy karpackiej. Jej miejsce było właściwie wśród owiec, u stóp czabana, ale ojciec wyróżniał ją dla jej zalet i wziął ją do swojej pierwszej chaty na Frasynie — jeszcze za czasów kawalerskich. Małka знаła więc ojca dawniej niż ja i miała pewne prerogatywy, które nawet mnie nie przysługiwały. Gdy byłem mały, gramoliłem się na jej grzbiet widząc, jak wszyscy dookoła jeżdżą konno, i Małka ostrożnie, jakbym był figurką z porcelany, obwoziła mnie po ogrodzie. Lubili ją wszyscy i jej imię często rozbrzmiewało wokół domu: — Małka! Chodź tu! — Małka, pilnuj drzwi, bo wyjeżdżamy! — Małka! Podaj łapę, przywitaj się z tym panem!

Małka miała swój charakter i swoje humory, które wszyscy przyjmowali bez protestu. Jadła tylko z własnej miski, najlepszej nawet kości rzuconej wprost na ziemię nie dotykała. Nie wchodziła do domu i nawet kiedy się ją wołało, wejść nie chciała. Gdy inne psy podwórzowe zaczynały wściekle ujadać widząc, jak panie sadowiące się w dużym faetonie zapinały na sprzączkę naciągniętą na nogi fartuch z wilczej skóry, Małka nie okazywała żadnej złości, jak gdyby rozumiejąc, że te wilki już od dawna nie żyją.

— Nie, Małka, to te psy mają rację! — mówił dziadzio Asłan i dodawał: — Nie masz przyjaźni między owczarkiem a wilkiem! To jest prawo stepu.

Raz zauważyliśmy, że Małka gdzieś znikła.

— Nie przepadnie! — rzekł tatuś. — Teraz suki się gonią, na pewno spaceruje z jakimś narzeczonym!

Mijały dni i psa jak nie było, tak nie było. Może ją zagryzły wilki? — gubiliśmy się w domysłach. Kilka dni później, gdy wyglądałem przez okno, zobaczyłem Małkę.

— Małka! — wrzasnałem uradowany i wybiegłem przed dom, aby ją uściskać. Małka machała ogonem i uśmiechała się do mnie, szczęśliwa, że jest z powrotem w domu. Raptem rozległo się wściekłe szczekanie i otoczyły nas psy podwórzowe. Stały o dwa kroki od nas z najeżoną sierścią na grzbiecie i warczały groźnie, połykując kłami. Małka zadrżała i uciekła w głąb ogrodu. Psy, jakby mnie nie poznawały, rzuciły się na mnie. Jeden z nich złapał mnie za spodnie i wyrwał kawałek materiału. Rozdzielając kopniaki, wycofałem się w stronę domu. Gdy dziadzio Asłań wrócił z ołai, bardzo zdziwiony wysłuchał mojego opowiadania. Pomyślał chwilę i drapiąc się po karku wyraził swoje zdanie:

— Psy widzą, ale na wzroku nie polegają. Ufają zaś całkowicie węchowi. Idź, przebierz się i umyjl! Zobaczmy, co psy na to powiedzą...

Rzeczywiście, gdy umyty do czysta i przebrany wyszedłem znów na podwórze, psy powitały mnie ze zwykłą sympatią. Cóż to znaczy? — myślałem. Incydent był komentowany przy stole, każdy występował z inną teorią, tajemnica jednak pozostała nie wyjaśniona. Potem spadł deszcz i po tygodniu Małka znów urzędowała na podwórzu w zgodzie z innymi psami, jakby nigdy nic. Pewnego dnia Siańka przyniósł wiadomość, że Małka ma szczenięta.

— Będą z tego jakieś okropne kundysy! — zaopiniowali obecni — bo nikt nie był pomyślał, żeby sukę w odpowiednim czasie zamknąć i dopuścić do niej wybranego owczarka.

Wybiegłem z domu kłusem. Małka leżała za stajnią, w głębokiej norze, którą wykopała pod stogiem siana. Widać było w ciemnym otworze jej uśmiechnięty pysk z połykującymi białymi zębami. Chciałem włożyć pod nią rękę, aby namacać pieski, ale złapała mnie lekko za rękaw i warknęła ostrzegawczo, widocznie sobie tego nie życząc.

Dwa tygodnie później rozegrał się nagły dramat. W chwili nieobecności Małki psy podwórzowe wtargnęły do nory i z niezrozumiałą wściekłością pozagryzały wszystkie pieski. Oburzony do głębi, referowałem wypadek przy stole. Myślałem, że dorośli, gdy się dowiedzą o tym morderstwie, wymierzają winowajcom sprawiedliwość. Ale jak psy ukarać, by zrozumiały, o co chodzi? Wszyscy potępili to okrucieństwo psów, każdy wydawał inny na nie wyrok, gdy wtem odezwał się dziadzio Asłań:

— Tu nie ma co potępiać lub wyrokować. To właśnie te psy podwórzowe wymierzyły sprawiedliwość! Rozumie się, sprawiedliwość według prawa stepu. Małka pogwałciła psią solidarność, sprzeniewierzyła się owczarskiej rasie. Popędziła wtedy na step, do wilków. I teraz urodziła nie szczenięta, lecz wilczęta! Były skazane na śmierć według prawa stepu znanego każdemu czabanowi, który wie, że takie szczenięta trzeba zabić!

Zaległo milczenie. Byliśmy pod wrażeniem słów dziadzia. Teraz dopiero zrozumiałem znaczenie poprzednich oraz ostatnich wypadków. To Małkę należało ukarać! Teraz nasze oburzenie obróciło się przeciwko niej. Tatusz wziął ją naturalnie w obronę i zawołał:

— Jak ją karać, kiedy ona tego nigdy nie zrozumie! Zresztą... wina jest też nasza, zajęci innymi sprawami, nie pomyśleliśmy o tym, żeby ją zamknąć w odpowiednim czasie i męża jej poszukać.

Z czasem przestępstwo Małki zostało zapomniane. Między pokrwawionymi trupkami znaleźliśmy jednego półzywego pieska. Małka przełała na niego całą swoją miłość matczyną, a ja pilnowałem, żeby nic złego mu się nie stało. Wyrósł zeń dość duży, lecz chuderlawy i kulawy pies, który nie miał w sobie nic z wilka. Nazwaliśmy go: Riabczik. Miał tchórzliwą naturę, skowyczał już

z daleka, gdy mu się kij pokazało. Nie wyjmował ogona spod między nóg i na każde krzyknięcie kładł się brzuchem do góry, błagając o przebaczenie.

— Nie można zmienić tego, co w księdze jest zapisane — mawiali nieraz Tatarzy zatrudnieni przy tyrnowskiej stadninie.

I tak też potoczyły się losy tego wilczego syna; wyratowany raz od śmierci, wnet miał zginąć, długo skowycząc w mękach agonii, pod spojrzeniem okrutnych, czerwonych oczu.

### Czarnomorskie jesiotry

Gdy pokazywała się ryba na skajańskim stole, wszyscy zamęczali mnie, chwając to „doskonałe danie” i zachęcając, bym jadł. Bo w moim przekonaniu ryba to było dziwne jedzenie, do którego jakoś nie mogłem się przekonać.

Karpie podawano w sosie żółtawym i słodkawym, w którym pływały roźdzynki. Zupełnie mi to nie smakowało.

— Nie znasz się! To jest sławny karp po żydowsku! — wołali oburzeni poważni panowie, piorunując mnie wzrokiem, i dodawali: — Modesta Nikiforowna przyrządza go w sposób mistrzowski! Sam wielki rabin kiszyniowski nie widział jeszcze takiego dzieła sztuki!

Mój ojciec chrzestny, Władimir Iwanowicz, zjadał rybę z błogim uśmiechem. Widać było, że się rozkoszuje. Nie przestrzegał przy tym żadnej z zasad, które mnie były wszczepiane od dzieciństwa. „Nie mów, gdy jesz rybę!” A on rozmawiał i żuł, i perorował, i usta mu się nie zamykały. „Przegryzaj chlebem, chleb zbiera ości!” A on chleba nie ruszał. „Dobre wychowanie nie pozwala krajać ryby nożem!” A on krajał kręgosłupy i rozgrzebywał rybę nożem jakby nigdy nic. Nie biorąc za przykład ostrożności innych, wkładał duże kawałki do ust i żuł je niedbale, podczas gdy rozmawiał ze wszystkimi, nie krztusząc się nigdy. Rzucaliśmy na niego spojrzenia pełne niepokoju i patrzyliśmy zdumieni, jak wypływa od czasu do czasu kupkę czystych ości na talerz.

— Jakbym widział tę tyrnowską młockarnię! — wołał dziadzio Aśtan z podziwem. — Daremnie szukałbyś jakiego zapomnianego kłosa w słomie, którą wyrzucają jej stalowe szczęki!

Patrzyłem, również pełen podziwu. Cóż za niezwykłym talentem obdarzony był mój ojciec chrzestny! Raptem zakaszałem.

— Przegryzaj chlebem! — zawołał ojciec, wkładając mi spory kawałek do ust. Zakaszałem jeszcze gwałtowniej.

— Biedactwo! Ość mu się wbiła do gardła! — zawołała płaczącym tonem babcia Władysława. — Prędko! Dziecko się dusi!

Spojrzałem na nią z wściekłością przez załzawione oczy. Zawsze musiała ośmieszać mnie z tym „dzieckiem”! Aż wstyd mi było. Jakież ręce złapały mnie za włosy. Przechylono mi głowę wstecz. Ktoś nalał mi wody do ust, zmuszając mnie do jej połknięcia. Wołałbym, żeby mnie nie „ratowano”. Teraz dopiero zakrztusiłem się głęboko i brakło mi powietrza w płucach. Przykucnąłem, w nadziei że się wyrwę i będę mógł uciec do ogrodu. Nic z tego. Zmuszono mnie do otwarcia ust, napełniono mi je chlebem, zalano wodą. Czułem rozdęty żołądek, bulgotało mi w płucach, bolała mnie tchawica. Nie mogłem złapać tchu. Przed oczami ujrzałem czerwone koła, zrobiło mi się słabo i głowa opadła mi na ramię.

— Jezu! Ratunku! — słyszałem jak przez ścianę drażniący głos babci Władysławy. — Dziecko zemdlło! — Poczułem raptem silne ręce dziadzia Asłana:

— A nu! — zawołał — rozdział głowę! — po czym włożył mi palec do gardła. Myślałem, że się uduszę. Zwymiotowałem i... poczułem się lepiej.

Cóż więc dziwnego, że po takich perypetiach nie zachowałem wiele sympatii dla ryb jako pożywienia. Zwłaszcza ryby z wód słodkich nie mają dla mnie więcej smaku niż kłębek waty naszpikowany igiełkami.

Podczas Wielkiego Tygodnia ciocia Modzia przygotowywała nam szczupaki na wąskich i długich porcelanowych półmiskach.

— Na rybie się nie znasz! — mówił do mnie ojciec. — Ale chcesz być inżynierem? Praktykuj więc mechanikę, rozbierz mi głowę tego szczupaka i wybierz w niej narzędzia Męki Pańskiej.

Zacząłem pracę bez wielkiego entuzjazmu, ale po chwili musiałem przyznać, że głowa szczupaka miała więcej części składowych niż budzik kuchenny, za którego rozebranie dostałem raz mocno w ucho. Odżyła we mnie mechaniczna pasja. Wyciągałem chrząsteczki, wysysałem z nich resztki mięsa, potem czyste układałem rzędem na złożonej serwetce. Były to w miniaturze dobrze mi znane narzędzia: młotek, gwoździe, siekierka, piła, obcęgi, kawałek drabiny, krzyż etc. Było ich dwanaście. Dlaczego szczupak miał coś takiego w głowie? Nie mogłem się nadziwić.

Istniała jednak ryba, naturalnie morska, którą darzyłem sympatią, mimo że nie miała żadnych narzędzi w głowie: jesiotr. Podskakiwałem z radości, gdy dzwonił telefon i przychodziła wiadomość, że „jesiotry są już w Tyrnowie!” Nie znaczyło to oczywiście, że przypłynęły same Dniestrem i Reutem. W rzeczywistości miały za sobą długą jazdę koleją w niewygodnej pozycji, zwinięte w śrubę w beczce pełnej lodu. Czym prędzej wyjeżdżał *kar* na stację i wracał z dwoma lub trzema beczkami, z których Aleksander wyciągał smukłe, srebrne ryby, skręcone na kształt sprężyny. Rozprostowywał je i w długiej wanience, na podściółce z różnych pachnących trawek i listków, kładł na kuchennej płycie, ogrzewanej ogniem ze słomy. Gdy zabrzmiał wreszcie dzwon obiadowy, na wydłużonych porcelanowych półmiskach, ozdobionych kolorowymi talarkami z marchwi, buraków ćwikłowych, kiszonych ogórków, niesione z wdziękiem pięknymi rękami którejs z mołdawskich dziewcząt, śledzone wzrokiem obecnych, wkraczały z królewską powagą do jadalni. Mój podziw dla jesiotrów czarnomorskich miał solidną podstawę: wiedziałem, że to im zawdzięczam największy dla mnie przysmak, ikrę! Te czarne lub czerwone kulki przynosiły nam do Skajan pozdrowienie morza, delikatny zapach limanów i morskiego wybrzeża, obraz lecących mew nad szafirową wodą, szum lasu chwiejących się w takt fal szuwarów... Nakładając grubą warstwę tych kuleczek na chleb, nabieraliśmy przyzwyczajęń luksusowych i apetytów trudnych do zaspokojenia, jak się później okazało, gdy osiedliłem się w Europie Zachodniej. Do dziś jeszcze chce mi się śmiać, gdy na eleganckich przyjęciach widzę kanapki z kilkoma zaledwie ziarenkami kawioru. Szukam wzrokiem którejs sowskiej udekorowanej, ale daremnie: są jednakowe, czarne ziarenka policzone są skrupulatnie. Z Besarabskich czasów wyniosłem to ryzykowne upodobanie: żeby poczuć jego cudowny smak, należy jeść kawior stołową łyżką!

Raz na rok, na jesieni, robił ojciec wyprawę do Odessy lub do Moskwy, aby zakupić kawior na cały sezon. Sprzedawano go w ciemnowych składach o pięknym kamiennym sklepieniu. Dookoła ścian stały beczki z różnymi ga-

tunkami ikry. Wychodził na nasze spotkanie brzuchaty kacap i dawał nam tacę, na której stał słoik z czystymi łyżkami i drugi do połowy napełniony wodą. Tacę za ojcem nosiłem ja. Podawałem mu czystą łyżkę, ojciec nabierał kawioru i próbował go. Smakował, przymykając oczy, mamrotał coś pod wąsem, po czym oddawał mi łyżkę, na której było jeszcze sporo ikry; to już było dla mnie. Oblizywałem łyżkę sumiennie i wkładałem ją do słoika z wodą. Podawałem następną czystą łyżkę, podczas gdy zbliżaliśmy się do kolejnej beczki — i tak próbując obchodziliśmy cały sklep dookoła. Oddawałem potem tacę, oblizując się jeszcze; kacap stał przy drzwiach, by nas pożegnać, ojciec zaś, wychodząc, jakby od niechcenia rzucał zamówienie:

— Poślesz mi beczulkę tej *astrachanskaja ziernistaja*!

Na ulicy zaczynały padać pierwsze płatki śniegu.

### Besarabski krajobraz gastronomiczny

— Każda rzecz ma dwa końce! — rzekł raz ojciec. — A nasz krajobraz ma dwie strony! Bo gdy się zastanowić, to nasza kuchnia też jest pejzażem kraju, ale widzianym jakby od wnętrza, od strony upodobań podniebienia i żołądka. Krajobraz ów jest równie oryginalny jak i ten zewnętrzny!

Trudno porównywać besarabską kuchnię z wielką sztuką kulinarną francuską lub hiszpańską. Jest ona w swej skali skromniejsza i poddana wpływom krajów sąsiednich. Z Rosji dostała barszcz, pierogi, *tiftieliki*, bliny itp.; z Polski barszcz czysty, bigos, zrazy z kaszą itp.; z Ukrainy żur, od Turków *kebab*, od Tatarów szaszłyk i kumys itd. Oprócz tego kuchnia besarabska miała jednak swój charakter własny, związany z klimatem i ogrodnictwem, które stanowiły więź między krajobrazem wewnętrznym i zewnętrznym. Gorące lata dostarczały jarzyn i owoców, nieraz nie istniejących w krajach położonych bardziej na północ. Ostre zimy zmuszały do przygotowania kiszzonek (kapusta, ogórki), solonego masła, beczek z bryndzą i wędlin. Poza tym Besarabia należy do strefy kultury wina, jako powszedniego napoju, i oleju słonecznikowego, jako tłuszczu do gotowania. Obfitość bakłażanów zachęcała do podawania ich w różnych formach, że wymienię tylko wspomnianą poprzednio przystawkę: *bakłażannaja ikra*. Jako solidne danie z mięsem figuruje w programie doskonała *musaka*, potrawa robiona w kociołku z kartoflami, mięsem, słoninką wędzoną, pomidorami, cebulą, bakłażanami. Doskonałej i aromatycznej mamałydze mołdawskiej poświęciłem wcześniej cały rozdział. Godne wzmianki są też konfitury z kwiatu akacji, z fiołków, róży, z orzechów, młodych migdałów, a jako letni napój — orzeźwiający kwas.

Warte opisu były bliny, te, które gdzie indziej jadają ze śmietaną, a u nas przyrządzało się je z różnymi doskonałymi dodatkami, polane masłem.

— Pffff! — parsknęła raz pogardliwie Mlle Juliette. — Tyle mi o tych blinach mówiono, a tu widzę, że to zwyczajne *crêpes*! — Zapanowała cisza.

— *Mademoiselle!* — rzekł ojciec poważnym i nic dobrego nie wróżącym tonem. — Gdy się czegoś nie zna, to najlepiej o tym nie mówić!

— Wszystkim nam bardzo smakuje kuchnia francuska! — dodał wuj Teofil pojednawczym tonem. — Ale może pani nie wie, że w Skajanach można zjeść lepiej nieraz niż u samego Lapeyrouse w Paryżu! Siedziałbym tu bez przerwy, gdyby nie pani Modesta, która mnie stąd wyrzuca!

Popatrzyłem z niedowierzaniem, gdyż wuj z ciocią żyli w wielkiej przyjaźni.

— Tak, tak! — wyjaśniał wuj. — Moją dewizą jest: „Wstań od stołu taki, jak siadasz, zupełnie lekki!” A tu Modesta zaczyna podawać swoje arcydzieła i... jak się im oprzeć? Wolę zniknąć!

Tymczasem ja zajęty byłem budowaniem czegoś, co można by nazwać „wieżą łakomstwa”, lub „piramidą sztuki kulinarnej”: na pierwszym blinie ułożyłem warstwę wędzonego łososia; przykryłem drugim i nałożyłem grubo na palec siekanych jaj na twardo; teraz trzeci blin i gruba warstwa czerwonego kawioru; czwarty blin i tarty ser szwajcarski; piąty blin i sardynki w oliwie; szósty blin i...

— Dość już tego, opamiętaj się, człowieku! — zawołał ojciec. — Wywali ci się ta wieża w Pizie!

Przerwałem więc pracę konstruktorską i złapałem za sosjerkę z roztopionym masłem i za nóż, aby ukroić pajdę tego cudownego przekładańca. Do dziś nie znam wspanialszego dzieła sztuki kulinarnej i większej rozkoszy przy stole, jak jeść znakomite bliny przyrządzone po besarabsku.

Ciężko potem trawiłem obiad, siedząc na huśtawce i starając się wrócić do normy po blinowych ekscesach przy stole. Odbijałem się leniwie nogą od ziemi, trzymając na kolanach stos czerwonych i złożonych książek z „Bibliothèque Rose” wydawcy Hachette. Zalecano wtedy młodzieży czytanie powieści *Le général Dourakine*, *Jean qui grogne* et *Jean qui rit*, *Les malheurs de Sophie* etc., napisanych przez *comtesse de Ségur*, córkę generała rosyjskiego Rostopczina.

Nadeszła wkrótce godzina podwieczorku i w jadalni podano sorbety. Była to słodka masa o różnych smakach: różanym, cytrynowym, fiołkowym, pomarańczowym, akacjowym itp. O tym właśnie rozmawiały panie, dość zaperzone:

— Najlepszy jest sorbet cytrynowy! — zawołała wyzywająco pani Kajetanowa. — Gdy był u nas generał Prieobrażenski, to właśnie powiedział. A on wiedział, co mówił!

— Najlepszy jest akacjowy! — skontrowała ciocia, wodząc wzrokiem po obecnych w poszukiwaniu przeciwnika. — Tak powiedziała Tatiana!

— Co tam! Najlepszy jest różany! — zawyrokował dziadzio Asłan, wyskrobując srebrną łyżeczką dno kryształowego talerzyka. — I powiedziałem to ja, a jak kto się nie zgodzi, to mu gości połamie!

Nikt już nie odważył się kwestionować zdania opartego na tak przekonującym argumencie. Wszyscy jedli więc w milczeniu delikatny i wykwintny sorbet różany, który był jak kwietnik w naszym krajobrazie gastronomicznym.

## Skajański pogrieb

W owych czasach nie istniały lodówki elektryczne. W naszym klimacie zapotrzebowanie na chłodne napoje w lecie było wielkie i aby mieć lód przez cały rok, trzeba było pomyśleć o tym w zimie. Nasza lodówka wyglądała jak mały podziemny lodowiec. Wkopany głęboko w czarną ziemię, otoczony warstwą słomy, przykryty drewnianym dachem, leżał blok błękitnego lodu.

W letnim upale było to dziwne zjawisko, zawsze doznawałem niezwykłego wrażenia, gdy spocony otwierałem drzwi do pogrzebu i znajdowałem się, bez przejścia przez jesień, w sercu zimy. Przez zakurzoną szybkę sączyło się słabe światło pod drewnianym dachem, przykrywającym stosy słomy. W jednym miejscu, odsłonięty, połyskiwał szczery lód, do którego można było zejść po drabinie. Owiewał mnie chłód, zrazu przyjemny; ale przechodził wnet w dreszcz zimna pod mokrą od potu koszulą. Znałem już wtedy Tatry, gdzie jeździliśmy zimą, ale tam nie było lodu w lecie.

— To Zakopane w Skajanach zakopane! — rzekł raz ojciec i wszyscy przy stole się roześmiali.

Trzeba było dużo pracy poświęcić w zimie, aby mieć pod ręką takie Zakopane w lecie. Podczas gdy wszyscyśmy myśleli o piecu i o ogniu, trzeba było myśleć o lodzie, który z niepotrzebnego w zimie stawał się niezbędnym w lecie.

Białe, zimne chmury zlewały się z ośnieżonym krajobrazem, którego brzegi, nie przecięte linią horyzontu, łączyły się z niebem. Na środku stawu stała na grubym lodzie grupka wąsatych, wesołych Mołdawian. Oni wykonywali najbardziej niebezpieczną pracę: cięli lód. U ich stóp czerniała złowroga otchłań, do której nie pozwalano mi się zbliżyć. Fałszywy krok, poślizgnięcie mogły się skończyć tragicznie. Nawet gdyby ktoś wytrzymał kąpiel zimową w lodowatej wodzie, dostawszy się pod lód mógł utonąć. Piłami osadzonymi na rękojeści jak kosy kosynierów cięli ludzie lód, popychając nogą przed sobą prostokątny szablon, zapewniający jednakową wielkość bloków. Podjeżdżały sanie, jedne za drugimi, i ładowano na nie lód przeznaczony do pogrzebu.

Wszyscy śpieszyli się, pomagając sobie mołdawskim dobrym humorem, by oddalić od siebie myśl o zimnie. Ludzie byli praktyczni i wiedzieli, że najlepszy sposób, żeby pozbyć się nieprzyjemnej roboty, polega na tym, by ją wykonać szybko. Chłopi ubrani w szuby i baranie mołdawskie czapy wyglądali jak snopy przewiązane kolorowymi powróżkami. Jak cięcie nożem przez kark znaczyła się krwawą linią wstążka łącząca obie rękawice. W trójkącie między kołnierzem a czapą widać było wąsy, nos zaczerwieniony od zimna i parę przyjacielskich, uśmiechniętych oczu. Futro dookoła twarzy było pokryte białym szronem.

— Jarema! — ozwały się głosy. — *Destul, akasa!* \*

Jarema ciął lód w pierwszym rzędzie i spadła mu rękawiczka. Widziałem ją, jak oddalała się, mimo czynionych wysiłków, by ją wyciągnąć z wody piłą. Bez rękawiczek odmrożenie rąk było pewne.

Konie ciągnęły sanie po zboczu dolinki, gdzie znajdował się staw. Pod ciężarem lodu płózy wrzynały się w twardy śnieg. Konie wbiwały zdecydowanym ruchem kopyta, w obawie, by się nie pośliznąć, a płuca ich pracowały regularnie jak miech w kuźni, wyrzucając przez nozdrza strumienie pary, jak lokomotywa pod dondiuszańską górą.

W Skajanach, koło naszego domu, otwierała się czarna czeluść, otoczona kupami ziemi. W głębi pracowali „murarze lodowca”. Żuraw z akacjowego pnia pochylał się i spuszczał bloki lodu, zaczepione na hakach z sęków dębowych.

— *Ynainte! Hou!\*\** — wśród takich okrzyków spuszczały się bloki w dół,

\* *Destul...* (mołd.) — Dość, do domu!

\*\* *Ynainte!* (mołd.) — Naprzód!



oczekiwane już przez ręce, które je układały potem w zwartą konstrukcję i wypełniały szpary śniegiem, jakby zaprawą murarską. Konstrukcja rosła i murarze byli coraz wyżej, bliżej poziomu ziemi, stojąc na ułożonym już lodzie. Zajechały teraz sanie ze słomą, którą opatulano troskliwie podziemny lodowiec, aby mu nie było... ciepło. Drewniany, przenośny dach, oczekujący obok na moment zakończenia pracy, uniósł się i na niezliczonych nogach sunął gładko jak stonoga, aż zajął swoje miejsce. Osiadł, jakby zmęczony wysiłkiem. Zamknięto drzwi, szmatą przetarto okienko, podsypano ziemią okap; pogrzeb był gotów. W tym roku lód był doskonały, gruby, czysty, zmrożony do szpiku, gdyż termometr wskazywał — 28°C.

Ojciec zabrał dzielnych pracowników na wódkę do jadalni. O siódmej noc była pełna i każdy, wróciwszy już do swego domu, zdejmował szubę i pytał o wieczorną mamalygę. Zebrani wokół czugunnego kociołka, my również komentowaliśmy wypadki dnia:

— Timofiej jest niezwykle! — zawołałem. — Sam jeden podparł przechylone sanie i podtrzymał bloki lodu!

— Tak, ale stało się coś bardzo złego — rzekł poważnie Munio, rzucając mi spojrzenie przez stół. — Ty i twoi towarzysze narobiliście tyle hałasu, że pobudziliście karpie!

— Karpie? — zawołałem zdumiony. — Jak to? Karpie śpią?

— Naturalnie. Śpią w błocie na dnie stawu. Raz zbudzone, nie mogą już zasnąć, zdychają i na wiosnę woda wyrzuca je na brzeg.

Zamilkłem, zmartwiony, że taką krzywdę wyrządziliśmy rybom. Jadłem w milczeniu. Po chwili odezwał się dziadzio Asłan:

— Nie martw się. Można karpie uspić z powrotem. Poproś jutro ciocię Modzię o woreczek maku i rozsiewając go po wodzie śpiewaj kołysankę donośnym głosem, aby ryby cię usłyszały i spokojnie zasnęły.

Zdziwiony, powiodłem wzrokiem po obecnych, szukając na ich twarzach potwierdzenia słów dziadzia lub też uśmiechu ironii. Ale wszyscy zajadali mamalygę z wielką powagą.

## Knur Balaur

Gdy zachodziło słońce, *oda*ja odcinała się ciemnymi zębami na tle czerwonego nieba. Były to daszki i ogrodzenia niezliczonych chlewów, gdzie żyło, jadło i rozmyślało nad okrutnym dylematem: „albo z głodu umrę, albo mnie zjedzą”, około tysiąca świń. Odwiedzający naszą *oda*ję goście z zainteresowaniem przyglądali się temu świńskiemu miasteczku, którego mieszkańcy wydawali się wszystkim sympatyczni.

— Ich różowe tyłki wyglądają jak te tłuste aniołki Rubensa, unoszące się w powietrzu! — rzekł raz wuj Teofil.

— Jaki tam Rubens! — zaprzeczył profesor Horr. — Wyglądają już teraz jak kielbaski na talerzu!

Biedne świnki, którym podstępnie dawano tyle zahary, ile tylko zjeść mogły, dla amatorów wędlin nie miały nawet własnego kształtu ani jakiegokolwiek indywidualności, były po prostu przyszliznymi kielbaskami.

Kiedys zwiedzał chlewy pan Hołubasz, wielki znawca hodowli świń. Dotykał laską drewnianych drzwi i kołów, między którymi piętrzyły się murki z bydlęcego gnoju. Wzruszył ramionami:

— Ja buduję moje chlewy z cegły i w tym roku będę zakładał centralne ogrzewanie. A ty, Leon, jakbyś żył w przeszłych wiekach!

— Ja też mam centralne ogrzewanie! — zawołał ojciec śmiejąc się. — Gnoj sam grzeje! Nie wiesz tego?

Rozmowę tę przerwał straszliwy, przeraźliwy kwik świń, które poczuły apetyczny zapach przygotowywanej dla nich zahary. W wielkich kotłach parzono ukropem i solono mąkę kukurydzianą oraz mielony suchy groch; powstawała z tego mieszanina tak smaczna, że zawsze korzystałem z okazji, aby trochę jej podjeść. Stopniowo uciszał się koncert niecierpliwości, w miarę jak napełniały się koryta: teraz świny koncentrowały się na rozkosznej funkcji jedzenia.

Pewnego dnia, gdy różowe tyłki świń były już duże i zaokrąglone, przyjechali ormiańscy handlarze. Popatrzyli na świny, potem na ojca i wydeli usta:

— To są tuczne świny? To raczej psy wychudzone!

Ojciec zaprotestował, więc żeby go przekonać, jeden z nich wyciągnął szpilkę i bez jakichkolwiek względów dla biednego zwierzęcia wbił ją świni w grzbiet. Byłem oburzony tym okrucieństwem. Ku mojemu zdziwieniu, świnia jakby tego nie poczuła i jadła spokojnie dalej. Dopiero gdy koniec szpilki doszedł do mięsa, kwiknęła przeraźliwie i uskokczyła na bok. Szpilka mierzone w ten sposób grubość słoniny, co pozwalało obliczyć cenę żywej wagi biednego zwierzęcia, które nie mogło zrozumieć złowrogości znaczenia tej operacji.

Oprócz tych świń przeznaczonych na tuczenie mieszkał w osobnym chlewie wielki, potężny knur, zwany Balaurem. Rozmiarami przypominał dorosłego wołu, na krótkich wprowadzie nogach; pokwikiwał i chrapał potężnym głosem zależnie od humoru, i biegał wewnątrz ogrodzenia, dokąd nikt nie odważał się wejść, tylko od czasu do czasu wpuszczano samice. Balaur był niebezpieczny, niektórzy nawet mówili, że jest złośliwy, i ostrzegano mnie zawsze, bym nie zbliżał się do niego. Gdy jakieś zwierzę, pies, kot lub szczur wpadło czasem do jego ogrodzenia, Balaur rzucał się na nie ze zwinnością, o którą nikt by tego kolosa nie mógł posądzić. Tak skończył syn Małki, Riabczyk, któremu knur jednym ruchem wypruł flaki i potem stał nad nim, mrużąc czerwone oczy, jakby wsłuchiwał się z rozkoszą w rżenie zdychającego psa. Na przekór ostrzeżeniom ja Balaura się nie bałem. Wkładałem rękę za jedlicę, on przysuwał się bokiem i dawał się skrobać, pokwikuując z zadowolenia. Wydawało mi się, że mam w nim prawdziwego przyjaciela. Czasem podchodził do ogrodzenia, zadzierał łeb i przyglądał mi się z sympatią, mrugając jasnymi rzęsami.

Kiedys w zimie włóczyłem się po odai zasypanej śniegiem, nie wiedząc, czym się zająć, czym się rozerwać i w ogóle co robić. Klucznik, świniarze i inni ludzie oddalili się gdzieś, nie widać było ich w pobliżu. Wydało mi się, że słyszę jakieś wycia i poszczekiwanie. Po chwili ukazały się ciemne punkty na śniegu i zaczęły zbliżać się szybko. Psy? — pomyślałem. Ale gdy znalazły się już tylko o dziesięć kroków ode mnie, zdrętwiałem: to były wilki! Rzuciłem się do ucieczki, ale nie było łatwo biec w kopnym śniegu i przewróciłem się raz i drugi. Wilki dopadły mnie już, a na moje krzyki i wołania o pomoc nikt się nie zjawiał. Wtedy stało się coś niezwykłego: zatrząsł się mur zmarzniętego gnoju i przewrócił pod uderzeniem potężnego ryja. Z wyrwy wyskoczył rozpędzony Balaur i rzucił się na wilki z wściekłością. Leżąc w śniegu i trzęsąc się, nie wiem, czy z zimna, czy ze strachu, zobaczyłem,

jak jednemu przegryzł stos pacierzowy, drugiego podrzucił ryjem wysoko w powietrze, co widząc ten trzeci, który był najdalej, zawrócił w miejscu i zaczął uciekać tak szybko, jak na to pozwalał kopny śnieg. Balaur podniósł głowę i ruszając nosem wciągnął powietrze. Potem zbliżył się do mnie i trącił mnie ryjem, jakby sprawdzając, czy żyję. Serce mi wezbrało wdzięcznością, objąłem gruby kark knura i pocałowałem go w ryj. Nadbiegli ludzie, wpędzili Balaura do chlewu i zaczęli naprawiać ogrodzenie.

Wypadek ten był szczegółowo opowiedziany i rozważony później w domu. Wszyscy orzekli, że Balaur dał niezwykle dowód przywiązania do mnie, wyjątkowej inteligencji, odwagi bojowej i że należy mu się za to wdzięczność. Gdy się zestarzał, zamiast sprzedać go na mięso, puszczone go wolno — mimo ironicznych uwag pana Hołubasza. Włóczył się po odai, pał na łące, wyjadał rozsypane ziarno i spokojnie dokończył żywota, otoczony sympatią, jako wierny przyjaciel i obrońca rodziny.

### Zakład dziadzia Asłana

Było naprawdę zimno tego wieczora i siedzieliśmy wszyscy przysunięci do wielkiego, potrójnego pieca w przedpokoju, z którego grubych glinianych ścian buchało rozkoszne ciepło. Na dworze dęła zawieja śnieżna od dwóch dni. Okna powlokły się grubą warstwą lodu, oprócz tego śnieg zakrywał je do połowy, tak że nie trzeba było zasuwać firanek. W dzień kopaliśmy rowy w śniegu przed drzwiami, aby móc się z domu ruszyć. Siedziałem okrakiem na dużym worku pełnym słomy i wyrывая ją spod siebie, wtykałem do stale otwartych drzwiczek pieca. Słoma paliła się szybko, gwałtownie, ogień aż huczał w rozpalonej czeluści i bez ustanku musiałem dokładać, w przeciwnym razie bowiem równie szybko płomień byłby zgasł. Drzwiczek więc nie dało się zamknąć ani na chwilę. Słoma znikała prędko, worek się wypróżniał i trzeba było sięgać po następny — bez chwili wytchnienia. W głębi korytarza majaczyły w pełgającym świetle ognia kontury przygotowanych worków i zdawały się tańczyć z cieniami siedzących osób.

Od dawna już prosiłem ojca, aby nam coś opowiedział z przeszłych czasów. Zimowe wieczory wybornie nadawały się do tego; i tak oto przy piecu powstał zwyczaj snucia długich opowieści, dzięki czemu dowiadywałem się o ciekawych, minionych już wydarzeniach.

— W owym czasie — zaczął ojciec swoje opowiadanie — gdy żył jeszcze ojciec Teofila, urządziliśmy raz w Tyrnowie wielkie święto. Wszyscy bawili się z entuzjazmem, następowały po sobie rozrywki, tańce i gry. Ale pod wieczór zaczęły wyczerpywać się pomysły. — Urządzmy konkurs podnoszenia ciężarów! — zaproponował dziadzio Asłan i kazał przywieźć ze stodoły komplet odważników w kubitce wymoszczonej słomą.

— Ustąpcie, dziadku! — zawołał jeden z młodych siłaczy. — Nie dla starych takie zabawki!

I podczas gdy młodzi współzawodniczyli między sobą, podnosząc wielokroć różne ciężary, dziadzio odepchnięty stał opodal i rzucał na nich zawistne spojrzenia. Zmęczyli się wreszcie siłacze i Witię ogłosił zwycięzcą.

— Czekać! — zawołał raptem dziadzio, zbliżywszy się do Witi. — To są te pudy, które on podniósł? Dołóżcie drugie tyle! — i podniósł ciężarki razem z samym zwycięzcą trzykrotnie w górę, bez wysiłku.

— Hurra! — zawołali młodzi, bardzo zdumieni. Zrobili dziadziowi owację i ogłosili go zwycięzcą absolutnym. Dziadzio, zachęcony tym powodzeniem, zdecydował się na większe wyczyny:

— A nu! Niech mi sprowadzą powóz zaprzężony w dwa dobre konie! — zawołał.

— Po co? — zapytaliśmy zaskoczeni.

— Po co? — rzekł dziadzio z tajemniczą miną. — Zobaczycie!

Wuj Teofil kazał zaprząć dwa dobre konie do faetonu, który w mig zjechał przed dom i ustawił się przed schodami pałacu. Oba konie, kasztanowej maści, były młode, z tej pięknej rasy, silnej i pełnej temperamentu, wyhodowanej w tyrnowskiej stadninie. Gryzły niecierpliwie wędzidła czekając, by im pofolgować lejców. Zaczynaliśmy pojmować zamiar dziadzia: chciał zastrzymać faeton, przeciwstawiając swą siłę mocy dwóch koni.

— To wariatwo! To niemożliwe! — wołali obecni oficerowie wśród ogólnego podniecenia.

— Nu, dobrze — rzekł dziadzio spokojnie. — Jeżeli to niemożliwe, to zakładajcie się przeciwko mnie. Przyjmuję w zakład każdą sumę!

Pewni wygranej, oficerowie zaczęli zapisywać swoje zakłady w notesie dziadzia.

— Biedny Aslan! — rzekł wuj Teofil — przegra dużo pieniędzy!

Tymczasem dziadzio zrobił dołek w ziemi *sapą*, zaparł się w nim mocno obiema stopami, a rękami złapał za tylne koła faetonu. Ustawił się lepiej, poprawił swą pozycję i splunął. Wszyscy wyciągaliśmy szyje, aby lepiej widzieć. Oficerowie nie mogli pohamować niecierpliwiej ciekawości. Raptem dziadzio rzucił się wstecz zdecydowanym ruchem i krzyknął na stangreta:

— Wio! Naprzód!

Napięcie wśród zebranych na tarasie pałacowym gości było ogromne, niektórzy powstali z foteli, inni powyłazili na krzesła. Oficerowie, roztrącając nas, dopchali się do poręczy, gestykulowali i krzyczeli, jeszcze bardziej podnieceni niż wszyscy pozostali widzowie. Mnie dusza wyłaziła oczami, a wuj Teofil tak ścisnął mi łokieć, że aż syknąłem z bólu. Kobiety piszczały, a jedna dziewczyna zaczęła nawet głośno płakać. Byliśmy świadkami niezwyklej sceny. Konie, poderwane przez stangreta, pociągnęły silnie za szleje, raz i drugi. Ale dziadzio trzymał mocno za koła i nie pozwolił im posunąć się naprzód ani na cal. Konie, zaskoczone, poluzowały szleje, cofnęły się trochę i pociągnęły po raz trzeci. Poruszyła się ziemia pod stopami dziadzia, łukiem wygięły się jego nogi w olbrzymim wysiłku. Ale faeton nie zdołał się posunąć w przód, stał jak przybity do ziemi. Dziadzio, mocno pochylony wstecz, leżał już prawie. Poczerwieniał mu kark, wystąpiły żyły na szyi, a twarz stała się fioletowa.

— Naprzód! Mocniej! — zawołał ochrypłym głosem.

Stangret nie wiedział, co robić. Uderzył batem konie, które już i tak były zdenerwowane. Podskakiwały nieźbornie i jeden, nie przyzwyczajony do bata, stanął dęba. Nastąpiły na szleje, poplątały uprząż, trudno już było je zmusić do równomiernego, wspólnego wysiłku. Stangret zeskoczył z kozła, starając się rozplątać uprząż i wydobyć szleje spod nóg. Lecz odskoczył gwałtownie, gdyż konie zaczęły wierzgać na wszystkie strony. Zaprząg, całkiem zdezorganizowany, nie był już zdolny do ciągnięcia.

— Co się dzieje? — zawołał dziadzio nie ruszając się ze swojego miejsca. — Chcecie przyprowadzić nowy zaprzęg?

— Nie ma o tym mowy! — rzekł ojciec wuja Teofila wstając. — Ogła-

szam pana Asłana zwyciężcą! Ci, którzy stawiali przeciw niemu, przegrali swoje zakłady!

Usłyszawszy tę deklarację, dziadzio puścił koła i wyszedł spod faetonu. Wśród okrzyków podziwu, otoczony rozentuzjasmowaną młodzieżą wszedł po schodach na taras i wyprostował się jak prawdziwy bohater. Oficerowie pozakładali się o znaczne sumy, tak byli pewni wygranej, i teraz zbierali z trudem pieniądze, wypróżniając portfele i portmonetki z widocznym zakłopotaniem. Dziadzio, który ich obserwował, zauważył, że nie mają dość pieniędzy, i gdy odpoczął, zwrócił się wprost do nich:

— Panowie, nie znacie mnie, ani też moich sekretnych sposobów, w takich warunkach nie uważam waszych zakładów za dokonane. Nic nie jesteście mi winni!

Wojskowi byli zachwyceni takim obrotem sprawy. Oświadczyli, że dziadzio jest niezwykle, że w życiu tak silnego człowieka nie widzieli, macali jego bicepsy, klepali go po ramionach, deklarowali się z wieczną przyjaźnią. W dwa tygodnie po ich odjeździe do Akermanu i Odessy dostał od nich dziadzio wspaniały dar: nargile w kaukaskim stylu wykładane srebrnymi, rżniętymi i oksydowanymi listeczkami, z długą szkarłatną rurą, która pozwalała palić siedząc po drugiej stronie pokoju, z daleka od słońca z wodą.

Słuchałem jak urzeczony tego opowiadania. Przestałem dodawać słomy do ognia, który prawie całkiem zgasł. Przywołał mnie do rzeczywistości głos ojca: — Ogień! Zgasł ogień!

Drżącymi rękami wyrywałem słomę z worka i wpychałem w otwarte drzwiczki pieca. Robiłem to automatycznie, wpatrzony w języki ożywającego ognia. Tymczasem przed oczami jeszcze raz przesuwaly mi się obrazy tego niezwykle opowiadania. Przypomniałem sobie dobrze znaną scenę: siedzący w swoim pokoju dziadzio, z rurą nargili w ustach. Nie wypuszczając jej, wskazywał mi ręką, bym mu dołożył tytoniu, podczas gdy bulgotała woda w słoju i aromatyczny dym kreślił delikatne arabeski dookoła jego białej głowy.

Takim będę go pamiętał zawsze.

### Indyczy maraton pana Hałajdzoglu

Pewnego wieczoru opowiedział nam ojciec historię indyków sportowych pana Hałajdzoglu:

— Były to porządne besarabskie indyki z Bratuszan. Wiesz, gdzie to jest? Stary pan Hałajdzoglu był wtedy młodym człowiekiem i spędzał dnie na koniu, galopując często z wujem Teofilem i ze mną po tyrnowskich polach. Pewnego dnia zauważyliśmy — ciągnął dalej ojciec — że ktoś buduje ogrodzenia w Bratuszanach. Nasz towarzysz zniknął i okazało się, że objężdża okoliczne targi i skupuje indyczeta.

— Pietia — zapytałem — co masz zamiar zrobić z tymi indykami?

— Ja... utuczyć je! — odpowiedział i już nic więcej nie mogliśmy z niego wyciągnąć.

Wuj Teofil wzruszył ramionami i wróciliśmy do naszych spraw, nie myśląc więcej o tajemniczych zamiarach Pieti. Ale bryczawscy Żydzi nie dawali za wygraną:

— Ten goj nie puszcza pary z ust. On coś wymyślił. Ale co? — I zasta-

nawiali się, zazdrośni, że kto inny może zrobić interes przed ich własnym nosem.

Przyszły żniwa, potem młocka, zapomnieliśmy o tych indykach. W październiku pokazał się Hałajdzoglu, by pożegnać się z nami.

— Do widzenia! — rzekł. — Jutro wyruszam do Wiednia!

Zaraz się domyśliłem: sprzedał indyki i za zarobione pieniądze jedzie zabawić się w Wiedniu.

— Nieee... — zaoponował Hałajdzoglu — zabieram indyki ze sobą!

Stanęliśmy zdumieni:

— Jak to? Jakim sposobem? — Wtedy jeszcze nie było tej linii kolejowej, która dziś biegnie przez Tyrnowo.

— W Wiedniu jest zwyczaj podawać indyka na wieczerzę wigilijną. Rozkupią mi moje indyki w okamgnieniu. Jutro rano wyruszam, przyjedźcie, to zobaczycie! — uśmiechnął się, wsiadł na konia i pojechał.

Staliśmy jak wryci. Wreszcie przemówił Teofil:

— To nie może być! On nas oszukuje! Przecież wigilia jest postna, u nas w Rosji i wszędzie, gdzie są chrześcijanie! Na wigilię je się rybę, nie indyki! Zresztą, ileż to szarabanów i koni, i woźniców musi wziąć ze sobą, żeby przewieźć tysiąc żywych indyków!

— Zrukuje się! — powiedziałem, a Teofil dodał:

— To nic, gorsze jest to, że on zwariował!

Na drugi dzień przy indyckich zagrodach Pieti znaleźliśmy się nie tylko my, ale i wszyscy sąsiedzi. Parobcy naciętymi pokrzywami chłostali indyki po nogach. Potem zaczęto otwierać zagrody i wypuszczać indyki wąskim przejściem. Zbliżyliśmy się, obserwując bacznie; indyki musiały przejść przez błaszany zbiornik z ciepłą smołą, w której grzęzły aż po kostki, a potem przez kupę piasku. Po tej kąpieli wychodziły na drogę. Zaczynaliśmy rozumieć. Chłosta pokrzywami miała zapewnić ptakom odporność na choroby, a smoła z piaskiem to były buty! Rzecz bardzo ważna, bo... droga do Wiednia była długa! Tak! Indyki pana Hałajdzoglu, otoczone przez małych mołdawskich pastuszków, którzy je pędzili wiśniowymi prętami na pełnej kurzu polnej drodze, rozpoczynały przed naszymi oczami długą, pełną różnych przeciwności podróż... do samego Wiednia, na własnych nogach!

Hałajdzoglu wsiadł na konia obwieszoną woreczkami z ziarnem, skłonił się nam uprzejmie i wyruszył za indykami. Gdy pierwsze zdumienie minęło, zaczęły się obserwacje i krytyki:

— To pomysł wariacki! Nigdy do Wiednia nie dojdą! Jakże przebrnie ta czereda przez Karpaty? Lisy rozszarpia te indyki! — i wreszcie:

— Gdybyśmy byli się domyślili, prędzej byśmy go związali, aniżeli pozwolili biednemu Pieti na to, by żądza przygód wpędziła go w takie tarapaty, jakie go jeszcze czekają!

Ale w Bryczawie panowały inne nastroje. Podnieceni Żydzi komentowali sprawę indyków pana Hałajdzoglu.

— To czysty interes! — wołali, kreśląc cyfry kredą na ładzie sklepowej: — Indykęta kosztowały go tyle, ziarno nic, wypuszczał indyki na ścierńsko. Woda nic. Pokrzywy nic. Smołę kupił u mnie za dwadzieścia kopiejek. Piasek nic. Chłopcom da jeść, pokaże Wiedeń i będą szczęśliwi. A wy wiecie, ile się płaci w Wiedniu za indyka w porze świątecznej? To jest czysty interes!

— To jest twoja wina — narzekał Rosenblum, gestykulując przed nosem swego współnika Rosenkrantza. — Zawsze wszystkiego się boisz, nawet włas-

nego cienia! Mogliśmy byli zrobić ten interes my! A teraz ten goj się obłowi! Z twojej winy straciłem sto rubli! Oddaj mi je! — I złapał współnika za brodę, aż jarmułka spadła tamtemu na ziemię.

W styczniu przyjechał do Tyrnowa Ohanovici. Obok niego w saniach siedział Hałajdzoglu.

— Pietia! — wykrzyknęliśmy uradowani. — Chodź do środka i opowiadaj, jak to było z tymi indykami!

Zasiedliśmy do stołu, ale gdy Pietia zobaczył piezzonego indyka, odwrócił głowę ze wstrętem:

— Przez całą drogę musiałem jeść te, które już nie mogły iść dalej — usprawiedliwiał się. — Mam ich dość.

— No, a jak ci się udał interes? Opowiadaj!

— No, cóż... część indyków sprzedąłem. Ale ten Wiedeń! co za formalności, przepisy, biurokracja! Ja myślałem, że rzuca się na moje indyki, jakby to było na Mołdawance w Odessie. Jadę dorożką z dwoma indykami, patrzę, a tam stoi ogromne koło, *riesenrad*. — Stój! — wołam do *jamszczika*, a on, że należą się dwie korony. Daję mu za to indyka, a on nie chce, mówi, że co z tym będzie robił? Widzieliście, jacy to głupi ludzie są w Wiedniu? On nie wiedział, że indyka się je! Kiedy indziej idę ulicą z indykiem pod każdą pachą, widzę — jubiler. Wchodzę, wybieram pierścionek z kamyczkiem, co to naszym dziewczętom można podarować. Wkładam go do kieszeni i w zamian daję kupcowi indyka. A ten w krzyk, że on chce albo pieniądze, albo pierścionek z powrotem. Ja nie chciałem wydawać tych pieniędzy, które dostałem za sprzedane indyki! Chciałem wydawać same indyki, przecież to jasne! Mówię: — Nie ma już pierścionka, znikł! Bierz indyka! — A ten w krzyk, sprowadził policjanta w takim baniaczku na głowie, że śmiać by mi się chciało, gdybym nie był jednak trochę przestraszony. Policjant wyciągnął książkę, czyta prawo austriackie, a potem chce zabierać mnie do *karaulu*. Zaczęliśmy się szamotać, na szczęście indyki mi się wyrwały, kupiec z policjantem rzucili się je łapać i w tym zamieszaniu uciekłem! Ale oba indyki przepadły. Został mi pierścionek, który nie był ich wart. Ot, jaki ten Wiedeń! Z daleka, wydaje się, piękna stolica, a z bliska — to jak taka parszywa Bryczawa: same Żydy, a kto nie Żyd, to gorszy od Żyda!

Podczas tego opowiadania nieustannie skręcałem się ze śmiechu, siedząc okrakiem na worku ze słomą. Ogień zgasł w piecu, ale ojciec tego nie zauważył.

— No i co? — pytałem niecierpliwie. — Co się potem stało?

— No cóż... Hałajdzoglu poniechał wypraw do Wiednia. Wybudowano naszą linię kolejową. Rosenkrantz zaczął pracować na rzecz Rosendufta, hurtownika drobiu w Wiedniu, i on teraz kupuje indyki od pana Hałajdzoglu, tu, na miejscu. W dzisiejszych czasach to już łatwo handlować, samo to już idzie. Ale dawniej... — w tych czasach, o których opowiedziałem — aby eksportować za granicę, trzeba było być prawdziwym bohaterem! Bohaterem, jakim był bez wątpienia, choć na swój sposób, pan Hałajdzoglu, kiedy organizował ten indyczy maraton z Bratuszan do stolicy imperium austro-węgierskiego.

## Turecki osiłek

Po skończonej kolacji siedzieliśmy z Nastką na worku ze słomą przed otwartymi drzwiczkami pieca. Ciocia była jeszcze w jadalni, a ojciec wyszedł na dwór, żeby zobaczyć, ile śniegu napadało. Nastka czule mnie obejmowała, a ja usiłowałem się uwolnić od jej pieśczot, żeby móc wypchać słomę do pieca. Nadeszła ciocia, potem Lola, Mlle Yvette, Munio, wreszcie ojciec. Nastka puściła mnie i trochę się odsunęła.

— Ależ nasypało śniegu — mówił ojciec przytupując nogami i prychnąwszy. — Jutro nie będziemy mogli się ruszyć z domu przez cały dzień. Powiedziawszy to, usadowił się w fotelu i zapalił fajkę. Po chwili dodał: — Dzisiaj wam opowiem, jak dziadzio Aslan wygrał konkurs turecki:

W urządzanych w Tyrnowie zawodach sportowych i zapasach przejawiał się zawsze dobry styl. Ale w Dragiczanach Turek Skipar, osiłek i wielki amator tego rodzaju rozrywek, nadawał im charakter raczej ordynarny. Pewnego dnia zostaliśmy tam zaproszeni: twój dziadek Aslan, Teofil i ja. Zorientowałem się zaraz, że Skipar nie znał twojego dziadka i nie wiedział nic o jego fizycznych możliwościach. Pociągnąłem dziadka za rękaw:

— Wuju, pozwól im się bawić, jak chcą. Nie wtrącaj się do nich, my przecież przyjechaliliśmy tylko, żeby popatrzeć!

Dziadek skinął głową i usiadł spokojnie koło pana Hałajdzoglu. Jacyś nieznajomi wybuchnęli śmiechem na widok dziadka.

— Patrzaj no na tego Ormiaszkę-zabijakę! Stary i jeszcze mu się guzów zachciewa! Jak go Skipar złapie, łeb mu rozwali! *W dziebiezgi!*

Siłacz Skipar, przymrużając oko, powiedział głośnym szeptem, tak żeby wszyscy słyszeli, do stojącego obok chłopca:

— Taki dziadek toby mi się nadał na przeciwnika!

Zaniepokojony spojrzałem na dziadka, myśląc o tym, by zapobiec ewentualnemu nieszczęściu. Wydawało się, że nic nie usłyszał, bo dalej przesunął w swych grubych palcach ziarenka tureckiego różańca, uśmiechając się spokojnie, podczas gdy krzesło jęczało i gięło się pod jego ciężarem. Tymczasem zaczął się konkurs. Ogromny Skipar, który ważył 150 kilogramów, wszedł na estradę. Po sali krążyli kelnerzy w białych marynarkach i fartuchach. Nosili tace pełne słodczy, sorbetów różanych, makagig, kawy, papierosów itd. Zaproszeni jedli i rozmawiali wesoło. Nie było ani jednej kobiety, znajdowali się tu sami mężczyźni. Posłyszałem odgłos uderzenia i zobaczyłem pierwszego przeciwnika Skipara na ziemi:

— Następny! — krzyknął osiłek i dodał: — Jeśli ma dość odwagi!

Zawody nie miały nic wspólnego z zasadami sportowej walki; cała sprawa polegała na waleniu w twarz dłonią. Skipar wywraçał wszystkich, sam ledwie co dostając. Wreszcie zabrakło zawodników, nikt nie ośmielał się już mierzyć z kolosem.

— No i co? — krzyknął Turek. — Zostały same tchórze?

Dziadek wstał.

— Nie, wuju, nie — próbowałem go zatrzymać. Ale on szedł już na-przód jak ciężki gruzowik.

— Cha, cha, cha! Zamówcie tam pogrzeb dla starucha! — roześmiał się Skipar. Był to bardzo źle wychowany człowiek. (Podkreślając te słowa z naciskiem, ojciec spojrzał na mnie, po czym kontynuował):

Nie czekając na znak, Skipar rzucił się ku przodowi i wyrznął dziadka



potężnie. Przeraziłem się nie na żarty, ale dziadek stał dalej, uśmiechając się spokojnie.

— A teraz co? Moja kolej? — zapytał jakby nieśmiało.

— Tak, tak — zaczęli krzyzczeć wszyscy, bardzo podnieceni. — Teraz wasza kolej dziadku!

Dziadek Aslan powiódł wzrokiem po obecnych, a potem zwrócił się do Skipara:

— Nie chciałbym zrobić wam krzywdy, to przecież tylko gra... — I wymierzył mu policzek jak piorun!

Skipar upadł na ziemię jęcząc żałośnie:

— Aj, mój kark! Aj!

— Wstawaj przyjacielu! — rzekł dziadek łagodnie. Schwycił go pod pachy, ale udało mu się postawić go ledwie na kolana. — Wstawaj, musisz stanąć na nogach, inaczej jakże ci dam drugi raz w głowę?

Kiedy Skipar to posłyszał, opadł znowu na ziemię i już nie dało się go podnieść. Młodzi, pobici przedtem, nie wiedzieli, jak okazać swoją radość i satysfakcję. Gratulowali dziadkowi, potrząsali jego ręką i wykrzykiwali:

— *Dwa raza posmotri i raz udari!* \*

Jakiś młody chłopiec pocałował dziadzia w policzek i wszyscy razem próbowali ponieść go triumfalnie na ramionach. Od razu wybuchła tłumiona niechęć do Turka, który wszystkich terroryzował.

— Panie Aslan! Ołów waży dużo, ale jest miękki. Pan waży jak ołów, ale jest pan ze stali!

Dziadek był w siódmym niebie, pozwalał się podziwiać, ścisnąć sobie ręce, odpowiadał wszystkim na pytania. Zawołałem:

— Jedźmy, wuju!

Tymczasem Skipar wstał i z obrażoną miną opuścił salę. Nawet się nie pożegnał. Wyszliśmy i my — zakończył ojciec opowiadanie.

Aż podskoczyłem, wracając do rzeczywistości; czy piec nie wygasł tymczasem? Nie, na szczęście Nastka o nim pamiętała.

— I co potem się stało? — spytałem podniecony, wracając od pieca.

— No nic — ciągnął dalej tatuś. — Dziadek nie przywiązywał żadnej wagi do tego zwycięstwa, a Skipar starał się nie spotkać go więcej, nosząc w sercu zadrę przeżytego wstydu. Gdy zapytać teraz dziadka, co o tym myśli, odpowiada:

— Skipar to przeciwnik, którego warto bić. Dużo mięsa, a hardości ani krzty.

### Per pedes apostolorum do ziemi obiecanej

— Dziś opowiem wam, jak to było, gdy dawno już temu przybyłem do tego kraju, który teraz jest naszą ojczyzną! — rzekł pewnego zimowego wieczoru ojciec, gdy grzaliśmy się wszyscy przy naszym potrójnym piecu w przedpokoju. W owym czasie... — tym tradycyjnym już wstępem rozpoczął ojciec swoje opowiadanie. Wprowadzało nas to od razu w nastrój. Zapominaliśmy o teraźniejszości, o zimnie, o piecu i przenosiliśmy się wyobraźnią w inny świat.

---

\* *Dwa raza...* (ros.) — dosł.: Dwa razy popatrz, raz uderz!

— W owym czasie, gdy umarł twój dziad Nicefor — ciągnął dalej ojciec, zwracając się do mnie — cała nasza rodzina znajdowała się nad Dniestrem, koło Zaleszczyk. Owdowiała babcia stanęła raptem przed problemami, z którymi nie mogła sobie poradzić. Wiele ludzi było tam w podobnej sytuacji. Cała okolica, choć dawniej polska, zasadniczo była ukraińska. Ten teren, zwany Galicją, do dziś znajduje się pod okupacją austriacką. Jest to kraj biedny, choć ziemie są urodzajne i lud pracowity. Ziemia tam jest w rękach panów polskich, którzy robią karierę w austriackiej administracji i nie raz nawet dochodzą do wysokich stanowisk współpracując z okupantem. Jedni, bo nieobecni, inni, bo utracjusze — ogółem zaniedbywali swe rolne posiadłości. Chłop ukraiński pracował w pocie czoła, pan się zamartwiał długami, a majątki robili kupcy żydowscy, którzy produkt pracy na roli kupowali za bezcen, natomiast po najwyższych cenach sprzedawali wyroby przemysłowe sprowadzane z Wiednia. Kierując się niezbyt szczęśliwymi radami przyjaciół i krewnych, babcia twoja zadłużyła się i grzęzła w długach coraz bardziej. Trzy dorosłe dziewczyny, twoje ciotki, czekały na posag, aby wyjść za mąż. Twój stryj prosił o miesięczną pensję, aby dalej móc studiować na lwowskim uniwersytecie. Ja, mimo że w mniejszym stopniu, też byłem ciężarem, bo zamiast już pracować, chodziłem do gimnazjum w Zaleszczykach. Ale, choć młody, zdawałem sobie sprawę z sytuacji, czując, że lada chwila Żydzi zabiorą nam wszystko. W domu atmosfera była ciężka, wszyscy narzekali, babcia płakała, inni sprzeczali się, gdy najdrobniejszy pieniądz pojawiał się w kasie rodzinnej. Miałem tego dość, nosiłem się z zamiarem opuszczenia domu rodzicielskiego. Chciałem pracować, poznać inny świat, innych ludzi. Po kryjomu napisałem do dalekiego kuzyna na Besarabii, bo serce ciągnęło mnie do Rosji, do tego kraju, skąd przyszedł ongiś mój dziad Narcyz. Nie mogąc doczekać się odpowiedzi od wuja Teofila, bo do niego właśnie się wybierałem, wyjawilem w domu moje zamiary. Biedna babcia zaczęła płakać, ale poza nią nikt w rodzinie nie przejął się specjalnie. Zrzekłem się mojej części ojcowizny i nieodwołalnie postanowiłem opuścić dom. Babcia pobłogosławiła mnie, klęczącego, a potem przywiązała mi na szyi małeńki woreczek z białego płótna, w którym był kawałek czarnego chleba i kostka cukru. Tak wyruszyłem w drogę. W kieszeni miałem srebrnego reńskiego, jedyną rzecz wartościową, którą zgodziłem się wziąć z domu, aby władze nie uznały mnie za żebraka. W sercu zaś... zamiast żalu niosłem wielki głód życia, przygód, swobody i słońca. Długo, długo trwała moja podróż. Wstawałem wcześniej, dnie były coraz dłuższe, w miarę jak posuwałem się na wschód i południe. Sypiałem, gdzie się dało, wystarczyło wejść wieczorem do wsi, aby chłopci ofiarowali mi gościnę. Byłem zręczny, umiałem naprawiać zamki, łątać przedziurawione rondle i reperować inne domowe drobiazgi, by odwdziżyć się za nocleg. Chłopi mówili po ukraińsku, ale zaczynałem już słyszeć język mołdawski. Ciemna, opalona cera tutejszych ludzi odbijała od białych, lnianych strojów. Na polach pokazały się arbuzy i melony. Wreszcie, jeszcze dalej, już w Mołdawii, poznałem prawdziwą naszą mamaligę.

— Jedz! — rzekł poważnie gospodarz, gdy wieczorem postawiono na stole *czugunny* kociołek — to jest nasze codzienne błogosławieństwo boże.

Słońce przypiekało, zmieniał się wciąż krajobraz. Teraz rozciągała się przede mną lekko pofalowana równina. Horyzont, na podgórzu bliski, raptem uciekł w dal i otoczył mnie kołem w nieosiągalnej dali. Na niebie wznosiły się ogromne piramidy oslepiając białych chmur. Znikły drzewa i zaczął się step besarabski. Miałem towarzystwo na drodze, bo srocza, którą

wychowałem, gdy zobaczyła, że opuszczam dom, poleciała za mną; podlatując po trosze, to znów skacząc na sztywnych łapkach, cały czas wiernie mi towarzyszyła. Dziwili się ludzie, że sroka może iść za człowiekiem jak pies i częstowali ją kawałeczkami chleba lub sera. W dzień była odważna i latała nieraz daleko, ale w nocy opadał ją strach, przysuwała się do mnie i nieraz spała siedząc mi na wyciągniętej ręce. Gdy tylko zobaczyła step, puściła się jak strzała przed siebie i znikła w oddali. Szedłem więc sam i dopiero w południe zobaczyłem ją znowu. Podlatywała teraz wesoło przede mną, jakby chciała pokazać mi drogę. Pod wieczór ujrzałem duży staw, czy jezioro, przy którym mieszkali ludzie w chatach z szuwarów. Zaraz poznali srokę, która już była u nich wcześniej z wizytą; ku ich zdumieniu usiadła na burcie łódki i towarzyszyła im podczas połowu na jeziorze.

Na drugi dzień zobaczyłem nowy rodzaj stepu: porośły był wysoką roślinnością, ścieżka omijała chaszcze, a ogromne bodiaki wznosiły się w niebo jak kandelabry. Ludzi ani wsi nie widziałem przez kilka dni i musiałem spać w szczerym polu. Dnie były gorące, noce chłodniejsze. Step szumiał tajemniczo w księżycowej poświacie. Chlebak wypróżnił mi się całkowicie, zacząłem odczuwać głód. Z zazdrością patrzyłem na srokę. Latała wokół mnie, przysiadła, myszkwowała w trawie i co chwila miała coś w dziobie. A ja nic nie mogłem znaleźć do jedzenia! W południe stanąłem jak wryty: step kończył się, przecięty pługiem od wschodniej do zachodniej linii horyzontu. Zaczynało się pole złotawej już pszenicy, wielkie, nieogarnione jak morze. Szedłem dalej ścieżką wydeptaną przez ludzi czy zwierzęta, ciężkie kłosa chwiały się nad moją głową. Zerwałem kilka i zacząłem żuć ziarno, aby oszukać głód. Sroka patrzyła na mnie, zdawało się, z ironią, bo ona głodu nie cierpiała, znajdowała wszędzie myszy, żaby, koniki polne i nie mogła pewnie pojąć, dlaczego ja też ich nie jem. Pod wieczór ukazała się wieś. Spotkałem chłopca, który mówił po ukraińsku i dowiedziałem się od niego, że idę w dobrym kierunku. Między chatami stał dom nieco od nich okazalszy, z białym kominem; nad nim unosiła się wstęga dymu. Nie mogłem oprzeć się tak pociągającemu widokowi i przestąpiłem próg domostwa. Tak poznałem pana Demianovici, który miał stać się dla mnie dobrym towarzyszem i przyjacielem w moim teraźniejszym życiu.

Ledwie przysiadłem w przedpokoju, zerkając w stronę jadalni, usłyszałem szum wody i bieganinę dziewcząt z wiadrami.

— Najpierw kąpiel! — rzekł Demianovici po polsku. Gdy niechętnie zbliżyłem się do wanny, usłyszałem jakieś krzyki na korytarzu.

— Leon! Leon! Otwórz! Zawołaj sobie tę przeklętą srokę! — Ledwie uchyliłem drzwi, sroka jak błyskawica wleciała do łazienki. Siadła na wieszaku i znieruchomiała, wpatrzona we mnie. Poczułem raptem, że jestem całkiem goły i prędko wlałem do wody. Gdy się myłem, usłyszałem trzask tłuczonego szkła. To sroka skakała po półeczce, atakując dziobem swoje własne odbicie w lustrze, zrzucając szklanki, mydelniczki i słoiczki na ziemię. Chciałem jej ogon ukręcić z wściekłości!

Po kolacji Kazio zdecydował, że nazajutrz da mi konia, bo w ten sposób dojadę na wieczór do Tyrnowa, do celu mojej wyprawy. Byłem w rozterce, nie wiedząc, jak wymówić się od skorzystania z tej uprzejmości.

— Nie, dziękuję, nie! — wołałem żarliwie. — Jak ja potem tego konia zwrócę? — Wstyd było mi się przyznać, że... nie umiem jeździć konno!

— Cha! Cha! Cha! Ot i kłopot tobie! — śmiał się Demianovici. — Gdy

dojedziesz do Tyrnowa, zdejm siodło i puść konia wolno, on sam wróci! A siodło możesz sobie zatrzymać, darowuję ci je!

Zamilkłem pod wrażeniem tych słów. Poczułem, że znalazłem się w innym świecie, szerszym, swobodniejszym, hojniejszym od tego, który dotąd znałem. Był to dla mnie przedsmak życia na Besarabii, którą później miałem tak pokochać. Na drugi dzień wyruszyłem skoro świt, wgramoliwszy się z ławki na konia. Na razie nie było tak źle, koń szedł spokojnie, łatwo było mi utrzymać równowagę. Sroka, zdziwiona, bała się do mnie zbliżyć; czuła niby, że to ja, ten sam, ale nie pojmowała, jak się to stało, że mam teraz cztery nogi i dodatkowy duży łeb. Wkrótce zaczęło boleć mnie siedzenie, a niedługo potem wszystkie kości. Postanowiłem siłą woli opanować ból, okazało się to jednak całkiem niemożliwe; jęczałem przy każdym ruchu konia. Trzymałem się kurczowo siodła, zaciskałem zęby, wzdychałem, płakałem. Ostatni dzień tej wyprawy do ziemi obiecanej wspominam najgorzej. Bolały mnie mięśnie i kości jak nigdy dotąd. Leżąc prawie na końskim grzbiecie, sflaczały z bólu, zawlokłem się wreszcie do Tyrnowa i ześliznąłem się przed schodami pałacu na ziemię. Nadbiegli ludzie, wyszedł młody człowiek, który okazał się Teofilem.

— Jak się masz, Leon! — powitał mnie od razu, jakby wiedział, że dziś przyjadę.

Pokręcony, obolały, wlałem po schodach do domu, zostawiając konia na podwórzu. Tak zaczęło się dla mnie nowe życie w kraju, który stał się nam wszystkim ojczyzną i w którym są moi najlepsi przyjaciele! — zakończył ojciec opowiadanie.

— No a sroka? — spytałem. — Co się stało ze sroką?

— Sroka żyła jeszcze wiele lat, była szczęśliwa i zjadła dużo myszek. Raz wreszcie wyleciała rano do parku i znikła między drzewami. Nie zobaczyliśmy jej nigdy więcej. Była już stara i pewnie zaszyła się w gęstwinie, aby zdechnąć spokojnie... — rzekł ojciec i popatrzył na zegarek, ziewając.

### Frasina i pierwszy samowar

Po kilkudniowej zawiei zostaliśmy odcięci od świata. Głęboki rów wykopany w śniegu łączył tylne drzwi ze słomiarnią, skąd nosiło się worki wypchane słomą przeznaczoną na opał. Znów siedzieliśmy wszyscy dookoła pieca i słuchaliśmy opowiadania ojca o dawnych czasach.

— W owym czasie — zaczął ojciec opowiadanie — gdy już odpoczyłem po długiej i męczącej drodze do Tyrnowa, zawołał mnie pan Antoni do gabinetu i rzekł:

— Leon, wiem, że chcesz pracować i osiedlić się u nas, na Besarabii. Widzę, że masz zapał, i znam twoją bezinteresowność względem rodziny. Pomogę ci i oto moje dyspozycje: przyjmuję cię na służbę na warunkach praktykanta. Będziesz jadł, spał i pracował z moim synem Teofilem, będziesz miał te same obowiązki, tę samą płacę, będziesz traktowany jak on i jeżeli sobie na to zasłużysz, ty też dostaniesz ode mnie cybuchem po plecach. Jutro zwrócisz się do watahy Culegătora, on da ci pracę i konia.

Ja, przybysz z obcego kraju, byłem traktowany na równi z synem właściciela. Słuchałem wzruszony, potem pochyliłem się przed panem Tyrnowa,

objąłem go za kolana i obiecałem służyć mu wiernie. Tak zaczęło się nowe życie. Teofil był dla mnie jak brat. Przyszły dziedzic wielu wielkich majątków pracował jak ja, jak wszyscy. Nauczyłem się jeździć konno i cały dzień harcowałem po polach bez zmęczenia. Zacząłem mówić różnymi językami, bo tu znajomość ich była niezbędna. Zaczynałem też rozumieć, jak funkcjonują te wielkie gospodarstwa, gdzie jedno pole ma kilka wiorst, a miedze są rzadkością. Czytałem podręczniki, słuchałem rad, obserwowałem, uczyłem się i stałem się dobrym rolnikiem. Tak dobrym jak wuj Teofil... to może nie. On zawsze był lepszy we wszystkim ode mnie. Za dniami szły dni, za latami — lata. Szybko przewracały się kartki kalendarza: żniwa, młocka, wypalanie ściernisk i gdy spadły deszcze — orka i siewba. Potem zima, prace na łąkach. Z wiosną znów orka i siewba, ogroduwizny i... z powrotem żniwa i młocka! I tak rok za rokiem rosło moje doświadczenie i zwiększał się krąg przyjaciół. Z Galicji przychodziły czasem wiadomości napawające mnie smutkiem: twoja babcia umarła, własność rodu przepadła, twoje ciotki wyszły za mąż i moja dawna rodzina się rozleciała.

Ale i tu, na Besarabii, miało nas życie doświadczyć. Pewnego dnia pan Antoni nie wyszedł na obiad ze swoich pokoi. Po tygodniu choroby i wizytach lekarza kazał wysłać powóz do Biela po notariusza. Był coraz słabszy i w kilka dni później zawałił nas, watahów i służbę. Po raz pierwszy wszedłem do jego sypialni. Przy łóżku z baldachimem paliła się naftowa lampa. Pokój pełen był ludzi, kobiety trzymały w rękach pozapalane świece i szepotały modlitwy. Wsparty na poduszkach leżał pan Antoni, blady, siwy, w białej koszuli. Przed nim klęczał Teofil i odbierał ojcowskie błogosławieństwo. Po chwili kazano nam wyjść, ale przedtem pocałowaliśmy umierającego w rękę. Poznał mnie, gdy się zbliżyłem, i z widocznym wysiłkiem wymówił parę słów. Zrozumiałem tylko:

— Leon... bądź bratem...

Po kilku dniach odbył się skromny pogrzeb. Melodyjną panichidę odśpiewali w tyrnowskiej cerkwi popi przybyli z okolicznych wiosek. Wraz z Teofilem i watahami ponieśliśmy trumnę na *kładbiszczce*. Wieczorem dom, pełen ruchomych cieni, wydał się nam większy niż przedtem. Siedzieliśmy długą chwilę w milczeniu. Przerwał je Teofil:

— Leon — rzekł — dam ci połowę wszystkiego jak bratu! — i widząc mój odruch, dodał: — I tak będzie jeszcze za dużo na każdego!

Ot, czego można było spodziewać się po takim człowieku. Byłem wzruszony, ale nie mogłem tej propozycji przyjąć. Długo Teofil nalegał, wreszcie zrozumiał, że nie ustąpię. Obca mi była żądza posiadania, chciałem pracować, chciałem żyć z tego, co zarobię. Uściskałem go, ale odmówiłem kategorycznie. Zostałem potem z nim jeszcze kilka lat, pracując jak na swoim. Uskładałem trochę pieniędzy i gdy zastanawiałem się, co dalej robić, przedstawił mi pewną propozycję rabi Mosze, ten, którego znasz, ten cudotwórca: kilku kupców z Buczawy chciało pożyczyć mi pieniądze na wydzierżawienie majątku. Według nich moment był dobry, Teofil miał się żenić i można było spodziewać się zmian w Tyrnowie. Zacząłem więc rozpytywać się o jakąś dzierżawę, gdy właśnie stary Ostap zaofiarował mi ziemię na Frasinie i w Skajanach w zamian za trud zaorania stepu i przeobrażenia go w pola uprawne. Przyjaciele mnie ostrzegali, że to ciężka robota, ale właśnie dlatego zdecydowałem się w jednej chwili. Mimo protestów wuja Teofila opuściłem Tyrnowo i zainstalowałem się na Frasinie. Wynażałem ludzi i zaczęliśmy od zrobienia lepianki, bym miał gdzie zamieszkać. Była to raczej pa-

sterska koliba, do połowy wkopana w ziemię i przykryta dachem z tataraku. Porozwieszałem na gwoździach rzeczy, ugotowałem moją pierwszą mamaligę, przespałem się na barłogu ze słomy i po raz wtóry zacząłem nowe życie. Musiałem najpierw wystrzelać i przepędzić wilki, które chowały się w chaszczach. Gdy już mogłem mieć psa i kury koło domu, zaczęła się właściwa praca. Stanąłem twarzą w twarz z besarabskim stepem. W pięknych sonetach opisał Mickiewicz stepy akemańskie, które marszczy wiatr srebrną falą wokół ostrowów burzanu. Ja też podziwiałem step i piękne, białe kielichy durmanu, ale ja na stepie tym żyłem, wiedziałem, że podobne do lilii kwiaty kryją w sobie śmierć; musiałem ze stepem zmagać się i walczyć, ścinać sierpem zarośla, których kosa się nie imала, z siekierą w ręce przedzierać się przez gąszcz splecionych z sobą potężnych burzanów i ścinać olbrzymie bodiaki o pniach jak drzewa. Widziałem jak woły stawały bezsilne, niby statek na kotwicy, gdy pług utykał w korzeniach splecionych pod ziemią. Suchą trawę, ściętą i wyschlę na słońcu krzaki układaliśmy w stosy i podpalali. Pod spodem zostawała czarna i gładka jak sadza ziemia, której urodzajność nie ma sobie równej. Pierwszy urodzaj był niezwykle; nagrodził moje trudy. Sąsiedzi pożyczili mi maszyn potrzebnych do żniw i do młocki. Na drugi rok wykarczowałem i zaorałem nowy wielki kawał mojego stepu. I znów przyszedł ogromny urodzaj, który zachęcił mnie do dalszej pracy. Nie tylko przyroda, ale i ludzie otaczali mnie życzliwością. Odessa płaciła dobrze za ziarno, do portu zawijały statki pod różnymi banderami i ładowały każdą ilość pszenicy. Spłacałem długi, nie pozwalając sobie na żadne wygody w mojej kolibie — i uzyskałem opinię poważnego człowieka. Gdy wreszcie uwolniłem się od zobowiązań, kupiłem sobie pierwszy mebel do koliby: samowar! Ten, który stoi teraz w jadalni. Przywiózł mi go z Tuły kazienny lekarz tyrnowski, twój ojciec chrzestny, i przez długie lata aromat herbaty i miły szum samowara ożywiały moje samotne wieczory.

Spojrzałem w głąb jadalni, gdzie blask pełgającego ognia oświeślał mośięzną sylwetkę samowara... — dzieła mistrza Bataszewa z Tuły. Był to dla mnie symbol bezpieczeństwa, spokoju i przytulnej domowej atmosfery. Jak dawno temu na Frasinie, jak potem w Skajanach, tak dziś nawet w dalekiej Hiszpanii przyjazne mruczenie samowara jest dla mnie symbolem rodzinnej ciągłości, wdzięcznej pamięci o tych, których kochałem, a których już nie ma...

### Niedźwiedź i wróbel

W zimie nauczyliśmy się łapać ptaszki w sidła. Najtrudniej było złapać wróbla. Ten pospolity wprawdzie ptaszek jest niezwykle ostrożny i bystry. Rzucałem trochę ziarna na ubity śnieg i ustawiałem odwróconą skrzynkę, opartą z jednej strony na paliku, do którego był przywiązany sznurek. Stałem ukryty za drzewiami, trzymając drugi koniec sznurka. Wystarczyło pociągnąć go szybkim ruchem, aby skrzynka opadła, więżąc ptaszki w swoim wnętrzu. Przynajmniej w teorii, bo w praktyce... inaczej to wyglądało. Reakcje i ruchy wróbla były tak szybkie, że gdy szarpnąłem za sznurek i skrzynka opadła, wróble znajdowały się już daleko. Siadały na pobliskich drzewach i ćwierkały głośno; zdawało mi się, że wyśmiewają się ze mnie. Ale czasem uśmiechało mi się szczęście: — Jest! — wykrzykiwałem z triumfem. Brałem do

ręki to małe, jedwabiste, drżące stworzonko i pokazywałem je wszystkim w domu. Teraz stawałem przed problemem: co z nim zrobić? Nie było mowy o tym, żeby mu wyrządzić jakąś krzywdę. Wróble nie można hodować w zamknięciu. Kończyło się na tym, że naznaczywszy mu łapki minią, puszczałem go wolno. Nie zdarzyło się nigdy, żeby taki naznaczony wróbel dał się złapać po raz drugi. Jednorazowe doświadczenie wystarczało, aby uchronić go przed pułapką raz na zawsze.

— Ucz się od wróbli! — mawiał do mnie dziadzio. — W życiu powinien być ostrożny jak one, a silny jak niedźwiedź! — I rzucał mi ostre spojrzenie spod czarnych, krzaczastych brwi.

Wróble to ja, owszem, znałem, ale nigdy jeszcze nie widziałem niedźwiedzia.

Kiedyś pojechaliśmy z wizytą do Widel.

— Chcecie zobaczyć mego woziwodę? — spytał nas od razu pan Kajetan.

Kazał nam usiąść na werandzie. Porwałem się z krzesła, bo raptem ukazał się duży brunatny niedźwiedź. Szedł na dwóch łapach, jak człowiek, i na drążku przerzuconym przez plecy niósł dwa wiadra. Obejrzał się na nas i mogłem dokładnie zobaczyć jego głowę, uszy i bystre oczy, którymi uważnie mi się przypatrywał. Wybiegłem za nim, aby lepiej wszystko widzieć. Miś zbliżył się do studni, gdzie ogrodnik napełnił mu wiadra. Gdy poczuł ich ciężar, zawrócił i równym, pewnym krokiem skierował się do kuchni. Tam kucharz już czekał na niego, wziął wiadra i wlał wodę do kadzi. Gdy *misza* poczuł, że wiadra są puste, zawrócił i puścił się w stronę studni. I tak kilka razy przebiegł odległość między studnią a kuchnią z dwoma kołyszącymi się wiadrami, nie okazując zmęczenia ani nie wychlapując wody po drodze.

— Dość! — zawołał kucharz. — Kadź już jest pełna!

Ogrodnik odebrał niedźwiedziowi wiadra i potrząsnął łańcuchem. *Misza* opadł na cztery łapy i posłusznie nastawił szyję, na której miał obrozę nabijaną długimi gwoździami. Nie zastanawiając się wskoczyłem mu na grzbiet, jakby to był mój kałmuk, i tak przededefilowaliśmy przed werandą, gdzie siedziało zebrane towarzystwo. Podniósł się wrzask przerażenia:

— On go poźre! Jakub! Biegnij po dubeltówkę! — ale nikt nie odważył się zbliżyć do niedźwiedzia, by mnie ratować.

Przejechałem więc spokojnie przez całe podwórze i zszedłem z *miszy* dopiero przed jego klatką, w momencie gdy nadbiegał mój ojciec wywijając dubeltówką, a za nim pan Kajetan, starający się go powstrzymać. Niedźwiedź rzucił na nich niechętnie spojrzenie i czując, że zszedłem z niego, wszedł spokojnie do klatki. Byłem dumny z mego wyczynu, ale niedługo trwało moje zadowolenie. Nie mogąc osiągnąć niedźwiedzia, którego pan Kajetan osłaniał, ojciec na mnie wyładował swą złość i dzielił mnie przez siedzenie dubeltówką, chwyciwszy ją za lufę jak maczugę.

## Profesor Toki

„...Skajany to mała wieś — czytał ojciec jakiś list mamusi, opartej o otwarte drzwi gabinetu — ale jeżeli pan odpowiednio mi wynagrodzi moje poświęcenie, jestem gotów podjąć się wychowania jego syna.”

W dwa tygodnie później przyjechał mój nowy profesor, korepetytor, jak się to wtedy nazywało, Toki Jakubik. Był wysoki, z wąsami, i wszyscy orzekli, że jest przystojny. Lubił tańce, zebrania towarzyskie, wizyty i jazdę konną. Wesoły i miły w takich sytuacjach, na lekcjach był surowy i nawet ostry w stosunku do mnie. Beształ mnie przy lada okazji, a gdy się rozżłościł, walił pięścią w stół. W jego pokoju znajdowała się wygodna sofa; sypiał na niej, podkładając sobie wielką ilość poduszek pod głowę. Lola, wiedzioma ciekawością, przeczytała raz pocztówkę, którą Toki oddał posłańcowi do zaniesienia na pocztę: „...wyobraźcie sobie, że muszę mieszkać w domu z gliny i spać na sofie. To dla was tak się poświęcam!”

Niedługo potem zaczęły się specjalne wymagania: koń, którego ojciec nauczycielowi wyznaczył, nie podobał mu się. Wypróbował kilka innych, ale w naszej stajni nie znalazł żadnego godnego „tak doskonałego” jeźdźcy. Wuj Teofil przysłał więc młodą klacz — z linii BE swojej stadniny — która nazywała się Bezdna, i ta wreszcie została przyjęta. Nieraz wyjeżdżaliśmy razem na spacer, Toki na swej półkrwi klaczy, a ja na mocnym, włochatym kałmuku. Najczęściej zostawałem daleko w tyle. Kałmuk opierał się, gdy go wyciągałem ze stajni, a potem szedł powoli, zły na mnie i na cały świat. Jak zmusić go do kłusa? Trudno mi było dotrzymać kroku Bezdnie. Gdy sobie przypominę te wspólne nasze spacer, chce mi się śmiać, bo wyglądaliśmy jak Donkiszot i Sancho Pansa. Raz, pamiętam, jadąc gęsiego, wyminęliśmy osadników Canatova i Draguta, którzy spuszczaali wodę z przydrożnego rowu. Pozdrowili nas uprzejmie, ale Toki odwrócił głowę i nie odpowiedział. Było po deszczu i gdy znalazłem się w samym środku dużego bajora, kałmuk zaciął się i stanął jak słup. Cmokałem, potrzebowałem uzdą, głaskałem go po szyi... nic! Nie chciał ruszyć. Spinałem go piętami, wreszcie pociągnąłem za ogon, wszystko bez skutku. Zacząłem krzyczeć, wołając Tokiego na pomoc. Obejrzał się, wzruszył ramionami, puścił się kłusem i po chwili zniknął w dali. Zostałem sam. Nogi nieruchomego kałmuka grzęzły coraz bardziej w błocie, moje buty dotykały już powierzchni wody. Ogarnęła mnie wściekłość, zacząłem okładać rajpajczem uparte zwierzę, aż bicz porwał się na kawałki. Nic. Kałmuk stał dalej jak posąg, tylko skóra wstrząsała, jakby chciał się od muchy opędzić. Czas mijał; co miałem zrobić? Jak stąd się wydostać? Musiałem zleźć z siódła wprost do bajora i grzęznąć prawie po pas w wodzie, dobrnąłem wreszcie do brzegu. Szedłem w stronę domu, wyciągając buty z błota za każdym krokiem, gdy raptem kałmuk się obudził i ruszył w tę samą stronę. Rzuciłem się ku niemu, aby go złapać za cugle, ale on sprytnie okrążył mnie z daleka i minął galopując z nie znaną mi dotychczas lekkością. Szedłem więc dalej na przełaj, mokry, spocony, zziębnięty. Było zupełnie ciemno, gdy dobrnąłem do domu. Wszyscy siedzieli już w jadalni przed wieczorną mamaligą. Toki jej nie znoś, dostawał kawałek smażonej wołowiny.

— Coraz lepiej! — zawołał ojciec, zobaczywszy mnie w drzwiach od kredensu. — Żebyś nauczył się słuchać twego profesora, marsz do łóżka bez kolacji!

Położyłem się głodny i rozgoryczony. Na szczęście babcia przyniosła mi po kryjomu kogel-mogel utarty w szklance. Na drugi dzień w południe zawołał mnie ojciec do gabinetu; położył mi przyjaźnie rękę na ramieniu.

— Wiem wszystko! — rzekł i pocałował mnie. — Kolonista Dragut wytłumaczył mi, co się stało.

Zacząłem prędko skrzyżować się na Muca, ale nie zdążyłem się wyzalić, bo w tym właśnie momencie nadjechał Jeremi Kirilowicz, młody lekarz z tyr-



nowskiego szpitala. Zamknął się z ojcem w gabinecie i słyszałem przez drzwi, jak krzyczał wzburzony:

— Niech da spokój mojej żonie! Połamię mu kości! Cholera, Toki!

Ucieszony, ale nie wiedząc, o co chodzi, pobiegłem do stajni i opowiedziałem, co słyszałem, Jakubowi. Jakub posłuchał, poskrobał się po karku, nasunął furazkę na oczy i splunął:

— *Niczewo!* Toki dał kopniaka żonie Jeremiego i ten teraz się odgraża!

Uspokoilem się natychmiast. Kopniaki to była rzecz zwyczajna w naszej bandzie. Przestałem się więc tą sprawą interesować. W tydzień później przyjechali jacyś dwaj panowie i znów zamknęli się z ojcem w gabinecie. Usłyszałem tylko, że chcą Tokiego zastrzelić. Wreszcie ojciec odprowadził ich do drzwi. Gdy tylko się odwrócił, spytałem go:

— Co? Znów kopniaki Tokiego?

Ojciec zdziwił się.

— Ach! — zawołał — a cóż ty możesz o tym wiedzieć? — i wzruszył ramionami.

Pobiegłem do stajni, gdzie Jakub czyścił Orlika zgrzebłem.

— To ci dopiero typ, ten Toki! Okazuje się, że teraz kopnął znów jakąś panią! — zawołałem do Jakuba, który rzucił mi pytające spojrzenie.

## Bracia Lumière

W latach poprzedzających pierwszą wojnę światową sztuka fotograficzna była już popularna i wielu amatorów ją uprawiało, ale oczywiście wykonywano wyłącznie zdjęcia czarno-białe. Ojciec był jedynym w całej naszej okolicy fotografem amatorem, który uprawiał już wtedy fotografię kolorową. Wiele osób przyjeżdżało do nas specjalnie, aby to cudo zobaczyć. Pomagałem często przy wywoływaniu zdjęć i nieraz w ciemni, kołysząc wanienki z płytkami przy lampce naftowej z ciemnozielonym szkłem, zamiast czuć zaciekawienie czy zachwyt ziewałem, myśląc, kiedy się to skończy.

Raz dziadzio Stefan opowiadał o kinematografie, wynalezionym przez braci Lumière, uczonych francuskich, którzy...

— Ja ich znam! — przerwał mu ojciec — utrzymuję z nimi stałą korespondencję. — I widząc, że dziadzio nie bardzo wierzy, dodał: — To oni posyłały mi klisze z kolorową emulsją, których używam.

Co tydzień przychodziły z poczty paczki z Francji z tymi kliszami. Pamiętam, jak ojciec tłumaczył: klisze były pokryte trzema emulsjami, każda z ziarnkami skrobi zafarbowanymi na jeden z zasadniczych kolorów. Nazywały się „*trichrome Lumière*”. Gdy wyschła, emulsja kolorowa była bardzo wrażliwa na wilgoć i na zatarcie, przykrywaliśmy ją więc przezroczystym szkłem i klisze z tego powodu miały podwójną grubość. Nie można było kopiować ich na papierze, oglądało się je wprost pod światło albo w stereoskopie. Pudełka z tymi kolorowymi kliszami ważyły sporo i to także było powodem — obok wypadków stłuczenia — że tyle ich potem zginęło, podczas naszych późniejszych peregrynacji. Ale zachowałem jeszcze kilka i gdy teraz oglądam je, w dobie kiedy fotografia kolorowa rozpowszechniła się, podziwiam świeżość barw, ich naturalne i bogate odcienie, efekty światła i cienia, soczyste zielenie, czerwienie, pąsy, szkarłaty i amaranty, a przy nich

naturalny kolor cery fotografowanych osób i delikatne odbłaski kolorowych strojów na ludzkich twarzach. Patrząc dziś z sentymentem na te dawne klisze, wykonane przez mego ojca dzięki przyjaźni braci Lumière na początku naszego wieku w małej, zagubionej na powierzchni ogromnego rosyjskiego kraju wiosce besarabskiej.

## Stepowy lis

Kiedys nasze psy *borzaje*, przeznaczone do polowań na wilki, złapały lisa. Był to rzadki wypadek, gdyż lisy nie dawały się schwytać żywcem. Wilk, mimo że był wrogiem stad, pasterzy i ludzi, miał w sobie pewną prostolinijność, prawie lojalność, jak mówili niektórzy. Lis — nie. Był to urodzony krętacz i biedne *borzaje*, ze swymi wydłużonymi pyskami i małą pojemnością mózgu, nie były w stanie zrozumieć fint i chytrych wybiegów lisa, który, choć mniej wytrzymały i szybki w gonitwie, zawsze umiał wykręcić się z opresji. Dom nasz był pełen różnego rodzaju zwierząt, domowych i oswojonych stepowych. Ale lisa nie było między nimi, zdecydował więc ojciec, że będziemy oswajać nowego przybysza.

— Nic z niego nie zrobicie! — rzekł dziadzio Asłan wydymając wargi, gdy dowiedział się o naszych zamiarach. I dodał: — To jakby chciał zrobić z Żyda porządnego obywatela! — Jako Armeńczyk dziadzio Żydami gardził.

Lisa trzymaliśmy na uwięzi. Był bardzo dziki i szarpał się na łańcuchu, gdy ojciec wdziawszy grube rękawice z bawolej skóry zbliżał się do niego, aby mu podać jedzenie. Po kilku miesiącach ojciec, zniechęcony, musiał wreszcie przyznać dziadziowi rację. Ale co z nim zrobić? Nie można było go wolno puścić, teraz już znał nasz dom, byłby tu wracał po kryjomu i wykradał ptactwo. Nie mogliśmy go też zastrzelić, był wszak naszym jeńcem, a jeńców się nie zabija. Ojciec wyprowadził go z zamknięcia i uwiązał przy jednej z psich bud, która nie miała lokatora. Po kilku dniach wszyscy zauważyliśmy, że lis się uspokoił, zachowywał się normalnie — jak łańcuchowy pies. Gdy referowałem ten fakt przy stole, dziadzio pokręcił głową:

— Jeżeli to prawda, to wcale nie znaczy, że on już jest oswojony. Na pewno coś wymyślił i zachowuje się zgodnie z swoim planem. Zobaczycie!

Rzeczywiście, po kilku dniach ciocia Modzia zauważyła, że zaczęło jej znikać ptactwo: raz kaczka, raz gęś, raz kura. Było już lato i nie miałem lekcji, zostałem więc mianowany „tajnym” w celu wykrycia zbrodniarza. Siedząc w głębi stajni, w moim ulubionym miejscu, byłem niewidoczny, sam zaś widziałem doskonale psią budę i lisa. Było gorąco i lis szukając cienia położył się za budą. Wyglądał jak zwyczajny pies i drób nie zwracał na niego uwagi. Po chwili zbliżyła się statecznym krokiem dorodna kura transylwańska i zaczęła coś dziobać koło lisa. Ten leżał bez ruchu. Spał? Otworzył trochę oko i gdy kura była blisko, błyskawicznym ruchem złapał ją za gołą szyję, tak że nawet nie zdążyła dobyć z siebie głosu, po czym natychmiast zawłókł ją do budy, znikając razem ze swym łupem z pola widzenia. Właśnie przeszła Nastka przez podwórze, wachlując się spódnicą i podśpiewując. W głębi budy lis zajała „gołoszyję” i nikt sobie z tego sprawy nie zdawał. Gdy tylko nadjechał ojciec i siedliśmy do stołu, opowiedziałem o moim odkryciu. Dziadzio Asłan triumfował:

— A widzicie! A co wam mówiłem! Myśleliście, że go oswoicie! Cha! Cha! Gdy pomyślę, że nosicie mu pełne miski mięsa! — I dodał: — Jego nie z miski, lecz z dubeltówki trzeba poczęstować!

Po obiedzie ojciec wdział swoje bawole rękawice, wyciągnął lisa z budy i przywiązał do parkanu na tym samym łańcuchu. Gdy zdjeliśmy dach z budy, ukazało się pobożowisko: buda była pełna piór, kości i pochłapanej krwią słomy. Wydobywał się z niej niemożliwy do zniesienia fetor. Przystępstwo lisa zostało więc oficjalnie stwierdzone i chodziło już tylko o wydanie wyroku. Debata odbyła się przy kolacji i — rzecz ciekawa: panie, takie zawsze łagodne i życzliwe zwierzętom, tym razem głosowały za uśmierceniem lisa. Ojciec widocznie się wahał. Nie doszedłszy do żadnego konstruktywnego wniosku, zaczęliśmy ziewać i wszyscy poszli spać. Lis został więc przez noc przywiązany do parkanu.

Na drugi dzień rano, gdy wszyscy jedli śniadanie, przybiegłem krzycząc już z daleka:

— Nie ma lisa! Uciekł!

Ojciec pośpieszył na podwórze, a ja za nim. Parkan, zrobiony z gładkich, szczelnie dopasowanych desek, oddzielał podwórze od ogrodu warzywnego. Aby dostać się do ogrodu, trzeba było okrążyć podwórze, przejść przez furtkę i sad wiśniowy. Lecz jeśli ktoś chciał skrócić sobie drogę, mógł przedostać się na drugą stronę parkanu przez tzw. przełaz. Był to jakby stopień z drzewa przybity na poprzek do parkanu, na którym stawiało się nogę i potem siadało okrakiem na szczycie parkanu. Ani drób, ani owce, ani żadne inne zwierzęta nie potrafiły posłużyć się tym urządzeniem i nie było obawy, że do ogrodu się dostaną. Ale mądrzejszy od innych lis zaraz pojął co to za aparat. Przywiązany przez ojca właśnie do owego przełazu, wylazł na szczyt płotu i chcąc uciec, zeskoczył z drugiej strony. Gdy wychyliliśmy się, ujrzeliśmy go wiszącego na zbyt krótkim, aby dosięgnąć do ziemi, łańcuchu. Zwierzę było już sztywne.

— Sam wymierzył sobie sprawiedliwość! — rzekł dziadzio Asłan. — Tym lepiej, ale nie przyprowadzajcie mi już więcej lisów do domu!

## Pojedynek o świcie

Oprócz mojego świata zabaw, nauki, młodych towarzyszy i zwierząt, istniał także inny świat, który czasem otwierał się przede mną, ale zazwyczaj był mi niedostępny i niezrozumiały: świat dorosłych osób. Znajdował się zresztą blisko; późno w nocy w salonie — gdy zmorzony snem nie miałem siły wstać i zobaczyć, kto tam się śmieje lub gra na fortepianie; w gabinecie ojca — gdy słyszałem głosy przez zamknięte drzwi, nie mogąc zrozumieć, o czym się tam mówi; i nawet przy stole — gdy bez ukrywania czegokolwiek przede mną jedni mówili do drugich o rzeczach, które niby wydawały się zrozumiałe, ale musiało to coś innego znaczyć, bo starsi śmiali się w najzupełniej nieoczekiwanych momentach. Patrzyłem na nich pytająco, mając wrażenie, że jestem chyba jakiś nierozgarnięty. Było jasne, że ukrywano przede mną część życia; służyły temu sekrety, nieudomówienia, alegorie. To samo odkryłem zresztą i w domu Miszki, Wołodi i innych. Tam jednak dla kamufażu używano nieraz obcych języków, co u nas było trudne, bo stale mó-

wiliśmy co najmniej sześcioro. Wuj Teofil władał jeszcze angielskim, którego ja nie znałem wprawdzie, ale i inni starsi też nie, woleli więc używać znanych rosyjskich czy polskich słów, w taki jednakże sposób, abyśmy ja czy Miszka, gdy był u nas, nie mogli połapać się w czym rzecz. Choć brałem udział w posiłkach przy wspólnym stole, choć pilnie przysłuchiwałem się rozmowom starszych, i wysilałem, żeby zrozumieć, o co chodzi, niektóre sprawy przechodziły jakby obok mnie, a potem — bywało — wybuchały niepodziewanie, objawiając swój nowy, zdumiewający dla mnie sens.

Przez całe lato, gdy tylko praca na to pozwalała, ciągnęły się święta, przyjęcia, wizyty. Z zasady byłem wykluczony z salonów, natomiast miałem pełne prawo brać udział w świętach ludowych. Odbýwały się prawie zawsze na łące przed cerkwią, gdzie zbierali się mieszkańcy wsi Skajany, ubrani czysto i odświętnie, w pięknych mołdawskich strojach. Muzyka i taniec są do dziś sztukami niezwykle popularnymi w Mołdawii, mimo więc że Skajany były bardzo małą wioską, nigdy nie brakowało tu grajków ani tancerzy. Chłopi, tworząc kolorowe grupy na zielonej trawie, stali bez ruchu pod rozkazującym spojrzeniem ojca, który nastawiał na nich obiektyw aparatu fotograficznego i robił zdjęcia na płytach „*trichrome Lumière*”. W beczułkach stały kiszzone ogórki, pod naciągniętym daszkiem płóciennym sprzedawano kwas w butelkach zawiązanych sznurkiem, chłopcy rozprawiali z powagą, a gospodynie obserwowały się nawzajem i pilnowały swoich córek. Gdy zabrzmiała muzyka, ustawiali się tancerze i zaczynała się mołdawska *dojna* narodowa.

Na tych świętach ludowych nigdy nie bywał Toki, zresztą wprawny i zamilowany tancerz, ale „salonowy”. Słyszałem od innych, że nieraz tańczył aż do rana w różnych dworskich salonach. Ojcu to się nie podobało, ale nieraz mówił:

— Teraz są wakacje, to jego prawo.

— On się dotańczy, zobaczysz! — dodał raz tajemniczo dziadzio Aśtan.

Ktoregoś dnia znów przyjechał wzburzony Jeremi Kirilowicz.

Wbiegłem za nim pędem do domu, mocno zaciekawiony. Ale usłyszałem tylko: — Ja z tym skończę raz na zawsze! — i zatrząsnęto mi przed nosem drzwi od gabinetu. Zaintrygowany, pognałem do stajni i opowiedziałem o tym Jakubowi.

— Jakub! Co się dzieje? — spytałem, nie mogąc już wytrzymać z ciekawości.

— *Nu, niczego...* — odparł Jakub jakby niechętnie. Wydawało się, że on sam nie wie i zastanawia się.

— Co to znaczy? Powiedźcie mi, proszę! — nalegałem.

— Nu, ten Toki to kawał drania — rzekł Jakub.

— Co? — zawołałem podniecony. Nie rozumiałem dlaczego, ale podobało mi się, że Jakub tak się wyraża o moim profesorze. — Cóż on zrobił?

— Rozumiesz... — ciągnął dalej Jakub — on nie ma respektu dla nikogo, nawet dla czyjejś żony. Jest zdolny włożyć ci rękę do kieszeni i zabrać ci twoje własne kopieжки!

Byłem zdumiony. Jakub też nie chciał mi prawdy powiedzieć, to oczywiście. Oburzyłem się:

— Jakub! Najpierw mówiliście, że Toki rozda kopniaki! A teraz, że jest złodziejem? Że kradnie ludziom pieniądze z kieszeni?

— Słuchaj, Stasik — rzekł Jakub widocznie zakłopotany. — Musisz wie-

dzieć, że istnieją rzeczy, których ty nie rozumiesz. *Wo wsiakom słuczaje* \* przekłeta godzina, w której ten sukinsyn przybył do naszego domu!

W drzwiach stojących pokazał się Munio. Munio, syn dziadzia Asłana, był w zasadzie moim wujem, ale że był młody i traktował mnie po przyjaźnielsku, uważałem go za starszego brata. „Toki — sukinsyn!” — brzmiało mi jeszcze w uszach jak piękna muzyka.

— Kto będzie miał dyżur w masztelarni? — spytał Munio Jakuba. — będę potrzebował konia jutro o czwartej rano!

— Munio! — zawołałem błagalnym tonem, zapominając o Tokim, bo od dawna marzyłem o tym, by pojechać na ten ranny objazd. — Bądź dobry, weź mnie z sobą! Obiecałeś, pamiętasz?

— Cha, cha! — zaśmiał się Munio. — Nie dasz rady! W tych godzinach wstajemy tylko my, *czornoraboczije*, prawda, Jakub? Tacy panice jak ty wstają o ósmej i zamiast pracować idą na lekcję z eleganckim korepetytorem, który wieczorem tańczy w salonach maczycze!

Zatkało mnie to niesprawiedliwe oskarżenie. Lecz gdy odzyskałem mowę, Munia już nie było. Tego dnia poszedłem spać wcześniej, nie pomyślawszy o Tokim ani razu. Było jeszcze ciemno, gdy wykradłem się na palcach z sypialni, nad słuchując regularnego chrapania ojca. Munio był już w jadalni, samowar szumiał, zjedliśmy po kawałku czarnego chleba z pajdą bondza. Nie musiałem nalegać, Munio zgodził się chętnie na moje towarzystwo. Rannek był świeży. Gdy otwarliśmy stojącą bramę, buchnęło na nas miłym ciepłem. Przez uchylone drzwi masztelarni padał ukośny promień naftowej latarni. Konie, których mieliśmy dosiąść, obróciły głowy przyjaźnie, jakby na nas czekały. Za chwilę były już osiodłane i gdy wyjeżdżaliśmy przez bramę podwórzową, na niebie nad horyzontem pokazał się świetlisty pas. Po dwóch stronach drogi białą chaty. Psy poszczekiwały na nas bez specjalnej złości, a w dali piał zawzięcie koguty. Zaczynał się ruch we wsi, skrzyślały drzwi, z niektórych kominów już się kurzyło. Zbliżaliśmy się do pięknej chaty sierżanta Górczuka.

— Dzień dobry! Wcześniej wstajecie! — pozdrowił go Munio.

Sierżant siedział na przyzbie, ubrany w szerokie szarawary. Lewą nogę miał obutą, prawą zaś owiniętą tylko w białą onucę, bo but trzymał w ręce, nadziany cholewą na komin samowara. Pompował cholewą jak miechem i spod samowara wylatywały rytmicznie dym i iskry. Pojechaliśmy dalej. Na Polu Czarnej Krowy ludzie byli już zgromadzeni i zaczynała się praca. Munio wydał rozporządzenia i ruszył kłusem dalej. Tak objeżdżaliśmy pole po polu, aż znaleźliśmy się w lasku. Chciałem Munia dopędzić, ale gałęzie smały mnie po twarzy, a jedna grubsza omal mnie z siodła nie wysadziła. Brnąłem w coraz większym gąszczu. Raptem natknąłem się na Munia, który zszedł z siodła i czekał na mnie.

— Tsss! — syknął, aby mnie uciszyć, gdy chciałem wyjaśnić przyczynę mojego pozostawania w tyle. Potem spytał szeptem: — Słyszysz?

Nastawiłem uszu. Było słychać jakieś szczęki... jakieś głosy... Zaintrygowani, przywiązaliśmy konie do krzaka i zaczęli podkradać się w stronę, skąd dochodziły hałasy. Ukazała się przed nami polanka i... zdębiałem. Dwóch mężczyzn, nagich do pasa, skakało po trawie, wymachując szablami. Jeden starał się zarębać drugiego. Zaraz poznałem Tokiego po wąsach. A ten

---

\* *Wo wsiakom...* (ros.) — W każdym razie

drugi to był Jeremi Kirilowicz! Raptem ktoś krzyknął... Jeremi przewrócił się na trawę, jacyś panowie, którzy stali w głębi, rzucili się do leżącego... Toki stał w pewnej odległości, oparty na szabli — spokojnie zapalił papierosa. Rannego zaniesiono do powozu... to był nasz skajański powóz! Przerażony, rozpoznałem ojca w jednym z obecnych panów. Powóz ruszył.

— Munio! — szepnąłem, ciągnąc go za rękaw. — Uciekajmy!

Nie wiem, dlaczego byłem przerażony, zdawało mi się, że podpatrzyłem coś zakazanego, bałem się, że ojciec mnie pozna. Puściliśmy się galopem po wąskich sogłówkach na skrót, byle zdążyć zanim ojciec wróci do domu. Wpadłem na podwórze; nikogo nie było. Prędko zaprowadziłem konia do stajni, zdjąłem z niego siodło, przywiązałem go i wyszedłem wolnym krokiem, jak gdyby nigdy nic. Munio stał obok swojego konia, namyślał się, co robić: zostać czy jechać w pole.

— Oni tu nie przyjdą — rzekł do mnie. — Pojechali teraz do Tyrnowa, do szpitala!

Uspokoilem się od razu. Teraz pożerała mnie ciekawość:

— Munio, słuchaj! Wyłutacz mi, co to wszystko znaczy! Czemu oni się bili? Powiedz!

Munio wyjaśnił mi, że to się nazywa pojedynek i że to się robi, gdy jeden drugiego obrazi.

— To Jeremi obraził Tokiego? — spytałem.

— Nie. Toki dobiera się do żony Jeremiego, więc Jeremi poczuł się obrażony i pokrzywdzony. Wyzwał go na pojedynek.

— No to dlaczego, jeżeli Toki jest winien, Jeremi został zraniony?

— Ty na tym się nie znasz! — rzekł Munio tonem wyższości. — Pojedynek... to jest specjalna sprawiedliwość!

— Ładna mi sprawiedliwość! — zawołałem oburzony, nie tyle teorią pojedynku, co faktem, że sympatyczny Jeremi został zraniony przez antypatycznego Tokiego. — To Tokiego Jeremi powinien był poczęstować szablą po grzbiecie! Ty nie wiesz, że Toki daje kopniaka każdej pani, którą spotka?

— Co ty wiesz... — rzekł Munio niechętnie.

— Ja wiem wszystko! — zawołałem pewny siebie i zadowolony poszedłem w stronę domu.

## Kino Iluzjon

Gdy już byliśmy znudzeni latarnią magiczną i chińskimi cieniami, dziadzio Stefan przywiózł nam aparat kinematograficzny.

— Co to takiego? — byłem zaintrygowany.

— *C'est une invention française!* — nauczyła mnie Mlle Juliette. — *Le cinématographe*\* dodaje życia fotografii.

Dziadzio otworzył kartonowe pudełko i wyciągnął zeń skomplikowany aparat. Był zrobiony z blachy, miał szklaną soczewkę, kółka zębate, korbkę, śrubki i inne rzeczy, z tych, które się wytwarza w wielkich fabrykach. W środku było lustro i naftowa lampa ze szkiełkiem, taka jak nasze. Obserwowałem pilnie dziadzia, który ustawił aparat na stolyczku, zapalił lampkę, nałożył zagięty komin i rozkazał:

---

\* *C'est... Le cinématographe* (fr.) — To wynalazek francuski! Kinematograf...

— Munio! Wynieś do kredensu wielką lampę!

Na ścianie jadalni ukazał się krąg światła. Zobaczyłem taśmę przeźroczystą jak szkło, wyginała się między trybkami, ale się nie łamała. Usłyszałem jakby mruczenie kota, szelest biegnącego filmu, odgłos dla mnie nowy wtedy, który później miał stać mi się tak znajomym. Na białej ścianie pokazała się sylwetka atlety... ruszał się! Był jak żywy! Nieruchome chińskie cienie trzeba było dopiero wyobrazić sobie w ruchu, a ten atleta sam się ruszał, fikał kozły na drążkach! Nie mogłem oczu oderwać od magicznego obrazu... Raptem zabrzmiał głos babci Władysławy:

— Precz diabelska złudo! W imię Ojca i Syna... uchronicie to niewinne dziecko od szatańskich wpływów ciemności!

Tłumiąc śmiech przetłumaczyłem Mlle Juliette, o co chodzi.

— *Mais c'est une invention scientifique!* \* — zawołała oburzona.

— *Wot iluzjon!* — rzekł z podziwem w głosie dziadzio Asłan. — Czego to nie wymyślą ci Francuzi!

— Biedny człowiek! — wołał Munio z kredensu, obserwując projekcję przez szparę w drzwiach. — Spadł z drążków! Puście jeszcze raz, może teraz mu się lepiej uda!

— Cze... cze... cze! — zaskrzeczała nasza oswojona srocza na szczycie kredensu, bo nie dawaliśmy jej spać.

W ten sposób, wyzwalając sprzeczne reakcje widzów, zagościł w Skajnach kinematograf, ten najważniejszy może wynalazek tamtej doby. Ja milczałem, wstrząśnięty. Jak było możliwe to, co widziałem? Obracały się kółka, aparat mruczał, a na białej ścianie niezmordowany atleta gimnastykował się na drążkach i spadał z nich w końcu.

Nauczywszy mnie puszczać film, dziadzio Stefan wyjechał. Ściągnąłem zaraz moją stałą bandę towarzyszy zabaw i wypraw na koty, aby się przed nimi popisać. Zaczęli przyjeżdżać koledzy z sąsiedztwa: Kazio Sułkowski, syn zarządzającej spiżarniami w tyrnowskim pałacu „pani iz Polszy”, Józio Ohanowicz, syn właściciela Wideł, Miszka Zarucki, wnuk dziadzia Asłana i mój najlepszy przyjaciel — i inni. Przyjeżdżali też starsi, i kinematograf, wciąż puszczany w ruch i pokazywany przejeżdżnym, przestał wprawiać mnie w podziw. Zakładałem film, kręciłem korbką, zapalałem naftową lampkę — bez specjalnego wzruszenia, jakby to była najzwyczajniejsza w świecie rzecz. Znaczyło to dla mnie tyle, co dla Faniki wejść do jadalni i wkładać do szuflady kredensu umyte nakrycia. Kino domowe stało się czymś normalnym, zwyczajnym.

Po pewnym czasie ojciec wprowadził parę nowości do naszego seansu: pomalował akwarelą koszulkę i spodnie atlety na filmie, włożywszy w oko swoją zegarmistrzowską lupę i powyrywawszy z najmniejszego pędzelka większość włosów; przykładął kolorowe szkła do obiektywu, stwarzając wrażenie nocy księżycowej albo pożaru. Wreszcie przywiózł z Wiednia nowy film. Był ciemny, wydawało się, że naftowa lampka straciła na mocy. Zbliżyłem się do ściany, aby coś zobaczyć. Widać było jakiś pokój, obwieszony kotarami. Na sofie pełnej poduszek siedziała sobie pani... poprawiała fryzurę... przekładała poduszki z miejsca na miejsce... wreszcie zaczęła sadowić się i tyłkiem kręcić jak kwoka, gdy siada na jajach. W tym momencie ukazał się pan w słomianym kapeluszu, z motylkiem zamiast krawata i z laską w ręce. Przeszedł, patrząc na nas, jakby nas widział... po chwili zobaczył tę panią... rzu-

---

\* *Mais...* (fr.) — Ależ to naukowy wynalazek!

cił się na kolana i zaczął całować jej rękę. Idąc od rąk do łokcia, teraz całował już jej szyję... ona odwracała głowę ze wstrętem... Nie mogłem wytrzymać, takie to wydało mi się śmieszne, i parsknąłem śmiechem! Usłyszała to babcia Władysława:

— To skandal! — zawołała wielkim głosem. — Leon! Jak ty możesz pokazywać te nieprzyzwoitości własnemu synowi! Patrz! Teraz całuje ją w same usta! Biedne dziecko, co z niego wyrośnie w tym dzikim kraju!

Gdy ja się śmiałem, ojciec na pół zmieszany, na pół zły, zatrzymał aparat i wyciągnął film. Wziął nożyczki i uciął kawałek. Zlepił potem brzegi acetonem i puścił drugi raz ten sam film. Aż zaklaskałem z radości: efekt działaności nożyczek okazał się niezwykły, pocałunek w usta zniknął zupełnie! Byłem zachwycony.

— Czy nie można by wyciąć jeszcze jakiegoś kawałka? — zawołałem proszącym głosem w stronę ojca.

Oczywiście z czasem mój stosunek do nożyc Anastazji i cenzury kinematograficznej zmienił się zupełnie. Pamiętam, jak kłamię w Paryżu w latach dwudziestych, patrząc na poobcinane filmy radzieckie. Ale wtedy, w Skajnach, nie wiedziałem jeszcze, do czego opinie babci Władysławy mogą świat doprowadzić...

— Daj mi spokój z twoim iluzjonem! — wykrzywił się Janek, syn wuja Teofila, gdy przyjechał na wakacje. — Mam już tego dość! Co tydzień chodzę do kina w Kijowie!

Ale dzięki niemu zrozumiałem wreszcie, jak działa kinematograf. Wytłumaczył mi zasadę: powstawanie obrazu w siatkówce oka ludzkiego, podział ruchu na oddzielne obrazy, znaczenie obrotowego dysku obturatora i krzyża świętego Andrzeja itd. Wiele lat minęło od owego czasu, wiele wynalazków udoskonaliło kinematograf, ale zasada jest wciąż taka, jak mi to na początku naszego wieku wytłumaczył Wania... czyli Janek.

Pamiętam też, że aktorka, która występowała w pamiętnej scenie z pocałunkami, była Polką i nazywała się Napierkowska. Być może, że obecnie w Polsce mało kto o niej pamięta, muszę więc powiedzieć, że w owym czasie była ona sławą w sztuce kinematograficznej. Zaraz po pierwszej wojnie światowej grała wielką rolę Antiney, królowej zaginionego tajemniczego kontynentu, Atlantydę, w filmie według powieści angielskiego pisarza Ridera Haggarta. Była to piękna i „obfita” brunetka, która wywarła wtedy na mnie takie wrażenie, że pamiętam ją do dziś doskonale i poznałbym na ulicy natychmiast... jeżeli się nie zmieniła!

## Instytut Pasteura

Gdy kiedyś wracaliśmy z *odai*, jakiś nieznany pies pogryzł moje dwie suczki Talię i Ledę, które biegły za powozem. Wskoczyłem, żeby je obronić, i pokrwawione, poślinione wzięłem do powozu, obejmując je rękami. W domu, gdy nadjechał ojciec i dowiedział się o wypadku, zaraz kazał mi się wykapać, a Jakuba posłał ze strzelbą w pogoń za tamtym psem, obawiał się bowiem wściekliczny. Pod wieczór Jakub wrócił z zabitym psem. Zaraz go poznałem; to był na pewno ten sam. Kucharz Aleksander odciął mu głowę i włożył ją do beczutki pełnej lodu z *pogrzebu*. Potem Siańka dostał rozkaz



zawiezienia beczki do rannego pociągu i wysłania do Odessy, do Instytutu Pasteura. Mlle Berthe, która była wtedy moją nauczycielką, zrobiła mi wykład na lekcji o odkryciu Pasteura i o znaczeniu instytutu jego imienia. Po kilku dniach przyszła wiadomość, że łódź się stopił po drodze, głowa doszła w pełnym rozkładzie i instytut nie może gwarantować, że pies nie był wściekły. Gdy słuchałem tych wiadomości...

— Jutro wyjeżdżamy do Odessy szczepić się przeciwko wściekliznie! — zdecydował ojciec.

W domu zdenerwowanie było ogólne i zaczęły się dyskusje: kto ma jechać? Zawezwany przez ojca, przyjechał doktor z Tyrnowa i on postanowił:

— Staś i jego mama, bo oboje wieźli w powozie pogryzione suczki. Lola, bo Stasia myła i poślinioną przez wściekłego psa bieliznę prała. Leon, żeby wszystko zorganizować. Jakub i Aleksander nie, bo byli już uprzedzeni i zabitego psa rękami nie dotykali.

— *Mais moi aussi, voyons!* \* — zawołała Mlle Berthe, twierdząc, że ona też powinna pojechać, bo ze mną przebywała i nawet miała lekcję o bakterjach. Wszyscy się roześmiali, a doktor powiedział kategorycznie, że nie, że to absurd. Mamusia zaczęła mi opowiadać o Odessie, że to duże i piękne miasto, że w porcie zawsze stoją jakieś statki, że pójdziemy do teatru, gdy rozległy się szlochy i Mlle Berthe płacząc wybiegła do swojego pokoju. Zajęci naszymi projektami, nie przywiązywaliśmy do tego większego znaczenia. Było jasne, że nie chodzi tu o obawę wścieklizny, tylko o chęć przejechania się do Odessy. Po chwili przybiegła przerażona Nastka, wołając o pomoc, bo Mlle Berthe dostała ataku. Ustały rozmowy i wszyscy ruszyli korytarzem w stronę pokoju nauczycielki. Dziadzio Aslan szedł pierwszy i gdy otworzył drzwi, ujrzałem straszny widok: Mlle Berthe, rozczochrana, z wybałuszonymi oczami, siedziała w kucki na łóżku z porozrzuconą pościelą. Przez podartą bluzkę przeświecało jej ciało i wyciągnęła ku nam ręce z zakrzywionymi jak szpony palcami. Z otwartych ust wydobywało się rżenie i kapała ślina. Stałem, wpatrzony w ten okropny obraz, i czułem, jak dreszcz mi przebiega po grzbiecie. Dziadzio, wcale nie przejęty, roztrzącił nas i złapał za dzbanek z wodą, stojący koło umywalki; chlusnął Mlle Berthe prosto w twarz. Zaczęła kaszleć, ale uspokoiła się od razu, po czym kazano mi wyjść. Doktor został z nią jeszcze chwilę, a my usiedliśmy do kolacji. Ojciec był zły i odgrażał się, że „tę wariatkę” odprawi, bo jeszcze mnie zarazi histerią.

— To nie jest histeria — zaprzeczył doktor, który wrócił tymczasem. — Ona odgrywa rolę chorej na wściekliznę, bo chce jechać szczepić się do Odessy!

Mimo odgrazań się ojca jednak mamusi zrobiło się żal biedaczki i następnego dnia Mlle Berthe, wesoła jak szczygieł, siedziała razem z nami w przedziale kiszyniowskiego pociągu.

Mnie, bywałem w Tyrnowie i najwyżej w Bielcach, Odessa wydała się wspaniałym miastem. Ulice były szerokie, bez bajor z błotem. Kamienne budynki nosiły imponujące nazwy: Muzeum, Teatr imienia Sibiriakowa, Narodowy Bank Rosyjski, Giełda, itp. W centrum miasta był ogromny kilkupiętrowy sklep, otwarty na wskroś, w którym krzyżowały się dwie ulice. Towary były zawieszane u sufitu i sprzedający subiekci mieli długie tyki, którymi zdejmowali je z haków.

Do Instytutu Pasteura chodziliśmy codziennie na szczepienie. Przyjmo-

\* *Mais...* (fr.) — Ale przecież ja także!

wał nas sympatyczny brodaty lekarz w białym kitlu i opowiadał nam dowcipy i zagadki:

— Raz chcieli marynarze załadować osła na statek. Ale osioł uparł się i nie było rady. Ciągnęli go za uzdę, za uszy, nic! Stał zaparty nogami na początku kładki. Stanęli też bezradni marynarze i nuże myśleć, co tu zrobić. Przechodziło właśnie przez molo dwóch Mołdawian. Popatrzyli, pomyśleli i powiedzieli: — „To łatwo!” — Nu, Stasik, ty też jesteś Mołdawianin, jak byś tego osła załadował?

Pomyślałem... ale nic mi do głowy nie przychodziło.

— Cha, cha! — zaśmiał się doktor. — To proste: Mołdawianie zaczęli ciągnąć osła wstecz za ogon! Osioł, złośliwe zwierzę, żeby zrobić im na przekór, wbiegł prędko po kładce na statek — i już! Był załadowany.

Po południu chodziliśmy do cukierni „Chez François” i siadali na dworze, przy stolikach ustawionych na chodniku, aby lepiej widzieć przechodzących. Chłopcy w czarnych spodniach i białych surdutach przesuwali się zreźnie między krzesłami i roznosili lody, czekoladę, ciastka. Chodzili tam też znajomi moich rodziców i co chwila musiałem odkładać łyżeczkę, kłaniać się, całować w rękę starsze panie.

Czas mijał w Odessie szybko. Jeszcze ciekawszy od miasta był dla mnie port. Ja, który znałem tylko skajański staw, byłem zdumiony ogromem Morza Czarnego. Spacerowaliśmy po nabrzeżu, obserwowali statki, łamacz fal i latarnie u wejścia do portu. Czasem ojciec wynajmował łódkę i wypływaliśmy na pełne morze. Lola krzyczała, przerażona, nawet ja musiałem chwycić się burty, aby utrzymać równowagę, bo fale nieraz bywały mocne i kołysało jak na huśtawce. Miałem oczy wlepione w ciemną, połyskującą w słońcu jak rybie łuski powierzchnię wody, z której wyskakiwały czarne, o wydłużonym ciele stworzenia. Opisywały wdzięczny łuk nad wodą i potem znów znikwały pod powierzchnią. Nieraz tworzyły całe grupy, jedne były większe, inne mniejsze, i wcale nas się nie bały:

— To czarnomorskie delfiny! To nie są ryby. Są inteligentne i przywiązują się do człowieka jak psy! — tłumaczył mi ojciec. — Wyskakują z wody, by nacieszyć się powietrzem i swobodą. Nie bój się ich; przecież one też się ciebie nie boją.

Kiedyś zebrali się tyle delfinów wokół nas, że postanowiłem je policzyc i nawet zacząłem, ale okazało się to całkiem niemożliwe.

Morze i port — to była dla mnie najciekawsza część Odessy. Do portu prowadziły z miasta wspaniałe, ogromne schody. Przechodziło tamtędy dużo ludzi; jedni szli w górę, drudzy w dół. Było między nimi sporo wojskowych, niektórzy w jakichś nie znanych mi mundurach. Kozaków rozpoznałem — jako dobrych znajomych z naszych stron. Najdziwniejsi byli marynarze ubrani w mundur granatowy, z takim samym kołnierzem jak mój, w czapce okrągłej, z której oddarty był kazirok. Nosili wspaniałe, niezwykle spodnie, rozszerzające się od kolana do dołu jak słoniowe nogi. Ocu nie mogłem od nich oderwać. Pewnego wieczora zabrał nas ojciec na nocne święto w „Yacht-Clubie”. Roje łódek i jachtów pływało wzdłuż nabrzeża, a w głębi widać było olbrzymie okręty wojenne rosyjskiej floty, oświetlone jak tyrnowski pałac podczas balu. W porcie zebrano się pełno marynarzy, łażących za dziewczętami i pokrzykujących wesoło. Niektórzy śpiewali, tworzyły się kilkusobowe chóry; przystawaliśmy, żeby posłuchać pięknych portowych pieśni, śpiewanych przy akompaniamencie *garmoszki* „lepszymi od włoskich tenorów głosami”, jak orzekł ojciec. Dopchaliśmy się wreszcie do

balustrady, w oczekiwaniu na będące w programie ognie sztuczne. Wężowym ruchem, z sykiem wylatywały rakiety w górę, znacząc kolorowe smugi. Z armatnim hukiem rozpękały się na niebie ogromne kwiaty ze szkarłatnym sercem, a z wojennych okrętów zaczęła się gęsta palba kartaczy. Czułem, jak stojąca obok mamusia drży na całym ciele, wreszcie nie wytrzymała i poprosiła:

— Chodźmy już do domu... ja tego hałasu nie mogę znieść!

Port wyglądał jak wulkan ziejący ogniem i lawą; cały w oczy zamieniony, nie chciałem odejść od balustrady. Ojciec złapał mnie za rękę i pociągnął bez pardonu, wykluczając wszelki opór z mojej strony. Przepchawszy się przez tłum, doszliśmy do ulic śródmieścia, gdzie było luźniej. Przez cały czas naszego pobytu w Odessie widywaliśmy Mille Berthe tylko podczas posiłków i w Instytucie Pasteura. Teraz też nie było jej z nami. Przejęty wszystkimi cudami Odessy, którym nie mogłem dość się napatrzeć, nie zwróciłem na to uwagi. Raptem usłyszałem, co ojciec mówił do mamusi:

— ...ona chce wyjść za mąż za Rosjanina... marzy o tym, aby móc zostać w Rosji. Oblatuje teraz swoje sklepowe i portowe znajomości, chodzi na bale, na kiermasze, w nadziei że ktoś się w niej zakocha...

Było już późno. Na naszej ulicy panowała cisza... zamiast ognia sztucznych na niebie błyszczały gwiazdy. Powietrze несло zapach limanu... nagle gdzieś z dali dobiegł do nas piękny śpiew:

*Samoje sinieje w mirie*

*Czornoje Morie mojo... \**

Taki był nasz ostatni wieczór w Odessie. Nazajutrz zapanowała gorączkowa atmosfera: pośpieszne zamykanie walizek, gonitwa za dorożkami i wreszcie — do pociągu. Znikło piękne Czarne Morze w oddali, wionęło przez okno znajomymi zapachami. Zaczęły się akermzańskie stępy. Gładko toczył się wagon, lokomotywa śpieszyła się, dyszała lekko jak zziębnięty pies. Na stacji w Tyrnowie czekał na nas Jakub, który tak się ucieszył, jakby nas nie widział przez rok, i poczułem jego pachnące machorką wąsy, gdy mnie pocałował. W Skajanach na nasze spotkanie wyszedł dziadzio Asłan. Wyglądał jak zwykle; nie wydawał się specjalnie ucieszony ani też zmartwiony.

— A! To wy! — rzekł i jakby czując, że na powitanie trzeba być miłym, dodał z uśmiechem: — No! Widzę, że żadne z was się nie wściekło na szczęście! Chyba tylko... — i schowawszy rękę za plecy, tak abym ja tylko mógł to zobaczyć, wskazał palcem na Mille Berthe i dokończył: — ...ta!

### **„Mieć daczę na Besarabii”**

— Przyjemnie patrzeć, jak się rozwija Tyrnowo! — rzekł doktor Władimir Iwanowicz, wyraźnie zadowolony.

Po tym wstępie wszyscy nastawili uszu:

— Gdy dostałem mianowanie do Tyrnowa, była to ostatnia dziura! — z przeproszeniem Teofila Antonowicza i jego pałacu, bo ja mówię o wiosce! A teraz! Gdzie spojrzeć — czyste, wybielone chaty, ogródki z miotłyczynią i kwiatami, drzewa owocowe, ulice sznurkiem wytyczone! Nawet już są domy

---

\* *Samoje...* (ros.) — Najbardziej błękitne w świecie / Moje Morze Czarne...

z dachem z blachy cynkowej! No, a dziś wielka sensacja: piotrogrodzki lekarz, dr Szonin, kupił parcelę i będzie budować sobie daczę! To będzie nasza pierwsza dacza!

— Kto? Który Szonin? To on z Piotrogradu? — posypały się pytania.

Usłyszałem wtedy po raz pierwszy nazwisko tego lekarza, którego synowie, Borys i Jurij, mieli stać się później moimi towarzyszami i przyjaciółmi. Minęło sporo czasu, zapominałem o daczach, aż kiedyś przyszło zaproszenie na jej „inaugurację”. Pojechaliśmy wszyscy. Dacza, stojąca wśród łąk, była niewielka, parterowa, z oszkloną werandą. Obok, w sadzie owocowym, rosły rozciągnięte na drutach karłowate drzewka ze sławnej szkółki Pomera w Cauce. Dr Szonin, rosły mężczyzna z siwiejącą brodą, rozkładał co chwila ręce, jakby chciał nas wszystkich objąć, i gościnnie zapraszał do wnętrza, zbyt małego, aby móc wszystkich pomieścić.

Gdy już byliśmy w domu, przy wieczornej mamaladze rozmowa zeszła naturalnie na temat daczki doktora Szonina. Czułem, że ta mała, skromna dacza miała jakieś wyjątkowe znaczenie; wszyscy mówili o niej z przejęciem, jakby to był co najmniej tyrnowski pałac.

— Dla ludzi Piotrogradu — wytłumaczyła mi Masza popadianka — posiadać daczę na Besarabii to niezwykła rzecz! Należało się to takiemu sławnemu lekarzowi. Widziałeś, jak się on ubiera? A jego piękna żona? W ogóle w wielkiej stolicy wszystko jest według ostatniej mody. Zachciało mu się teraz zadowolić tę wymagającą elegancję!

Gdy ojciec otarł wąsy i zapanowała przy stole chwila ciszy, zapytałem na cały głos:

— A my? kiedy będziemy mieć naszą daczę?

Ojciec znieruchomiał, widać było, że ten pomysł wydał mu się bardzo dziwny.

— Co ty gadasz! — zawołał zdziwiony. — Mamy przecież nasz dom! Po cóż nam jeszcze jakaś dacza?

— Jeżeli tatuś nie chce, to poskarżę się mamusi! — zagroziłem zdecydowany na wszystko. — Ona mu każe wybudować dla nas daczę, tak jak z doktorem zrobiła to pani Elegancja!

Zamiast przyznać mi rację wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nawet Masza. Było jasne, że nikt nie bierze mojej propozycji na serio. No i naturalnie zostaliśmy bez daczki na Besarabii.

## Rabin Mosze

Otworzyłem drzwi do salonu i... zdębiałem. W naszym czerwonym pluszowym fotelu siedziała jakaś postać w długiej, czarnej jedwabnej sukni. Na głowie miała czapkę futrzaną, spod której zwisały kosmyki włosów zakręconych w korkociągę, a twarz okalała broda koloru rdzy. Z przodu widać było rząd guzików, jak przy sutannie.

— Chodź tu! — zawołał mnie ojciec, którego teraz dopiero ujrzałem. — Pozdrów rabina Moszego!

Podszedłem wahając się, wpatrzony w tę dziwną postać. Rabi Mosze był ważną osobistością z kiszyniowskiej kolonii żydowskiej i nawet przypisywano mu kilka cudów.

— A nu! Rabi niech mówi do chłopca w jakim chce języku! — rzekł ojciec. — Zobaczymy, czy zrozumiemy.

— *Bist du aufmerksam?* — spytał mnie najpierw rabin, ale ja nie rozumiałem po niemiecku. Potem: — *Sztii sa grajeszti moldowaneszti?* \* — Roześmiałem się, bo miał żydowski akcent. Potem znów kilka słów po rosyjsku, po polsku, po ukraińsku etc. — we wszystkich językach, którymi u nas mówiło się w domu.

— Cy, cy! — cmoknął ojciec z podziwem, aby mu sprawić przyjemność. — Pan to prawdziwy poliglota!

Ośmielony, zagadnąłem rabina po francusku; nie zrozumiał ani słowa. Odpowiedział mi w jidysz i tym razem ja nic nie rozumiałem. W tym momencie otworzyły się drzwi i pokazał się Rudzko, młody student prawa z lwowskiego uniwersytetu. Stanął jak wryty na widok rabina i krzyknął:

— Żydzie! Zdejm czapkę, chamie, w chrześcijańskim domu!

— Ty sam cham! — krzyknął ojciec, podrywając się z fotela.

Rudzko przestraszył się i zniknął, trzasnąwszy w pośpiechu drzwiami.

Rabin wstał i wydał mi się jeszcze bardziej intrygujący w swoim długim chałacie. Ojciec kazał go odwiedzić na stację i mnie wyznaczył, abym gościa odprowadził. Siadłem z nim na tylnym siedzeniu, jak dorosła osoba, w powozie ciągnionym przez Prokusa i Krakusa. Po drodze rozmawialiśmy o widocznych po obu stronach drogi uprawach i zdałem sobie sprawę, że rabin o rolnictwie nie miał pojęcia.

Na tyrnowskiej stacji było już dużo ludzi. Rabin pożegnał mnie i zaraz został otoczony przez grupę Żydów z Bryczawy. Byli wszyscy ubrani w długie czarne chałaty, spod jarmulek po obu stronach twarzy zwisały im podobnie jak rabinowi długie korkociągi włosów. Spodnie mieli krótkawe, kończyły się w połowie łydki, a na nogach czarne z gładkiej skóry buty do kostki z elastyczną dwustronną wkładką. Z tyłu wystawało wielkie ucho, pomocne przy wciąganiu buta. Cały ten strój sprawiał egzotyczne wrażenie, tak dalece różnił się od noszonych w naszych stronach ubiorów, mnie zaś wydawał się po prostu śmieszny. Później wytłumaczono mi, że te stroje i w ogóle Żydzi przywędrowali do nas z Polski, przeważnie z Galicji, gdzie ich było mnóstwo. Na widok rabina Żydzi rozstąpili się, a potem otoczyli go zwartym kołem wśród harmideru rozmów i okrzyków w języku jidysz. Wielu z nich cmokało ostentacyjnie, aby wyrazić swój podziw i uznanie.

— Zaczną mu teraz zwierzać się ze swych kłopotów — rzekł szef stacji, z którym staliśmy na uboczu — ale ja nie będę pociągu tu trzymał, aż oni skończą cały ten majufes!

Gdy wracaliśmy do domu, Jakub dał wyraz swojemu oburzeniu. Splunął dwa razy, obtarł dłonią wąsy, potem odwrócił się do mnie.

— Jak może Lew Nikiforowicz traktować tego pejsacza jak równego sobie? Zobaczysz, jeszcze nieszczęście nam ten Żydlak przyniesie!

Gdy wjeżdżaliśmy na podwórze, zobaczyłem Lolę biegnącą z ręcznikiem w stronę studni. Przystanęliśmy, by dowiedzieć się, o co chodzi. Za krzakami siedział na ziemi Rudzko, a Lola okładała mu policzek mokrym ręcznikiem. Ojciec zbił go za użyczenie rabinowi. Gdy Rudzko mnie zobaczył, zaczął jęczeć:

— Dobrze mi tak... żyję w cywilizowanym kraju, a tu nagle zachciało mi się przyjeżdżać na wakacje w te dzikie stepy!

Jakub odciągnął mnie na bok:

— Widzisz? Mówilem, że ten pejsacz nieszczęścia narobi!

---

\* *Bist...* (niem.) *Sztü...* (mold.) — Czy uważasz? Czy mówisz po moldawsku?

## Ludzie z żelaznych dróg

Niewiele pociągów można było zobaczyć na tyrnowskiej stacji. Mimo to kolej żelazna reprezentowała obcy czynnik w naszym spokojnym wiejskim życiu. Jak cięcie kuśnierza, który przygotowuje skórę pod siodło, tak czarniawy tor przecinał żółte ścierniska, oddzielając dwie połacie uprawnych pól i stepu. Ku niebu ściętemu upałem jak białko na patelni, rzucały sapiające lokomotywy pióropusze dymu i pary, siejąc strach pomiędzy ptactwem, które przywierało do ziemi czując, że niebezpieczeństwo spada z góry. Drżące płochliwe zające stawały bezradne przed nasypem; na jego szczycie jak lufa dubeltówki połyskiwała stal. Życie stepu przecięte było na pół. Mój kałmuk Muc też nie lubił torów. Lecz tego dnia okazałem więcej uporów niż on i zmusiłem go, by się przybliżył, bo nadchodził pociąg, do połowy zasłonięty wielkimi liśćmi słoneczników. Sunąc po torze skręcał się jak gąsienica raz w jedną, raz w drugą stronę. Zsiadłem i trzymałem kałmuka mocno za cugle, podczas gdy z turkotem przejeżdżały wagony odbijając się w jego wypukłych oczach jak w zwierciadle. W oknach widziałem twarze podróżnych, dalekie, obojętne, znudzone płaskim krajobrazem. Dawali się unosić lokomotywie, obcy na tych ziemiach, gdzie ja przyszedłem na świat, niezdolni przypuszczać nie zrozumieć tego życia, które było naszym życiem. Zbliżwszy się do stacji gąsienica pociągu wyprostowała się, jakby ją na drut nadziano, i stanęła przy peronie pod drżącymi na wietrze listkami topoli. W Tyrnowie zazwyczaj dużo ludzi wychodziło na stację do pociągu. Jedni, bo nie mieli co robić i chcieli się rozerwać. Inni, bo kogoś oczekiwali lub sami wybierali się w podróż. Ja też wpadałem chętnie na peron i spoglądałem na zegar, by zobaczyć, czy pociąg się spóźnia.

— Uh! Dziś dopiero kupa dziwnych ludzi! — komentowały siedzące na ławce Mołdawianki. Gdy pociąg stał, pasażerowie wysiadali choćby na chwilę, aby rozprostować nogi.

— W tym samym miejscu, gdzie teraz stoisz — odezwał się ojciec — nie lada przedstawienie dała nam raz babcia Nucia. Miała po raz pierwszy w życiu wsiąść do pociągu, aby pojechać do Drokii. Ale gdy zajechała lokomotywa, otoczona kłębami świszczącej pary i dymu, babcia tak się zlekła, że zaczęła uciekać. Siłą przywlekliśmy ją z powrotem na peron, lecz biedaczka upadła na klęczki i z płaczem błagała nas, byśmy jej darowali życie!

Wzruszyłem ramionami, pełen pogardy. Dla przyszłego inżyniera babcia Nucia była ucieleśnieniem zacofania. Gdy pociąg odjechał, na bocznym torze ujrzałem stojący wagon towarowy, do którego wchodzili ludzie po drewnianych schodkach. Weszliśmy i my, gdyż była to *ławka*, czyli sklep pełen najrozmaitszych towarów; wagon-*ławka* stał w Tyrnowie kilka dni, potem przyczepiano go do któregoś z towarowych pociągów i odjeżdżał na następną stację. Podczas gdy starsi kupowali najróżniejsze rzeczy, ja zawsze prosiłem o to samo. W *ławce* można było nabyć pyszne, wielkie czerwone cukierki w kształcie dużej maliny, nadziewane malinowymi konfiturami.

Pewnego dnia ojciec rozkazał mi:

— Zbieraj się! Pojedziemy do Drokii i zaraz wrócimy następnym pociągiem. Trzeba, żebyś wiedział, co to znaczy podróżować koleją.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Ojciec wykupił bilety i wsiedliśmy do wagonu pierwszej klasy. Byłem onieśmielony powagą starszych brodatych panów, siedzących na błękitnym suknie wybitych siedzeniach.

Niektórzy byli w cywilu, ale większość miała wspaniałe mundury, połyskujące od złocień. Gdy już się napatrzyłem, ojciec popchnął mnie lekkim szturchnięciem i kazał iść przed sobą. Następny wagon był wybity sukniem zielonym, które wywoływało trupi odbłask na twarzach. Ojciec pokazywał mi: — To generał! Ten to pewnie inżynier kolejowy! A ten to archijerej!

Podczas gdy pociąg biegł chyżo między polami kukurydzy i słoneczników, przepychaliśmy się przez zapchane ludźmi korytarze. W drodze powrotnej wsiedliśmy do trzeciej klasy. Była przepełniona rozmownymi i sympatycznymi pasażerami, do których nie bałem się zagadać. Byli tacy sami jak ci, których spotykałem codziennie na *odai* lub we wsi. Gospodynie pokazywały sobie zakupy, podnosząc róg chustki związanej na koszyku. Inni poszturchiwali się wesoło, usiłując przepchać się w tłumie. Nikt nie mówił: „*Izwinitie, pożałujsta!*”, i nie wstawał z siedzenia, aby się z kimś przywitać. Panowała swoboda i mołdawski dobry humor. Gdy pociąg stanął na chwilę na stacji, wyskoczyliśmy na peron, gdyż nie było przejścia wprost, i wsiedliśmy do wagonu czwartej klasy. Był to zwykły wagon towarowy, w którym dookoła pod ścianami ustawiono ławki. Podróżowali tu przeważnie Żydzi. Panował zgiełk, lecz mimo huku kół dało się słyszeć rozmowę w języku jidysz, który był zresztą wspomagany często gestami rąk i odpowiednią mimiką. Żydzi, poubierani w czarne chałaty, potrzásali pejsami i brodami, rozmawiali żywo i wyciągali ręce, rachując coś na palcach, targując się, komentując ceny lub przeliczając pieniądze.

— W zimie — wyjaśniał mi ojciec — ustawiają w tych wagonach piec na samym środku i tak powstaje *tieptuszka*.

Nie wiedziałem wtedy, że w kilka lat później w takiej właśnie *tieptuszce* mieliśmy opuścić nasz kraj na zawsze.

Na następnej stacji przesiedliśmy się znów do pierwszej klasy. Naprzeciw nas siedzieli jacyś młodzi ludzie, którzy od razu przykuli moją uwagę. Młoda, szczupła kobieta siedziała normalnie; jej towarzysz natomiast leżał rozłożony na plecach i trzymał głowę na jej udach, podczas gdy ona czesała grzebieniem jego długie włosy, uśmiechając się i mówiąc coś cichym głosem do niego.

— Udawaj, że ich nie widzisz! — rozkazał mi ojciec i dodał: — To jacyś dekadenci z daleka! — po czym kazał mi wyjść na korytarz. — W takim pociągu nigdy nie możesz wiedzieć, z kim się spotkasz lub co zobaczysz!

Na koniec, aby odwrócić moją uwagę od tych dziwnych ludzi, opowiedział mi historię następującą:

— Jechałem kiedyś do Kiszyniowa; idę sobie wzdłuż wagonu, patrzę, oczom nie wierzę: siedzi Chaim z Bryczawy w podkasanym chałacie i bose nogi moczy w baniaku z wodą! — Chaim! Cóż ty robisz? — wykrzyknąłem, nie mogąc się powstrzymać. — Nic. A czy dzisiaj nie sobota? — odparł zapytany. — Sobota, no to i co? — No to, że pan jako goj nie wie, że w sobotę nie wolno odbywać podróży! — Przypomniałem sobie, że istotnie religia Żydom jeździć w sobotę zakazuje. — No to czemuś wsiadł do tego pociągu? — zapytałem zdziwiony. Chaim uśmiechnął się z wyższością i politowaniem dla takiego naiwnego goja jak ja. — To nie pociąg — poprawił mnie — to okręt! I ja nie jadę, ja płynę! — Ot! Co to jest spryt żydowski! — zakończył ojciec. — Nawet Pana Boga potrafią oszukać!

---

\* *Izwinitie...* (ros.) — Proszę wybaczyć!

Przez szybę w drzwiach widziałem parę „dekadentów”. Teraz całowali się z pasją, jakby chcąc wyssać flaki jeden z drugiego. Przez okno zobaczyłem w dali stadninę wuja Teofila, potem zaczęło się słonecznikowe pole. Dla nas był to znak, że zbliżamy się do Tyrnowa, powrotnego celu naszej podróży.

## Charty i lisy

W Skajanach psów było dużo i różnych; jedne nasze, inne pana Ostapa — lub wsiowe. Znałem je wszystkie — jak również ich imiona — i one też mnie znały. Największa była nasza kudłata suka Małka. Jej syn Riabczik, który padł ofiarą Balaura, okazywał tyle tchórzostwa, ile odwagi objawiał Soidat, kłusownik naszej okolicy. Szczupła i elegancka Diana, pokryta krótkim lśniącym włosiem, wyglądała jak foka z czekolady. Talia i Leda, dwie suczki foksterierki, poszcze kiwały nerwowo i drżały ciągle z niecierpliwości. Turok zaś był powolny i ociężały „jak prawdziwy Turek w haremie” — według określenia dziadzia Asłana. W Tyrnowie też było sporo psów, które strzegły różnych *oda*j, zabudowań dworskich i pałacu. Ale oprócz tych zwyczajnych psów, wuj Teofil miał *kennel*, jakby psią stadninę, gdzie hodował psy rasowe do polowań: jedne na zające i lisy, inne na wilki, jeszcze inne — owczarki — do strzeżenia stad, etc. W ogrodzeniach z metalowej siatki zamykano charty, *borzaje*, psią arystokrację, słynną z chyżości nóg. Były różnej maści, ale wszystkie miały ciała szczupłe, wydłużone o eleganckich liniach. Długie ogony, zakręcone jak biskupi pastorał, nosiły zwykle opuszczone. Nogi też miały długie, przy tym tylne odznaczały się szczególnie szerokimi, silnymi udami. Między nimi a wielką klatką piersiową, najszerszym miejscem charciego ciała, znajdował się mały, płaski brzuszek, prawie niewidoczny. Niewielką głowę przedłużał wąski pysk, zazwyczaj otwarty, z którego zwisał różowy język, nadający psu wyraz zadowolenia, a nawet jakby uśmiechu. W wydłużonej głowie, swą budową jak gdyby przystosowanej do tego, aby lepiej pruć w pędzie powietrze, rozum był jednak niewielki; toteż charcia skromna inteligencja weszła w przysłowie.

— U psów, jak u ludzi! — mawiał dziadzio Asłan. — To, co arystokracja zyskuje na elegancji, traci na inteligencji!

Charty miały specjalną dietę owsianą i w okresie polowań nie dostawały mięsa. Owies zapewniał im lekkość biegu i szybkość, lecz one tego nie rozumiały i odwracały z niechęcią pyski, gdy przynoszono kociołki z owsianką, za którą ja przepadałem.

W dzień polowania zbierali się wszyscy na wjazdowym podwórze. Pannie sadowiły się w powozach i bryczkach, panowie siedzieli w siodłach lub stali jeszcze obok koni, poprawiając coś przy rzemieniach i sprzączkach. Wuj Teofil wybrał psy, które *sobacznik* wziął na smycz i odprowadził w stronę myśliwych; tymczasem pozostałe charty za siatką ujadły i skowyczały z rozpaczą, że zostawiono je w domu. Otworzyły się drzwi pałacowe i pokazali się polscy lokaje, Andrzej i Antoni, z tacami pełnymi kieliszków wódki; częstowali nią przygotowującą się do odjazdu komitywę. Było to tradycyjne „strzemienne”. Ojciec zerwał sopel z okapu stajni, umoczył go w swoim kieliszku i dał mi do wyssania. Wuj Teofil dał znak i cała gromada ruszyła, wyciągając się w długą karawanę na wioskowej ulicy. Podczas gdy



ludzie rozmawiali, psy też załatwiały swoje psie problemy. W każdej chacie był podwórzowy pies, który na widok grupy *borzajów* zaczynał natychmiast ujadać z wściekłością. Inne psy odpowiadały i przejeżdżaliśmy wśród istnej burzy szczeków. Charty słyszały to i wiedziały, co się dzieje; toteż trzeba było widzieć ich nonszalanckie zachowanie, pyski z wyrazem pogardy, gdy przebiegały smukłymi nogami w eleganckim kłusie. Żaden z nich nawet nie szczeknął w odpowiedzi na te zaczepki wsiowych kundysów niezdolnych dogonić — tak pewnie myślały — nawet kulawej kury.

Mój Muc przeszedł w krótki, kanciasty kłus, zdolny zamienić flaki jeźdźca w sieczkę. Patrzyłem z zazdrością na dziadzia Asłana, który obok sunął gładko na swojej klaczy inochodce. I jeździec, i klacz byli tak wysocy, że wyglądali przy mnie jak gołębnik. Na każdy krok inochodki mój Muc robił ze dwa lub trzy, ale trzymał się z uporem równo z nią, tak że mogliśmy rozmawiać. Byliśmy już wśród pól i zrobiliśmy parę wiorst, jadąc po oziminach pokrytych cienkim śniegiem. Raptem zobaczyłem coś płowego na śniegu przed nami.

— Lis! Uwaga! Lis! — zabrzmiały okrzyki i komitywa ruszyła galopem. Lis biegł szybko, odbijał się jak ruda piłka od białej powierzchni śniegu. *Sobacznik* spuścił *borzaje*, które ruszyły za lisem. Zabrzmiał długim, smętnym dźwiękiem róg myśliwski. Lis nie mógł długo wytrzymać takiej szybkości, w gonitwie charty przewyższały go znacznie. Ale... gdzież był ten lis? Charty biegły same, a my za nimi. Raptem odkryłem lisa na prawo, pod kątem prostym do naszego kierunku. Zanim charty się zorientowały, lis odskoczył już daleko i trzeba było rozpoczynać gonitwę od nowa. Używając tej finty, lis zyskiwał na czasie. Gdy charty były już blisko, zawracał zręcznie i odsadzał się na znaczną nieraz odległość. Ale charty tymczasem rozpierchły się, tworząc szeroki front i utrudniając tym samym manewry lisowi, który, biedak, był już półżywy ze strachu i zmęczenia; w tym wyścigu jego krótkie nogi nie na długo mogły starczyć. Wreszcie charty stanęły i gdy dobiegliśmy do nich, ujrzelśmy na ziemi pokonanego lisa. Nadbiegł *sobacznik* i zwrócił się do wuja Teofila:

— Widzieliście, Teofilu Antonowiczu, w jakiej doskonałej formie są nasze *borzaje*?

Wuj uśmiechnął się, zadowolony, i poczęstował *sobacznika* cygarem.

Podskakując na miedzach i rowach, nadjechały wreszcie powozy i bryczki z paniami. Zawołała mnie mamusia. Stałem niezdecydowany, miałem ochotę zostać przy mamie, ale chciałem też galopować za chartami. Spojrzałem na równinę, na śnieg ozłocony wiosennym już słońcem, przed którym sine cienie uciekały do dołków i kryły się za krzakami. Znowu zabrzmiały okrzyki:

— Lis! Prędko! Lis! — i cała komitywa puściła się galopem.

Na przedzie widniała czarna sylwetka wuja Teofila. Rozwiane pędem poły narzutki wyglądały jak orle skrzydła unoszące go nad ośnieżonym polem. Powiew wiatru niósł muzykę ujadających psów, podczas gdy jeźdźcy maleli coraz bardziej w przestrzeni. Zabrzmiał jeszcze przeciągły głos myśliwskiego rogu i... otoczyła nas cisza. Powietrze pachniało śniegiem i stratosowanym rzepakiem. Przywiązałem cugle Muca do tylnej osi i siadłem obok mamusi, która posunęła się, żeby zrobić mi miejsce. Usłyszeliśmy w dali jakieś krzyki. Jeszcze jeden lis! — pomyślałem. Zawróciliśmy w stronę domu. Gdy dojeżdżaliśmy, dopędziła nas grupa myśliwych: lis im się wymknął. Wszyscy byli głodni, toteż z niemalym zadowoleniem pokazywali sobie ciem-

ny dym wychodzący z kuchennego komina. Rychło znaleźliśmy się przy stole i zaczęliśmy regenerować zużyte na polowaniu siły. Karafeczka z wódką, półmiski z zakąskami, kiszone ogórki przechodziły z rąk do rąk wśród śmiechów i okrzyków. Wreszcie otwały się drzwi od kredensu i wszyscy zwrócili spojrzenia w tę stronę, ciekawi zawartości półmisków.

— Hurra! Zrazy z kaszą! — witano ulubione danie, z którego ja najbardziej lubiłem samą kaszę hreczaną. Gdy weszła wreszcie ciocia Modzia, do tej pory zajęta w kuchni, mamusia wstała i uściśkała ją, podczas gdy biesiadnicy powstając z podniesionymi kieliszkami zawołali jednym, wielkim głosem:

— Niech żyje Modesta Nikiforowna, nasz Velázquez kulinarny!

## Burza

Dzisiejszy ranek był tak gorący jak mało kiedy. Słońce stało wysoko na niebie i lało jakby roztopiony ołów na nasze głowy. Bawiłem się z chłopcami w parku. Wkrótce zdjęliśmy koszule i spodnie i zaczęliśmy biegać nago. Strumyczki potu ciekły mi po piersiach i plecach; wszędzie, gdzie spoczęło moje siedzenie, pozostawał mokry placek. Ziemia była sucha i spękana. Krzewy i rośliny opuszczały smętnie zwiedłe liście, jedne szare od kurzu, inne żółte już od suszy. Drżały i pochylały się bezsilnie kłosa, nie podtrzymywane przez wycieńczone łodygi. Kukurydze składały liście, jak ręce wzniesione w modlitwie do nieba z prośbą o ratunek. Była to kanikuła, plaga bogatych i żyznych ziem besarabskich.

Koło południa dały się dostrzec pierwsze oznaki zmiany pogody. Wszyscy co chwila rzucaliśmy wyczekujące spojrzenia w górę; szare upalne niebo zaczęło ciemnieć jak zwykle przed burzą. Na dźwięk obiadowego dzwonu pobiegłem prędko do domu. Ledwie poczułem świeży chłód domowego wnętrza, rzuciła się na mnie babcia Władysława jak nastroszony indyk:

— Gdzie twoje ubranie? Jak możesz chodzić goły? Ubierz się zaraz przyzwoicie!

Gdy biegałem po parku, szukając części ubrania porozrzucanych nie-dbale w miejscach naszych zabaw, nadjechał ojciec. Na niebie tymczasem pokazała się biała chmurka i zaczęła rosnać. Gdy ponownie zbliżyłem się do domu, chmura już była duża i nabrała groźnego, ciemnoszarego koloru. Ledwie siedliśmy do stołu, rozległy się dalekie grzmoty i zaczęły spadać wielkie krople deszczu.

— Nie lada burzę będziemy dziś mieli! — zawołał ojciec. — Wracam z Tyrnowa, gdzie razem z Jankiem puszczaliśmy rakiety przeciwgradowe. Huk był większy od grzmotów i smugi rakiet ginęły w głębokościach chmury.

— I co? I co się stało? — zapytałem podniecony.

— No, cóż... — odparł ojciec niechętnie. — Po trzecim wystrzale przybiegł pop z diakiem błagając, abyśmy przestali, bo ściągniemy gniew boży na całą wieś!

Tymczasem ulewa rozpętała się na dobre. Taka to była ta nasza pogoda besarabska: susza i nieubłagane palące słońce, a zaraz potem burza i potop z niszczącym wszystko gradem. Zrobiło się ciemno. Staliśmy z twarzami przylepionymi do szyb, podczas gdy na stole stygły nie tknięte potrawy.

Prawdziwe piekło rozpętało się na dworze. Babcia Władysława klęczała i modliła się głośno po polsku do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, który przyniosła ze swego pokoju i ustawiła na stoliku w rogu jadalni. Lola biegała z miejsca na miejsce popłakując i nie wiedząc, gdzie się schować. Wreszcie ukryła się w ciemnym pokoju, w stosach materaców i poduszek. Dziadzio Asłań siadł w kącie i nie miał ochoty ruszać się stamtąd. Między jednym a drugim piorunem, gdy na chwilę zapadła cisza, usłyszeliśmy głos ojca:

— Jaka szkoda! Właśnie przystali mi piorunochron z Odessy i gdybym go był zamontował, teraz by się przydał!

— Leon! — huknął dziadzio. — Dobry moment wybrałeś, aby nam to przypominać! — Popatrzyliśmy wszyscy na ojca, który pod wpływem gniewnych słów dziadzia zamilkł, tak jak ja zawsze milkłem, besztany przez niego.

Tymczasem burza nie ustawała. Teraz grad wmieszał się do walki żywiołów, które wszystko dookoła niszczyły i tratowały. Poczuliśmy chłodny powiew. Widać było, jak białe kulki lodu odbijają się od twardych przedmiotów, podskakują, wpadają do wody, a potem płyną licznymi strumykami unoszone we wszystkich kierunkach, tworząc na zakrętach tamy i kupy coraz większe. W tym momencie ujrzeliśmy stado krów i cieląt galopujące przez wjazdowe wrota i podwórze. Oszałałe ze strachu zwierzęta pędziły z podniesionymi ogonami, porykując ponuro. Od ich grzbietów odbijały się kawałeczki lodu, kopyta zaś rozbryzgiwały dookoła wodę i błoto. Bydło przeskakiwało przez żywopłoty, tratowało kwietniki i grządki; wreszcie przed samego domu zawróciło w kierunku stajen. Jakiś cielak dostał w łeb kawałkiem lodu wielkości kurzego jaja i przewrócił się jak rażony gromem. Ojciec był bardzo zmartwiony. Zrozumieliśmy, że myśli o Frasinie, o zbożach, gotowych do żęcia, o bydle rozproszonym lub zaginionym w stepie.

— To jest ruina! — westchnął, marszcząc brwi. — Wszystko poszło... w driebieżgi!

Choć przerażający, spektakl, który widzieliśmy przez okno, był wspólny. Nie pomyślałem o tym, że zagraża naszemu gospodarstwu rolnemu. Ojciec, zmuszony nabywać wiele rzeczy na kredyt, tak jak wszyscy pracujący na roli, liczył na zbiory, aby móc potem zapłacić. Nie było wtedy banków ani państwowych instytucji, które mogłyby dopomóc prywatnemu człowiekowi. Słyszałem rozmowę ojca z dziadziem:

— ...potem rzucą się na ciebie Żydzi. Całą Bryczawę będziemy mieli na karku!

— ...tak, kapitalistom, którzy dają kredyt lub pożyczają pieniądze — łatwo! Dla nich nie ma burzy, pożaru, gradu, nieszczęścia! To twoje zmartwienie, bo ty siejesz, młóciysz, pracujesz... ale jego, który nic nie robi, o nic głowa nie boli, na niego grad ani piorun nie spadają nigdy! Zapłacimy pracownikom z resztek... ich płaca jest święta. A co potem?

W miarę jak słuchałem, rosła moja wściekłość na kapitalistów. W domu pokazały się kałuże na podłodze. Dach nie wytrzymywał tak długiej i wielkiej ulewy, zaczął przeciekać w wielu miejscach. Dziewczęta biegały z miskami i wiadrami i słychać było głośne „plop! plop!”, gdy je podstawiały pod strugi spadające z sufitu.

— Nastka! Fanika! — wołała ciocia Modzia. — Więcej wiader!

Mamusia siedziała blisko ojca i słuchała rozmowy, wcale burzą nie przestraszona. Odkąd się urodziłem, ciocia Modzia zarządzała domem. Bardzo kochała mamusię, zajmowała się wszystkim, aby jej oszczędzić kłopotów i zmęczenia, ale wciąż na nią spoglądała badawczo, by przekonać się, czy jest za-

dowolona. Mamusia była w swoim kraju. Ciocia Modzia była tu gościem i choć wtedy tego nie mogłem ocenić, teraz rozumiem, że robiła, co mogła, aby mamusi odwdziżyć się za gościnę i okazać, że podziwia i kocha swą przybraną ojczyznę.

Były w naszym domu dwie grupy: „MY”, to znaczy mamusia, ojciec, moja mamka Popowiczka, dziadzio Asłan, wuj Teofil, ciocia Modzia, ja... i „ONI”: babcia Władysława, Rudźko, Lola, profesor Horr, nauczycielki francuskie, Raczyński, aptekarz i im podobni. Teraz znów, podczas tej burzy, pokazały się różnice między oboma grupami.

Odwrociwszy się od okna zobaczyłem raptem babcię na środku pokoju. Wyglądała jak archijerej. Trzymała wysoko nad głową obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, owinięty jakimś szalem, który opadał w dół; jego końce trzymali Lola i Rudźko. Z poważnym, pogrzebowym wyrazem twarzy babcia postępowała małymi, powolnymi krokami w stronę okna. Zdrętwiałem z wrażenia na ten widok. Babcia przyłożyła obraz do szyby... „aby Panna Najświętsza mogła zobaczyć nieszczęście, które na nasz dom spadło”, po czym wszyscy troje zbliżyli się do ojca i zaczęli coś mu tłumaczyć. Ojciec wzruszył ramionami i roześmiał się. Do grupy przyłączyli się krewni z Galicji.

— Chodź tu! — zawołał mnie ojciec niespodziewanie. — Z rozkazu babci Władysławy masz obieć dom dookoła z tym świętym obrazem! Ale najpierw... rozbierz się do naga! Szkoda twego ubrania.

Stałem jak wryty. Cóż znaczyła ta cała historia? Biegać po deszczu to nie była dla mnie przykrość, ale rozebrać się do naga... przecież babcia właśnie przed chwilą za to zrobiła mi awanturę?! Ale nie było czasu do namysłu, ojciec się niecierpliwił:

— Jazda! Cóż tak stoisz jak głupi!

Rozebrałem się migiem, babcia podała mi obraz, za którym wlokły się poły szala. Rudźko otworzył drzwi i znalazłem się raptem na dworze, jak mi się wydało, w samym środku burzy. Drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem i stanąłem osamotniony wobec rozpetanych żywiołów, których tak się bały kobiety w naszym domu. Łał rżęsiły deszcz — zmoczył mnie w jednej chwili. Jakbym wskoczył do stawu, zanurzyłem się prawie po pas w błotnistej wodzie. Mimo powodzi z dołu i z góry mogłem jednak oddychać świeżym, pachnącym powietrzem. Gęste błyskawice wbijały ogniste szpady w ten ocean wody, błota i lodu. Brrrr! — raptem przeszył mnie dreszcz. Czulem zimne uderzenia padającego gradu na ramionach i plecach. Ale pod chłodną wodą stopy zagłębiały się w ciepłym błocie, które zatrzymało trochę tego upału, panującego wszędzie przed godziną. Pomny na niezwykłą wagę mojej misji, podniosłem głowę i chwiejąc się, ślizgając w błocie, zacząłem okrążyć dom. Drogi nie było widać, podziurawiona milionami kropel powierzchnia biegnących w różnych kierunkach strumyków pokrywała ziemię ruchliwą, żywą siatką. Tylko nagie stopy ślizgające się w błocie utwierdzały mnie w świadomości, że biegnę jednak po gruncie...

Tu jest kamień! — pomyślałem poczuwszy go pod stopą. O! A tu drugi! Wróć po nie, gdy przejdzie burza! — postanowiłem. — Aj! — krzyknąłem, bo coś ostrego wbiło mi się w stopę. Co to? — Zacząłem macać nogą w błocie i rozpoznałem moją niklowaną skrzydłówkę, zgubioną gdzieś jeszcze na początku lata, której w żaden sposób nie mogłem odnaleźć. Pośliznąłem się, stojąc na jednej nodze, i obraz wypadł mi z rąk. Nie utonął wszakże, trzymała go rama na wodzie, zacząłem więc grzebać rękami w błocie, aby wyłowić skrzydłówkę. Obraz obrócił się dookoła swej osi, po czym zaczął płynąć

coraz szybciej w stronę bramy. A za bramą była *rypa*, do której zdążyły wszystkie wody i gubiły się w strumyku, dopływie Reutu. Przerażony, wielkim susem rzuciłem się za obrazem; pośliznąłem się, przewróciłem jak bramkarz na boisku, ale wreszcie złapałem mocno ramę w ręce. Gdy wróciłem na dawne miejsce, macając stopami błoto w poszukiwaniu zagubionej skrzydłówki, już nie sposób było ją odnaleźć. Została na zawsze w grząskiej mazi. Zasmucony i trzęsący się z zimna, powłóczęąc obrazem po wodzie, na której pokazała się teraz brudna piana i żdźbła słomy, dokończyłem okrażenia domu.

Otworzyły się przede mną drzwi i znalazłem się w ciepłym wnętrzu. Wręczyłem mokry obraz babci i stanąłem nagi na środku pokoju, pod spojrzeniami obecnych. Czyż miły był Niebiosom ten nagi, nieprzyzwoity chłopiec ze świętym obrazem i ten galop pogański dookoła domu, pod strumieniem ulewy, którą One na nas zesłały? Dziewczęta rzuciły się z ręcznikami, zaczęły mnie osuszać i nacierać; owinęły mnie wreszcie w ciepły koc, abym się zagrzał. Na głowie i plecach miałem sporo sińców spowodowanych uderzeniami gradu.

— Byczek, który leżał przed oknem, znikł! — zawołałem przejęty. — Pewnie zabrała go woda do *rypy* i utopił się!

Chór usługowych głosów zapewnił mnie, że na pewno nic takiego się nie stało. Po prostu ocucony wodą byczek wstał i pobiegł za swą mamą. Wdziawszy suche ubranie, podszedłem do samowara i dostałem filiżankę gorącej herbaty z błyszczącego jak złoto kranu.

— Teraz... — zawołał na cały głos dziadzio Asłan — teraz już się dowiedziała babcia Władysława, w czym chłopcy podobni są do samowara!

Uczucie zimna przeszło mi zupełnie. Teraz było mi raczej gorąco. Grzmoty, może onieśmiałe moim wyczynem, słabły i odchodziły coraz dalej. Wreszcie został po nich tylko trzask jakby gniecionych orzechów, których złocene skorupki połyskiwały na horyzoncie w oparach podnoszących się z ziemi.

— ...gdy tak biegł wśród piorunów, był jak nasz Wołodyjowski wśród świstu bisurmańskich szabel! — rzekł mój korepetytor hrabia Racyński, pochylony nad babcią, która klęczała i modliła się przed ociekającym jeszcze wodą obrazem.

## Szczury

Spichrze i stodoły na *odai* przyciągały wielkie ilości szczurów, myszy i gryzoniów wszelkiego rodzaju, które drażyły skomplikowane korytarze pod drewnianą podłogą, dziurawiąc ją w odpowiednich miejscach, tak aby ziarno samo wpadało im do gęb. Ojciec obliczył, że ilość ziarna zniszczonego w ten sposób była ogromna.

Ale jak walczyć z tymi szkodnikami? Rozrzucać zatrute ziarno? Pomysł ten został natychmiast wprowadzony w życie, jednakże po kilku nawet akcjach nie udało się nam ujrzeć ani jednego otrutego szczura.

— Oczywiście, nie dość trucizny położono za pierwszym razem! — zaoпинiowali niektórzy. — Stasiu! Pomnóż i powiększ porcje!

Na drugi dzień klucznica przybiegła cała rozczochrana, gorączkowo gestykulując. Okazało się, że cały ten teren *odai* był literalnie usiany trupami kur, gęsi i indyków. Szczury, przeczuwając zdradę, nie tknęły zatrutych ziaren,

za to nieopatrny i pełen zaufania drób został zdziesiątkowany. Opodal leżała martwa maciora, którą prosiaki starały się ssać, kwicząc i szturchając ją ryjami, wściekłe, że nie znajdują mleka. Po tej klęsce ojciec kazał zakopać głęboko resztę zatrutego zboża i znów sprawa szczurów utknęła na martwym punkcie. Miałem wtedy dwie suczki foksterierki, Talię i Ledę. Były wesołe, inteligentne i gorliwie wypełniały każdą misję, jaką im powierzyłem: szukały piłki, przynosiły patyk, przeskakiwały przez nogę, wykopywały jamę — lub polowały na koty. Zgodnie z instrukcjami ojca brałem je co dzień na *odaję* i zaprawiałem do walki ze szczurami. Małą prostą łopatą kopałem rowy w poszukiwaniu szczurzych czy mysich gniazd. Przerażone szczury wyskakiwały suczkom prosto pod nogi i rozpoczynała się zjadła walka. Zazwyczaj przegrywały gryzonie, wbiwszy przedtem raz czy dwa swoje ostre zęby w psie nosy. Inne szczury chowały się w korytarzach i gniazdach. Czując, że go złapałem za ogon, szczur się nadymał i zapierał w swojej dziurze, a mnie pozostawała rurka z szarej skóry w ręce, po czym szczur uciekał wlokąc za sobą zakrwawiony kościany pręcik. Wracałem wieczorem zmęczony, trzymając na kolanach Talię i Ledę, drżące jeszcze z emocji, z zakrwawionymi nosami. Wyskakiwały przed domem z powozu, obwieszczając wszystkim głośnymi szczekami swoje bojowe wyczyny. Wszyscy troje oddawaliśmy się temu polowaniu z olbrzymim entuzjazmem. Niestety, wyniki były marne. Szczury nauczyły się drążyć coraz głębsze korytarze, tak że nie mogłem poradzić już sobie z kopaniem rowów. Mnożyły się szybko i aż mrowiło się od nich pod podłogą stodoły.

— I na polach to samo! — zawołał ojciec zmartwiony. — Mysz nie może wdrapać się na źdźbło pszenicy, aby dosięgnąć kłosa, staje więc na tylnych łapach i przegryza źdźbło tak wysoko, jak się da. Wtedy kłos, nie mogąc przerwrocić się w gęstwinie, opada niżej i sprytna myszka znów staje na łapki i źdźbło przegryza. I tak dalej, tnie słomę na sieczkę, aż kłos znajdzie się na ziemi — wtedy z całą rodziną zajądają zdobyte ziarno. No, powiedcież mi, jak obronić się przed tak sprytnymi gryzoniami?

Dziadzio Aslan, który słuchał tych narzekania milcząco, poruszył się na krześle:

— Tak to jest dlatego — rzekł — że się kierujecie własnym rozumem. A mnie nikt nawet nie spytał, co robić!

— No więc, co mam robić? — spytał go ojciec niechętnie.

— Ani trucizna, ani chłopcy z psami, ani żadne inne głupstwa! — zawołał dziadzio, oburzony do głębi. — Tutaj trzeba sprowadzić czabana z fletem! Wszyscy zamilkli przy stole.

— ...z fletem? — zawołałem zdziwiony.

Zabrzmiały śmiechy. Nikt nie wierzył w przesady starych ludzi.

— Nasz wiek to jest wiek chemii i elektryczności! — zawołał mój korepetytor i dodał: — A nie zabobonów! Trzeba iść z postępem, być nowoczesnym!

Dziadzio wstał, widocznie zły, i wyszedł wołając:

— Róbcie sobie, co chcecie! Dajcie mi święty spokój!

Na drugi dzień, gdy znalazłem się na *odaży*, zobaczyłem, że ze spichrza zabrano ziarno, wpuszczono zaś tam stado owiec. Stałem jak wryty na ten widok, gdy tymczasem owce zaczęły pobekiwać, w nadziei że je wypuszczą.

— Wańka! — zawołałem zaintrygowany. — Powiedzież mi, co tu się dzieje!

Wataha chrząknął, poskrobał się w głowę i zaczął głosem profesora:

— Owce to stworzenia strzygące, nie? Wysoką trawę zamieniają w dywan, nie? Więc tu... co jaki szczur wychyli się z jamy, to one cap! Odgryzają mu głowę!

Zaskoczony, rzuciłem się na ziemię, obserwując niezliczone owcze nogi i wolną między nimi przestrzeń. Tymczasem nadjechał dziadzio Asłań, opowiedziałem mu więc, jaki to sposób walki ze szczurami wynalazł Wańka.

— Ja mu pokażę! — krzyknął dziadzio oburzony. — A ty nie bądź taki łatwowierny, nie wierz w pierwsze głupstwo z brzegu! Ja mu uszu natrę!

— Więc cóż tu robią te owce? — spytałem zaskoczony.

— On zerwał podłogę, nasypał gliny i owce ją kopytkami ugniatają! Rozumiesz?

Ale ja już byłem ostrożny:

— To czemu nie sprowadził koni? — zawołałem, mając na względzie maksymę: „Jak bujać — to my!”

Dziadzio wzruszył ramionami i rzekł poważnie:

— Ja ci dałem wytłumaczenie. Teraz ty sam domyśl się, czemu owce są lepsze od koni.

Nie ruszyłem się z miejsca aż do obiadu, kiedy przyszedł czaban z psami i zabrał całe stado w pole. Ukazała się dobrze ubita kopytkami glina, chropowata jak świńska skóra pod siodło. Spróbowałem ją paznokciem: była twarda jak zaprawa murarska!

Mineło kilka dni. Rzeczywiście, wydawało się, że szczury znikły. Ale wnet nauczyły się glinę dziurawić i wszystko wróciło do dawnego stanu. Wańka uzyskał więc tylko zawieszenie broni.

Po kilku miesiącach ojciec sprzedawał zboże, spichlerz opustoszał i problem szczurów stracił na znaczeniu... tymczasem. Aż do następnego razu.

### **Buhaj batiuszki**

W głębi parku wznosił się białawy kamienny mur. Gdy wdrapałem się nań, mogłem zobaczyć z góry białe ściany cerkwi i opodal dom popa. *Batiuszka* był człowiekiem roslym i silnym, twarz miał okoloną ciemną brodą. Nosił czarną suknię wyciętą pod szyją, z długimi kloszowymi rękawami, z których jak z leja wystawały ręce. Gdy coś komuś tłumaczył, podobny był do wielkiego nietoperza machającego skrzydłami. Jego córki Masza i Nina często zachodziły do nas, rozmawiały z ciocią Modzią o sprawach domowych, z nauczycielką o lekcjach, bawiły się ze mną. *Batiuszka* umiał grać na fortepianie i gdy tylko zaczął, rozpalał się do tego stopnia, że trudno mu było skończyć. Pięknie ubrane popadianki przychodziły też do nas na bale i zabawy i zostawały do późna; odchodziły do domu, gdy ja już spałem. Korepetytor Toki uważał je za „wulgarne” wsiowe gęsi i twierdził, że polkę węgierkę musiały zawsze zaczynać od pieca, bo inaczej myliły im się kroki.

Pop miał buhaja — wielkie, potężne zwierzę. Chłopi zamawiali u niego datę i godzinę dla swoich krów, przyprowadzanych przeważnie na tę specjalną wizytę przez chłopców lub dziewczęta. Gdy krowa przechodziła przez bramę, Masza przerywała nasze zabawy i szliśmy razem zobaczyć, „jak to buhaj robi”. Siadając na werandzie, nieskrępowani, z całą prostotą, z jaką traktuje się te sprawy na wsi, przyglądaliśmy się „skandalicznej” scenie. Przedsta-

wienie zaczynało się od *plimbare*: ruszała naprzód dziewczyna z krową, a za nią pop z buhajem i chodzili w kółko po podwórzu, tak aby buhaj poczuł krowę.

— Uwaga! — wołał pop po chwili. — Buhaj już gotów!

Byk stawał dęba i pokrywał krowę.

Czasem pop się złościł i krzyczał na dziewczynę:

— Cóż ty robisz! Stoisz jak głupia! Obróć krowę; tak jak jest, buhaj nie da rady!

Po skończonej pierwszej „rundzie” trzeba było trochę poczekać, aby buhaj odpoczął; musiał bowiem drugi raz pokryć krowę, gdyż chłopci chcieli mieć pewność, że krowa będzie cielna. Buhaj wracał potem do swojej obory, a krowa, przywiązana do pala w płocie, odwracała za nim łeb i porykiwała smutnym głosem.

— Patrzcie! A to ci bezwstydnica! — wołał pop, niby to oburzony, niby ubawiony. — Teraz zakochała się w swoim mężu! Chciałaby jeszcze raz!

Dziewczyna, zanim odwiązała krowę, odwracała się bokiem do nas i rozplątywała węzełki na chustce, z której wreszcie wyciągała kilka miedzianych monet dla popa.

Masza i ja spokojnie wracaliśmy do przerwanej partii halmy.

## Dezerterzy

Co roku w Tyrnowie zjawiała się komisja wojskowa i ogłaszała asente-runek młodych mężczyzn w wieku poborowym. Oficerowie mieszkali w pałacu, podoficerowie zaś po domach na wsi. Urzędowali w szkole przy prostych sosnowych stołach, pościąganych skąd się dało, przed którymi defilowali młodzi Mołdawianie, podając swe imiona i nazwiska, legitymując się metrykami chrztu. Oglądał je z niedowierzaniem wielki sierżant o twarzy koloru buraka, z długimi, czarnymi wąsami. Po czym chłopcy, całkiem nadzy, poddawani byli oględzinom lekarskim. Lekarz oglądał ich powierzchownie, kazał przysiąść i wymachiwać rękami, aby zbadać sprawność fizyczną młodych ludzi. Tak przesuwali się jeden za drugim, zastaniając pachwinę skrzyżowanymi rękami, zdenerwowani, zastraszeni. Raptem jakiś sierżant wołał gromkim głosem:

— Rekruci! Baaa-cność!

Okrzyk ów zmuszał chłopców do wypięcia piersi, przyłożenia rąk do uda w miejscu, gdzie w ubraniu jest szew spodni, i do odsłonięcia tego... co zakrywali.

Wojskowi byli w dobrych humorach. Pochodzili przeważnie z głębi Rosji i mamałgyi nie jedli. Ale nieraz widziałem, jak popijali czerwonym mołdawskim winem pajdę chleba z bryndzą na śniadanie. Mołdawianie byli dla nich narodem mało znanym, prawie egzotycznym; być może to właśnie pobudzało ich do dowcipnych lub złośliwych uwag:

— Patrzcie na tego, co ma nogi w „o”! — wołał któryś i dodawał: — Ten będzie mógł dosiadać żrebne klacze!

— Do kawalerii! — wołał drugi, wpisując rekruta do rejestru. — A ten! Ależ ma długie łapy, dłuższe niż nogi! — i dorzucał: — Będzie lepiej pracował, niż chodził!



— Do saperów! — decydował sierżant.

Następny był czarny, niski i tak przerażony, że aż ślaniał się na nogach.

— Cha! Cha! Cha! — śmiali się wojskowi. — Ten tak idzie, jakby był na pokładzie statku podczas burzy!

— Do marynarki! — zapisywał sierżant.

Teraz przeszedł chłopiec odznaczający się szczególnie rozwiniętymi narządami płciowymi.

— Do stadniny! — zawołał sierżant. — Na rozplód!

Byłem zachwycony tymi dowcipami i roztrącając rekrutów, z których wielu dobrze znałem, przesmyrgiwałem się między nimi, krążąc po sali. Wybuchnąłem śmiechem.

— Czekaj, czekaj! — rzekł raz Gawryło do mnie. — Za kilka lat ty sam tu staniesz nago i wtedy... będziemy się śmiali my!

Niektórzy Mołdawianie woleli uchylić się od służby wojskowej i zamiast stawić się przed komisją — znikali. Nie było w naszej okolicy gór z jaskiniami ani wielkich lasów, gdzie by dało się ukryć. Nie można jednak wybierać sobie doskonalszego schowka niż pole słoneczników lub kukurydzy. Płonące pod słońcem kanikuły, zostały w mojej pamięci niezliczone słoneczniki — jako typowy obraz i symbol besarabskiej ziemi. Stały zwarte, potężne, wysokie, piękne... Pole słonecznikowe wyglądało jak zielony ocean, nad którym pieniały się fale złota i ognia. Widziane pod światło, pole było ciemnozielone, gdy zaś stanąć plecami do słońca — wydawało się jak morze płomieni. Setki i tysiące kwiatów, wielkie tarcze środkowe i małe boczne, które ją otaczały jak dzieci ojca, patrzyły w jednym kierunku, jakby zahipnotyzowane, wprost w samo słońce. Obracały się powoli na łodygach, śledząc pozorny ruch tego wielkiego słonecznika na niebie, i wieczorem patrzyły z nostalgią na zachód, gdzie umierało światło na horyzoncie. Ranek zastawał je już obrócone na wschód, gotowe do oddania hołdu bogowi nieba, w chwili kiedy pełen chwały wznosił się nad horyzontem.

Rekruci, którzy ukrywali się na tych ogromnych polach, biegli między słonecznikami starając się ich nie dotykać, aby nie zdradzić swojej kryjówki. Te prawdziwe lasy słonecznikowe ciągnęły się nieraz kilometrami i niełatwo było się domyślić, gdzie są w danym momencie dezenterzy. W nocy spali na siennikach z liści, w dzień obgryzali kaczany młodej kukurydzy, siedząc w świeżym, pachnącym cieniu.

Kiedy sierżanci odkryli ten sposób ukrywania się, rzucili się w słoneczniki i kukurydzę w pościgu za uciekinierami. Nie było to łatwe zadanie. Szorstkie liście kukurydziane boleśnie cięły skórę i po kilku godzinach ściągający wracali dotkliwie podrapani i pokaleczeni — bez rekrutów. Zazwyczaj dezenter ukryty w polu słoneczników czy kukurydzy był uważany za straconego. Gdy chciał, zbliżał się do rodzicielskiej chaty w nocy i zaopatrywał w potrzebną mu żywność. Po kilku dniach komisja asenterunkowa opuszczała Tyrnowo, dezenterzy zaś zyskiwali rok spokoju i na żniwa pokazywali się już w domu. Po wyjeździe wojskowych musieli jeszcze się liczyć z *pristawem* i *uradnikiem*, ale ci urzędowali daleko, mylili jednego Mołdawianina z drugim i w gruncie rzeczy nie przywiązywali wielkiego znaczenia do tej sprawy. Łatwo było wykręcić się od ich dozoru. Po kilku miesiącach sprawa szła w zapomnienie.

I życie w naszym wielkim, szczodrym kraju płynęło dalej spokojnie.

## Wyprawa do Mohylowa nad Dniestrem

W nowym ubraniu, w kapeluszu słomkowym, usadowiłem się na poduszkach tylnego siedzenia naszego czarnego faetonu. Wszyscy wyszli przed dom, aby mnie pożegnać, dawali mi ostatnie rady i instrukcje, Lola nawet zaczęła popłakiwać; wyjeżdżałem w podróż prawie całkiem sam, w towarzystwie tylko Jukuba, który miał być stangretem i moim opiekunem. Nie zwracając uwagi na przedłużające się pożegnanie, Jakub wylaż na kozioł, potrząsnął biczyskiem w powietrzu, szarpnął lejcami, zawołał: — Hajda! — i... straciłem równowagę, opadając na siedzenie. Powóz ruszył. Minęliśmy bramę, okrążyliśmy *rypę* i wnet Skajany stały się już tylko małą plamką zieleni na szarym horyzoncie. Byłem zachwycony. Nigdy jeszcze nie pozwalano mi podróżować tak daleko, i to prawie samemu. Rozsiadłem się na tylnym siedzeniu, jakbym był ważną osobistością. Z boku kozła połyskiwała rączka hamulca; mogłem kazać hamować, gdyby mi się zachciało. Rozgarniając wysokie i suche już trawy na mało uczęszczanej drodze, konie szły długim kłusem. Koła toczyły się po gładkiej, ciemnej ziemi, nie było rowów ani dziur i powoli konie same przeszły z kłusa w galop. Jakub napiął lejce, żeby je powstrzymać.

Głosem pełnym powagi zawołałem:

— Zostawcie, niech idą galopem, skoro mają ochotę! — i... Jakub mnie usłuchał!

W tym momencie wyskoczyły dwa zające, prawie że spod kół. Zacząłem pilnie przyglądać się polom i drodze. Na prawo ukazały się w wądołach słone łąki, gdzie wypędzano na wypas stado baranów przeznaczonych na rzeź, gdyż słona pasza nadawała ich mięsu wykwintny smak. Dalej znów poderwały się dropie, spłoszone naszym zaprzęgiem, i szybko bijąc skrzydłami wzniosły się w powietrze z wyciągniętymi nogami. Po chwili ujrzałem jakieś drzewa obcięte w pół wysokości i obciążone ogromnymi gniazdami z patyków i gałęzi. Sztywne i hieratyczne stały na nich białe-czarne bociany, podczas gdy inne zataczały koła i wyciągały naprzód czerwone nogi, aby ułatwić sobie lądowanie. Zaczęły mijać monotonnie wiorsty i godziny. Słońce grzało zdrowo, nie można było dotknąć czarnej, lakierowanej skóry; piekła jak kuchenna płyta. Wreszcie ukazała się na horyzoncie czarna linia, przestębnowana regularnie słupami telegraficznymi. Zobaczyłem w dali smugę dymu: właśnie zbliżał się pociąg. Po chwili było widać już maszynę, na którą z uwagą patrzył Jakub, zmarszczywszy brwi.

— Dobry kaganiec nałożono tym czarnym bestiom! — zawołał. — Ani jednej iskry już nie zobaczysz, bo dym wpada do kąpieli wodnej w kominie, zanim maszyna go wypłuje!

Zbliżyliśmy się do przejazdu. — Hou! Prrr! — Jakub zatrzymał zaprzęg, bo bylibyśmy wpadli wprost na zderzaki lokomotywy. Ale pociąg... co się działo z pociągiem? Bo pociąg... stał na miejscu! Maszyna wyrzucała dym z komina, kręciły się koła, pracowały korbowody, syczała para... a pociąg nie posuwał się naprzód! Przejęty do głębi tym niezrozumiałym zjawiskiem, wyskoczyłem z powozu i zacząłem biec wzdłuż toru. Jakub, przerażony, wołał na cały głos, żebym zawrócił, ale ja już byłem przy lokomotywie. Owionął mnie zapach oliwy i dymu, łydki parzyła mi para; z łoskotem pracowały tłoki, pociąg zaś stał w miejscu. Zobaczyłem wtedy coś dziwnego na ziemi, rodzaj dywanu rozciągniętego w poprzek toru... dywan falował i mrowił się

tysiącem żywych istot i wciąż posuwał się naprzód! Była to migracja, wielka migracja szarańczy! Z roznamiętnionych tułowi wyciekała oleista ciecz, na której ślizgały się koła lokomotywy, bezsilne mimo całej potęgi pary. Maszynista manewrował lewarkami, zwalniał bieg, to znowu go przyspieszał i gdy zobaczył mnie, gapiącego się z głową zadartą do góry, zawołał po mołdawsku:

— *Bajat!* Narzucaj mi ziemi pod koła!

— *Job twoju...!* — wrzasnął Jakub zdyszany za moimi plecami. — Niech ci ją rzuca twoja własna matka! — A potem do mnie: — Chodź! Musimy jechać dalej! Robi się późno!

Ale ja już się rozpędziłem. Zacząłem rzucać grudy na szyny. Zdjąłem marynarkę, napełniłem ją ziemią jak zwyczajny worek i przydźwigałem na tor. Maszynista zamknął dopływ pary, patrzył z góry, jak pracuję, i rzucał mi rozkazy:

— Prędko! Więcej! Dzielnym chłopiec!

Kilku mężczyzn wysiadło z pierwszego wagonu i zaczęli mi pomagać. Narzucaliśmy wreszcie dość ziemi na pełzającą szarańczę i maszynista dał ostrożnie pary. Napięły się korbowody i zasapała ciężko maszyna, ślizgając się jeszcze raz i drugi. Drgnął pociąg i posunął się trochę naprzód. Podkładaliśmy grudy ziemi bez wytchnienia i wreszcie, sapiąc jak zadyszany wół, przywarła lokomotywa do szyn i ruszyła powoli, ale ruchem ciągłym. Podniósł się wrzask pasażerów, którzy wysiadłszy, by lepiej przyjrzeć się naszej pracy, teraz bali się, że zostaną opuszczeni na stepie. Wsiadali w biegu, zatraskując z hałasem drzwiczki. Maszynista wychylił się nad poręczą i krzyknął do mnie:

— Dzielnym Mołdawianin! Gdybym miał rubla... — pomacał się po kieszeni i rzucił mi paczkę machorki. Jakub zaraz mi ją odebrał.

Lokomotywa stała już na czystych szynach i gdy maszynista dał ponownie pary, pociąg ruszył bez poślizgu. Stałem na torze, zadowolony, spocony, zachwycony i zziębnięty, podczas gdy wagony przesuwwały się przede mną. Wszyscy pasażerowie byli przy oknach. Niektórzy kiwali do mnie i coś wołali, ktoś rzucił mi ogórka, jakieś dziewczęta parę morel. Minął mnie ostatni wagon, zaczął maleć oddalając się szybko; po chwili pociąg zniknął na horyzoncie. W drżącym od upału powietrzu została smuga dymu, znacząca drogę niewidocznej już lokomotywy. Konie stały z opuszczonymi łbami, ale zaraz je podniosły, gdy poczuły, że wsiadamy do powozu. Znowu zaczęły się przesuwac po obu stronach wielkie poacie stepu, pola kukurydzy, słoneczników i żółciejącego już zboża. Prokus i Krakus biegły lekkim kłusem, jakby nie czuły ciężaru powozu. Wyglądały na wypoczęte, zadowolone i wesołe. Od czasu do czasu Prokus robił swoją znaną sztuczkę: podnosił wysoko anglicyzowany ogon, z rozwianym włosiem, jak sztandar, potem z hukiem nieomal armatnim wypuszczał gazy. Jakub czuł się odpowiedzialny za ten brak wychowania i nawet teraz, gdy byliśmy sami, odwracał się w moją stronę i tłumaczył mi, jakbym tego nie wiedział, jak gdyby chciał usprawiedliwić swego ulubieńca: — *Prokus diełajet fokus!* — Przechodziły godziny. W zasadzie miałem przeglądać lekcje, aby lepiej przygotować się do czekającego mnie egzaminu. Ale... o ile przyjemniej było błędzić wzrokiem po otaczających polach, po horyzoncie...

Wyciągnęliśmy butersznytę przeznaczoną na obiad. Na prawo ukazało się pole maku, na którym między łysymi główkami widniały jeszcze kolorowe kwiaty. Konie same przeszły w stępa. I znowu mijały godziny. Zaczął się step bezkresny, bez jednego drzewa, bez zabudowań, płaski, nieograniczony. Pod

wieczór Jakub postanowił sprawdzić, która godzina. Była to operacja długa i skomplikowana, i do tego odbywała się w tradycyjnym porządku, stanowiącym prawdziwy rytuał. Najpierw Jakub włożył bat do tulejki koło kozła; przełożył lejce do lewej ręki; prawą zawinał okrągłym ruchem w powietrzu i wyprostował tułów; wciągnął brzuch, aby zwolnić wełniany pas, który nosił na spodniach, pod kamizelką; włożył rękę za pas, grzebiąc pracowicie w jego głębinach; wreszcie twarz jego przybrała wyraz triumfu; podniósł rękę — błyszczała w niej ogromna metalowa cebula, wypolerowana ciągłym tarcieciem pasa. Był to jego sławny zegarek. Na cyferblacie miał wymalowaną lokomotywę i był tak gruby, że nie mieścił się w byle jakiej kieszeni. Ojciec nazywał go żartobliwie „cebulą Jakuba” i wszyscy się z niej podśmiewali, nie bez odrobiny zazdrości. Bo... ta cebula chodziła jak chronometr astronomiczny! Wszystkie zegarki w naszym domu regulowano według godziny na Jakubowym chronometrze. Konie oglądały się dyskretnie. Dobrze znały ceremoniał „patrzenia na godzinę”. Potrząsając zegarkiem, Jakub zawołał:

— Już jest szósta! Nie dociągniemy dziś do przewidzianego noclegu!

Złote światło skłaniającego się ku horyzontowi słońca rumieniło step i drogę jak wielkanocną babę w piecu. Spływał na nas spokój, łagodne uczucie zadowolenia. Droga wyznaczona na stepie kołami pojazdów, gładka i prosta, znaczyła się dwoma czarnymi równoległymi smugami, po których nasz powóz toczył się gładko i cicho jak na gumach. Słońce zaczęło zachodzić. Nie spotykaliśmy wioski ani zabudowań, mimo to nie pomyślałem ani razu, gdzie będziemy spali. Mohylów był jeszcze daleko i Jakub poderwał konie do kłusa, aby gdzieś jeszcze przed nocą dojechać. W powietrzu czuć było zapach dymu, zdawało się, że do wsi już jest niedaleko. Po chwili ujrzeliśmy pola kukurydzy i wreszcie, koło skrzyżowania dróg, płonące ognisko. W naszym bezdrzewnym kraju widok palących się grubych bierwion był czymś niezwykłym. Jakub zatrzymał konie, które zaczęły cicho rzeć pojawiający się dojechaliśmy do końca etapu i tu dostaną jeść i pić. Dookoła ogniska poruszały się postacie w dziwnych strojach. Na trójnogu bulgotało coś w czarniawym kotle, obok zaś podskakiwały i bawiły się dzieci.

— To Cyganie! — rzekł półgłosem Jakub do mnie. — Dranie, pocięli koromysło studni i gotują teraz na nim swoje świństwo! Zabierajmy się; ci to wypróżnią nam kieszenie!

Zobaczyłem smukłe kobiety w kolorowych spódnicach. Z uszu zwisały im wielkie kolczyki, rzucające złotawe błyski, spod spódnic migały opalone stopy. Zbliżył się jeden z Cyganów i grzecznie zaprosił nas, abyśmy siedli z nimi przy ognisku i spróbowali stawy z kociołka. Mimo protestów Jakuba, zaintrygowany, usiadłem przy ogniu i dostałem kubek zupy od młodej Cyganki. Chcąc nie chcąc Jakub przyłączył się do nas, powarkując coś pod nosem. Cyganie przynieśli wyłamaną na sąsiednim polu kukurydzę i zaczęli piec w żarze młode kaczątki. Teraz nie mógł już Jakub w żaden sposób oderwać mnie od tak pociągającej kolacji. Młoda kukurydza, pieczona w ognisku, lekko pachnąca dymem, posolona do smaku, to było coś cudownego! Jadłem z entuzjazmem, wdychając rozkoszny aromat, ale gdy pokazała się butelka wina, odmówiłem grzecznie, ofiarując w zamian beczuleczkę bryndzy, którą wieźliśmy przymocowaną obok kufra na tylnych resorach. Raptem zabrzmiały krzyki i przekleństwa Jakuba:

— *Job twoju mat'!* sukinsyny! Ja wam pokażę!

Obejrzałem się. Na polu widniał szeroki szlak stratowanej kukurydzy, zrobiony przez nasz zaprzęg. Prokus i Krakus wybrały się na poszukiwanie

najdelikatniejszych kaczanów, także pewnie zachęczone pięknym zapachem pieczonego przysmaku. Cyganie wzięli do rąk skrzypce i bałałajki i jakaś młoda dziewczyna zaczęła tańczyć. Jakub porwał się na nogi, ciągnąc mnie za rękaw:

— Jedźmy! — szepnął mi do ucha syczącym głosem. — Drogo nas będzie kosztować ta cygańska wieczornica! A czego nie zażądają otwarcie, to ukradną! — I dodał na głos: — Trzeba jechać, muszę jeszcze chłopcu znaleźć nocleg przed zmrokiem!

— Cha! Cha! Cha! — zabrzmiały śmiechy. Dziewczyna przestała tańczyć i przyjrzała mi się z wyraźnym zdziwieniem.

— A to panicz nie może spać pod gołym niebem? — spytał starszy Cygan z bałałajką. Zrobiło mi się wstyd. U nas „panicz” znaczyło tyle, co „głupi i zarozumiały młodzieniec”.

— Cha! Cha! Cha! — zaśmiałem się teraz ja, żeby pokryć zmieszanie. — Ja mogę spać byle gdzie! To stary Jakub tęskni do wygodnego łóżka! — I rzekłem wprost do Jakuba: — Jedźcie sami, ja tu zostanę na noc!

Znów zabrzmiała muzyka i gibka dziewczyna tańczyła dalej. Byłem przyzwyczajony do wieczornych koncertów, które odbywały się u nas w domu po kolacji. Ognisko zaczęło przygasać i coraz silniej jarzyło się wygwieżdzone niebo. Wielka Niedźwiedzica obracała się powoli i zbliżała do horyzontu. Wszyscy na stepie umieliśmy odczytywać z gwiazd godzinę; ale sam nie wiem, kiedy zasnąłem; słyszałem jeszcze przez sen, jak Jakub wyprzęga konie. Zbudziłem się, wyciągnięty na wznak, koło wygaszonego ogniska. Jakaś litościwa ręka podłożyła mi pęk kukurydzy pod głowę. Dniało. Dookoła leżeli Cyganie w dziwacznych pozycjach. Cyganki zaś spały pod kocem. Przypomniałem sobie raptem zdarzenia dnia poprzedniego. Usłyszałem chrapanie Jakuba, rozłożonego wygodnie obok na końskiej derce. Zbliżyłem się po cichu i delikatnym ruchem włożyłem mu rękę pod kamizelkę, za wełniany pas. Porwał się na równe nogi, zbudzony nagle, gdy poczuł się zaatakowany w miejscu, gdzie schowany miał swój cenny chronometr. Nic nie mówiąc, poszliśmy po konie, które pasły się w kukurydzy ogryzając kaczany z równym apetytem jak wczoraj wieczór, i zaprzęgliśmy je do powozu. Ruszyliśmy w drogę, gdy słońce zaczęło złocić równinę i postaci śpiących Cyganów. Znów zaczęły przesuwają się połacie stepu i pola uprawne. Koło jedenastej Jakub zatrzymał konie:

— Zjemy mamałygi z bryndzą! — rzekł, cmokając z apetytem.

Wyciągnął kociólek z mamałygą, ale bryndza... gdzież była beczuleczka z bryndzą? Znikła. Ukradli ją Cyganie.

Po południu ujrzelśmy na horyzoncie pas zielonej roślinności; zbliżaliśmy się do Dniestru. Rzuciłem się na książki i zacząłem je przeglądać, przypominając sobie o zbliżającym się egzaminie. Po chwili ukazał się jar, zniżający się ku rzece, pomiędzy nasypami z dziwnego, oślepiającego niezwykle białością piasku, którego zaraz nabrałem do kieszeni — z myślą o moich zbiorach geologicznych. W dole, między drzewami, przeświecała woda. Jakub założył halnę i stanął pod pierwszym rosochatym drzewem. Otworzył kufer i zaczął z niego wyciągać rzeczy. Po chwili, gdy przebrany od stóp do głów znów wsiadłem do powozu, nikt nie poznałby w tym zapiętym pod szyję, w granatowo-zielonym mundurze z błyszczącymi guzikami, młodym człowieku — pospolitego chłopca ze Skajan, który rozdzielał kopniaki między towarzyszy zabaw lub harcował nieznużenie na włochatym, rudawym kałmuku po równinach cofającego się już wtedy stepu.

## Zaczarowany flet

Ojciec był zrozpaczony; szczury zżerały wymłócone, oczyszczone i odwieane już ziarno, złożone w stodole i przeznaczone na sprzedaż.

— Straty są ogromne! — narzekał. — Trzeba widzieć, ile pudów jest zdolna zżreć ta banda gryzoniów! Nie wiem już co robić! A one mnożą się coraz więcej i więcej!

Nikt nie wiedział co robić. Wydawało się, że nie ma żadnej rady. Słuchaliśmy tych narzekań ojca, zmartwieni, z pospuszczanymi głowami... Nie ośmielaliśmy się już występować z radami czy pomysłami. Nie było wyjścia, zdawało się, z tej sytuacji.

— To jest plaga, tak jak w Starym Testamencie! — orzekł pop.

Jedynie dziadzio Asłan siedział milczący i nic nie mówił. Jak dotąd, pozwalał nam robić, cośmy chcieli... i przyznawać się do naszych niepowodzeń. Wydawało się, że cała ta sprawa go nie interesuje.

— Nie odważa się biedak — westchnęła ciocia Modzia — bo widzi, że nikomu się nie powiodło. Nie ma ratunku.

Ale... pewnego wieczora, gdy siedzieliśmy zającąc mamaligę, dziadzio powiódł po obecnych spojrzeniem, a gdy ściszyły się rozmowy przy stole, podniósł rękę i rzekł:

— Rozmawiałem z Leonem. Od tej chwili ja zajmuję się szczurami!

— Dziadziu! Co zrobisz? — zapytałem, nie mogąc wytrzymać z ciekawości.

— Słuchaj, Stasik! Wy próbowaliście środków „nowoczesnych”, o jakich piszą w książkach, z których się uczysz. Ja znam rzeczy całkiem inne; nauczyłem się ich nie z książek, lecz od mego ojca, twojego pradziadka. Tam, na naszym Kaukazie, wszyscy szanują białe głowy starszych, tak jak szanuje się ośnieżone niebosiężne szczyty. Nie powiem wam, co postanowiłem zrobić, zanim nie zobaczycie sami, co z tego wyjdzie.

Siedziałem jak na rozpalonych węglach; ciekawość mnie pożerała po tym wstępie. Złapałem dziadzia za jego ogromną rękę i targałem nią, starając się coś z niego wydobyć. Wreszcie dziadzio rzekł wstając:

— Niedługo będzie pełnia księżyca, i wtedy... — po czym nie dokończywszy zdania, wyszedł.

Mijały dni. Patrzyłem co pewien czas na kijowski kalendarz; czarne kółko wskazywało, że nie ma księżyca. Potem nadszedł nów i rósł powoli, aż pewnego dnia pokazało się kółko całkiem białe. I wtedy...

— Zobaczysz wtedy rzecz niesłychaną — powiedział do mnie Munio z tajemniczą miną. Poza tą deklaracją Munia nie było żadnych innych oznak, że coś się przygotowuje. Dziadzio gdzieś pojechał, ale rychło wrócił. Wydawało się, że sprawa szczurów poszła w zapomnienie. Ja też, między rannymi lekcjami i popołudniowymi zadaniami, między zabawami i rozjazdami, zapomniałem o nich zupełnie. Aż...

Pewnego ranka zauważyłem, że dziadzio nie zjawił się przy śniadaniu. Był to moment, kiedy zgodnie z tradycją przy stole nakrytym kremowym obrusem zbierała się cała rodzina. Kolor obrusa miał swoje znaczenie i gdybym zasnął i raptem się obudził, to nie spoglądając na zegarek, po kolorze obrusa jedynie poznalibyśmy, która jest godzina: kremowy — rodzinne śniadanie; biały lniany — obiad; różowy — podwieczorek; szary gruby — kolacja; wyszywany czarny i czerwony na białej kanwie — śniadanie z gośćmi; bia-

ły jedwabisty — proszona kolacja; itd. Owego dnia obok pszennej złotawej bułki na małym półmiesieczku leżał na stole czarny, lśniący bochenek żytniego chleba i biała *frendzola*. W glinianych miseczkach były bryndza i masło, a na małym stoliczku mruczał samowar, uwieńczony brązowym czajnikiem. Wszystko to sprowadzało zazwyczaj dziadzia do jadalni, ale dziś... nie było go!

— Gdzie jest dziadzio? — pytałem wszystkich zaintrygowany.

Nikt nie umiał dać mi odpowiedzi na to pytanie. Ojciec miał dziwną minę. Poczułem, że to coś znaczy. Wreszcie, około jedenastej, pokazał się dziadzio, ziewając, przeciągając się i wydając pomruki, które ojciec nazywał „lwimi”. W jadalni już nie było nikogo, ale wyszedłszy zza żywopłotu pokazała się Masza popadianka.

— Au! Uuuuh! — ziewał dziadzio. — Masza! Nalej mi szklankę herbaty! — I ukroił sobie kromkę *frendzoli*, na którą nałożył grubą na dwa palce warstwę bryndzy. Roznosiła mnie ciekawość, ale dziadzio dopóki sobie nie podjadł, nie puścił pary z ust.

— Biedne szczury! — westchnęła Masza. — Ojciec mówi, że je też Bóg stworzył!

— Tak, ale naszą pszenicę to zżerają, nie? — warknął dziadzio. — Czemu to twój Pan Bóg ich nie pilnuje, żeby nie robiły szkody i co innego jadły? — zapytał i przeszył popadiankę czarnym spojrzeniem jak *szytykiem*.

— A cóż mają jeść, biedne boże stworzonka? — labidziła dalej popadianka.

Ale dziadzia męczyło mówienie z pełnymi ustami. Przełknął i oświadczył kategorycznie:

— Nie nudźcie mnie! Kto chce usłyszeć, co zrobiłem ze szczurami, niech idzie do winogradowej altany w parku. Jak zjem, to wam wszystko opowiem!

Rzuciliśmy się do altany, gdzie po chwili zebrała się spora grupka ciekawych osób, ze mną na czele. Podskakiwałem z niecierpliwości, przestępowałem z nogi na nogę i zacząłem wrzeszczeć: — Już idzie dziadzio! Już idzie! — gdy tylko go ujrzałem, wyglądając spod między winogradowych liści. Dziadzio wszedł do altany, rozejrzał się uważnie, bo z osłepiającego słońca wszedł do cienistego wnętrza, i usiadł na ławce, gdzie zaraz zrobiliśmy dla niego miejsce.

— Wiecie, co to jest *flaut czobanesk*? — rozpoczął dziadzio swoje opowiadanie. — Jest to melodyjny — i ważny w naszym życiu — instrument, na którym trzeba umieć grać, aby z niego całe piękno, całą magię wydobyć. Młodzi tego już nie potrafią, ale jest jeszcze taki stary czaban, który potrafi zmienić nasz zwykły świat w zaczarowany — sztuką swego magicznego fletu. Muzyka zawsze była ważnym czynnikiem mołdawskiego życia i towarzyszyła ludziom w głównych momentach. Jeszcze dziś jest nieodzowna na świętach i weselach, ale dawniej także witano gości piękną muzyką, grano, gdy po podróży wracał ojciec rodziny, gdy kobieta leżała w bólach porodu, gdy ktoś był chory; i nawet starcowi, na którego już przysłała godzina, muzyką umilano konanie. Muzyka jest sztuką wielką... tajemniczą... magiczną. Melodii ręką nie złapiesz, a bywa ona silniejsza nieraz niż powódź, niż pożar... Pewne melodie, grane w odpowiedni sposób, mogą człowieka z ciężkiego zmartwienia wyleczyć. Inne do wariactwa mogą doprowadzić — tak ludzi, jak i zwierzęta. Mury miasta Jerycha runęły w gruzy, gdy zagrały trąby Jozuego. Są jeszcze czabani, umiejący grać na flicie dawnego boga Pana, albo na *gusli*, otoczeni zasłuchanymi owcami. Znam i szanuję tych stróżów dawnych tradycji, nieraz przy ognisku na stepie podziwiam ich niezwykłą sztukę. Tym razem rzecz

była trudna, trzeba mi było nie lada artysty. Tu nie chodziło o ludzi, ale o szczury, mało znane nam zwierzęta. Znamy szkody, jakie wyrządzają, ale ich samych — nie! Pojechałem więc na poszukiwanie wielkiego *czoban* szeful Syrbuna. Na szczęście istnieje też stepowy telegraf, jedni drugim podają wiadomości, i wnet dowiedziałem się, gdzie on przebywa ze swoimi stadami. To stary przyjaciel; wysłuchał moich kłopotów i przyrzekł mi pomoc, ale trzeba było poczekać na pełnię księżyca z czystym niebem, bo światło księżycowe wzmacnia działanie muzyki. Wczoraj więc przyjechał Syrbun na swoim kałmuku. Pojechaliliśmy razem zobaczyć miejsce, gdzie były szczury, drogę do stawu i rezultaty przygotowań poczynionych według jego wskazówek. Pale były wbite w dno wody, kładki umocowane, łódka przywiązana tam, gdzie miała być. Wróciliśmy na *odaję* i gdy Stasik poszedł spać, zasiedliśmy u stóp sterty, aby porozmawiać spokojnie i zjeść kęs tych specjałów, które Syrbun nosił zawsze w chlebaku: czarny chleb, kozina, bondz trzymany w woreczku z pachnącymi ziołami. Gdy zbliżyła się północ, a księżyc stanął wysoko na ciemnym niebie, Syrbun wstał, zebrał do worka porozrzucone rzeczy, zarzucił worek na plecy i wskazując mi w milczeniu stertę, ruszył ku *odai*. Zgodnie z umową wgramoliłem się, choć nie było to łatwe, na szczyt sterty, by moją obecnością nie przeszkodzić w magicznym obrządku Syrbunowi i móc coś zobaczyć z tej przedziwnej sceny, która miała się przede mną rozegrać. Siedziałem na szczycie sterty, starając się nie zjechać po śliskim zboczu na dół, gdzie ciemna trawa odbijała od jasnej słomy. Byłem cały zamieniony w słuch i wzrok. Straciłem z oczu Syrbuna, ale wnet usłyszałem daleką, delikatną melodię. Temat pełen melancholii trwał, powtarzał się, nabierał co chwila nowych barw, ze smutku przechodził w grozę. Steżałem cały, owładnął mną jakiś dziwny czar i mimo iż trzymała mnie na miejscu ciekawość, nogi zaczęły mi się same ruszać, jakbym chciał zabrać się stąd i iść gdzieś daleko. Całą siłą woli rozwierałem zamykające się powieki i starałem się nie stracić równowagi. Wtem dźwięki stały się weselsze, pojawił się rytm, melodia stała się lżejsza, marszowa. Słyszałem ją coraz wyraźniej. Widocznie flecista zaczął iść, tak, zbliżał się... Wysilałem wzrok, już całkiem przytomny, cały napięty z emocji. Księżyc rozlewał chłodne, srebrzyste światło na szeroką równinę, uwydatniając wszystkie szczegóły. Raptem zobaczyłem Syrbuna. Zbliżał się dróżką od strony stodoły i kierował się w stronę drogi prowadzącej od *odai* do stawu. Szedł tyłem. Grał bez przerwy i co pewien czas robił mały krok w tył. Posuwał się powoli, jakby ostrożnie... jakby ciągnął za sobą ciężki *kar* na cieniotkich szlejach i nie chciał ich zerwać. Był już przed moją stertą, posuwając się tym powolnym krokiem, podobnym do tańca. Dopiero gdy mnie minął, zdałem sobie sprawę z czegoś niezwykłego; za nim, rozciągając się na usianej słomą trawie, płynęło jakby szeroką falą coś w rodzaju żywego kobierca, przykrywając dołki i grudki ziemi. Ciemny kobierzec sunął za Syrbunem powoli, nie odłączając się od niego ani na krok. Były to szczury, myszy i inne Bóg wie jakie gryzonie, gnieźdzące się pod podłogą naszej stodoły, które jak niezliczona horda najeźdźców opuszczały teraz *odaję* i odpływały w dal. Scieśniając szeregi, popychając się nawzajem, depcząc sobie po ogonach, śpiesząc się, aby nie pozostać w tyle, szły setki, tysiące szczurów za głosem magicznego fletu, jakby zahipnotyzowane. Nie odważyłem się oddychać, żeby ich nie spłoszyć. Był to widok niesamowity, coś niewiarygodnego! Ileż wysiłku wkłada Stasik, żeby dosięgnąć jednego, jedynego szczura! A tu, bez kłopotu, bez protestu szły ich tysiące! Szły i szły, tysiącami, jedne za drugimi, posuwając się za czabanem, posłuszne, uważne, na rozkaz pasterskiego fletu. Teraz już



się oddalały i dobiegała do mnie melodia coraz słabsza, coraz dalsza. Ale szczury wciąż płynęły — jak wiosenna rzeka, jak powódź, jak morze. Gdy przeszedł wreszcie ostatni, słoma była zmieciona, trawa zdeptana czy jakby zbrudzona. Miałem ochotę zleść z mojej sterty, bieć za nimi, aby z bliska zobaczyć, co będzie dalej. Ale słowo dane Syrbunowi trzymało mnie na miejscu aż do piątej rano. Patrzyłem więc z żalem, jak się oddala szczurza procesja. Dawno już tajemnicza melodia magicznego fletu rozpląnęła się w dali. Zaczęło dzień. Nie wiem, ile razy wyciągałem zegarek z kieszeni, by sprawdzić godzinę. Raptem usłyszałem wołanie:

— *Domn Astan!* Może pan zejść! To ja, Syrbun.

Zlazłem ostrożnie po śliskiej słomie i wylądowałem przed czabanem.

— I co? Jak poszło ze szczurami? — zapytałem niecierpliwie. — Czy nie złego się nie stało?

— *Nimik, nimik!* — odpowiedział Syrbun spokojnie. — Wszystko udało się doskonale. Nie uratował się ani jeden!

Poszliśmy razem do domu klucznika, żeby się napić czegoś gorącego. Z komina już się kurzyło, znak, że klucznica już wstała. Po drodze tłumaczył mi Syrbun:

— Zwierzęta rozumieją i odczuwają muzykę lepiej niż ludzie. Rozumieją melodię, którą im gram na moim flecie. Melodia im rozkazuje, żeby szły za fletem, żeby szły wszystkie! Flet staje się ich władcą. Woła jak król do swego ludu, żeby opuściły tę ziemię i szły za nim do innej, dalekiej, żyznej i szczęśliwej. Tutaj grozi wam wielkie niebezpieczeństwo, wołam moim fletem, ale ja was uratuję. Chodźcie za mną... Ja was zaprowadzę tam, gdzie wy iść chcecie... i prowadzę je tam, gdzie ja chcę.

Tu dziadzio przerwał na chwilę swe opowiadanie.

— No, a całe to urządzenie na stawie? — zapytałem drżąc z ciekawości.

— Ach, to? To bardzo proste — ciągnął dalej dziadzio. — Szczury szły za Syrbunem aż do brzegu stawu. Gdy on wszedł na kładkę, one szły za nim. W ten sposób wciągnął je daleko nad wodę. Gdy doszedł do końca kładki, Syrbun wskoczył do łódki i oddalił się jednym pchnięciem wiosła. Usiadł w łódce i grał dalej. Szczury, gdy doszły do końca kładki, z przerażeniem zdały sobie sprawę, że są otoczone wodą. Chciały się cofnąć, wrócić na ląd stały. Ale już było za późno. Inne szczury, które szły za nimi i jeszcze nie wiedziały, co je czeka, pchały naprzód, upojone muzyką fletu. Zaczęły więc spadać do wody, tak jak przyszły, jedne za drugimi. Tamte z tyłu pchały i wrzucały do wody te postępujące z przodu za muzyką. Wpadały więc jedne po drugich do wody, czarnej i głębokiej, z kładki zawieszzonej nad przepaścią, gdzie czekała je zguba. Syrbun grał wciąż na flecie zaczarowanym jak anioł śmierci, patrzący bez wzruszenia na zgubę tysięcy i tysięcy istot żywych. Gdy ostatnie szczury wpadły do wody, Syrbun odjął flet od ust i kilkoma ruchami wiosła przybił do brzegu.

Siedzieliśmy jeszcze chwilę bez ruchu, pod wrażeniem tego opowiadania. Raptem porwałem się na równe nogi, krzycząc:

— Dziadziu! Szczury umieją pływać! Na pewno już wszystkie wróciły na odaję!

Dziadzio popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

— Nie pamiętasz, że wszyscy ojca krytykowali za to, że zarybił staw szczupakami? Teraz szczupaki spełniły swój obowiązek. Ze szczurów nie pozostawiły nawet ogonów.

Porwałem się z miejsca i jak strzała pognałem do stajni. Osiodlałem Muca

i w niespełną minutę galopowałem już w stronę *odai*. Z daleka już było widać, że *odaja* wyglądała inaczej niż zwykle. Maszyny stały. Zobaczyłem grupkę osób na środku boiska. Był to ojciec, który rozmawiał z klucznikiem, z watahą, ze spichrzowym. Zeskoczyłem z kałmuka i ciągnąc go za cugle, zbliżyłem się do rozmawiających, pytając:

— To prawda, że już nie ma szczurów?

— Nie ma już ani jednego — odparł klucznik. — To jest coś, czego nikt nie może zrozumieć.

Drzwi stodoły stały otwarte. Pod jej ścianami łążyły psy ze znudzonymi minami. Kury i pantarki grzebały tam, gdzie normalnie nie odważały się zbliżyć w obawie przed szczurami.

— Nic to dziwnego, skoro chodzi o czabana flecistę! — rzekł młynarz. — Zaczarowany flet nie takie rzeczy potrafi.

— Tatarata! Zaczarowany flet! I co jeszcze? — zachnął się wataha. — To są bajki. Zresztą gdzież są tacy niezwykli czabani? Mówi się, że to kiedyś bywało, ale teraz?... — i popatrzył na nas pytająco.

— Można wierzyć w takie rzeczy albo nie — zakończył ojciec. — Ale ja widzę rezultaty. Gdzież się podziały szczury? Zresztą... starszy pan Aslan zna rzeczy, o jakich nam się nie śniło, i udowodnił, że tam, gdzie myśmy nie mogli nic zdziałać, on potrafił sobie poradzić — za jednym zamachem szczury wykończył!

Wsiadłem na Muca i ruszyłem w stronę stawu. Z daleka już były widoczne pale i kładka. Zbliżyłem się do brzegu i zsiadłszy przywiązałem kałmuka do pierwszego pala. Wskoczyłem na kładkę i poszedłem na sam jej koniec. Spojrzałem w dół na ciemną wodę; zobaczyłem kłębowisko zielonych, wydłużonych ciał; płetwy jak noże przecinały połyskującą taflę. To były te przerażające szczupaki. Wykończyły najpierw karpie i inne ryby w stawie. Potem zabrały się do żab, ślimaków, polnych myszy i innych zwierzątek. Wreszcie zaczęły rzucać się na owce, gdy zbliżały się do stawu, aby napić się wody. Sam widziałem raz barana z zakrwawionym nosem, którego koniec odgryzły szczupaki. Patrzyłem uważnie, ale nigdzie nie było widać ani szczura, ani kości, ani skóry nawet. Szczupaki obróciły się głowami ku mnie. Przyglądały mi się z uwagą. Czekają, aż dojdę do końca kładki i wpadnę do wody. Przeszedł mi dreszcz po plecach. W kilku susach dopadłem brzegu, wsiadłem na Muca i ruszyłem galopem sogłówkiem między polami, aby dalej od stawu, od tych szczupaków, których krwiożercze spojrzenia przeszywały taflę wody i здаwały się biec za mną daleko w głąb łądu.

## Wrona i Don Kichote

Szybko upływał wakacyjny czas. Mój korepetytor, którego rodzina mieszkała daleko, został z nami na lato, choć lekcji z nim nie musiałem odrabiać. Czasem zadawał mi pytania, aby pochwalić się moimi wiadomościami przed przyjaciółmi.

— Eee! Nie odpowiem! — nieraz protestowałem. — Teraz mam wakacje!

Po czym podnosił się chór współczujących głosów:

— Biedaczek! Dajcież mu spokój! Przez cały rok się uczy, niechże teraz odpocznie!

Pewnego dnia przyjechał Wania i przywiózł kawałek drewna w kształcie ekierki.

— Popatrz! — zawołał, podnosząc ekierkę nad głowę, abym jej nie mógł dosięgnąć. — Rzucę tym drzewem za lecącym gołębiem i ono potem samo do mnie wróci! Nie wierzysz? No to załóż się. Jeżeli wróci, to ty mi dasz twój magnes stały, a jeżeli nie, to nie. Zgoda?

Ku mojemu zdziwieniu drewno zakreśliło łuk w powietrzu i rzeczywiście samo wróciło. Patrzyłem zdumiony; jak to zrozumieć? Ale Wania mi przetrwał:

— Dawaj magnes! Przegrałeś! Za to teraz wiesz, co to bumerang australijski, za pomocą którego polują tubylcy!

Kiedy indziej znów zabraliśmy się z korepetytorem do robienia łuku. Rozsiadliśmy się na schodach przy wejściu, zasypując wszystko dookoła wiórami. Tatarzy nauczyli mnie robić łuki z jesionowej gałęzi, a z akacji strzały. Podczas gdy z zapalem pracowaliśmy naszymi kozikami, usłyszałem tętent koni i przez bramę wjazdową wpadła na podwórze grupka wojskowych, którym towarzyszył ojciec. Zobaczył wióry na ziemi i krzyknął:

— Czemu nie idziecie na tylne podwórze, tam, gdzie świny?! Tam będziecie na swoim miejscu!

Przerażony korepetytor porwał się na równe nogi, złapał za miotłę i zaczął nerwowo zamiatać, wzniecając tuman kurzu. Śmiejąc się, oficerowie zatykali nosy chusteczkami.

— A nu! — rzekł jeden z nich. — Pokaż ten łuk! — i przejechał palcem po cięciwie. A potem spytał mnie: — I ty potrafisz zestrzelić tę wronę na topoli przy studni? — Widząc moje wahanie, dodał: — Dam ci rubla, jeżeli ją trafisz! Słowo rosyjskiego oficera!

Napiąłem łuk i zacząłem celować. Wrona siedziała wciąż bez ruchu, ale ja widziałem ją to nad, to pod lub obok ostrza strzały, tak mi drżała ręka ze zdenerwowania. Wreszcie puściłem cięciwę i strzała wyleciała ze świstem.

— Parcie! Trafił ją! — zawołał oficer z podziwem. — Masz, bierz tego rubla, słusznie ci się należy! — po czym wszyscy wojskowi weszli do domu razem z ojcem.

Nadjechał Munio i razem z nim poszliśmy poszukać zabitej wrony pod drzewem. Zobaczyliśmy tylko strzałę leżącą na trawie. Munio zbliżył ją do nosa, który choć nie taki jak jego ojca, dziadzia Asłana, był jednak godny prawdziwego respektu, tak ze względu na swój rozmiar, jak i czułość. Obwąchał koniec strzały i orzekł:

— Ta strzała nie dotknęła ani wrony, ani żadnej rzeczy, która jego jest! Wrona uciekła. He, he! Dobrze nabrałeś tego oficerka!

Zrobiło mi się wstyd. Ja przecież nie miałem zamiaru go nabrać! Ruszyło mnie sumienie:

— Zaraz idę tego rubla mu zwrócić! — zawołałem. Ale Munio przytrzymał mnie za rękę:

— Zwariowałeś? Zatrzymaj rubla i nie rób Donkiszota!

Donkiszota? Stałem jak wryty pod wrażeniem tego dziwnego imienia. Połyskiwały na niebie srebrne listki topól koło studni, drżące pod lekką pieszczotą południowego zefiru. W pełnym kurzu i plew powietrzu słońce zapalało złote błyski. Na niskich gałęziach białeły koszule parobków myjących się przy studni. Opadało i podnosiło się koromysło, nadzy do pasa

chłopcy wyciągali wiadra wody i polewali się nią nawzajem wśród śmiechów i pokrzykiwań.

W tej bukolicznej scenerii zabrzmiało po raz pierwszy dla mnie imię nieśmiertelnego bohatera Cervantesa.

### Najwierniejsi poddani cara

Owego roku ukraińscy *srokari* przybyli na Besarabię jak zawsze w poszukiwaniu pracy. Przyjmował ich wataha Wańka, spisywał, wyznaczał kwatery i na drugi dzień błyskały już sierpy i kosy wśród dojrzałych zbóż. Lecz tym razem, po kilku zaledwie dniach pracy, wybuchł konflikt: Ukraińcy zdecydowali, że w ten wtorek nie będą pracować, bo to dzień świąteczny.

— Takie to święto jak ja kobyła! — zawołał oburzony wataha.

Dyskusja się zaostrzyła. Mołdawianie tego dnia pracowali, ale Ukraińcy nie chcieli pracować. Przyszli wreszcie wszyscy przed dom, aby sprawę wyłożyć ojcu. Jeden z nich wyciągnął zza pazuchy jakiś pomiętoszony kalendarz, gdzie rzeczywiście data tego dnia była wydrukowana na czerwono. Ojciec się zdziwił:

— To jakiś podły kalendarz! — zawołał. — Nic niewart!

— Co? Że to podły kalendarz? — zawołał prowodyr oburzony. — Jak pan śmie obrażać naszego łaskawego pana, najjaśniejszego Mikołaja II, cara i władcę wszechrosyjskiego! — mówiąc to odwrócił szybkim ruchem kalendarz i pokazał na okładce portret cara. Po czym, pokrzykując i odgrając się, Ukraińcy odeszli.

Ojciec stał ogromnie zmartwiony. Żeby zboże się nie wysypało, trzeba było się śpieszyć. Dlatego wynajmowało się pracowników przybyłych z daleka; każdy dzień się liczył, gdy słońce przypiekało wysuszoną ziemię.

Następnego dnia przyjechał zaafierowany *pristaw*; zrobiono na ojca donos do policji, że jest czerwonym rewolucjonistą, że obraził osobę cara. Ojciec rozłożył ręce bezradnie.

— To nie o mnie chodzi! — zawołał. — Chodzi o zboże! Ono nie jest ani czerwone, ani białe, ani zielone! Jest już rude od tego słońca i ziarno się wysypuje. Po nocach nie śpię ze zmartwienia, że połowę zbioru się straci, a tu oni jakimś kalendarzem głowę mi zawracają! Przyjąłem do pracy obcych ludzi, którzy chcieli zarobić, bo się śpieszę. A teraz przez nich czas muszę tracić!

*Pristaw* coś bąknął, że donos pewnie da się zatrzymać, wsiadł na konia i pojechał. Ojciec uspokoił się po jego wyjeździe.

Dwa dni później, gdy już Ukraińcy pracowali normalnie i wszyscy zapomnieli o incydencie z kalendarzem, zajechał wielki faeton tyrnowski przed nasz dom. Wysiedli z niego wuj Teofil Antonowicz i mój ojciec chrzestny Władimir Iwanowicz.

— Gdzie ojciec? — spytali mnie widocznie zafrasowani. — Idź! Biegnij go szukać!

Od razu zrozumiałem, że stało się coś poważnego. Ruszyłem galopem i po chwili sprowadziłem ojca do domu. Wuj zaczął coś ojcu tłumaczyć o donosie, o *uradniku*, o *isprawniku*, czego ojciec słuchał bez przekonania. Na koniec roześmiał się.

— Ty się nie śmiejesz! To nie żarty! — zawołał Władimir Iwanowicz oburzony. — Przyjechał specjalnie, żeby ciebie przesłuchać i spisać świadków, inspektor *ochrony*! Ty wiesz, co to *ochrona*? Jeżeli mu się zechce, to jednym ruchem pióra wyśle was wszystkich na Syberię! W policji jest zapisane, żeś się pojawił na Besarabii bez żadnych papierów! Ot co!

Syberia! Zacząłem pilnie słuchać, bo Syberia to był świat moich marzeń. Słuchałem z przejęciem opowiadań tych, którzy tam byli i tłumaczyli mi, co to jest tajga, tundra, wspominali wspaniałe rzeki, jedli *pielmieni*, opisywali piękno Bajkału i widzieli te przedziwne rybki, które raz złowione trzeba trzymać w cieniu, bo na słońcu topnieją i nawet zupełnie znikają, jakby wyparowały!

— Dziadziu! — zawołałem do wchodzącego właśnie dziadzia Asłana. — Ja chcę jechać na Syberię!

Dziadzio najpierw wysłuchał opowiadania o tym niebezpiecznym inspektorze, który miał pokazać się u nas lada chwila. Potem zwrócił się do mnie:

— Dobrze, dobrze! Pojedziesz na Syberię, ale najpierw zrób, co ci powiem. Widzisz ten album w czerwonej okładce na fortepianie? Weź go, idź do altany i wkuju mi sumiennie całą rodzinę cara, wielkich książąt i całą kolekcję portretów, które tam są. Nie ruszaj się z altany, aż po ciebie poślę!

W owym czasie w większości domów rosyjskich znajdowały się takie albumy, gdyż osoba, która by nie знаła imion czy związków pokrewieństwa pomiędzy członkami carskiej rodziny, była uważana za podejrzaną. Siadłem więc w altanie winogradowej i zacząłem wkuwać sumiennie imiona i historię rodziny Romanowów, którą częściowo już znałem, zrozumiałem bowiem, że tym razem to nie przelewki.

Ledwie wuj i lekarz odjechali, pokazał się *urządnik* na koniu wierzchem, a za nim umundurowany inspektor i *isprawnik* w urzędowej bryczce. Patrzyłem poprzez liście, jak wchodzi do domu. Ogarnął mnie lęk: co teraz się stanie? Ale przypomniałem sobie, że może zobaczę Syberię, i z nowym zapałem zabrałem się do Romanowów.

Po chwili przybiegła Nastka mówiąc, że dziadzio mnie woła. Zostawiłem książkę na ławce, tak jak miałem nakazane, i poszedłem do domu. Zauważyłem zaraz, że salon wygląda odświeżenie. Pościągano z mebli pokrowce, a umundurowany inspektor, połyskujący guzikami, orderami i złotymi epoletami, rozparty w czerwonym pluszowym fotelu, wyglądał wspaniale.

— Niech wasza łaskawość sam raczy zauważyć! — rozpoczął dziadzio. — My tu jesteśmy ludzie spokojni, wierni poddani najjaśniejszego pana, posłuszni i pełni szacunku dla ustaw i dla naszych władz! Ot, ten chłopiec na przykład, któż może wątpić w jego prawdziwą szczerość? Niech wasza łaskawość sprawdzi, jak on zna i kocha z należnym szacunkiem całą rodzinę władcy wszechrosyjskiego i naszego miłościwego pana Mikołaja II! — I mruknął do mnie, by dodać mi animuszu.

Popatrzyłem na inspektora: nie wyglądał tak strasznie... Wydawał się nawet sympatyczny ze swoją przyszyrzoną w szpic bródką. Uśmiechnął się do mnie, pogłaskał mnie po policzku i rzekł:

— Stasik! A nu, opowiedz mi, co wiesz o carskiej rodzinie?

Nigdy nie uskarżałem się na złą pamięć, ani przedtem, ani potem, ani nawet dzisiaj, po tylu latach. Zacząłem więc z siebie wyrzucać wiadomości, które przed chwilą wchłonąłem:

— Najjaśniejszy pan car Mikołaj II jest synem najjaśniejszego pana cara Aleksandra II i małżonkiem najjaśniejszej pani carycy Aleksandry Fiodo-

rownym. Są rodzicami następcy tronu carewicza Aleksego i wielkich księżniczek Olgi, Tatiany, Marii i Anastazji. Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz jest stryjem najjaśniejszego pana cara Mikołaja II i... — uczyłem się wprawdzie imion i dat w pośpiechu, ale potrafiłem odpowiedzieć gładko i bez myślenia się. Sam inspektor przerwał mi, mówiąc:

— Dobrze! Już dobrze! — a potem dodał zwracając się do starszych: — No, to jest przekonujący dowód, że to porządny dom! Bo tego wszystkiego nie można tak od razu się nauczyć, to wymaga czasu! — I jeszcze raz zwrócił się do mnie, głaszcząc mnie po głowie: — Zaraz widać, żeś porządny rosyjski chłopiec!

Wtedy wyrwało mi się coś, co mogło całą sytuację odwrócić lub zepsuć:

— Ja jestem Mołdawianin! — zawołałem z zapalem. Dziadzio się prze-raził. Ciemny nos mu się wydłużył, sięgał prawie do podbródka. Krzyknął:

— Nie! Nie! Niech wasza łaskawość nie zwraca uwagi na to, co to dziecko bredzi! On się urodził w Skajanach, a nasze ziemie, cała nasza gubernia jest wiernopoddaną własnością naszego najjaśniejszego i ukochanego cara Mikołaja II! On po prostu chce powiedzieć, że nie w Moskwie, tylko w Mołdawii się urodził!

Inspektor był owego dnia widocznie w dobrym humorze. Roześmiał się:

— Cha, cha! — i potem zwrócił się do mnie: — Zaraz poznałem, że nie jesteś taki zwyczajny, głupi chłopiec! Wiedziałeś, gdzie się urodzić. Mołdawia jest naszą ulubioną gubernią, a Mołdawianie to porządni ludzie. — I pocałował mnie w czoło.

Dziadzio odetchnął. Nabrałem odwagi i zapytałem:

— Kiedy nas wyślą na Syberię?

Dziadzio struchlał znowu, zaczął robić grymasy i gorączkowe gesty, aby mnie uciszyć. Ojciec zagadywał inspektora, aby odwrócić jego uwagę. Ale we mnie wstąpiła jakaś beczelna odwaga:

— Mogę dotknąć pana orderów? — zapytałem i nie czekając na pozwolenie przejechałem palcem po piersi inspektora, tak jak Wołodia, gdy wykonywał glissando na fortepianie, i zawołałem głośno: — Drrrrrrring! — po czym się roześmiałem. Roześmiał się też inspektor.

W ten prosty sposób został rozwiązany pierwszy konflikt polityczny, z jakim miałem do czynienia w życiu. Ale z wymarzonej podróży na Syberię musiałem zrezygnować. Prędko zresztą zapomniałem o tym pragnieniu. W gruncie rzeczy Besarabia była dla mnie bardziej interesująca i o wiele piękniejsza nawet niż sławna Syberia.

## Pieśń skowronków

Po zniknięciu szczurów, prawie nadprzyrodzonym, rozpałała się we mnie ciekawość i chęć poznania sztuki fletów zaczarowanych. Na drugi dzień po pamiętnej księżycowej nocy Syrbun wsiadł na swego kałmuka i zniknął na stepie. Chciałem biec za nim, słuchać jego muzyki, podziwiać jego flet, zadawać mu pytania, ale już było za późno. Tylko chwiały się kołysane wiatrem cykuty, burzany, lebiody i łopiany na falującej bezludnej równinie. Przechodziły dni, zapomniane znikły z naszych rozmów szczury, Syrbun z zaczarowanym fletem wydawał się bohaterem z bajki. Pewnego popołudnia rzekł do mnie dziadzio:

— Pamiętasz jeszcze Syrbuna? Jeżeli chcesz usłyszeć jego magiczny flet po raz ostatni, zbieraj się do drogi!

Wybiegłem jak strzała do stajni, osiodlałem Muca i już sadziłem krótkim galopem za czarną wołoską inochodką dziadzia, która szła gładkim kłusem nie odrywając prawie nóg od ziemi, jakby biegła na nartach. Był to podarunek Teofila Antonowicza i klacz miała widoczny jeszcze na udzie znak tyrnowskiej stadniny. Po godzinie takiego marszu inochodka miała już płaty białej piany na bokach, podczas gdy mój Muc nie okazywał żadnych śladów zmęczenia. Przecieliśmy Słoną Łąkę i ujrzeliśmy stado czarnych owiec. Dziadzio dał mi znak, że tu zsiadamy. Oddałem cugle Muca chłopcu, który podbiegł, by potrzymać nam konie. Zobaczyłem wtedy czabana, który wstał na powitanie. Miał na sobie białą koszulę z czarno-czerwonymi mołdawskimi wyszywaniami, z rękawami podwiniętymi z powodu upału. Pod rozpiętym kołnierzykiem widać było ciemną pierś, obficie porośniętą czarnym włosom. Brzuch miał owinięty brązowym wełnianym pasem, na spodniach fartuch z owczej skóry, a na opiętych rzemieniach nogach kierpce. Czarne, głębokie oczy czabana rzuciły spojrzenia jak błyskawice.

— Syrbun! — rzekł dziadzio podając mu rękę. — Przyprowadziłem ci mego wnuka. Od czasu tej księżycowej nocy spać nie może, wciąż śni mu się twój flet zaczarowany.

Czaban spojrział na mnie bez sympatii i rzekł głębokim głosem, obracając się w stronę dziadzia.

— Mój flet jest, *skumpe stepun*\*, jak każdy inny. Jak te wszystkie, które my, czabani, nosimy z sobą w naszym wędrownym życiu.

— Nie jest on na pewno taki zwyczajny — zaprzeczył grzecznie dziadzio — skoro ma taką siłę w sobie.

— Tak... Gdy wybiorę odpowiednią melodię, wstępuje w niego jakiś dziwny, obcy duch — mówił dalej Syrbun. — Sam się dziwię, a czasem nawet ogarnia mnie strach, gdy czuję, że wtedy flet zaczyna żyć własnym życiem. Trwa to dobrą chwilę, bo ożywia się powoli. Idę za nim, zaczynam go słuchać, mój dech i moje wargi przechodzą na jego usługi. Wreszcie to on gra, a ja staram się tylko go zaspokoić. Znika *czoban szeful*, pozostaje tylko *flujer czobanesk*, ten w dnie powszednie skromny patyczek, który jak czarodziejska różdżka panuje teraz nade mną i nad otoczeniem.

Wsluchany i wpatrzony w Syrbuna, piłem jego słowa jak wino, które upaja. Syrbun podsunął mi worek i rozkazał:

— Połóż się na nim wygodnie, ale na plecach i patrz w niebo. Potem nam powiesz, coś zobaczysz!

Ułożyłem się więc na wypchanym worku; zaraz poczułem, że jest on pełny aromatycznych traw. Durman? Mięta? Wdychałem te zapachy z rozkoszą. Syrbun grał już na swoim flecie od pewnej chwili. Raptem zobaczyłem nad sobą skowronka na szafirowym niebie. Trzepotał skrzydełkami w miejscu i śpiewał. Dziwnym trafem śpiew jego harmonizował z melodią czabana, która z wolnej i smętnej przeszła w weselszą; miałem wrażenie, że to blyszczące kamyczki wydają w powietrzu kryształowe dźwięki, zderzając się jedne z drugimi. Byłem sam na stepie. Gdzież podział się dziadzio? Zniknął step, byłem tylko ja, nade mną błękit usiany złotymi plewami i śpiew skowronka... skowronka? Skowronki już były dwa. Ptaszki te utrzymują się w powietrzu wprost nad gniazdkiem, gdzie drżąca samiczka stara się okryć skrzydełkami

---

\* *skumpe stepun* (mold.) — drogi panie

kilka jajeczek. Na stepie nie ma drzew, ptaszki wiją gniazda wprost na ziemi. Są więc narażone na różne niebezpieczeństwa. Siedząc nisko, na ziemi, nie widzą zbliżających się wrogów. Samczyk, utrzymujący się wysoko na niebie, ma szerokie pole widzenia i to on ostrzega przed niebezpieczeństwem. Póki widzi go i słyszy, samiczka siedzi spokojnie i wygrzewa jajka. Śpiew dwóch skowronków dokładnie nad moją głową oznaczał, że leżę blisko, koło ich gniazd. Srebrna nić melodii popłynęła w niebo: trzeci skowronek, trzepocąc skrzydełkami, zaśpiewał jak delikatny dzwoneczek z kryształu. Jego pieśń, łącząc się ze śpiewem innych skowronków, zwiastowała pokój na stepie. Wrażenie bezpieczeństwa objęło całą ziemię. Syrbun grał wciąż, coraz dalej, coraz mniej obecny. Owce z dzwonekami znikły za horyzontem, podczas gdy w niebo strzelały wciąż nowe skowronki. Intonowały razem dobrą wieść o pokoju i szczęściu, haftowały na niebie melodie szafiru i złota. Był to hymn i triumf dobrych nad złymi, słabych — nad silnymi. Ptasi śpiew przepełniał przestrzeń, unosząc się nad bujnym stepem, obsypanym kwiatami odrodzonej wiosny.

Raptem muzyka ucichła. Podniosłem się i zobaczyłem, że Syrbun odsunął flet od ust. Popatrzyłem na ziemię dookoła mnie; nie było ani jednego, nawet pustego, gniazdka ptasiego.

— Gdzie podziały się skowronki? — zawołałem z przejęciem, patrząc na czyste, opustoszałe niebo. I widząc, że nikt mi nie odpowiada, dodałem gorączkowo: — Ja je widziałem, te przywołane fletem skowronki, słyszałem najwyraźniej ich śpiew! Było ich... z siedem!

Dziadzio siedział zamyślony. Syrbun westchnął i popatrzył na mnie:

— Skowronki, które widziałeś — rzekł z powagą — nie były na niebie, tylko w twojej duszy. Wskrzesiłem je w przestrzeni dla ciebie — na życzenie *stepuna* Asłana. Zapamiętaj je sobie. Wkrótce mój *flujer czobanesk* zamilknie na zawsze. — Po czym schował flet za pazuchę, zarzucił worek na plecy, kiwnął nam ręką na pożegnanie i poszedł w step za stadem, które było już daleko.

Nie zobaczyłem już nigdy więcej tego niezwykłego czabana. Zniknął w głębi tajemniczego stepu na zawsze...

## Młocka kamieni

Minął dzień, drugi... i wiele innych. Wszyscy pracowali prześcigając się w zapale. Rosły sterty wżwyz, napelniały się złotawym ziarnem wagony na stacji. Niestrudzony dziadek Asłan był wszędzie i z zadowoleniem obserwował rezultaty. Około południa położył rękę na żołądku i powiedział do mnie:

— Jestem głodny, chodźmy na obiad.

Zbliżył się stajenny z końmi. Ale zanim dziadek wsiadł, obrócił się do młocących i ryknął swym potężnym głosem, zagłuszając hałas maszyny:

— A niech tam któremu nieszczęśnikowi przyjdzie do głowy narzucać kamieni do *barabana* młockarni, to wszystkie kości mu połamię własnymi rękami! — po czym podniósł ręce do góry, żeby je wszyscy dobrze zobaczyli.

Parobcy wydawali się rozmyślać nad wiszącą nad nimi groźbą, kiedy odjeżdżaliśmy klusem bardzo z siebie zadowoleni. Po drodze dziadek komentował przy mnie bieżące wypadki.

— Kiedy wróci Leon z Zakopanego, będzie zaskoczony ilością wagonów, jakie załadowałem w tak krótkim czasie!



Zjedliśmy obiad w nastroju optymistycznym i o pół do trzeciej skierowaliśmy się znów do *odai*. Nie wiedzieliśmy, jaka niespodzianka tam na nas czeka.

Zaniepokoiłem się, kiedy zdałem sobie sprawę z panującej dookoła ciszy. Nie słychać było jak zazwyczaj rojów wściekłych pszczoł kołujących w *barabanie*. Lokomobila milczała, ludzie stali obok i komentowali coś, tworząc grupki.

— Co się tu dzieje? — wrzasnął dziadek, nadbiegając galopem.

Niektórzy odsunęli się bojaźliwie. Maszynista otworzył właśnie kran i wypuszczał z kotła strumień pary.

— Co się stało? — zaryczał znów dziadek.

Maszynista odważył się wreszcie wytłumaczyć: ktoś narzucił kamieni do *barabana* młockarni, który został zdruzgotany. Na twarzy dziadka odmalowało się bezmierne zdziwienie. Otworzył usta i wyjąkał:

— Przecież... przecież... ja zapowiedziałem im, żeby tego nie robili!

Wdrapałem się po żelaznej drabince i wszedłem na górną platformę młockarni. Spojrzałem w otwór, gdzie znajdował się straszny, żarłoczny *baraban*. Rozpacz! Widać było kłęb kamieni i stalowych grzebieni, połamanych i pokręconych. Skąd się wzięły te kamienie? W Skajanach łatwiej było znaleźć rubla na drodze niż kamień! Dziadek powtarzał wciąż to samo:

— Przecież im to zapowiedziałem!

Przybiegł klucznik wołając:

— Zniknęła przeciwwaga od żurawia studni!

Zsunąłem się z młockarni i pobiegiem ku studni. Na ziemi leżały kawałki sznura przeciętego nożem. Nareszcie dziadek zrozumiał.

— 'Te świny wrzuciły kamień przeciwwagi do *barabana*! Skończyła się „moja młocka”, z której byłem taki dumny!

Po wyciągnięciu stosu pokręconego żelastwa z młockarni przyszedł kowal i zaczęła się narada techniczna. Nie mając możliwości spawania, trzeba było łączyć połamane żelazne części śrubami i nitami. Wszystko to wymagało sporo pracy i czasu, a pozytywny rezultat młocki był zagrożony. Mechanik, ślusarz i kowal dostali rozkaz pracowania przez całą noc, reszcie ludzi pozwolono iść do domu.

W domu, po powrocie, przyjęły nas jęki i lamenty.

— Biedny Leon — wołała babcia Władysława. — Co za nieszczęście, co za przykreść dla niego! Jak mógł zaufać temu Aśtanowi?

Nadszedł Munio i wysłuchał z uwagą relacji o wypadku.

— Prosta sprawa, ojcie — rzekł. — Oni sami nigdy by tego nie wymyślili! Ale ojciec sam poddał im tę myśl!

Poszliśmy spać. Dziadek kazał osiodłać sobie konia i wrócił na *odaję*, żeby pilnować naprawy w nocy.

Następnego dnia dalej panowało na *odai* przykre milczenie. Mechanicy wysilali się i robili cuda przy pomocy skromnych środków, jakimi dysponował nasz warsztat naprawczy, ale pracy było dużo. Raptem wybuchła bójka. Mołdawianie oskarżyli dwóch Ukraińców o wrzucenie kamieni do *barabana*. Jeden z Ukraińców wyciął głośno w twarz któregoś z Mołdawian. Poszły w ruch pięści i rozgorzała ogólna bitwa.

— Tego tylko brakowało! — krzyknął dziadek. — Jak macie za dużo sił, to brać cepy i młócić! Spokój, spokój — wołał, wpychając się między walczących. — Ja wam pokażę! Nogi wam połamię!

Wszyscy wiedzieli, że z dziadkiem nie ma żartów. Bójka skończyła się

natychmiast. Wańka zabrał się do montowania nowej przeciwwagi do studziennego żurawia. Wyszedł zawiadujący *odaję*, zły jak osa.

— Wynoś się w pole odmierzać *falcze*! Tam jest twoja robota, tutaj rządę ja! — odepchnął Wańkę odbierając mu obcęgi i sam zaczął montować jakieś stare koło żeliwne do żurawia.

Poszliśmy do domu na obiad. Tam — nowa niespodzianka: telegram z Zakopanego o przyjeździe ojca.

— Tego tylko brakowało! — jęknął dziadek. — Co za pech! Nie nadrobimy spóźnienia!

Wskoczył znów na konia, nie wziawszy nic do ust. Po południu ublażam go, żeby mi pozwolili wrócić na *odaję*. Maszynista dostał rozkaz rozpalenia ognia. O ósmej wieczór, kiedy już wszyscy poszli, maszyna ruszyła. Odetchnęliśmy, słysząc znajomy szum bębna.

— Cóż z tego — powiedział dziadek z goryczą. — Już nie ma nikogo! — i ruszył ze spuszczoną głową w stronę powozu.

Wydawało mi się, że słyszę jakieś śmiechy zza sterty. Ale dziadek mnie przywołał i pojechaliśmy. Konie szły krok za krokiem, Jakub poluzował lejce. Klacz inochodka szła za nami, przywiązana do osi. Dziadzio mruczał pod wąsem:

— Chciałem się popisać przed twoim ojcem. Co za pech! Ładny popis mi wyszedł!

Nazajutrz rano pojechaliśmy na stację po ojca. Po powitaniach i uściskach dziadek zaczął nieśmiało:

— Wiesz, Leonie — chrząknął — zepsuł się bęben i młocka jeszcze nie jest skończona.

Ojciec pokazał na niebo, gdzie żeglowała mała, biała chmurka.

— To poważna sprawa! Po południu będzie burza i zmarnuje się wszystko, co nie jest wymłócone!

Zamiast do domu kazał jechać prosto na *odaję*. Dziadek opowiedział mu po drodze, co się stało, i przykro było słuchać, jak biedny tłumaczył swoje ogromne rozczarowanie.

*Odaja* wydała mi się bardzo różna od tej, jakiej się spodziewałem. Zamiast znajomego dudnienia i wesołych okrzyków, które towarzyszyły młocce, panowała ponura cisza.

— Za prędko się zrobiło tę reperację — powiedział ojciec. — Na pewno bęben nie jest koncentrycznie zmontowany, nie chce się kręcić.

Wysiedliśmy z powozu. Maszynista wypróżniał właśnie kocioł i wypuszczał strumień pary. Sterta wydawała mi się wyższa niż wczoraj. Zacząłem pilnie obserwować wszystko, bardzo zdziwiony. Przed stodołą stał cały łańcuch wozów z zaprzężonymi końmi. Na młockarni nie było widać czerwonych chustek dziewczęcych, ale... ale... coż to miało znaczyć? Przed nami, półkregiem, stanęli wszyscy pracownicy. My trzej znaleźliśmy się sami w środku. Oczy wyłaziły mi ze zdumienia. Coż to może znaczyć? Starałem się usilnie zrozumieć sytuację. Spojrzałem na ojca i dziadka, którzy stali przy mnie jak kamienne posągi. Jakaś cisza, jakby jakieś uroczyste tchnienie przeszło ponad nami. Powstał ruch między stojącymi, rozstąpili się parobcy i ukazała się Marioara, ubrana odświętnie. Miała białą bluzkę z tysiącem haftów czerwono-czarnych, tworzących ozdobne szlaki na rękawach i na piersiach. Na głowie jej błyszczał wieniec z jasnych kłosów przeplecionych czerwonymi makami i błękitnymi bławatkami. Cały jej wygląd, uśmiech i polne przybranie przywodziły na myśl wrózkę pszenicznych pól, której śpiew można usłyszeć w południe, kiedy wiatr kołysze ocean kłosów.

— Panie Asłan — powiedziała śpiewnie — Lew Nikiforowicz! Stasik! W imieniu nas wszystkich ofiarowuję wam te wieńce uplecione z ostatnich kłosów tegorocznego plonu. Młocka jest już skończona! — wręczyła jeden wieniec dziadkowi, drugi ojcu, a potem zdjęła ten, który miała na głowie i dała go mnie.

Dziadka tak zatkało, że nie był zdolny odpowiedzieć uroczej przodownicy.

— Dziękuję — powiedział ojciec i podał rękę Marioarze. — Ale wytłumaczcie mi, jakim sposobem potrafiłście dokonać tego cudu?

Zamiast odpowiedzieć Marioara razem z obecnymi zaśpiewała piosenkę, w której się powtarzały słowa: kłosy, maki i kąkole. Potem pochyliła się i pocałowała mnie w oba policzki. Ocknął się wreszcie dziadek, wziął ją w ramiona i pocałował w czoło.

— Hurra! — krzyknęli wszyscy obecni. — Niech żyje *stepun* Asłan!

Pękły szeregi, poleciały w górę czapki i garście zboża. Dziadzio stał wzruszony, osłupiały. Grube łyzy popłynęły mu po twarzy.

— Uwaga! — zawołał ojciec. — Słuchajcie! — I zaczął mówić powoli, artykułując wyraźnie sylaby: — Dzisiaj wieczór na *odai* będzie wie-czor-ni-ca!

— Hurra! — rozległ się ogólny okrzyk radości.

Niektórzy machali koziołki, inni skakali, gestykulowali i wykrzykiwali po mołdawsku, rosyjsku i ukraińsku.

— To najpiękniejszy dzień mojego długiego życia — zawołał dziadek płaczącym głosem i uściskał tatusia.

Ojciec śmiał się, czyniąc wysiłki, żeby się uwolnić od żelaznych kleszczy dziadka. Udało mu się schwycić mnie za rękę i krzyknąć:

— Ty pilnuj wieńców!

Zaczęły strzelać bice i ruszyły galopem *kary*, załadowane ciężkimi workami zboża.

— Do Tyrnowa! Na stację! Do pociągu! — wołali woźnice.

Galopowały konie z *odai*, kręciły się koła skajańskich szarabanów, płynęło złote zboże besarabskie na stację, do portu, za granicę...

Młockarze rozbiegli się po całej *odai*. Chmurka na niebie miała już dużo przyjaciółek, otaczających ją ze wszystkich stron. Ale wszyscy byli spokojni; plon został uratowany. Mimo trudności i przeciwności nasz zarobek i zarobek naszych przyjaciół, współpracowników, był zapewniony.

— Dzięki, wuju — powiedział tatuś, wsiadając do powozu. — Oni to zrobili dla wuja. Pracowali całą noc, żeby mu zrobić niespodziankę!

Kiedy wróciliśmy do domu, powiedział mi tatuś:

— Weź młotek i przybij te wieńce na ścianie: jeden w pokoju dziadka, drugi w jadalni, a trzeci nad drzwiami wejściowymi.

I tam zostały te wieńce, gdy...

Ale o tym później.

### Kocioł do młyna

Pewnego dnia przywieziono wreszcie kocioł przeznaczony do nowego młyna Teofila Antonowicza. Wszyscy jeździliśmy oglądać go na tyrnowską stację. Z daleka już widać było ogromną bryłę koloru minii, wyższą od stacyjnego budynku. Kocioł przybył do Tyrnowa na dwóchłączonych wagonach. A teraz...

— Jak przewieźć tego olbrzyma ze stacji do młyna? — zastanawiali się wszyscy obecni, po czym wysuwali propozycje, ale nie było między nimi ani jednej dobrej.

— Nikt tej harhary z miejsca ruszyć nie potrafi! — mówili jedni. — Kocioł jest cylindryczny, wystarczy toczyć go po drodze. To będzie bardzo łatwe, nawet wóz nie potrzeba! — radzili inni. — Gdzież tam! Jak będziecie go toczyć, to wszystkie rury, które wystają, poobłamujecie! — Wreszcie: — Nie przetaszczycie tego kolosa przez przejazd kolejowy! — Albo: — Najlepiej go odesłać do fabryki z powrotem, aby z jednego kotła zrobili dwa mniejsze!

Wuj Teofil zdenerwował się, słuchając tych gadań. Zatelefonował po ojca:

— Leon! — zawołał, gdy przybyliśmy galopem ze Skajan. — Ja już ich nie mogę słuchać! Zdaję ci komendę. Rób, jak chcesz. Ja jadę zobaczyć moją stadninę pod Dondiuszanami.

Nikogo to nie zdziwiło, gdyż wuj i ojciec żyli i pomagali sobie jak bracia. Nieraz już zarządzał ojciec ogromnym, tyrnowskim gospodarstwem rolnym, wszyscy go znali; Lew Nikiforowicz był poważany i słuchany tak samo jak Teofil Antonowicz.

Ojciec zdjął marynarkę i rzucił ją na siodło. Kazał sprowadzić sobie posłańców i czekając na nich spacerował ze zmarszczonym czołem po peronie stacyjnym, nie zwracając uwagi na nikogo i zastanawiając się głęboko. Nadjechali wreszcie posłańcy i stanęli rzędem przed stacją, trzymając konie za cugle. Ojciec począł wydawać rozkazy i posłańcy rozbiegli się na wszystkie strony. Po godzinie zaczęto zwozić potrzebne materiały: cztery ogromne ciężarowe platformy na kołach okutych żelazem, belki, jedlice, sznury, łańcuchy, siekiery itp. Zaśpiewały dźwięczne, w kształcie litery L, mołdawskie siekiery w rękach cieśli, stelmachów i kołodziejów i wnet ujrzelśmy gotową pochylnię, prowadzącą z wagonów na wozy. Potężne platformy zostały ustawione po dwie z przodu i z tyłu i gdy przetoczono kocioł, spoczął na nich jak terazniejszy wagon pulmanowski na swoich bogies. Ten olbrzymi ciężar był ciągnięty przez czterdzieści roboczych koni z tyrnowskiej ołai, które dzielnie napierały na pasy i szleje. Wśród krzyków i strzelania z biczów ruszyła karawana przez wieś, między chatami i ogrodami. Cała ludność wyległa, aby przyglądać się niezwykleму widokowi, parkany i żywopłoty były ugarnirowane ciekawymi, cisnącymi się też w furtkach i bramach.

— *Afara! Afara!* \* — wołał ojciec galopując wzdłuż zaprzężonych czwórkami w poręcz koni. Rozpięła mu się koszula na piersiach i widać było czarne jak węgiel włosy, co go upodobało do popędzających konie mołdawskich parobków. Długa kolumna minęła wioskę i wśród trzaskania biczów i wrzasków mających podniecić konie do maksymalnego wysiłku zbliżyła się do przejazdu górnego.

— *Stooooooj! Stooooooj!* — zawołał ojciec, bo trzeba było dać odsapnąć biednym zwierzętom.

Ludziom też należała się przegryzka. Sprowadzony przez jednego z licznych posłańców, zajechał galopem przed front karawany szaraban, podskakując na wybojach i wychlapując z otwartej beczki rosół i kiszony ogórek. Każdy uczestnik, i ja też, dostał po jednym ogórku, aby ugasić pragnienie. Karawana znów ruszyła naprzód i pierwsze konie weszły na przejazd, mijając go, zdawało się, z łatwością. Ale gdy przednie platformy dotarły do szyn, bierwiona wypełniające przestrzeń między nimi, widocznie zmurszałe po wielu

---

\* *Afara!*... (mołd.) — Dalej! Dalej!

latach leżenia na gołej ziemi, rozlaży się jak zgniłe drzewo i jedno koło wpadło w dół, tuż przed samą szyną.

— Nie stawajcie! Nie stawajcie! — krzyczał ojciec, wymachując rękami. Zaświszczały baty, wygięły się łukiem grzbiety, zaparły się kopyta w czarną ziemię, raz i drugi. Ale koło, zbliżając się do szyny, podnosiło się trochę, a potem opadało bezwładnie na dno dołu. Było oczywiste, że zwierzęta nie mają dość siły, aby ten ogromny ciężar z dołu wyciągnąć. Karawana stanęła. Poziadaliśmy z koni, by się naradzić. Ojciec popatrzył na zegarek i obliczył, ile pozostawało jeszcze czasu do wieczora. Potem znów rozesłał posłańców w różne strony. Siedzieliśmy w przydrożnym rowie, odpoczywając i rozmawiając. Parobcy dostali teraz rozkaz wyprzegania koni, które zaraz zaczęły się paść spokojnie na przydrożnych trawach. Powolnym krokiem, prowadzone przez wolarzy z długimi, rozwidlonymi na końcu kijkami, schodziły się pary wołów ze wszystkich stron. Gdy było ich ze dwadzieścia, zaczęli parobcy żmudną pracę spinania jarzem łańcuchami, których cały pęk szedł samym środkiem jak stos pacierzowy całego zaprzęgu. Przed wołami szły konie. Woły parły od przodu głowami, konie zaś ciągnęły szlejami. Komplikowało to zaprzęg, który wyglądał jak beładna gmatwanina łańcuchów, sznurów i rzemieni. Gdy uwaga wszystkich była skoncentrowana na tym, aby cała ta pracowicie sporządzona sieć nie splątała się w jeden wielki węzeł, ktoś zauważył smugę dymu na horyzoncie.

— Ekspres! Idzie ekspres! — rozległy się ostrzegawcze krzyki. Gdyby ekspres doścignął nas w tej sytuacji, z tym kolosalnym kotłem stojącym nieruchomo w poprzek szyn na przejeździe, nastąpiłaby nieunikniona straszliwa katastrofa. Niektórzy radzili, aby się cofnąć wstecz. Ale ileż by czasu trzeba, aby przeprzęgnąć zwierzęta na drugą stronę.

— Semafor! Zamknąć semafor! — wołali inni, ale trzeba było czasu, by dobiec do stacji i zawiadomić naczelnika. Ktoś jeszcze jęczał, żeby rzucić wszystko, tak jak stało, i uciekać między słoneczniki.

W podobnych sytuacjach ujawniała się zwykle zimna krew mego ojca i jego zdolność błyskawicznego podejmowania decyzji; dzięki temu nieraz już ludzi z opresji wyratował. Teraz też wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

— *Wpieriod!* \* — podnosząc rękę ryknął ojciec. — Knuty i nahajki!

Podniósł się jak grzmot krzyk wolarzy, stangretów, watahów i parobków, którzy potrzaskali biczyskami w powietrzu. Wbiło się w ziemię trzysta z górą kopyt, napięły się łańcuchy, jarzma i szleje. Drgnął kocioł. Koła podniosły się trochę, jakby chciały przezwyciężyć przeszkodę, ale... po chwili opadły. W dali widać już było lokomotywę, a za nią wagony, które zdawały się płynąć, do połowy zanurzone w zielonej toni słoneczników i kukurydzianych pól. Było jasne, że za chwilę pociąg wpadnie na nas.

— Naprzód! Wszyscy razem naprzód! — krzyczał ojciec aż do zachrypnięcia i sam zaczął ciągnąć za sznur, aby pomóc zwierzętom. Ja też złapałem za szprychy koła w rozpaczliwym wysiłku. Jakiś chłopiec zdjął koszulę i pobiegł wymachując nią jak chorągwią wzdłuż toru, aby ostrzec maszynistę ekspresu. Akurat teraz, nie wiadomo skąd, pokazał się prof. Horr, nadworny pianista tyrnowskiego pałacu. Obuty w „higieniczne” sandały, odrabiał elastycznym krokiem przepisane przez lekarza wiorsty na codziennym spacerze, wyciągając od czasu do czasu pedometr z lewej górnej kieszeni marynarki

---

\* *Wpieriod!* (ros.) — Naprzód!

i odczytując ilość zrobionych kroków. Przykucnął przy przednich kołach, dłubiąc coś łaską w połamanych podkładach.

— Jeszcze tego nam brakowało! — jęknął Munio koło mnie. — Muzykant nas wyratuje! — i roześmiał się.

W tej groźnej sytuacji śmiech jego wydał się makabryczny. Słysząc już było łoskot nadjeżdżającego ekspresu. Maszynista pewnie nas zobaczył, bo rozległ się rozpaczliwy gwizd lokomotywy. Przerazenie dodało nam nowych sił, ludzie i zwierzęta stali się równi w obliczu niebezpieczeństwa, wszystko, co żywe, pchało i ciągnęło w porywie rozpacz. Znowu koło podniosło się trochę. Profesor skorzystał z tego i podłożył pod nie kawałek drzewa. Ustały zmęczone zwierzęta, kocioł znowu cofnął się trochę. Ale koła nie opadły już tak głęboko, oparte na kawałkach belek, które podsuwał pod nie profesor. Podniósł się wrzask wszystkich woźniców i wolarzy, silniejszy od grzmotu nadjeżdżającego ekspresu. Wszyscy słuchali ojca bez wahania. Jego autorytet musiał być istotnie niezwykły, bo wielu myślało naprawdę, że nadeszła już ostatnia chwila ich życia, a mimo to nikt nie opuścił swego stanowiska, nikt nie chciał uciekać, zostawiając towarzyszy w obliczu niebezpieczeństwa. Jednakże w takiej chwili odwieczny moralny imperatyw okazał się silniejszy od społecznej solidarności. Ludzie zaczęli krzyczeć do ojca:

— Dziecko! Ratuj dziecko! — i jakiś parobek począł szarpać mnie za ramię, aby odciągnąć mnie od grożącego wszystkim śmiertelnym niebezpieczeństwem przejazdu. Odepchnąłem go i zapałem się nogami w ziemię jak ten wół przede mną i setka dalszych nóg, które mogłem dojrzeć patrząc spode łba. Ludzie wrzeszczeli dobywając ostatnich sił, zgrzytały łańcuchy, dyszały ciężko płuca zwierząt niby potężne miechy w kuźni. Była to ostatnia szansa, dym lokomotywy piętrzył się nad nami jak wielkie drzewo, gotowe runąć nam na głowy. Koła poruszyły się, podniosły, wwindowały na szyny. Po chwili wahania, podczas której serca nam zamarły w oczekiwaniu cudu, cud się stał! Koła zjechały na drugą stronę, na skutek czego nowe siły wstąpiły we wszystkich. Zwierzęta czuły niebezpieczeństwo, nie rozumiejąc go przypuszczalnie, całą mocą parły w szeleje i jarzma. Ruszona z posad landara potoczyła się nabrawszy szybkości; z uczuciem szczęścia i wrażeniem nagłego powrotu do życia ujrzeliśmy, jak cały długi kocioł przejeżdża przez szyny. Ugięły się pode mną kolana, tchu mi zabrakło po tym wysiłku. Jak przez mgłę zobaczyłem nadjeżdżający pociąg. Korbowody lokomotywy otarły się o wystającą z tyłu belkę, szczęśliwie bez konsekwencji.

Za przejazdem wszyscy się zatrzymali, aby wypocząć i dać upust podnieceniu. Na konie i woły przyszła generalna potrzeba wypróżnienia i musieliśmy uważać, by nas nie ochlapały lejące się zewsząd strugi. Ktoś wspomniał profesora. Obejrzeliśmy się; był już daleko, szedł elastycznym krokiem, kontynuując swój spacer higieniczny.

Wieczorem zebrali się wszyscy z ojcem na czele w tyrnowskim pałacu, aby powinszować profesorowi jego umiejętnej interwencji. Profesor Horr był szanowany jako poważny człowiek i dobry pianista, ale nie cieszył się sympatią. Jego suchy i sztywny sposób bycia niezbyt przystawał do rosyjskiej przyjaznej dobroduszości. Mimo to nikt nie szczędził mu tego wieczoru gratulacji, wyrazów podziwu i uścisków dłoni.

— Do nidz fielkiego! — protestował profesor ze swoim okropnym akcentem niemieckim. — Ras gółko mojego wortebianu fpatło f dołek, muziałem potłóżyć teszczulki. Teras sropilem tag zamo!

Gdy to usłyszał, dziadzio Aslan rzucił mu niechętnie spojrzenie.

— Teraz wiem, skąd ten muzykant zna się na transporcie ciężkich przedmiotów — rzekł półgłosem. — Zanim Teofil go przyjął, pewnie włożył się od wsi do wsi z fortepianem na plecach!

W drodze powrotnej do Skajan zboczyliśmy, aby sprawdzić, czy wydano kolację ludziom zajęтым przy transporcie kotła. Ogromna karawana bowiem mimo zapadnięcia nocy postępowała powoli naprzód. Należało dowieźć kocioł jak najprędzej do przyszłego młyna. Gdyby wybuchła burza, w lecie zawsze możliwa, a przy tym trudna do przewidzenia, specjalna zdolność czarnoziemu do tworzenia głębokiego i lepkiego błota stanowiła groźbę ugrzęźnięcia — kto wie? może na zawsze — tego żelaznego kolosa, ciężkiego jak ołowiana góra.

Wzdłuż polnej drogi posłańcy zapalali ogniska z łądyg przeszłorocznej kukurydzy. Spowita aromatycznym dymem, wydobyta z mroku krwawym odbłaskiem ognia, posuwała się krok za krokiem długa karawana ciężko sapiących zwierząt, wrzeszczących, zziających ludzi i kiwających się platform z kolosalnym kotłem, utrzymywanym w równowadze długimi żerdziami przez biegnących obok parobków.

— *C'est une image du temps des pyramides* \*... — szepnęła Mlle Juliette, wpatrzona w ogień.

### Czarnomorski liman

W owym czasie starsi i korpulentni panowie besarabscy udawali się co lato do błotnych kąpiei na limanie czarnomorskim koło ujścia Dniestru. Na błotnistym dnie, w półsłonej, półsłodkiej wodzie, rosły gęste szuwary i trzciny, między którymi bieżyły jasne korytarze, przechodzące co chwila w jeziorka pełne czystej, zabarwionej błękitem nieba wody. Nabrana w dłonie, woda na limanie była żółtawa, czasem nawet mętna. Patrząc w stronę południa widziało się pełne morze koloru niebieskiego atramentu; na wiecznie falującej powierzchni zapalały się oślepiające błyski, jakby gwiazdy pluskające się w kałamarzu.

Ojciec wykorzystywał moment wolnego czasu przed zniwami, aby odbyć kurację przeciwreumatyczną na limanie. Nieraz zabierał mnie z sobą i razem spędzaliśmy dwa lub trzy tygodnie między niebem i morzem. Gdzie była ziemia, do której tak przywykłem? Gdzie były drzewa, drogi i domy? Leżeliśmy wyciągnięci na drewnianych kładkach, słysząc chlupotanie wody pod sobą, patrząc w ogromną kopułę nieba nad głową. Słońce trzymało nas uwięzionych w złotej klatce nieubłaganych promieni. Szum otaczających nas szuwarów, drżących pod wiecznym podmuchem morskich bryz i zefirów, krzyki mew, śpiew wiosłarzy i rybaków tworzyły wokół dziwny, nieznany świat.

Rano szliśmy wąskimi, długimi i wciąż rozgałęziającymi się drewnianymi kładkami, zawieszonymi na palach wbitych w dno morza. Daleko od brzegu, pod wodą, leżał cenny muł antyreumatyczny. Kładki rozszerzały się gdzieś tam, tworząc platformy, na których kładli się kuracjusze w oczekiwaniu leczniczej kąpiei. Tam, gdzieśmy chodzili, byli sami tylko mężczyźni i obsługa też była męska. Weseli chłopcy wołoscy kręcili się wokół pacjentów,

---

\* *C'est...* (fr.) — To scena z epoki piramid...

podśpiewując, dowcipkując i tłumacząc, na czym polega kuracja. Należało zacząć od rozebrania się do naga. Kabin było niewiele i uważano je za luksus, rozbierali się więc wszyscy publicznie. Rzeczy wieszano się na poręczy albo robiło się z nich zawiniątko. Naturalnie trzeba było uważać, by nie wpadły do wody, a koszule i chusteczki łatwo zwiewał ruchliwy wciąż wiaterek. Południowe słońce rychło rozgrzewało ciała leżących, podnosząc nie tylko ich temperaturę, ale i kolor — do czerwoności. Gdy chłopiec kąpielowy ocenił, że nadszedł już odpowiedni moment, podbiegał i manewrując zręcznie wiadrem na długim sznurze nabierał mułu z dna morza, po czym wylewał go na leżącego. Trzeba było kilku dobrych kubłów, aby przykryć całe ciało. Poprawiwszy warstwę błota drewnianą kopystką, kąpielowy szedł do następnego kuracjusza. Pod grubą warstwą mułu trudno było nieraz ludzi rozpoznać; mój ojciec wyglądał jak ktoś nieznamy. Siedziałem obok, starając się bosymi nogami dosięgnąć wody. Teraz musiało się czekać, aż słońce wysuszy namuły, który twardniał i pękał po pewnym czasie. Chłopcy kąpielowi podbiegali widząc, że pacjent już „dojrzał”, i polecali mu wstawać, po czym zmiotali z powrotem do wody łamiące się i sypiące suche kawałki błota. Panowie ubierali się — i czuli raptem przypływ apetytu; dzienna sesja kuracyjna była skończona. Gdy ojciec spostrzegł, że mnie, jakoś na odwrót, apetyt opuszcza, kazał mi też brać kąpiele błotne. Leżąc tak na kładce zauważyłem, że od czasu do czasu podnosi się gwar i wszczynają jakiś ruch między kąpielowymi. Wnet zorientowałem się, że przyczyną tego było zjawienie się Riny, dorodnej wołoskiej dziewczyny, która idąc widocznie do oddziału żeńskiego przechodziła przez nasze kładki.

— Czego tu szukasz? Wiesz, że tu ci nie wolno zachodzić? Zabieraj się! Bez ciebie mamy już dość roboty!

Rina uśmiechała się, przyjmując te protesty, jakby to były hołdy. Była rośła, dobrze zbudowana, miała foremne łydki i połyskiwała kolanami spod podkaszanej i wetkniętej za pasek spódnicy. Przystanęła na chwilę i zaczęła poprawiać sobie włosy, podnosząc nagie ramiona — w kształt urny. Kąpielowi biegali klnąc na czym świat stoi i wyciągali namuły wiaderkami, starając się ułożyć zeń spore górkę na biodrach rozłożonych w pobliżu kuracjuszy. Gdy błoto się rozjeżdżało, pluskało wiadro w wodzie i chłopcy znów dolewali nową porcję błota, jakby chcieli coś przykryć. Patrzyłem na to poruszenie zdziwiony i spytałem raz kąpielowego, po co to wszystko.

— Umiałbyś ułożyć stertę? — zapytał mnie. — Trzeba uważać, aby pal nie wystawał wyżej niż słoma!

### Wołkodawy polują na wilki

*Borzaje*, czyli charty, uważane za szlachtę psiego rodu, miały jeszcze nad sobą psią arystokrację: *wołkodawy*.

Podobne do chartów, *wołkodawy* były większe, silniejsze, kościec i łapy miały grubsze, zęby zaś i szczęki potężne. Szybkość osiągały mniejszą i choć odważne i wierne, były jednak uważane za mniej inteligentne. Otaczano je szczególnym staraniem w tyrnowskim *kennelu* i Teofil Antonowicz szczylił się posiadaniem tych drogich i trudnych do nabycia psów. Kto miał choćby jednego lub dwa, uważał się za szczęśliwca, dbał o nie i hodował pieczoło-



wicie, bo *wołkodawa* można było wymienić za dobrego konia pod wierzch, a czasem nawet za dwa, jeśli budowa konia nie była nieskazitelna.

*Wołkodawy* były używane do polowań na wilki, te groźne drapieżniki, które włócząc się po stepie napadały na liczne pasące się stada owiec, czyniąc wśród nich spustoszenie i staczając walki z owczarkami karpackimi. Zjeżdżało się całe sąsiedztwo, gdy wuj Teofil zapowiadał polowanie na wilki, bo widzieć, jak polują *wołkodawy*, był to przedni spektakl. Jako zwierzęta szlachetnego rodu *wołkodawy* odgrywały istotną rolę w rozrachunkach związanych z konfliktami honorowymi i niejedną plamę na miłości własnej zdołały zetrzeć... W taki oto sposób:

Pewnego razu w Tyrnowie, jak opowiadał wuj Teofil, jakiś myśliwy rodem z Podola, zbyt gorliwie oddawszy hołd bogowi Bachusowi w jego mołdawskim butelkowym wcieleniu, obraził drażliwego pana wołoskiego. Postanowiono pojedynkować się, by zetrzeć ślady obrazy, obrażony zaś, doskonały strzelec, wybrał rewolwery. Na drugi dzień pan z Podola, ochłonawszy, popadł w rozpacz. Była to dla niego śmierć prawie pewna, bo obrażony miał prawo strzelać pierwszy. Wuj Teofil wyratował go z opresji, bez uszczerbku na honorze, dając w jego imieniu parę *wołkodawów* obrażonemu. Ani złoto, ani najwspanialszy ogier arabski nie mogły być ofiarowane w prezencie w celu zatarcia obrazy. Wprost przeciwnie, byłyby jeszcze obrazę pogłębiły. Jedynie *wołkodawy* miały cudowną właściwość zastępowania, z honorem dla obu stron, pojedynku. Na drugi dzień, pożegnawszy się uprzejmie z podolskim myśliwym, wyjechał z Tyrnowa pan wołoski, kiwając przyjaźnie ręką na pożegnanie. Za powozem, przywiązane do tylnej osi, biegły lekkim kłusem dwa podarowane piękne *wołkodawy*.

Łatwo zrozumieć podniecenie, jakie mnie opanowało, gdy wszedł do jadalni Munio, oświadczając:

— Jutro w Tyrnowie polowanie na wilki z *wołkodawami*!

Dzień upłynął mi w radosnym podnieceniu i na lekcji nie mogłem usiedzieć spokojnie ani się skupić. Następnego dnia po wczesnym śniadaniu, należycie przygotowani, wyruszyliśmy konno do Tyrnowa. We wsi znajdowało się dużo ludzi, gdyż była to niedziela. Ojciec i dziadzio Asłan wciąż przystawali, by porozmawiać z jakimś gospodarzem. Wreszcie zbliżyliśmy się na tyle do tyrnowskiego pałacu, że już słychać było zgiełkliwe ujadanie psów w *kenel*u. Nie był to jednak głęboki bas *wołkodawów*, na ogół zresztą niezbyt hałaśliwych, lecz kakofonia szczeków wszystkich innych psów, które podskakując wzdłuż siatki ujadają donośnie z zazdrości widząc, że *sobacznik* wyprowadza *wołkodawy*, one zaś będą skazane na pozostanie w domu. Tymczasem na wjazdowym podwórzu ustawiała się myśliwska komitywa i gdy pojawił się Teofil Antonowicz, ruszyliśmy wszyscy przez wieś, pełną odświętnie ubranych ludzi, w stronę stepu. Po godzinie kłusowania po trawie, między niskimi zaroślami, z małego jarku wyskoczył pierwszy wilk.

— Na! Na! — zawołał wuj, a *sobacznik* spuścił ze smyczy *wołkodawy*.

Wilk od razu poczuł, z kim ma do czynienia, i nawet nie próbując oporu, rzucił się do ucieczki. Wyciągnęła się cała karawana i galopowaliśmy co tchu, każdy wpatrzony w wilka. Nieraz zdarzało się, że spotkany na stepie wilk zaczynał uciekać przed jeźdźcem. Trzeba było jednak uważać, bo czasem zatrzymywał się nagle i rzucał z otwartą paszczką na nadbiegającego konia. Zdarzyło się to przed wielu laty memu ojcu; przerażony koń poniósł przywartego do jego szyi wilka i ojciec miał czas odpiąć żelazne strzemie, po czym jednym uderzeniem w głowę zabił drapieżnika, który spadł i pozostał już na stepie.

Tej obawy dziś nikt nie żywił, bo oddzielały nas od wilka potężne, arystokratyczne *wółkodawy*. Natomiast należało baczyć na to, co się działo; niezwykły był to bowiem rodzaj polowania. Psy galopowały bez wysiłku za wilkiem, zbliżając się do niego powoli. Po chwili dwa najbliższe zaczęły wysuwać się naprzód, biorąc wilka między siebie. Biegły spokojnie, jakby uśmiechając się złowrogo wydłużonymi pyskami, z których zwisały z wdziękiem różowe języki, żadne świeżej krwi. Wilk dobywał ostatnich sił, aby utrzymać to wyścigowe tempo. Nawet się nie oglądał, nie chcąc tracić czasu, gdyż czuł oddech wrogów tuż za sobą. Zamiast atakować wilka świetnie wytresowane *wółkodawy* czekały, aż ich głowy się zrównają, po czym, chowając języki, brały wilka zębami za uszy. Czując ostry ból w tym delikatnym miejscu, wilk tracił wszelką chęć oporu i zdawał się na łaskę psów; psy powoli zaczynały zwalniać biegu, przechodząc z galopu w klus, a z klusa w stępa, po czym stawały jak wryte, czekając na swego pana, który mając najlepszego nawet wierzchowca, jak wuj Teofil, nadbiegał zawsze dopiero w chwilę później. Zaczynał się wtedy „sąd” nad wilkiem, podczas gdy psy, zupełnie jak policjanci, trzymały za uszy „oskarżonego”. Zsiadaliśmy z koni, gdyż wtedy można się było do drapieżnika zbliżyć bezkarnie, i zaczynało się śledztwo: młody? stary? samiec? samica? zdrowy? kulawy? itd. Jeżeli między obecnymi był ktoś, kto chciał wziąć żywego wilka, by go ośwoić, zaczynała się trudna i niebezpieczna operacja: nakładanie mu kagańca i obroży. Jeżeli wilk się do tego nie nadawał, a miał ładną skórę, zabijano go strzałem z rewolweru i potem któryś z koniuszych zdejmował z niego skórę, aby ją wyprawić. Jeżeli był całkiem do niczego, oddawano go psom na rozdarcie, aby podtrzymać w nich instynkt bojowy. Gdy obradował ten niezrozumiały dla zwierząt ludzki trybunał, wilk stał biernie między dwoma stróżami i czekał na wyrok.

— Wilk! Uwaga! Dwa wilki! — rozlegał się raptem okrzyk któregoś z myśliwych i wśród okrzyków: — Na wilka! *Wpieriod!* Huzia! — wściekłym galopem ruszała cała komitywa za psami, którym z początku trzeba było wilka pokazać, aby nie zgubiły jego śladu. Na lekko pofalowanym stepie wszyscy byli zrazu widoczni, gdy galopowali pod górę. Waż pościgu malał wreszcie, skracał się na szczycie wydmy i raptem znikał w miejscu, gdzie nad dalekimi burzanami i bodiakami rozciągało się bezkresne niebo.

## Andrzejki

W wilię św. Andrzeja zwyczaj chciał, by czynić wiele dziwnych rzeczy pod pretekstem, że w ten sposób będziemy mogli dowiedzieć się, co ukrywa przed nami przyszłość. Jak przez dziurkę od klucza można było wtedy podpatrzeć, co nas czeka. Brali udział w andrzejkowym obchodzie młodzi i starzy, uczniowie i nauczyciele, moja mamka Popowiczka z całą rodziną i inni. Natomiast zupełnie nie interesowali się naszymi przepowiedniami poważni panowie, tacy jak ojciec, wuj Teofil Antonowicz, doktor Władimir Iwanowicz i im podobni. Mimo że tyle lat już minęło od tamtej pory, mam przed oczyma wyraźny obraz tych obchodów ku czci św. Andrzeja, jakbym je widział dziś:

...Wchodzi Nastka z białą, pełną wody miednicą i stawia ją na środku stołu. Inni przynoszą najróżniejsze przedmioty i kładą je obok. Chłopcy i dzie-

wczęta wybierają sobie stalowe igły i potarłszy je palcami kładą delikatnie na wodę. Igły, mimo że są ze stali, pływają jak słomki, oddalają się, zbliżają. Dmuchać na nie nie wolno, bo jeżeli się złączą, to ożenek pewny. Po tej pierwszej próbie jakaś *gorniczna* i stajenny chłopiec rzucają na siebie smętne spojrzenia; nie połączyły się ich igły. Pocieszenie może dać następna wróżba: na brzegu pełnej wody miednicy przylepia się papierki z imionami dziewcząt; chłopiec bierze skorupkę od orzecha, przykleja do niej w środku zapaloną świeczkę i puszcza tę malutką łódeczkę na wodę. Jak poprzednio dmuchanie jest zakazane. Łódeczka waha się, kręci, potem zbliża się do brzegu i świeczka zapala któryś z papierków. Podnosi się krzyk, wszyscy obecni wyrrywają sobie osmalony paperek, żeby zobaczyć, co los zdecydował. Otwierają się drzwi i wchodzi stara Gawryła wołając z niecierpliwością:

— No cóż! Jużście gotowi? Gęsi mi cały kredens zapaskudzą!

Rzucamy się do roboty i układamy na ziemi bałabuszki ugniecione z chleba, pod każdy kładąc paperek z imieniem któregoś chłopca. Potem dziewczyny biorą do rąk, jedna po drugiej, każda swoją gęś i puszcza ją wolno w jadalnię. Zrazu gęś stoi przerażona, nie wie co robić. Raptem przekrzywia głowę; zoczyła któryś z bałabuszków! Ogląda się ostrożnie i widząc, że nie ruszamy się, wyciąga szyję, zamierza się dziobem niby oszczepem i błyskawicznie chwytą bałabuszek. Trzeba się śpieszyć, aby wyrwać jej paperek z imieniem chłopca, bo w pośpiechu mogłaby go połknąć. Tak to los tworzy nową parę, która zaczyna w kącie miłosny dialog.

Przerywa te, według niej dziecinne, zabawy moja mamka Popowiczka, ważna w rodzinie osobistość, zaprawiona i doświadczona w magicznych obrzędach. Tylko za pomocą czarnoksięskiej sztuki udaje się zrobić szparkę w murze nieświadomości, jaki nas otacza, i dostrzec kryjącą się w mglistej dali przyszłość. Służy do tego celu roztopiony wosk, który każdy z nas po kolei wlewa do zimnej wody. Popowiczka bierze potem do ręki skrzepłą bryłkę, obserwuje ją uważnie, ustawia przed znajdującą się na niskim stole lampą naftową i wszystkie spojrzenia kierują się na cień rzucony na białą ścianę. Co to jest? Co to znaczy? Wyobraźnie pracują, każdy coś innego rozpoznał. Na koniec zabiera głos Popowiczka, której imaginacji nikt dorównać nie jest w stanie.

— Stasik! — mówi z powagą, wpatrując się w ciemną figurę na ścianie. — Widzę twoją przyszłość... Opuścisz mnie, pojedziesz daleko od nas... widzę cię na żelaznym ptaku, wysoko na niebie...

Milczymy pod wrażeniem tej dziwnej przepowiedni. Potem, w przyszłości, wypadki przyniosły jej potwierdzenie, ale nie mogliśmy tego wtedy wiedzieć; wszyscy obrzucili Popowiczkę niedowierzającym spojrzeniem... W ciemnych kątach i za szafami zdawały się ukrywać tajemnicze duchy i sama myśl o nich przepełniała nas pobożnym podnieceniem.

Tym razem przyszedł Wania, czyli Janek, syn wuja Teofila. Przyglądał się z zainteresowaniem pływającym igłom, łupce orzecha ze świeczką, gęsiom i laniu stopionego wosku.

— Bez wątpienia największym tu czarnoksiężnikiem jest *Manke*, która umie zadziwiać wróżyć z wosku! — powiedział, po czym uśmiechnął się uprzejmie do Popowiczki. — Przynieście mi teraz kurę i kawałek kredy, a ja wam pokażę moje czary!

Wybiegła Gawryła do kurnika i wróciła po chwili z kurą. Janek narysował kredą na podłodze linię biegnącą przez całą jadalnię i położył na niej kurę, układając starannie szyję, głowę i dziób na prostej.

— Hokus, pokus! Czim, pam, drym! — wymówił zaklęcia i nakreślił w powietrzu jakieś znaki rękami. — Przyjmuję zakłady, że kura się nie ruszy, gdy zdejmę z niej ręce!

Niektórzy założyli się rzeczywiście — i wnet zakład przegrali, gdyż kura, wolna już od uścisku rąk, faktycznie leżała bez ruchu; klapała oczami, ale nie odważyła się zdjąć dzioba z kredowej linii.

— Jest zaczarowana! — zawołał Janek triumfalnie. — Wie, że podzieliłem świat na dwie strefy magiczne, lecz ona do żadnej z nich nie należy! — po czym nabrał do ust wody i dmuchając spryskał kurę; czar prysnął, kura zbudziła się jakby i poderwała na równe nogi.

Jakże się dziwić, że co roku czekałem niecierpliwie na magiczne obrządki, tradycyjnie spełniane w wilię św. Andrzeja.

### Zaspy śnieżne we Floreszti

Zaspy... zaspy... morze śniegu, białe diuny pod Floreszti... Biegły smutne dni grudniowe. Wiatr unosił jak płatki śniegu białe kartki kalendarza. Czulem na twarzy niezliczone ukłucia lodowych igiełek, zmiecionych z okolicznych pól. *Died Moroz*\* chłostał mnie po policzkach siedmioogonnym knutem.

— *Głusz i tiszina!*\*\* — mówili wtedy wszyscy, gdyż przestrzeń stawała się milcząca, matowa, nieprzepuszczalna... Gdzież było życie? Ludzkie głosy, rżenie koni, ćwierkanie ptaszków? Zmarzłe głosy leżały głęboko, zasypane śniegiem. Jak linia nakreślona węglem, ukazał się przede mną tor kolejowy. Nasze konie posuwały się powoli w kopnym śniegu, grzęzły, robiły zajęcze susy i jeszcze głębiej potem zapadały. Jakim sposobem mógł uchronić się od zasypania śniegiem tor kolejowy? Podniosłem basztyk, który spadał mi na oczy. Widać było wszędzie ślady zwierząt.

— Zając! Lis! Wilk! — recytowałem pod uważnym spojrzeniem dziadzia Asłana.

Wzdłuż toru widniały ustawione rzędem zapory z pozbijanych deszczulek — jak parkan. W jaki sposób taka pełna dziur zaporą może zatrzymywać śnieg? Wnet dziadzio mi to wytłumaczył: wiatr zwalnia napotykając przeszkodę i płatki śniegu spadają przed płotem na ziemię. Czemu właśnie przed płotem?

— Ty byś zrobił to samo — rzekł dziadzio — gdyby niosący cię koń zatrzymał się raptem w miejscu: przez głowę spadłbyś na ziemię!

W ten prosty sposób obrazowo wytłumaczył mi dziadzio zjawisko wykładowane przez profesorów aerodynamiki, jak później miałem się przekonać, przy użyciu formuł matematycznych i skomplikowanych teorii.

Zauważyłem jakieś ciemne punkty poruszające się po torze. Mój koń przysiadł, strzygąc uszami i objawiając wyraźny strach. Ścisnąłem go kolanami, ściągnąłem cugle, patrząc pilnie w stronę toru. Wilki! — rozpoznałem. Galopowały, uciekając jakby przed jakimś niebezpieczeństwem. Rzeczywiście... w dali pokazały się znów jakieś punkciki.

---

\* *Died Moroz* (ros.) — Dziadek Mróz

\*\* *Głusz...* (ros.) — Głusza i cisza!

— Zające — zawołałem zdumiony, gdyż nie widziałem jeszcze nigdy, by wilki uciekały przed zajęcami.

Zza zakrętu wynurzyło się jakieś ogromne czarne zwierzę... Pociąg! Prawie bezszelestnie, wyrzucając pióropusze pary, zbliżała się czarna lokomotywa, prująca powietrze wielkim pługiem do odgarniania śniegu. Na jej zde-rzakach, na dachach wagonów widać było warstwę śniegu. — Taka-tak-tak-tak! taka-tak-tak-tak! — wybijały koła takt podróży. Za szybami pokryty-mi szronem migwały światła i twarze podróżnych. Minął nas wreszcie ostatni wagon. Konie odetchnęły, gdy pociągu już nie było słychać. Zniknął wśród śnieżnych zasp Floreszti.

Znów otoczyła nas cisza — jak wata. Przypomniał mi się romans rosyj-ski *Tiszina*... urywki jego błąkały się w mojej pamięci. Jak to brzmiało? W tej śnieżnej powodzi, gdzie głos zamierał, trudno było sobie przypomnieć. W ciszy, dziwnej i białej, rozpływał się każdy odgłos. Narodzone dźwięki za-drgały, żyły przez chwilę i nikły, pogrzebane na zawsze w białych diu-nach. To nie była cisza. To była słodka, łagodna, miękka agonía głosu zro-dzonego po to, by umrzeć, pogrzebanego na zimnym, białym cmentarzu, gdzie kończyły żywot dźwięki...

Wpatrzony w śnieżne zasy Floreszti, usłyszałem nagle w mym sercu *wioarę* zawodzącą hymn ciszy stepowej: *Tiszina*...

### Boże Narodzenie

Dmie nieznużenie *kriwacul*, wiatr z północy, unosząc padające i wirujące w powietrzu płatki śniegu. Pochylają się suche trawy, bezlistne łodygi chwie-ją się rytmicznie, a proste kandelabrowe bodiaki wytrzymują wrogi podmuch ze stoickim spokojem. Nadlatują z daleka, uciekając jakby przed wyciem wi-chury, oderwane od korzenia kuliste burzany i biegną, tocząc się i podska-kując po białej powierzchni stepu, w szarą dal, tam gdzie ziemia szarzeje, a niebo bieleje i zlewają się w jedno. Kiedy zabił się Mojsiej, wiedzieliśmy, że akacje należą do ziemi, a błękit do nieba, gdzie była dusza Mojsieja. A te-raz, czyż można było rozgraniczyć jeden świat od drugiego i w tej ciągłości wyobrazić sobie linię horyzontu? Może dlatego Bóg tak łatwo zeszedł na zie-mię? Gdzieś daleko wyją głodne wilki i wzdrygają się konie, strzygąc usza-mi, w cieplej stajni.

Wybieram moje siodło spośród innych, ustawionych na kozłach w mrocznej głębi. Odwiązuję i wyciągam niechętnego Muca, nakładam na niego sio-dło, uzdę, zapinam gurt. Jest to moment, kiedy przekorny kałmuk stara się mnie nabrać. Nadyma się, abym gurtu nie mógł docisnąć. Łaskoczę go pod pachwiną, po czym wypuszcza powietrze, a ja zaciągam rzemienie, ile tylko mam sił. Muc jest zły, że nie dałem się oszukać. Sztynnym kłusem i trzęsąc, jakby był z drewna, obwozi mnie dookoła wjazdowego podwórza. Wreszcie, nie zwracając uwagi na moje życzenia, decyduje sam, że już dość tego spaceru i biegnie z powrotem do stajni mimo moich protestów. Wracam do domu i wa-łęsam się po korytarzach.

Ciocia Modzia wydaje rozkazy, przybierając pozę rzymskiego cezara:

— Stół bardziej na prawo! Krzesła won! Tutaj nakrycie! Tam samo-war! — itd.

Łapię Nastkę za fartuszek i ciągnę ją do tańca. Odepchnięty, wpadam na Fanikę, która się śmieje.

— Boże Narodzenie! Boże Narodzenie! — wołają wszyscy, niosąc półmiski tanecznym krokiem. Nasz dom nabiera odświętnego wyglądu. Dwóch chłopców wnosi wielki snop pszenicy i ustawia go w rogu jadalni. Mamusia układa kłosa w artystyczny bukiet. Nasza sroka, wyrzucana zewsząd, jest wyraźnie zdenerwowana i chroni się na szczycie bufetu. Znow ktoś wnosi naręcz siana, mamusia układa je na stole i przykrywa białym, lśniącem obrusem. Biegają zapracowane dziewczęta, szeleszcząc pasiastymi spódnicami, ubrane w kolorowe fartuszki. Radość i podniecenie ogarniają wszystkich. Tymczasem wre praca w kuchni. Trzeszczy ogień pod płytą, kipią rondle i kociołki. Przez wciąż mimo zimna otwarte drzwi wnoszą chłopcy worki słomy, jeden za drugim, gdyż trzeba dokładać bez przerwy tego szybko zużywającego się paliwa. Dookoła stołów zastawionych dzieżami, makutrami, garnkami i słoikami kręci się kucharz Aleksander, kuchciki i dziewczęta podkuchenne. Chcę zobaczyć coś przez pokryte lodem okno; grzeję na płycie miedzianą kopiejkę, przykładam do szyby. Lód topnieje i przez dziurkę widzę Jakuba z płonąca latarnią w ręce, pośród jasnego kręgu na śniegu. W domu ojciec grozi mi palcem przyjaźnie:

— Leniuchu! Zbijasz baki i podglądasz, co się szykuje w kuchni! No, nic, w takie jak dziś święto wszystko ci wolno!

— Boże Narodzenie będzie dopiero za dwa tygodnie! — wołam głośno, bo zobaczyłem babcię Władysławę, którą w złość wprowadzają aluzje do prawosławia.

— Dzikusie! — woła babcia trafiona tym grotem. — Według prawdziwej wiary Boże Narodzenie wypada jutro! A dziś jest Wilia! Wy tu wszyscy żyjecie jak poganie!

Mamusia się śmieje i wzrusza ramionami.

— Ciociu — mówi — czy to nie wszystko jedno?

Otwierają się z trzaskiem drzwi i wchodzi korowód dziewcząt niosących naczynie, szkło, nakrycia. Po chwili stół jest gotów i połyskuje pod światłem nisko spuszczonej lampy naftowej. O ósmej wszyscy są zgromadzeni dookoła stołu. Stroje są codzienne, nikt nawet się nie ogolił, gdyż według zwyczaju jest to dzień pracy. Mamusia bierze talerzyk do ręki i chodząc od jednego do drugich dzieli się opłatkiem z wszystkimi. Na stole jest o jeden talerz więcej niż wynosi liczba biesiadników; to puste miejsce przeznacza się dla podróżnika, który by o strawę poprosił.

Szklanki zawsze kiwały się na sianie, z pochylonych półmisek nieraz coś wyciekło. Uczta wigilijna składała się z dwunastu dań postnych — na pamiątkę dwunastu apostołów. Najpierw podawano czerwony barszcz z uszkami. Potem zaczynała się seria ryb: sandacz, szczupak, jesiotr, karp po żydowsku itp. Wykręcam się od tych ryb, jak mogę. Dla mnie najważniejszą część wieczery wypada na koniec, gdy sam „szef” Aleksander obnosi wokół jadalni triumfalnym gestem półmisek wigilijnej kutii. Kutię robi się z łuszczonej pszenicy, maku, miodu, wanilii i przeróżnych bakalii; jest to danie słodkie i sycące. Ale... każdy z nas będzie się zmuszał, aby zjeść ogromną, podwójną porcję. Po pokazaniu półmiska Aleksander wnosi go do ofisu, gdzie ojciec zamyka się sam i rozpoczyna sekretną operację. Przez zamknięte drzwi nie sposób widzieć, co robi, ale ja i tak wiem: z rondleczka, gdzie były zagotowane, ojciec wyciąga złote rublowe monety i wkłada je do kutii, zacierając łyżką ślad. Gdy w nabranej porcji znajdzie ktoś złotą monetę, może ją sobie wziąć... ale dopiero gdy zje całą nabraną porcję, moneta staje się jego własnością. Każdy chciałby nabrać jak najwięcej, aby

zwiększyć prawdopodobieństwo znalezienia złotego rubla, nie jest jednak łatwo pod koniec spożytej wieczerzy zjeść dużo tej sycącej i mdlącej nawet niektórych słodkiej bryi. Gdy przebrzmiały już okrzyki radości tych, którzy rubla znaleźli, znów otwierają się drzwi i wpada do jadalni dziwna komitywa: czoban szeful, prowadzący cztery owce karakułowe. Ojciec trąca się z nim kieliszkiem, wymieniają życzenia, po czym wkłada rękę pod obrus i wyciąga wiecheć siana i podtyka go owcom. Wszyscy patrzą uważnie, dziadzio Asłan aż podniósł się z krzesła, aby żadnego szczegółu nie stracić. Owce najpierw podanego siana nie widzą, potem obwąchują je z nieufnością, wreszcie zaczynają jeść. Następuje odprężenie, słychać westchnienia ulgi.

— Dobra wróżba dla stad w tym roku! — konkluduje dziadzio Asłan.

Po wyjściu owiec cała podłoga jest usiana ciemnymi gałeczkami, wpada Nastka i śmiejąc się zmiata je do kąta. Wszyscy wstają od stołu, kłaniając się jedni drugim. Mamusia bierze talerz z kawałkiem chleba, ojciec niesie tacę pełną kieliszków z wódką, każdy coś narzuca na plecy i wszyscy wychodzą z domu tylnymi drzwiami za Muniem, który niesie latarnię. Tańczą w mroku jasne błyski na śniegu. Jest mróz, śnieg chrzęści pod nogami wesoło. Życzymy „Wesołych świąt!” wszystkim w kuchni, potem zwracamy się ku stajni, gdzie w szeroko otwartych drzwiach stoi Jakub na czele koniusznych, stangretów, masztalerzy i posłańców. Ojciec częstuje każdego wódeczką, składają sobie nawzajem życzenia. Mnie podnoszą bez ceremonii w górę, ściskają, a Jakub nawet mnie całuje w oba policzki. Po czym składamy życzenia Popowi, uważanemu za „szefa” reszty koni, i idziemy dalej, do obory. Mamusia pochyla się i wkłada kawałek chleba między czarne wargi Krasiwej, matki wielu innych krów. Niektórzy wierzą, że w noc wigilijną łaskawa opatrność pozwala zwierzętom z ludźmi rozmawiać. Mamusia obejmuje czule szyję krowy i staje na chwilę bez ruchu, jakby nasłuchiwała.

— Co mówi Krasiwa? — pytam zaintrygowany.

— Tsss, tss! — ucisza mnie mamusia. — Tak krzyczysz, że nie słyszę, co mi mówię!

Po zadośćuczynieniu tym tradycyjnym obowiązkom wracamy do domu. Jedni kichają, drudzy wołają: — Brrrr! — strzepując śnieg z butów lub z odzieży. Przechodzimy do salonu, gdzie znajduje się drzewko, całe połykające szklanymi cackami, anielską przędzą, srebrnymi łańcuchami, złocnymi orzechami. Wuj Teofil, dziadziowie Władysławscy często spędzają wilię razem z nami i salon jest pełen ludzi. Wszyscy patrzą na mnie, gdyż ważna funkcja zapalania świeczek, tak aby niczego nie stracić i nie podpalić, należy do mnie. Drzewko jest wysokie i muszę posługiwać się długą żerdką, jaką później widywałem w kościołach, aby osiągnąć szczytu. Aurelia, córka dziadzia Asłana, zbliża się do fortepianu, przy którym zasiada ciocia Modzia. Od pierwszych akordów owiewa nas romantyczna atmosfera tych ciepłych, rodzinnych świąt bożonarodzeniowych.

Błyszczą światełka na tle ciemnej świerkowej zieleni. Kapią krople stearyny z kolorowych świeczek. Rozbrzmiewają liryczne słowiańskie kolędy, podchwytywane nieraz chórem przez obecnych. Mieszą się w wigilijnej atmosferze języki i religie. Rosjanie, Mołdawianie, Polacy, Ukraińcy, prawosławni, niewierzący, katolicy — któregoś roku nawet muzułmanie — łączą się w braterstwie, przyjaźni i pokoju. Pop ugina się przed nieustępliwością babci Władysławy i nieraz przybywa z żoną i córkami na wilię, obchodzoną według daty katolickiej, mimo że prawosławne święta wypadają czternaście dni później. Niektóre świeczki gasną, inne spadają. Biegam od jednej

do drugiej, zastępuję je nowymi, zapalam. Teraz zbliża się najważniejszy moment całego wieczoru: mamusia podchodzi do drzewka, cichną kolędy i rozmowy, bo zaczyna się rozdawanie prezentów. W Tyrnovie wuj Teofil każe zazwyczaj obwieszać i dekorować jeden z wielkich świerków w parku. Między oświetlającymi drzewo latarniami naftowymi wiszą na gałęziach praktyczne prezenty: pary butów, rękawice, ciepłe kurtki, baszłyki, baranie mołdawskie czapki, walonki itp. U nas prezenty leżą u stóp drzewka i są anonimowe. Mamusia je rozdaje, ale nie wiadomo zazwyczaj, kto je ofiarowuje. Obecni rozwijają paczki podpisane ich imieniem, otwierają pudełka wśród okrzyków podziwu i radości, pokazują sobie otrzymane prezenty, omawiając ich przydatność lub sposób użycia.

Jest już późno. Żegnają się i rozjeżdżają goście. Gaszę świeczki na drzewku, panie zbierają porozrzucane papiery, porządkują salon. Robi się ciemno. Ojciec otwiera drzwi wejściowe i wychodzę razem z nim na dwór. Podczas gdy blisko domu załatwiamy... nasze męskie sprawy, ojciec podnosi rękę i wskazuje na niebo. Błyszczą na nim inne drzewko wigilijne, wspanialsze, imponujące, sięgające szczytem głębi wszechświata... stoi hieratyczne, pełne majestatu, obojętne wobec naszej znikomości. Jak szron na świerku połyskują miliardy szlifowanych diamentów na aksamitnym, głębokim i czystym, na nieskończonym niebie ponad besarabskim ośnieżonym stepem...

### Zaśnieżony step

Czasem zima spadała na nas niespodziewanie i budziliśmy się rano odkrywając raptem ziemię odzianą w białą aksamitną szubę. Wyciągano sanie z głębi wozowni, Teofil Antonowicz kazał rysakom nakładać gumowe podkowy, kończyły się jazdy wierzchem, wycieczki na *odaję*. Zwyczaj wyjazdów na wieczorne koncerty w pałacu tyrnowskim zostawał jednak bez zmiany. Ale gdy wysłuchaliśmy koncertu fortepianowego, ojciec wstawał z miejsca, budził mnie, jeżeli zasnąłem w fotelu, i dawał sygnał odjazdu:

— Szanowni artyści nam wybaczą, czeka nas jeszcze siedem wiorst po śniegu! Chcemy dojechać żywi do Skajan!

Kiedy indziej, gdy ojciec się zbyt słuchał i spojrzał na zegarek za późno, nie można było już puszczać się w ryzykowną o tej porze podróż. W ciemnościach ostry wiatr dął w twarz, grzęzło się w zaspach, których w nocy nie sposób było wyminąć, śnieżycą mogła zawiąć nas doszczętnie. Zostawaliśmy wtedy na noc w jednym z gościnnych pokoi na pierwszym piętrze. Teofil Antonowicz żył otoczony wielką ilością ludzi, zatrudnionych w kuchni, stajni, kredensie, spiżarni itp., i mimo późnej godziny zawsze można było znaleźć kogoś gotowego do usług. W mig nadbiegały uśmiechnięte dziewczęta, wlokąc za sobą ogromne worki słomy, inne ścieliły łóżka i przynosiły koce i kołdry. Najdłużej trwało palenie w piecu słomą, ale i tak za ledwie w godzinę pokój był gotów i mogłem się położyć. Kiedy indziej znów decydował ojciec, że wracamy do domu. Wuj Teofil udawał się wtedy do gabinetu i brał do ręki dziwny aparat, przedmiot mojego podziwu. Była to gumowa rura w ścianie, na zewnątrz domu zakończona lejkiem dla wzmacniania głosu, od strony zaś pokoju zatkana drewnianym gwizdkiem. Wuj



odtęperurę wyjmując gwizdek i dmuchał weń z całej siły. Gwizd, wzmocniony w trąbce, rozlegał się na zewnątrz i mógł usłyszeć go ktoś, kto był w stajni:

— Tak, proszę pana! — odpowiadał natychmiast jakiś głos. — Czekamy tu, Trofim, Michaił i Iwan, co pan rozkaże?

— Niech Trofim zbudzi Jakuba, stangreta ze Skajan! — wołał wuj do rury. — Niech Jakub zaprzęga i postawi *trojkę* przed gazonem!

Byłem raz w stajni, gdy wuj zawołał przez swoją rurę. Zadrzałem, gdy usłyszałem ten potężny głos spadający z góry, i poczułem się jak Mojżesz na górze Synaj.

Tymczasem wszyscy byli już w przedpokoju. Jedni wkładali filcowe walonki, inni podbite futrem szuby, a ja zawiązywałem końce baszłyka pod brodą. Ktoś zbliżał zapaloną zapalnikę do szyby i wołał ostrzegawczo:

— Och! Trzydzieści stopni poniżej zera! I do tego noc ciemna! Wybieraj się teraz w drogę — to szaleństwo!

Na ojca nie działały te krakania. Przygotowywał się spokojnie do drogi, nakładał swoją sławną, ogromną szubę z szopów, której połami owijał się dwa razy\*. Panie zawieszały sobie z przodu mufki, wkładając w nie ręce z wyrazem zadowolenia na twarzy. Po pożegnaniach i uściskach otwierały się z trzaskiem oszklone drzwi i lokaje Andrzej i Antoni wychodzili na taras z pięcioramiennymi kandelabrami, oświetlając wejście i schody. Na dole stała nasza *trojka*, zaprzężona do zgrabnych i pojemnych sań. W siedzącym na koźle grubym, ogromnym stangrecie trudno było poznać Jakuba. Według dawnego rosyjskiego obyczaju wdziewał szubę wypchaną poduszkami z pierza — jak każdy szanujący się *jamszczik*. Na głowie miał wielką baranią czapę, a w wycięciu futrzanego kołnierza widać było czarne wąsy, błyszczące oczy i czerwone policzki, rezultat kilku kieliszków wódki, nieodłącznie związany z tymi odwiecznymi tradycjami, których wszyscy woźnice przestrzegali z pietyzmem. W lewej ręce trzymał lejce, a w prawej biczysko; jego elastyczny koniec przechodził w bat z bawolej skóry. Wyrwała się do przodu drząc z niecierpliwości i grzebiąc kopytami w śniegu sławna skańska *trojka* z Popem na czele. Nad jego głową połyskiwał dzwonek z brązu, zawieszony pod wysokim łukiem idącym od jednej do drugiej hołobli. Po obu stronach Popa wyginały zgrabne szyje Orlik i Sokół, jego towarzysze i dobrzy przyjaciele. Troskliwe ręce nas usadzały, okrywały i baranice upychały wokół nóg.

Jakub raptem zawiął biczyskiem nad głową i rozległ się strzał jakby z dubeltówki. Konie zadrzały, przysiadły i jednym skokiem porwały sanie naprzód. Po chwili pędziliśmy galopem z największą możliwą szybkością w głąb tajemniczej nocy, jak gdyby było nam pilno do spotkania z przyszłością. To był elegancki, stylowy start znanej *trojki*, podziwianej przez całe sąsiedztwo. Pałac zmałał, w dali jeszcze błyskały płomyczki świec w kandelabrach. Pędziliśmy między domami śpiącej już wsi. Jeden zakręt, drugi —

---

\* Ta szuba z szopów odegrała wiele lat później pewną rolę w stosunkach polsko-niemieckich. Gdy rząd polski zaprosił w r. 1935 marszałka Göringa na polowanie, chciano potem pokazać mu Morskie Oko. Gość nie był przygotowany na taką wycieczkę i Zarząd Miejski Zakopanego, wystarawszy się o szubę ojca przez znajomych, pożyczył ją Göringowi. Wspaniała szuba przypadła do gustu Niemcowi i... nigdy już więcej jej nie zobaczyłem.

i znaleźliśmy się za stacją na wielkiej, bezgranicznej równinie. Konie zwolniły bieg, sanie torowały sobie ciężko drogę na ciemnym śniegu, przykrytym jeszcze ciemniejszym niebem. Odgłosy galopu, zgrzytanie orczyków, trzeszczenie hołobli, wszystkie hałasy zamierały natychmiast w gęstej ćmie. Rozbrzmiewał tylko „dzwoneczek monotony” nad głową Popa — jak w pieśni. Dojedziemy szczęśliwie do domu? Tajemnica nocy, trzymająca w uwięzi zaśnieszony step, słała się cicho i groźnie przed kopytami *trojki*, ukrywając przeznaczenie, które nas czekało. Wyraźnie zaniepokojony Jakub obserwował uważnie wszystkie szczegóły. Widać było w słabym świetle latarni, że konie podskakują jak zające. Odwracając się ku nam, Jakub rzekł:

— Nie zdaje mi się, żebyśmy byli na dobrej drodze! Ja bym zboczył w tę stronę! — i mówiąc to wskazał biczyskiem jakiś niewidoczny w ciemnościach punkt.

— Nie, nie! — zaprzeczył ojciec. — Nasz kierunek jest raczej tam! — i odzianą w rękawicę ręką wskazał inny punkt.

— Boże! Ile śniegu jest na drodze! — jęknęła ciocia Modzia, nagle przebudzona.

— Na drodze? — podchwycił Jakub ściszone głosem. — Lew Nikiforowicz, gdzie tu jest droga?

— Milcz! — zawołał ojciec dając mu szturchańca. — Chcesz wszystkich przestraszyć? Ty drogi nie widzisz, za to widzą ją konie!

Komentarze te odzwierciedlały groźną rzeczywistość. Ledwie wyjechało się z Tyrnowa, po drugiej stronie przejazdu kolejowego pozostawały za nami wszystkie możliwości orientacji. W lecie orientowaliśmy się z łatwością według drogi, pól i rodzaju upraw na tej równinie. Teraz niewidoczne były pod śniegiem nawet miedze i rowy przydrożne. Drzewa na stepie nie rosły. Czym kierować się więc na tej gładkiej, zaśnieszony i okrytej ciemnościami płaszczynie? Rozciągała się przed nami, tajemnicza i nieograniczona, jak bezkresny ocean ścięty złowrogim podmuchem septentrionu \*.

W kopnym śniegu konie nie mogły iść klusem, próbowały więc biec galopem, z coraz bardziej widocznym wysiłkiem. Nasze zmysły były wyostrzone do ostatka, starałem się przebić wzrokiem kurtynę ciemności, nie pozwalając mi dojrzeć znanych przypuszczalnie przedmiotów. Oczekiwałem czegoś niespodziewanego, ukazania się jakiegos znajomego drzewa, szczekania skajańskich psów, jakiegokolwiek sygnału, że jesteśmy na dobrej drodze. Przebiegliśmy jedną wiorstę, drugą i trzecią, coraz mniej zorientowani, gdzie się znajdujemy.

— Czy już minęliśmy Wiśniową Dolinkę? — zapytałem.

— *Czort jego znajet!* \*\* — odburknął Jakub niechętnie.

Pierwsze obawy przechodziły w strach. Tam, gdzie spodziewaliśmy się ujrzeć pierwsze skajańskie chaty, nie było nic. Spojrzenia grzęzły w ciemnościach, nie mogąc z nich wyłowić żadnego przedmiotu, żadnego charakterystycznego kształtu. Byliśmy uwięzieni przez noc, śnieg i ciszę.

— Teraz już tylko wilków nam brakuje! — zawołała histerycznym głosem ciocia Modzia.

Konie galopowały, posłuszne rozkazom Jakuba. Śnieg cicho płynął pod płozami sań, słychać było tylko delikatny krystaliczny szelest, monotony dźwięk dzwonka — i śledzony koni, grające w takt galopu.

---

\* wiatru północnego (od łac. *septentrio*)

\*\* Czort... (ros.) — Diabli wiedzą!

— Tu! Ot tu! — wykrzyknął raptem Jakub, pokazując coś biczyskiem. — Tu już ktoś był, są ślady sań! — i zatrzymał konie.

Wysiedliśmy. Rzeczywiście, w słabym świetle latarni widać było wyraźne ślady, które pewnie wiodły do samych Skajan. Odetchnęliśmy z ulgą. Byliśmy na naszej drodze. Byliśmy uratowani. Wystarczyło teraz iść za tymi dwoma liniami płóz, postępowanymi śladami kopyt, aby dojechać do domu. A tam czekał na nas gorący samowar — rozkoszowałem się myślą o chlebie z kiełbasą... i w tej atmosferze ufnej nadziei nie wiem nawet, kiedy... zasnąłem. Nie wiem, ile czasu spałem. Zbudziłem się raptem, gdy ojciec zawołał głośno:

— Hou! Stój!

Jednym spojrzeniem ogarnąłem całą sytuację: ojciec stał w zatrzymanych nagle saniach, Jakub ściągnął konie napiętymi lejcam.

— To są nasze własne ślady! — zawołał ojciec. — Kręcimy się w kółko!

Wyskoczyliśmy z sań i zapalając zapalki obserwowaliśmy ślad przed i za nami. Niestety, nie było wątpliwości. Nasze konie podkute gumowymi podkowami zostawiały ślady bardzo charakterystyczne. Poza wujem Teofilem nikt w okolicy nie używał podobnych. Jechaliśmy więc za własnym śladem, nie wiadomo od jak dawna, i teraz mniej jeszcze niż na początku mieliśmy podstaw, by się domyślać, w którym kierunku znajdują się Skajany. Sytuacja była poważna. Fanka zaczęła pchinkać w głębi sań. Co robić? Staliśmy w śniegu, niezdecydowani. Czekać do rana, aż zacznie dzień?

— Mowy nie ma! — rzekł ojciec. — My mamy wprowadzić baranice, żeby się okryć, ale konie zmarzłyby, stojąc w śniegu bez ruchu! — po czym dodał ściszonego głosem: — Tu jest dużo wilków, zaraz by nas odkryły.

Raptem wyrwało mi się:

— Szkoda, że nie ma dziadka Asłana. On by coś wymyślił!

Ojciec spojrzał na mnie i zamilkł, zamyślony. Staliśmy cicho, bojąc się poruszyć, aby myśli mu nie spłoszyć. Wyjął fajkę z kieszeni, naładował ją, zapalił. Pyknął kilka razy i wziął ją do ręki.

— Powierzmy nasz los koniom, niech one same zadecydują! — rzekł wreszcie ojciec rozkazującym tonem. — W takich sytuacjach zwierzęta okazują się inteligentniejsze od człowieka oglupionego przez cywilizację. Odczep dzwonek z kabląka Popa. Zgaście latarnie. Ty, Jakub, nie waż mi się dotknąć nawet lejców, konie muszą czuć się całkiem wolne. Najlepiej odepnij je całkiem przy wędzidle. Wyjmijcie bat z tulejki i wrzućcie do wnętrza sań, aby koni nie straszył. Baby, przykryjcie się z głowami baranicą i żebym was nie słyszał!

Wykonawszy te rozporządzenia, usiedliśmy w saniach.

— Teraz cicho, sza! — rozkazał ojciec — niech nikt mi się nie ośmieli nawet ruszyć!

Zaczęły płynąć minuty. Siedzieliśmy tak bez ruchu bardzo długo. Kto by nas zobaczył, pomyślałby, że wszyscyśmy zamarzli, czekając na ukazanie się jakiejś fantastycznej zjawy w ciemności. Słyszałem, jak konie ruszały się w miejscu, przypuszczalnie zdziwione tym bezruchem.

— Auuu! Ahu-u-u! Uh! Uhu-u-u! — rozległo się w ciszy wycie dalekich, na szczęście, wilków. Potem znów zapanowała cisza. — Auuu! Ahu-uuu-uu-u! — żalosna skarga głodu rozbrzmiewała z innej strony. Byliśmy otoczeni.

Co robiły konie? Wytrzeszczałem oczy, usiłując coś dojrzeć w ciemnościach. Nic nie było widać, ani blisko, ani daleko. Ale ja i tak wiedziałem,

co się działo. Któż lepiej jak ja znał naszą *trojkę*: hardego Popa, odważnego Orlika i dzielnego Sokoła? W tej chwili — wyobrażałem sobie — położyły po sobie uszy, bo usłyszały wycie wilków. Z jakąż chęcią poczęstowałyby je śmiertelnym ciosem tylnych kopyt! Ale wilki słychać daleko. Gdzie? Postawiły więc uszy do góry, nasłuchują, by dowiedzieć się, jak daleko i z której strony znajdują się te śmierdzące drapieżniki. Orlik i Sokół wyginają szyje i spoglądają pytająco na Popa: — „No co? Długo mamy tu tak stać?” — Wódz zaprzęgu, Pop, jest w środku, między hołoblami. Pochyla łeb, wacha śnieg, namyśla się. Teraz boczne konie spoglądają zezując w stronę sań, zdziwione, że Jakub nie potrząsa lejcami, niczego im nie rozkazuje. „Umarł?” — myślą przypuszczalnie. — „Gdzie tam! Cóż ty! Nie rozumiesz, że on tylko śpi?” — powiada Pop. — „Jak to? — dziwi się Orlik. — Śpi, podczas gdy opodał wyją wilki?” — „A co? To ty nie wiesz, że ludzie są głupi?” — niecierpliwi się Pop. — „No dobrze, niech tam!” — rzuca dobroduszny Sokół. — „A my co? Mamy tu czekać, aż nadbiegną wilki?” — „Słuchajcie! — wołają wszystkie trzy razem — trzeba się ratować! Ich też wyratujemy, jeżeli nam nie będą przeszkadzać!” — I nareszcie Pop decyduje się: — „Naprzód! Za mną!” — woła i cała *trojka* rusza z kopyta.

Moje obliczenie okazało się nieprawdopodobnie dokładne: w tym momencie właśnie ruszyły sanie. Ojciec tracił mnie łokciem myśląc, że się nie orientuję w tym, co się dzieje. Konie szły stępą i chyba zaraz zboczyły z naszych dawnych śladów. Jakub, nie dotykając lejców, siedział sztywno, jakby obrażony. Nikt nie odważył się nawet westchnąć. Po kwadransie takiego marszu konie stanęły. Co robiły? Wydało mi się, że przestępują z nogi na nogę. Potem zaczęły iść w nieokreślonym kierunku; czułem, jak sanie skręcają raz w jedną, raz w drugą stronę, jak pies, który stracił trop. Raptem konie skręciły silnie w lewo i puściły się galopem. Zachwialiśmy się w siedzeniach, panie nie zdołały stłumić krzyku. Ale braterska *trojka* galopowała zdecydowanie, prosto jak strzała, jakby powzięła już definitywną decyzję. Sanie podskakiwały na śniegu jak łódź na wzburzonych falach i tak lecieliśmy w ciemność nocy, trzymając się poręczy, by nie wypaść, przytrzymując kapelusze, czapki i derki, aby pęd ich nie zwał. Pędziliśmy w nieznane, w noc, która zamiast rozstępować się mocniej nas jeszcze obejmowała, w niebezpieczeństwo jak w gardziel wilczą, zdani tylko na instynkt *trojki*. Ostre powietrze siekło twarze, syпки śnieg zakurzał nam oczy. Sanie to wpadały do dołów, to znów podskakiwały na niewidocznych miedzach. Wycie wilków słychać było z różnych stron, ale coraz dalej. Zaczęła się znów muzyka wielkich biegów, jakby niski głos trombonu, wydawany przez trzewia dzielnych koni. Prąd optymizmu unosił nas, pełnych nadziei. Wstąpiła we mnie jakaś dziwna siła, rodząca się w sercach naszej *trojki* silnej, wolnej, potężnej... wielkiej jak podziw, jak uczucie, które dla niej żywiłem. Tak galopowaliśmy nie zmęczeni, po ciemnym śniegu w bezgwiezdnej nocy, nie wiedząc, gdzie kończy się step, a gdzie niebo zaczyna. Wzdłuż sanek przelatowały gwizdząc kule śniegu, wyrzucane końskimi kopytami. Chrząściła uprzęż, skrzypiały sanie. Gdzie byliśmy? Czy wilki zostały w tyle? Raz po raz zdawało mi się, że widzę ich fosforyzujące oczy z jednej lub z drugiej strony drogi. Czyżby pomiędzy wilki prowadziła nas galopująca *trojka*? Byłem jakby we śnie. Ukazywały mi się jakieś pokryte szronem, obwieszone sopłami zwidy. Co to jest? — myślałem przerażony. Rząd olbrzymów przeleciał raptem obok nas. Zawracaliśmy raz w jedną, potem znów w drugą stronę, zjechaliśmy w dół, potem *trojka* wyniosła nas w górę jak na skrzydłach sokoła. Gdzie byliśmy?

Wiedziała to tylko nasza dzielna *trojka*. Wszystko jedno! — pomyślałem. Kochane, szlachetne konie! Was zastałem, gdy na świat przyszedłem, z wami żyłem! *Niczewo!* Teraz z wami mi przyjdzie umierać, bo z takiej opresji prawdziwi przyjaciele mogą jedynie wyjść razem, zbratani na śmierć i życie. Wszystko jedno, co się zdarzy, obyśmy tylko byli razem...

Raptem bieg spowolniał. Zobaczyłem przed nami słabo oświetlony prostokąt. Bez wahania wpakowała się weń *trojka*. Zgrzytnęły płozy na progu i sanie stanęły. Skończył się bieg w nieznane.

Była to nasza stajnia. Znany, ciepły zapach koni połaskotał moje nozdrza jak najpiękniejsze perfumy. Czy to możliwe? — zastanawiałem się, nie ruszając się z miejsca. Może jeszcze śnię?

Wyszedł Siańka z masztelarni, przeciągając się i ziewając. Wrażenie spokoju i bezpieczeństwa ogarnęło nas wszystkich. Wysiedliśmy. Panie wygramoliły się spod baranicy, oniemiała ze strachu i ze zdumienia.

— Brrrrr! — kichnął Pop i ukłonił się łbem aż do ziemi. Chciał powiedzieć: — Ofiarowuję wam w prezencie... życie!

Ojciec podniósł rękę i gdy wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, rzekł poważnym, ale drżącym ze wzruszenia głosem:

— Jesteśmy szczęśliwie w domu. Naszej *trojce* zawdzięczamy życie. Teraz nikt nie pójdzie spać, zanim nie wyprzęgniemy, nie napijemy i nie nakarmimy naszych dzielnych koni. Stasik! Ty własnoręcznie dasz im podwójną porcję obroku. Dobrze sobie na naszą wieczną wdzięczność zasłużyły!

## Polowanie „w kocioł”

W naszej okolicy większość myśliwych polowała konno z chartami. W domu nieraz rozmowa schodziła na ten temat i słyszałem zdania, że wybierać się ze strzelbami o dwóch lufach na spokojne, bojaźliwe zajęcia — nie jest aktem moralnym ani rycerskim. Ale przybywający z daleka myśliwi nie umieli jeździć konno ani polować z chartami. Twierdzili, że zajęcia umierają z większą przyjemnością poczęstowane śrutem niż rozzerwane zębami najsłabszego nawet psa. Mimo więc braku zwyczaju trzeba było urządzać od czasu do czasu w Skajanach polowania z bronią palną. Robiło się to przeważnie w zimie, gdy po obfitym śniegu nie mogły gonić charty. Nieraz widziałem, jak zmęczone przewracają się w kopnym śniegu i zapadają w głąb, pozostając bez ruchu w zaspie. Jeżeli się ich od razu nie wyciągnęło, na drugi dzień znajdowano je zamrożone na kamień.

Pewnej zimy przyjechał do Skajan dr Majewicz z Krakowa na polowanie „w kocioł”. Był to sympatyczny człowiek, krępy, z dużymi wąsami. Umiał tylko po polsku i mówił z dziwnym akcentem, który wtedy był dla mnie nowy. Na drugi dzień wcześniej zaczęły się przygotowania, cały dom był w ruchu. Z wielkim zdziwieniem zobaczyłem doktora spacerującego po pokoju w białych długich kalesonach, związanych w kostce wstążeczką. Dziwili się wszyscy widząc, że wkłada na polowanie białą koszulę z nakrochmalonym gorsiem. Na szyi miał twardy, błyszczący kołnierzyk, przyczepiony do koszuli metalową spinką. Zanim go zapiął z przodu, końce sztywnego kołnierzyka latały po obu stronach twarzy zaczepiając o wąsy, co mi się tak spodobało, że aż dostałem burę od ojca za to, że się śmieję. Po śniadaniu myśliwi, sami

mężczyźni, powsiadali do sań i wyruszyli do lasu. Na polach leżało dosyć dużo śniegu, ale w lesie mniej, a dookoła drzew, na dnie jakby śnieżnego leja, widniała nawet goła, zamarznięta trawa. Można było więc chodzić po lesie nie zapadając się głęboko i — co za tym idzie — zbytnio się nie męcząc. Myśliwi rozwinęli tyralierę, tworząc wielkie koło. Potem zaczęli iść przed siebie, zacieśniając coraz bardziej obwód koła. Przerażone zające wyskakiwały z ukrycia, ale nie mogły uciec, otoczone ze wszystkich stron. Kto był bliżej, strzelał — i tu kryło się niebezpieczeństwo, bo gdy koło zacieśniało się, każdy mógł zostać zraniony przez myśliwego z przeciwka. Wybierano więc, w miarę możliwości, wadoły i myśliwi starali się strzelać z góry w dół, jakby do kotła. Stąd nazwa tej formy polowania. Ojciec jej nie lubił. Nieraz widziałem, jak wracał do domu śmiertelnie znużony, gdyż tak jak wszyscy tutaj przyzwyczajony był do życia na koniu; takie chodzenie i zapadanie się w grząskim śniegu męczyło go ponad wszelką miarę. Mróz przy tym zmuszał do odziewania się w grube szuby, na nogi wkładało się ciężkie filcowe walonki — ten ubiór nie ułatwiał poruszania się — do konnej jazdy zaś można było łatwiej się odziać, bo koń grzeje. Z tych różnych powodów nie polowało się u nas „w kocioł” i robiono to tylko wtedy, gdy przyjezdni z Galicji życzyli sobie tego.

Owego dnia stałem przy oknie patrząc na ośnieżony krajobraz, gdy raptem usłyszałem głos dzwonka i trzaskanie z biczem. Przez bramę wpadły na podwórze czarne sanie, unoszone z zawrotną szybkością przez wspaniałą trojkę, złożoną z karych koni. Powoził gruby stangret w pękatej szarej szubie, z wielką futrzaną czapą na głowie; zręcznie strzelał z długiego bata, wywijając nim w powietrzu. Środkowy koń biegł wielkimi krokami, podnosząc kolana wysoko. Sunął jak lokomotywa żądna przestrzeni i w biały nawet dzień poczułem na sobie jego płomiennoczerwone spojrzenie; w otwartym pysku zwierzęcia widać było obok wędzidla żelazny munsztuk, dowód jego nieokiełznanej energii. Nad jego piękną, foremną głową połyskiwał i dzwonił zawieszony na wygiętym pałaku tradycyjny dzwoneczek. Boczne konie galopowały, aby ognistemu rysakowi dotrzymać kroku. Odbijały się na sprężystych nogach, wykonując ze zwróconymi na bok głowami, z rozwianymi grzywami, eleganckie skoki. Łypały zaczerwienionymi oczami na wszystkie strony, jakby szukając wroga, by się nań rzucić. Spod kopyt strzelały śnieżne kule, przelatując ze świstem obok sań płynących lekko po śniegu, obwieszonych jedwabnymi kordonkami i kutasami, które rozwiewał pęd. Wyjątkowy ten zaprzęg stanowił piękny obraz prawdziwej, tradycyjnej rosyjskiej trojki. Byłem tak zaabsorbowany oglądaniem wszystkich szczegółów, że raptem zdębiałem, gdy...

Jednym ściągnięciem leje stangret zatrzymał przed domem ognistą trojkę jak wrytą. Wśród okrzyków: — Ostrożnie! Powoli! Na splecionych rękach! — zaczęto wyładowywać z sań rannego. Wybiegła ciocia Modzia, potem Lola, zaczęły się lamenty i tłumaczenia. Pobiegłem i ja zobaczyć, kto to taki. Był to student kijowskiego uniwersytetu, kolega Wani, raniony w nogę śrutem podczas polowania. Nadjechał ojciec galopem na swoim Tarkunie i gdy z niego zeskoczył, zobaczyliśmy, że on też ma zakrwawiony cały policzek.

— To nic! To nic ważnego! To tylko dubeltówka... eksplodowała mi podczas wystrzału! — uspokajał nas. — Gorsza jest sprawa tego studenta!

Do końca życia miał potem ojciec znak po tym wypadku. Była to grudka strzelniczego prochu wbita w policzek, pod okiem. Bardzo ją lubiłem, gdyż przydawała ojcu marsowego wyglądu.

Studenta zainstalowano w gabinecie. Zaczął dzwonić telefon. Dziewczeta biegały nosząc pościel, miednice, wiadra z wodą, ręczniki i poduszki. Ranne- go rozebrano i przykryto, a zakrwawioną nogę, wystającą z pościeli, obmyto starannie. Po godzinie nadjechał z Tynowa Władimir Iwanowicz. Objął w zarząd zaimprovizowaną salę operacyjną i zaczął gotować swoje instru- menty.

Tymczasem pojawili się inni myśliwi i siedli do stołu, bo już nadeszła pora obiadu. Przy niezliczonych kieliszkach wódki komentowano wypadki dnia i wkrótce powstał taki harmider, że nie było słychać jęków rannego. Mała- ły stosy zakąsek, a gdy nosy i policzki były już dostatecznie zaczerwienione... od mrozu? — czy od wódki? — otwały się drzwi i wśród powitalnych okrzy- ków, niesiony przez dwóch parobków, ukazał się kociołek z myśliwskim bi- gosem, który ustawiono na trójnogu obok krzesła cioci Modzi. Smakowity zapach wydobył się spod uniesionej pokrywki; wdychaliśmy go z rozkoszą. Ustały na chwilę rozmowy, głowy zwróciły się ku cioci Modzi, która zaczęła nakładać bigos na talerze, podawane zaraz na stół przez Nastkę.

— Jaki piękny kolor! Co za aromat! To arcydzieło kulinarne! — roz- brzmiewały okrzyki podziwu. — Możecie teraz przekonać się, że co się mówi o Modeście Nikiforownej, to jeszcze mało!

Ktoś nawet poprosił o przepis. Ciocia Modzia śmiejąc się, odrzekła:

— U Mickiewicza jest 44. A u mnie jest 49!

Wszyscy zamilkli, zastanawiając się.

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się ciocia. — Wkładam siedem gatunków mięsa i odgrzewam siedem razy. To magiczna cyfra i dzięki temu bigos jest taki dobry!

Byłem w zupełnej rozterce. Bigos pachniał cudownie, ale widziałem ką- tem oka, jak dziewczeta wciąż noszą ciepłą wodę do gabinetu, gdzie mój oj- ciec chrzestny grzebał niklowymi instrumentami w łydce rannego. Gdy za- częliśmy jeść heptapiryczny\* bigos cioci, na chwilę zapadła cisza przy stole; usłyszałem Fanikę, rachującą coś na głos w gabinecie:

— Sześć! Siedem! Och! Osiem!!!

Poderwałem się z krzesła, nie mogąc dłużej znieść pożerającej mnie cieka- wości. W gabinecie zobaczyłem mego ojca chrzestnego pochylonego nad za- krwawioną nogą studenta jak nad półmiskiem pomidorowej sałatki; grzebał w niej różnymi narzędziami. Trzymał papierosa w zaciętych ustach i popiół z niego spadał byle gdzie, ale zawsze obok rany. Brał pincetką każdy wy- grzebany śrut, podnosił go pod światło, przyglądał mu się uważnie, obraca- jąc go z różnych stron, po czym zrzucał go z wysoka na miedzianą tacę od samowara, na której śrut podskakiwał wydając metaliczne „brzdęk!” i sta- czał się gładko do rogu — jak zając uciekający przed myśliwym.

— Piętnaście! Dwadzieścia! Trzydzieści! — liczyliśmy na głos wyjmowa- ne przez doktora śruty.

Po trzech tygodniach rekonwalescencji ranny mógł już wstawać. Pierw- szą wizytę złożył dziadziowi Julianowi, leżącemu niezmiennie w swoim po- koju.

— Pan Julian! — rzekł łamaną polszczyzną. — U pana sprawiedliwość! Apeluje do pana honoru! Oni chcą mnie ośmieszyć! Nie było anestezji, każ- dy śrut czułem w nodze! A oni liczyli: pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, osiemdzie- siąt! Chcieli dociągnąć do stu! Pan mnie rozumie: ja rozebrałem taki nabój,

---

\* od gr. *heptá* = siedem i *pyrites* = ogniowy

naliczyłem tylko dwadzieścia osiem śrutów! To, co oni mówią, to kłamstwo, ot co!

Gdy nadszedł dzień rozstania, żałując, że nie mógł spróbować sławnego bigosu cioci Modzi, student z wygojoną całkiem nogą wyruszył na stację. Towarzyszyło mu kilka osób i widziałem, jak w momencie gdy pociąg ruszał, Mlle Juliette podbiegła do okna, podnosząc białą paczuszkę zawiniętą w papier.

— To śruty wyjęte z pana nogi! — zawołała. — Na pamiątkę!

Student popatrzył na paczkę, zważył ją w ręce i aby przekrzyczeć hałas ruszającej właśnie lokomotywy, ryknął:

— Ile?

— Sto! — odpowiedziała Mlle Juliette.

Wyrzucona z jadącego już pociągu paczka przeleciała nad naszymi głowami, nad dachem stacji i zaryła się gdzieś w śniegu. Jakby uwolniony od przykrego ciężaru pociąg potoczył się szybko i po chwili znikł nam z oczu.

## Wielkanoc

Gdy Boże Narodzenie obchodziło się w naszym domu według kalendarza gregoriańskiego, data Wielkanocy była zmienna i raz obchodziliśmy ją tak jak wszyscy, według kalendarza prawosławnego, raz zaś według zachodniego. Zależało to od pogody i związanych z nią problemów: błota, temperatury i stanu robót polnych. Wielkanoc była świętem bardzo ważnym, związanym ze starymi tradycjami, wprowadzie podporządkowanymi młodej religii chrześcijańskiej, ale jednak wybitnie pogańskimi. Post, który ją poprzedzał, i późniejszy wybuch pantagruelicznego obżarstwa były tego dowodem. Postu tego ogólnie przestrzegano, przeważnie z przyzwyczajenia, czasem — bo „wszyscy poszczą”, bo „rodzice nasi pościli, więc i my też to będziemy robić”, i wreszcie — „bo religia tak każe”. Ojciec pościł z zapalem i my razem z nim, bo na Besarabii zbyt dobrze się jadło i tylko dzięki przerwie postnej można było rozkosze obżarstwa Wielkiej Niedzieli należycie ocenić.

— Wstyd! — krytykowała babcia Władysława, katoliczka z austriackiego zaboru. — Żyjecie jak poganie! — powtarzała na każde święta.

— He! He! — śmiał się dziadzio Aslan. — Gdy Władzia spróbuje naszej szyneczki w cieście, zapiekanej w piecu chlebowym, na pewno poniecha dochodzenia, czy świnka była z katolickiego czy z prawosławnego domu!

Babcia łapała się za serce gestem umierającego i na jej bladych zazwyczaj policzkach pojawiały się wypieki.

— Szkoda się wysilać! — mawiał dziadzio. — Ona do nas się nie nadaje!

Natomiast dziadzio Julian miał całkiem inny charakter i śmiał się grubym głosem podczas tych dyskusji. Trzeba go było widzieć, jak wsuwał, siedząc w fotelu, w Wielką Niedzielę.

Gdy nadchodził wielki dzień obżarstwa, ciepłe słońce wiosenne mocno już prześladowało śnieg, który chronił się do rowów, pod drzewa i za domy, gdzie panował cień. Pierwsze z wszystkich drzew, wierzby ozdabiały się wielkanocnymi baziami, z których robiliśmy bukiety. Wielkanocny stół ustawiał się na werandzie po wyjęciu zimowych okien. Czasem zawiewał dość świe-



ży wietrzyk i wzdrygałem się z zimna, gdyż byliśmy ubrani jak we wnętrzu domu. Ale ojciec mawiał, że „gdy zaczynają strzelać korki, robi się ciepło!” — i podczas gdy ja wkładałem sweter, widziałem nieraz, jak panowie zdejmowali marynarki. Dziadzio Julian, który zwykle przebywał w łóżku w pozycji leżącej, tego dnia wstawał i zasiadał w wygodnym fotelu obok stołu. Ubierały go babcia Władysława i Lola; wkładały mu białą koszulę, zawiązywały krawat. Dziadzio był szczęśliwy; rozmawiał ze wszystkimi wesóło i jego twarz o zwisającej skórze, pełna zmarszczek, brodawek, niezwykle przez to wyrazista, odzwierciedlała wyłącznie uczucia radości i zadowolenia. Przypominał mi małe pieski; one też miały pełno fałdów na pysku i na głowie. Dziadzio lubił wino i gdy napełniano mu kieliszek, chwycił za butelkę i stawiał ją koło siebie. Pod koniec śniadania wszyscy byli już w dobrych humorach i zaczynały się cynegetyczne\* dyskusje i opowiadania. Dziadzio rej wodził w tej dziedzinie, gdyż sam był w młodości wielkim myśliwym. Raz w Karpatach — jak wspomniałem — spotkał się z brunatnym niedźwiedziem, i to tak niespodziewanie i z bliska, że nie było już czasu ani warunków na użycie strzelby. Wyciągnął więc odważnie kindżał, gdy niedźwiedź podniósł się na tylne łapy, aby objąć go przednimi. Ten sposób polowania z białą bronią był nader niebezpieczny. Niedźwiedź został zabity, ale przetrącił dziadziowi stos pacierzowy i od owego wypadku dziadzio Julian, sparaliżowany poniżej pasa, był skazany na spędzanie reszty życia w pozycji leżącej.

Stół ustawiano na werandzie, gdyż jego rozmiary nie pozwalały zmieścić go w domu. Tace, półmiski, salaterki, faski i donice z jedzeniem, suto ozdobione baziami i pierwszą zieleniną, tworzyły gustowną kompozycję. Spomiedzy nich wystawały karafki i butelki z winem, kwasem lub narzanem. Na samym środku umieszczano wielkanocnego baranka; u Polaków — z cukru z biało-czerwoną wstążeczką, u innych narodowości — z masła. Czasem widywałem baranki z ceramiki, z pełnym dziurek grzbietem; nasypywało się do nich ziemi zmieszanej z nasieniem rzeżuchy i po pewnym czasie cały grzbiet pokrywał się zieloną sierścią. W ogóle symboliczne okazy wiosennej zieleności, skrzynki z zieleniejącym jęczmieniem, doniczki z bukszpanem, słoi-ki pełne wody z kwitnącym hiacyntem itp., były ustawiane, gdzie się dało. Tradycja miała przypominać, że Wielkanoc złała się ze starodawnym świętem poświęconym powrotowi ciepłych dni i zieleności, odrodzeniu przyrody.

Przez cały Wielki Tydzień praca wrzała w kuchni i co dzień zapalano piec chlebowy. W sobotę już od rana zaczynało się nakrywać wielki stół, ustawiać talerze i półmiski. Karawany dziewcząt w fartuszkach chodziły obławowane, przecinając dom w poprzek, od kuchni i spiżarni — do werandy. Gdy już stół był gotów, przychodził czasem pop, aby go poświęcić. Machał kropidłem w powietrzu i szeroki czarny rękaw jego sukni opadał aż do łokcia, obnażając włochate przedramię. Jedni mu się przyglądali, inni pochyłali głowy z respektem i żegnali się. Dziadzio Aslan podchodził, dziękował mu i podawał koszyczek z tuzinem pisanek, na których leżało kilka rubli. Ledwie wyszedł pop, gdy babcia Władysława zaczynała wymachiwać rękami, jakby usiłowała latać czy pływać. Za pierwszym razem pomyślałem, że chyba zwariowała, i wybuchnąłem śmiechem na całe gardło. Ale wnet Lola zamknęła mi gębusię; należało szanować uczucia babci. Jako gorąca katoliczka chciała unicestwić działanie prawosławnego błogosławieństwa, gdyż w jej prze-

\* myśliwskie [cynegetyka (z gr.) — myślistwo, łowiectwo]

konaniu mogło ono sprowadzić nieszczęście na nasz dom. Babcia nieraz musiała cierpieć w milczeniu, gdyż zgodnie z przekonaniem ojca i innych męskich członków rodziny religia nie miała wielkiego znaczenia i do stołu siadali u nas wszyscy, zarówno proszeni, jak i niespodziewani goście: protestanci, unicy, Ormianie, a raz nawet Turek muzułman, który wahał zapiekana szynkę z rozkoszą, zamykając oczy, ale jej nie jadł! Gdy już wszyscy się zebrali, mamusia, albo ciocia Modzia, z talerzykiem pełnym pokrajanych jaj i widelczykami obchodziła dookoła stół życząc zgromadzonym „wszystkiego najlepszego” i dzieląc się jajkiem. Owego dnia od rana witaliśmy wszystkich, zgodnie z panującym zwyczajem, gromkim: — *Christos woskries!* — na co powitany odpowiadał: — *Wo istinu woskries!*\* — po czym można go było pocałować w policzek. Wychodzili wtedy „na połów” chłopcy starsi ode mnie oraz dorośli mężczyźni i — naturalnie — nikomu tyle razy i tak natarczywie nie życiono „Wesołych świąt!” jak ładnym dziewczętom.

Zebrani dookoła stołu podziwiali najpierw jego piękny wygląd i dekorację, lecz niezbyt długo, gdyż wzrok i węch zachęcały do wypróbowania innego jeszcze zmysłu, to jest smaku. Na stole ustawiano absolutnie wszystko, co miało być podane i co mogło być potrzebne. Służba miała wychodne od rana, w kuchni w ogóle nie rozpalano ognia i jadło się wszystkie potrawy na zimno. Nikt nie mógł więc nic podać, jeżeli czegoś brakowało, a oprócz tego był zwyczaj, by aż do skończenia posiłku od stołu nie wstawać. Dlatego to mały i spokojny pan Aznarz był postrachem wszystkich pań domu. Cekał grzecznie, aż wszyscy usiądą, potem zaś podniósłszy rękę, jakby prosił o głos, pytał: — A ogórków nie ma? — Na stole widniała niezliczona ilość produktów: pieczywo, mięsiwo, wędliny, ciasta, torty i ciasteczka, nabiał pod różnymi postaciami, sosy i dodatki... ale jeżeli Aznarz pytał o ogórki, to nawet nie patrząc i nie szukając można było mieć pewność, że ogórków nie ma! Było to doprawdy zabawne widzieć, jak tego skromnego człowieka, który nigdy nie podnosił głosu, panicznie bały się panie domu. Mogły go nie zapraszać... ale wtedy narażały się na złośliwości innych, które nie omieszkalyby zaraz skrytykować przyjaciółki: — U niej bałagan! Dość wam powiedzieć, że nawet nie próbuje tego biednego Aznarza zapraszać! — Gdy już zabrzmiało fatalne zapytanie o brakującą rzecz, wszyscy rozkładali serwetki i zaczęli jeść z apetytem. Potrzeba podawania sobie i częstowania się nawzajem stojącymi nieraz daleko półmiskami dodawała ciepła i tak już przyjaznej atmosferze. Oprócz zwyczajnych rzeczy na każdym wielkanocnym stole pamiętam szynkę pieczoną w cieście, różne pierogi, pełne kandyzowanych owoców przekładańce, kulicz, kręcelniki, kulebiak etc. Królowały jednak na stole baby, wielkie, rumiane, majestatyczne. Przygotowywanie ich należało do najtrudniejszych rzeczy w wielkanocnym programie. Gdy rośło w dzieżach delikatne ciasto, nie wolno było głośno mówić i trzeba było chodzić na palcach. Walcowate blaszane formy wstawiano do pieca, gdzie baby dalej rosły i nieraz głową opierały się o rozpalone sklepienie, wytwarzając chrupiącą skórkę, uważaną przez smakoszy za rarytas. Sławne były baby z tyńskiego pałacu, gdyż wuj Teofil miał specjalny, wysoki prostopadłościenny piec do ich pieczenia, rozpalany tylko raz do roku. Pieczone w dwuarszynowych formach, baby te dochodziły nieraz do trzech arszynów wysokości i mimo wielkich rozmiarów pałacowej jadalni wyglądały tam imponująco, gdy królowały na środku wielkanocnego stołu.

---

\* *Christos...* (ros.) — Chrystus zmartwychwstał! Prawdziwie zmartwychwstał!

Uczta zaczynała się wcześniej, około jedenastej, i kończyła się o drugiej. Potem mogliśmy czekać na wizyty lub sami jechać kogoś odwiedzić. Tyrnowo było na przykład ulubionym miejscem, gdzieśmy się wszyscy spotykali. Kiwając się na swoim krześle babcia krzywiła się w grymasie i rzucała niechętnie:

— To jest obzarstwo dzikiego, pogańskiego kraju. U nas, w Galicji, dobre wychowanie nie pozwala na podobne sceny!

Kiedys usłyszał to dziadzio Asłan i odparł:

— Pewnie, że nie. Ale powoduje to nie dobre wychowanie, ale zwyczajny głód. Dlatego wasza ziemia nazywa się Golicja i Głodomeria! Zresztą... gdybyś miała tam dość jedzenia, tobyś nas tu teraz nie obżerała!

— Och! Jezus! Co ja słyszę! — pisała babcia. — A w końcu wy sami się pochorujecie!

— Ty już o nas się nie martw! — warknął dziadzio. — *W russkom briuchie i doloto zgnijot!* \*

Dzień następny, drugi dzień świąt, czyli poniedziałek, był dla mnie i moich towarzyszy równie ważnym dniem jak pierwszy. Wrzeszcząc: — Śmigus! Dyngus! — wybiegaliśmy z domu w poszukiwaniu odpowiednich dla naszej akcji obiektów. *Gorniczne*, *Nastka*, *Fanika* i inne dziewczęta, były naszymi ulubionymi ofiarami. Poważnych osób, takich jak babcia *Niunia*, ciocia *Modzia*, pani *Helena*, nie wolno nam było tykać. Panowie też je polewali, ale wodą kolońską albo perfumami; obie rzeczy niedostępne dla takich zwykłych zabijaków jak my. Kiedys przyjechał *Wania*, nasz „naukowiec”. Zbliżył się do *Mlle Juliette* i pokazał jej bukietek fiołków w butonierce.

— *Oh! Les premières violettes de l'année!* \*\* — zawołała moja nauczycielka z zachwytem. I raptem wrzasnęła: — *IIII! Eiiiiii!* — rzucając się wstecz. Od bukietka prowadziła gumowa rurka, zakończona gruszką pełną wody, którą „naukowiec” pocisnął, gdy włożył rękę do kieszeni.

— *Oh! Mes excuses!* \*\*\* — zawołał *Wania* niby zmartwiony: — Taki jest przykry zapach naszych fiołków dla tego delikatnego francuskiego noska?

Resztki jadła stały na stole prawie przez trzy dni i co chwila podbiegał doń, aby nasycić nasze apetyty. Wreszcie ciocia *Modzia* rozkazywała sprzątnąć, co zostało, ze stołu i złożyć go. Tak się kończył pogański napad pantagruelicznego szau, jaki nawiedzał nas około Wielkanocy.

### Elegancy krawcy bryczawscy

Raz w roku, na wiosnę, sprowadzał ojciec dwa pełne szarabany Żydów, młodych i starych, do *Skajan*. Byli to krawcy z *Bryczawy*, pobliskiego żydowskiego miasteczka, gdzie koncentrowało się życie handlowe i rękodzielnicze. Przygotowywano im u nas pomieszczenia za mleczarnią, w której co rano wyły cienkim głosem dwa separatory *Huskvarna* szwedzkiej produkcji. Trochę później nadjeżdżał ciężki *kar* załadowany maszynami *Singera*, żelazkami, materiałami, pudełkami pełnymi przyborów do szycia. Kupione pod-

\* *W russkom...* (ros.) — Rosyjski brzuch i dluto strawi!

\*\* *Oh! Les premières...* (fr.) — Och! Pierwsze w tym roku fiołki!

\*\*\* *Oh! Mes excuses!* (fr.) — Och! Przepraszam!

czas podróży za granicę, otrzymane w prezencie lub przyniesione przez Węgra materiały chowano i gdy przyszedł odpowiedni czas, oddawano żydowskiemu krawcom do uszycia. Idąc równym, nie zdradzającym znużenia krokiem, z przypiętym rzemieniem na plecach skórzanym kufrem nieprawdopodobnych rozmiarów, pojawiał się Węgier z wiosną na oswobodzonych od lodu i śniegu drogach, gdy tylko wyschły błota i pierwszy kurz osiadł na czarnej ziemi. Powracający co roku handlarz był już naszym znajomym i szedł od razu na werandę, gdzie ciężko stękając spuszczał swój cenny kufer na ziemię. Schodziła się wtedy cała rodzina, głównie kobiety, by asystować przy otwarciu kufra. Wśród okrzyków podziwu rozwieszał Węgier swoje skarby po całej werandzie, aby lepiej je wyeksponować. Były tam materiały wełniane, bawełniane, jedwabie i koronki na firanki, cienkie i grubsze, w różnych kolorach i gatunkach.

Krawcy z Bryczawy dostawali więc do roboty stos materiałów najróżniejszych, a dodatkowo ubrania do naprawy, moje zaś prócz tego do poszerzenia i podłużenia, gdyż w owym czasie rosłem bez przerwy. Od razu pierwszego dnia zrobiła się awantura. Ciocia Modzia wpadła z rozwianym włosom, gdy siadaliśmy do stołu, wołając, że ona tego nie wytrzyma, że ci Żydzi ją do grobu wpędzą! Otóż Żydom przygotowywano strawę osobno, w specjalnych rondelkach. Mięso koszerne przywoził dla nich Bojum, inne produkty pochodziły z naszej spiżarni. Ale na worek z kaszą spadała wyżej zawieszona kiełbasa, a kucharz Aleksander zapytany o osobny rondel do gotowania mleka pomylił się i wskazał na taki, w którym gotowała się kura. Wydelegowany na inspekcję krawiec uderzył na alarm, kuchnia napelniła się krzyczącymi i gestykulującymi Żydami, którzy bez ceremonii otwierali szuflady i podnosili pokrywki rondelków. Oburzony Aleksander chciał ich ze swego królestwa wyrzucić, ale został zelżony i popchnięty, tak że aż potknął się o stojący obok stołek i przewrócił. Wobec tego wyciął w pysk najgorliwiej machającego rękami krawca. Inni rzucili się na Aleksandra, aby go obezwładnić, zaczęły spadać rondelki i rynki, ich zawartość wylewała się na podłogę. Jedni się poparzyli, inni poślizgnąwszy się w sosie usiedli na pierogach, zupa kapiała z chałatów, zrobiła się awantura na całego. Dopiero sprowadzeni przez przerażoną Nastkę Munio, Siańka i Jakub wymachujący biczyskiem nad głową zdołali Żydów okiełzać i z kuchni wyrugować. Ale... zostaliśmy bez obiadu.

Oburzony do głębi Aleksander zawiesił w kuchni na gwoździu swoją dubeltówkę i kładąc jedną ręką na kolbie, a drugą podnosząc z wyciągniętymi dwoma palcami w górę, poprzysiągł, że zastrzeli pierwszego Żyda, który wlezie mu do kuchni. Skończyły się więc kontrole garnków i na drugi dzień wszyscy krawcy siedzieli rzędem na ławkach i pilnie szyli, starając się nie patrzeć nawet w stronę kuchni.

W piątek po południu krawcy przestali pracować i zabrali się do sprzątania pokoju, w którym znajdowała się pracownia krawiecka, podnosząc miotłą tumany kurzu. Skrojone już i pofastrygowane ubrania złożono w kącie. Pod wieczór zamknięto drzwi i zakazano nam wchodzić. Co się tam działo? Ciekawość pożerała mnie, nie mogłem niczym się zająć i kręciłem się niezdecydowany po podwórzu. Raptem olśniło mnie: Okno! Zaglądając przez okno, można było zobaczyć, co robią krawcy w pracowni. Razem z Miską i Jakubem obeszlśmy budynek gospodarski i zaczęliśmy się skradać do okna szwalni. Podniosłem się powoli i rzuciłem spojrzenie do wnętrza. Pracownia była jasno oświetlona, paliły się dwie wysoko umieszczone lampy naftowe. Skamieniałem ze zdumienia na widok krawców. Bo chyba to byli oni?... Zwró-

ceni wszyscy w tę samą stronę, siedzieli na ławkach i kiwali się w takt marmotanej modlitwy. Połączone głosy zlewały się w monotony harmider, coś niby gruchot kamieni w drewnianej becze. Najdziwniejszy był strój: jakby biała koszula w czarne pasy. Wyglądali w tym jak afrykańskie zebry. Lewe przedramię mieli owinięte grubym rzemieniem, tak ściśniętym, że między zwojami wypychał skórę. Inny rzemień opasywał głowę i przytrzymywał na czole coś dziwnego, coś jakby pudełko z ciemnego drzewa. Byliśmy tak zaskoczeni tym niesamowitym widokiem, że wszyscy trzej, zapominając o niezbędnej ostrożności, przylepiliśmy twarze do szyb. Mimo przejęcia, z jakim się modlili, krawcy zaraz nas odkryli. Jeden z nich wstał i zaciągnął na okno firanę, odbierając nam możliwość dalszej obserwacji. Przy kolacji opowiedziałem o niezwykłej scenie, jaką odkryłem patrząc przez okno pracowni. Wywiązała się rozmowa, która pozwoliła mi pojąć sens nowo poznanych zjawisk i otworzyła oczy na nie znane dotąd sprawy.

— To nie żadna koszula! — objaśnił ojciec znający obyczaje żydowskie. — To *tales*, pasiasty szal, który za życia służy Żydowi do modlitwy, a po śmierci za całun. W skrzyneczce przytrzymywanej rzemieniem na głowie jest jakaś skopiowana kartka z Talmudu i nazywa się to *tefilin*.

— U nich łatwo na niebo zasłużyć! — zawołał sarkastycznie Munio. — Wystarczy mleko w osobnym garnku gotować, pejsy nosić i nie jeść szwiny! Obecni wybuchnęli śmiechem, ale ku mojemu zdumieniu wydawało się, że ojciec bierze Żydów poważnie:

— Oni idą za rozkazami swojego Boga — powiedział jakby na ich usprawiedliwienie.

— A czemu mnie Bóg nie zakazał kielbasy? — rzucił Munio zaczepnie.

Naturalnym tonem, jakby to było coś najzwyklejszego, ojciec powiedział coś, co zmąciło mi w głowie moje dotychczasowe pojęcia.

— Bo ich Bóg nie życzy sobie tego samego co twój Bóg.

Munio też widocznie zgłupiał:

— To ich Bóg nie jest ten sam co i nasz? — spytał. — W takim razie iluż jest Bogów na świecie?

Zapanowało milczenie, widocznie wszyscy się zastanawiali.

— Wielu — rzekł ojciec. — Każda religia stara się mieć swojego, osobnego...

Raptem usłyszeliśmy trzask przewracanego krzesła. Babcia Władysława porwała się z miejsca, podnosząc ręce i wołając histerycznym głosem:

— Matko najświętsza! Bóg jest tylko jeden, nasz! Katolicki! A nie żydowski ani prawosławny! — i biegnąc ku drzwiom jęczała: — Jezul! Co ja tu muszę wysłuchiwać w tym bezbożnym domu!

Oniemieliśmy z wrażenia. Zabrzmiął śmiech dziadzia Asłana:

— Ona chce powiedzieć, że wszyscy mamy uznawać tylko tego Boga, który jest w Rzymie, wymalowany na ścianie Watykanu!

Po kilku dniach ten zadziwiający temat teologiczny został całkiem zapomniany. Jeszcze raz podczas pobytu u nas bryczawskich krawców powrócono do tematu religijnego, kiedy ubrania były już poszyte i przybyli młodzi krawcy, specjaliści od prasowania. Byli całkiem inni niż starsi Żydzi; nie nosili chałatów ani jarmulek, nie mieli pejsów i podobno inni Żydzi ich krytykowali za „bezbożność”.

— Jakie tam chałaty! — zawołał Munio z podziwem. — Oni są naprawdę eleganccy! Gdyby nie nosy, nikt by nie poznał, że to Żydzi! Widzieliście ich marynarki na sześć guzików? A ich spodnie najnowszego kroju, wąskie w ko-

lanie, szerokie u dołu, takie jak noszą marynarze floty czarnomorskiej w Odesie?

Prasowanie było wtedy trudną — i połączoną z dużą odpowiedzialnością — sztuką. Starsi krawcy, świadomi tej wielkiej odpowiedzialności, bali się brać żelazko do ręki. Nie było wtedy żelazek elektrycznych, tylko dawne, z lanego żelaza, na węgiel drzewny. Na przodzie widniał śmieszny, mały kominiek. U dołu znajdowały się półokrągłe otwory, a trójkątna przykrywka z rączką, zaopatrzona w wielkie żelazne zęby, przypominała po podniesieniu paszczę krokodyla. Z tego prawdziwego pieca małych rozmiarów wychodził przez kominiek swąd przypalający o ból głowy, przez boczne zaś otwory wylatywały iskry i nawet rozżarzone węgielki, które mogły w jednej sekundzie wypalić dziurę w prasowanym ubraniu. Woleli starsi krawcy narzekać potem na młodych niż sami narażać się na wyrzuty. Obserwowałem więc przez kilka dni, jak eleganccy młodzieńcy rozniecali ogień w żelazkach, stając rzędem na podwórzu z rozstawionymi nogami i nadając żelazkom ruch wahadłowy. Po smugach dymu zaczynały wylatywać z otwartej paszczy kłęby iskier i trzeba było machać żelazkiem do momentu, gdy węgiel zaczynał się równo żarzyć. Od tych specjalistów nauczyłem się prasowania spodni przez mokrą szmatę, umiejętność, która w późniejszych studenckich latach bardzo mi się przydała; może dlatego tak dobrze pamiętam ten „krawiecki miesiąc” w Skajanach.

### Pożegnanie czabanów i karakułów

Zgodnie ze zdaniem najpoważniejszych czabanów zbliżało się lato gorące i suche. Dziadzio Asłan, ojciec, Munio, wataha Wańka i inni — marszczyli czoła i rzucali spojrzenia w różne strony w poszukiwaniu tajemniczych, im tylko znanych znaków przepowiadających pogodę na najbliższą porę roku. Jedni obserwowali kolor dziobów bocianów i żurawi, inni sposób opadania liści z drzew i nawet to, którą nogą skrobał się pies Turok, znający się podobno na pogodzie jak nikt. W owym czasie poważnie traktowano ten proceder przewidywania przyszłej aury, nie istniał bowiem żaden inny — bardziej naukowy. Po naradach zdecydowano więc, że stada karakułów mają przenieść się tego lata na inne, dalekie pastwiska.

— Jutro... — ogłosił Munio — pożegnanie czabanów i karakułów!

Przybyliśmy na tłokę całą bandą: Miszka, Jakub, Grisza, Witia i ja, rozglądając się za jedzeniem. Było tu już dużo ludzi: chłopci, którzy porzucili pracę w polu, gospodynie w czystych fartuszkach, dziewczęta w odświętnych chustkach na głowie i chłopcy kręcący się bez przerwy i manewrujący tak, aby stale znajdować się blisko dziewcząt. Z boku stały szarabany pełne beczulek z ogórkami i bryndzą, a ponadto koców, worków, siekier i innych potrzebnych do podróży rzeczy. Na środku tłoki stali w grupie czabani, wyróżniający się strojem. Byli ubrani w owcze skóry, w fantazyjnych czapkach futrzanych na głowach, obwieszeni chlebakami i workami, obuci w czarne, pofałdowane buty, z sękatymi, z wiśniowego drzewa kosturami w rękach. Po chwili rozmowy z ojcem wyciągnęli *wioary* i grając zaczęli oddalać się w stronę pól. Szedł za nimi duży, czarny oswojony baran. Młodzież słysząc muzykę zaczęła tańczyć *dojnę*, ale wnet pomieszały się im szyki. Coś się tam

stało, chłopcy skakali i biegali, dziewczęta pokrzykiwały. Stojąca obok mnie Nastka chwyciła za spódnicę, pod którą coś się ruszało i kotłowało. Raptem podniosła się z jednej strony pasiasta *fusta* i pokazał się czarny łebek, a za nim wyskoczyła cała owca. Karakuły zalały tło, rozpychając uciekających ludzi, i szeroką falą ruszyły za czabanami, becząc i popychając się nawzajem w pośpiechu, jakby im było pilno do soczystych łąk, które czekały na nie przy końcu długiej migracji. Gdy przepłynęła czarna fala, ukazały się owczarki i chłopcy pomagający czabanom. Ruszyły też wozy z ekwipunkiem, do których rodzina lub przyjaciele jeszcze coś dorzucali w ostatniej chwili.

— Łajka! Łajka! — zawołała Nastka i pogłaskała przebiegającą suczkę, która zaraz wyrwała się i pobiegła co prędzej za stadem.

Tupot tysięcy nóg, beczenia, szczekanie psów i kołatanie dzwonków przytłumiały muzykę oddalających się czabanów. Rozbrzmiewały pożegnalne okrzyki.

— *Remyj sanatos!* \* Pamiętaj, żebyś nie uganiał za *katryncami!*

— *Bud'tie zdrowy!* \*\*

Starszyzna omawiała jeszcze przed stołem z wódką, chlebem i ogórkami szanse na znalezienie dobrej trawy. Tymczasem czarne stado karakułów, ledwo widoczne w dali, zbliżało się do linii, gdzie kończyła się trawa, a zaczynały chmury.

### Jedziemy na odaję!

No! Nareszcie skończyłem zadania i pięć razy przepisałem dwadzieścia cztery wyjątki na „jat”. Wyleciałem jak burza, otwierając z trzaskiem drzwi gabinetu i krzycząc:

— Hurrrraaa! Teraz jedziemy na odaję!

Pobiegłem w kierunku stajni. Akacje odcinały się delikatną koronką na błękitie nieba. Na podwórzu nie było nikogo. Słońce pochylało się już ku zachodowi i zelżał trochę suchy upał kanikuły. W powietrzu pachnącym plewami unosił się kurz młocki; miecione lekkim wiatrem słomki połyskiwały jak złote rybki i opadały gasnąc w wydłużające się za chatami cienie. Osiodłałem Muca i ruszyłem galopem w stronę *odai*. Minąłem *rypę* i w środku wsi spotkałem wóz załadowany snopami, ciągniony przez parę powolnych wołów; przed nim szedł chłop mołdawski w białym lnianym stroju, od którego odcinała się czarna kamizelka i buty. Prowadził woły cienkim rozwidlonym na końcu kijkiem z wiśniowego drzewa, opierając go na jarzmie. Uśmiechnął się pod wąsem na mój widok i ostrzegł mnie:

— Ostrożnie, Stasik! Powoli!

Minąłem go galopem, ocierając się o słomę. Wszędzie, na bocznych i głównych drogach, widać było wozy załadowane słomą lub snopami, tak wysokie, że wystawały ponad dachy chat. Pod ścianami stały worki ze zbożem, a po ulicach wioski chodziły dziewczęta z grabiami lub widłami. Na ramieniu. Na każdym wolnym miejscu wznosiły się ogromne sterty złotej słomy, w powietrzu wirowały plewy i wszystko wokół wskazywało, że jest to czas młocki. Wieś została za mną, niezmordowany Muc galopował już od chwili po polnym

---

\* *Remyj...* (mołd.) — Bądźcie zdrowi!

\*\* *Bud'tie...* (ros.) — Bądźcie zdrowi!

sogłówk. Ukazały się na horyzoncie złote góry słomy i doleciał mnie huk młockarni na naszej *odai*. Już widać było komin lokomobili i niebieskawcy, unoszący się lekko w górę dym na tle jasnych stert. Na placu dwóch parobków kopało dół, wyrzucając czarną jak węgiel ziemię na zieloną trawę. Obok klęcząca kobieta myła przechylony ogromny kocioł miedziany, mieszcząc się w jego wnętrzu, obrócona tyłem do wylotu. Zaprowadziłem Muca do stajni i rozsiadłem go, aby odpoczął. Nałożyłem mu konopną kantarke — jak troskliwa żona, która podaje piżamę mężowi, gdy zmęczony wróci do domu — i nasypałem do żłobu obroku. Wolny od obowiązków, wypuściłem się na inspekcję *odai*. *Odaja!* Dla mnie raj wrażeń i królestwo niespodzianek! Tam mogłem podziwiać nowe maszyny, uczyć się od zręcznych rzemieślników, oglądać żywe i martwe zwierzęta, brać udział w niezwykłych przygodach, przesiadywać na wieczornicach. *Odaja!* Miejsce wydarzeń niespodziewanych, odkryć zadziwiających. Tam nie istniał dla mnie czas i godziny pędziły jak najszybsze jaskółki na niebie mego życia, zaczynającego się dopiero i wydającego się wówczas nieskończonym. Pamiętam, jak obok lokomobili wciąż rosły stosy słomy. Kanadyjski inżynier, który przyjechał z maszynami, zaczął się śmiać:

— Słoma! Nie dla naszych maszyn takie paliwo. Nawet jajka na tym nie usmażycie!

Na maszynach się znał, ale nie na besarabskiej zaradności. W mig wygrzebano pod lokomobilą głębokie palenisko i obmurowano limpaczem, a od niego przekopano rów prowadzący do kupy słomy. Rząd chłopców popychał widłami słomę w rowie w stronę paleniska, gdzie grzmiał potężny ogień, gdyż słoma, choć pali się szybko, daje więcej ciepła niż węgiel. Ruch wideł nie mógł ustać ani na chwilę, gdyż ogień mógłby się dostać, idąc pod prąd tej złotej rzeki, do sterty i spowodować pożar. Paliła się więc pod lokomobilą słoma, buchając żarem, który dodany do letniego upału wydawał się wprost piekielny. Z daleka widać było otaczające maszynę drżące halo, coś jakby aureola dookoła głowy świętych. Płomienie wpadały w impecie do rur kotła, do popielnika i chciały wydostać się na wolność przez komin. Ale w okrągłej czaszy, przypominającej kształtem turban turecki, czekała na nie oczyszczająca kąpiel — jak chrzest w Jordanie. Uspokojone, obmyte, pozbawione już płonących żdźbeł i iskier, zmienione na parę i nieszkodliwy dym, nie przypominające niczym swego pierwotnego wyglądu, rozkwiwały szerokim pióropuszem na niebie. Znużeni pracą, zziębnięci w upale, wszyscy coś popijali bez przerwy. Jedynie palacz, pracujący tuż przy ognistym wulkanie ze słomy, nie pił nigdy. Na jego skinienie smagły chłopiec chlustał nań wodą, którą nosił wiadrami ze studni. Nad mokrą, lnianą koszulą rozkwiłał wosaty uśmiech zadowolenia:

— Sam Belzebub nie jest tak szczęśliwy jak ja! — wołał i wszyscy nastawialiśmy ucha, bo dowcip i humor palacza cieszyły się powszechnym uznaniem na *odai*. — Grzbiet grzeje mi nasz car-słońce, a brzuch moja żoneczka-lokomobila!

Biegły szczęśliwe godziny na *odai*. Słońce pochylało się ku zachodowi. Czego bym nie dał, żeby zatrzymać jego bieg. Sterty ze złotych zmieniały się w ogniste. W ostatnich promieniach zachodu *odaja* zdawała się płonąć. Woznice ustawili rzędem zaprzęgnięte szarabany wymoszczone słomą. Ojciec wyciągnął zegarek. Długo i smutno zabrzmiał gwizd lokomobili. Na dziś praca była skończona.

Wśród krzyków i śmiechów sadowiły się dziewczęta na wozach, gdyż każda, według zwyczaju, musiała być w domu przed zapadnięciem nocy. Natomiast Ukraińcy, z których część wynajmowała się do młocki po skończo-



ných żniwach, spędzali noc na *odai*. Nieraz udawało mi się uzyskać pozwolenie ojca na zostanie i zjedzenie kolacji z Ukraińcami. Czy lepsza była mamałyga z wielkiego wspólnego kotła? Czy sama świadomość, że jestem na *odai*, dodawała mi apetytu? Brałem miskę ze stołu i stawałem w ogonku, który posuwał się powoli. Chłopcy dowcipkowali, zaczepiali dziewczęta. Słychać było chichoty, czasem wybuchały gwałtowne śmiechy. Widziałem przed sobą smagłą szyję, wystającą z białej, wyszywanej bluzki, i czarne, wymykające się spod chustki włosy. Czułem, że dobrze byłoby coś do tej dziewczyny zagadać, żeby nie okazać się gorszym od innych chłopców, ale jakoś nic mi do głowy nie przychodziło. A zresztą... wtedy mnie to mało interesowało. Miałem maszynę w głowie. Doszedłem wreszcie do rozdzielającej jedzenie klucznicy. Nałożyła mi aromatycznej mamałygi z kotła, drewnianą kopystką nabrała bryndzy z beczki i dodała solonego ogórka. Z pełną już miską chodził każdy po łące, wybierając miejsce, gdzie by usiąść i w towarzystwie przyjaciół zjeść wieczerzę.

— Stasik! Usiądź tu! — zawołała mnie Marioara. — Wracasz dziś do domu na noc? Bo ja... — i uśmiechnęła się jakby dwoma płatkami polnego maku — nie ma mamy... ja zostaję na noc na *odai*.

### Statkiem na Dniestrze

Znów minął rok i znów wypadło mi jechać do Mohylowa. W naszej okolicy nie było gimnazjów, uczyłem się więc w domu z korepetytorem, ale musiałem potem zdawać państwowy egzamin, aby móc przejść do klasy następnej. Podróż przeszłoroczna wykazała, że odległość była zbyt duża, aby odbywać ją wyłącznie zaprzęgiem konnym. W tym roku miałem jechać końmi tylko do Jampola, a potem już statkiem do Mohylowa. Siedziałem rozwalony na tylnym siedzeniu czarnego powozu, rozrzucając szeroko ręce i nogi, bo było gorąco. Widziałem kiwającą się na tle nieba furazkę Jakuba tkwiącego na koźle. Odpływały wciąż do tyłu pola słoneczników, kukurydzy, pszenicy i kawałki stepu. Obiad, składający się z zimnej mamałygi z bryndzą i chleba z kiełbasą, zjedliśmy w drodze, bez zatrzymywania się. Stanęliśmy tylko przy studni z długim żurawiem, by napoić konie. Pod wieczór ukazał się Dniestrowy jar, pełen zieloności. Między liśćmi szarzała woda wielkiej, majestatycznej rzeki. Gdy zbliżyliśmy się do brzegu, ujrzelśmy spacerujących pod drzewami odświętnie ubranych ludzi.

— Nie myślałem, że w Jampolu jest tyle narzeczonych! — burknął Jakub, bo musiał wciąż wołać na chodzące wzdłuż drogi parki, aby ustąpiły z drogi.

Wysadził mnie na brzegu, koło przystani, podał rękę i śpiesznie odjechał, gdyż Skajany były daleko. Stałem przez chwilę obok moich rzeczy, ścisnąc portmonetkę w ręce, pod wrażeniem nagłego osamotnienia. Zobaczyłem kiosk i dziewczynę w okienku, podszedłem więc bliżej:

— Słuchaj! — zawołałem do kasjerki. — Kiedy odchodzi parostatek do Mohylowa? Ja jadę do Mohylowa, rozumiesz?

— O siódmej — odpowiedziała dziewczyna, wprawdzie po mołdawsku, ale z dziwnym akcentem. Wydała mi bilet, za który zapłaciłem grzebiąc w mojej portmonetce, obróciwszy się bokiem, aby nie było widać, ile mam pieniędzy.

— Jak się nazywasz? — spytałem groźnym tonem. — Muszę wiedzieć, komu zostawiam mój *czemodan*.

— Wanda! — odpowiedziała. I dodała: — Tyś tutejszy? Bo jeżeli nie, powinienes zwiedzić Jampol. Ja jestem Polką... Czytałeś Trylogię Sienkiewicza?

— Hm... — chrząknąłem, bo nie chciałem się przyznać, że czytywałem tylko „Moje Pisemko”. — Ja jestem Mołdawianin! — i z mołdawskiego przeszedłem na polski.

— Och! — mówiła dalej Wanda, wcale nie zrażona. — Tu jest cały nastrój Trylogii, piękne, oryginalne nazwy i nazwiska, a w każdym jarze można spotkać pokutującą duszę Bohuna! Jeszcze jest czas, powinienes zwiedzić Jampol!

Zostawiłem swój *czemodan* z mundurkiem gimnazjalnym i książkami pod pieczę uprzejmej Polki, a sam wyruszyłem w stronę miasta. Na ulicach w słońcu unosił się kurz, a w cieniu stały błotniste bajora. Było tu dużo Żydów w czarnych chałatach i jarmułkach, wybiegali na chodnik zastępując mi drogę, zachwalając swoje towary i starając się wciągnąć mnie do sklepu. Jeden z nich pogłaskał mnie po rękawie i nazwał „paniczem”. Zawrząłem ze złości, bo u nas była to obelga, ale właśnie zobaczyłem dorożkę. Zatrzymałem ją i wyrecytowałem jednym tchem:

— Jestem Mołdawianinem, przybyłem ze Skajan, chcę zwiedzić Jampol! Zabytki z Trylogii! O siódmej muszę być na przystani, aby wsiąść na statek do Mohylowa. Ile to będzie mnie kosztować?

*Jamszczik* odsunął furażkę na tył głowy, popatrzył na mnie zdumiony i splunął elegancko w bok, aby we mnie nie trafić.

— Cooo? — zapytał.

Jeszcze raz powtórzyłem, o co mi chodzi.

— Trylogia! — wołałem. — Jampol Sienkiewicza!

— Jeden rubel! — rzekł wreszcie *jamszczik* zrozumiawszy, o co chodzi.

— Żadne takie! — wykrzyknąłem oburzony, pamiętając, jak w Bryczawie wszyscy się zawsze targowali. — Dam pięćdziesiąt kopiejek! — ale widząc, że woźnica się godzi, żal mi się zrobiło: — Dwadzieścia pięć kopiejek wystarczy!

— Pięćdziesiąt, ale zaraz! — zgodził się *jamszczik*.

— Nie! — uparłem się: — Dwadzieścia pięć z góry i potem dwadzieścia pięć drugi raz, ale jeżeli nie spóźnimy się na statek! *Poniał?* \* — dodałem, widząc, że się waha.

Na jego twarzy widać było zdumienie. Namysłał się, pilnie mi się przyglądając. Wreszcie westchnął:

— Nu, cóż robić... Zgoda!

Jampol, oglądany z dorożki, wydał mi się ładnym miastem. Może dlatego że wszystko było dla mnie nowością. Na ulicach stały kioski, gdzie sprzedawano *siemiaczki*, małe porcje chałwy lub rachatłukum. Trochę dalej wznosiły się dache w pięknych ogrodach pełnych kwiatów i drzew obwieszonych owocami wszelkiego rodzaju. Na placu stał jakiś pomnik i wydał mi się zabytkiem z Trylogii. *Jamszczik* zawrócił i puścił konia kłusem. Po chwili znaleźliśmy się nad rzeką. W oddali widać już było biały statek z czerwonym kominem, nad którym unosił się dym. Mogłem już przeczytać

---

\* *Poniał?* (ros.) — Zrozumiałeś?

jego nazwę: „Czajka”. Zapłaciłem woźnicy, odebrałem *czemodan* i gdy położono kładkę, wszedłem na pokład zdecydowanym krokiem.

— Komu towarzyszy to dziecko? — spytał kapitan, gdy mnie zobaczył.

— Jest ze mną! — usłyszałem za sobą głos Wandy. — Ale ja go tylko odprowadzam na pokład, potem już zostaje sam!

— My tu nie mamy mamek! — krzyknął kapitan, śmiejąc się zresztą. — Nie chcę tu dzieci!

— Ja odżywiam się od dawna mamałygą! — krzyknąłem urażony. — Może pan soskę zachować dla siebie! Kto mi ubliży, nie popróbuje napiwku z mojej portmonetki!

Usłyszałem parę śmiechów na pokładzie. Jakiś młody marynarz spojrział na portmonetkę i schylił się po mój *czemodan*.

— Dobrze, dobrze! — rzekł wreszcie kapitan pojednawczym tonem. — Wsiadaj, urządzimy się jakoś!

Marynarze uśmiechali się do mnie z sympatią. Teraz dopiero rozejrzałem się dookoła z ciekawością. Słychać było hałaśliwy motor pod pokładem, pachniał gorący olej, na mostku stał sternik obok swego koła.

— Jest tu jakiś salon, gdzie mógłbym się uczyć i gdzie by nikt mi nie przeszkadzał? — zapytałem kapitana.

Na jego skinienie marynarz zaniósł mi *czemodan* po schodkach do jadalni i usadowił mnie przy stole. Poczułem, że statek już płynie. Pasażerowie byli na pokładzie, podziwiali widoki, pokazywali sobie bielejące na zboczach jarów domy, opowiadali o swoich posiadłościach. Wyciągnąłem podręcznik chemii... sól Berthelota... tego miałem się uczyć. Czytałem: „Wziąć kawałek drzewnego węgla, wyciąć w nim otwór okrągły i wrzucić do niego pewną ilość saletry”. Rzuciłem okiem przez okrągłe okienko na niedaleki brzeg, niski, błotnisty, zarośnięty szuwarami. „Gdy wtedy przyłożyć zapalstkę...” — czytałem dalej, ale nie dokończyłem zdania, bo ujrzałem grupkę żurawi brodzących w wodzie przy brzegu i wcale nie przerażonych falami, bryzgami i hałasami naszego statku. Przeciwny brzeg wznosił się nad nami, wysoki i szkarpaty, miejscami zieleniejący bujną ogrodową roślinnością. Od czasu do czasu otwierała się w nim wyrwa bocznego jaru i wzrok sięgał daleko, aż do horyzontu. Wnet zauważyłem, że statek posuwa się pod prąd z trudnością. Gdyby miał koła toczące się po ziemi, nasza szybkość byłaby ze dwa razy większa. Zamiast płynąć środkiem rzeki zmieniał wciąż kierunek, starając się omijać liczne mielizny, niektóre dobrze znane sternikowi, inne zaś, być może nowo powstałe, zaznaczone wysokimi tykami wbitymi w dno, zresztą niewidoczne pod szarą, mętnawą wodą.

Raptem rozległ się jakby grzmot. Zadrżał statek w żebrowaniach; było to coś jakby burza i trzęsienie ziemi zarazem. Zafalowała podłoga i stół wraz z otwartym podręcznikiem podjechał mi pod nos. Wydało mi się, że chce wybuchnąć mi w twarz „sól Berthelota”. Porwałem się z miejsca i wybiegłem na pokład po schodkach, wrzeszcząc:

— Toniemy! Toniemy! — i stanąłem zdezorientowany widząc, że ludzie siedzą spokojnie na ławkach. Sternik obrócił głowę w moją stronę.

— To nic! — rzekł kapitan — Dotknęliśmy mielizny.

Zgłupiałem. W moich lekturach, w opowiadaniach o dalekich krajach sceny tonięcia statków były przerażające. Kobiety krzyczały, dzieci płakały, rzucano do wody pasy ratunkowe dla tonących, a kapitan wkładał nogę w żelazny pierścień na pokładzie, aby pójść na dno razem ze swym statkiem. Z żalem zaobserwowałem, że nic podobnego nie działo się wokół mnie. Wró-

ciem na dół, zmartwiony. Widocznie kapitan nie czytał tych opowiadań, które ja znałem! — pomyślałem i wnet zasnąłem na kanapce.

Gdy się zbudziłem, było już jasno i statek stał przycumowany do drzewa przy mohylowskiej przystani. Wstałem, przeciągnąłem się, zaczesłem włosy rozcapierzonymi palcami i zacząłem wkładać mundur. Ten sam co w Jampolu marynarz przyszedł po mój *czemodan*. Kapitan aż zagwizdał z podziwu, gdy zobaczył mnie w mundurze, zasalutował i powiedział mi na pożegnanie:

— *Zdrowia żelaju, gospodin gieniera!* \*

Drogę do gimnazjalnego gmachu znałem dobrze i wnet zatrzasnęły się za mną wysokie dębowe drzwi, za którymi zostało słońce, swoboda i niezwykle przygody na Dniestrze.

Cały dzień trwały egzaminy. Powiodło mi się lepiej niż innym chłopcom. Wyrecytowałem wyjątki na „*ja*” w takim tempie, że aż: — *Wolniej! Wolniej!* — wołali zdumieni profesorowie, a jeden wygłosił sentencjonalnie: — *Tisze jediesz, dalsze budiesz!* — Zadowolony z siebie, pod wieczór wsiałem znów na statek i rano spotkałem się z Jakubem w Jampolu. Pomimo munduru Prokus i Krakus zaraz mnie poznały i zarżały przyjaźnie na mój widok, za co pocałowałem, wzruszony, każdego konia w nos.

Tydzień później wybuchnęła niespodziewana bomba. Osobnym pismem dyrektor gimnazjum zawiadomił ojca, że... zryłem z historii naturalnej. Ojciec był wściekły. Ja zaś stałem zupełnie złamany. Przypominałem sobie każde pytanie profesora. Przecież to był mój ulubiony przedmiot! W całej okolicy słyszałem jako spec od przyrody.

— Pomyśleć, że gramatykę i *glagoly* — krzyczał ojciec machając nieszczęsnym listem w powietrzu — że ortografię i wszystkie dwadzieścia cztery wyjątki na „*ja*”, arytmetykę i ułamki, wszystko to umiałeś doskonale! Jak mi wytłumaczysz, że ty, który mi dom zapełniasz żukami, gasienicami, motylami i żabami!... że ty — krzyczał dalej ojciec, cały czerwony — który wiesz więcej, niż jest w całym podręczniku historii naturalnej, potrafiłeś zryć z tego właśnie przedmiotu!? Jak to może być, że jakiś anemiczny profesor, wychowany na bruku, który nawet konno nie umie pewnie jeździć i nie zna stepu, jest zdolny ciebie oblać z przedmiotu, w którym wydajesz się taki mocny!? Przecież nawet nie ośmielamy się palić papierosów, bo ledwie opróżni się pudełko od tytoniu Popowa, ty zaraz je napełniasz najobrzydliwszymi robakami i potem musimy to znosić! A biedna ciocia znajduje czasem w łóżku rogate żuki, zdolne przerazić najodważniejszego myśliwego! Teraz więc powiedz mi: czemu to wszystko służy?

Ojciec aż zachrypnął z oburzenia. Stałem ze spuszczoną głową, oniemiały ze wstydu. W kółko myślałem: To niesprawiedliwość, to pomyłka, a to świnia (ten profesor)! Teraz mi ojciec zakaże uprawiać moje ulubione kolekcjonerstwo za karę... i aż się wzdrygnąłem. Ojciec milczał przez długą chwilę. Zastanawiał się. Wreszcie, uspokoiwszy się, zdecydował:

— Trzeba do tej twojej przyrody zabrać się poważnie. Począwszy od dziś będziesz pracował podwójnie i będziesz mi hodował dwa razy tyle żab, robaków i żuków, co do tej pory, aby pogłębić twoje wiadomości. I jeżeli ktoś się poskarży na twoje gasienice, ja mu zamknę gębę! — po czym zmiął w rękach nieszczęsny list i wrzucił go do kosza.

Przyjmując z pokorą ojcowską decyzję, pocałowałem go w rękę... z entuzjazmem.

\* *Zdrowia...* (ros.) — Życzę zdrowia, panie generale!

## Szczyt niebosiężny

Co roku przyjeżdżała na długi pobyt w naszym skajańskim domu Tatiana, młoda, smukła i piękna dziewczyna. Pamiętam jej wąską talię, białą ze spienionego batystu bluzeczkę, czarną długą spódnicę, szeroki, lakierowany pas ze zwisającym łańcuszkiem zegarka, opatrzonego w wyryty na złocie monogram. Rękawy kończyły się bukietem koronek, z których wylaniała się mała rączka koloru kości słoniowej — jak cenny kwiat. Błada i ozdobiona jasną fryzurą twarzyczka Tatiany nabierała powoli kolorów w naszym zdrowym klimacie, wspomaganym przez pracowity tryb życia i zawsze obficie zastawiony stół. Rola Tatiany w naszym wiejskim, oddalonym od wielkiego świata środowisku była bardzo ważna. Ta młoda dziewczyna okazała się wdzięczną zwiastunką wiosny intelektualnej, nadchodzącej z dalekiej Jasnej Polany, na której wznosił się niebosiężny, opromieniony słońcem myśli szczyt. Jego blask widziano i podziwiano, mimo znacznej odległości, aż na Besarabii; mój ojciec i wuj Teofil byli stałymi uczestnikami zebrań inspirowanych przez Tatianę. Tatiana bowiem była nie tylko krewną Lwa Tołstoja, ale i entuzjastyczną zwolenniczką jego teorii socjalnych; choć wprowadzanie ich w życie spotykało się z gwałtownym sprzeciwem arystokracji i obszarników, to jednak ze względu na swoją humanitarną treść trafiały one do sumienia uczciwych ludzi.

Gdy przebywała u nas, Tatiana zmieniała się na dwa lub trzy miesiące w członka naszej rodziny. Dla mnie była zawsze serdeczna, ale nie chciała towarzyszyć mi w prostych i nieraz nieokielzanych w swej żywiołowości rozrywkach, właściwych chłopcom w moim wieku. Nie interesowała się końmi, nie jeździła konno, nie szczuła psów na koty, nie grała w kiczki. Raz przywoziła mi grę bardzo dziwną; polegała na przepychaniu przez bramki z drutu kul drewnianym młotem. Nauczyłem się tej gry bardzo prędko, ale... wydawała mi się nudna!

— To jest *crocquet*, gra bardzo elegancka! — mawiała Tatiana, aby mnie zachęcić. — W domu wuj nigdy grać mi nie pozwalał. Chciał, żebym tylko czytała i uczyła się przez cały dzień!

Gdy była u nas Tatiana, zjeżdżało się dużo ludzi z całej okolicy — nawet koleją z Bielc lub Kiszyniowa — aby dowiedzieć się, co się mówi w kołach tołstojowców, i przedyskutować własne przemyślenia. Najczęstszym gościem był wuj Teofil, wierny admirator i współwyznawca filozofii Tołstoja. Jego humanitarna i szczodra natura znajdowała właściwą pożywkę w altruistycznych ideałach Tołstoja i tołstojowców. Raz ojciec pogniewał się na wuja Teofila, ponieważ namawiał Tatianę, aby przeniosła się do tyrnowskiego pałacu. Była to pierwsza i jedyna sprzeczka, jaką zaobserwowałem między nimi, zawsze tak blisko i serdecznie współzyskującymi. Konflikt rozwiązała sama Tatiana, mówiąc, że nie wypada jej mieszkać w pałacu i woli taką dużą chłopską chatę, jaką w zasadzie był nasz dom. Wuj dalej więc do nas przyjeżdżał, aby widywać się z Tatianą. Prowadzili nie kończące się rozmowy, przedłużające się nieraz do późnej nocy.

— Tatiana — mawiał wuj Teofil — nasza kochana i podziwiana Tatiana poświęca się dla dobra bliźniego. Ja też chcę coś dla bliźnich zrobić. Chciałbym już podzielić część mojej ziemi między chłopów. Ale jak zacząć? Czy od strony Dondiuszan, czy Cauła, czy Drokii? Zostałaby mi cała Tyrnowa, to nawet za dużo, żebym po prostu mógł żyć!

Tatiana coś na to odpowiadała i tak naradzali się, zaabsorbowani tematem. Wuj patrzył na Tatianę oczami pełnymi podziwu i... — teraz przychodzi mi to na myśl — i może miłości? Jest oczywiste, że chłopiec w moim wieku nie był w stanie rozumieć ideologicznych czy politycznych tematów, wtedy poruszanych. Ale zawsze lubiłem słuchać rozmów osób starszych, siedziałem cicho, patrzyłem na mówiących, starałem się zapamiętać dziwne słowa, które słyszałem.

— Kochany Stasik! — nieraz zwracała się do mnie Tatiana. — Ty nas jeszcze nie rozumiesz, ale twoje serce jest dobre i dusza szlachetna! Gdy podrośniesz i skończysz studia, na pewno będziesz po naszej stronie!

Nie musiałem czekać, aż podrosnę, już wtedy byłem „po jej stronie”, bez zastrzeżeń, z entuzjazmem. Broniona przez Tatianę sprawa musiała być sprawiedliwa i szlachetna. Wrzałem z niecierpliwości, aby propagować jej idee, choć nie bardzo wiedziałem wtedy, jakie mogą one mieć konsekwencje i na czym właściwie polegają. Gdy w dyskusji brali udział młodzi studenci, rozmowa stawała się dla mnie bardziej zrozumiała. Raz, gdy była mowa o handlu, słuchałem z zainteresowaniem i wydawało mi się, że rozumiem:

— To skandal! — krzyczał kijowski student, kolega Wołodi Strienkowskiego. — Handel powinien być zakazany! Handel to kradzież!

Zrobił się harmider, bo jedni przytakiwali, inni przecyli. Ja wiedziałem, że student *był prawien*\*. Nieraz, gdy wracaliśmy z zakupów w Bryczawie, ojciec wołał do cioci Modzi: „Ależ cię okradli!” Innym razem odgrażał się Wańka: „Ten Grynszpan to złodziej!”, Grynszpan zaś był kupcem. Na pewno wiedział o tym ów student. Kiedy indziej znów perorował inny student:

— Procenty pobierane przez bankierów od pożyczonych pieniędzy to złodziejstwo!

Jeszcze inny dodał:

— Carat obalił pańszczyznę w Rosji, a w zamian oddał nas wszystkich w ręce kapitalistów, którzy nas eksploatują!

— Precz z kapitalizmem! Na pohybel! Won! Precz! — rozbrzmiewały okrzyki.

Starałem się zorientować, kto z kim trzyma, gdyż doszedłem do wniosku, że zanoszą się na bójkę, i chciałem oczywiście pomagać tym, co byli po naszej stronie. Hałas zrobił się taki, że na pewno słysząc go było aż w tajni. Zobaczyłem przez okno Jakuba z latarnią w ręce, patrzącego z niepokojem w stronę okna salonu. Uchyliły się z lekka drzwi na korytarz i dostrzegłem babcię Władysławę, która, słabo rozumiejąc po rosyjsku, rzuciła pytające spojrzenia na gestykujących. Raptem:

— Słuchajcie mnie! — zawołał dziadzio Asłan, podnosząc rękę.

Krzyki ucichły, wszystkie twarze zwróciły się ku niemu. Oho! — pomyślałem. — Przepadła bójka!

— Nie ma rzeczy martwych dobrych lub złych. Rzeczy są, jakie są. Tylko ludzie są dobrzy albo źli. To nie procenty są winne, ale bankierzy, między którymi jest więcej złodziei niż między pastuchami. Uważajcie: Gdy ja powierzam moich sto owiec czabanowi, on, gdy wróci z letnich pastwisk, oddaje mi potem dziesięć jagniątek, które urodziły się w lecie z moich owiec. To jest procent od kapitału, jakim są owce. Gdybym dał czabanowi zamiast owiec sto rubli, oddałby mi na jesieni oprócz tych samych stu rubli jeszcze

---

\* *był prawien* (ros.) — miał rację

dziesięć, które tymczasem narosły. Procent od pożyczonego kapitału jest więc rzeczą naturalną, to nie jest żydowski wymysł, jak ktoś tu powiedział. Oczywiście nie można żądać zbyt dużo od czabana, bo on wkłada najważniejsze, to jest swoją pracę, i jemu przede wszystkim należy się spora część urodzonych jagniąt. To jest rzecz naturalna — odkąd świat światem. Wy tego nie zmienicie! Zresztą... tak się robi na Kaukazie! — i machnąwszy ręką dziadzio zwrócił się gwałtownie ku drzwiom:

— Władysław! — krzyknął głośno. — Nie podsłuchuj pod drzwiami!

W salonie znów podjęto dyskusję. Widać było, że dziadzio nie wszystkich przekonał. Może dojdzie jeszcze do bójki? — pomyślałem. Ale w tym momencie weszła ciocia Modzia i zawołała na cały głos:

— Mamałyga na stole! Czekać nie może!

### Mahoń i Heban

W wielkim salonie tyrnowskiego pałacu, lub w sali balowej — jak niektórzy go nazywali, stały po obu stronach sceny dwa wspaniałe fortepiany. Nazywaliśmy je: Mahoń i Heban, gdyż jeden był ognistego koloru jak bursztyn, jak kaczan kukurydzy przypieczony w żarze, drugi zaś, czarny jak noc, miał połysk agatu. Widziane z daleka, ich długie cielska, jakby przyczajone na grubych, krótkich nogach, przypominały mitologiczne lwy. Kiedy indziej otwarta pokrywa, jak wzniesione w górę wielkie skrzydło, nadawała instrumentowi sylwetkę drapieżnego orła. Po rosyjsku fortepian nazywa się *rojał*, przypominało mi to francuskie *royal*, królewski. Miały też one dla mnie coś arystokratycznego, coś królewskiego w sobie, gdy w całym dworze rozbrzmiewał ich potężny głos.

Kiedy ujrzałem je po raz pierwszy, zawołał mnie wuj Teofil i kazał mi przeczytać napis na klapie: „Steinway”. Podeszedłem do drugiego i też przeczytałem „Steinway”. Wuj zamknął klapę i rzekł:

— Kazałem je sprowadzić z Ameryki. Pomyśl, co za podróż! Na okręcie przepłynęły Ocean Atlantycki, potem Morze Śródziemne i wreszcie Czarne Morze, aż do Odessy! Potem koleją, w specjalnym wagonie, przybyły na naszą stację! Gdyby umiały mówić, ileż to rzeczy mogłyby nam opowiedzieć... Ale one tylko śpiewają. Słuchaj ich głosu z uwagą — powiedział wuj otaczając mnie przyjaźnie ramieniem. — Ty kochasz muzykę. Zrozumiesz więc to, co one opowiadają swoim cudownym głosem!

Wydawało mi się, że Mahoń i Heban uśmiechają się tajemniczo nieskazitelną klawiaturą z kości słoniowej. Aby usłyszeć ich przejmujący głos, zbierali się melomani w wielkim salonie. Niektórzy przyjeżdżali z daleka pięknymi zaprzęgami, inni nieraz przychodzili nawet piechotą ze stacji. Tyrnowski pałac otwierał gościnne podwoje przed miłośnikami muzyki. Ileż to ważnych osób, ilu wielkich artystów poznałem wtedy! Niektórych do dziś jeszcze pamiętam, nad innymi rozciągnęła mroczne skrzydła noc czasu. Tak więc mogłem zaznajomić się z różnymi utworami muzycznymi, gdyż ze wszystkich gości w Tyrnowie myśmy byli najczęstszymi. Obok dzieł takich kompozytorów, jak Czajkowski, Glinka, Chopin czy Musorgski, poznałem też fragmenty oper Bizeta, Verdiego czy Donizettiego.

Przed Hebanem zasiadał profesor Horr i kładł swe silne ręce na białej

klawiaturze, wydobywając z jej głębin głos poważny, silny, męski, głos generała rzucającego swemu wojsku rozkazy. Przed Mahoniem siedziała na brzegu krzesła Jelena, córka generała Ambroziewicza. Jej białe, miękkie ręce wydawały się głaskać czekające na pieśczęty klawisze. Była dobrotliwa, kobieca, okrągłutka, łagodnie uśmiechnięta. Głos Mahonia, wdzięczny, delikatny, liryczny, pociągał i kołysał, otaczał nas jakby kolorowymi wstęgami, falującymi pod potężnym podmuchem królewskiego Hebanu. Siedząc koło wuja Teofila, nieraz drżałem na całym ciele pod wrażeniem tej muzyki. Mahoń kołysał mnie swym głosem jak wietrzyk, gdy siedziałem na wysokiej gałęzi akacji. Raptem przebiegał mnie wstrząs od stóp do głów; to Heban rzucał mi rozkazy swym władczym głosem. Oba głosy spletały się razem, jeden był jak dębowy pień nieugięty na wietrze, drugi zaś jak wiotka łodyżka pachnącego pnącza, które go oplata. Rzucał Mahoń zew śpiewny, niby głos dziewcząt mołdawskich, gdy noc spływa na wieś. Milkły zdjęte strachem dziewczęta, gdy Heban ryknął jak czarna pantera, jak grzmot rozdzierający chmury nad naszymi głowami.

Jelena kołysała się lekko, pochylała, poddając się melodii ruchem ciała. Na twarzy jej igrał zadumany uśmiech, wzrok zaś lecąc przez okno gubił się w zielonej gęstwinie parku. W dalekich drzewach, w powiewie wiatru szukała jakby nowych sił, natchnienia rodzącego się w szumie liści, w zapachu kwiatów. Jej ręce płynęły po białych klawiszach, budząc subtelną melodię.

Lecz wnet mącił ją potężny głos Hebanu. Mahoń opierał się i bronił przez chwilę, po czym poddawał się przemożnej sile dźwięków. Spoglądaliśmy w prawo; na tle purpurowej kotary, jak portret w galerii obrazów, odcinała się poważna twarz profesora, ozdobiona białą brodą, wąsem i bokobrodami — istny wizerunek austriackiego cesarza Franciszka Józefa. Spokojny, niewzruszony, pochylał się nad klawiaturą, a pod mocnym uderzeniem jego palców zdawał się drzeć i uginać potężny Heban. Na czole profesora perlącym się kropelkami potu powstała głęboka zmarszczka. Z wysoka uderzył w klawisze. Rozpętała się teraz szalona burza dźwięków. Heban zagrzmiał piorunowym głosem, zawył szkwał i runął na słuchaczy. Wzdrygnąłem się i chwyciłem wuja za ramię, czując, że zbliża się jakiś kataklizm.

Lecz po chwili grzmot się przetoczył, burza zdawała się cichnąć. Podniósł się znowu głos Mahoni i zawiśł nad nami, życzliwy i ciepły. Dołączył doń Heban, spokorniały teraz i pojeżdżany. Zniknęły lody i rozstały się skały. Heban i Mahoń wspomagając się nawzajem, rozłączając się, to znów zbliżając, intonowały duet zgody i optymizmu. Spokój zstępował na świat i ludzi. Czułem się nagi pod kopułą niebieską, wysoką i rozległą. Nade mną zawisły zanurzone w błękitie białe, wesołe chmurki, obiecujące pogodę po groźnej burzy. Słońce złotym okiem patrzyło z góry. W przeźroczystym powietrzu rysowały się ciemne sylwetki niebotycznych drzew, tajemnicze, ciche ptaki leciały nad strzechami nieznanymi chat. Ściany salonu oddaliły się, nasza przestrzeń rozrosła się do granic horyzontu, od którego powiał wiatr wielkich stepów i niósł mnie lekko, jakbym był jesienną pajęczyną. Złoczone kandelabry stojące na fortepianach, uniesione niewidzialną ręką, zdawały się płynąć w niebo. Jak chorągiewki lanc niebieskiej kawalerii drżały płomyczki świec na wietrze. Czułem się zawieszony w przestrzeni pomiędzy niebem i ziemią, pod kryształowym okiem dalekich gwiazd, nad pokrytym kwiatami stepem...

Gdy skończył się koncert i zabrzmiał ostatni akord, z muzycznego marzenia zostałem obudzony gwałtownymi oklaskami i grubym głosem:



— Brawo! Wspaniale! To są artyści! — wykrzyknął oficer z pociągu sanitarnego, stojącego na stacji. I dodał: — Ale jak to robia, żeby się nie pomylić i skończyć razem, w tym samym dokładnie momencie?

Czar prysnął. Wuj Teofil poruszył się, niezadowolony. Na sali panowała jeszcze cisza. Wuj odpowiedział grzecznie oficerowi:

— To pan nie wie? Gdy pan odpoczywa wygodnie w swoim krześle, biedni artyści nie mogą o niczym innym myśleć, tylko liczą każde uderzenie palcem, aby razem skończyć!

Ojciec był zaniepokojony moim zamiłowaniem do muzyki, słyszałem, jak rozmawiali z wujem:

— ...muzyka go hipnotyzuje. To może roztrząść mu nerwy! Nie powinien słuchać tylu koncertów...

Zmartwiłem się, że mi zakażą słuchania muzyki. Ale, na szczęście, nigdy do tego nie doszło. Brałem wtedy lekcje muzyki i ćwiczyłem codziennie na naszym starym fortepianie skajańskim. Znudzony monotonnymi ćwiczeniami Hanona, usiłowałem odtwarzać ze słuchu różne usłyszane melodie. Gdy przyjeżdżałem do Tyrnowa, Teofil Antonowicz zabierał mnie do małego salonu, gdzie stało pianino i kazał mi grać mołdawskie czy rosyjskie piosenki ze słuchu.

— Ten to jest prawdziwy artysta! — wołał zachwycony, całując mnie jak z dubeltówki. — Nie wymiguje się, jak ci „wielcy” z Moskwy, którzy wciąż się wykręcają, gdy ich o zademonstrowanie swej sztuki poproszę: „że dziś nie, bo boli głowa”, „że zostawił nuty w domu”, „że skreślił nogę i nie może pedału naciskać” — i tym podobne powody podają bez końca, aż muszę wreszcie zrezygnować. Lubie natomiast artystów takich jak ten chłopiec. Ledwie go zawołam, zaraz siada i wygrywa mi swoje melodyjki! Naturalnie, można argumentować, że to przecież tylko dziecko. Ale sztuka nie jest kwestią perfekcji technicznej ani wieku! Jest tyle samo, może nawet więcej, poezji w tych skromnych melodyjkach mołdawskich co w wielkich symfoniach sławnych kompozytorów!

Pierś wydymała mi się z dumy. Nieraz wielcy artyści, ze skończonym konserwatorium i ustaloną już sławą, byli zmuszani przez wuja do słuchania mojej naiwnej muzyczki. Wuj był szczęśliwy, gdy go zapewniali, że *etot malczik*\* będzie kiedyś wielkim artystą. Na pewno nie byli wtedy szczerzy, mówili to, by wielkiemu panu, który ich gościł, zrobić przyjemność. A ja nigdy nie potrafiłem grać lepiej niż wtedy, w tych szczęśliwych latach, gdy Mahoń i Heban czarowały nas i zachwycaly swoją muzyką.

## Opera włoska

Operę zobaczyłem po raz pierwszy w teatrze La Scala w Mediolanie. Byłem wtedy mały i nie mogłem zrozumieć skomplikowanej hecy, która narosła i zagmatwała się na scenie. Jakież osoby, poubierane w dziwaczne stroje, chodzą w tę i w tamtą stronę, śpiewając i gestykulując. To znów jakiś mężczyzna widocznie chciał udusić kobietę, bo zgniatał ją bezlitośnie w ramionach. Potem żal mu się widać zrobiło, bo całował ją i cmokał hałaśliwie. Zie-

---

\* *etot malczik* (ros.) — ten chłopiec

wnąłem z nudów. Właśnie w tym momencie ojciec zasłonił mi scenę kape-luszem.

— Nie patrz teraz! — szepnął, a potem dorzucił w stronę mamusi: — Nie powinniśmy byli go przyprowadzać.

Podczas antraktu jacyś znajomi ofiarowali mamusi pudełko z czekoladkami. Dostałem jedną, ale gdy rozpoczął się akt drugi, mamusia zamknęła pudełko. Nie mogłem od niego oczu oderwać, takie było piękne. Wnet dostałem kuksańca w bok od ojca:

— Gdzież ty patrzysz? — rzucił ostrym szeptem. — Patrzże na scenę!

Zwróciłem więc głowę w stronę sceny, ale... wyciągnąłem nieznacznie rękę i otworzyłem pudełko. W środku były jakieś papiery, odgarnąłem je i chwyciłem w palce czekoladkę. Zachwycony tym nowo odkrytym sposobem podziwiania opery, coraz częściej grzebałem w chrzęszczących papierach, wyciągając z pudełka czekoladkę za czekoladką. — Pst! Sza! — zaczęli protestować najbliżsi widzowie, aby mnie uciszyć. Ojciec zasyczał głosem świszczącym ze złości:

— Cicho! Zostaw czekoladki!

Przerażony, zamarłem w bezruchu i siedziałem przez chwilę spokojnie. Na scenie dalej wyli i pokrzykiwali. Widząc, że już nikt na mnie nie patrzy, nie potrafiłem się powstrzymać; ręka jak cicha jaszczurka popełzła sama w stronę pudełka. Aby uniknąć szelestu papierów, przesunąłem pudełko, które spadło na ziemię z trzaskiem. Ojciec odwrócił się błyskawicznie i... dał mi w twarz, ale tak, że aż rozległo się po sali. Spadłem z taboretu na podłogę i zacząłem ryczeć tarzając się z wściekłości po podłodze. Mamusia odłożyła lornetkę i uklękła obok, starając się mnie uspokoić i uciszyć. Na sali podniosły się głosy protestu, które zachęciły mnie do jeszcze głośniejszego wrzasku; zupełnie jakbym chciał przerwać przedstawienie. Artyści na scenie podnieśli głosy, aby mnie przekrzyczeć, ale z dumą mogę powiedzieć, że nie było to takie łatwe. Ojciec, coraz bardziej wściekły, złapał mnie za kark i wyciągnął na korytarz. Mocno ujęty pod pachy, zjechałem ze schodów w wielkim westybulu jak na skrzydłach. Mamusia biegła za nami, daremnie usiłując interweniować, by uśmierzyć gniew ojca. Przez otwarte drzwi dochodził do nas jeszcze mocny głos pierwszego tenora teatru La Scala, podczas gdy sadowiliśmy się w powozie przed wejściem.

Przez wiele lat potem słuchałem, jak ojciec opowiadał znajomym przy kawie o moich wyczynach:

— ...zaczął się wtedy konkurs wokalny między sławnym tenorem Caruso i moim synem. Ze zdumieniem przekonaliśmy się, że chłopiec, wyposażony w dobry mołdawski głos, był już na drodze do pokonania Włocha. Wyobraźcie sobie, państwo, naszą sytuację! Wiadomo, że Włosi są dumni ze swojej opery i zazdrośnie pilnują własnej sławy! Co by z nami zrobiła publiczność, gdyby się było okazało, że wygrał konkurs mołdawski chłopiec? Wolałem o tym nie myśleć i ze względu na bezpieczeństwo wycofaliśmy się. Gdy Caruso zdał sobie z tego sprawę, jego głos, który ścigał nas na ulicy, gdy uciekaliśmy fiakrem, by schronić się w hotelu, nabrał odcienia tryumfu.

## Opera rosyjska

Wiele lat minęło od pamiętnego przedstawienia operowego, na jakim byłem w teatrze La Scala w Mediolanie.

Pewnego dnia dotarła do nas wiadomość, że wuj Teofil rozkazał przygotować wielki salon pałacowy, scenę, oświetlenie i dwa fortepiany, gdyż mają być odegrane fragmenty opery. Profesor Horr przyjechał bryczką aptekarza do Skajan, aby przejrzeć partytury cioci Modzi w poszukiwaniu potrzebnych wyjątków. Wiadomość o operze nikogo nie zdziwiła, gdyż Teofil Antonowicz był znanym miłośnikiem i protektorem sztuki, zapraszał stale artystów moskiewskich i petersburskich na letnie wakacje do Tyrnowa. Znałem ich wszystkich, byli na ogół bardzo sympatyczni i dla mnie ujmująco serdeczni. Z przykrością skonstatowałem, że nie umieli jeździć konno i że tematy hipiczne w rozmowie były im obce. Ale za to umieli grać na różnych instrumentach, aranżować komiczne sceny albo odśpiewywać całe akty z różnych oper.

Gdy owego dnia przybyliśmy po kolacji do Tyrnowa, wuj Teofil objął mnie czule i zaprowadził do wielkiego salonu mówiąc:

— Zobaczysz piękną rosyjską operę. To coś całkiem innego niż ta włoska, na której byłeś wtedy w Mediolanie. Nie mamy wprawdzie Carusa, ale jest za to Wiesiołowski. Sala też nie taka ładna, ale przecież najważniejsze to, co do ucha wpadnie!

Usiedliśmy w pierwszym rzędzie i czułem na plecach opiekuńcze ciepło ramienia wuja. Dobrze znany mi salon wyglądał inaczej niż na co dzień. Na wielkim dywanie stały krzesła, poustawiane rzędami jak w prawdziwym teatrze. W głębi, pod drzwiami wiodącymi na parkową werandę, zasłoniętymi firanką, widniała zbita z sosnowych desek scena. Po dwóch stronach stały sławne fortepiany Mahoń i Heban, przy których zasiedli, ukłoniwszy się najpierw oklaskującej ich publiczności, Jelena, córka generała Ambroziewicza, i profesor Horr. Začzęli grać.

— To uwertura! — poinformował mnie mój wuj.

Fortepiany wiodły swą pieśń raz osobno, raz łącząc się w jeden potężny głos. Weszła na scenę Nadieżda Iwanowna w białej koronkowej sukni i zaczęła śpiewać aksamitnym głosem dobrej wróżki. Raptem, ku memu zdumieniu, zjawił się koło niej pułkownik kozaków Kazancew i ryknął grubym basem, aż zadrżały szyby w oknach.

— Jak to? — szepnąłem wujowi do ucha. — To on artysta, a nie wojskowy?

— Tsss! Sza! — rozkazał mi wuj, nie spuszczać oka z pułkownika.

Po chwili scena się ożywiła. Ukazała się młoda Natalia Filipowna, która lubiła *siemiaczki*, później Igor Wasilicz, Zenia Rozanowa i inni, i wielu innych, których imion, niestety, po tylu latach już nie pamiętam. Wszyscy znali swoje role, zaczęli i kończyli zgodnie z fortepianami, podejmowali wątek melodii w miejscu, w którym poprzednik go zawiesił, i monologi umieli na pamięć. Żyrandol na suficie, połyskujący weneckimi kryształami, rzucał na twarze artystów ciepły, złotawy odbłask, obecnie, w epoce elektryczności, stracony już na zawsze. Do rampy zbliżył się pułkownik, wygłosił monolog i zakończył go śpiewając. Zabrzmiały oklaski; był to koniec pierwszego aktu.

Teraz przyszła moja kolej i zebrani patrzyli z uwagą na występ skromnego chłopca ze Skajan, jakby on też był moskiewskim artystą. Powierzono

mi bowiem ważną funkcję poprawiania i obcinania knotów oraz zastępowania wypalonych świec nowymi. Podczas przerwy wszyscy śledzili wzrokiem moją pracę i czułem się co najmniej tak ważny jak sama primadonna Nadieżda Iwanowna.

— Pośpieszaj! — przynaglił mnie wuj Teofil. — Zaraz zacznie się drugi akt!

Gdy usiadłem koło niego, wytłumaczył mi w kilku słowach, o co chodzi w tej operze, gdyż choć artyści śpiewali po rosyjsku, śpiewany język był trudniejszy do zrozumienia, zwłaszcza że artyści nie mieli kostiumów i taki widział jak ja niewiele rozumiał. Za każdym razem, gdy przyjeżdżaliśmy potem do Tyrnowa, miałem okazję, by przydać się lub pomóc w czymś sympatycznym artystom. Znałem już wtedy podstawy solfeżu i mogłem śledzić w partyturze śpiew artysty. Stawałem nieraz przy grającej na fortepianie osobie i przewracałem jej kartki w odpowiednim momencie. Kiedy indziej zamykałem okna, gdy jakaś artystka bała się przeciągów, biegałem po szal dla innej, której było zimno. Czasem było komuś gorąco i rzucał mi marynarkę lub kamizelkę, nie przestając śpiewać, a ja ją wieszałem porządnie na oparciu krzesła. Innym chciało się pić podczas próby, przynosiłem im więc galopem szklankę wody z sokiem różanym. Kiedyś pułkownik zachrypł; przyniosłem mu cytrynę, którą pokrajał na kawałki i zaczął ssać.

Dzięki więc specjalnym okolicznościom, stworzonym przez wuja Teofila, będąc na wsi i nie uczęszczając do teatrów w wielkich stolicach, mogłem poznać najważniejsze opery z rosyjskiego i europejskiego repertuaru i zbliżyć się do fascynującego świata teatru i artystów. Słuchałem fragmentów takich oper, jak *Borys Godunow*, *Car Saltan*, *Sadko*, *Życie za cara* itp. Co roku przyjeżdżali do Tyrnowa różni artyści; na rekonwalescencję albo po to, aby odpocząć i wzmocnić się lub przygotować do przyszłego sezonu operowego. Teofil Antonowicz wielu z nich pomagał, rozdawał subwencję — i drzwi jego pałacu były zawsze dla nich otwarte. Oprócz tego utrzymywał stale jakiegoś artystę rosyjskiego we Włoszech, aby mógł studiować *belcanto* w mediolańskim konserwatorium, i opłacał za niego wszystkie koszty. W owym czasie mało mnie interesowały szczegóły tego rodzaju, po prostu słuchałem z przyjemnością pięknej muzyki i podziwiałem Nadieżdę Iwanowną, sławną primadonnę owego czasu.

Wiele lat później dotarło do mnie jeszcze echo naszego dawnego, nie istniejącego już besarabskiego świata. Byliśmy wtedy w Polsce i siedzieliśmy w przedziale ekspresu tarnopolskiego, ciągniętego z niezwykłą szybkością przez wspaniałą lokomotywę o ogromnych kołach. Obserwowałem ją na zakrętach przez okno, gdy wtem usłyszałem za plecami jakiś śpiew. Z twarzą ukrytą za partyturą polskiej opery *Halka* siedział w naszym przedziale jakiś pan... i śpiewał! Obok niego zobaczyłem ładną, pulchną blondynkę, która słuchając z uwagą, podkreślała tempo wyciągniętym palcem i rzucała uwagi po rosyjsku.

— Przepraszam! — wmieszał się ojciec.

Śpiewający opuścił nuty i zobaczyłem znajomą twarz. Kto to? — pomyślałem.

— Przepraszam, że przerywam panu, ale po polsku wymawia się „Halka”, a nie „Galka”.

Zaczął się rozmowa, z której wynikało, że był to tenor Wiesiołowski, a obok siedziała jego żona, znana artystka teatrów moskiewskich. Wałowa; właśnie przekroczyli granicę radziecką w Podwołoczyskach, udając się na

*tournée* po Polsce i Europie Zachodniej. Dowiedziawszy się o naszym besarabskim pochodzeniu, Wiesiołowski zawołał:

— Przecież ja studiowałem w Mediolanie na stypendium Teofila Antonowicza i śpiewałem podczas wakacji w jego pałacu w Tyrnowie... — zamilkł raptem patrząc na mnie z osłupieniem: — ...och! Ale gapa ze mnie! Przecież pan to ten usłużny Stasik, który przynosił nam szklanki z wodą i surowe jajka, gdy śpiewaliśmy wyjątki z oper w wielkim salonie pałacowym!

I tak dzięki przypadkowi oraz wiążącej sile wspólnych wspomnień z Besarabii zaczęła się długa przyjaźń, mająca swój dalszy ciąg w nowej Polsce. Wiele lat później, po wielkich sukcesach, oboje artyści wyjechali do Ameryki Południowej, nabyli tam posiadłość i zamieszkali na stałe koło Buenos Aires w Argentynie.

## Ogier Azow

Pewnego dnia zapowiedziano w Tyrnowie wizytę kniazia Osupińskiego. Ojciec orzekł, że to ważna osobistość, że ma wielkie stosunki na carskim dworze i że trzeba go przyjąć najlepiej jak się da. Książę przyjechał specjalnie, żeby zobaczyć tyrnowską stadninę. Gdy zjawiały się podobne persony, urządzano wyprawę w pole, potem kolację na ich cześć, zapraszając znajomych z okolicy. Przyjęcie kończyło się wieczornym koncertem i bale. Po nardzie z ojcem wuj Teofil wysłał gońca do watahy koniuszego, polecając mu ustawić stadninę na szczycie pagórka, tak aby klacze widziane z daleka przedstawiały piękny widok.

Jako najbliższa rodzina już od rana byliśmy w Tyrnowie. W sportowym koczku wuja, z uprzężą i stangretem ubranym z angielska, nadjechał książę ze stacji, wysiadłszy z pociągu z Oknicy. Nosił uniform oficera sztabowego i jego maniery były nacechowane — jak orzekli potem starsi — wyniosłą uprzejmością. Ledwie wysiadł z koczka, wuj Teofil zaproponował mu wyprawę do stadniny i kazał podprowadzić osiodłanego konia. Książę rzucił na niego pogodliwe spojrzenie i burknął:

— Zazwyczaj zaprasza się mnie do stajni, abym sam sobie konia wybrał!

— Ależ bardzo proszę! — zawołał prędko wuj Teofil i ruszyliśmy wszyscy ku stajni, stojącej przy tym samym wjazdowym podwórzu, pod kątem prostym do pałacu. Wuj był roslą mężczyzną, ale książę i tak, choć chudszy, przerażał go o głowę. Szedł wielkimi krokami na cienkich długich nogach i kręcił głową rzucając spojrzenia na wszystkie strony jak drapieżny ptak. Minęliśmy wozownię, gdzie stały różne wehikuły: dawne telegi, faetony, powozy, zagraniczne lando, koczki i breki angielskie, bryczki, kibitki, linijki i szarabany mołdawskie z miękkimi siedzeniami. Na kozłach i wieszakach znajdowała się uprzęż różnego rodzaju, lakierowana, czarna i brązowa, nawet żółta i biała. Połyskiwały w półmroku mosiężne sprzączki i pierścienie, a na eleganckiej czarnej uprząży odcinały się monogramy i herbowe srebrne ozdoby. W kącie leżały oparte na jedlicach siodła z wiszącymi strzemionami, jedno ze świńskiej skóry w angielskim stylu, inne tureckie z poduszczką przewiazaną pośrodku rzemieniem i małe tatarskie, najlepsze do nauki konnej jazdy. Stajnia dworska była duża, mieściło się w niej czterdzieści koni. Poczujęm ciepły, wilgotny powiew, mile łechcący nozdrza miłośników koni. Przy

ścianie widniały żłoby z drabinkami, konie zaś, stojące w jednym tylko rzędzie, były oddzielone jeden od drugiego zawieszoną na sznurze żerdzią. W rogu, oddzielony drabinkami, stał ulubiony wierzchowiec Teofila Antonowicza, ogier Azow.

Kniaź tylko rzucił okiem na stojące konie, podszedł zaraz do Azowa i wskazując nań palcem rozkazał:

— Wsiadę na tego! Proszę, niech mi go zaraz osiodłają!

Nastąpiła chwila milczenia. Jak powiedzieć kniaziowi, że to ogier jedynie i wyłącznie używany przez wuja Teofila? Stajenny poskrobał się za uchem, zakłopotany:

— Jasny p-p-panie! — wyjąkał nieśmiało. — Nie może być! Ten jest cały, jakże go do stadniny brać? Niebezpiecznie...

— To nie! — przerwał mu wuj, uśmiechając się uprzejmie. — Skoro książę robi mi tę łaskę, że godzi się jechać na moim ulubionym wierzchowcu, chętnie ułatwię mu okazję. — I polecił: — Osiodłaj go zaraz!

Rzucili się parobcy i w jednej chwili Azow był już osiodłany własnym siodłem wuja Teofila i gryzł wędzidło oraz duży munsztuk, niezbędny do utrzymania w ryzach jego fantazji. Stajenny podtrzymał strzemię i kniaź wspiał się lekko na wysokiego ogiera, po czym zaraz ruszyli w pole. Za gościem jechał wuj Teofil na koniu początkowo dla księcia przeznaczonym, ojciec na Tarkunie, kilka osób jeszcze — i ja, wyjątkowo nie na Mucu, tylko na długonogiej, bułanej klaczy Kozaczce. Pola wyglądały jak piękne dywany rozciągnięte aż po horyzont; przemykaliśmy się między nimi wąskimi sogłówkami. Po półgodzinnej jeździe ujrzelśmy stadninę pasącą się spokojnie na soczystej trawie. Koło rasowych klaczy skakały żrebaki, biegające lub usiłujące je ssać — całość tworzyła niezwykle malowniczy obraz. Zwęszywszy klacze, Azow zaczął objawiać oznaki podniecenia. Kniaź przycisnął mu język żelazem i poczęstował rajpajczem, aby go uspokoić. Ale to nie wystarczyło i trzeba było Azowa odprowadzić na bok, podczas gdy kniaź na piechotę obchodził stadninę, oglądając znakowanie klaczy, pytając o nadawanie imion i zapisy w rejestrach. Po godzinie podeszliśmy do Azowa, którego pał Tatar nad rzeczką.

— Teraz, Teofil Antonowicz — rzekł kniaź siadając na siodle — teraz zobaczymy, co pan uważa za dobrego wierzchowca! — i spiąwszy Azowa ostrogami puścił się jak strzała poprzez zieloną równinę. Koń i jeździec, obaj wysocy, zaczęli szybko maleć, aż zniknęli na horyzoncie. Teraz my też wsiadliśmy na koń i usłyszałem, jak ojciec mówił do mamroczącego coś pod nosem wuja:

— To ci dopiero bezczelny! Azowa mu się zachciało! Na ogierze będzie stadninę oglądał!

— Biedny Azow! — westchnął wuj. — Żeby go tylko nie zrzucił przez głowę!

— Niech go zrzuci! — zawołał ojciec z oburzeniem. — Masz się czym martwić!

— To nie o to chodzi! — odparł wuj wstrzymując konia. — Nie rozumiesz, że ten drapichrust potem moje konie obgada? Powie, że są narowiste, złośliwe i nieodpowiednie dla wojska!

Tak rozmawiając jechaliśmy klusem w powrotnym kierunku. Ślad kniazia było dobrze widać. Zauważyliśmy, że zamiast biec sogłówkami przecinał pola pszeniczne na całej długości. Mimo iż tutejsza ziemia była żyzna i dawała obfite plony, takie traktowanie zboża w momencie formowania się kłosa

uważało się u nas za szkodnictwo. Idąc za śladem, ustawiliśmy się gęsiego, aby robić jak najmniej szkody. Jechaliśmy z wolna, moja Kozaczka sunęła gładkim kłusem. Zjechaliśmy z górki, potem wspięliśmy się na następną. Wreszcie, daleko, zobaczyliśmy kniazia. Szedł w naszą stronę... pieszo. Azowa nie było nigdzie widać. Spięliśmy konie i ruszyli galopem na spotkanie spieszonego jeźdźca.

— Ładną mi pan przysługę odda! — zawołał kniaz do wuja Teofila. — Ten koń nic nie jest wart, wpadł do pierwszego rowu, jaki się nadarzył!

Wuj Teofil nic nie odpowiedział. Puścił się galopem za dobrze widocznym śladem. Po chwili smutny widok uderzył nasze oczy. Biedny Azow leżał na boku i rzucał rozpaczliwe spojrzenia na swojego pana. Wuj przyciskał mu głowę do ziemi obiema rękami, gdyż Azow czynił wysiłki, aby wstać, a od razu zorientowałem się, że ma złamaną przednią lewą nogę; zwisła bezwładnie z boku, skóra zaś była pokrwawiona.

— Spokojnie, Azow, spokojnie! — przemawiał do niego wuj Teofil pełnym afektu głosem.

— Teofil! — rzekł ojciec, zdając sobie natychmiast sprawę z sytuacji. — Staraj się go przytrzymać w tej pozycji, ja tymczasem sprowadzę pomoc z Tyrnowa! — i pognął galopem, zostawiając mnie samego.

Gdy tylko zsiadłem, kniaz odebrał mi cugle bułanej Kozaczki i jednym skokiem znalazł się na jej grzbiecie, po czym odjechał nic do nas nie mówiąc. Zostaliśmy sami na stratowanym polu, wśród ładu zielonej pszenicy. Wujowi i mnie oczy same napelniały się łzami, gdy słyszeliśmy bolesne postękiwania cierpiącego Azowa.

Po dobrej godzinie nadjechał wóz z tyrnowskiej *odai*, załadowany pasami, sznurami, słomą i derkami. Razem z ojcem przyjechało kilku stajennych. Wataha, pochylając się ostrożnie, nałożył pętle i mocno związał trzy zdrowe nogi z głową, zmuszając Azowa do wygięcia szyi wskutek połączenia sznurem ogona z nozdrzami. Potem przy pomocy obecnych załadowano biedne zwierzę na wóz jak wielką paczkę. Gdy nasza karawana zajęła przed pałac, wyglądała raczej na pogrzeb niż na powrót z wycieczki. Kniazia już nie było. Odjechał na stację, by wsiąść do odeskiego pociągu. Ojciec zrelacjonował nam scenę pożegnania wielkiego pana, który okazał swoje niezadowolenie, gdyż wuj Teofil nie towarzyszył mu na stację. Ostatnie słowa kniazia brzmiały:

— Coś takiego! Taki przewrót dla jednego konia! Wypalić mu w łeb i spokój!

— Drań! Niedoczekanie jego! — zaklął wuj, pomagając przy wyładowaniu Azowa.

Nadbiegł Władimir Iwanowicz z pobliskiego szpitala. Zaczęła się narada, co robić z okaleczonym koniem.

— Kochany Teofilu! — rzekł poważnym głosem Kazio Demianowicz z Drokii. — Wiem przecież, jak cenisz Azowa, ale nie mogę dać ci innej rady, jak tę co zawsze. Koń ze złamaną nogą nie powróci do normalnego stanu już nigdy. Po co go dręczyć? Nie ma innej rady jak w ucho mu strzelić!

Prawie wszyscy radzili to samo. Był to tradycją uświęcony zwyczaj, jakby prawo na tych ziemiach, gdzie tyle koni wyhodowano, gdzie żywiono do nich prawdziwą miłość i posiadano o nich praktyczną wiedzę, opartą na doświadczeniu wielu generacji. Ale wuj Teofil sprzeciwił się temu gwałtownie. Kazał sprowadzić weterynarza, chciał użyć specjalnych środków, zawołał

cieśle i rymarza. Zaczęły się skomplikowane przygotowania, my jednakże musieliśmy wracać do Skajan, gdzie ojca wzywały ważne sprawy.

Gdy przybyliśmy do Tyrnowa w kilka dni później, pobiegłem zaraz do stajni zobaczyć, jak się ma Azow. Zobaczyłem tam coś niezwykłego: biedny Azow znajdował się w powietrzu, nie dotykał nogami ziemi. Wisiał na szerokich skórzanych pasach, przymocowanych do belek dachu. Złamana noga zwisała zagipsowana. Żłób podniesiony wyżej pozwalał mu odżywiać się normalnie. Nie musiała to być dla niego wygodna pozycja, gdyż wzdychał boleśnie; aż mi się serce ścisnęło. Dzięki staraniom i pielęgnacji lekarza godnego podziwu, weterynarza miłującego zwierzęta — i pana, który go nie opuścił, Azow odzyskał po kilku miesiącach władzę w złamanej nodze. Zaczęły się wtedy ćwiczenia mające na celu przywrócenie mu utraconej siły i zręczności. Chodził stępa i kłusował nawet, choć lekko utykał na lewą nogę, ale nigdy już nie odzyskał pewności i szybkości w galopie, które dawniej były jego cechą. Wuj Teofil nie mógł go już używać jako wierzchowca i wybrał sobie innego. Ale Azow zachował funkcję rozplodowego ogiera stadniny. Żył jeszcze wiele lat i miał liczne potomstwo: same ładne i sympatyczne żrebaki — towarzyszy zabaw i moich przyjaciół. Aż pewnego tragicznego dnia... ale opowiem o tym później.

### Słonecznikowy ogień

W rusiańskim pałacu był kominek, po którego białym okapie biegł ozdobny fryz. W zimie rozpalano w nim ogień z grubych bierwion, aby uhonoroować jakiegoś specjalnego gościa. Domownikom i rodzinie wolno w nim było palić tylko pospolitymi łądogami słoneczników. Grube i zdrewniałe, paliły się szybko, trzeba było pilnować ognia i dokładać bez przerwy.

W owym czasie mieszkaly w Rusianach dwie studentki z Kijowa, Nina i Marusia. Nosily białe bluzeczki z kołnierzykiem i żabotem oraz długie granatowe spódnice. Talie miały ściśnięte błyszczącym lakierowanym paskiem zapiętym na złotą klamrę. W małej kieszonce nosiły zegarki, których łańcuszek, przyczepiony z drugiej strony, wisiał poniżej klamry. Odbłyski ognia słonecznikowego złociły bluzeczki uwydatniając młode kształty dziewcząt.

Nina i Marusia były urocze. Przyjmowały mnie zawsze serdecznie i zabierały na spacer po parku lub na partię tenisa. Poza tym były prawdziwymi mistrzyniami w sztuce tak modnego na początku wieku diabła. Zręcznym ruchem, manewrując kijkami i sznurkiem, nadawały rozpęd szpulce diabła, które przebiegało warcząc od jednej dziewczyny do drugiej albo wznosiło się prostopadle, aby potem opaść i trafić na ten sam sznurek, który je wyrzucał w górę. Nie mogłem się dość napatrzeć tej grze; zdawała się łatwa na pozór, ale właściwa jej trudność występowała natychmiast, kiedy próbowałem naśladować moje dwie artystki.

Pewnego razu, kiedy wróciliśmy ze spaceru, poprosiły:

— Stasik, rozpal kominek, chcemy pomarzyć przy ogniu.

Zapalać lampy i ogniska było moją pasją. Przyniosłem naręcz łądog słonecznikowych i przyłożywszy do nich zapalony papier patrzyłem na długi język płomienia liżącego poczerniałe kamienie i mruczącego w kominie. Za mną czule splecione rękami dziewczęta spacerowały dookoła salonu. Zbli-



zały się do kominka i przykucając przed ogniem wpatrywały się nie widzącym wzrokiem w serce płomieni. Szeptały jakieś niezrozumiałe dla mnie słowa, przytulały się czule do siebie, wstawały i dalej krążyły po pokoju, rozmawiając cichymi głosami. Patrzyłem w ogień bez przerwy. Łodygi słonecznika grzały mocno, paliły się szybko i trzeba było dorzucać do ognia, aby nie zgasł. Jak obracająca się płyta gramofonowa Nina i Marusia krążyły i krążyły dookoła salonu. Kołysały się rytmicznie ich wdzięczne figury; po chwili zatrzymywały się obie przed kominkiem, wpatrywały się rozmarzonym wzrokiem w ogień, którego nie widziały, jak gdyby szukały jakiejś zjawy w tańczących płomieniach. Poważny wyraz ich twarzączek łagodniał w czerwonych odbłyśkach żaru. Wyglądały na głęboko zadumane. Opanował mnie jakiś dziwny niepokój.

— O czym myślicie? — zapytałem tak cicho, że trzask palących się słoneczników zagłuszył mój głos.

Nie dosłyszały mnie. Rzuciły mi melancholijne spojrzenie i usta ich poruszyły się niesłyszalnymi słowami. Głos nie dotarł do mnie. Ogień buszował dalej, potrząsając rozpaloną grzywą... Nina i Marusia były odosobnione od reszty świata. Dokładałem słoneczniki jak automat, nie odważywszy się przerwać tego czarownego, tchnącego tajemnicą milczenia, które zdawało się mnie spowijać coraz ciaśniej.

Wpadając jak kamień rzucony w spokojne jezioro, zabrzmiał donośny głos:

— Ty w ciemnościach z panienkami? Chodź, jedziemy natychmiast.

Był to Munio. Przyjechał po mnie i nie dał mi spokoju, póki nie usadził mnie w linijce i nie ruszyliśmy kłusem do Skajan.

— Jazda, Sokół! — przynaglał konia, po czym rozgadał się swobodnie: — To ładne dziewczyny, prawda? Chętnie schrupałbym obie, żeby nie czekał na nas w domu twój ojciec!

Zjeść Ninę i Marusie? Odsunąłem się od niego, zdjęty przerażeniem. Wyobraziłem sobie, że wyrastają mu z głowy pióra Kanaka ludożercy, i postanowiłem bronić dziewcząt przed grzesznym apetytem Munia.

## Wieczornica

Płynęły dni i znów nadszedł okres ciężkiej pracy: żniwa. Besarabia była największym producentem zboża w Rosji i w Europie. Jej żyzne i niewyczerpane czarnoziemy zapewniały coroczne zbiory bez potrzeby nawożenia i ugorowania — bez czego pszenica dochodziła i tak do wysokości dziadzia Asłana z kapeluszem na głowie, a łany wysokopiennych słoneczników i kukurydzy wyglądały jak złota tropikalna puszcza. Ciężkie, dobrze wypełnione kłosa kołysały się majestatycznie na smukłych, elastycznych łodygach. Ogromne pola osiągały rozmiary powiatów i rozciągały się nieprzerwanie aż po linię horyzontu, falując jak morze pod podmuchem dalekich bryz. Ocierały się o siebie kłosa, a wiatr równinny nucił odwieczną pieśń stepu, zamienionego energią i pracowitością Mołdawian w urodzajne pszeniczne pola.

— Odessa jest portem Czarnego Morza — mówiła Tatiana — a Skajany to port Złotego Morza, morza kłosów.

W okresie siejby wszyscy chodzili jak nieprzytomni, tyle było pracy. Jeździły siewniki, znacząc piętnaście rządków siewu za każdym razem. Oziminę siał się w październiku, gdyż zimowała pod śniegiem, a w marcu zboża jare,

które rosły ze zdwojoną szybkością. Jeżeli nie było urodzaju na oziminę, zwiększało się ilość zbóż jarych na wiosnę. Podczas kanikuły dojrzewało wszystko prawie równocześnie. Opanowywała nas wówczas gorączkowa aktywność i nikt nie liczył godzin pracy od wschodu do zachodu słońca. Rżały konie, huczały maszyny, błyskały sierpy, nawoływali się żniwiarze. Wszyscy szli w pole: mężczyźni i kobiety, starzy i dzieci, pracownicy i pracodawcy. Jeśli się nie zżęło na czas, kłosa wysypywały się bezużytecznie. Każde pole musiało być więc zżęte w odpowiednim momencie i trzeba było pośpieszać, żeby się nie spóźnić. Na tym bezmiarze pól brakowało zawsze rąk do pracy. W owej epoce daleka była droga od wioski do wioski. Mimo swej energii rolnicy moldawscy nie mogli zapewnić potrzebnej ilości robocizny. Wyludniały się wsie, domy stały puste i opuszczone, objęte w posiadanie przez koty, gdyż nawet psy były w polu ze swoimi panami. Przez szparę uchylonych drzwi wyglądała tylko pomarszczona twarz babki, która w chłodnym cieniu chaty z limpacza i słomy czekała na porę karmienia chudoby i gotowania tradycyjnej mamałygi.

Rozpoczął się w tym czasie coroczny hałaśliwy najazd wesołej młodzieży z drugiej strony Dniestru. Byli to *srokari ukraińscy*, którzy przychodzili pomagać Besarabskim sąsiadom. Kiedy kończyli pracę i dostawali zapłatę, wracali do rodzinnej Ukrainy, aby znów się pokazać w roku następnym — jak przelotne ptaki.

Zachwycali mnie Ukraińcy. Po całodzienniej wyczerpującej pracy mieli jeszcze dość energii, aby urządzać wieczornice, tańce i śpiewy. Dziewczęta wdziewały pasiaste spódnice, chusteczki na głowę i zawiązywały korale na szyi. Chłopcy, po dłuższym posiedzeniu przy studni, ukazywali się świeżo wymyjni, w białych czystych koszulach wyłożonych na spodnie. Szczelnie zapięte kołnierze i przody koszul zdobił czarno-czerwony haft krzyżykowy. Spod zawiadziacko nasuniętej na głowę czapki wymykał się niesforny kosmyk włosów — słynny ośledec.

W niedzielę, około dziewiątej wieczór, zaczynało płonąć wielkie ognisko na *odaí*.

Chodziłem i ja na te wieczornice, które mój ojciec uważał za odpowiednią dla młodzieży rozrywkę. Zbieraliśmy się tam wszyscy: ja, dzieci woźnicy Jakuba, Popowiczki, syn ekonoma Czukuty, mój kuzyn Miszka, Kazio Sułkowski, syn klucznicy z Tyrnowa i czasem goście, którzy jeździli od jednego do drugiego domu w poszukiwaniu rozrywki.

Ojciec wraz z dorosłymi wyjeżdżał na *odaję* dużym faetonem, którym powoził Jakub. My, młodzi, usadawialiśmy się w szarabanie pełnym siana, upychając się ciasno jeden obok drugiego i w czasie jazdy trzęsąc się w rytm kłusa koni roboczych. Po przebyciu *rypy* droga wznosiła się lekko, a po minięciu ostatnich domów wioski prowadziła przez pagórek Nowackiego. Tutaj zaczynały się płaskie pola biegnące aż po horyzont.

Kiedy podjechaliśmy bliżej *odaí*, dostrzegliśmy palące się ognisko i posłyszeliśmy urywki pieśni ukraińskich, zmieszane z oklaskami. Piękny to był widok. Dwaj parobcy pilnowali ognia, dorzucając wyłuskane kaczany kukurydzy i łodygi słoneczników. Dookoła ogniska tańczyły kołem dziewczęta. Nagle wpadli w podskokach parobcy przytupując rytmicznie. Potem wszyscy usiedli na ziemi i zaczęli śpiewać jedną z tych tęsknych, pięknych dumek ukraińskich, które trzeba było usłyszeć przy strzelającym w górę ognisku, potrząsającym złotą grzywą na ciemnym tle wygwieżdzonego nieba, aby ich nigdy nie zapomnieć.

Te łagodne, smętne melodie były bardzo różne od naszych, mołdawskich. Może dlatego tak nam się podobały. Mniej czuli na ich urok, ja i moja paczka, próbowaliśmy odtworzyć na trawie figury dopiero co skończonego tańca. Ojciec wstał, żeby nas wyrzucić, kiedy nagle zabrzmiał rzeński ton harmonii.

— Hopak, hopak! — krzyknęli znawcy.

Usiedliśmy na trawie, dzieci z przodu, dalej starsi. Wskoczyli jak z procy ukraińscy żęncy, puszczając się w ten trudny taniec. Po pewnym czasie wszyscy tancerze stanęli za przodownikami, który dalej tańczył niezmordowanie jak młockarnia. Mijały minuty i uśmiech zadowolenia wypłynął na twarz tancerza, który wydawał się wygodnie siedzieć na wirze własnych nóg.

— Wiwat Fiedia! *Mołodiec!* — zerwały się oklaski.

Ojciec powinszował przodownikom i kazał zakończyć taniec. Żeniec wyglądał na zmartwionego; zapewniał, że może tańczyć dalej. Ale ojciec uderzył w dłonie prosząc o ciszę, po czym oświadczył, że on także chce wziąć udział w wieczornicy, przedstawiając numer własnego pomysłu. Popatrzyliśmy po sobie zdumieni, nie mogliśmy go sobie wyobrazić skaczącego po kozacku. Ojciec dał znak i rzucił rozkaz. Rozstąpiły się szeregi tańczących i widzów, czyniąc miejsce. Zza stodoły wyjechały wozy, powitane okrzykami radości. Były załadowane mnóstwem beczek, blaszanek, kotłów i garnków pełnych potraw prostych, które jednak smakowały nam jak przysmaki: kiszony ogórek, kiełbasa, bryndza, masło, bondz i zsiadłe mleko. Huśtając się na grubym kij trzymanym przez dwóch krzepkich parobków, został wniesiony triumfalnie wielki kocioł pełen dymiącej mamałygi, roztaczającej aromatyczną woń. Główny klucznik z *odai* stanął przy pierwszym wozie i z powagą zaczął rozdzielać jedzenie. Za chwilę wpadł zdyszany Siańka trzymając w ręce miseczkę z solą.

— Czekajcie! Niosę sól!

Jem ogórek kiszony, co mi po soli? — pomyślałem. Ale sól bardzo się przydała do mamałygi. Ja i moja banda skorzystaliśmy z okazji i dobrze napełniliśmy brzuchy, śmiejąc się i harcując po trawie. Po kolacji zabawa potoczyła się dalej. Zaczęły tańczyć dziewczęta; trzymały wielkie kwiaty słoneczników, kryjąc się za nimi i uśmiechając z kokieterią. Ojciec wziął kieliszek wódki do ręki i wstał gestem nakazując uwagę:

— Teraz możecie tańczyć i bawić się, dokąd chcecie. Dziękujemy wam pięknie za wieczornicę, ale muszę się pożegnać, bo już czas, żeby Stasik poszedł do łóżka. Zostawiam wam baryłkę wódki. Za wasze zdrowie! — zawołał, wypił i rzucił kieliszek wysoko ponad otaczającymi go jasnymi głowami.

Dziewczęta ucałowały mnie serdecznie i ruszyliśmy do Skajan pod niebem usianym gwiazdami. Poszukałem wzrokiem Wielkiej Niedźwiedzicy, która wskazywała godzinę. Z daleka dochodziły jeszcze śpiewy i dźwięki bałałajek; zabawa na *odai* trwała w najlepsze. Kiedy dojechaliśmy do domu, spałem już głęboko.

## Z chartami na zajęcia

Wstający dzień ukazał pola pokryte resztkami śniegu. Słabe jeszcze słońce złościło kryształki lodu na liściach rzepaku. Pomimo zimna wielki ruch pannał w stajni i na podwórzu. Słychać było niecierpliwe szczekanie psów,

rzenie koni, rozmowy i przekleństwa Jakuba. Wyjrzałem przez okno: podwórce było pełne ludzi, koni i psów. W domu babcia Władysława klęczała przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, ciocia Modzia przygotowywała stosy kromek chleba z szynką, Lola wyglądała przez okno, jęcząc:

— Boże! Daj, żeby się to dobrze skończyło!

— *Quand même!* \* — zadrwiła Mlle Juliette. — Będiesz się martwić później. Korzystaj z życia.

Zaczęły wychodzić panie i sadowić się w powozach, okrywać kocami, wołać o zapomniane rękawiczki i zarękawki. *Pristaw*, pałac niecierpliwie papierosa, zawołał do ojca:

— Lew Nikiforowicz! jak tak dalej będziemy się guzdrać, to nigdy nie skończymy przed obiadem!

Osiadłem mojego Muca i byłem gotów, gdy powiewając czarną narzutką na wietrze wuj Teofil stanął na czele i — wśród szczeku psów i śmiechów ludzi — dał znak odjazdu. Każdy przejeżdżał przez wieś inną drogą i gdy znaleźliśmy się już na polach, łowczy zadał w róg, aby zebrać wszystkich w zwartą grupę. Zawyły psy, konie stanęły dęba, spragnione biegu i przestrzeni, która widniała przed nami, szarobiała i gładka, ciągnąca się aż po horyzont. Na przedzie galopował wuj na swoim arabie, z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

— Pośpieszaj! — zawołał do mnie dziadzio Aslan. — Twoje miejsce jest koło ojca!

Szarpnąłem cuglami, usiłując się przepchać między innymi. Nie mogłem napatrzeć się chartom, które biegły lekko, bez wysiłku. Konie galopowały podbierając nogi pod brzuch i wyrzucając je daleko od siebie; widać było, że szybki bieg okupiony jest rzetelnym wysiłkiem. Natomiast psy *borzaje* poruszały jakby od niechcenia łapami, utrzymując tę samą szybkość. Falowały lekko ciała tych wielkich czempionów szybkości, ogony zwisały nisko, zakręcone jak znak zapytania. Elastyczne łapy ledwie muskały ziemię, a z wydłużonego, na pół otwartego pyska wysuwał się różowy język, jak apetyczny kawałek szynki wystający spomiędzy dwóch kromek chleba. Mi-jaliśmy pola ozimin i rzepaków. Śniegi już ustępowały, trzymały się tylko w rowach i na północnych stokach lekko sfalowanego płaskowyżu. Kopyta i koła zagłębiały się w zieleń z chrzęstem, zostawiając smugi pachnące rze-pą i surową zieleniną.

Nagle czmychnął zając, prawie spod końskich kopyt, przyjęty straszną kakofonią szczeków. *Sobacznik* prędko spuścił charty ze smyczy i zaczęła się gonitwa. Karawana wyciągnęła się w długi łańcuch. Na przedzie widać było ciemną, skaczącą plamę zająca, za nim rozwianą na wietrze narzutkę Teofila Antonowicza, potem licznych jeźdźców i daleko, na końcu, powozy z paniami. Mimo moich wysiłków Muc szedł wolno, zostając coraz bardziej w tyle. Róg łowczego słychać było coraz słabiej. Pomyślałem, że mały kał-muk nie może dobrym koniom nadążyć.

— Hajda! Naprzód! — wołałem, potrząsając cuglami i okładając go na-hajką.

Nadaremnie. Nie miałem innego wyjścia, jak zsiąść chyba i biec na pie-chotę. W tym momencie nadleciał Tatar Hakba z dondiuszańskiej stadniny, popatrzył na mnie, krzyknął coś niezrozumiale i rychło zniknął w dali. Muc położył uszy po sobie, wyciągnął szyję i ruszył raptem jak wiatr. O mały

---

\* *Quand même!* (fr.) — Też coś!

włos nie spadłem z siodła. Powietrze świstało mi w uszach, utrzymywałem się w siodle z najwyższym wysiłkiem... Wnet dogналиśmy Hakbę i Muc posłusznie ustawił się za nim. Komitywa podzieliła się na wyraźne grupy. W pierwszej był zając, charty i — jak czarny orzeł — Teofil Antonowicz, owiany wirem czarnego jedwabiu. Zaraz w następnej był ojciec, Tatar i ja. Dalej inni jeźdźcy i wreszcie powozy z paniami. Trzeba było nieskończonych horyzontów Besarabii, aby mieć dość przestrzeni dla tych królewskich rozrywek. Zając sadził rozpaczliwymi skokami. Swoim zwyczajem biedne zające musiały spać z otwartymi oczyma, by móc uciec na czas przed wrogiem. Teraz, przerażone hałasowaniem konnej komitywy, wyskakiwały z nor i rzucały się przed charty w tragicznym wyścigu śmierci. Ich skromna inteligencja nie podsuwała im forteli ani fint pozwalających uniknąć psich żębów. Biegły w linii prostej, najchętniej pod górę, co wyrównywało różnicę długości przednich i tylnych odnóży. Charty dopadły wreszcie wyczerpanego zająca, który padł pod ich kłami. Nadbiegliśmy wszyscy — sobacznik pochwalił się zaraz:

— Zabiły go nie tknąwszy nawet skóry! — i nahajką dobił zająca, po czym dał po kawałku cukru każdemu psu. Wtem nadbiegło kilka koni bez jeźdźców, puste strzemiona uderzały o ich boki. Gdzież byli jeźdźcy?

— Pewnie w jakim rowie! — odpowiedział śmiejąc się Munio.

— Mamy już jednego szaraka! — rzekł z zadowoleniem Teofil Antonowicz i dodał: — Starajcie się jechać bliżej mnie, bo się pogubimy!

Znów rozległ się zew rogu myśliwskiego i grupka jeźdźców ruszyła na przód.

— Tam! Tam! — rozległy się wołania. — Zając! Zając! — i galopująca komitywa wydłużyła się w karawanę.

Gdy upolowano jednego zająca, wyskakiwał następny. I tak, wśród galopu koni, szczekania psów i nawoływania myśliwych, pędziła za szarakami nasza komitywa, aż do wyczerpania. Na koniec robiono pamiątkową fotografię. Ojciec podchodził do siedzącej nieraz w powozie mamy, całował ją czule, podczas gdy szperał ręką za jej plecami w budzie i wyciągał aparat fotograficzny oraz trójnogi statyw. W środku stawały panie, trzymając w ręku upolowane zające, obok psy, a dookoła myśliwi pieszo lub na koniach. Potem ruszano do domu. Oczywiście powrót odbywał się w wolniejszym tempie, ludzie i konie byli pomęczeni, psy szły kłusem, z pyskami przy ziemi.

— Patrzcie na tego Muca! — zawołał wuj Teofil, którego uwagi nie uchodził żaden dotyczący koni szczegół. — Nasze konie — a nie są z najgorszych! — spocone i zdyszane ledwie idą, a ten pajac kałmucki, rozczochrany jak niedźwiedź, ani się nie spocił, ani nie zmęczył i jeszcze harcować mu się zachciewa!

Wszyscy zaczęli przyglądać się mojemu wierzchowcowi i po raz pierwszy poczułem się z niego dumny.

W domu rozbiegli się wszyscy po pokojach, by umyć się i uczesać, a po chwili zgromadzili się przy stole, dookoła karafeczki z wódką i zakąsek, w oczekiwaniu na obiad.

Kiedys przybyły z daleka gość zaczął krytykować ten rodzaj polowania, nie znany za granicą:

— Tyle koni! Tyle ludzi! Tyle psów! — wołał śmiejąc się. — I ledwie trzy zające!

Wuj Teofil odpowiedział z oburzeniem w głosie:

— Bo wy rozkoszujecie się mordowaniem zwierząt z broni palnej! My zaś szukamy tylko sportu!

Upolowane zające pojawiały się na stole dopiero kilka dni później, po ich zamarynowaniu. Upieczone, podawano je w dzikim, brunatnym sosie, który pachniał polem, stepem, gdzie wiatr śpiewa na kolcach wysokich, suchych bodiaków, gdzie żyje i hasa zając, póki nie dosięgnie go... przeznaczenie.

## Atak wilków

Nasza *trojka* pędziła galopem po białym stepie. Po obu stronach sań przelatywały śnieżne kule, wystrzelone kopytami koni. Lekko pofalowana równina oświetlona była metalicznym blaskiem księżyca. Ostatnie domy wsi tyrnowskiej zostały już za nami; znaleźliśmy się na nie zamieszkaną przestrzeni. Wysoki czarny przód sań odrzucał śnieg na dwie strony niczym statek prujący śnieżne fale. Konie brnęły coraz głębiej w tym kopnym śniegu, który padał, gdyśmy jeszcze w salonie słuchali koncertu Czajkowskiego. Z lekkim chrzęstem ślizgały się płozy po białym bezdrożu, zapalały się i gasły błyski w kryształkach lodu oświetlonych zimnym spojrzeniem księżyca. Dzwonek zawieszony w kabłąku Popa wydawał monotonny dźwięk, gubiący się w przestrzeni. Wyostrzonymi zmysłami chłonałem wszystkie wrażenia: pozostały one potem długo niezatarte i do dziś przypominam sobie najdrobniejsze szczegóły takich nocnych podróży po śnieżnej równinie, pod ciemnym, wyiskrzonym gwiazdami niebem. Dokąd zmierzaliśmy? Skąd przybywaliśmy? Na razie byliśmy pogrążeni w grzaskim i chrzęszczącym oceanie białości. Unosiliśmy się w jakiejś nierealnej przestrzeni, bez początku i bez końca. Chwilami nie było słychać kopyt końskich i tylko dzwonek uprząży dźwięczał niby drżące srebro. Mróz, przedmioty jakby wykute w marmurze, ciemne, wygwieżdzone niebo, cichy dźwięk dzwonka, szelest płóz na śniegu, wszystko to zlewało się w wielką, poważną i niezapomnianą symfonię nocnej zimowej podróży. Słuchałem jej z przejęciem, nie tracąc ani jednego szczegółu.

Raptem usłyszałem daleko jakiś szczek. To pies — pomyślałem — już zbliżamy się do Skajan. Jakub potrząsnął batem i zmusił konie do przyśpieszenia biegu. Ojciec wstał i zaczął spoglądać wstecz. Naśladowałem go, trzymając się przedniej barierki. Daleko, przy tej linii, która oddzielała białą ziemię od czarnego nieba, ujrzałem ciemne punkty; dobiegało stamtąd poszczekiwanie. Ojciec kazał wstać paniom i zaczął czegoś szukać pod siedzeniem.

— Do stu diabłów! — zawołał rozgniewany. — Wożę zawsze strzelbę ze sobą... Któż mi ją wyciągnął?

Podniósł się lekki *kriwacul*. Nasadziłem głębiej baranią czapkę i podniosłem kołnierz szuby, gdyż poczułem zimno. Gdzież jest mój baszłyk? Mnie też ktoś go schował. Tymczasem Jakub wyciągnął poduszki wypełniające jego szubę i rzucał je w głąb sań.

— Siadaj z przodu! — powiedział mi ojciec i rozkazał: — Jakub! Wielkim galopem!

Nie czekając na wyjaśnienia odsunąłem baranicę i przeniosłem się na

przód. Te psy biegnące za nami bardzo mnie dziwiły. Widziałem, że nadal biegna, szczekają, wyją i nawet zbliżają się do nas. Tylko że teraz głosy ich wydawały mi się jakieś inne...

— Co robią tutaj te psy? — spytałem.

— Nie daj nam Boże, Stasik! — odpowiedział mi Jakub przyciszonym głosem. — Nie widzisz, jak gnają przerażone i potrząsają grzywami nasze konie? One wiedzą, co to za rodzaj psów!

Popatrzyłem na konie, które od chwili już szły wyciągniętym galopem, jakby były najlepszymi synami tyrnowskiej stadniny. Na ich bokach ukazały się ciemne plamy z białą otoczką piany; mimo mrozu konie pocily się jak w lecie. Jakub siedział sztywno, patrząc w przód, trzymając z wyczuciem lejce. Miał zaniepokojony wyraz twarzy.

— Nie mamy nawet jednej strzelby! — westchnął. — Nie wiem, jak się wywinieśmy od tych wilków!

Wilki! Słowo to padło jak bomba, eksplodowało wprost w mojej świadomości. Wilki znajdowały się już blisko i tym razem nie było to czyjeś opowiadanie lub powieść podróżnicza, lecz dotykalna rzeczywistość. Po raz pierwszy w życiu stanąłem przed takim niebezpieczeństwem. W opowiadaniach, które czytałem, lwy i tygrysy były najgroźniejszymi zwierzętami. W porównaniu z nimi wilki się nie liczyły, ale... w zimnym księżycowym świetle, na tym pustkowiu, gdzie darmo mogliśmy wołać o pomoc, gdzie nie zobaczyłbyś nawet jednego żywego człowieka na wiele wiorst dookoła — kiedy słuchałem tych ponurych wyć, wilki wydawały mi się stokroć niebezpieczniejsze od tygrysów. Mogłem rozróżnić już ich sylwetki, gdy galopowały coraz bliżej sań, doganiając nas mimo wysiłków dzielnych koni. Poszczekując zaczęły nas wyprzedzać, jakby czuły już radość zwycięstwa. Mimo kłap na oczach konie poczuły bliskość wilków i leciały jak wiatr, nie bacząc na zmęczenie, które je musiało ogarniać po tak długim galopie po śniegu. Pop walił naprzód z wyciągniętym pyskiem, nie spuszczać wzroku z linii horyzontu. Oba boczne konie wyginały szyje, rozdymały chrapy i galopowały wierzgając od czasu do czasu, jakby chciały wilki odpędzić. Sanie zaorywały głęboko śnieg w wądołach, na wydmach zaś miałem wrażenie, że unoszą się w powietrzu. Raptem, robiąc akrobatyczny skok, najbliżej gnający wilk rzucił się na Prokusa, wbijając mu kły w szyję. Wisiał tak, mocno uczepony, dając się unosić w pełnym galopie. Jakub porwał się na równe nogi i owinawszy kocem lewe przedramię, zaczął strzelać z bicia w wilka, który poczuwszy piekące uderzenie bata, zeskoczył w śnieg i koziołkując wpadł pod sanie. Pędziliśmy dalej galopem, ale szleje Prokusa zdecydowanie się poluzowały.

— Ten już krwi zasmakował! — zawołał ojciec. — Ten ponowi atak!

Rzeczywiście, wilk znów nas dopędził i znów rzucił się na Prokusa, który przestał ciągnąć, starając się od wilka uwolnić. Sytuacja była groźna, gdyż Prokus mógł ulec lada chwila. Ranny lub martwy, zaplątany w uprząż, spowodowałby katastrofę.

— Stój, Jakub! — rozkazał ojciec.

Jakub ściągnął lejce gwałtownie i zahamował konie. Rozpędzone wilki jeszcze gnały. Korzystając z tego ojciec i Jakub wyskoczyli z sań i zaczęli przecinać uprząż. Jakub zabił nożem wilka, który wciąż wisiał u szyi Prokusa. Bryznąła krew, znacząc się wielką plamą na śniegu wokół rannego ciężko Prokusa. Ojciec błyskawicznie rozkręcił laskę i wyciągnął z niej ostrą szpadę, którą począł dźgać wilki. Konie, uwolnione od szlei, obróciły się

pyskiem do nas, wierzgając w stronę wilków. Wilki wiedziały, czym to pachnie, gdyż starały się tyłu unikać i atakować konia od przodu. Pop pochylił głowę i oboma kopytami wyciął wielkiego czarnego wilka, który wyleciał w powietrze i upadł w śnieg daleko, zakreśliwszy imponujący łuk.

— Ten dostał już za swoje! — zawołał ojciec, wbijając szpadę w otwarty pysk wilka atakującego mnie z boku. Kobiety, u szczytu przerażenia, skurczyły się w głębi sań i przykryły szczelnie baranicą. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę ze znaczenia różnicy płci. Ojciec, Jakub i ja nie czuliśmy żadnego strachu ani ochoty, by chować się pod baranicę. Czułem podniecenie walką, chciałem być wyskoczyć z sanek i pomóc dzielnym koniom. Ręce same wyciągały mi się w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni. Złapałem zapasowy orczyk i zacząłem nim rozdzielać uderzenia między błyszczące ślepia, a gdy mi z rąk wyleciał, wierzgałem nogami, zadyszany.

— Tak nie! — krzyknął ojciec. — Złapią cię za nogę! — i nadział wilka, który się na mnie rzucał.

Konie dalej walczyły, lecz biedny Prokus był widocznie osłabiony i ruszał się z trudnością. Potężny Pop stał bez ruchu z pochyłą głową, lecz ledwie tylko jakiś wilk do niego się zbliżył, wylatywał natychmiast w powietrze i leciał daleko, aby się już więcej nie podnieść. Krakus natomiast skakał jak bąk w miejscu, kręcąc się i rozdał gesty kopniaki na wszystkie strony. Wprawne w takich walkach wilki unikały Popa i Krakusa, koncentrując ataki na biednym Prokusie, który słabł w oczach i coraz to przykładał. Wilki zabite, lub tylko ranne, padały ofiarą swoich towarzyszy, którzy na nie się rzucali. Wstąpiła we mnie nadzieja na ten widok: może wilki zaczną walczyć same z sobą i nam dadzą spokój? — pomyślałem.

— Nadchodzi więcej wilków! — zawołał Jakub stając na koźle.

Spojrzałem we wskazanym kierunku: daleko jeszcze było widać nadbiegające drapieżniki, zbliżały się do siebie, oddalały, galopując wściekle. Mimo hałasu walki usłyszałem dalekie poszczekiwanie zbliżającego się stada. Muszę przyznać, że na ten widok opanowało mnie zniechęcenie. Byłem zmęczony, spocony; po co walczyć — myślałem — jeżeli i tak mamy skończyć życie pożarci przez wilki? Gdybyśmy nawet próbowali ratować się ucieczką, jakież w tej sytuacji mieliśmy szanse? Zabiliśmy kilka wilków — to prawda — ale czy dalibyśmy rady nowym zastępom drapieżców? Natomiast w konie wstąpiły jakby nowe siły i kopyta ich waliły we wroga jak tarany. Jakub podał mi żelazny klucz od kół, ojciec krzyknął, by dodać nam otuchy:

— Jazda! Na nie! — i dalej potoczyła się walka.

Biedne panie nic nie widziały, ukryte pod baranicą, ściśnięte, przestraszone. Ten sam los je czekał co nas! Jakub rozdzielał uderzenia biczyskiem pomiędzy ukazujące się co chwila zza brzegu sań złowieszcze pyski. Nadbiegające wilki były już blisko, widziałem ich falujące w galopie grzbiety i ogony.

— Synu mój, żegnaj! — zawołał ojciec i objął mnie lewą ręką, trzymając szpadę w prawej.

— Lew Nikiforowicz! — wykrzyknął Jakub. — Dzięki za wszystko! Żegnajcie! Było zapisane!

Teraz dopiero odczułem w całej pełni grozę sytuacji. Słowa wypowiedziane przez ojca i Jakuba przeraziły mnie bardziej niż drapieżniki. Więc to już koniec? Jak wygląda śmierć... Nie mogłem sobie tego wyobrazić. Młodym życie wydaje się wieczne. Co należało robić w takiej sytuacji? Modlić się? Poczytać jakieś śluby? Te i inne myśli przelatywały mi przez głowę



jak błyskawice. Nadbiegające zwierzęta były już przy nas, gdy raptem stało się coś niespodziewanego! Rozległy się groźne warknięcia i szczekania — i jedne wilki napadły na drugie! Atakujące nas zwierzęta odwróciły się i rzuciły na swych nowych wrogów, zostawiając nas w spokoju. Stałem zdumiony, jakby we śnie, patrząc na fantastyczny obraz walczących ze sobą na śniegu wilków.

— To są psy! — zawołał ojciec gromkim głosem i rozluźnił swój opiekuńczy uścisk.

Psy! Rzeczywiście, to były skajańskie psy! Dzielne, odważne owczarki i podwórzowce nadbiegły z niedalekiej wsi, aby wydać bitwę bez pardonu swoim odwiecznym wrogom. Przybyły w ostatniej prawie chwili, aby uratować nam życie, i teraz walczyły, narażając się na ukąszenia i rany, z których nie wszystkie miały się wyleczyć. Skajańskie psy! Soldat! Malik! Riabczik! Turok! I jeszcze inne! Któż teraz by je poznał, podczas gdy walczyły z wilkami, któż by się domyślił, z jakich domów pochodzą? Niektóre miały obroże na szyi lub urwany łańcuch, wlokący się z tyłu.

Bój nie mógł już długo trwać. Stado wilków, zziębniętych i zmęczonych, dobrze nadszarpnięte poprzednią walką, nie było w stanie opierać się bez końca. Drapieżniki zaczęły się cofać i wreszcie rozpoczęły generalny odwrót, ścigane przez psy.

Zostaliśmy sami, wolni od niebezpieczeństwa, uratowani przez nasze odważne skajańskie psy! Wskoczyłem z sanek i z sercem wezbranym uczuciem rzuciłem się za psami w porywie radosnej wdzięczności. Ale jak szybko się pokazały, tak teraz błyskawicznie pomknęły goniąc uciekające wilki. Zapanowała cisza i konie odzyskawszy spokój dyszały ciężko... Za nimi stały sanie zaryte w śniegu. Spojrzeliśmy po sobie. To, co się stało, było tak nieprzewidziane, tak gwałtowne, że wydawało się wprost niemożliwe. Czy zdarzyło się to naprawdę? Nie byłże to nocny koszmar? Ale nie — tu leżał Prokus, który nie mógł już utrzymać się na nogach, tam trupy zabitych wilków, dookoła widać było ciemne plamy krwi na śniegu. Podeszliśmy, aby spojrzeć na Prokusa. Był jeszcze ciepły, leżał na boku i dawał słabe tylko oznaki życia. Obok wsiąkła krew, którą stracił.

— Biedny Prokus! — rzekł Jakub. — To był jego ostatni fokus!

Łzy mi stanęły w oczach. Jak mogliśmy żyć dalej bez Prokusa? W jednej chwili prysnęła radość z ocalenia. Poczułem straszną nienawiść do wilków. Ojciec westchnął.

— Teraz, Jakub — rzekł — czeka nas smutny obowiązek. Nie mam strzelby, aby dobić biednego Prokusa. Ja... nie mogę zabić go szpadą! Wilki być może jeszcze wrócą, jak zostawić go na pół żywego?

Z sań dobiegły nas głosy. Podniósł się róg baranicy, pokazała się głowa Loli:

— Co? Już się skończyło? Możemy jechać dalej?

Ojciec wzruszył ramionami i zwrócił się do Jakuba. Jakub przyjrzał się Prokusowi i orzekł:

— Możemy zostawić biednego Prokusa. Śmierć z zimna jest najłagodniejsza ze wszystkich. Jutro przyjedziemy po niego.

Nasz zaprzęg został zredukowany do dwóch koni. Pospieczaliśmy uprzęż sznurkami i drutami i ruszyliśmy do Skajan. Szybko byliśmy na miejscu. Nie poszliśmy spać, dopóki nie opatrzyliśmy ran i zadrapań naszych dzielnych koni, Popa i Krakusa. Potem zmorzył mnie sen tak gwałtowny, że już nie wiem, jak znalazłem się w domu i w łóżku.

Następnego dnia okazało się, że panie są chore po wczorajszych przeżyciach. Dom wyglądał jak wrzaskliwy kurnik: co chwila ktoś biegł z kroplami walerianowymi lub opowiadał o wilkach histerycznym głosem. Babcia Władysława klęczała przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i odmawiała dziękczynne modły za nasze „cudowne uratowanie”.

Wnet zorganizowano ekspedycję saniami na miejsce wczorajszego dramatu. Wsiadliśmy do saní roboczych, za nami jechały drugie, puste. Step wyglądał całkiem inaczej, pokryty oślepiającym w słońcu śniegiem, niż wczoraj, przy nierealnym świetle księżyca. Trudno było sobie wyobrazić ponurą scenę walki w tej atmosferze radości i optymizmu, jaką niósł z sobą piękny zimowy ranek. Wczorajsze nasze ślady ułatwiały orientację na tej płaszczyźnie, gdzie wzrok nie miał na czym się zatrzymać. W dali ukazały się ciemne punkty i po chwili znaleźliśmy się w miejscu, w którym rozegrały się wypadki ubiegłej nocy. Biedny Prokus leżał na boku, pośrodku wielkiej plamy szkarłatnego koloru. Był martwy i zamrożony, wydawał się wyrzeźbiony w dębowym drzewie. Brodząc po śniegu odkryliśmy tuzin wilczych trupów w pobliżu. Jeden wielki czarny wilk, „szef bandy” — jak powiedział Jakub — leżał w dziewiczym śniegu, żaden ślad do niego nie prowadził. Wydawało się, że spadł z księżyca!

— Tego to na pewno Pop poczęstował! — rzekł Jakub, tłumacząc mi znaczenie różnych szczegółów. — Pop to ma siłę w kopytach! Ten drań ze dwadzieścia arszynów w powietrzu przeleciał, zanim spadł na ziemię!

Niestety, między wilkami było też kilka martwych psów. Niektóre zamarły jakby w konwulsjach, co wskazywało na przedśmiertne cierpienia tych naszych odważnych obrońców. Załadowaliśmy z pomocą parobków Prokusa i psy na puste sanie i ruszyliśmy z naszym smutnym ładunkiem z powrotem do Skajan. Nie zatrzymując się na wjazdowym podwórzu, Jakub poprowadził konie do parku, gdzie koło żółtej akacji wykopano duży dół, otoczony kupami czarnej jak węgiel ziemi. Po zakopaniu naszych zwierząt ruszyłem ze spuszczoną głową w stronę domu. Dziadzio Aslan jadł drugie śniadanie.

— Teraz sam widzisz... — rzekł podnosząc głowę. — To jest życie! Dużo gonitwy, dużo radości i kłopotów! Potem do dołu i nikt nie pamięta tego, kto odszedł.

Ale tym razem mylił się dziadzio. Wiele razy mieliśmy jeszcze wspominać „ostatni fokus” Prokusa, jak o tym świadczy choćby niniejsze opowiadanie.

## Kulig

W Skajanach, jak i w Tyrnowie, wszyscy zawsze poświęcali się przede wszystkim pracom gospodarskim. Wstawali wcześniej, przychodzili późno na posłiki i często wykorzystywali niedziele i święta na uzupełnienie nie ukończonych prac. Głównym celem życia była praca. Obecnie myślę, że praca była również główną rozrywką. Goście, wizyty ważnych osób, zabawy były w rzeczywistości mało ważne w naszym życiu. Z energią i entuzjazmem oddawaliśmy się zawsze głównej naszej rozrywce: pracy.

Co roku przychodziła jednak pora, kiedy zaczynał dąć jakiś wichur szaleństwa. Zamiast mówić o pracy ludzie rozmawiali o tańcach i przyjęciach. Ten okres nazywał się karnawalem.

Leżał cicho step pod białą, zimową pierzyną, gdzieniegdzie wystawały rzadkie osty lub łodygi słoneczników, zapomniane w momencie zbioru. Nakładaliśmy wtedy filcowe kapce zwane walonkami i jedliśmy solone masło. Moja sroka nienawidziła tego okresu. Biedaczka wałęsała się smutno, nie wiedząc gdzie usiąść. Pod białym płaszczem śniegu wszystko było obumarłe i zastygłe w nieruchomości. Gdy siadała na śniegu, jej łapki zapadały się, i trzepocząc rozpaczliwie skrzydłami usiłowała się poderwać. Zazwyczaj sroka starała się lądować na drogach, gdzie śnieg był ubity przez konie i płozy sań.

Pewnego razu przyjechało bardzo wiele osób po południu. Byłem zmęczony i poszedłem spać po kolacji. W środku nocy obudziły mnie jakieś hałasy. Przez na wpół otwarte drzwi widać było światła i ludzi w różnokolorowych strojach i kapeluszach. Zbliżyłem się, żeby zerknąć przez szparę: meble znikły ze środka salonu, w tłumie ludzi zobaczyłem nawet zwierzęta wmieszane pomiędzy osoby skaczące, krzyczące i tańczące w takt gry zaimprovizowanej orkiestry. Munio uderzał w metalową tacę, dziadzio Aslan grał na rogu myśliwskim, jakaś dziewczyna na grzebieniu owiniętym bibułką, wąsaty pan dał w lufy dubeltówki. Całe to towarzystwo produkowało kakofoniczne dźwięki, które mnie zachwyciły. Zwierzęta były zadziwiające: jedna głowa końska i druga krowia tańczyły wesoło pośrodku salonu. Koń miał tylko dwie nogi, obute, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, w męskie trzewiki. Przetarłem oczy pytając sam siebie, czy śnię, i wysunąłem się o kilka kroków, aby widzieć lepiej, ukazując się przed rozbawionym towarzystwem w mojej białej, długiej nocnej koszuli, którą może wzięto za przebranie. Zbliżyła się do mnie dziwna osobistość: miała na sobie szerokie białe spodnie i marynarkę z czarnymi guzikami, na głowie zaś spiczastą czapkę i czerwony nos wielkości pomidora. Przestraszony, usiłowałem uciec, ale to dziwadło włożyło nogę między drzwi i uderzyło mnie w nos gumowym kaloszem, zawieszonym na angielskim batogu. Inni uczestnicy tańczyli, krzyczeli i śmiali się bez przerwy. Raptem dziwadło zdjęło nos i okulary i rozpoznałem w nim... mojego ojca. Nie wiem, dlaczego wzburzyło mnie to do głębi i zacząłem płakać. Rzuciłem się ku niemu, obejmując go za nogi. Ojciec wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka.

— Ale cóż to się dzieje? — zapytałem zaintrygowany.

— To jest karnawał!

W ciągu następnych dni wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy. To samo działo się w Skajanach i w Tyrnowie, w Rusianach i w Kidłach. Ciągłe odpowiadano na moje pytania: „To jest karnawał!”

Najdziwniejszą i najważniejszą rzeczą w całym karnawale był kulig, jakby wezwanie do wspólnego szaleństwa. Ludzie, upojeni szalem karnawału, wsiadali w sanie i trzaskając z bicia ruszali galopem na przełaj przez oślepiająco białe, ośnieżone przestrzenie — w poszukiwaniu innych podobnych do nich wariatów.

Kulig to była lawina. Zaczynał ją ktokolwiek, z trzema lub czterema wesołymi towarzyszami, jednymi saniami, ciągnionymi przez dobre konie, wypuszczając się pędem w mroźną noc. Kierując się odległymi światłami, spadali jak wesoły najazd na domy przyjaciół i podczas gdy konie gryzły wędzidła z niecierpliwością, rozbawieni towarzysze zmuszali wszystkich do wstawania i ubierania się. Według zwyczaju należało zaprosić przybyłych na kieliszek, zaprząć konie do własnych sań i dołączyć się do frenetycznej jazdy poprzez białą równinę. Jadąc od domu do domu, formowała się w końcu długa karawana sań, brzęcząca dzwonkami w nocnych ciemnościach, roz-

brzmiewająca wesołym śmiechem, muzyką, dowcipem i okrzykami. Piło się różne gatunki win, krymski szampan i francuski veuve clicot; sanie były pełne butelek. Kiedy świt bielił niebo na wschodzie, sanie zatrzymywały się i stawały szerokim frontem. Wszyscy stojąc pozdrawiali wschód słońca. W momencie wynurzenia się czerwonej tarczy rozległ się potężny okrzyk i przestraszone konie stawały dęba. Zaczynała się gęsta palba wystrzałów z butelek: korki wylatywały w powietrze, lał się pienisty trunek napieniając kielichy i wszyscy wznosili toast na cześć wschodzącego dnia.

Po spełnieniu rytuału ruszała banda dalej w drogę, aż do następnej wsi. Ta nie kończąca się karawana, ci weseli i beztroscy ludzie, te krzyki i śpiewy unoszące się w powietrzu wśród śnieżnego bezkresu stepu — to był nasz kulig.

Rozbrzmiewał wtedy melodyjny romans rosyjski, który obiegił cały świat:

*Gajda, trojka,  
Śnieg puszysty,  
Noc mroźna jak krugom,  
Świeci miesiąc srebrysty,  
Mczitsia paroczka w dwojom\*!*

Lotne sanie pędziły w dal po niepokalanym śniegu. Galopowały nieznużone konie, stangreci owinięci w ogromne szuby, ściągnięte skórzanym paskiem, kiwali się rytmicznie na koźle. Środkowy koń *trojki* biegł hardy i wyprężony pod pałakiem, gdzie dzwonił *kołokolczik*. Towarzyszące boczne konie popisywały się tanecznym krokiem. Jakub, pękaty w swojej lisiej szubie, mistrzowskim gestem dzierżył lejce naszych sań. W środku kłusował Pop; z prawej Orlik, z lewej Sokół biegły z szyjami wygiętymi i głowami wdzięcznie zwróconymi na boki, elegancko wyrzucając nogi. Ludzie, widząc nas, zaczęli bić brawo i wiwatawać.

— Niech żyją ci ze Skajan! Pierwsza nagroda dla skajańskiej *trojki*!

Jakub nadał się z dumy i wypiął pierś, ile się dało, aż szuba w szwach trzeszczała. Wszystkie sanie utworzyły obszerny front, przed którym kazano nam przededefilować. Powtórzyły się oklaski, przyjaciele głośno nas nawoływali. Najcenniejsze przedmioty fruwały w powietrzu, rzucone nam w darsze. Po skończonej defiladzie stanęliśmy na czele kuligu, jak przystało odznaczonej *trojce*. Zawinąłem się w szubę z karakułów i usiłowałem zasnąć. Jechaliśmy tak od wsi do wsi, od przyjaciół do przyjaciół, śpiąc, tańcząc, jedząc i pijąc. To był pierwszy kulig, w którym mi pozwolono wziąć udział. Kiedy dojechalśmy do Rusian, podano nam tradycyjny czerwony polski barszcz, który piło się o świcie. Ten roślinny, kwaśny bulion ma właściwość regenerowania wyczerpanych sił po nocnych eskapadach. Z nowym impetem uczestnicy kuligu rzucali się do salonów o błyszczących parkietach. Przygodni artyści zaczęli grać i wesoły korowód obiegał ogromne sale. Radość i żądza tańca były ogólne, tak że nawet surowy i sztywny dziadek Strienkowski, ubrany w jedwabny szlafrok i skórzaną pantofle, schodził z góry uśmiechając się mimo woli pod wąsem. Wołodia z jakimś kolegą znęcali się nad wielkim fortepianem, robiąc tyle hałasu co oddział wojskowy złożony z dwudziestu pięciu kozaków. Pary kołowały w wirze zwiewnych jedwabów. Kawalerowie wywijali zadzierzystego mazura, tupiąc potężnie obcasami w parkiet. Czułem się coraz bardziej przytłoczony sennością, zmęczeniem i rzucałem roz-

\* *Gajda, trojka...* (ros.) — Hajda, trojka, / Śnieg puszysty, / Wokół mroźna noc, / W górze księżyc lśni srebrzysty, / I mknie dwoje w dal!

paczliwe spojrzenia w poszukiwaniu jakiejś sofy lub stojącego na uboczu fotela.

Zbliżył się do mnie korepetytor Toki i porywając mnie, zmusił do kręcenia się wokół niego, jeszcze i jeszcze, aż zrobiło mi się niedobrze. Powlokłem się na czworakach i pełzając między nogami krzeseł niby czerwonoskóry Siuks, dotarłem do ciemnego zakątka. Drżąc pod krzesłem poczułem, że ktoś chwytając mnie za ramiona i potrząsając wołając:

— Wstawaj, Stasik! Może myślisz, że pojedziemy dalej bez ciebie?

Wydałem słaby jęk, błagając o zmiłowanie, ale złapano mnie za nogi i głowę i jak polano do karnawałowego ogniska zostałem wrzucony do sań. Po odtąnczeniu swych polek i mazurów weseli goście zdecydowali kontynuować jazdę. Troje czy czworo sań z Rusian uszeregowano się w orszaku; znalazł się w nich Wołodia, jego weseli koledy studenci oraz inni zaproszeni, którzy byli przypadkowo w pałacu. Z piekielnym hukiem ruszyło towarzystwo, znowu konie poszły galopem i znów dał się słyszeć monotonny śpiew dzwoneczków. Z przodu jechały duże sanie wypełnione muzykantami cygańskimi, ubranymi w czarne baranie kozuchy. Dźwięczała liryczna muzyka skrzypiec, delikatne tony fletów i grube głosy basów. Od czasu do czasu nabierały energii, górując nad wszystkimi, bałabajkami i namiętne *garmoszki*, nieodstępne towarzyszki wszelkich zabaw. Wzdłuż olbrzymiej karawany kuligowej płynęła melodia tradycyjnego rosyjskiego romansu: „*Gajda, trojka, śnieg puszysty...*” Pod romantycznym spojrzeniem księżycy pieśń biegła po śnieżnych wydmach prędzej niż najszybsza *trojka*. Wilki, zaskoczone tą huczną i śmiałą kawalkadą, przerażone dźwiękami nigdy dotąd nie słyszanych, uciekały przezornie przed kuligiem, który jak orszak królewski przejeżdżał nie zatrzymując się, biorąc w impecie wszelkie przeszkody. Jak zapewniali starzy, żaden kulig nie był nigdy zaatakowany przez wilki. Mijały godziny, dni i noce. Żywiolowy, szaleńczy kulig porywał serca i dusze. Spod końskich kopyt nieustannie uciekała ogromna zaśnieżona równina. Chrzęściły płozy, dźwięczały srebrzyście dzwonki, w powietrzu krzyżowały się wesole okrzyki kobiece, brzmiały piosenki i świstały baty. Powracały falami głosy bałabajek; ich dźwięczne tony łechtały uszy. Tak mijał dzień, noc i znowu dzień i noc, i jeszcze jeden dzień, najcięższy, ten trzeci. W głowie mi szumiało, wszyscy wydawali się tracić poczucie czasu i odległości. Konie i ludzie jedli dorywczo i spali ukradkiem. Zaledwie przebudzeni, znowu stawali do szaleńczego wyścigu, znacząc zawile ścieżki na nietkniętej białej płaszczyźnie. Nie wiem, ile dni trwał ten kulig. Tydzień? Miesiąc? Kiedy się znalazłem wreszcie w domu, rzuciłem się z uczuciem szczęścia do łóżka. Chciałem spać, spać, spać!

Dziadek Asłan ucałował mnie i powiedział:

— Teraz jesteś znudzony kuligiem, ale niedługo znudzisz się spaniem! Takie jest życie!

### Skrzypce w błocie

— Tym razem twój nowy nauczyciel jest także muzykiem — powiedział ojciec. — Mam nadzieję, że będziesz mu okazywał należny szacunek. W połowie września przyjechał profesor. Był błydy, szczupły i ubierał

się na czarno. Przyjrzałem mu się ze zdziwieniem; wyglądał jakby był chory. Mówił cichym głosem. Jadł ze szczególnym namaszczeniem i nie siorbał przy jedzeniu zupy. Po południu odmówił osiodłanego już konia i wsiadł do powozu z paniami. To mi wystarczyło:

— To jakiś ostatni patałach! — oświadczyłem lekceważąco w kredensie.

— Ach! Jakież to delikatny kawaler! — wykrzyknęła Nastka. — On jest hrabia, zaraz znać, że to arystokrata. — I otworzywszy lekko usta, podniosła oczy w górę, jak gdyby patrzyła na obraz świętego Cyryla w cerkwi.

Rozpoczęły się lekcje. Tematy podsunęte przez hrabiego były nudne. Kazał mi mówić cicho i nie pozwalał gestykulować. Po obiedzie nie chciał jechać na *odaję*, pola i prace rolne były dla niego równoznaczne ze śmiertelną nudą. Wolał spacerować piesze, z tomem poezji w ręce.

Spadły pierwsze jesienne deszcze. Ziemia nasiąkała wilgocią, tak długo oczekiwaną. Potem spadły śniegi. Niebo stało się szarozółte i nadeszły chłody. Coraz dłuższe wieczory zmuszały nas do zapalania naftowych lamp wczesnym popołudniem i trzeba było zaprzestać wizyt na *odai*, która leżała cicha, ukryta pod grubą pierzyną śniegu. Zaczęły się nasze artystyczne prace ręczne, które tak bardzo lubiliśmy — ojciec, dziadzio Julian i ja. Leciąły wióry spod hebla, skrzypiała ręczna piłka, dymił garniec z karukiem. Hrabia patrzył z grymasem niechęci na nasze zajęcia. Ale kiedy wykończyliśmy parę flakonów na kwiaty, parę szafek z wypalonymi w drzewie rysunkami i klatkę dla szczygła, zmienił się wyraz jego twarzy.

— Kto by pomyślał... — powiedział i przyniósł mi swój futerał na skrzypce, żebym naprawił zepsuty zawias.

Kiedysmy pracowali, Munio czytał nam rozdziały z książki *Nasi za granicą* Mikołaja Lejkina. Opisy komicznych perypetii rosyjskiego kupca i jego żony Głaszy w Paryżu wywoływały wśród nas wybuchy śmiechu.

— Przestań na chwilę — mówił ojciec widząc, że śmiech przeszkadza mi w pilowaniu.

Po kolacji posyłano mnie spać, właśnie wtedy gdy hrabia szedł po skrzypce. Wygląda na to, że to za karę — myślałem. — Każą mi iść spać, a sami objadają się słodyczami i konfiturami po skończonym koncercie.

Pewnego razu, kiedy już leżałem, nie mogłem się oprzeć ciekawości. Wstałem z łóżka i boso poszedłem do jeszcze nie oświetlonego salonu. Schowałem się w ciemnym kącie, za szafą z książkami. Otworzyły się drzwi, zapalono światła, wszyscy weszli i usiedli, by posłuchać muzyki. Hrabia zaczął grać na skrzypcach. Popłynęły tony łagodne, smutne, które chciwie wchłaniałem. Dlaczego mi nie pozwalali słuchać czegoś tak pięknego? Nie kochali mnie... Ogarnęła mnie melancholia... Skrzypce wydawały rozdzierające dźwięki. Poczułem się niesłychanie opuszczony, zdjął mnie niewytłumaczony lęk. Wrażenie nieszczęścia ścisnęło mi serce. Skrzypce hrabiego kapą łzami jesiennego smutku... Nie mogąc dłużej wytrzymać, załkałem histerycznie i wybuchnąłem głośnym płaczem.

— Cicho! — zawołał ojciec. — Co to jest?

Przerwano muzykę i wtedy mój głos rozległ się z siłą okrętowej syreny. Ojciec wsunął rękę za szafę i wyciągnął mnie z kryjówki. Ukazałem się w świetle lampy przed zdumionymi oczami obecnych, boso, w długiej nocnej koszuli. Zamiast krzyczeć na mnie, jak się spodziewałem, wszyscy wysilali się, żeby mnie pocieszyć, a potem odprowadzili do sypialni. Hrabia usiadł przy moim łóżku, wzruszony i szczęśliwy z powodu tak spontanicznego hołdu. Zamknąłem oczy i zasnąłem jak kamień.

Mijały dni i tygodnie. Przeplatały się prace i rozrywki. To polowanie z chartami, to kulig, to wizyty; znów kulig i kilka ataków bólów dziadzia Juliana; skończył mi się zeszyt z zadaniami; potem drugi; złapałem szczygiełka w sidła, potem następnego. Na szafie zbierały się przedmioty wykonane w naszym warsztacie: pudełka na papierosy, skrzyneczki, teczki, klatki, kosze na papiery. Jedne były z drzewa, w ażurowe desenie wycinane laubzegą, rzeźbione dłutkami lub wypalane igłą platynową, inne z kartonu, ozdobione srebrnym i złotym papierem, lamówkami i zameczkami.

Powoli dni się wydłużały i skracaly wieczory. W kalendarzu pokazały się czerwone cyfry: zbliżała się Wielkanoc. Zaczął topnieć śnieg. Białe wyspy, które jeszcze ostały się w polu, pływały teraz po morzu czarnego błota. Nie mogliśmy ruszyć się z domu ani piechotą, ani na koniu, bo natychmiast zapadaliśmy się po kolana. — Trzeba poczekać, aż podeschnie — mówił ojciec, zajęty od rana do wieczora rzeźbieniem dziewięciornika na kawałku gruszkowego drzewa. Dookoła domu tworzyły się kałuże, woda płynęła strumykami w rowach i koleinach. W ogrodzie sterczały płowe chochoły, uwolnione od śniegu. Podwórze, widziane pod światło, przypominało mapę Polinezji. Kury były jeszcze ciągle zamknięte w kurniku, ale kaczki czuły się świetnie buszując po kałużach. Białe nie różniły się niczym od kolorowych, tak były usmarowane błotem. Psy biegały wzdłuż płotów lub skakały z jednej kupy śniegu na drugą. Jakub pokładł grube deski, aby móc chodzić między stajnią, stodołą i stertą.

W tych warunkach hrabia zdecydował się na spacer po parku. Wybiegłem za nim, by go zatrzymać, i zobaczyłem go jakby wmurowanego w ziemię, zagłębionego aż po kolana; nie mógł zrobić nawet kroku.

— Na pomoc! — błagał słabym głosem. — Topię się!

Chwycił mnie atak niepohamowanego śmiechu. Hrabia był pokryty błotem, a jego twarz wyrażała rozpacz. Tomik poezji pływał w kałuży.

— Prędko! — krzyknął ojciec. — Wołaj Jakuba albo Siankę. Niech przyniosą deski!

Momentalnie zorganizowano ekspedycję ratunkową. Wyciągnęliśmy hrabiego, lecz wychynął z błota boso; buty zostały w głębi. Dotknął rękami szyi, zachwiał się i runął jak długi twarzą do kałuży, puszczając bańki za każdym oddechem. Zanieśliśmy go do łazienki, gdyż był tak brudny, że aż wstyd. Nie zobaczyliśmy go więcej tego dnia. Poprosił o kolację do swego pokoju.

Nazajutrz, w czarnym ubraniu i z pogrzebowym wyrazem twarzy, wszedł do gabinetu ojca:

— Wyjeżdżam — oświadczył. — Błoto rujnuje mi nerwy i zdrowie.

— Jakżeż pan wyjedzie, skoro nie da się wyjść nawet na podwórze? — powiedział ojciec wzruszając ramionami. — W tej chwili nie ma żadnej możliwości wyjazdu dokądkolwiek. Musi pan czekać, aż błoto stwardnieje.

Ziemia schła powoli. Pokazały się baze i pierwsze delikatne listki. Pewnego dnia zjawił się Wania. Poinformowany przeze mnie o tym, co zaszło, wykrzyknął zwracając się do hrabiego:

— Miał pan możliwość przeżycia wyjątkowego, naukowego eksperymentu. Pan jako artysta powinien ocenić okazję ofiarowaną mu przez dobrotliwy los! Ta czarna, błotnista ziemia przybyła tutaj niesiona na skrzydłach Eola, popychana jego tchnieniem. Pana buty zostały wessane przez bezdenną otchłań. Dzięki temu doświadczeniu mógł pan sprawdzić fizyczne prawo Torricellego. Natura nienawidzi próżni i aby jej nie stwarzać, zatrzymała we

wnętrzu ziemi pańskie buty jako hołd subtelnej duszy artysty, złożony siłom tajemniczego Hadesu!

Słuchałem przejęty tej przemowy. Ojciec przymrużył oko. Zręczna aluzja Wani do „duszy artysty” musiała uczynić odpowiednie wrażenie, ponieważ hrabia kupił sobie gumowe kalosze i został u nas aż do moich egzaminów czerwcowych.

### Sienkiewicz i genealogia

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy rozmyślać o początkach i przyczynach mego życia albo o moich przodkach. Kim byłem? Byłem po prostu chłopcem, który chciał cieszyć się życiem razem z innymi i... czyż można się nad tym zastanawiać? Byli jednakże tacy, którzy ten prosty i naturalny fakt, jakim było dla mnie życie, usiłowali wyjaśniać w sposób dziwny i skomplikowany. Pop mówił, że żyjemy tylko dzięki Panu Bogu, który nas stworzył; Mlle Juliette zapewniała, że żyjemy, bo nasz organizm potrafi odepchnąć atakujące nas bakterie, odkryte przez Pasteura; Tatar Hakba — bo tak było zapisane w księdze życia. Najdziwniejsza jednak była opinia dziadzia Stefana: żyłem, bo byłem owocem na gałęzi drzewa genealogicznego naszej rodziny. Jak to rozumieć? Zresztą, czy to nie wszystko jedno? — myślałem zniecierpliwiony. Żyłem i byłem żywy, to było najważniejsze. Śmierć? Nie istniała dla nas, młodych nieśmiertelnych. Śmierć to jest sprawa starych, tych, co nie chcą nas zrozumieć! — myślałem wtedy.

Pewnego popołudnia usłyszeliśmy strzelanie z bicia i tętent koni. W bramie ukazało się czarne lando, ciągnięte przez cztery piękne araby z czerwonymi pióropuszcami na głowie. Okrążywszy klomb, elegancki zaprzęg zatrzymał się przed domem, połyskując żółtymi szprychami. Na czarnych lakierowanych drzwiczkach widniały herby, zdobne strusimi piórami rżniętymi w masywnym srebrze. Zeskoczyli na ziemię umundurowani hajducy w liberach i stanęli tworząc front honorowy. W otwartych drzwiczkach ukazał się, promieniając zdrowiem i młodością, dziadzio Stefan, ważny członek naszej rodziny. Z godnością, ale i z uśmiechem zeskoczył ze stopnia, z wyciągniętą na powitanie ręką. Po chwili zawołano i mnie, abym go podjął pod kolana, po czym wszyscy weszli do domu, ja zaś pokazałem hajdukom drogę do stajni. Wiedziałem, że dziadzio Stefan miał ogromną szklaną oranżerię gdzieś w Dniestrowym jarze. Był znanym botanikiem i pomologiem i nieraz przywoził mi pomarańcze czy cytryny wyhodowane u siebie. Starym zwyczajem obserwowano zaprzęg przybyłego z daleka podróżnego, gdyż po wyglądzie koni można było poznać, z kim ma się do czynienia. Przedstawiłem Jakubowi, Siance i innym nowo przybyłym hajduków i wszyscy razem wyprzęgli konie, odpinając białą lakierowaną uprzęż. Jakub ustawił araby w głębi stajni i nasypał im obroku, obserwując przez cały czas każdy, najdrobniejszy nawet szczegół. Hajducy zdjęli czarny kufer przymocowany między tylnymi resorami i zanieśli go do domu. Korzystając z ich nieobecności, Jakub orzekł sentencjonalnie:

— Wielki pan z wielkim sercem...

Gdy wbiegłem do jadalni, dziadzio Stefan wyciągał właśnie z kufra rulon papieru. Podniósł go tryumfalnym ruchem w górę, aby zwrócić nań naszą uwagę:



— Widzisz, Leon! — zawołał. — Dzięki ostatnim wiadomościom od tego urzędnika Ministerstwa Rolnictwa, który zabrał twoje papiery, i innym, które otrzymałem z Syberii, mogłem uzupełnić drzewo genealogiczne naszej rodziny! Wiele lat pracy mnie to kosztowało! — i rozwinął pergamin na stole.

Zajrzałem z ciekawością, ale były tam same linie, kółka, strzały i jakieś imiona, pięknie wykaligrafowane. Znałem już wtedy Trylogię Sienkiewicza, przeczytałem ją z entuzjazmem, gdyż zachwycali mnie szarże kawalerii, pojedynki na białą broń, gonitwy i ucieczki na koniu. Nastawiłem więc uszu, gdy padły znane mi nazwiska:

— Tu jest ten Makowiecki, stolnik latyczowski w XVII wieku, wymieniany przez Sienkiewicza w Trylogii. Był ożeniony z siostrą bohaterskiego rycerza Wołodyjowskiego, głównej postaci trzeciej części Trylogii. Wszyscy są autentycznymi członkami naszej rodziny!

— Myślisz wuj, że to możliwe? — powiedział ojciec wahającym tonem. — Przecież ci pisarze wymyślają zazwyczaj wszystko, nawet nazwiska!

— W tym wypadku tak nie było! — zaprotestował dziadzio niezadowolony. — Znam osobiście tego dziennikarza. Gdy wiele już lat temu dowiedziałem się, że szuka wiadomości o naszych stronach, chce poznać obyczaje, stroje, nazwiska ludzi, zachęciłem go i umocniłem w zamierzeniach, ofiarując się z pomocą i zapraszając go do siebie. Muszę przyznać, że Sienkiewicz był pracowity, wnet objechał całą naszą rodzinę, szperał w bibliotekach, rozwijał pergaminy. Wciąż mnie wypytywał o step, o Ukraińców, o stroje, o obyczaje, o nazwy jarów naddniestrzańskich, o ludzi i rzeczy. Wizyta ta się przedłużała i odetchnąłem, gdy wreszcie wyjechał. Pożyczyłem mu pewne rękopisy i dokumenty rodzinne, których teraz już odzyskać nie mogę. Gdy zażądałem energicznie ich zwrotu, wyobraź sobie, co mi odpowiedział!... że w nagrodę włożył do Trylogii kilku członków naszej rodziny i zrobił nas sławnymi!

Dziadzio był oburzony. Zasapał się. Sienkiewicz był utalentowanym pisarzem i jego Trylogia cieszyła się niezwykłym powodzeniem u współczesnych. Ale dziadzio jakoś nie chciał uznać zasług wielkiego pisarza, którego działalność literacka została przecież później uhonorowana nagrodą Nobla.

— I będzie jeszcze gadał, że jego powieści zrobiły sławną rodzinę, która już nią była od dawna! Niepokonany rycerz Wołodyjowski i stolnik latyczowski, pierwszy Stanisław drzewa genealogicznego! Oni byli sławni jeszcze przed Sienkiewiczem! I inni jeszcze członkowie naszej rodziny! — Dziadzio po chwili uspokoił się i mógł dalej objaśniać swoje drzewo genealogiczne: — Ta linia tu łączy nas z Wiśniowieckimi, tu Narcyz rozpoczyna nową gałąź, tam widać, jak rozbiegają się po świecie Makowieccy. Ten oto został zesłany w ubiegłym wieku na Syberię, lecz zamiast przejść zwykłą ewolucję moralną skazańców, marzących tylko o ucieczce z tego kraju, został tam, ożenił się — i oto nowa gałąź mego drzewa. Stąd wy jesteście na wschodzie od dawna, a inna gałąź, karpacka, wydała po stronie węgierskiej tego doktora Makowickiego, który był lekarzem w Moskwie, a potem przyjacielem Tołstoja! — Teraz dziadzio wstał i zawołał z zadowoleniem: — Chwała Bogu! Moje drzewo genealogiczne już jest kompletne! — i zwracając się do mnie, dodał: — Spójrz tu! Widzisz to kółko? Kto to jest?

Gdy patrzyłem, nic nie rozumiejąc, dziadzio powiedział śmiejąc się:

— To jesteś ty! Jesteś na końcu gałązki i musisz postarać się stworzyć gałązkę następną, bo inaczej cała ta wasza gałąź pozostanie na zawsze obumarła!

Po podwieczorku dał dziadzio sygnał do odjazdu. Wbiegli hajducy w zielonych liberjach i zabrali kufer z pergaminami. Pożegnawszy się ze wszystkimi, dziadzio pocałował mnie w czoło i wsiadł do czarnego landa. Hajducy wskoczyli na swoje siedzenia, trzasnął z bicia stangret i po chwili usłyszeliśmy tętent arabów, galopujących już drogą. Mignęły jeszcze czerwone pióropusze w obłoku kurzu i jak na rozwiewającą się wizję przeszłości spadł spokój złotego wieczoru, ogarniając wieś i naszą dużą skajańską chatę rodziną.

## Pożar sterty

Kiedyś podczas kolacji ukazał się w oknach czerwony odbłask, jakby od niewidocznego już słońca. Wstałem od stołu, trzymając w ręce kawałek marmalady. Popatrzyłem przez szyby, żeby zobaczyć, co też to może być.

— To zorza polarna — powiedział hrabia Raczyński — ognista firanka, którą zawieszają na niebie siły natury.

Spojrzałem na niego nie rozumiejąc, ale sposób, w jaki to powiedział, był tak uroczysty, że nie ośmieliłem się o nic pytać.

Nazajutrz, zaledwie wstałem, posłyszałem rozmowy i krzyki na podwórzu. Wyszedłem na ganek i zobaczyłem *pristawę*, który trzymając w ręku cugle swego konia, rozmawiał z ojcem. Stało przy nich kilku żołnierzy, przysłuchujących się rozmowie. Parobcy moldawscy wtrącali swoje okrzyki.

Nareszcie dowiedziałem się, co się stało. Zapaliła się trzecia sarta na *oda*i i to, co widzieliśmy poprzedniego wieczora, to nie była zorza polarna, lecz wielki pożar. Ale stało się coś jeszcze gorszego: w popiołach sterty znaleziono trupa. Zawiadomiono policję, przyjechał *pristaw* i kazał rozgrzebać gorący jeszcze popiół. Ze zwłok niewiele zostało, ale zachodziło pytanie: czy to był wypadek, czy też morderstwo? Ojciec kazał wyprowadzić i osiedlać Tarkuna. Korzystając z zamieszania, popędziłem jak strzała na moim kałmuku, doganiając innych. Na *oda*i zobaczyłem stos popiołu, a w środku — ledwie dający się rozpoznać kształt ludzkiego ciała.

— To jest trup? — spytałem bardzo zdziwiony.

Podobno był to jakiś żebrak. Na Besarabii nikt nie widziałby w tym nic nadzwyczajnego. Żebracy pokazywali się okresowo i wędrowali po całym kraju, żebrali i spali gdzie się dało, gdzie im wypadło. Kiedy noce stawały się chłodne, kopali nory pod olbrzymimi stertami, których wszędzie było dużo, i w nich kładli się spać. Gdy wybuchł pożar, ogień widocznie posunął się tak szybko, że biedny żebrak nie miał czasu się ruszyć, może nawet zbudzić. Ogarnął go żar i zginął widocznie w tym samym miejscu, w którym ułożył się do snu.

*Pristaw* oglądał wszystkie szczegóły, mrucząc pod nosem:

— Leżał głową na zewnątrz...

— Po to, żeby oddychać czy żeby palić?

— Kto to był? Jak się nazywał?

— Aha, tutaj jest torba, a w niej trochę chleba.

— Co za okrutna śmierć!

— Tak, to był żebrak — powtórzył ojciec za *pristawem*, podczas gdy żołnierze ładowali do worka zwęglone szczątki.

— W czasie nocnego spoczynku znaleźli wieczne odpoczywanie — powiedział uroczyście hrabia Raczyński.

Na drugi dzień odbył się pogrzeb na zielonym, zarosłym trawą cmentarzu skajańskim, gdzie wysokie akacje rzucały długie cienie, załamujące się między grobami. Wszyscy wzięli udział w żałobnym orszaku.

Dziadzio Aśtan wydawał rozkazy, zwoływał i rozmieszczał ludzi, dbał o wszystko. Ujawnił w tej okoliczności jedną ze swych najpiękniejszych cech ludzkich, zaimponowawszy zgromadzonemu.

— Wszyscy! — powiedział marszcząc brwi. — Wszyscy musimy towarzyszyć temu biedakowi, który znalazł śmierć na naszej ziemi.

Tak zaczął się pogrzeb nieznanego wędrowca, przy którego przybyciu z daleka i odejściu do wieczności nikt z nas nie był obecny. Z tyłu, za popem i diakiem, siedł — przygarbiony i groźny — drogi dziadzio Aśtan. Potem mój ojciec i ja, *pristaw*, Munio, stangret Jakub, posłaniec Siańka, kucharz Aleksander, ludzie z *odai*; szło kilku chłopów, moi przyjaciele, chłopcy mołdawscy, którzy cichcem starali się odpędzić psa Sółdata, rzucając w niego grudkami ziemi. Na samym końcu, podskakując, szła *soroka*.

Na czele jechał szaraban, wyścielony słomą, ciągnięty przez nasze najlepsze konie, Orlika i Sokoła. Ułożona na słomie, kołysała się miękko skrzynia z jasnego drzewa, a na niej kwiaty, pośpiesznie ścięte w ogrodzie.

— I pomyśleć, że może nigdy w życiu nie jechał tak wygodnie ten nieszczęśliwiec! — mruczał *pristaw* między zębami. — Nawet nie wiemy, kto taki.

Dziadzio, który na wszystko zwracał uwagę, posłyszał to i zobaczył grymas niechęci na twarzy eleganckiego *pristawa*. Zmarszczył brwi, wziął go pod rękę i powiedział:

— Jefrem! Chcesz wiedzieć, kto to był? Ja ci powiem: to był nasz brat!

Zapanowała cisza, przerywana tylko monotonnym głosem popa, który zaczął odmawiać panichidę za umarłych.

## Z wioarą w Dobrudży

Ojciec był w dobrym humorze, moje egzaminy wypadły tego roku doskonale. Położył mi rękę na ramieniu i zawołał wesoło:

— Chcesz poznać Dobrudżę? Jutro po śniadaniu wyruszam w podróż. Wezmę cię z sobą w nagrodę.

Ruszyłem galopem dookoła domu, aby roztrąbić dobrą wiadomość i dać upust radości.

Podczas gdy ojciec czyścił swój stereoskopowy aparat fotograficzny marki Ica i ładował klisze do kaset, stawiał się w gabinecie hrabia Raczyński. On też chciał zobaczyć ten kraj, „gdzie urodził się Iohannes Cassiano piętnaście wieków temu”.

— Pan tego nie przeżyje, w Dobrudży jest samo błoto! — zawołał ojciec śmiejąc się na cały głos. Ale hrabia, podobno znany muzyk, który nawet dawał publiczne koncerty, chciał usłyszeć „improvizowane koncerty na cześć zachodzącego słońca” i orzekł, że jest to jedyna okazja w jego życiu, aby coś takiego móc usłyszeć.

Wyruszyliśmy więc następnego dnia końmi do Jampola, skąd biała „Czaj-

ka" zabrała nas i uniosła gładko po szarej wodzie w dół Dniestru. Siedziałem na pokładzie patrząc na przesuwające się malownicze brzegi i zszedłem pod pokład dopiero, gdy już było całkiem ciemno. Następnego dnia na Dniestrowym brzegu ukazał się Akerman. Rzeka gubiła się w mokrym, niskim stepie, pokrytym szuwarami i tatarakami, i stawiała się coraz szersza. Woda była coraz czystsza i bardziej niebieska i gdy znaleźliśmy się na limanie, statek skręcił na zachód i przybił do brzegu małej wysepki. Stał tam szalas i na wysokiej żerdzi białej w ziemię trzepotała na wietrze chorągiew rosyjska. Po kilkugodzinnym czekaniu wsiedliśmy na *torgowoje sudno*, które rozwозиło towary po osiedlach i ostrowach, płynąc w stronę Dobrudży. Ziemia skryła się za zasłoną z szuwarów. Było tak płasko jak na stepie, tylko że zamiast ziemi otaczała nas woda. Wodne ptactwo podlatywało i pływało pośród gęstej roślinności. Ukazała się przystań i przesiedliśmy się do łodzi z czterema wiosłarzami. Nie widać już było pełnego morza, płynęliśmy kanałem między dwoma szpalerami szuwarów. Uderzała niezwykle obfitość ptactwa; co chwila ojciec pokazywał mi dzikie gęsi, kaczki, czaple, żurawie i, jako rzecz niezwykłą, różowe flamingi! — opowiadając o ich migracjach i obyczajach. Spędziliśmy noc w jakimś obozowisku i na drugi dzień ruszyliśmy dalej. Tak jak w Biblii, zanim Bóg rozdzielił ziemię od wody, było tylko błoto. Płynęliśmy między smukłymi łodygami, chwiejącymi się poważnie w lekkim wietrze. Rozdzielały się i zbliżały ku sobie kłosa trzciny, jakby chcąc przekazać sobie jakieś sekrety w szeleszczącym szepcie. Zbliżaliśmy się do Dunaju, niosącego Morzu Czarnemu w darze wody Europy Zachodniej. Ramion rzecznych i kanałów było mnóstwo, widywaliśmy też często ludność przybrzeżną. Pod wieczór dobiliśmy do przystani w małej rybackiej wiosce. Kilku rybaków wyszło na nasze spotkanie, ofiarując nam gościnę i suszoną rybę, której zapach był niemożliwy do zniesienia. W głębi połyskiwały białe ściany cerkwi z pięcioma kopułami na kształt wielkich cebul; z krzyży zwisały złożone łańcuchy. W bramie pojawił się brodaty pop i zaczął się nam przyglądać z ciekawością. Plac, na którym staliśmy, był zaledwie trochę wyższy od poziomu wody i ojciec domyślił się, że na wiosnę, w okresie powodzi, musiał być zalewany całkowicie. Jedni rybacy mieli szafasy z trzciny, inni spali w łodziach. Zrobiliśmy tak jak oni, ale około północy obudziły nas ukłucia milionów komarów, kotłujących się z głośnym brzękiem dookoła naszych głów. Nie mogąc już wytrzymać, wysiedliśmy na brzeg i spędziliśmy resztę nocy koło ogniska. Rano zastał nas pokłutych boleśnie, na pół zczadzonych od dymu i szczęśliwych, że ta nocna udręka już się skończyła. Rybacy kręcili się wesoło koło swych łodzi, przygotowując sieci i wędki, nie przejmując się wcale ciężkimi warunkami bytowania. Zauważyliśmy nawet, że wyglądają na dobrze odżywionych, a niektórzy są tak grubi, jakby byli spuchnięci od stałego kłucia komarów. Przy każdym kroku trzęsły im się policzki, jakby były z żelatyny.

— Ho! Ho! — zawołał ojciec, mrużąc oko. — Widzę, że ryby są bardziej nawet od mamałgyi pożywne!

Jeden z rybaków zaczął wtedy coś ojcu opowiadać o zwyczajach, o wierzeniach, o rybakach, którzy wyglądają jak mężczyźni, ale nimi nie są, bo z mężczyzn nie mają już najważniejszego w gruncie rzeczy, itd. Słuchałem tego wszystkiego, myśląc o czym innym i przyglądając się kaczkom pięknie nurkującym w wodzie, gdy zwrócił moją uwagę wygląd hrabiego. Robił grymasy i kiwał ręką za plecami, jakby komuś dawał znaki. Ten typ coś ukrywał! — pomyślałem, biorąc go pod ściślejszą obserwację. Teraz znów mrugał,

ale widząc, że ojciec nie zdaje sobie z jego znaków sprawy, wybuchnął raptem:

— Nie powinno się o takich rzeczach rozmawiać przy dzieciach!

Teraz dopiero zacząłem słuchać uważnie opowiadania rybaka: ...właśnie wyznawcy tej wiary narazili się na niechęć ludności i nawet prześladowania władzy. Musieli kryć się po lasach, aż wreszcie nie było innego wyjścia, by uniknąć nienawiści, jak opuścić nadwożański kraj i wyemigrować tak daleko, jak się dało. Idąc etapami, zewsząd wyrzucani, osiedlili się wreszcie w Dobrudży, w delcie Dunaju, w miejscu gdzie nie sięgała żadna władza, gdzie ukrywali się dezterterzy i zbiegowie z okolicznych krajów. Znosili komary, błoto i wilgoć w zamian za wolność i możliwość oddawania się dziwnym praktykom swojej religii. W małżeństwie nie liczyły się córki i rodzice płodzili je w oczekiwaniu na syna. Gdy syn się pokazał, ojciec poddawał się pewnej operacji... „definitywnej”, żeby nie mieć już więcej dzieci. Dlatego mówiło się o nich, że nie są „całkowitymi” mężczyznami.

— A teraz — zawołał zmartwiony hrabia — teraz kiedy dziecko nasłuchało się tych nieprzyzwoitych rzeczy, to ja będę musiał wszystko mu tłumaczyć?!

Poczułem szczerą oburzenie na takie gadanie. Cóż sobie myślał ten anemiczny hrabia? Cóż taki, co konno nie umie jeździć, co capa od barana nie potrafi odróżnić, może nam, skajańskim chłopcom, tłumaczyć? Ja wiem więcej od niego!

— Przecież ja wiem to wszystko! — krzyczałem zaperzony. — Któż wskazuje zwierzęta, którym trzeba zrobić *zugenije*, gdy przychodzi Cygan? Zawsze przecież widzę, jak to robi! Samce mają takie dwie wiszące gałki: jeżeli się je obetnie albo skręci — dowodziłem przed zażenowanym hrabią — zmienia się charakter zwierzęcia, byk zamienia się w wołu, kogut w kapłona! Ale z ogierami to nie taka prosta sprawa! Jeżeli się nie tnie szybko, on wciąga drugą gałkę w głąb brzucha i zamiast wałacha wychodzi z niego *nutrieniak* o trudnym charakterze i bardziej zażarty na kobyły niż ogier cały! Ten brodaczek mówi, że tych wszystkich rybaków wykastrowano i dlatego są tacy grubi. Wiadomo! Gdy uciąć samcowi jego dwie gałki, zaraz zaczyna tyć. Dlatego kastruje się koguta, że kapłon tyje i potem jest więcej do jedzenia, gdy już jest na półmisku! — i widząc zdumienie na twarzach obecnych, rozpedzony dokończyłem: — Co mnie hrabia będzie tłumaczyć! Żeby mu pokazać, jak to jest, niech mi tu dadzą rybaka całego, ja sam mu zrobię takie *choloszczenije*, że na oczach będzie tył!

Hrabia, blady, skręcał się, gdy mówiłem, wreszcie zatkał sobie uszy. Uciekł wreszcie, żeby mnie nie słyszeć, i skoczył do łodzi, która zachwiała się niebezpiecznie, i o mało nie wpadł do wody. Ochłonałem trochę i popatrzyłem na ojca, zaniepokojony. Ale ojciec doskonale się bawił i śmiał się na cały głos. Brodaczek spoważniał i wyprostował się obrażony:

— Religia jest świętą rzeczą! — zawołał oburzony. — Nie wolno z niej się natrzasać! To grzech! — po czym rzucił papierosa, którego dopiero co otrzymał od ojca, do wody, obrócił się na pięcie i wnet zniknął nam z oczu.

Ojciec śmiał się dalej, ale mimo to opanowało mnie wrażenie, że zanadto naciągam arkan i że jest on bliski zerwania.

— Ale przecież — powracałem z uporem do tego samego — to by powiedział na moim miejscu każdy skajański chłopiec!

Podpłynęła łódź z kilkoma chłopcami i zawołali mnie, abym poszedł z nimi łowić ryby. Popatrzyłem pytająco na ojca:

— Idź już! Idź! — zawołał ojciec nie przestając się śmiać. — Zabieraj się, im dalej, tym lepiej! Już brzuch mnie boli od tych twoich kawałów!

Tak zeszedł dzień. Około piątej zaczęliśmy się przygotowywać do koncertu *wioary* w łodzi, co miało być głównym punktem w naszym rozkładzie dnia. Widzę tę scenę, jakby to było dziś:

Łódź płynie cicho po wodzie, na której odbijają się już kolory bliskiego zachodu. Sprawnie pracują dwaj wioslarze, wyciągając wiosła zręcznym ruchem, tak że nawet woda nie kapie, gdy je poziomo prowadzą do przodu. W tyle siedzi sternik, który piątym wiosłem prowadzi nas w dedalu jemu tylko znanych kanałów. Na przedzie, u dziobu, widzę w biały len ubraną postać artysty improwizatora. Jego spięta czerwoną szarfą rubaszka jest bogato haftowana, na głowie ma słomkowy kapelusz. Małe osiedle rybackie i nawet złocone łańcuchy cerkwi znikły już za szuwarami. Srebrne błyski na wodzie przechodzą w złoto. Strzeliste trzciny, kołyszące się na tle żółtawego już nieba, odbite w wodzie wiją się na drobnych falach jak pełzające węże. Kolorowe blaski i cienie mieniają się, zachowują odrębność, jakby to nie była ta sama woda, która rozpuszcza i miesza akwarele. Po obu stronach, niczym firanki koronkowe, przesuwają się trzciny. Wzrok błądzi w dali jak na nieograniczonym stepie, lecz nie widać znajomych rzeczy, na których mógłby się oprzeć: nie ma drzew ani trawy, ani dróg, ani koni. Płyniemy jakby zawieszonymi w powietrzu, między odbiciem białych chmur w wodzie i nimi samymi na niebie. Różowe, świecące w słońcu jak klejnoty flamingi przelatują wysoko nad naszymi głowami. Skrzypek bierze *wioarę* do ręki i zaczyna się podróż w nieznane, ucieczka ze świata codziennego w jakiś inny, fantastyczny. Delikatne dźwięki otaczają mnie, przesmykują się między szumiącymi trzcinaми, niby melodyjny zefir upajają uszy, kołyszą jak morze i jak ręka sternika wiodą w bajeczne, nie znane ludziom dale. Obok mnie siedzi hrabia zasłuchany, wpatrzony w skrzypka; od czasu do czasu mruczy coś, że to inaczej... robi gest, jakby chciał wyrwać *wioarę* i samemu zagrać na niej tak, jak się grać powinno.

— Cicho! — szepcze ojciec. — Niech pan słucha!

Płynie melodia, głaszcze wodę, szeleści w liściach szuwarów. Chwilami wznosi się z nagle, kołysze łodzią, zakłóca spokojny rytm natury. Przebiega mi po plecach dreszcz, po którym przychodzi łagodna fala uspokojenia. Ten przenikliwy motyw melodii różny jest od dobrze znanych mi popularnych mołdawskich pieśni. Przelatują gładkim lotem po niebie ptaki, których skrzydła zdają się być w zgodzie z rytmem pieśni *wioary*. Światło zachodu, blaski wody, kołysanie się szuwarów, plusk wiosel i drżenie naszych własnych ciał zlewają się w jedną wielką symfonię, przenoszą nas cudem w inny świat, który znajduje się ponad, poza naszym, realnym. W tym stanie, bliskim snu, rozplývają się granice jestestwa i uwolnione uczucia wiążą jednych z drugimi ponad murami egoizmów wyrastających w codziennym, powszednim życiu. Łączymy się z naturą, ze światem, z wodą, z niebem dalekim i wysokim... Na zachodzie wznosi się wspaniała piramida złota i królewskiej purpury; powoli, majestatycznie, zamykając jak gdyby główny temat symfonii całej przyrody, opuszcza się w wodę słoneczna tarcza. Bucha para, kipią błota i nadymają się za szuwarami pomarańczowe obłoki. Ze wschodu ciemności płyną kanałami i zabarwiają wodę smutkiem ołowiu. Coraz bielszy, coraz jaśniejszy, wypływa księżyc ponad wody i szuwały, tańcząc na falach pozostawionych przez naszą łódź. Jeszcze podlatują, śpiesząc się na daleki nocleg, ptaki nieznane, jeszcze zмага się szkarłatny zachód z sinym wschodem, jeszcze zdają

się ważyć losy dnia i nocy... *Wioara* wyprzedza nadchodzące ciemności, które z jej strun zdają się spływać... To nie *Księżycowa sonata*, do której trzeba najpierw przeczytać objaśnienie, aby wyczuć w niej księżyc... sama *wioara* jest jak księżyc... jej muzyka zlewa na wodę księżycowy blask... Widać światła w dali, jedne migają za kurtyną szuwarów, inne trwają bez ruchu... Nie wiem, kiedy sternik zawrócił, teraz dopiero widzę, że zbliżamy się do przystani. Dziób łodzi uderza o błotnisty brzeg, budzimy się z melodyjnego snu... Ojciec otrząsa się i jak automat sięga ręką do kieszeni chcąc wynagrodzić wioślarzy. Po marzeniu opanowuje mnie sen i nie wiem nawet, kiedy zasypiam na dnie łodzi.

Słońce dnia następnego, który jest dniem powrotu, budzi nas wcześniej. Wyruszamy na wschód. Towarzyszą nam jeszcze szuwały i ich węzowe odbicia w falującej jasnej wodzie, towarzyszy nam ten niezwykle ziemnowodny krajobraz Dobrudży. Ale i woda, i niebo, i słońce nie są już te same... Brak najważniejszego elementu, brak muzyki, która przebogatym haftem ożywiała kanwę naszego wczorajszego świata...

— Ten cały skrzypek... — zaczyna hrabia — na pewno nawet nut czytać nie umie! Przynajmniej... byli wczoraj bardzo, bardzo piękne momenty... Ale on przecież grać nie umie! On naciska strunę „la” kciukiem!

— Nie o to chodzi! — rzekł ojciec poważnym tonem. — Miał pan okazję słyszeć coś niezwykłego, coś, czego nie można usłyszeć nigdzie więcej... może nawet na całym świecie! Skrzypek ma tak opanowaną technikę i zna swój instrument tak doskonale, że może grać... nie myśląc o tym, bezwiednie. Koncentruje się cały na temacie muzycznym, bo to jest zupełna improwizacja. Nie wolno mu grać znanych melodii. Nie wolno mu pamiętać tego, co gra. Muzyka rodzi się w jego duszy pod wpływem krajobrazu i światła, przenika go, przetwarza się i uszlachetnia w jego artystycznej naturze, nabiera tonów jego instrumentu — i spływa na nas, na świat, z zaczarowanej *wioary*...

— Już wiem! Już rozumiem! — wrzasnąłem raptem porywając się na równe nogi, aż łódź się zachybotała. Podczas tych wywodów ojca bez przerwy myślałem intensywnie i dochodziłem powoli do zdumiewającego odkrycia... Tyle lat żyłem między różnymi ludźmi... dopiero ci rybacy w Dobrudży otworzyli mi oczy! Tak, oczywiście! — myślałem. Jedni są „cali”, a inni wykastrowani. Robiłem w myśli przegląd... Bojum — wycięty. Wańka — cały. Kreczun — wycięty. Dziadzio Aslan — cały. Toki... Toki? A! *Nutrieniak!* Gustaw tak jak rybacy miał jednego tylko syna... oczywiście! Wykastrowano go potem! I raptem oślepiająca błyskawica przeleciała mi przez głowę: ojciec też!

— No, co rozumiesz? — spytał mnie ojciec, myśląc o swoich wywodach na temat skrzypka i jego improwizacji.

— Ojciec tak jak ten rybak! — zacząłem krzyczeć, u szczytu podniecenia. — Teraz to ja już wiem, czemu jestem jedynakiem!

W oczach mi świateczki stanęły i znalazłem się w wodzie, na dnie łodzi, nie połapawszy się nawet, co mi się stało. Po chwili dopiero zrozumiałem, że dostałem w łeb... jak jeszcze nigdy.

## Śmierć dziadzia Juliana

W owym czasie ponieśliśmy stratę, która przygniotła nas ciężarem obsuniętej sterty: umarł dziadzio Julian. Zasnął, biedny, pośród swoich narzędzi, kartonów i różnokolorowych papierów. Zobaczyłem go pochylonego na bok, ze zwisającą bezwładnie dolną wargą. Niewytłumaczony lęk ścisnął mi serce, wybiegłem wołając ojca. Przyszli wszyscy i smutna wiadomość rozeszła się po domu: dziadzio Julian dokonał żywota. Zalałem się łzami. Biedna babcia Władysława nie opuszczała zmarłego. Jej szczupłym ciałem wstrząsało rozpaczliwe łkanie. Dziadzia ubrano, pozapalano świece i ozdobiono pokój zielenią. Kilka osób klęczało i modliło się w kącie. Ojciec zaczął mówić o pogrzebie i popie.

— Za nic w świecie — wykrzyknęła babcia Władysława odzyskując energię i przestając natychmiast płakać. — Jesteśmy katolikami i nie pozwolę, żeby pogrzebano mego męża na prawosławnym cmentarzu!

— Ależ ciociu... — powiedział ojciec. — Tutaj nie ma cmentarzy katolickich. Nie rozumie ciocia, że wszyscy jesteśmy braćmi, równymi wobec śmierci?

— Nie, nie i nie — pisnęła babcia w wielkim podnieceniu. — Chcę tylko cmentarza katolickiego.

— Co za absurd! — zaprotestował ojciec. — Gdzież ja jej znajdę katolicki cmentarz?

Po południu przyszedł pop, aby pomówić z babcią. Jego szerokie rękawy fruwały w powietrzu jak nocne ptaki.

— Droga pani — mówił gestykulując. — Jesteśmy braćmi, pani jest katoliczką, my prawosławni. Czyż nie była pani u mnie wiele razy? Nie poznała pani mojej rodziny i nie zauważyła, że jesteśmy równi? Dlaczego nie chce pani, aby świętej pamięci czcigodny pan Julian został godnie i uczciwie pogrzebany na naszym cmentarzu w Skajanach? Nie ma różnicy między chrześcijanami w obliczu śmierci. To jest konieczność, która jest symbolem chrześcijańskiego braterstwa!

Pop, według tego, co powiedział tatuś, zachował się bardzo dobrze. Ale babcia, na granicy ataku histerycznego, uklękła przed ciałem dziadka Juliana, płacząc. Sytuacja się przedłużała i wreszcie po kilku dniach wywołała interwencję zatroskanego dziadzia Asłana:

— Słuchaj no, Leon! Ta historia trwa już trzy dni, trzeba coś postanowić, ciało Juliana wkrótce może zacząć się rozkładać.

Zrobiło to na mnie głębokie wrażenie. A więc ludzie psuli się po śmierci tak samo jak zwierzęta? Czyż nie mówił mi ksiądz w Mohylowie, że na sądzie ostatecznym wszyscy stawiają się cali, z ciałem i duszą? Jakżeż mogło nie być ciała?

— Trzeba jakoś okłamać tę kobietę — orzekł dziadek. — Leonie, powiedz jej, że cmentarz w Caule jest katolicki — i skończone.

Załadowano trumnę w milczeniu, jako że babcia nie zgodziła się, żeby pop przyszedł odprawić panichidę. Szaraban ruszył samotnie czarnymi błotnistymi drogami aż do Caule. Tam dziadek Asłan z wujem Teofilem przygotowali już wszystko, co było potrzebne. Na cmentarzu ział czarny otwór grobu, obok niego wznosił się pagórek świeżej ziemi. Babcia odmówiła głośno modlitwy, czytając je z książeczki do nabożeństwa. I tak został pochowany mój drogi dziadzio Julian na prawosławnym cmentarzu w Caule, a przed babcią sekret został zachowany na zawsze.



## Nie iskuszaj...

Wstał dzień szary i głuchy. Gęsta zasłona oddzieliła dom od horyzontu. Tajemnicze ciemne konary wychylały się z mgły, gdzie słabym rysunkiem odcinały się od szarego tła pnie podobne do odwróconych nieruchomychmiot, przeznaczonych jakby do wymiatania słonecznej pogody. Ponure krakania wron wbijały się czarnymi nożami w grzbiety chmur; z ich ran tryskały niezliczone zimne łzy jesieni. Ślizgając się niby jedwabny szal niesiony ciemnymi wodami, zabrzmiał tuż przy wilgotnej ziemi melodyjny rosyjski romans: *Utro tumannoje, utro sinieje...*\*

Odłożyłem narzędzia i podszedłem, przyciągany nieodpartą siłą, do dźwięczącego fortepianu. Ujrzałem obraz dwóch kobiecych sylwetek, delikatny i niewyraźny, na tle białej koronkowej firanki. Ręce Tatiany spoczywały bezwładnie na klawiaturze. Aurelia milczała ze wzrokiem utkwionym w daleki... Romans był skończony. Usiadłem cichutko koło drzwi, bojąc się drgnąć. Coś nieuchwytnego zawisło w powietrzu — oddychałem powoli, boleśnie. Poruszyła się Tatiana i zabrzmiała inna, przejmująca melodia, mieszając się z mgłą, która zdawała się przenikać zachmurzone szyby i wsączać do pokoju. Skarżyły się struny fortepianu pod dotykiem białych palców. Płynął jak lieliowa wstęga głos Aurelii: *Nie iskuszaj...*

*Za cziem tiebie mojo stradanije,*

*Za cziem tiebie lubow' moja...*\*\*

Spokój... samotność... rezygnacja i opuszczenie... Lekka jak puch melancholia spłynęła mi na serce. Poczułem, że moja dusza jest jakby strzępkami owej mgły, która unosiła się między niebem a ziemią. Wzruszenie ścisnęło mi gardło i zatęskniłem za czymś, czego nigdy nie znałem. Daleki głos splatał i rozplatał niematerialne arabeski, ześlizgiwał się falami i wnikał łagodnie w moje serce, budząc uczucia najskrytsze, najdelikatniejsze. Bliskie przedmioty, codzienny świat zapadły w otchłań minionego czasu i smutnych wspomnień, zanurzonych w świetle bezbarwnego zachodu.

— *Nie iskuszaj...* — szeptała mgła — daremna jest twoja szara pokusa...

## Studnia zbrodniarza

Pewnego dnia wracając z Zajęczej Górki zobaczyliśmy, minawszy kurhan, kupę czarnej ziemi. Podjechaliśmy bliżej, żeby zobaczyć, co to za ziemne prace tuż przy drodze. Ujrzałem głęboką dziurę, w której stał kopiąc jakiś brodaty człowiek.

— Któż to ośmiela się kopać na mojej ziemi bez mojego pozwolenia? — zawołał oburzony ojciec. — Co tu robisz, bracie? — zapytał jednak serdecznie kopacza.

Czarne, czujne oczy spod gęstwy włosów spojrzały na nas uważnie. Przy pomocy pnia o obciętych gałęziach, który służył mu za drabinę, tajemniczy

---

\* *Utro...* (ros.) — Poranek mglisty, poranek siny...

\*\* *Nie iskuszaj...* (ros.) — Nie kuś... / Na cóż ci moja męka, / Na cóż ci miłość moja...

człowiek wydostał się na powierzchnię ziemi i nisko kłaniając się pozdrowił nas:

— *Hospody pomyłuj!* Jestem biedny grzesznik. Złe instynkty mego nędznego ciała doprowadziły mnie do strasznego grzechu i niesprawiedliwości, której wspomnienie mnie prześladowa i sen mi odbiera. O, łaskawi przechodnie! Nie potępiajcie nieszczęsnego pokutnika! Pomóżcie mi... Każda istota ludzka potrzebuje pomocy bliźnich, aby odkupić popełnione grzechy!

— No, dobrze. Ale cóżes zrobił, człowieku, że taki jesteś skruszony? — zapytał ojciec.

— Zasłепiony gniewem — odpowiedział brodac — dopuściłem się zbrodni nie do naprawienia. Zabiłem człowieka, męża, który zostawił wdowę, ojca, który osierocił niepokieszone dzieci. Teraz cierpię głód, zimno i nędzę. Chcę wykopać studnię, żeby przechodzący mogli ugasić pragnienie i napić konie. Każdy człowiek, który zdrożony napije się z mojej studni, pomoże mi okupić choć w części mój grzech i ukoić sumienie dręczone okropnym wyrzutem popełnionej zbrodni! — Powiedziawszy to, upadł na kolana i zgięty we dwoje, uderzył czołem w ziemię wołając: — *Hospody pomyłuj!*

Byłem tak zdziwiony, że o mało się nie roześmiałem. Ale zobaczyłem poważny wyraz twarzy ojca, ucichłem więc, słuchając jego odpowiedzi:

— Dobry człowieku, uspokój się, bo wszyscy jesteśmy grzesznikami na tym świecie. Wszyscy powinniśmy odpokutować za nasze złe czyny. Ty nie jesteś inny niż my, jesteś jak wszyscy. Ciebie przynajmniej dręczy sumienie, podczas gdy nasze sumienia zachowują milczenie. Powiedz, jak mogę ci pomóc, i jeżeli czegoś potrzebujesz, przyjdź do mnie do Skajan; tam ci dadzą, co zechcesz, żeby ulżyć twojej smutnej doli i tym samym także naszym grzesznym sumieniom.

Mineło wiele dni. Pewnego popołudnia zjawił się u nas ów brodaty człowiek. Poprosił o parę desek, żeby obudować studnię, oraz o pień drzewa i lajśnię na żuraw. Wkrótce potem udaliśmy się wszyscy na „inaugurację” nowej studni. Przynieśliśmy koszyki pełne kanapek i innego jedzenia, a ojciec chciał dać biednemu pokutnikowi parę rubli. Żuraw był już ustawiony i pochylał się nad ziemią. Napiliśmy się wody ze studni, a ojciec z dziadziem Asłanem zapewnili brodacza, że Bóg w swej nieskończonej dobroci wybaczył mu zapewne popełnioną zbrodnię, przyjąwszy tę tak szlachetną pokutę, której wszyscy byliśmy świadkami. Brodacz pożegnał się, obejmując ojca za kolana i całując w rękę dziadzia Asłana. Nie było jednak sposobu, żeby go zmusić do wzięcia pieniędzy, które ojciec chciał mu darować. Zebrał swoje narzędzia, nappełnił worek skromnym dobytkiem, zarzucił go na ramię i ruszył czarną drogą pośród pól kukurydzy. Odprowadzaliśmy go wzrokiem, póki nie zniknął w oddali. Żuraw wznosił się wysoko w górę, a łańcuch wiadra kołysał się, rzucając błyski w zachodzącym słońcu.

Ojciec powiedział mi, że niektóre studnie w naszej okolicy są dziełem podobnych pokutników. Bywają ofiarodawcy, którzy przekazują bogate wota do kościołów, ale pilnują, żeby ich imię było wyryte na podarowanym złocie. Inni kopią studnie anonimowo dla wygody podróżnych i przez nikogo nie rozpoznani odchodzą potem samotnie ku dalekim horyzontom.

Ziemia pokryła się trawą, deszcz zmył ślady stóp. Na stepie pozostała nowa studnia, własność nie jednego człowieka, jak jego przestępstwo i grzech, lecz wszystkich — jak miłosierdzie i przebaczenie.

## Ujeżdżanie źrebca

Stadnina wuja Teofila przyciągała częstych gości. Wuj obawiał się szczególnie tych, którzy wyobrażali sobie, że mogą dosiadać nie ujeżdżonych źrebców. Ujeżdżać bowiem dzikiego źrebca było przedsięwzięciem ryzykownym, a jeśli ktoś wylądował, nawet z własnej winy, na trawie, zawsze potem wymyślał na złośliwe tyrnowskie konie.

Pewnego dnia przyjechała Ludmiła, młoda dziedziczka z Dragiczan. Wszyścysmy ją znali, była słynna ze swoich oryginalnych obyczajów, które ostro krytykowała babcia Władysława. Ludmiła wyglądała jak chłopiec i zamiast szukać kobiecego towarzystwa ciągle siedziała w stajniach, dyskutując z masztalerzami, stangretami i stajennymi. Czasem przychodziła bawić się ze mną i moją bandą zabijaków. Musieliśmy wtedy dobrze uważać. Rozdawała kuksańce, popychała i kopała, czasem tak dała w twarz, że najsilniejszy się nogami nakrywał. U siebie spędzała całe dnie na koniu, skacząc przez płoty i rowy. Nosila spodnie o wojskowym kroju, wysokie buty kawalerskie, najcięższy i najgorszy grzech według babci Władysławy w prowadzeniu się Ludmiły. Kiedyś zobaczyłem ją ubraną po kobiecemu: była śliczna. To jest Ludmiła? — znalazłem się u szczytu zaskoczenia. Niemożliwe — pomyślałem — ta jest dużo ładniejsza od prawdziwej.

Zaledwie wysiadła ze sportowego koczka, który ją przywiózł ze stacji, podbiegła do Teofila Antonowicza gwałtownie gestykulując. Wuj rzucił na nią uważne spojrzenie, obliczając widocznie w myśli, ile i jakie czekają go komplikacje. Wreszcie kazał osiodłać źrebca, który już był trochę ujeżdżony i pojechaliliśmy wszyscy w pole. W pobliżu stadniny Ludmiła zaczęła kierować źrebce w sposób brutalny. Wymagała ciągłych zmian chodu, zmuszała go do stawania dęba i ciągnęła za cugle uderzając konia pejcem.

— Ostrożnie! — ostrzegł ją wuj. — Ten źrebiec jest dość nerwowy!

Ludmiła wydeła usta:

— Już on złagodnieje, jak poczuje, kto go dosiadł!

Teofil Antonowicz powtórzył:

— Na miłość boską, Ludmiła, wiem, że jesteś doskonałą amazonką, ale jeśli mnie nie posłuchasz, nie odpowiadam za nic.

Ludmiła wzruszyła ramionami, zebrała cugle, osadziła źrebca w miejscu, zmuszając go do wygięcia szyi, i uderzyła zwierzę pejcem. Mając już tego dosyć, źrebiec stanął dęba, wyrzucając do przodu muskularne nogi. Zarżał dziko, zawrócił na miejscu i ruszył galopem jak strzała. Z wyrazem troski na twarzy wuj powiedział:

— Byłoby bardzo niebezpiecznie, gdyby temu źrebcowi zachciało się pognąć do stajni.

Postanowiliśmy wrócić do domu. Wypuściliśmy konie galopem. Jechałem na klaczy kozackiej zwanej Bułaną, która choć długonoga, wyrównywała bieg koszem moich kości, gdyż trzęsła tak przeraźliwie, że bolały mnie wszystkie stawy. Podniosłem się w strzemionach, aby zamortyzować galop. Po półgodzinie dojrzeliliśmy wysoki dach pałacu. Wpadliśmy na drogę z tętentem kopyt godnym wojskowego szwadronu. Galop Bułanej stał się jeszcze krótszy i twardszy. Kiedy mineliśmy aleję, ukazał się ciepły kolor ścian domu. W głębi widać było stajnię, a przed drzwiami stał źrebiec. Panna stała obok. Wieczorny wiatr poruszał zielone liście dzikiego wina, którego pędy wisiały, kołysząc się, przed ciemnym otworem wrót.

Stajenny podbiegł do Teofila Antonowicza i opowiedział, co się stało: Siedział koło drzwi, kiedy posłyszał galop pędzącego konia. Jadąca dziewczyna czyniła rozpaczliwe wysiłki, aby zatrzymać żrebca biegnącego wprost do stajni. Stajenny skoczył i założył szybko łańcuch we wrotach. Na widok tej przeszkody żrebiec zarył się gwałtownie w ziemię czterema kopytami; głowa Ludmiły dotykała niemal górnej belki wrót.

Wuj uśmiechnął się do dziewczyny:

— Ludmiła — powiedział — dziś musimy uczcić ten bardzo szczęśliwy obrót losu. Byłaś o krok od śmierci. Nie było Ludmiły i jeżeli teraz jest, to jakby narodziła się na nowo! Wieczorem wypijemy butelkę szampana za twoje zdrowie!

## Kumys

W ostatnich latach przed pierwszą wojną światową rodzice zauważyli, że zacząłem tracić apetyt. Przyglądali mi się z troską, podczas gdy wykorzystywałem sytuację, aby sobie nałożyć podwójną porcję konfitur albo dereniowego kisielu. Na to zawsze miałem apetyt, ale oni chcieli, żebym jadł mięso i kluski; właśnie to, czego nie lubiłem. Utarło się więc przekonanie, że nie jem dosyć. Trzeba było „wziąć się poważnie do rzeczy”, by nie skończyło się na „złośliwej anemii”. Moje kości, mówili, rosły szybko, a ciało nie mogło za nimi nadążyć i byłem coraz chudszy. Musieli „narzucić mi dietę”. To słowo zabrzmiało złowrogo w mych uszach. Jaką dietę?

— Kumys — powiedział dziadzio Aslan. — Będziesz musiał pić kumys. No, no, nie ciesz się tak bardzo. To soska naładowana dynamitem.

Po takim wstępie nabrałem szalonej ochoty spróbować kumysu.

— Tylko Tatarzy — powiedział tatuś — umieją przygotowywać kumys.

Jedna ze stadnin Teofila Antonowicza była pod opieką doświadczonego watażki i koniuchów tatarskich pochodzących z Krymu. Byli to potomkowie groźnej Złotej Ordy, która tyle zniszczeń spowodowała w dawnych czasach. Chociaż już nie tak wojowniczy jak niegdyś, Tatarzy prowadzili żywot żołnierzy i jeźdźców nieustraszonych. Inne stado było powierzone Kozakom dońskim i między tymi dwoma grupami historycznie wrogimi utrzymywały się dalej brak zaufania i zatargi, wykluczające zupełnie ducha pojednania; ciągle kłótnie kończyły się czasem nawet bójkami. Kiedy szef Kozaków Słucki dowiedział się, że tatuś chce wejść w porozumienie z Tatarami, wykrzyknął:

— Biedny Stasik! Klacze tych kosookich i krzywonogich dają mleko fatalne. Wczoraj wyrwał nam się żrebak i gdy raz tylko poszał jedną z tych klaczy, zdechł natychmiast otruty!

Aby nie podsycać ognia, tatuś postanowił zamówić dostawę kumysu u obu grup. Kozacy zdecydowali robić kumys w Tyrnowie, Tatarzy zaś wyznaczyli jednego ze swoich, żeby się zainstalował w Skajanach, gdzie miał wytwarzać kumys z mleka naszych własnych klaczy. Omówiono szczegóły z wujem i następnego dnia wyruszył szaraban, żeby przywieźć rzeczy Tataru Zakira Faragatowicza. Podczas podwieczorku postawiłem pustą szklankę koło mojego nakrycia.

— Cha, cha, cha! — roześmiał się Munio. — Już byś chciał pić kumys? Musisz, bratku, z tydzień na to poczekać.

Pojechałem więc po południu na *odaję*, dopytując się o klacze i o butelki; z przykrością zobaczyłem, że nie zaczęły się nawet przygotowania do robienia kumysu. Tatar stawiał spokojnie swój namiot. Był to człowiek o ciemnej cerze, niski, nosił kwadratową czapeczkę z czarnego jedwabiu, haftowaną białą nicią. Nogi miał wygięte w kabłąk, aby, według Munia, lepiej przylegały do końskiego brzucha. Miał szczupłe siedzenie, a uda sięgały mu prawie do pasa. Chodził kołysząc się jak marynarz. Namiot Tatara był skomplikowaną konstrukcją i tak mnie zainteresował, że zapomniałem o kumysie. Zakir wyszukał sobie teren płaski, na którym ustawił rusztowanie z tyczek pokrytych płacami filcu. Drewniane drzwi służyły za wejście, a dziura w stożkowym dachu dawała ujście dymowi.

— I pomyśleć, że mu proponowałem porządną dom! — powiedział obrażony klucznik.

Zakir Faragatowicz wzruszył ramionami i odpowiedział z pogardliwym grymasem:

— Ten Mołdawianin myśli, że ja bym spał w chacie z błota! Szanujący się Tatar może mieszkać tylko w namiocie.

Powiedziawszy to przestał się nami zajmować, wyciągnął mały dywanik, ukląkł i rozpoczął swoje modlitwy.

Wieczorem, podczas kolacji, rozmowa zesłała na Zakira.

— *Batiuszka* mówi — zawołałem — że przywieźliśmy do Skajan Tatara, który nie jest chrześcijaninem, i że tylko czekać, kiedy ojciec wybuduje meczet dla niewiernych!

— Nawet gdybym to zrobił, nie powinienem myśleć ani mówić, że inne wierzenia religijne są gorsze! — oburzył się ojciec.

— *Batiuszka* mówi, że Tatar nie chodzi do cerkwi.

— Tatarzy to muzułmanie — tłumaczył mi ojciec. — Nie chodzą do kościoła, ale są bardziej pobożni i religijni niż wielu chrześcijan. Odmawiają pięć modlitw dziennie, gdziekolwiek się zdarzy, bo meczet jest daleko, w Chocimiu. Powinienesz szanować tego dobrego wyznawcę swojej wiary, który znajdując się w obcym kraju, nie zapomina o swych narodowych i religijnych obyczajach.

Następnego dnia pojechałem na *odaję*, aby pomóc Tatarowi przy robocie. Kiedy oporzządziliśmy jego własną klacz, Zakir przybliżył usta do jej ucha i zaczął szeptać jej coś. Nie wiem, co jej tam tłumaczył, ale klacz stała spokojnie i od czasu do czasu rżała cichutko, jakby mu chciała powiedzieć: „Kocham cię i pójdę, gdzie każesz”. Potem Tatar pogłaskał ją po szyi i pocałował w czoło.

Wydawało mi się, że to przesadne. W domu traktowało się konie jak najlepiej, ale żeby je całować... Ujrzana scena przypieczętowała pakt przyjaźni między mną i Tatarem. Usiedliśmy na pogawędkę i wtedy zdałem sobie sprawę z jego dziwnego akcentu.

Na drugi dzień zaczęły się właściwe przygotowania. Kumys jest odświeżający, teraz by się powiedziało, że wysokokaloryczny i pełen witamin, o smaku świeżego mleka, trochę alkoholowy i pienisty jak szampan. Nie było łatwo doić klacze. Miały wymię tak małe jak torebka dziewczynki idącej do pierwszej komunii. Mleko przechowywało się w bukłakach ze skóry, skąd Zakir przelewał je do grubych butelek po krymskim szampanie. Korki zawiązywał drutem, aby wytrzymywały ciśnienie gazu. Po trzech dniach Zakir przjechał z *odai* z torbami pełnymi butelek.

— Hurra! — wrzasnąłem triumfalnie wbiegając z butelkami do jadalni.

— Uważaj! Zostaw je — krzyknął Munio. — To może eksplodować, trzeba wiedzieć, jak się z tym obchodzić!

Usiadł i wzięwszy butelkę między kolana zaczął wkręcać do korka metalowy kranik zakończony nagwintowaną spiczastą rurką. Ukazały się niewinne banieczki. Munio wycelował w szklankę i przekręcił kranik. Białawy strumień strzelił z taką siłą, że zmiotł ze stołu szklankę i w sekundę butelka była pusta. Szklanka stłukła się na podłodze, gdzie kumys zostawił białą plamę.

— Zostaw to! — rozkazał dziadzio Asłan. — Zostaw to mnie.

Wziął inną butelkę i powtórzył operację, tyle że otworzył kran bardzo ostrożnie. Strumień kumysu zakolysał szklanką i wypełnił ją całkowicie.

— Masz — powiedział dziadek. — Teraz możesz pić.

Z przejęciem spróbowałem musującego napoju. Był pienisty, pikantny i uspokajający. Smak jego przypominał świeżość kryształowego źródła, rosę wiosennej nocy, pienistość szampana — owiane końskim zapachem. Byłem zachwycony od pierwszej chwili. Kumys smakował mi bardziej niż jakikolwiek napój i piłem go tyle, że Zakir nie nadązał z dojeniem klaczy.

Zegnaj, szczupłości i wydłużone pischcele! Kumys rozpuścił mikroby bladej anemii. Wzrosłem w siłę i ducha. Towarzysze traktowali mnie z szacunkiem, a ci z przeciwnej bandy usuwali mi się z drogi. Zmieniłem się w krzepkiego orangutana.



## WOJNA





## Wojna

Przypominam sobie dobrze ten wesoły i upalny dzień, kiedy pośród kołyszających się zbóż i szumu wiatru w wysokich kukurydzach rozeszła się przerażająca wieść: wojna!

— Wojna?

Siańka wyjaśnił w mig moje wątpliwości:

— No, wiesz, chłopie! Wstyd, że aż taki z ciebie osioł. Kiedy dwaj parobcy wypiją za dużo i zaczną się walić, to jest wojna!

Po tym objaśnieniu wojna straciła dla mnie znaczenie. Pobiegłem więc z innymi chłopakami do naszych zwykłych zajęć. Jakub zaczął skradać się do siedzącej na płocie sroki. Ja wlałem na kartoflisko w poszukiwaniu kamieni i zapychałem nimi kieszenie. Nikita zaczął budować oborę z ziemi i patyków i zawołał mnie, żebym zainstalował odpływ wody. Poukładałem parę łodyg mleczów, wtykając jedną w drugą jak zwięzające się rurki. Nadszedł na to tatuś z dziadkiem Asłanem. Usłyszałem, jak mówią:

— Będzie mobilizacja. Munio jest chory na cukrzycę, trzeba wziąć świadectwo lekarskie, bo inaczej powołają go do wojska.

W mgnieniu oka wir myśli zakółował mi w głowie, zacząłem kojarzyć sobie pewne fakty. Zrozumiałem, że wojna to rzecz poważna.

Kilka dni później, stojąc na werandzie, posłyszeliśmy tętent galopującego konia i ujrzelśmy jeźdźcę pochylonego w siodle. Zahamował w miejscu tuż przed nami; z konia spadały na ziemię grube płyty piany. Jeździec zeskokczył i stanął na baczność przed ojcem.

— Rozkaz pana *isprawnika*. Nie wolno sprzedawać ani kupować koni, zanim nie przejdą przez inspekcję zakupów dla wojska.

Zasalutował po wojskowemu i ruszył galopem, znikając za bramą wjazdową.

Podniósł się chór protestów.

— A cóż to znowu? — dał się słyszeć donośny głos dziadka Asłana. — Co oni sobie wyobrażają?

Ojciec dodał:

— Chcą, żebyśmy im hodowali konie, ale nie pozwalają ich sprzedawać!

W tej atmosferze zaczął się dla mnie okres wojny. Dzięki szczodrej i żyznej ziemi besarabskiej nigdy nie cierpieliśmy żadnych braków, ale wojna uderzyła we mnie z innej strony. Zdałem sobie sprawę, że przed jej końcem nie zobaczę już mamusi, która została po drugiej stronie frontu. Wszyscy pocieszali się twierdząc, że wojna nie może trwać długo. Dzielne wojska rosyjskie Niemców rozbijają!

— Na Berlin! — wołała moja paczka podczas naszych nowych wojennych zabaw.

Mamusia będzie wkrótce oswobodzona! — myślałem — i pojedziemy ją zobaczyć.

— A Wania, a Wołodia? — ktoś sobie przypomniał. — Oni także będą musieli się zaciągnąć do wojska.

Wuj Teofil powiedział:

— Nic nie wiem. Właśnie wyjeżdżam do Kijowa, żeby się dowiedzieć, czy studenci też będą brani na wojnę.

Wojna, z początku daleka, zbliżała się ku nam i mieszała do naszego codziennego życia. Nie była to zwykła bójka pijaków, jak mi mówił Siańka,

było to coś dużo poważniejszego. Jakiś lęk ścisnął mi serce i wspominając mamusię, ukryłem się w gęstwinie przerosłych szparagów, pogrążony w smutnych medytacjach — aż do wieczornej mamaługi.

Gazety, które dostawaliśmy codziennie, zaczęły drukować artykuły o wojnie. Mówiły o postępach technicznych i zapewniały, że wojnę wygra ci, których technika będzie doskonalsza. Bronią przyszłości będzie lotnictwo.

Wkrótce wrócił wuj Teofil z Kijowa, mówiąc, że Wani nie wzięto do wojska, ale że on sam chciał iść na ochotnika do lotnictwa. Komisja specjalistów francuskich przybyła do Odessy i do Kijowa, żeby zakładać montownię samolotów wojskowych. Wania jako naukowiec chciał oczywiście pracować w przemyśle lotniczym, nie znanym jeszcze w owym czasie w naszych stronach.

### **Turecki bednarz**

Raz na rok przyjeżdżał do Skajan wąsaty Turek, ubrany w czerwony fez. Przybywał z dalekich stron, niosąc na plecach worek z narzędziami. Rozsiadał się w warsztacie bednarskim pełnym beczek, baryłek, putni, wiader i drewnianych naczyń z rozeschniętymi klepkami i popękаныmi obręczami, czekających na naprawę. Siedząc okrakiem na specjalnej ławie, przyciskał nogą dźwignię, która przytrzymywała dębowe klepki. Zwiększał się stos złotych wiórów na ziemi, a każdą naprawioną beczkę, świecącą nowiutką klepką, stawiało się przy drzwiach.

Patrzeć, jak rozsypane deski leżące na ziemi zmieniały się w zbiornik przechowujący coś tak ciekłego jak woda, było dla mnie źródłem ciągłego podziwu. Zafrapowany tym zdumiewającym zawodem, ofiarowałem się za pomocnika. Posługując się dornikiem i młotkiem zaciskałem obręcze na klepkach. Jeżeli te nie przylegały dobrze do siebie, uszczelniałem je liśćmi tataraku, który rósł na Szuwarowym Stawie.

Gdy wybuchła wojna europejska, zniknął ze Skajan wędrujący bednarz. Turcja zdecydowała się połączyć z nieprzyjacielem. Ojciec zwrócił się wtedy do mnie, żebym naprawiał beczki i rozeschnięte balie.

— Ten chłopiec będzie kiedyś bednarzem! — powiedział raz Bojum, patrząc ze zdumieniem na moje prace.

### **Jeńcy wojenni**

Pewnego dnia przyjechał *pristaw* i zaczął rozmawiać z ojcem. Połyszałem, że słowo *plennyje* powtarzało się ciągle w tej rozmowie.

— Przyślą do nas jeńców — wyjaśnił mi dziadek — będą tu pracować, zastępując naszych chłopów zmobilizowanych do wojska. Trzeba ich pilnować, żeby nie uciekli.

Parę dni później nadjechał furgon wojskowy z sześcioma ludźmi o cudzoziemskim wyglądem, w wyszarzanych uniformach bez oznak i epoletów. Rosyjski żołnierz, który z nimi przyjechał, podał ojcu kwit do podpisania,

jak gdyby chodziło o zwykły towar, i potem odjechał, pokrzykując donośnie: — Wio! Wio! — na zmęczone konie. Jeńcy zostali na podwórzu, ustawieni w rząd, niezdecydowani. Wyszliśmy wszyscy, aby na nich popatrzeć, jakby to były zwierzęta na jarmarku. Babcia Władysława zaczęła im ścisnąć ręce i rozmawiać z nimi po niemiecku. Pierwszy w rzędzie, niski blondynek, był Czechem. Dwaj następni — Węgrzy. Czwarty był Rumunem z Transylwanii. Jeśli idzie o ich zawody, okazały się bardzo różne. Czech pracował jako księgowy w banku. Z Węgrów jeden był malarzem, a drugi nawet śpiewakiem operowym. Mój ojciec powiedział, że nie trzeba mu wierzyć, że podaje się za artystę, żeby wykręcić się od pracy fizycznej. Rumun był bednarzem, piąty jeńiec — gajowym, a ostatni — ogrodnikiem.

— Zostawimy ich wolno, niech chodzą swobodnie po gospodarstwie — powiedział ojciec — ale nie wolno im będzie oddalać się ze Skajan. Co tydzień będzie przyjeżdżał żołnierz rosyjski, żeby sprawdzić ich obecność i zachowanie.

Jeńcy wzięli się do pracy, każdy w innej stronie gospodarstwa, i wkrótce przestaliśmy się nimi zajmować. Pewnego dnia po południu Aurelia usiadła do fortepianu. Z nieba zaciągniętego chmurami padały krople deszczu. Była słota. Zbliżyłem się do okna i odsuwając białą koronkową firankę zacząłem obserwować podwórze. Czeski jeńiec, Rudi, rąbał drzewo. Kiedy usłyszał muzykę, opuścił siekiere i wyprostował plecy, odrzucając głowę w tył. Wydawał się pogrążony w marzeniach. Melodia przenikała monotony plusk deszczu. Podniósł rękę i zaczął śpiewać: — *Kde domov můj...*\* — pięknym głosem, towarzysząc sobie gestem rąk. Skończyła się melodia i jak gdyby zbudzony ze snu, Rudi wrócił do pracy. Ten wypadek komentowano później w domu; była to narodowa pieśń czeska. Od tej pory pojąłem, że mieliśmy w domu nie wroga, ale zanego człowieka.

Był też jeden jeńiec, wysoki i chudy, z obfitym blond wąsem opadającym ku dołowi jakby na znak rezygnacji. Zamiast podszywać się pod jedną z narodowości krajów uciemnionych przez Austrię, wyznał otwarcie:

— Jestem Austriakiem. Nazywam się Hoffmeister.

Był gajowym u hr. Lanckorońskiego i znał doskonale obyczaje wszystkich leśnych zwierząt. Zajmował się domowymi ptaszkami w klatkach, wypełniał też karmniki leśnych ptaków. Po ustąpieniu mojej początkowej nieufności staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Chodziliśmy razem do parku i pomagałem mu w pracy. Wypowiedzieliśmy wojnę wronom, krukowi, srokom i kotom.

— To są najgorsi wrogowie śpiewających ptaszków — mówił Hoffmeister swoim obco brzmiącym rosyjskim.

Nie wiem już, ile gniazd uratowaliśmy, zeszywając rozluźnione żdźbła szydłem z nitką, umacniając je w absurdalnych nieraz pozycjach, w jakich je umieścili beztroscy architekci. Moją fuzją marki Flaubert 5 mm odstraślałem szkodniki i uczyłem psy sztuki polowania na koty. Rozrabiałem w garnuszku glinę, żeby podmurować lub zlepić jaskółcze gniazda. Hoffmeister stał się moim profesorem i przewodnikiem. Jak zauważyłem, lubił pracować z dala od domu, jakby szukał samotności.

— W ten sposób unika towarzystwa Czechów i Rumunów, którzy go uwa-

---

\* *Kde...* (czes.) — Gdzie jest mój dom...; pieśń ta stała się po wojnie hymnem narodowym Czechosłowacji.

zają za odpowiedzialnego, jako Austriaka, za tę wojnę — wyjaśnił mi ojciec przy stole. — Austriacy okupują ich kraje i zmuszają ich do walki, wbrew własnemu interesom narodowym, po stronie państw centralnych.

Park, drzewa, las nie miały dla Hoffmeistera tajemnic. Wszystko umiał wytłumaczyć, wszystkiemu zapobiec. Raz przyniósł klatkę drucianą, powiesił ją na akacji i włożył do niej gniazdo gilów, zamykając drzwiczki. Wyobraziłem sobie zmartwienie ptasich rodziców, kiedy zobaczą swoje małe za kratami. Ale wkrótce zauważyłem, że wcale nie zmartwieni karmili je przez druty, gdy tymczasem wrony nie mogły im zrobić nic złego.

Hoffmeister nosił wojskową kurtkę bez naramienników i z obszernymi kieszeniami, gdzie była niezliczona ilość zawsze użytecznych przedmiotów. Ktoś wyrwał kołek z płotu? Hoffmeister grzebał w kieszeniach, wyciągał gwóźdź i przybijał go. Wyleciała śruba z pługa brabant? Hoffmeister wyciągał z kieszeni taką samą i francuskim kluczem przykręcał ją natychmiast. Kieszenie Hoffmeistera przypominały mi sklepy w Bryczawie: wszystko w nich było.

Powoli jeńcy przystosowywali się do naszego życia i zmienili się w sympatycznych współpracowników.

— No dobrze — powiedział raz Jakub do Czecha Rudiego. — Widzę, że jesteście porządne chłopcy; to dłaczego idziecie z Niemcami?

Dowiedziałem się wtedy, że na wojnę nie szedł, kto chciał. Wiele narodów było do wojny wciągniętych i ci ludzie musieli walczyć na froncie przeciwko nam.

Pewnego razu, kiedy spadły obfite śniegi, ojciec postanowił pojechać do Tyrnowa wielkimi saniami i — do pomocy Jakubowi — zabrał jeńca węgierskiego Sidora. Po kolacji obecni w Tyrnowie artyści postanowili wykonać fragment jakiejś opery. Usadawiłem się w pierwszym rzędzie krzesła koło wuja Teofila, jak to zazwyczaj robiłem.

— No, zaczynajciez tę *Traviatę*! — powiedział wuj bez ceregieli.

Ala brakowało artysty do męskiej roli.

— Cóż robić — zdecydował wuj — przeskoczcie brakującą rolę i już! Zabrzmiały akordy Hebanu, któremu towarzyszył Mahoń, artyści zaczęli śpiewać. Po chwili umilkli; tylko fortepiany grały dalej, gdyż nikt nie śpiewał.

— To ta część, której brak — rzucił ktoś.

Nagle posłyszeliśmy daleki głos, dochodzący z parku. Wuj Teofil krzyknął:

— Cicho, kto tam śpiewa?

Śpiew doskonale harmonizował z muzyką fortepianów.

— To jest aria, której brak! — zawołała Nadieżda Iwanowna, zdziwiona.

Wuj otworzył okno gwałtownym ruchem, wołając w czerń nocy:

— Kto to? Kto tam śpiewa?

— Sidor, do usług jasnie pana... — dał się słyszeć daleki głos.

Po chwili ukazał się jeniec, mnąc czapkę w rękach. Ojciec spojrział na niego i wybuchnął:

— A więc to, co pan powiedział, to była prawda?

Sidor uśmiechnął się:

— Tak, proszę pana, jestem tenorem budapeszteńskiej opery.

Teofil Antonowicz postanowił wcielić natychmiast świeżo odkrytego śpiewaka do swojej trupy i Sidor wyszedł na estradę w stroju jenieckim. Widać było, że jest w swoim żywiole, poruszał się swobodnie i umiał swą arię na pamięć. Głos miał piękny i choć śpiewał po niemiecku, wuj słuchał go,

uśmiechając się z satysfakcją. Kiedy Sidor skończył, wszyscy go otoczyli gratulując. Wkrótce powstał nieprzewidziany problem. Normalnie Sidor spał w masztelarni, ale po tym, co wyszło na jaw, wuj Teofil nie uważał za odpowiednie wyznaczyć mu podobne miejsce. Zaprosić go do pałacu? A inni jeńcy? Podniósł się mój ojciec:

— Uwaga, wszyscy ze Skajan, koncert skończony! Jedziemy spać do domu.

Wkrótce potem siedzieliśmy w saniach, z Jakubem i Sidorem na koźle. Słychać było skrzyp płóz, tnących chrupką śniegową powłokę. Towarzyszył nam daleki, smutny śpiew wilków. Ciasno zawinięty w baranicę patrzyłem, cały jeszcze pod wrażeniem koncertu, na białą twarz lodowatego księżycy.

## Wojenne żony

Wojna, która zaczęła się pod znakiem optymizmu, przedłużała się coraz bardziej. Minął rok i nadeszła następna zima. Wojska niemieckie i austriackie zagłębiły się w rosyjskie ziemie. Ojciec śledził uważnie komunikaty z frontu i znaczył jego linię w wielkim atlasie Kozena. Kreska po prawej stronie oznaczała najbardziej wysunięte pozycje nieprzyjaciela, które zbliżały się coraz bardziej do Besarabii.

Co stałoby się z nami, jeśliby Niemcy i Austria zwyciężyły? Nikt nie wiedział tego dokładnie, ale na samą myśl o tym dostawaliśmy gęsiej skórki.

Podczas drugiej zimy wojennej zaszła potrzeba pomocy dla rodzin zmobilizowanych żołnierzy, opuszczonych zupełnie przez carską administrację. Ojciec starał się im dopomagać, kierując się radami Wachy, zięcia mojej mamki Popowiczki. Słuchałem rozmów tego rodzaju:

— Gawryle potrzeba zaraz lekarstw dla synka chorego na odrę.

Decyzja: zamówić je w aptece na rachunek ojca.

— Maryna Puzyna musi dostać paszę dla trzody.

Decyzja: posłać jej wóz lucerny.

— Z powodu suchych mrozów i słabych opadów śnieżnych chaty niektórych kobiet źle się opierają atakom wiatru *kriwacul* i biedaczki cierpią zimno.

Decyzja: fornał Wańka ma posłać im tyle słomy i nawozu, ile będzie trzeba, żeby chaty dobrze opatrzyć.

Raz Jakub, który manewrował przy łańcuchu w drzwiach stajni, powiedział mi bez wstępów:

— Jeżeli ta wojna szybko się nie skończy, będziecie musieli iść na wojnę, ty i mój syn Jakub. *Czort wozmi!* \*

Podczas gdy mocarstwa centralne odczuwały braki w aprowizacji, wprowadziły kartki na żywność i cierpiały głód, dla nas były to problemy nieznane. Czasem przyjeżdżały komisje wojskowe i zabierały trzodę, konie i ziarno wszelkiego rodzaju. Ale ile by nie zabrały, zawsze zostawało tyle samo albo i więcej. Ludność żyła więc u nas nie znając ograniczeń. Ale listy mamusi sprawiały nam wielką przykrość: Austriacy przymierali z głodu i mamusia z nimi.

---

\* Czort... (ros.) — Niech to licha!

Kiedy ojciec postanowił wybudować willę w Zakopanem, mamusia przyjechała tę myśl z wielkim zapalem i z początkiem lata 1914 przeniosła się do tatrzańskiej stolicy, żeby dopilnować budowy, podczas gdy my byliśmy na Besarabii przy żniwach. Wybuch wojny rozdzielił nas i ojciec czynił bezskuteczne wysiłki, aby się z mamą skomunikować.

— Nie mogę nic zrobić — wołał ojciec — nie mogę pomóc twojej matce, więc przynajmniej pomogę tym biednym kobietom ze Skajan, które mają mężów na froncie.

Z wdzięczności kobiety te wyhaftowały wspinały obrus w stylu mołdawskim, z azurami i geometrycznymi biało-czarnymi deseniami, jako prezent dla mojej mamy, który zawieźliśmy jej, gdy Rumuni zajęli Besarabię. Nie pamiętając o własnych cierpieniach, mamusia miała zawsze specjalny sentyment dla tej pamiątki z okresu smutku i niedostatku przeżywanego przez kobiety besarabskie podczas wielkiej wojny.

### Choroba Munia

Wojna rozwijała się, zbliżała i zajmowała coraz więcej miejsca w naszych rozmowach. Przez Tyrnowo przelatywały pociągi w kierunku frontu albo do Rumunii. Wychodziliśmy na stację, żeby na nie popatrzeć. „Osiem koni, czterdzieści osób”, czytałem na wagonach.

Nie było już, niestety, obawy, żeby Munia wzięto do wojska, gdyż jego choroba robiła powolne, ale stałe postępy. Nie mogąc zastosować insuliny, wówczas nie znanej, medycyna umiała tylko zakazywać jedzenia cukru i ciast. Nasze posiłki, dawniej tak wesole, ożywione, stały się smutne, wpływały często w atmosferze drażniącego napięcia. Idąc za radami mego ojca chrzestnego, stawiało się półmiski z zakazanymi dla Munia potrawami daleko od jego zasięgu. Zajmował on zawsze to samo miejsce koło pieca, ale przynaglony głodem, wyciągał rękę, by dosięgnąć chleba lub cukru. Zaczynały się wówczas cierpkie dyskusje, które mąciły nastrój naszych spokojnych posiłków. Czasem Munio się obrażał i szedł spać bez kolacji. Ojciec mówił zatroskany:

— Ten chłopiec jest bardzo honorowy, a pracuje dużo, wstaje wcześniej i jeżeli nie będzie jadł, nie wytrzyma rytmu takiego życia.

Pewnego dnia Munio zadrapał sobie rękę jakąś klamrą od uprząży i stracił dużo krwi. Rana zamiast zabliznąć się — tylko się zaogniła. W miarę jak mijał czas, Munio stawał się coraz bardziej nerwowy i chudy. Kiedyś zbudziłem się wcześniej i pobiegłem na palcach do jadalni. Przenośna lampa naftowa oświetlała stół nakryty ceratą. Piętrzyły się na nim bochenki chleba, słoiki z marmoladą i miodem, talerze z serem. Samowar mruczał jak zadowolony kot. Przy stole siedział Munio z wyrazem szczęścia na twarzy. Kroił grube kromy chleba, wsypywał cukier do herbaty łyżką stołową. Zakazy mego ojca chrzestnego przypominały mi się nagle.

— Muniu, Muniu! Nie jedz tego! To ci bardzo szkodzi!

Munio rzucił mi złe spojrzenie:

— I ty także? W dzień nie pozwalacie mi jeść, a teraz będziecie mnie pilnować w nocy? Chcecie zamorzyć mnie głodem? Pójdę sobie z tego domu!

Jakiś groźny lęk ścisnął mi serce. Byłbym podarował kochanemu Mu-

niowi wszystkie zapasy skajańskiej spiżarni, ale jakże to zrobić, skoro to była jego zguba? Łzy rzuciły mi się do oczu.

— Muniu, kochany — wyjęczałem wśród łkań — jedz, co chcesz, ale wyzdrowiej, żyj, nie umieraj!

Zmęczony płaczem, zasnąłem z boku samowara, gdzie Nastka mnie znalazła w godzinie śniadania.

### Przewrotna modlitwa

Pewnego wieczoru kończyliśmy jeść mamałygę. Był to jeden z tych długich dni zimowych, kiedy zawieja śnieżna wyje na dworze i człowiek czuje się szczęśliwy w ciepłym glinianym wnętrzu domu. Nie trzeba było zasuwąć firanek, bo śnieg zasypał dokładnie podwójne okna naszej jadalni. Babcia Władysława spojrzała na mnie i powiedziała:

— Chce ci się bardzo spać... — i zwracając się do reszty domowników, dodała: — Zaprowadzę go do łóżka.

Wstałem i zacząłem wszystkim mówić „dobranoc”. Była to długa i tradycyjna ceremonia. Musiałem zacząć od ojca, całując go w rękę i obejmując za kolana. Potem zbliżałem się do dziadzia Asłana, a wreszcie do pozostałych, honorując odpowiednie stopnie ważności i pokrewieństwa. Skończywszy z tym rytuałem, poszedłem za babcią ziewając.

Spałem wtedy w gabinecie ojca, na żelaznym łóżku z porządnym materacem i kołdrą, które mnie chroniły przed zimnem. Babcia Władysława siedła w fotelu, gdy ja tymczasem odbywałem sesję przepisanego regulaminem mycia.

Zaledwie się położyłem, kiedy babcia podeszła, mówiąc:

— Nie pójdziesz przecież spać bez pacierza!

Ukląknęłem powoli i leniwie pod kołdrą, która mi okrywała ramiona i głowę. Wyglądałem jak pop w kapię.

— Ukląkłeś już? Patrz tutaj i odmawiaj pacierz — rzekła babcia wskazując na obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, zawieszony na czerwonej jedwabnej wstążeczce u wezglowia łóżka. Tę, tak bardzo czczoną w Polsce, Matkę Boską babcia wyznaczyła jako moją osobistą opiekunkę.

Odmówiłem *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Mario*. Ale to nie wystarczyło. Babcia dorzuciła rozkazująco:

— Teraz pomódl się za zwycięstwo Austrii.

Skamieniałem pod kołdrą. Cóż miała znaczyć podobna potworność?

— Tak, ona jest obrończą wiary i Polski. Módl się!

To żądanie wstrząsnęło mną do głębi. Czyżby babcia zwariowała? Nie wiedziałem co robić. Wszyscy pragnęliśmy zwycięstwa naszych, jakież ja miałem się modlić za wrogów? Widząc moje niezdecydowanie, babcia zmarszczyła brwi. Jednak — pomyślałem — u niej są pod kluczem cukierki i herbatniki!

— No, pomódlże się, zrobię ci kogel-mogel!

Przypomniiał mi się ryż Szul z Bryczawy, który raz dał mi taką radę: „Jeżeli cię zmuszają do przysięgania na coś, co ci się nie podoba, załóż palec na palec na lewej ręki. W ten sposób przysięga wyjdzie na odwrót”. Zacząłem powtarzać słowa modlitwy za babcią, ale z palcami założonymi



u obu rąk, dla tym większej pewności. Babcia, nie zdając sobie sprawy z niczego, ucałowała mnie, ułożyła i otuliła koldrą, zgasiła świecę i poszła bardzo zadowolona. Ja także zasypiałem zadowolony, w przeświadczeniu, że mimo mojej modlitwy zwyciężą nasi.

### Ptaki w wojnie 1914 roku

W Skajanach był ogromny drewniany gołębnik, umocowany na dębowym słupie, głęboko wkopanym w ziemię. Na wysokości dwóch metrów wznosiła się konstrukcja ośmiokątna, podobna do wiatraka, zakończona spiczastym dachem z gontów. Gołębie wylatywały i wlatywały przez otwory pod okapem, natomiast małe drzwiczki pozwalały dozorować wnętrze gołębiego królestwa. W licznych przegrodach były gniazda, gdzie samiczki znosiły jaja i wysiadywały małe. Wszędzie leżała gruba warstwa gołębiego nawozu, który wyglądał jak zaprawa z wapna. Gołębie latały wielkimi stadami, bijąc skrzydłami hałaśliwie, i siadały na dachu domu niby opad śnieżny, białe i szare. Samce rozkładały ogony jak wachlarz i rozdzielając zabawne ukłony przymilały się i kręciły koło samic.

Podczas pierwszej wojny światowej rząd rosyjski kazał tępić gołębie, żeby nie myliły i nie zatrzymywały przelatujących gołębi pocztowych, które krążyły między frontem a sztabami głównymi na tyłach, przenosząc wiadomości i rozkazy. Ostra siekiera podcięła słup i nasz ogromny gołębnik runął w dół z hałasem, podnosząc tuman kurzu; wylatywały zeń przerażone gołębie. Było ich tyle, iż lecąc zakrywały słońce. Między rozbitymi deskami skapywały żółtka pogniecionych jaj. Po chwili zaczęła się straszna rzeź. Ukryci za drzewami parobcy strzelali z fuzji, zabijając tysiące biednych, bezbronnych ptaków. Dymiły lufy rozpalone do czerwoności, a gołębie latały, niezdolne zrozumieć tego, co się działo. Zmartwiony i smutny, schowałem się w kuchni, gdzie kucharz Aleksander z wyrazem gorczy na twarzy patrzył przez okno:

— Oni się bawią — powiedział — a potem cała robota spadnie na mnie. Ciekawym, kto je potrafi wszystkie upiec!

Zaludniło się podwórze srokami, krukami i nawet jakiś jastrząb przyleciał, aby wziąć udział w bankiecie i walczyć o resztki. Na każdego gołębia zjedzonego przez nas przypadało ze sto pożartych przez drapieżne ptactwo.

Mineło kilka miesięcy i nadeszła następna zima. Chodziłem po ośnieżonym podwórzu, kiedy zobaczyłem wronę lecącą nisko, tuż nad ziemią i niosącą coś w dziobie. Trafiłem w nią kulą ze śniegu, dobrze ubitą. Wrona wypuściła coś z dzioba i szybko uciekła. Podniosłem z ziemi dziwny przedmiot: gumową ropuchę, zupełnie zamrożoną. Czy to jakaś zabawka? — pomyślałem zaintrygowany. Wróciłem do domu i rzuciłem zabawkę pod łóżko. Popołudnie zeszło mi na cięciu kartonów, papierów kolorowych i pomaganiu w nieustannych zajeciach mego ojca o niewyczerpanych siłach. Nadeszła pora kolacji i usiedliśmy do stołu, aby zjeść mamałygę. Otworzyły się z hałasem drzwi i ukazała się babcia Władysława, błada jak śmierć i wydająca dziwne piski. A za nią zobaczyłem ze zdumieniem wspaniałą ropuchę, skaczącą półmetrowymi skokami krok w krok za babcią. Ojciec wy-

tłumaczył mi, że ropuchy nie zdychają na zimę, tylko zamieniają się w kawałek bezwładnego lodu. Wystarczy przenieść je do domu i ogrzać powoli, aby odzyskały utraconą żywotność.

W celu spędzenia z nami świąt Bożego Narodzenia przyjechał przyjaciel Witka, *gimnazista* z Bielci. Zaledwie przedstawiony rodzinie, od razu zorientował się w stylu moich ulubionych zajęć i zaproponował:

— Pójdziemy na wrony?

Bardzo zainteresowany, poszedłem za nim. Zaczęliśmy przygotowywać rożki z papieru pakunkowego. W głębi umieściliśmy kawałek mięsa, przyczepiony długim kolcem akacji. Wysmarowaliśmy wewnątrz rożka gumą arabską rozpuszczoną w gorącej wodzie i potem rozrzuciliśmy je w miejscach, gdzie przylatywały wrony. Schowaliśmy się za drzwiami, żeby obserwować, co będzie. Z początku wrony, nieufne, siedziały na drzewach kracząc i badając wzrokiem rożki. Nabrawszy zaufania, zleciały z drzew i usiadły na podwórzu. Zbliżyły się ostrożnie, przycupnęły i zaczęły zaglądać do wnętrza lejków z papieru. Patrzaj — musiały myśleć — przecież tu jest mięso! Podniosły głowy, rzuciły podejrzliwie okiem na ewentualnych nieprzyjaciół, potem zdecydowanym gestem włożyły dzioby do rożków. Mięso nie chciało się odczepić, a papier przylepił im się do głowy. Cofały się w tył, wykonując śmieszny taniec i nie odważając się wzlecieć w górę. Ja skręcałem się ze śmiechu za drzwiami.

— Nie ma się co śpieszyć — powiedział gimnazjalista — mają dobrze wsadzone czapki, nie potrafią się ich pozbyć.

Ogłupiałe wrony pozwalały chwycić się rękami. Włożyłem ich osiem do worka i pokazałem triumfalnie tę zdobycz dziadziowi Asłanowi.

— Głuptasie — rzekł. — Ten rodzaj kurczaków nie jest jadalny.

Ale wyszło wszystko inaczej. W tym czasie wszyscy śledzili z przejęciem przebieg wojny. Wołodia, zmobilizowany, przysyłał alarmujące wiadomości, ukrywając je wśród zdań bez znaczenia. Tatuś, przy mojej pomocy, rysował linię frontu w wielkim atlasie, zgodnie z komunikatami dnia. Jak się skończy ta wojna? Kto zwycięży? Przy stole wywiązywały się zażarte dyskusje. Wzbudził wielkie podniecenie list mamusi, pokryty czarnymi skreśleniami cenzury, pod którymi można było odcyfrować: „...ze względu na mój zły stan zdrowia lekarze zmuszają mnie do codziennego jedzenia wron”.

— Zanieś wrony do kuchni — rozkazał ojciec. — Niech je oskubią i upieką na obiad.

Aleksander wyrywał sobie włosy na głowie, był zrozpaczony.

— Widać, że pakują mi na kark wszelkie świństwa. Najpierw stare gołębie, a teraz wrony. A potem będą mówić, że nie umiem gotować. Chyba że je utłukę w móżdżerzu...

— Aleksandrze — rzekła ciocia. — Zrób to, co ci mówię. Oskub je, weź cebryk, daj soli i octu etc. — (Nie pamiętam, co tam jeszcze było w tym przepisie).

— No, zobaczymy — powiedział pan Teofil, siadając do stołu i zawiązując serwetkę pod szyję. — Ciekawym, czy prędko Niemcy przegrają wojnę. Jeżeli wrony okażą się smaczne — to źle, znaczy, że Niemcy jedzą je dla smaku i długo jeszcze będą się trzymać. Jeżeli nie, to znaczy, że jedzą je z głodu, że są już na ostatnich nogach i że zwycięstwo jest bliskie.

Przy stole zapanowało podniecenie. Po zakąskach i wódce — otworzyły się drzwi i wjechały do jadalni dwa półmiski z wronami przyrządzonymi na dziko, w brązowym sosie z kwaśną śmietaną. Okazały się świetne. Ażeby to

odpowiednio podkreślić, profesor Horr dobierał wron dwa razy, mówiąc:

— Wspaniale! Świetne! — i zajadał całą gębą, z zaczerwienionymi policzkami.

— Obrzydliwe! Straszne! — krzyknął mój ojciec chrzestny i bez ceremonii wypłuł na talerz garstkę kości, chlapiąc sosem na obrus.

— Zbywa Niemcom jedzenia! — rzucił profesor Horr jak wyzwanie. — Szukają przysmaków na swoje stoły!

— Ale skąd — zaprotestował mój ojciec chrzestny. — Jeżeli jedzą wrony, to dlatego że już nie starcza im parówek, kiszzonej kapusty ani kartofli. Nie mają już nic!

— Powoli — odezwał się dziadzio Asłan. — Chyba zdajecie sobie sprawę, że wrony, które mogą jeść Niemcy, nie są tak dobre jak nasze. Brak im jednej ważnej przyprawy: rąk naszej Modzi. Bez niej wrony germańskie mają na pewno konsystencję hełmów niemieckich z piorunochronem na szczycie.

Profesor poczerwieniał z oburzenia, położył widelec na podstawce, chciał coś powiedzieć, machając nożem w powietrzu. Ale wszyscy go uprzedzili:

— My zwyciężymy! Na pohybel Niemcom! Hurraaa!

Siedziałem jak na rozżarzonych węglach. Chyba się pobiją. Na kogo mam się rzucić? — myślałem pośpiesznie. — Babcia Władysława była przeciwnikiem podłej kategorii, profesora zaś nie pozwolą mi tknąć, starsi zarezerwują go dla siebie.

— Na to nie mogę się zgodzić — zawył profesor, czerwony ze złości. I dodał tonem wyzwania:

— I czego to nie musiałem wysłuchać w tym domu! Najpierw, że przegrają Niemcy. Potem, że w głowie mają kiszoną kapustę! I że *Kaiser*, którego niech Bóg ma w swej opiece, nosi na głowie piorunochron! Wszystko to zaś mówią mieszkańcy chałupy z gliny i ze słomianą strzechą! *Hoch!* Niech żyją wielcy muzycy niemieccy! Nie jesteście godni, żeby ich słuchać! Nigdy nie dam wam nawet pokosztować Wagnera!

Zapanowało skrepowane milczenie. Masz ci los — pomyślałem. — Nie będzie bójki. Ale co to znaczy wagner? — Przypomniałem sobie sprawę wron i rzuciłem się zdecydowanie na arenę, gotów do walki za naszych. Wrzasnąłem, budząc ogólne zdumienie:

— Ten pana wagner jest zapewne twardszy niż wrony! Na Besarabii mamy lepsze rzeczy do jedzenia!

Wybuch śmiechu zakończył naszą wronią dyskusję.

## Bojum i Kreczun

Dwie malownicze postaci odwiedzały prawie co tydzień naszą kuchnię. Pokazywały się w pozbijanej gwoździami kibitce, ciągniętej przez pełnego parchów chudego muła; nie mając resorów kibitka podskakiwała i trzęsła na nierównościach drogi. Kreczun, jedna z owych postaci, powoził trzymając leżące ze sznurka, ze spoczywającymi na hołoblach nogami. Bojum, jego towarzysz, siedział bokiem na brzegu pudła, z trudem utrzymując równowagę. Na podwórzu przywiązywali muła do płotu i zbliżali się ostrożnie do kuchni, pytając nieśmiało:

— Czy jest *barinia* Modesta?

Czasem otwierały się z trzaskiem drzwi i jak tygrys z klatki wylatywał kucharz Aleksander, potrząsając kociubą w powietrzu i krzycząc:

— Cygany! Żydy! Won stąd!

Widok Aleksandra powodował istną panikę u obu chytrych handlarzy i o nic już nie pytając, znikali jak kamfora. Kiedy indziej, gdy była obecna ciocia Modzia, Aleksander udawał, że ich nie widzi, albo tylko spluwał pogardliwie w ich stronę, nie odważając się jednak nic powiedzieć; obaj bowiem byli bardzo zręczni w wydostawaniu najróżniejszych zleceń od cioci i wciąż mieli jej coś do powiedzenia. Ojciec mówił z ironią, że to są „nadworni dostawcy cioci”.

Kreczun był chytrym rzemieślnikiem, mającym w odwodzie wiele kruczków i podstępnych chwytów. Czarny i wysoki, wyglądał raczej na Cygana niż na Mołdawianina. Jedną z niezliczonych spraw, jakie mu ciocia Modzia powierzała, była naprawa jej bucików, które wciąż potrzebowały zelówek i obcasów. Kreczun, wysłany z czymś, wracał zazwyczaj po tygodniu, opowiadając niestworzone rzeczy o nieprzewidzianych trudnościach, na jakie powierzona mu sprawa natrafiała, co wymagało dobrej zapłaty i sowitego napiwku. W zasadzie jego właściwym zawodem było zdunstwo i kominiarstwo. Wiele razy widziałem go na dachu naszego domu. Wpuszczał wtedy do kominu długi sznur obciążony szczotką i kulą na końcu, przesuwając go w dół i w górę. Zawód ten zetknął go bezpośrednio z ojcem, co omal nie stało się jego zgubą. Zatkął się raz jeden z pieców kaflowych i okazało się, że Kreczun nie zrobił żadnego otworu do czyszczenia licznych wewnętrznych kanałów. Nagabnięty przez ojca, odpowiedział beczelnie:

— Nie taki ja głupi! Żebym był zrobił ten otwór od początku, tobym nie zarobił tego rubla, co pan teraz będzie musiał mi za to zapłacić!

Zakończywszy w ten sposób karierę zduna, gdyż ojciec wyrzucił go na pysk, przedzierzgnął się w „nadwornego dostawcę” *barini* Modesty i mógł pokazywać się tylko w kuchni, gdzie czuł się pewniej pod opieką cioci.

Bojum był, w przeciwieństwie do swego towarzysza, grubym jednookim Żydem, w czarnym, zawsze brudnym chałacie, na którego tle odbijała broda, okalająca czerwoną, spoconą twarz. Często przywoził kawałki mięsa, owinięte w świeże liście łopianu, wędzone ryby, śledzie i inne produkty tego rodzaju. Ale właściwym jego zawodem było kolportowanie sensacyjnych wiadomości, których zawsze byli łasi mieszkańcy odległych i źle skomunikowanych wsi. Serwował je umiejętnie, nadając im walor niecodzienności, i swym jedynym okiem rzucał w międzyczasie uważne spojrzenia na słuchających, aby obserwować wywołane wrażenie i móc przewidzieć prawdopodobieństwo dobrego napiwku. Gdy otaczało go kilka osób ciekawych „najnowszych wiadomości”, chrząkał, przeciągał językiem po wargach i zaczynał ze swadą ulicznego sprzedawcy:

— *Gospoda!* Rzecz to niesłychana, przyszła do Bryczawy już najnowsza wiedeńska moda! To wielki wynalazek! Panie i matki odpoczną: ani igieł, ani nici! Guziki wbija się do ubrania zwyczajnie młotkiem! — I widząc, że któraś baba gębę z podziwu rozdziawia, zwracał się bezpośrednio do niej: — Chce pani, *barinia*, żebym jej tuzin tych wspaniałych guzików przywiózł? — po czym przechodził do wiadomości następnej: — Wiadomości z frontu są niezwykle, ofensywa austriacka rozwija się szybko, Niemcy mają aeroplany! Gdy rosyjscy żołnierze zestrzelili raz niemiecki aeroplan ogniem karabinowym, znaleźli małą nieżywą we wnętrzu tego „gołębia”! Niemcy mają

dużo takich małych oswojonych. Wygrają wojnę! — I korzystając z wrażenia, jakie ta dziwna wiadomość wywarła na obecnych, przeszedł prędko na teren handlowy: — Został wynaleziony niezwykle aparat do nawlekania igieł bez patrzenia w dziurkę! Chce pani, żebym pani przywiózł ze dwa?

Dziś jednak Bojum przywiózł wiadomość naprawdę sensacyjną. Spieszno mu się nią było pochwalić:

— Niemcy wynaleźli sposób robienia chleba z trocin drzewnych! Skończył się już dla nich postrach głodu! Wielki rabin kiszyniowski mówi, że nie ma obawy, aby przegrali. Pobią ruskich! Niemcy wojnę wygrają!

Usłyszał to dziadzio Asłań, który właśnie zsiadał z konia.

— To wszystko kłamstwo! — ryknął basem.

Lecz owego dnia Bojum był w wojowniczym nastroju, nie ułękł się dziadzia, znanego w całej okolicy siłacza:

— Wygrają wojnę! Ja wam wszystkim mówię, że Niemcy wygrają wojnę! — krzyczał histerycznym głosem.

Obecni zaczęli protestować. Dziadzio rzucił się na Bojuma z wyciągniętymi jak szpony rękami, Wańka zamachnął się nahajką, ale gruby Żyd, szybszy od wszystkich, podkasał błyskawicznie chałat aż do kolan i puścił się galopem w stronę swojej kibitki, jakby był młodym żrebakiem.

Do incydentu tego nikt nie przywiązywał wielkiego znaczenia i gdy był komentowany przy stole, wszyscy się śmiali z Bojuma, nawet dziadzio. Ze zdziwieniem więc zobaczyliśmy, że kilka dni później przyjechał *isprawnik* w towarzystwie *uradnika*, żeby przeprowadzić śledztwo. *Uradnik* poślinił koniec ołówka i zaczął zapisywać zeznania obecnych przy owym wydarzeniu osób. Tymczasem u nas w domu, siedząc przed stolikiem z zakąskami i karafeczką wódki, *isprawnik* starał się wytłumaczyć cioci, występującej w obronie „nadwornego dostawcy”, powody swej interwencji:

— *Dorogaja Modesta Nikiforowna!* Niechże pani zrozumie! Nam szczególnie niczego tu nie brak, żywności mamy w bród! Ale nie możemy zapominać, że jest wojna! A... — i wychylił kieliszek jednym haustem. — I front nawet nie jest tak daleko. Musimy dbać o porządek i moralność ludności. Mam ostre instrukcje dotyczące szpiegów, alarmistów i tych, co starają się odebrać ludziom ducha! Któż lepiej jak my, reprezentanci władzy, wie, że Bojum... to nie żaden szpieg! Ja osobiście mam nawet dla niego współczucie! Ale ludność musi wiedzieć, że podczas wojny nie ma żartów, że nasza władza czuwa! O życiu Bojuma to my wiemy więcej, za przeproszeniem, niż pani! Zaraz opowiem ... — i chlup! wychylił następny kieliszek wódki. — Otóż pani na pewno słyszała, że kilka lat temu, w roku 1905, były wielkie rozruchy antyżydowskie w stolicy naszej guberni, w Kiszyniowie. Był to pierwszy autentyczny pogrom. Oburzona na Żydów ludność biła ich pałkami, rzucała w nich kamieniami, zdzierano z nich chałaty, obrywano im pejsy i brody, splądrowano ich sklepy... Tam to Bojum, ciężko pobity, stracił swoje oko... i którąś kłepkę z głowy. Bo on ma fioła: w każdym z naszych widzi wroga, a Niemców uważa za przyjaciół, którzy przyjdą nim i innymi Żydami zaopiekować się i pieniądze im rozdawać! Będziemy dla niego wyrozumiali, ale... — i tu pogroził cioci palcem w powietrzu — niech pani się nie odważy tego nikomu powiedzieć!

## Pierwsza potyczka powietrzna

Od samego początku wojny wypadki na froncie i operacje wojenne były głównym tematem rozmów przy naszym stole. Ojciec prenumerował kilka gazet i nawet jedną polską, „Goniec”, która wychodziła, jeśli mnie pamięć nie myli, w Kijowie. Komentarze do przeczytanych artykułów, opinie własne, życzenia i nadzieje krzyżowały się nad stołem, który czasem, zwłaszcza gdy był obecny profesor Horr, wyglądał jak pole bitwy. „Dobrzy” — byliśmy my, pokojowi mieszkańcy zaatakowanej rosyjskiej ziemi, „źli” zaś byli ci, którzy mówili antypatycznym niemieckim językiem i wyciągali drapieżne ręce, aby okradać nasz kraj. Każdy z obecnych miał coś do powiedzenia, coś przeczytał lub usłyszał — i tak obracano rzadkie zresztą wiadomości na wszystkie sposoby, aby odkryć w nich doraźnie stronę pozytywną, korzystnie naświetlającą sytuację wojsk rosyjskich, albo perspektywę optymistyczną na przyszłość. Obecność profesora Horra lub babci Władysławy wurdziła atmosferę, gdyż byli oni zwolennikami państw centralnych, czyli Austrii i Niemiec. Raz profesor Horr przyłapał nas, chłopców, gdy tańcząc śpiewaliśmy na podwórzu piosenkę, której nauczyli nas gimnazjaliści z Bielc:

*Niemiec, pieriec, kołbasa!  
Siel na łosząd' biez chwosta!  
Siel zadom na pieriod  
I pojechał w ogorod!  
W ogorodzie czerti byli  
Niemcu gołowu skrutili!\**

etc.

Profesor, wściekły, rozpedził nas, okładając laską. Jakubek dostał po głowie i zrozumieliśmy, że to nie żarty, tylko autentyczna agresja państw centralnych. Ponieważ nie było kamieni, zaczęliśmy wyłamywać gałęzie drzew i nie wiem, jak by się to było skończyło, gdyż nieustraszony profesor szarżował na nas potrząsając laską nad głową, gdyby nie był nas rozdzielił dziadzio Aslan, który właśnie nadjechał z odai na swej wołoskiej inochodce.

Pewnego wieczoru do jadalni wszedł ojciec ze wzrokiem utkwionym w złożonej w sześcioro gazecie, którą niósł w ręce:

— Przeczytam wam korespondencję z frontu! — zawołał. — To jest coś niezwykłego!

Zapanowała cisza. Słuchaliśmy z uwagą:

— „...podczas gdy nasi bohaterscy żołnierze korzystali z dobrze za-  
służonej chwili odpoczynku, podczas ciszy, która nastąpiła po wściekłym ataku  
na froncie ukraińskim, usłyszeli jakiś dziwny odgłos, coś jakby brzęk wiel-  
kich owadów. Raptem ukazały się dwa płynące w powietrzu aeroplany. Je-  
den z nich miał oznaki rosyjskie. — Patrzcie na tego drugiego! — zawołał  
jakiś żołnierz o wzroku .rysia. — Ma czarne niemieckie krzyże na skrzyd-  
łach! — Nasz aeroplan był ścigany przez Niemca! Żołnierze porwali kara-  
biny i zaczęli strzelać do wroga. Ale Niemiec wciąż latał, kołował i zawra-

\* *Niemiec... (ros.) — Niemiec, pieprz, kielbasa! / Wsiadł na konia bez ogona! /  
Siadł tyłem do przodu / I pojechał do ogrodu! / A w ogrodzie czarci byli, / Niemcu  
głowę ukręcili!*

cał, wyżej od naszego, nad nim. Aby nie zranić swojego, żołnierze opuścili karabiny i przestali strzelać, czekając na odpowiednią chwilę, kiedy Niemiec się wynurzy. Lecz rosyjski aeroplan wciąż im przesłaniał samolot wroga. Robiąc figury i koziółki, walczące samoloty przesunęły się ponad linię frontu na nieprzyjacielską stronę. Zadrżeli nasi o los swojego: — Niestety! Nie widzisz, że tam Niemcy cię zestrzelą?! — wołali, jakby nasz pilot mógł ich w górze usłyszeć. Aeroplany podlatywały to wyżej, to niżej, kotłowały się niby walczące koguty. Słychać było, jak Niemcy strzelają, aby zestrzelić naszego. Ale stało się coś dziwnego: tam na odmianę niemiecki aeroplan znalazł się niżej i teraz Niemcy nie mogli strzelać do rosyjskiego aparatu. Wszyscy patrzyli z przejęciem na tę niezwykłą walkę w powietrzu. Aeroplany robiły koziółki, lejki, obroty, obaj piloci byli mistrzami w tej trudnej sztuce, ale widać było, że się zawzięli jeden na drugiego i że śmiercią któregoś z nich musiało się to skończyć. Walcząc, aeroplany przekroczyły raz jeszcze linię frontu i znów znalazły się po naszej stronie. — Tym razem nie wywinie się nam ten sęp niemiecki! — zawołali nasi, uradowani, i niektórzy rzucili się na wznak na trawę, aby móc lepiej celować. Znów zagrzmiały strzały, ale nieszkodliwe kule gubiły się gdzieś w niebie. Powoli żołnierze z obu stron frontu przestali strzelać i powychodzili z okopów, aby móc lepiej przyrządzić się tej niezwyklej walce powietrznej. Aeroplany zakreśliły szeroki łuk, zniżyły lot i wylądowały na łące za naszymi okopami, najpierw Niemiec, a potem nasz. Nasi oficerowie rzucili się, wydając rozkazy: — Żywo! Biegiem! Wziąć mi tego Niemca żywego! — wołali. Gdy automobil z żandarmami podjechał blisko aeroplanów, które stały obok siebie, wysiadali właśnie obaj piloci. Zaczęli rozmawiać spokojnie i częstowali się nawzajem papierosami jak dwaj przyjaciele. Podbiegli żandarmi celując z rewolweru do niemieckiego pilota, wołając: — Podдай się! — Niemiec roześmiał się i odpowiedział doskonałym rosyjskim językiem: — To aeroplan sobie bierzcie! Czegoż chcecie ode mnie! — Stało się jasne, że obaj piloci byli Rosjanami. Wzięli jeden samolot niemiecki i jeden rosyjski, ażeby pokazać nową sztukę walki powietrznej i samemu się zabawić. Uścisnęli się jak bracia przed zdębiałymi żandarmami i poszli napić się wódki z kapitanem”.

Gdy ojciec skończył czytać, cisza trwała w jadalni. Byliśmy wszyscy pod wrażeniem opowiadania. Lecz po chwili wybuchła wrzawa:

— To wspaniałe! — wołali jedni.

— Jakżeż to może być prawda, gdyby powiał najłżejszy wiaterek, toby się nie utrzymali w powietrzu! — oponowali inni.

Ale większość, tak tego wieczoru, jak i następnego dnia, orzekła, że to był niezwykle wyczyn i że należy podziwiać inżynierów, którzy takie latające maszyny potrafią skonstruować.

— Gdy będziesz inżynierem — rzekł podnosząc mnie jak piórko z ziemi dziadzio Asłan — zamiast lokomotyw będziesz robił aeroplany! — i podrzucił mnie wysoko pod sufit. Zdawało mi się, że lecę jak ptak.

Ojciec wyciął niezwykle artykuł i przybił go pluskiewką do ściany w jadalni, mówiąc:

— Idą czasy nowe! Zaczyna się era powietrzna, era aeroplanów!

## Patriotyczny kos

W owym czasie mieliśmy kosa w klatce. Był to inteligentny ptaszek, prawdziwie muzykalny, zdolny powtarzać całe frazy muzyczne, a nawet — jak twierdził ojciec — nauczyć się całej melodii. Profesor Horr odwiedzał nas dość często. Zjawiał się po południu, idąc elastycznym krokiem, odmierzanym pedometrycznym zegarkiem, zawieszonym na zewnątrz górnej kieszonki letniej marynarki z chesuczy. Czasem profesor zostawał na kolacji, ale nie cierpiał naszej mamałygi. Lubił natomiast zsiadłe mleko i napełniał nim głęboki talerz. Ku memu zdumieniu posypywał go potem solą, cynamonem, czarnym pieprzem i zjadał ze smakiem. Przyglądałem się, jak manewruje łyżką, niosąc ją do ust ukrytych głęboko między wąsami, bokobrodami i brodą. Gdy przychodził, zawsze zbliżał się do klatki z kosem i uczył go śpiewać hymn austriacki: „Boże, wspieraj, Boże, ochroń nam cesarza i nasz kraj!” Miała to być niespodzianka dla jego przyjaciółki, babci Władysławy. Pewnego dnia, kiedy profesor był pewien, że kos jest już dobrze wyuczony, ptaszek przekrzywił główkę i odpowiedział mu wojskowym marszem rosyjskim. Profesor zdębiał ze zdziwienia i ponownie zaśpiewał hymn austriacki, żeby ptaszka naprowadzić na wymaganą melodię. Ale kos rzucił jakby drwiące spojrzenie na profesora i znów zaśpiewał marsza rosyjskiego.

— Dzo do znadży? — zawołał profesor skonsternowany.

— Nie widzi pan, że to jest kos rosyjski? — wyjaśnił mu dziadzio Asłan. — Jak pan możesz uczyć go hymnu narodu, z którym jesteśmy przecież w stanie wojny?

Profesor spoważniał. Zmarszczył brwi, zastanawiał się głęboko. Podniósł rękę:

— Fieciałem, że gosy do indelikentne ptagi... — wydawało się, że myśli głośno — ale nie fieciałem, że aż tag barco!

— A! — zawołał dziadzio. — W tym rzecz, że rosyjskie kosy są mądrzejsze od austriackich!

— Tag, tag... — przyznał profesor, zrezygnowany. — Do jest brawcify gos batriota!

Widząc, że profesor ogląda się za laską, aby puścić się w drogę, przy akompaniamencie kosa zaśpiewaliśmy wszyscy razem profesorowi na pożegnanie:

*Orużijem na sołnce swierkaja,  
Pod zwuki lichich trubaczrej,  
Po ulicam pyl podnimaja  
Prochodit polk usar-usaczrej! \**

Podczas gdy profesor uciekał swym „pedometrycznym” krokiem, wciągający głowę w ramiona, w stronę bramy wjazdowej, cały dom aż za-trząsał się od śmiechu. Wszystko to było komedią zmontowaną przez dziadzia Asłana, który na zmianę z Muniem poddawał biednego kosa intensywnej nauce rosyjskiego marsza, gdy tylko zamykały się drzwi za profesorem. Tajemnica była dobrze strzeżona i nigdy profesor Horr nie domyślił się pod-

---

\* *Orużijem...* (ros.) — Byskając w słońcu bronią, / Przy muzyce dziarskich trębaczy, / Podnosząc kurz na ulicach / Szedł pułk huzarów wąsaczy!



stępu; tłumaczył potem wszystkim z powagą, jaki to patriotyzm gości w małym serduszkach kosów rosyjskich. Ale przypadek sympatycznego kosa ilustrował tylko wciąż powiększające się napięcie, jakie panowało w naszym domu i powodowało ostre nieraz dyskusje przy stole.

— Gościnny kraj rosyjski — mówił *isprawnik* Brazuł — przyjmował cudzoziemców, którzy nie zawsze umieli być wdzięczni za gościnę.

— Dziadzio Władysławski — tłumaczono mi — był zawsze przeciwny małżeństwu swojej bratanicy, czyli twojej matki, z ojcem. Ale to nie ze względu na ojca, którego on bardzo ceni, tylko z powodu galicyjskiej rodziny. Z winy babci Władysławy dziadzio teraz przestał przyjeżdżać do Skajan.

W miarę jak wojna się rozogniała, rozmowy przy stole stawały się coraz bardziej cierpkie. Zazwyczaj dominował stentorowy głos Władimira Iwanowicza, wielkiego patrioty, który codziennie rozbił „w puch i prach”, przy kieliszku wódki, niebezpiecznych najeźdźców.

— Przecież caryca jest Niemką! — perorowała babcia Władysława, która z całej Rosji uznawała tylko carski dwór. — Ach! To jest święta kobieta i matka! Jak ona biedna cierpi! Ona wcale nie uważa, że Niemcy są tacy źli!

Wybuchaliśmy śmiechem. Zawsze w domu słyszałem, że car był niezdarnym władcą, a caryca zdradzała kraj swojego męża. Babcię, jeżeli tylko nie miała sprzymierzeńców w osobie jakichś nieznajomych, przybyłych z daleka, wnet zakrzykiwano:

— Niech żyje niezwyciężone wojsko rosyjskie! — wołał doktor Włodzimierz, oddając się obfitym libacjom na jego cześć.

Tatiana przyjeżdżała na długie u nas pobyty, jak zawsze. Często brała udział w tych hałaśliwych dyskusjach przy stole. Razem z ojcem i wujem Teofilem uważała, że powody wojny były też inne, że nie chodzi przecież tylko o to, iż jedni są Niemcami, a inni Rosjanami, lecz że oba narody są wciągnięte do krwawej walki przez domy rządzące i przez arystokrację. To caryca była najgorsza ze wszystkich.

Podczas rozmowy wszyscy gestykulowali i palili. Pokój był pełen dymu, mimo więc mojej ciekawości nieraz byłem zmuszony wychodzić, tak czy mi łzawiły i w gardle piekło. Natomiast Tatiana, choć sama nie paliła, dyskutowała z ożywieniem, nie czując dymu.

Pewnego dnia, gdy wpadłem po coś do salonu, zobaczyłem Tatianę zwinętą w kłębek w dużym pluszowym fotelu. Podniosła na mnie zapłakane oczy i usłyszałem łkanie.

— Tatiana! *Dorogaja* Tatiana! Co ci jest? — zawołałem przejęty.

Tatiana objęła mnie ramieniem i ucałowała.

— Och, Stasik!... — westchnęła. — Kocham cię... Jaka jestem nieszczęśliwa! — po czym obróciła się do mnie plecami i zaczęła szlochać ponownie. Wyszedłem zmieszany.

— Idź w głąb ogrodu! — powiedział mi dziadzio Asłan. — Tam gdzie rośnie jarząz! Tam się dowiesz, czemu Tatiana płacze.

Wyszedłem z domu zaintrygowany, przebiegłem przez park i znalazłem się w warzywnym ogrodzie. Byłem boso i biegłem na przelaj, czując pod stopami rozkoszną pieszczotę gładkiego jak aksamit czarnoziemiu. Raptem podskoczyłem i wrzasnąłem z bólu. Co to było? Gałąź kolczastej akacji? Jeszcze silniej niż ja wrzasnęła nadepnęta kotka Marusza, wbijając mi pazury w nogę. Przystanąłem, jęcząc, chwyciwszy się za stopę. Zacząłem nasłuchiwać... Nic. Nade mną wznosiło się szafirowe niebo, na którym odcinały się

kontrastowo gałęzie drzew... płynęła spokojnie biała chmurka... Nic. Pano-  
wała cisza. Dochodziły odgłosy pobliskiej wsi... Ogarnęło mnie wrażenie  
spokoju i bezpieczeństwa.

Nagle usłyszałem jakiś daleki, głuchy huk. Raz... potem drugi... trzeci,  
w małych odstępach. Wyglądało to na dalekie grzmoty... ale przy takim nie-  
bie burzy być nie mogło...

— Dziadziu, co to jest? — zapytałem dziadzia Asłana, który nadszedł  
za mną. Otrzymałem odpowiedź, która zmroziła mi krew w żyłach:

— Armaty niemieckie! Przerwali front i walą na Besarabię! Niech Bóg  
nas ma w swojej opiece!

### Deportacja profesora Horra

W jakieś dwa lata po rozpoczęciu wojny nadeszły alarmujące wieści do-  
tyczące losu zamieszkałych w Rosji obywateli krajów nieprzyjacielskich.

— Tatusiu, kto to są ci obywatele nieprzyjacielscy?

— No, tutaj nie ma ich dużo — odpowiedział ojciec — tylko profesor  
Horr i twoja babcia Władysława.

Na razie nic się nie działo. Sprawa wydawała się zapomniana. Ale w kil-  
ka miesięcy później, kiedy Austriacy i Niemcy przerwali rosyjski front  
i wdarli się na żyzne ziemie ukraińskie, rząd przedsięwziął nowe środki  
ostrożności. *Isprawnik*, który tak jak wielu Rosjan umiał pogodzić respekt dla  
rozporządzeń oficjalnych z dobrym ludzkim sercem, przyjechał do Tyrnowa,  
aby zobaczyć się z profesorem Horrem.

— Proszę pana — powiedział — wszyscy wiemy, że jest pan wielkim ar-  
tystą i porządnym człowiekiem. Niestety jest pan Austriakiem. *Czort wozmi!*  
Teraz mamy surowe nakazy deportowania was wszystkich aż na Ural. Ja  
słyszałem, jak pan grał *Dubinuszkę* i nie mogę sobie wyobrazić, żeby pan  
był naszym wrogiem. Musi mi pan podpisać list mniej więcej tej treści: „Nie  
uważam się za moralnie zaangażowanego po stronie Austrii ani potęg cen-  
tralnych. Mieszkam w Rosji, gdzie mam wielu przyjaciół. Deklaruję się lo-  
jalnie po stronie Rosji w tym konflikcie wojennym i proszę, żeby mnie uwa-  
żano za wdzięcznego gościa tego wielkiego kraju, który ofiarował mi swoją  
gościnność”.

Kiedy profesor Horr wysłuchał tej propozycji, podniósł się z krzesła,  
oburzony, z nabrzmiałymi na szyi żyłami:

— Nie, nie i nie! Jestem Austriakiem! Byłem uczniem słynnego kompo-  
zytora Liszta! Jemu zaprzysięgłem lojalność! Pragnę zwycięstwa monarchii  
austro-węgierskiej i nie podpiszę nic z tego, co pan chce na mnie wymusić!

*Isprawnik* Brazul zbladł ze złości.

— Jak to? — krzyknął wielkim głosem. — Ja panu robię łaskę, jak ni-  
komu innemu, a pan mi tu wychodzi z idiotyzmami, których nie chcę na-  
wet słuchać? Nie chcę pana znać! Może mnie pan prosić, pełzać po moim  
biurze na kolanach, nie zmiękczy pan mojego serca! Zaraz jutro wyjedzie  
pan stąd pod policyjną eskortą!

I wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Wylecieli za nim ojciec i wuj. Ale wszel-  
kie błagania na nic się zdały. Brazul był twardy jak kamień. Był gotów wy-  
świadczać wszystkim uprzejmości, ale nie temu muzykantowi, który pragnął  
zwycięstwa Niemców. Co to, to nie!

Następnego dnia profesor Horr, niosąc w każdej ręce po walizce, wsiadł do pociągu w towarzystwie policjanta. Żałowaliśmy go wszyscy. Skończyły się wspaniałe koncerty i królewski *rojał*, zwany Hebanem, zamilkł na zawsze. Wszyscy powtarzali: „Biedny Horr, jakże musi teraz cierpieć jako deportowany!”

Minęło wiele dni. Po kilku miesiącach nadszedł wreszcie oczekiwany list od profesora Horra, który był w Ufie. Opisywał szczegółowo swoją nową sytuację. Ufa była dalekim miastem na Uralu, wtedy jeszcze małym, ale miała własne życie intelektualne i artystyczne. Profesor wynajął pokój w domu nauczyciela, właściciela doskonałego fortepianu. Wkrótce rozeszła się wiadomość, że do Ufy przybył uczeń słynnego Liszta. Matki walczyły o lekcje dla swoich dzieci, nie zważając na koszty. Profesor skarżył się na niewygodne łóżko, ale był zajęty przez cały dzień i mógł żyć swobodnie, według upodobań.

Tak więc, dzięki szczęśliwej gwieździe i dobroci ludzkiej „wygnaniec” znalazł w dalekim mieście rosyjskim uczciwą pracę i środki do życia, mimo zaciętości i uporu, które go doprowadziły do tej smutnej sytuacji.

### Przyjaciele Tolstoja

Oprócz Tatiany odwiedzał nas od czasu do czasu starszy pan z siwymi włosami i wąsami, w szerokich lnianych spodniach, które zwisały luźno na jego długich, kościstych nogach. Palił niezliczoną ilość papierosów podczas długich nocnych rozmów albo też, pogrążony w myślach, puszczał kółka dymu w ciężkim powietrzu swojego pokoju. Był to bliski przyjaciel Tolstoja i przywoził wiadomości z kręgu intelektualnego życia w Jasnej Polanie, a po śmierci Tolstoja od grupy jego następców i kontynuatorów. Mnie traktował serdecznie, a ja, mimo że go nazywałem „Suchym”, czułem do niego żywą sympatię. Starłem się go zaciągnąć w pola i na odaye, żeby wziął udział w moich gonitwach i zabawach, ale na próżno. Wolał chodzić po wsi, obserwując chłopów i domy. Często służyłem mu za tłumacza, przekładając pytania, jakie stawiał chłopom, gdyż on sam nie umiał po mołdawsku: ile mieli ziemi, czy był ktoś chory u nich w domu, co jedli itd.

Wojna rozwijała się niepomysłnie dla naszych. Po strachu, jaki padł na spokojne i pewne — zdawałoby się — rosyjskie porty na Morzu Czarnym, kiedy je zbombardowały niespodziewanie krążowniki niemieckie Goeben i Breslau, nadeszła wiadomość jeszcze gorsza: Turcy zamknęli Dardanele. Odessa została odcięta od reszty świata i zboże Besarabskie gromadziło się w oczekiwaniu na jakiś cud, który nie nadchodził. Żyzna ziemia Besarabii dawała dalej olbrzymie plony, rezultat wiecznego urodzaju. Spadły ceny, które już nie pokrywały nawet kosztów robocizny. Nie wiadomo było, czy lepiej siał dalej, czy też zostawić pola odłogiem...

Pewnego razu, gdy już spałem, posłyszałem głosy dochodzące z salonu. Zdziwiony, wstałem i wszedłem do pokoju, oświetlonego szarym światłem świtu. Było tu wiele osób, które gestykulując i paląc, dyskutowały gorąco. Usłyszałem, jak jakiś pan powiedział:

— Zresztą nie można dalej tak ciągnąć! Nurzamy się w zdradzie i zgniźnie!

— Dwór carski jest pełen zdrajców! — wykrzyknął ktoś inny. — Żołnierze nasi giną na darmo.

— Trzeba, żeby młode i żywotne siły narodu wzięły w swe ręce losy kraju!

— Przede wszystkim trzeba rozdzielić ziemię wielkich właścicieli między chłopów! — krzyknął wielkim głosem „Suchy”. — Mistrz, gdyby żył, tego właśnie by żądał.

W zadymionym pokoju brakowało powietrza. Oczy zaczęły mnie piec i chwycił mnie silny kaszel. Dopiero wtedy zwrócono na mnie uwagę.

— Przestań kaszleć! — zawołał student Kola. — Tym nowym powietrzem będziesz musiał oddychać przez całe życie, choćbyś nie chciał.

— Tak, tak — dodał „Suchy”. — W tym powietrzu jest przyszłość Rosji.

— Mistrz nie zgodziłby się na to! — zawołał jakiś blondyn. — Wy tylko umiecie gadać. Tołstoj chciał czynów.

— Tatusiu, chciałbym zobaczyć tego „tłustego” hrabiego — poprosiłem ojca, rozmawiającego z Tatianą.

— Umarł już — odpowiedział ojciec, kładąc palec na ustach i nakazując mi milczenie.

Kiedy indziej „Suchy” opowiedział mi historię hrabiego Tołstoja i dodał:

— Pewnego dnia Tołstoj zniknął z Jasnej Polany, a także jego lekarz, doktor Makowicki, którego znać. Rodzina i uczniowie rozbiegli się po okolicy, szukając go wszędzie. Gdzie mógł pójść? Rozpytywali wszyscy daremnie. Parę dni później rozeszła się wieść, że odwiedził Monastyr Czarmadyński, kierując się ku Besarabii, być może do was, do Skajan. Na olbrzymim terytorium rosyjskim niewiele było środków lokomocji. Zmęczony i chory, zatrzymał się w Astapowie, gdzie zmarł dwudziestego listopada tysiąc dziewięćset dziesiątego roku na zapalenie płuc, leczony i pilnowany do ostatniej chwili przez swego oddanego przyjaciela Makowickiego.

„Suchy” znał także Tatianę, krewną Tołstoja, która do nas przyjeżdżała, a której nie należy mylić z córką Tołstoja o tym samym imieniu, później mieszkającą za granicą. Znał także „Suchy” mego dziadka, Stefana Makowieckiego z Michałówki. Kiedyś przedstawił nam urzędnika z Petersburga o tym samym co nasze nazwisku; dorzucił on pewne dane do drzewa genealogicznego naszej rodziny, o które dbał dziadek Stefan, sumienny botanik, stale podlewając je atramentem, w nadziei, że nabierze ono większej bujności.

Po rewolucji straciliśmy z oczu tych wszystkich przyjaciół. Ale wspomnienie Tatiany nie opuściło mnie nigdy. Nieraz pytałem o jej losy. Ojciec twierdził, że znalazła się w szeregach rewolucjonistów, gdyż jej poglądy zgadzały się z ideami, jakie wówczas wzięły górę w Rosji. Inni mówili, że uczyniła tylko pierwszy krok w tym kierunku, nie odważywszy się podjąć całego ciężaru konsekwencji tej ideologii. Nigdy więcej nie słyszałem o niej, ale chciałem wierzyć, że żyje i że jest szczęśliwa.

### Podboje aptekarza

Gustaw, aptekarz z Tyrnowa, miał blond włosy, był szczupły i wysoki. Kiedy przyjeżdżał do Skajan, nasze oswojone wiewiórki myliły go z postumentem na doniczki z roślinami i gdy tylko się pokazywał, wspinały się na niego, czepiając się pazurkami ubrania. Biedny pan Gustaw nie odważał

się ich odpędzać, by nas nie pogniewać, i znosił zadrapania ich ostrych łapek bez protestu. Kiedy wdrapowały mu się na głowę, jego nerwy jednak nie wytrzymały i padał na fotel, gwałtownie się otrząsając. Ja pękałem ze śmiechu, tarzając się po dywanie. Ojciec mówił:

— Czy pan sobie posypuje mielonymi migdałami głowę?

— Cóż za pomysł! — odpowiadał aptekarz oburzony.

— No to widocznie kwestia urody. To są samiczki. Zakochały się w panu!

Któregoś dnia pojechaliśmy z Griszą do Tyrnowa. Kazano nam zostać z synem aptekarza, Witkiem, całe popołudnie w aptece, aby zawiadomić w razie potrzeby aptekarza, który grał w domu obok w taroka. W aptece było wiele interesujących drobiazgów: słoiki, pudełka i szuflady z minerałami lub ziołami, z chemikaliami itp. Oglądałem to wszystko z wielkim zainteresowaniem. Grisza zawołał nas:

— Zrobimy kawał panu Gustawowi!

W aptece były trzy kotki: matka, burego koloru, i dwie córki, zupełnie do niej podobne. Zamknęliśmy je w jednej z szafek. Potem Grisza otworzył jakąś szufladę i wziął garść mielonych liści ze słoika z napisem „waleriana”. Zaledwie zdążyliśmy zamknąć szufladę, kiedy wszedł aptekarz. Miał w ręce talię kart do taroka, tak wielkich, że wyglądały jak wachlarz, i odezwał się do nas wesoło:

— Jak się macie, chłopcy? W co się bawicie?

Pokazałem mu jakąś pigułkę na ziemi i schylił się, żeby ją podnieść. W tym momencie Grisza rzucił mu nieznacznie trochę waleriany na głowę, ja zaś wypuściłem kotki. Wyszły spokojnie, podnosząc ogony do góry, miaucząc i rozglądając się wokół. Zaczęły się kręcić koło pana Gustawa, ocierając się o jego nogi. Nagle jedna z kotek podniosła pyszczek do góry i jednym skokiem znalazła się na jego ramionach, zanim zdążył sobie zdać z tego sprawę. Pozostałe dwie, jak przyciągnięte magnesem, zrobiły to samo i zaczęły ocierać się mu o włosy. Pan Gustaw złapał się za głowę, wydając rozpaczliwe piski. Starał się zrzucić z siebie dokuczliwe zwierzęta, ale nie było na to sposobu. Każda z kotek, zrzucona energicznym gestem, podskakiwała na podłodze i wracała na ramiona pana Gustawa, starając się usiąść mu na głowie. Usłyszawszy hałaśliwą kakofonię naszych śmiechów, kocich miauczeń i krzyków pana Gustawa, nadbiegli mój ojciec chrzestny, ojciec i inni. Zdumieni patrzyli na kotki wczepione we włosy aptekarza. Tatuś roześmiał się i wykrzyknął:

— Gustawie, jest pan niebezpiecznym donżuanem! Rozkochuje pan nie tylko wiewiórki, ale także i kotki?!

Ogarnięty histerycznym śmiechem, nie byłem zdolny odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytanie. Grisza schował się pod ladą i wszystkie kolby i probówki dzwoniły w rytm jego śmiechu.

— Gustawie — mówił dalej ojciec ubawiony — jeśli nie da pan całusa swoim kochankom, nie dadzą panu spokoju!

Kotki pieściły dalej aptekarza, liżąc mu twarz. Otworzyły się drzwi od ulicy i weszli jacyś klienci. Stanęli zdumieni.

Doktor Władimir Iwanowicz wyprostował się z wyrazem niezadowolenia. Miał na sobie zielony mundur lekarza urzędowego, okrągłą czapkę z czarnym lakierowanym daszkiem i srebrnym bączkiem na przodzie. Ze zmarszczonym czołem i twarzą czerwoną z gniewu, krzyknął wściekły:

— Co to jest? Apteka rządowa czy zwyczajny burdel? Proszę natychmiast załatwić tych chorych zamiast odstawiać pajaca!

Strach wstrzymał nasz śmiech. Aptekarz uciekł, goniony przez kotki, zostawiając za sobą uchylone drzwi na podwórze. Doktor zamknął je jednym kopnięciem. Następnie sam załatwił chorych. Ojciec spytał mnie:

— Słuchaj, co tu się stało?

— Ja... ja nie wiem.

— Jak to nie wiesz? — krzyknął ojciec poirytowany. — Czy nie byłeś tutaj od początku? Coś przecież musiałeś widzieć, gadać!

Rzuciłem okiem na ladę. Grisza zniknął. Uważając moment za odpowiedni, szepnąłem ojcu do ucha:

— Waleriana!

Przy wieczornej mamałdze ojciec komentował niezwykle zajęcie:

— Aptekarz posypuje sobie głowę walerianą, żeby ładnie pachnieć. Biedak zdobył aż trzy kotki! Cha, cha, cha!

— Cha, cha, cha! — zaśmiali się obecni.

— Tatusiu! — zawołałem niecierpliwie. — Co to jest burdel?

Zrobiła się cisza, jakby mróz zwarzył ogólną wesołość. Wszyscy zeszywnieli i patrzyli na mnie w dziwny sposób. Babcia Władysława, błada z oburzenia, wykrzyknęła:

— Matko Najświętsza, a któż to nauczył dziecko tych nieprzyzwoitości?!

Skamieniałem. A cóż to takiego było, ten burdel? Dziadzio Aslan podniósł się ze złowrobną twarzą:

— Chodź tutaj. — I biorąc mnie za rękę, wytłumaczył obecnym: — Spiorę mu dupę i wybije mu takie myśli z głowy.

Przestraszony uczepliłem się drzwi. Ale... wobec potężnego dziadka czułem się jak mysz wobec słonia. Pociągnął mnie w głąb sieni i daleko już od jadalni uśmiechnął się, żeby dodać mi odwagi i położył palec na ustach porozumiewawczym gestem:

— Sza! Nic się nie bój! Na przyszły tydzień pojedziemy do Bryczawy i pokażę ci, co to jest burdel. Ale uwaga! Ani słowa tej austriackiej bigotce!

## Pierścionki wolności

Po upływie jakiegoś czasu władze wojskowe przysłały nam drugą i trzecią grupę jeńców. Ich wygląd był bardziej zwyczajny niż poprzednich, nosili bowiem szynele rosyjskie, żeby uchronić się od zimna. Byli to cieśle, kowale, ślusarze i w ogóle rzemieślnicy. Pewien jeńiec, ślusarz, wymyślił sposób, żeby sobie zarobić parę rubli poza żołdem, jaki mu wypłacano. Przywiózł sztabę białego metalu, zwanego aluminium (wówczas była to wielka nowość), i przerabiał ją na pierścionki. Minęły już trzy lata od wybuchu wojny, nadszedł rok 1917. Zaczęły krążyć nowe idee, naświatlające w nie znany dotychczas sposób sprawy godności ludzkiej i wolności. Gdy car przestał być głową narodu, arystokracja utraciła swą przewagę i wszyscy staliśmy się równi. Upadek cara został przyspieszony przez carycę, z pochodzenia Niemkę, i — jak mówiono — przez jej przyjaźń z mnichem Rasputinem, która oburzała głęboko wielu Besarabian. Do tego dodać należało niezadowolenie spowodowane nieumiejętnym i niedbałym sposobem prowadzenia wojny. Wieści o ludowej rewolucji w Piotrogradzie i w Moskwie spotykały się więc z sympatią w naszym i w wielu innych domach.

Ślusarz wykorzystał ten moment, aby lansować pierścionki. Ozdabiał je inkrustowaną blaszką miedzianą, na której było wyryte słowo *sloboda*.

— Co to znaczy *sloboda*? — zapytałem pewnego razu, sylabizując napis wyryty alfabetem łacińskim.

Ojciec zaraz mi to wytłumaczył:

— To słowo po słowacku znaczy wolność; jest symbolem nowych czasów i upadku dotychczasowego reżimu.

Pierścionki wolności stały się bardzo popularne i wszyscy je nosili, dzieci, kobiety i dziewczęta. Zachowałem swój pierścionek przez wiele lat, jako pamiątkę owych czasów, i dopiero znacznie później zgubiłem go w śniegu w Tatrach.

# REWOLUCJA





## Revolucja

Od lat już wszyscy rozsądni ludzie wiedzieli, że nadchodzi czas poważnych zmian w naszym kraju. Pierwszą, uroczą zwiastunką nowych idei napływających z szerszego niż nasz świata, była Tatiana, krewna Tołstoja. Gdy wybuchła wojna, wydawało się jednak, że problemy z nią związane siłą rzeczy przesłonią na razie wewnętrzne sprawy społeczno-polityczne. Po pierwszych zwycięstwach armia rosyjska zaczęła doznawać coraz częstszych porażek i ciężkich strat; front wciąż się cofał. Naturalne niezadowolenie ludności wybuchło w otwartych krytykach i wiele ludzi widziało ratunek w zmianie ustroju i struktury władzy. Tymczasem Niemcy posuwali się szybko naprzód i fala przerażenia dotarła aż do Besarabii. Czy wkroczą tu Niemcy? Wszyscy się tego bali.

— Prosta rzecz! — zawołał dziadzio Aślan uderzając pięścią w stół. — Tak Niemcy, jak i Austriacy zdychają z głodu i marzą, żeby móc się dostać do naszych stodół besarabskich. Ale u nas żarcia jest tyle, że jak zaczną żreć, to prędzej pękną, niż skończą się nasze zapasy!

Niemcy nie zdołali jednak nigdy postawić nogi na besarabskiej ziemi. Stało się coś całkiem innego. Pewnego dnia przestał działać telefon, poczta, stanęły pociągi. Zostaliśmy całkiem odcięci od reszty kraju, bez gazet, bez listów, bez wiadomości. Rychło stał się wiadomy powód tego paraliżu: wybuchła rewolucja! Utworzył się nowy rząd, car przestał być carem i powstawały wszędzie rady żołnierzy, robotników, chłopów. Ale w naszej okolicy nic się nie zmieniło, cara i tak tutaj nigdy nie widzieliśmy, *urządnik* zaś dalej był *urządnikiem*, pop dalej śpiewał swoje modlitwy w cerkwi, a każdy z nas zajmował się swą zwykłą codzienną pracą. Gdzież więc odbywała się ta rewolucja?

— W wielkich miastach! — powiedział ojciec. — W Odessie, w Kijowie, w Moskwie. Niedługo dowiemy się, co się dzieje!

Spokój, który panował w Skajanach, był jednak złudny. W rzeczywistości trzeszczały zmruszałe zręby wielowiekowej budowli państwowej.

Cyganie chwyтали swoim wrażliwym instynktem lepiej niż ktokolwiek symptomy zbliżającego się olbrzymiego trzęsienia ziemi. Jak jaskółki opuszczają okap mającego się zawalić dachu, tak oni uciekali z głębi Rosji, by uniknąć katastrofy. Wielkimi bandami przenosili się do tych guberni, gdzie spodziewali się znaleźć jeszcze dawne życie, obszarników zdolnych podarować sto rubli utalentowanemu skrzypkowi, a drugą sturubłówką zwiniętą w trąbkę zapalać papierosy towarzyszków popijawy. Zaczęła się więc u nas inwazja Cyganów. Rozbijali namioty, gdzie im było wygodnie, w tych miejscach, gdzie dawniej było to zabronione. Teraz nikt już ich stamtąd nie rugował. Pierwsza część rewolucji zachowała się więc w moim wspomnieniu jako szereg zabaw i tańców — organizowanych przez Cyganów w celu zbierania kopiejek na talerzyk — w których brała udział miejscowa młodzież, zawsze chętna do tańczenia narodowej mołdawskiej *dojny*. Kto po raz pierwszy zobaczyłby tych Cyganów, mógłby się przerazić; byli rozczochrani, brudni, w nieprawdopodobnych łachmanach, w wysokich, zawsze zabłoconych butach. W twarzach obrośniętych szczeciniastą brodą i wąsami, nieznającymi nożyczek, pod zmierzwionymi włosami błyszczała para sprytnych oczu. Lecz gdy brali *wioary* do rąk, przemieniali się w subtelnych i pełnych temperamentu artystów, mistrzów w wykonywaniu z sercem i ogniem rosyjskiej lub mołdawskiej muzyki, zwanej w innych krajach „cygańską”. Przystawało

się dostrzegać niechlujstwo tych ludzi; niezwykle talent wydawał się oblekać ich szlachectwem wielkich mistrzów sztuki. Słuchając ich, nikt nie mógł pozostać obojętnym: jedni tańczyli, inni milczeli, pogrążeni w myślach.

— To nie jest muzyka koncertowa — mawiał ojciec. — Ale jest to muzyka ludzka, prawdziwa!

Pewnego dnia pozwolono mi wziąć udział w nocnej wieczornicy na łące. Na środku paliło się ognisko, rzucając czerwony odbłask na zebranych. Starsi siedzieli na trawie, z rękami skrzyżowanymi na kolanach, podczas gdy młodzi z zapalem tańczyli żoka. Ojciec chciał zrobić fotografię, ale bez magnezji, która znikła z bryczawskich sklepów, było to niemożliwe. Zamawiał więc Cyganów i tancerzy na następny dzień rano. Od czasu do czasu przyłączałem się do młodych i tańczyłem dojrę z dziewczętami w moim wieku — aż do upadłego. Gdy nadchodziła godzina powrotu do domu, ojciec musiał uciekać się do gróźb, aby zmusić mnie do opuszczenia klepiska. Raz pokazali się Cyganie umiejący grać syrbę. Wszystkich zachwycała ta muzyka błyskotliwa, porywająca, dynamiczna, nawet umarłego zdolna ożywić swym rytmem. Siedli teraz młodzi, a wyszli starzy, gdyż nie każdy potrafił tańczyć dawną syrbę. Rozpętał się taneczny szal, dudniły stopy po ziemi, fruwały w dymie ogniska naszyte poprzecznymi pasami spódnice. Porwani ogólnym zapalem, Cyganie dokazywali cudów; ślizgały się smyczki po strunach, wydobywając z wioary kaskady elektryzujących dźwięków. Muzykanci grali z błyszczącymi jak karbunkuły oczami, z zaciśniętymi konwulsyjnie wargami, nie widząc nic poza skrzypcami, w stanie jakiejś muzycznej hipnozy. Wreszcie, kiedy tańczący popadali ze znużenia na trawę, kiedy przygasło ognisko, kiedy obolałe ręce smyczków już utrzymać nie mogły, kiedy na zdyszane i falujące piersi spadła cisza gwiazdzistej nocy, wtedy dopiero zdołał ojciec zabrać mnie do domu.

Tymczasem poza naszym ciasnym horyzontem lokalnym rozgrywały się ważne wypadki, których echa rzadko dochodziły do Skajan — małej wioski. Zdezorganizował się front wojenny na całej swej ogromnej długości; rozluźniała się dyscyplina wojskowa, żołnierze rzucali broń i wracali do swych domów. Oficerowie, szlacheckiego pochodzenia, zrywali epolety i gwiazdki, aby ukryć swą rangę, i również puszczali się do domu lub szli pod komendę carskich generałów, zbierających ochotników dla obrony dawnego reżymu. Zaroily się drogi idącymi gdzieś ludźmi niewiadomego pochodzenia; jedni prosili o strawę, inni spoglądali groźnie spođe łba, siejąc wokół trwogę.

W Bryczawie z nadejściem nocy kupcy zaryglowywali opróżnione z towarów sklepy. Mówiło się o bandach maruderów, a nawet o bandyckich napadach. Brak gazet powodował obfity zalew rozmaitych pogłosek, kolportowanych przeważnie przez bryczawskich sklepikarzy. Pewnego dnia zobaczyłem na ladzie sklepowej jakiś nowy dziennik: „Raboczij Put”. „Rosyjska Robotnicza Partia Socjaldemokratyczna...” — odczytałem, otoczony przez grupę Żydów. „Chcemy pokoju! Chleba! Ziemi!” — głosił wielki tytuł. A dalej: „Cała władza dla rad robotników, żołnierzy i chłopów”. Dziennik nosił datę 7 listopada 1917, a więc nie był już najświeższej daty. Spojrzałem ze zdziwieniem na wystraszone twarze Żydów.

— A teraz co? — rzucił jeden z nich.

— Teraz? Wszystkich nas wykończą! — westchnął drugi.

Podniósł się chór płaczliwych głosów. Nie mogłem zrozumieć, o co im chodziło. Co było powodem tego alarmu? Robotnicy? Wielu ich krążyło w naszej okolicy, czemu by się ich bać? Chłopi? Byli moimi przyjaciółmi, w każdej chwili czułem się jak w domu. Wsiadłem na konia, wzruszając ramionami.

## Opętane koty

Pewnego dnia przyjechał do nas Witia z wizytą. Ze względu na odległość, drogi często nie do przebycia i obyczaje besarabskie, do których należała wielka gościnność, przyjeżdżający z wizytą gość mógł równie dobrze pozostać godzinę, jak tydzień lub miesiąc. Witia kręcił się po domu; nie umiał robić nic pożytecznego. Kiedy brał do ręki nóż, ucinął sobie palec. Jeżeli piłkę, kaleczył rękę.

— Jedyne narzędzie, jakim umie się posługiwać — mówił tatuś — to łyżka!

Witia przypominał mi psa Riabczika. Jego zmęczony krok i przygarbione plecy wskazywały na łatwość, z jaką wyrzekał się z góry jakiejkolwiek akcji. Ale za to Witia miał oryginalne idee i dziwaczne pomysły. Zobaczył kiedyś dwa koty w pokoju babci Władysławy.

— Hu, hu, hu! — zaśmiał się. — Jak możecie ścierpieć tyle kotów? Ja także musiałem znosić kotki mojej babci. Żywiły się najlepszymi smakołykami ze spiżarni, zżerały najsmaczniejszą słoninę wędzoną, podczas kiedy babka dawała mi podłą „wasserzupkę”. Opanowała mnie straszna zazdrość i wściekłość. Zacząłem rozdawać kotom kopniaki, w nadziei że sobie pójda do diabła. Raz przywiązałem sobie na brzuchu tace z uchwytami i położyłem na niej kotkę pod pokrywą od maszyny do szycia. Chwyciwszy za wystający ogon, zacząłem kręcić nim, jakby to była katarynka. Kotka piszczała przeraźliwie, co nadzwyczaj radowało moje uszy. Ale babka, oburzona do głębi, zagroziła mi: — „Wydziedzicę cię, ty przekłety!” — Wreszcie przyjechał Grisza, mój przyjaciel z Odessy — kontynuował Witia swoją opowieść. — „Głupi jesteś — powiedział mi — nie męcz kotów, nic tym nie zyskasz. Trzeba wymyślić coś innego. Jeżeli twój własny rozum nie może ci pomóc w tej skomplikowanej sytuacji rodzinnej, masz mnie na swoje usługi, mnie, wielkiego Griszę, znane go na całym moście sewastopolskim. Ja cię uwolnię od kociego koszmaru. Słowo marynarza czarnomorskiego!” — Grisza miał rację: to był dla mnie koszmar koci... — mówił dalej Witia. — Koty wlażyły mi na stół, sadowiły się na ramionach, jadły z mojego talerza i wypychały mi ogony do ust. Ja nie odważyłem się protestować, żeby mnie babka nie wydziedziczyła. Ale Grisza obiecał mi pomoc, wyzwolić mnie jakoś. — „Grisza, kochany Grisza! — zawołałem. — Zrobisz, co każesz, tylko zabierz mi te koty z domu; ale tak, żeby mnie nie wydziedziczono!” — Grisza wziął sprawę w swoje ręce, po męsku, jak prawdziwy kapitan okrętu. Nie tolerował wahania ani odmowy z mojej strony. Musiałem słuchać i wykonywać natychmiast jego rozkazy. Poprosił o różne przedmioty i rozpoczął przygotowania. Podśluchiwałem pod zamkniętymi drzwiami; słychać było głośnie słowa Griszy, zdawało mi się, że odmawiał modlitwy jak w cerkwi: — „*Hospody pomyluj, swiatyj Kiril! Hospody pomyluj!*” — Słuchałem osłupiały. Potem rozległy się trzaskania z bicia i dzikie miauczenia. Próby te trwały ze dwa tygodnie. Grisza odpowiadał na moje niezliczone pytania niezmiennie to samo: — „Spokojnie! Poczekaj, zobaczysz!” — Ostatniego dnia przed końcem urlopu Grisza powiedział do mojej babki przypochlebnym tonem: — „Czcigodna i droga babciu! Moje wakacje w babci gościnny domu były dla mnie niezwykle przyjemne i pożyteczne. Jestem jej niepomierzenie wdzięczny. Wyjechałbym szczęśliwy, gdyby nie...” — „Gdyby nie co?” — spytała babcia ze zdziwieniem. — „Zaledwie ośmielałem się to powiedzieć. Ale szacunek, jaki żywię dla babci, nie pozwala mi ukry-

wać tego, co dzieje się w jej domu". — „Co? Cóż to takiego?” — spytała babcia, zaalarmowana. — „No cóż... W tym świętym domu, gdzie wszyscy tak szanują obowiązki religijne, żyje pomiot diabelski!” — „Diabelski?! — wykrzyknęła babcia histerycznym głosem. — Czy dobrze słyszałam? Gdzież te diabły? To straszne!” — „Diabelskie dusze mieszkają w ciałach babcinych kotów” — powiedział Grisza uroczyście. Babka popatrzyła z niedowierzaniem i znacznie się uspokoiła. — „Słuchaj, jeżeli myślisz, że możesz mnie nabierać, to się mylisz! Mówmy o czym innym.” — „Najłaskawsza babciu! Takiemu skromnemu marynarzowi jak ja nawet przez myśl nie przeszło nadużywać jej zaufania. Ale niech babcia posłucha. Czyż nie wierzymy w Boga? Czyż nie wierzymy w ewangelię świętą? Jeżeli babcia mi pozwoli, pokażę jej prawdziwe, obnażone dusze kotów.” — Powiedziawszy to, Grisza wstał i wszyscy poszliśmy za nim do kocięgo pokoju. Zamknął starannie drzwi, posadził babkę w fotelu, po czym przybrał pozę archijereja i uroczystym głosem zaczął recytować, błogosławiąc koty prawą ręką: — „*Hospody pomyłuj! Światy Kiril! Hospody pomyłuj! Światy Miefodi!*” — Te święte słowa wywołały efekt niezwykły. Koty najpierw przycupnęły na podłodze, rzucając przerażone spojrzenia. Kiedy usłyszały o świętym Cyrylu, zaczęły drżeć i miauczeć piskliwie. — „*Hospody pomyłuj! Święty Metody, patronie opuszczonych!*” — recytował dalej Grisza. Kiedy koty zobaczyły podniesioną do błogosławieństwa rękę Griszy, zaczęły skakać jak tygrysy po firankach, po ścianach, wyrывая się do okna, starając ukryć się lub znaleźć jakieś wyjście z pokoju. — „Och! Matko najświętsza!” — jęczała na pół zemdlona babka. Mięła chusteczkę, podnosiła ręce do szyi, jakby brakowało jej powietrza. — „Święty Jerzy! Święty Mikołaju! Święci apostołowie, których czcimy, zmiłujcie się nad nami!” — Trwoga doprowadziła koty niemal do paroksyzmu. Miotły się, rwąc firanki pazurami, przeskakiwały od ściany do ściany nad głowami obecnych, miauczały rozpaczliwie, przerażone śmiertelnie. — „Won! Precz stąd, nieczyste stworzenia!” — krzyknęła babka w histerycznym ataku. — *Apace satanas!*” — I zęgnęła się bez przerwy, cała w nerwowych podrygach. Grisza uchylił okno. Koty na wyścigi rzuciły się w kierunku zbawczej szpary. Zapanowała cisza. Słyszeć było tylko płacz starej babki. — „Boże mój! Boże! — jęczała. — Przebacz rędznej grzeszniczce! Przygarnęłam te źmije piekielne... własną pierś niemal je karmiłam! Nigdy, nigdy już! Solennie obiecuję, nigdy już nie wpuszczę do mego domu tych apokaliptycznych wystanników piekieł, tych poddanych Belzebuba, tych zniechwilonych przeze mnie od tej chwili kotów!” — W ten sposób — zakończył Witia, uśmiechając się — nie straciłem dziedzictwa i uwolniłem się od tych przeklętych kotów... dzięki sprytowi znanego na całym sewastopolskim molo w Odessie marynarza czarnomorskiego i mego dozgonnego przyjaciela Griszy!

#### Kozacy ze Starogrigoriewskiej Stancji

W pierwszych dniach rewolucji, gdy żyliśmy odcięci od świata, bez gazet, bez pociągów, bez telegrafu, zjawił się niespodziewanie w Skajanach jakiś oddział kozaków. Dowódca proponował ojcu, że zostanie u nas na stałe.

— Na stałe? — zawołał ojciec u szczytu zdumienia. — Jak to na stałe?

Przecież panowie są wojskowymi, mają swoich szefów i winni są posłuszeństwo władzy!

Kozacy zaczęli tłumaczyć, że oni przysięgali na wierność carowi, a teraz już cara nie ma. Bolszewicy stworzyli nowy rząd, ale z nimi naród kozacki nie był związany żadną przysięgą. Byli więc wolni, mogli robić, co chcieli, dopóki ich ataman nie wyda im wyraźnych rozkazów.

— A gdzie wasz ataman jest w tej chwili? — spytał ojciec, ogromnie zakłopotany.

— My jesteśmy ze Starogrigoriewskiej Stanicy. Ataman razem ze sztabem został w Rumunii, skąd wracamy — w drodze do domu. Nie wiemy co robić. Może za jakiś czas to się wyklaruje!

Według ojca należało być ostrożnym. Kazał podać kozakom herbaty i wzięwszy mnie ze sobą, pojechał na naradę do Tyrnowa. Zafrasował się wuj Teofil, gdy usłyszał opowiadanie ojca. Postanowiono poczekać do następnego dnia i zobaczyć, co poradzi *isprawnik* Brazuł. Przez telefon, który funkcjonował na bliskie odległości, wydał ojciec zarządzenia i zostaliśmy na noc w Tyrnowie. Na drugi dzień w południe zebrali się wszyscy w gabinecie na naradę.

— Niech się dowiedzą bolszewicy, że wynajmujemy kozaków — rzekł ojciec — pomyślą, że stajemy po stronie carskiej! — A znowu jeżeli odprawimy kozaków z kwitkiem — rozmyślał głośno wuj, zafrasowany — przyjdą za nimi ci biali generałowie z Rumunii i potraktują nas jak bolszewików!

Po naradzie zdecydowano, że kozaków wynajmie *isprawnik*.

— Ja się nie mieszam do spraw politycznych! — powiedział. — Nie chcę wojny domowej! Ale porządku, jakkolwiek rząd by nie nastał, trzeba pilnować. Moje siły się rozpieczęły! Kozacy będą mi służyć do odbędzania Cyganów, do łapania złodziei, podpalaczy i bandytów. Teofil Antonowicz i Lew Nikiforowicz wezmą na siebie ich utrzymanie, pod warunkiem że nie będą się mieszać do spraw politycznych.

Gdy wróciliśmy do Skajan, kozacy byli już rozlokowani i zagospodarowani. Od razu poczułem do nich sympatię. Byli weseli, przy tym posłuszni na każde skinienie szefa. Ich mundur składał się z czarnych szarawarów z kolorowym lampasem na szwie, miękkich i wysokich butów, czarnej rubaszki spiętej rzemykiem i pięknej czapy barankowej z kolorowym denkiem. Różne rzemienie krzyżowały się na ich piersiach: od *wintowki*, którą nosili na plecach, od szaszki, wiszącej z lewego boku konia, od chlebaka i torby. W specjalnej pochwie u siodła znajdowała się *sielodka*. Oniemiałem ze zdumienia, gdy mi to powiedziano:

— Jak to? Śledź na koniu? Żywy?

— O! Jeszcze jaki żywy... — odpowiedział mi kozak, śmiejąc się — zwłaszcza gdy pełza po grzbiecie jakiegoś złodziejaska!

I abym łatwiej zrozumiał, wyciągnął śledzia i dał mi lekkie, przyjacielskie uderzenie w głowę. Okazało się, że to była zwyczajna, gumowa rura, ale — o dziwo! — aż się zachwiałem i poczułem, jak nabrzmiewa mi coś na głowie. Nie zważając na to, pobiegłem do domu, aby wytłumaczyć moje niezwykłe odkrycie.

— Co tam będziemy gadać o śledziach! — zaśmiał się dziadzio Asłan. — Ja dopiero dam ci zagadkę: Zielone, wisi w salonie i śpiewa. Co to?

Ani rusz nie mogłem odgadnąć.

— Toż to twój śledź, duszeńka!

Zawrzała we mnie krew z oburzenia:

— To nieładnie takie zagadki dawać! A czemuż on zielony? Czemu wisi? Jak może śpiewać?

— To tak samo jak z tą twoją rurą gumową: żeby trudniej było zgadnąć!

— Nie, nie! — zawołał ojciec, który właśnie nadjechał z pola. — Stasik ma rację. Raz byliśmy z jego mamą w Odessie, uformował się jakiś pochód, manifestacja, i nim zdołaliśmy uciec, nadjechali galopem kozacy i dostaliśmy takimi śledziami po karku! Wtedy... Marynia poroniła.

Kozacy zorganizowali zaraz swoje życie na sposób wojskowy. Zbierali się wcześniej na *odai*, wysyłali dwa konne patrole na objazd okolicy, a reszta pracowała lub ćwiczyła do obiadu. Mieli ze sobą kowala, który kuł ich konie, a mnie zrobił parę strzemion, z boku przeciętych, aby móc uwolnić nogę w razie upadku. Przeegzaminowano mnie dokładnie z konnej jazdy. Chociaż myślałem, że jestem mistrzem w tej sztuce, okazało się, że jeszcze muszę brać lekcje i trzeba mi się wyzbyć pewnych nieeleganckich nawyków. Pozostali kozacy ćwiczyli się w szermierce, w strzelaniu, w dżygitówce itd. Na pobliskim ściernisku zatknęli tykę z nasadzonym na nią kabakiem i rąbali go szablami, przelatując obok w galopie. Sierżant nauczył mnie grać na bębnie i śpiewać:

*Staryj barabanszczik*

*Raz prosnulsia,*

*Obiernulsia,*

*Tri kopiejki potieriał!\**

Wieczorami recytował poezje Puszkina i Kryłowa, którego bajek *Martyszka i oczki*, *Martyszka i zwierciadło* prędko się nauczyłem na pamięć.

Po kilku tygodniach zadzwonił telefon i nadeszły jakieś rozkazy od atamana, który nakazał swemu oddziałowi połączyć się z resztą wojska. Z żalem wspominałem tych dzielnych i sympatycznych ludzi, przyzwyczajonych do życia w siodle i wspaniale jeżdżących konno.

## Śmierć Munia

Munio był coraz słabszy i bardziej chory. Doktor rozkładał ręce bezradnie, medycyna nie miała wtedy środków do zwalczania cukrzycy. Wszystko opierało się na diecie, a diety Munio nie chciał przestrzegać. On, taki dobry, cierpliwy i serdeczny, stawał się nerwowy i agresywny, gdy chcieliśmy zabrać mu coś zakazanego. Gdy miał bochenek chleba w rękach, wyglądał jak dzikie zwierzę, gotowe rzucić się na każdego w obronie swego żarcia.

— Jestem głodny! — wołał. — Co mam jeść, jeżeli wszystko, co lubię, jest mi zakazane? Jeżeli mam zdechnąć, obym zdechł już, od razu! Zabieraj się, daj mi spokój! Kocham cię, ale dla mnie nie ma już ratunku!

Po miesiącach tego odżywiania się bez względu na dietę biedny Munio czuł się bardzo źle. Przybyli wtedy Czerkiesi i beztrosko, z humorem zachę-

---

\* *Staryj...* (ros.) — Raz się stary dobosz ocknął, / Nim się obrócił, / Trzy kopiejki stracił!

cali Munia do picia wina. Zranił się kiedyś w nogę i nie można było krwi zatamować. Władimir Iwanowicz zarządził przeniesienie go do tyrnowskiego szpitala. Tam odwiedzaliśmy go co kilka dni. Miał się coraz gorzej, zmieniał się w oczach, wreszcie przestał mnie poznawać. Raz, gdy byłem na *odai*, przyszła smutna wiadomość: Munio przestał żyć.

Chodziliśmy jak struci. Płakałem cały dzień. Biedny dziadzio Asłan siedział bez ruchu, z szeroko otwartymi wielkimi czarnymi oczami, skamieniały w bólu.

— Można podziwiać jego siłę charakteru — rzekł ojciec. — To był przecież jego jedyny syn!

Gdy przybyliśmy do Tyrnowa na pogrzeb, biedny Munio był już w drewnianej skrzyni, zabitej gwoździami. Towarzyszyliśmy mu wszyscy, piechotą, na cmentarz pokryty zieloną darnią, koło cerkwi tyrnowskiej, gdzie został pochowany i pozostał na zawsze ten mój kochany przyjaciel, towarzysz moich pierwszych dni na ojczystej ziemi *besarabskiej*.

### Pierwsze jaskółki

Pewnego dnia, gdy siedzieliśmy przy obiedzie, jedząc żur ukraiński, ciocia Modzia wyciągnęła szycję w kierunku okna, odłożyła łyżkę i zawołała:

— A cóż to za jedni?

Dwóch ludzi szło przez podwórze. Mieli na sobie wyszarżale rosyjskie mundury bez jakichkolwiek oznak; byli bez broni. Skierowali się do kuchni i poprosili o coś do jedzenia. Potem zapytali o ojca.

— Uważaj, Leon! — zawołała babcia Władysława piskliwym głosem. — To jacyś obcy! To niebezpieczni ludzie!

Ojciec wstał i wrzucił ramionami wychodząc. Wiedziony ciekawością, wysliznąłem się za ojcem tylnym wejściem. Dwaj podróżni okazali się żołnierzami wracającymi z frontu do domu. Chodząc po zapadłych wsiach propagowali ideały rewolucyjne. Spytały ojca, czy utworzono u nas komitet rewolucyjny i jak wygląda sprawa rozdziału ziemi między chłopów. Ojciec zaprowadził ich do domów, gdzie mieszkali zmobilizowani Mołdawianie, którzy już wrócili z frontu. Starsi byli zaniepokojeni. Żyliśmy dotychczas jak dawniej, nie rozpoczęto żadnej nowej akcji, nie było nawet „komitetu” w Ska-janach.

— Jeżeli ci dwaj przybysze są rzeczywiście delegatami jakiejś rewolucyjnej władzy, to ładnie będziemy wyglądali! — powiedział ojciec.

Podróżni wrócili pod wieczór i zamknęli się z ojcem w gabinecie. Babcia wysłała mnie na zwiady. Zobaczyłem przez nie zasłonięte okno, że w gabinecie częstowano się papierosami i toczyła się zwyczajna rozmowa. Znużony, poszedłem spać. Na drugi dzień, wypchawszy chlebaki buterbradami przygotowanymi przez Aleksandra, nieznajomi poszli spokojnie dalej.

Zdobycze nowego ustroju objawiły się nagle w miejscu, gdzie nikt ich się nie spodziewał: na tyrnowskiej stacji. Pewnego dnia zniknął ze stacyjnego zegara dawny dwunastogodzinny cyferblat i pokazał się na jego miejscu nowy, zupełnie niezrozumiały, podzielony na dwadzieścia cztery godziny, wywołujący wielkie zamieszanie pomiędzy podróżnymi.

— Któraż to jest teraz godzina? — pytały mołdawskie wieśniaczki, pa-



trząc z otwartymi ustami na dziwaczny zegar. Po jakimś czasie naczelnik stacji, znudzony ciągłym objaśnianiem, kazał wymalować małe czerwone cyferki dawnych godzin — obok nowych. Inna nowość odnosiła się do porządku i czystości lokali publicznych. Na Besarabii, tak jak w całej Rosji, bardzo były popularne *siemiaczki*, nasiona słonecznika; wszyscy mieliśmy wielką wprawę w ich jedzeniu. Zaledwie włożyło się taką pestkę między zęby, była już otwarta i obłupana, małe ziarenko zostawało w ustach, a z warg spadała pusta łuska. Wszyscy wszędzie robili to samo i po całej stacji walały się łuski leżące na ziemi. Ale teraz miało to już być zabronione. Należało zbierać łuski do ręki i rzucać na odpowiednie miejsce. Raz zobaczyłem na stacji młodego żołnierza, wyraźnie jeszcze nie obznajomionego z nowymi porządkami. Usiadł na ławce przed stacją, wyciągnął torebeczkę z *siemiaczkami* i zaczął spokojnie jeść, wypływając łuski beztrudno na ziemię. Wyszedł naczelnik, popatrzył spokojnie, ale nic nie powiedział. Dopiero gdy pokazał się pociąg i był już na zwrotnicach, naczelnik odwrócił się i wrzasnął:

— Ty świntuchu! Anarchisto! Zbieraj zaraz swoje gówno, bo jak nie, to ci do pociągu wsiąść nie pozwolę!

Przerażony żołnierz zaczął zgarniać łuski rękami i miał już je wyrzucić na tor, pod koła nadjeżdżającego właśnie pociągu, gdy naczelnik ryknął:

— Ani mi się waż!

Łuski znów spadły na ziemię, więc biedny żołnierz wyciągnął czyściutką chusteczkę, widocznie specjalnie na podróż uprasowaną przez mamę, rozłożył ją na peronie i zaczął napełniać łuskami. Tymczasem naczelnik dał sygnał odjazdu i pociąg ruszył, zostawiając żołnierza na stacji.

— Nie martw się, *tisze jediesz, dalsze budziesz!* — powiedział mu udo-bruchany już naczelnik i dodał: — Skończyły się czasy kapitalizmu! Teraz Rosja jest własnością wszystkich i ty, jako przyzwoity obywatel, też musisz dbać o jej czystość!

## Czornaja sotnia

Od początku rewolucji wszyscy zastanawiali się, co nam w nowej sytuacji przyniesie przyszłość. Ojciec mówił, że ta okolica ma zbyt małe znaczenie, aby nowe władze zaraz się nami zajęły. Witia pojechał z własnej inicjatywy do Kiszyniowa i stawiał się przed komitetem rewolucyjnym pytając o rozkazy.

— *Ty kto? pomieszczik?* \* — zapytał go jakiś żołnierz, członek komitetu. — Nie pętaj się tu i jedź do domu. Już my ciebie znajdziemy, jak będzie trzeba!

Witia wrócił przestraszony. Inni też woleli z domu się nie ruszać. Od czasu do czasu pokazywali się na drogach jacyś nieznani, nierzadko dziwni ludzie. Szli na piechotę lub wysiadali z towarowych pociągów, które przejeżdżały od czasu do czasu. Jedni byli żołnierzami wracającymi z rumuńskiego frontu do swych dalekich nieraz guberni; inni nie mieli — zdawało się — jasnego celu, szli, wracali, nie wiadomo było, czego szukają. Byli też ofice-

---

\* *Ty kto?...* (ros.) — Ktoś ty? obszarnik?

rowie carscy, którzy obrywali sobie epolety i starali się przedostać do Rumunii, gdzie, jak wieść głosiła, rosyjscy generałowie monarchistyczni organizowali z rumuńską pomocą armię, aby walczyć przeciw władzy bolszewickiej. Kiedyś znów poprosiła o pomoc i żywność grupa bolszewików usiłująca się połączyć z większymi siłami, ścigana przez wojska wierne caratowi. Każdy z tych wędrujących opowiadał ciekawe i nieraz niesłychane rzeczy. Ojciec słuchał wszystkiego z uwagą i starał się zorientować w sytuacji.

Pewnego dnia na wzgórzu Nowackiego ukazała się wielka ilość jeźdźców, którzy wnet rozproszyli się między chatami wsi. Widziałem wyraz zdziwienia, a wnet obawy na twarzach starszych. Byliśmy wszyscy zebrani na werandzie, gdy jeźdźcy wtargnęli na podwórze. Ciocia Modzia w zdenerwowaniu tak silnie ścisnęła balustradę, że aż skóra zbieleła jej na stawach. Starszy, elegancki oficer, na wspaniałym czarnym arabie, wysunął się na przód. Zapanowała cisza, przzerwana na moment tylko krzykiem babci Władysławy, która uciekła, zatraskując drzwi. Widząc, co się dzieje, ojciec wyszedł przed dom:

— Witam i zdrowia życzę wszystkim — rzekł pewnym głosem, zdejmując kapelusz — którzy tę bramę przekraczają w charakterze przyjaciół i gości! — po czym włożył kapelusz z powrotem i spojrzał na oficera. Ten zeskoczył z konia, którego cugle wziął zaraz *dienszczik* do ręki, zasalutował elegancko, podał rękę ojcu i przedstawił się:

— Książę Watbolski, generał dowodzący oddziałem Czerkiesów.

Teraz zaczęło się wymienianie nazwisk znajomych generałów i poszukiwanie wspólnych przyjaciół i krewnych, według zwyczaju. Wreszcie, biorąc się pod rękę, jak dwaj dobrzy przyjaciele, ojciec razem z księciem skierowali się ku domowi. Odetchnęliśmy wszyscy; nic złego nie mogło się już stać.

W salonie zebrała się cała rodzina i tam też książę zawołał najważniejszych oficerów, aby ich przedstawić. Wyglądali wspaniale; byli to ludzie młodzi, szczupli, odziani w czarne mundury kaukaskie, których piękny krój zrobił na nas duże wrażenie. Długie poły kaftanów sięgały aż do kolan, w wąskiej, prawie dziewczęcej talii świeciła się srebrna klamra, rżnięta i oksydowana, na piersi zaś rozszerzały się wachlarzowato dwa rzędy toczonych w kości słoniowej naboii, ozdobionych gwoździakami, cekinami i srebrnymi łańcuszkami. Zawieszony u pasa widniał piękny kindżał kaukaski z bogatą srebrną rękojeścią, inkrustowaną złotem. Na nogach nosili miękkie buty z cholewkami, bez podeszew i obcasów, skrojone z cienkiej skóry, która podkreślała kształt nogi i była zeszyta z przodu od podbicia do golenia. Chodzili cicho jak koty po naszej drewnianej podłodze. Na głowie mieli piękne czapki z czarnych karakułów, ze srebrnym bączkiem nad czołem. Ojciec zaprosił generała na nocleg do naszego domu, oficerowie rozlokowali się we wsi, żołnierze zaś na *odai*. Bez zbędnych hałasów, sprawnie, w porządku kwatermistrze lokowali swoich ludzi i po godzinie Skajany, skromna mołdawska wieś, wyglądały jak kaukaska osada; wokół ognisk uwijały się czarne, smukłe postaci, a po kolacji rozlegały się piękne, lecz obce nam kaukaskie pieśni. Książę przyjął z uznaniem naszą zwykłą wieczorną mamaligę, zainteresował się sposobem przygotowywania jej i zapewnił nas, że to proste danie zadziwia wykwintnym aromatem. Po kolacji udaliśmy się, jak zawsze, do salonu na koncert wieczorny. Wysłuchawszy gry cioci Modzi i śpiewu Aurelii, książę Watbolski z wielkopańską, ujmującą delikatnością poprosił o pozwolenie przyczynienia się do amatorskiego koncertu. Usiadł do for-

tepianu, poprawił poły wojskowego kaftana, popróbował pedałów miękkimi butami i zaczął grać. Przyglądałem się mu i słuchałem uważnie, gdyż styl jego gry był całkiem inny niż profesora Horra, który podnosił wysoko ręce z rozcapierzonymi palcami, uderzając mocno w klawisze. Księżę siedział swobodnie, kołysał się lekko i miękkimi ruchami przesuwał ręce po klawiaturze, trzymając dłoń poziomo. Zatrzymywał się na fermacie w sposób naturalny i w ogóle wydał mi się pełen elegancji. Zebrał szczere oklaski, ale teraz ciocia Modzia za nic nie chciała grać po „takim mistrzu”, jak mówiła, i nastąpiła przerwa. Zawezwano więc mnie, mimo że zawstydzony wykręcałem się, jak mogłem. Księżę usiadł koło mnie:

— Stasik! — rzekł z uśmiechem. — Przejeżdż palcem po moich kościanych nabożach. Taaak! One są z tej samej kości słoniowej, co i klawisze fortepianu. Zagraj teraz na fortepianie! A potem znów zagram ja!

Ośmielony, wykonałem skromniutką *dojnę*, którą sobie wygrałem z pa-mięci.

— Ślicznie! — zawołał księżę. — A teraz ja zagram coś z Kaukazu!

Usłyszałem wtedy jakąś rajska muzykę. Trudno mi ją opisać, ale wtedy byłem nią przejęty do głębi. Wyobraziłem sobie przepaść, w którą spada kaskada połyskujących diamentów. Wiele lat później usłyszałem znów tę muzykę w *Pastoral* — części *Symfonii fantastycznej* Berlioza.

Począwszy od owego dnia, życie nasze ześrodkowało się wokół kaukaskich przybyśzów w sposób dla mnie bardzo przyjemny. Oficerowie zapraszali mnie na przejażdżki razem z nimi albo na ćwiczenia żołnierzy. — Stasik tu! Stasik tam! — wołano mnie z różnych stron i choćbym się podzielił na czworo, nie mogłem być z wszystkimi jednocześnie. Czerkiesi mieli ze sobą kowala, cieślę, stelmacha, ślusarza, kuśnierza, szewca i krawców. Z pozwoleniem ojca zajęli nasze warsztaty i rozpoczęli kucie podków, naprawę jaszczków, ostrzenie szabel, zszywanie siodeł i uprząży. Księżę nauczył mnie wspaniałej sztuczki: siedząc na koniu pochylał się i chwycił mnie za rękę, ja odbijałem się nogami i z jego pomocą jednym ruchem wskakiwałem na konia, siadając okrakiem, przed nim, na siodło. Księżę robił codziennie wiele wiorst, gdyż jego ogier potrzebował ćwiczenia, aby w nocy móc spać spokojnie. Po kilku dniach podszedł do mnie krawiec pułkowy i zaczął brać ze mnie miarę arszynem z ceraty. Zrobili potem to samo kuśnierz i szewc. Byłem bardzo zaintrygowany, ale nikt nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi.

— Ładny masz baniak! Nie starczy mi wierszków! — śmiali się mierząc mi obwód głowy.

Z dwa tygodnie później ujawniła się niespodzianka: pułk obrał mnie swoją maskotką i dostałem od księcia cały mundur z butami, czapką i kint-działem w prezencie. Gdy się ubrałem, oficerowie zasalutowali mi z powagą. Szczęśliwy obszedłem cały dom dookoła, aby wszyscy mnie widzieli, a zwłaszcza moi towarzysze ze wsi.

Co chwila przyjeżdżał ktoś z sąsiedztwa, gdyż obecność kniazia Watbolskiego w naszym domu wzbudziła ogólne zainteresowanie. W niedługim czasie przesunęli się przez nasz salon dziadzio Władysławski z babcią Nunią, dziadzio Strienkowski, Teofil Antonowicz, pan Kajetan z Widel i inni. Panny z całej okolicy chciały tańczyć z eleganckimi oficerami — i współzawodniczyć z nimi w cienkości talii. Ku ogólnemu zdziwieniu okazało się, że pod tym względem oficerowie byli trudni do pokonania, można było ich ob-jąć dwoma otwartymi dłońmi, podczas gdy nasze besarabskie dziewoje były

zbyt dobrze odżywione, aby marzyć o czymś podobnym. Wnet książ zaczął oddawać wizyty i pewnego wieczoru znaleźliśmy się wszyscy razem w tyrnowskim pałacu. Gdy byliśmy w salonie, zabrzmiał gong, w który uderzył Andrzej na znak, że kolacja gotowa. Wszyscy wstali i ustawili się parami, aby udać się do jadalni. Na przedzie szedł książ z panią Jeleną, potem wuj z ciocią Modzią i inni. Przy stole wuj posadził księcia po swojej prawej ręce, dalej siedziały mniej ważne osoby, aż wreszcie ja, na samym końcu, koło drzwi. Ulubione *wółkodawy* wuja leżały pod stołem u jego stóp, opierając mu głowę na kolanach.

— Z prawdziwą niecierpliwością czekam na przepyszną mamałygę mołdawską! — zawołał książ z wyszukaną uprzejmością.

— Cha, cha, cha! — roześmiałem się na cały głos, bo widać było, że książ nie pojmował całej różnicy między Skajanami a Tyrnowem, gdzie nie podawano nigdy mamałygi na kolację.

Zaczęto podawać potrawy, jedne za drugimi, kurczęta z ozdobami z fryzowanego papieru na nogach i na deser wspaniały plombir, obwieszony festonami pajęczyn z palonego cukru. Wszyscy wstali wreszcie, aby udać się na wieczorny koncert do salonu. Książ dał znak, że pragnie przemówić:

— Państwo przyjmują mnie z tak łaskawą gościnnością, że czuję się dłużny pod każdym względem. Bez możliwości rewanżu, gdyż jestem bardzo daleko od domu, chciałbym uzyskać pozwolenie zaprezentowania skromnych tańców i pieśni mojego kraju, które być może nie mają zalet pięknych tańców mołdawskich, ale może mimo to zdołają rozerwać obecnych pewną nowością i uświetnić to niezwykle przyjęcie!

W tym momencie weszli oficerowie i podczas gdy książ ich przedstawiał, rozbrzmiewały w salonie przedziwne, egzotyczne imiona i nazwiska z dalekiego Kaukazu: „Akakij Akakiewicz Muslimow! Ahmed Karagiorgiewicz! Hakba Aramowicz Karaulow!”

Weszli lokaje Andrzej i Antoni z kandelabrami, które ustawili na Mahoniu. Krzesło przed Hebanem było puste, przypominając nieobecność profesora Horra. Usiadła na swoim miejscu pani Jelena i zabrzmiała piękna, przepełniona nostalgią melodia kaukaska. Zaroila się estrada od oficerów, z których połowa tańczyła z chusteczkami w ręce na znak, że tańczą rolę kobicę. Związał się i rozwijał krąg czarnych sylwetek w takt melodyjnej muzyki. Byliśmy pod urokiem niewypowiedzianego, łagodnego czaru. Nachylił się ku mnie wuj Teofil:

— To jest *lezginka*. Patrz na nią uważnie, widzisz ją po raz pierwszy... i może ostatni!

Widzę jeszcze jak dziś spokojny uśmiech Jeleny. Błyszczą światła kandelabrow i iskrzą się rżnięte szkła weneckie. Kąty wielkiego salonu tyrnowskiego osnuł półmrok, w rzędach foteli z wysokim oparciem siedzą wpatrzeni w scenę zaproszeni goście. Falują czarne mundury kaukaskie, tupią głucho miękkie buty bez obcasów. Byskają klamry i srebrne pochwy kindżałów, taniec i melodia wyczarowują subtelny, pełen poezji nastrój...

— Oficerowie tańczą — skomentował ojciec, gdy wracaliśmy do domu — a w całym kraju rewolucja grzmi!

Oddział Czerkiesów pozostał w Skajanach dość długo. Kilka tygodni? Kilka miesięcy? Książ Watbolski był zdezorientowany, niezdecydowany. Z głębi ogromnego kraju rosyjskiego przychodziły wiadomości dziwne, czasem sprzeczne.

— Rewolucja — mówili oficerowie — wszyscy mówią o rewolucji. Ale

jaka to rewolucja? Czego chcą rewolucjoniści? Komu podlegamy, czy naszemu generałowi, który jest tu, czy jakiemuś rządowi, którego zupełnie nie znamy i który znajduje się daleko?

— Front jest zdeorganizowany, najlepiej wracajmy do domu! — twierdzili jedni.

— Tak! — odpowiadali inni. — Na piechotę dojdiesz do Kaukazu! A po drodze na kogo się natkniemy?

Książ powiedział, że czeka na rozkazy. Ojciec wzruszył ramionami:

— ...na rozkazy ze sztabu, który już pewnie nie istnieje!

Oficerowie odkryli rychło naszą piwniczkę i do każdego obiadu przynosili po kilka butelek któregoś z win. Ciocia Modzia też chciała się pokazać i nasze posiłki, zazwyczaj skromne, stały się bardziej wystawne. Gdy pokazały się butelki burgunda i bordeaux, ojciec zdziwił się:

— Skąd oni to wzięli? Ja nie pamiętam, żebym miał takie wina!

Rozweseleni oficerowie wołali:

— *Nie wołujties'!* \* Mają to rewolucjoniści wypić? Lepiej wypijmy my! Cha, cha, cha!

Pewnego dnia książ Watbolski obwieścił, że z wdzięczności za gościnne przyjęcie zorganizuje święto kaukaskich dżygitów w Tyrnowie. Następnego dnia, odziany w mój czerkieski mundur, na czarnej pułkowej klaczy, udałem się w towarzystwie innych jeźdźców do Tyrnowa. Dziadzio Aslan oczu ze mnie nie spuszczał, tak mu się podobałem; przypominałem mu jego własne dzieciństwo. Tempo było ostre i dobrze musiałem się trzymać, aby znieść ten długi galop. Po południu usiedliśmy na werandzie patrząc, jak na ogromnym podwórzu pokrytym trawą ustawiają się Czerkiesi. Powiedziałem coś o *czornosotińcach*, jak nazywaliśmy Czerkiesów ze względu na kolor ich mundur.

— Nie powinienes tak mówić! — oburzył się *isprawnik* Brazúl — *czornaja sotnia* to nie oni, to groźna formacja carskiej tajnej policji!

— Ech! Co tam! — odpowiedział mu ojciec. — Ja się ich nie boję! Mają oni teraz za dużo innych kłopotów, żeby się nami zajmować!

— Lew Nikiforowicz! Nie bądźcie tacy pewni siebie. Żeby wtedy zwyczajna policja nie była zajęta donosem na was, zrobionym przez Ukraińców, tobyście teraz byli na Syberii. Pośpieszyłem wtedy, aby wziąć sprawę w swoje ręce, dlatego tylko że chciałem przyjaciela od tajnej policji uchronić! Wy nie wiecie, co to jest *ochrana*, a dla ważniejszych spraw *czornaja sotnia*!

Zabrmiał wystrzał i zaczął się pokaz. Na razie jeźdźcy wykonywali różne figury i ewolucje na trawniku. Zmieniali szyk, raz postępowali dwójkami, raz trójkami, potem znów czwórkami. Nikt nie dotykał cugli, konie wydawały się odgadywać życzenia swoich panów. Raptem w popołudniowym słońcu zabłysły szable obnażone błyskawicznie, jakby cudem, śmigały w powietrzu młynki i wachlarze nad głowami jeźdźców, którzy konie puścili galopem. Wreszcie Czerkiesi ruszyli gęsiego i łańcuch jakby z czarnej stali wyginał się i zawiązywał w pętle, koła i elipsy. Wydawało się, że ktoś wyszywa desenie czarną włóczką na zielonej trawie.

— Teraz! — zawołał do mnie wuj Teofil, trącając mnie w bok. — Teraz zobaczysz, co to są *kawkazskie dżygity*!

Otworzyłem zdumione oczy: konie galopowały same, bez jeźdźców! Po-

---

\* *Nie wołujties'!* (ros.) — Nie przejmujcie się!

spadali? — przemknęło mi przez myśl. Na trawie nikt nie leżał. Raptem, jakby na skinienie czarownika, wynurzyli się jeźdźcy z koni i znów znaleźli się w siodłach. Zaczęły się niezwykle sztuki: Czerkiesi zeskakiwali z siodła, odbijali się od ziemi i z powrotem wskakiwali w biegu na konia. Stawali na głowie, utrzymując równowagę mimo galopu, koziołkowali na grzbiecie i raz siadali tyłem do kierunku jazdy, raz przodem. Skłębili się w głębi podwórza i zaczęli posuwać się ku nam szerokim frontem, z szablą na ramieniu, tak jak to widziałem na rycinie w *Historii Rosji*, gdzie przedstawiono kawalerię Kutuzowa w pościgu za wojskami Napoleona uchodzącymi z Rosji. Potem zaczęły się pojedynki — pokaz mistrzowskiego fechtunku: szczękały szable, w pewnych momentach walczący, aby uniknąć cięcia, znikali zręcznie za grzbietem konia, pełzali pod brzuchem, by nagle ukazać się z drugiej strony, przerzucali błyskawicznym ruchem szable z jednej do drugiej ręki itp. Publiczność, podniecona, nie mogąc powstrzymać entuzjazmu, zaczęła wołać:

— Hurraa! Hurraa! Niech żyją *kaukaskije dżygity*!

Czerkiesi sformowani w szeroki front podbiegli galopem, zatrzymując się przed tarasem, aż wryły się w ziemię kopyta końskie. Wymachując szablami krzyknęli jednym wielkim głosem:

— *Zdrawia żelajem dorogim Biesarabcam!* \*

### Obowiązki pierwszego rządu republikańskiego

Wpadła ciocia Modesta, cała rozczochrana, do jadalni. Pomyślałem: spała się pieczeń! Ale nie. Była to inna sprawa.

— Wyobraźcie sobie! — zawołała wzburzona. — Nie mówiliście wszyscy, że rząd carski nic niewart? Zmieniłam więc ruble carskie, które miałam, na bony republikańskiego rządu Kiereńskiego! — i rzuciła na stół pęk zielonych papierów pokrytych czerwonym drukiem. — Oto są pieniądze tego drania Kiereńskiego! Okazuje się, że są mniej warte niż sam papier, na którym je wydrukowano! Jestem zrujnowana!

Niektóre papierki wpadły mi do talerza, gdzie wznosiła się złota wyspa mamaługi pośród lodowatego oceanu zsiadłego mleka. Wzburzenie cioci wydało mi się śmieszne. Pomyślałem: najpierw bała się indyka, a teraz boi się tego jakiegoś Kiereńskiego. Ale kilka dni później przyszło potwierdzenie tej wiadomości: pieniądze, które pozostawił po sobie rząd Kiereńskiego, straciły wszelką wartość, podczas gdy ruble dawnego, obalonego już reżymu carskiego dalej były w obiegu jak gdyby nigdy nie! Zrozpaczona ciocia pojechała więc do Bryczawy, gdzie urzędowali pejsaci specjaliści od spraw finansowych.

— Grynszpan! Grynszpan! — radzili znajomi, Żydzi. — Jeżeli on pani nic nie poradzi, no... to szkoda szukać!

Grynszpan wysłuchał prostej i smutnej historii finansowych spekulacji ciociny. Wzruszył ramionami i wykrzywił pogardliwie usta:

---

\* *Zdrawia...* (ros.) — Życzymy zdrowia drogim Besarabom!

— Co ja pani poradzę? A czy głupota ludzka ma granice? Co ja mam teraz zrobić? Za sto lat pani te pieniądze sprzeda do muzeum.

Biedna ciocia nie mogła przyzwyczaić się do myśli, że straciła wszystkie swoje oszczędności.

— To ten szelma Kreczun sprzedał mi pieniądze Kiereńskiego! — wołała. — Ja mu nagadam!

Zagadnięty Kreczun wyprostował się z godnością:

— To głupi Żyd ten Grynspan! — oświadczył z przekonaniem i dodał konfidencko, zmrużywszy oko: — ...a co będzie, jeżeli się okaże, że Kiereński ma syna, który uzna pieniądze ojca? Niech pani dobrodziejka mnie słucha, jeszcze pani na tym zarobi i starego Kreczuna pobłogosławi!

Po tej rozmowie z swoim doradcą finansowym wstąpiła w ciotkę nowa nadzieja. Pilnie odtąd strzegła bonów i zabrała je potem do Polski. Leżały długo pogrzebane na dnie starego besarabskiego kufra, aż wreszcie jakieś usługne mole zamieniły w trociny ten rezultat finansowych koncepcji i poczynąń kochanej cioci Modzi, dobrej, prostej, pełnej ufności i niezdolnej rozpoznać się w tym nawale wypadków, który runął wtedy na nas jak lawina.

### Pożegnanie Czerkiesów

Podczas spacerów po wiosce Czerkiesi obserwowali ze zdziwieniem domy mołdawskie zbudowane ze złotego limpacza. Na Kaukazie, mówili, domy są z kamienia i drzewa. Kiedy im powiedziałem, że w naszej okolicy jest mało kamienia, a w Skajanach nie ma go w ogóle, zdumieni się ogromnie:

— Czyż to możliwe — powiedział książę — kraj bez kamieni? Ja urodziłem się wśród skał, kamieni, urwisk i wysokich szczytów. Besarabia w niczym nie przypomina Kaukazu — zakończył z westchnieniem zabarwionym nostalgia.

Pewnego smutnego, mglistego dnia nadeszła wiadomość, której się obawiałem: Czerkiesi musieli wyjechać. Zaczął dzwonić telefon; nawiązano łączność z dalekimi sztabami i zwierzchnikami wojskowymi. Książę postanowił zwinąć obóz i ruszyć natychmiast, ażeby się włączyć do służby czynnej. Gdzie? Do której z różnych armii, jakie walczyły na olbrzymim obszarze Rosji? Nie dowiedziałem się tego nigdy. Niemal równocześnie wybuchła nadzwyczajna wiadomość: — Zostanie stworzona niepodległa Polska!

Wiedziałem, że Polska była krajem podzielonym na trzy części przez swych potężnych sąsiadów.

— Znów będzie Polska i będą wolni Polacy — powiedział pułkownik Karagiorgiewicz, wzruszając ramionami. — Tak to bolszewicy pozwalają rozdzierać imperium rosyjskie i wrywać z niego najlepsze kawałki!

Zapanowała kłopotliwa cisza i jedni zaczęli patrzeć wrogo na drugich. Jakiś porucznik powiedział coś o „paniczach polskich”.

— Hm... — chrząknął książę. — Ja się cieszę z tego, znałem wielu Polaków wśród oficerów rosyjskich i miałem dla nich dużo sympatii.

Ale mój nauczyciel Edward nie chciał puścić kantem słów porucznika. W doskonałym rosyjskim wykrzyknął:

— Panie poruczniku! Ani Polska nie jest prowincją rosyjską, ani Pola-

cy nie są paniczami i pana o zdanie nie będą pytać. Podoba się panu czy nie, Polska będzie wolna i pognębi swoich wrogów.

To powiedziawszy, rzucił wyzywające spojrzenie i wyszedł. Wstała też babcia Władysława i opuściła zebranie, a za nią wyszła ciocia Modesta i Lola. Porucznik, mrucząc: — Nie warto dyskutować... — zniknął też w drugich drzwiach.

Ojciec postanowił wydać bankiet, aby godnie pożegnać naszych przyjaciół Czerkiesów. Aleksander dostał odpowiednie zlecenia i po południu dziewczęta zabrały się do nakrywania stołu. Wyciągnięto najlepsze srebrne nakrycia, wielki serwis porcelanowy na dwadzieścia cztery osoby, najładniejsze szklanki i rżnięte kieliszki kryształowe, które połyskiwały na obrusie ze śnieżnego lnianego płótna. Ja włożyłem strój kaukaski ze srebrnym kindziałem i innymi ozdobami. Przy deserze ojciec kazał przynieść z głębi naszej piwnicy ostatnie butelki krymskiego szampana.

Zaczęły się toasty za zdrowie, za szczęście, za pomyślność obecnych. Oficerowie podnosili się jeden za drugim, stawali na baczność, wznosząc do góry kieliszki, i wygłaszali toasty. Następnie odpowiedział ojciec, jako głowa rodziny i gospodarz. Wysokie i cienkie kieliszki, misternie rżnięte, dzwoniły kryształowym dźwiękiem. Ostatni podniósł się książę, z wyrazem powagi na twarzy, i wygłosił pożegnalne przemówienie. Byliśmy wzruszeni. Na końcu książę powiedział:

— Jedynie Bóg wie, czy dane nam będzie jeszcze kiedyś się zobaczyć!

Ta myśl napelniła mnie smutkiem. Przypomniałem sobie Timofieja, pułkowego kowala, pod którego młotem formowały się podkowy, jakby były ze złotawej gliny. Wyjedzie rymarz, wyjedzie ślusarz, wyjadą wszyscy. Książę podniósł wysoko kieliszek, powiódł spojrzeniem po naszych twarzach, po kolei, jakby chciał je wyryć w swojej pamięci. Potem wypił szampana i szybkim ruchem rzucił kieliszkiem o drzwi salonu. Rozbiło się szkło na tysiąc odłamków, które melodyjnie dźwięcząc rozleciały się po podłodze. Książę stał chwilę z ręką wzniesioną do góry, a potem powiedział cichym głosem, z głębokim wzruszeniem:

— Kto chce wam życzyć więcej zdrowia i więcej szczęścia niż ja, niech wypije za wasze zdrowie w tym samym kieliszku!

Nastąpiła potem scena niezwykła: wstawali wszyscy oficerowie w czarnych mundurach i jeden po drugim wznosili toasty. Kieliszki fruwały po pokoju niby wróble, rozbijając się o ściany i drzwi. Zapomniałem o swoim zmartwieniu i siedziałem cichy, przestraszony, patrząc na wszystkich zdziwionym wzrokiem. Cóż to było? Pobiją się chyba? Dziadzio Aslan uśmiechnął się smutno. Rzuciłem się ku niemu. Położył mi rękę na głowie i rzekł:

— Patrz i zapamiętaj to, Stasik. Co za wspaniałe pożegnanie! Tego, co teraz widzisz, nie zobaczysz już może nigdy w życiu!

Następnego dnia mieliśmy wziąć udział w pożegnaniu pułku kaukaskich Czerkiesów na łące Mazgaja. Od siódmej rano zabraliśmy się już do przygotowań. Znów włożyłem mój mundur maskotki i razem z innymi, odpowiedno ubranymi, skierowaliśmy się na wskazane miejsce zbiórki. Koła powozów i kopyta końskie dudniły głucho na twardej, czarnej ziemi, znacząc równoległe lub skośne linie, szarzejące jak stalowe taśmy. Kiedy nadchodziły nocą jesienne chłody, na czarnoziemie występowało ciekawe zjawisko „rzemiennych dróg”.

Wspaniały widok przedstawił się naszym oczom: jeźdźcy ustawieni w czworoboki, oddzielone prostymi ulicami, wyglądali jak jeże z czarnej stali na tle zielonej łąki. Na czele każdej kompanii stał oficer, który widząc



nas, salutował marsowo. Nasza komitywa przejechała przed tym zdyscyplinowanym wojskiem, aby zatrzymać się na wyznaczonym miejscu.

Z przodu jechaliśmy my, mężczyźni: mój ojciec na Tarkunie, ja na mojej kozackiej Bułanej, dziadek Aslan na inochodce wołoskiej i fernal Valika. Potem jechało lando z paniami i pannami.

Zobaczywszy nas, ksiązę Watbolski wysunął się do przodu, pozdrowił w kilku słowach i zaprosił nas do przyjęcia defilady wojskowej. Potem skłonił się przed babcią Władysławą, pocałował ją w rękę i powiedział:

— Wczoraj niektórzy moi oficerowie wyrazili opinie niezupełnie przyjemne dla polskich uszu. Ani ja, ani nikt z nas nie żywi nieprzyjaznych uczuć dla tego wielkiego narodu. Na pani cześć nasza orkiestra odegra narodową pieśń polską!

Wysłuchaliśmy hymnu patrząc w stronę powozów i zobaczyliśmy, jak babcia ocierała sobie oczy batystową chusteczką, wzruszona patriotyczną polską pieśnią, odegraną przez Czerkiesów. Po skończonym hymnie zabrzmiały komendy i formując czwórki jeźdźcy rozpoczęli odmarsz. Powiewaliśmy chusteczkami, a przed nami defilowały czarne mundury, rzucając błyski srebra i kości słoniowej pod bladym już, smutnym słońcem jesiennym. Wszyscy ci ludzie byli naszymi przyjaciółmi. Patrzyli na mnie z czułością i salutowali maskotce swego pułku przed wyruszeniem w długą i ryzykowną drogę ku nieznanym horyzontom. Szumiały chorągwie na wietrze, rżały niecierpliwe konie, rozbrzmiewały rozkazy sierżantów. Powoli pustoszało pole. Kiedy wyruszył oddział chorążych, ksiązę Watbolski pochylił się ku ojcu i uściskał go. Potem pocałował mnie i zasalutował obnażoną szablą:

— Bóg mi świadkiem! Przysięgam, że nie zapomnę was nigdy. — Spiaj ostrogami konia, pędząc jak strzała na swoje miejsce.

Byłem przejęty. Czułem ciężar na piersi i smutek, który mi ścisnął gardło. Cały rozdział mojego życia dziś się zamykał. Czerkiesi zaczęli śpiewać *Poluszko*. Wszyscy słyszeli tę melodię, która płynie powtarzającą się fugą, coraz to dalej i słabiej, aby roztopić się wreszcie w ledwie dosłyszalnym szmerze. Miałem to szczęście, że usłyszałem *Poluszko*, grane przez wojskową orkiestrę rosyjską, w momencie niezapomnianego pożegnania, na besarabskim stepie. W miarę jak jeźdźcy się oddalali, muzyka i chór żołnierski słabły coraz bardziej. Zniknęli w wądołę, potem pokazali się jeszcze na wzgórzu i znów ich nie było. Kiedy wreszcie zobaczyliśmy ich po raz ostatni, byli już tylko grupą ciemnych punkcików w oddali. Dochodziły do nas jeszcze piękne strofy, niesione wiatrem... Zaczęły w nich znikać niskie tony i słychać było tylko wybijające się wysokie. Wreszcie wszystko zmieszało się z poszumem wiatru, który pędził po nieskończonym stepie.

— Już nic nie słyszeć — zawołał dziadzio Aslan, z ręką przy uchu, zwinętą jak trąbka.

Zawył smutno jesienny *kriwacul* między kandelabrami ostów, bodiaków i suchych burzanów. Ostatni jeźdźcy roztopili się w dalekich oparach. Czy wrócą? Pragnąłem całym sercem tego cudu. Ale przechodziły minuty, potem miesiące i lata, i nie wrócili już nigdy więcej. Gdzie jesteście przyjaciele z dawnych lat, których ślad zgubiłem pewnego mglistego dnia jesiennego przy magicznych dźwiękach melodii? Gdzie jest zręczny łowca, zadzierzasty pułkownik, uprzejmy ksiązę? Wciąż widzę go, siedzącego przy fortepianie i grającego z wyrazem szczęścia na twarzy utwory Skriabina... Gdzie jesteście młode lata i dlaczego dałyście się porwać i ponieść jak suche liście — aż po najdalsze krańce życia?

## Muzyczne zamięłowania popa

Powoli życie, niegdyś normalne, zaczęło się rozpręgać. Kupcy żydowscy z Bryczawy stanowili niewyczerpane źródło alarmujących wieści. Nie wiadomo, skąd się brały, ponieważ nie działał telefon ani telegraf. W Bryczawie można się było dowiedzieć najświeższych wiadomości: „Jest nowy premier”, „Kiereński już wyleciał”, „Wygrali bolszewicy”... i tak dalej. Tatus napisał list do Tatiany, żeby się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje. Minęły tygodnie i odpowiedź nie nadchodziła.

— Coś tam musi źle iść. Wysłałem list na adres Jasnej Polany, a to przecież bardzo znane miejsce. Biedna Tatiana... Gdzie ona teraz może być? A doktor Makowicki, co się z nim stało?

Babcia Władysława, ciocia Modesta i Lola były na granicy kryzysu nerwowego. Powtarzały i komentowały bez przerwy najdziwniejsze plotki, jakie krążyły wokół: że „rewolucja dojdzie do Skajan”, że „wyrzucą nas z domu”, że „wszystkich nas zabiją”, że „zbuntowani marynarze nie przebaczą nikomu” etc. Ojciec nienawidził tych plotek, wreszcie się pogniewał i zakazał paniom jeździć do Bryczawy.

— W ten sposób nie będziecie słuchać tych absurdów i będziecie żyły spokojniej.

W Skajanach sytuacja była trudna. Duża część pól leżała odłogiem. Było niemożliwe dostać nasienie. Nie dało się naprawić maszyn rolniczych z powodu braku części zamiennych. Zza granicy nie przychodziło nic, a z głębi Rosji jeszcze mniej. Tatiana i doktor Makowicki milczeli dalej, a my byliśmy zupełnie zdezorientowani.

Pewnego dnia zjawił się u nas pop. Zwrócił się do cioci Modzi mówiąc: — Niech pani będzie łaskawa wręczyć mi nuty wszystkich utworów Beethovena, jakie pani ma, ja je przechowam.

Ciocia zdębiała, tym bardziej że Beethoven był jej ulubionym kompozytorem i grała go często. *V Symfonię*, *Sonatę patetyczną*, *Appassionatę* grała wprost po mistrzowsku. Jak to? — zdumiała się. — Dlaczego mam oddać moje nuty popowi?

— Proszę pani — powiedział pop uprzejmie — chyba zdaje sobie pani sprawę z nowych prądów politycznych, jakie panują obecnie w naszym kraju. Jakkolwiek by było, przyjdą zabrać pani te nuty, bo nie ma pani prawa posiadać więcej niż inni. Lepiej niech mi je pani wręczy, w ten sposób uratują się od zniszczenia.

Gdy ciocia wyszła, aby się poradzić z moim ojcem, pop sam podszedł do półki z nutami, wybrał te, na których mu zależało, i wyszedł, zabierając tyle, ile mógł unieść. Zabrał także szkołę Hanona, z której codziennie ćwiczyłem. Wybiegłem za nim i złapałem go w ogrodzie.

— To jest moje, moje, rozumie pan? — krzyknąłem, wyrwałem mu moją własność i wróciłem do domu. Ojciec mówił właśnie do swojej siostry:

— Zostaw go! Nic na to nie poradzimy. Nuty możemy znowu kupić, a tymczasem nie chcę komplikacji z ludźmi ze Skajan.

Parę dni później poszedłem odwiedzić Maszę popadiankę. Z domu popa płynęły dźwięki muzyki. Zajrzawszy przez okno, zobaczyłem go siedzącego przy fortepianie i grającego z nut mojej cioci. Na jego wniebowziętej twarzy malował się uśmiech ogromnego zadowolenia. Stałem chwilę obserwując go, po czym wróciłem do domu, żeby to ojcu opowiedzieć.

— Bardzo mi to dogadza — odpowiedział. — Twoja ciocia umie te wszystkie kawałki na pamięć i rzeczywiście nie potrzeba jej tych nut. Tak więc uszczęśliwiliśmy jednego amatora muzyki. Wszystko jest w porządku i nie szukajcie dnia wczorajszego!

## Napad na Kyjce

Od samego początku rewolucji nie zdarzył się żaden wybryk ani wyroczenie przeciw porządkowi publicznemu w naszej okolicy, która nadal była spokojna i bezpieczna. Czasem przyjeżdżali delegaci polityczni z Odessy czy z Kiszyniowa; słuchaliśmy ich z uwagą, a potem wracaliśmy spokojnie do naszych zwykłych zajęć.

Krążyły natomiast wieści fantastyczne i opowiadania dreszczem przejmujące: o napadach, atakach, podpaleniach i morderstwach. Ale wszystko to odbywało się daleko. Zawsze znajdował się jakiś motyw usprawiedliwiający te ekscesy i wydawało się, że nie mogłoby coś podobnego wydarzyć się u nas. Tak więc dowiedzieliśmy się o napadzie na pałac hrabiego Sanguszki, zabitego w sposób okrutny. Chłopi szpikowali mu ciało zapalkami, dopóki nie wyzionął ducha.

Kiedyś nadeszły wstrząsające wieści o ataku na jeden z besarabskich pałaców przez podburzonych chłopów. Trudno było w to uwierzyć, ale odległość, która nas dzieliła od Kyjce, nie była duża i wielu ludzi było świadkami tego wydarzenia. Niestety, nierzadko mołdawscy chłopci byli krzywdzeni i wyzyskiwani przez właścicieli ziemskich. Tak było w wypadku pana Karola, właściciela ogromnych ziem rozciągających się wokół pałacu w Kyjcach. Był to mężczyzna o smagłej cerze, siwawych włosach i twardym, orlim spojrzeniu. Lubił mówić w sposób stanowczy i nawet jego śmiech budził we mnie nieokreślony lęk.

Pałac w Kyjcach, wysoki, dwupiętrowy, wznosił się pośrodku pięknego parku. Przed wejściem znajdował się taras wyłożony kamiennymi płytami. Drzwi z kutego żelaza były oszklone aż do samego dołu. Grube kraty broniły okien, jak gdyby domostwo było Narodowym Bankiem Rosyjskim. Od wybuchu rewolucji pan Karol kazał jednemu z leśniczych stać z fuzją i pilnować wejścia — gdy tymczasem w Skajanach drzwi były otwarte dzień i noc i wystarczyło je kopnąć, aby wejść.

Pewnego wieczoru, kiedy rodzina pana Karola siedziała przy obiedzie w wielkiej jadalni pałacowej, przyszło paru chłopów i żołnierzy, żeby porozmawiać z właścicielem. Odpowiedział im wyniośle:

— Teraz nie mogę, jem obiad!

Chłopi odeszli i pokornie wrócili po dwóch godzinach.

— Piję kawę! — powiedział znów pan Karol.

Dały się słyszeć protesty; teraz ludzie próbowali wderzeć się siłą. Noga jednego z chłopów uwięzła w ciężkiej bramie żelaznej, a zdenerwowany leśniczy wystrzelił z fuzji. Na drugi dzień zjawiła się gromada ludzi, uzbrojonych w koły, motyki i sierpy. Krzyczeli, domagając się, by wyszedł pan Karol. Gdy mocowali się z leśniczym, rozprysły się na tysiąc kawałków szyby w pałacowych drzwiach. Przestraszony właściciel schronił się na strychu i zaczął strzelać do tłumu z kulomiotu, który miał zainstalowany w jed-

nym z okienek poddasza; wystarczyła jedna chwila, by stało się nieszczęście nie do naprawienia. Chłopi uciekli, chowając się za drzewami, rannych zostawiwszy na placu. Na drugi dzień oburzony tłum zaatakował pałac, podchodząc z boku, by ominąć pole ostrzału kulomiotu. Wyłamawszy kraty, atakujący wpadli do jadalni, gdzie pan Karol jadł śniadanie; obok stał wypchany niedźwiedź, ogromny, wyprostowany, w groźnej postawie. Z pyskiem szeroko otwartym, opierał się o brzozowy pień, stojąc na wielkim krążku ściętym z trzechsetletniego drzewa. Przerażeni tym widokiem chłopi zaczęli uciekać. Najodważniejsi wpadli do gabinetu pana Karola i tu żelaznymi młotami próbowali rozbić kasę ogniotrwałą. Pękły blachy pod potężnymi uderzeniami; ze szpar zaczęły się wydobywać podmuchy powietrza wraz z popiołem, używanym wtedy do izolacji termicznej. Zaskoczeni napastnicy rzucili młoty i uciekli, myśląc, że to dynamit gotów wybuchnąć. Drząc z przerażenia, właściciel zszedł ze strychu, gdzie się ukrył, zaryglował i podparł drzwi. Po tym zajściu kazał pakować walizki i zabierając co najpotrzebniejsze, opuścił Kyjce w tajemnicy. Przebył w ukryciu i pod innym nazwiskiem całą rewolucję; nie odważył się nigdy pokazać publicznie i wrócił dopiero podczas okupacji rumuńskiej, chłodno witany przez swych besarabskich sąsiadów.

### **Żegnajcie, Skajany!**

Według dochodzących do nas wiadomości, nowy rząd bolszewicki zdecydował przeprowadzenie reformy rolnej w całym kraju. Nie był to temat nowy w Skajanach, gdyż mówiła o nim często Tatiana i perorowali młodzi studenci, przyjaciele Wani i Wołodi, o postępowych poglądach. Ojciec był zdecydowanym zwolennikiem odebrania ziemi opieszałym arystokratom i obszarnikom i obdzielenia nią chłopów zależnie od ich zdolności do pracy. Z wyjątkiem wuja Teofila obywatele ziemscy i obszarnicy besarabscy byli jednak tym ideom zdecydowanie przeciwni. Ojciec i wuj mieli zamiar rozpocząć na własną rękę podział ziemi w Tyrnowie i w Skajanach na niewielką skalę, prędko jednak porzucili te projekty wobec gwałtownego sprzeciwu i grózb sąsiadów. Po namyśle postanowili czekać, aż wyjdą ustawy ogólnopństwowe, obowiązujące wszystkich. Z wielkim zainteresowaniem śledzili więc poczynania nowego rządu i wciąż oczekiwali jakiejś inicjatywy ze strony komitetów rewolucyjnych. Chłopi też okazywali pewną niecierpliwość, gdy rozmawiali z ojcem o tych sprawach:

— Lew Nikiforowicz! Trzeba coś zacząć robić! Co będzie, jak przyjdą bolszewicy i zobaczą, żeśmy nawet palcem nie kiwnęli? Pan wie więcej od nas, pan czyta gazety, niech pan powie, co zrobić?

Ojciec kiwał głową i zastanawiał się. Sytuacja nie była ustabilizowana, po guberni krążyły najróżniejsze elementy: prawicowe, lewicowe, a południe okupowali nawet „neutralni” Francuzi. Gdy wioskę zajmowały wojska monarchistyczne, zdarzały się pono wypadki wywieszania wszystkich chłopów, którzy na własną rękę dzielili pańskie ziemie. Nie mogliśmy odgadnąć, kto zajmie Skajany; raz przyszli Kozacy, raz Czerkiesi, a niedaleko, w Rumunii, zbierały się kontrrewolucyjne wojska pod wodzą carskich generałów.

— Duszeńka! — rzekł stary Ostap, główny właściciel skajańskich ziem. — Rób, co uważasz za stosowne. Ja już jestem bardzo stary... nic nie rozumiem

z tego, co się dzieje. Zawsze był car... a teraz, jakaż to władza bez cara? O ziemię mnie nie pytaj, rozumiesz, że ja wam dobrowolnie jej nie dam. Ale w moim wieku... cóż mi po tej ziemi? nie wiem... Róbcie, co chcecie.

Kilka dni później wpadł do naszego domu drugi właściciel skajański, pan Rogacki. Od razu zaczął krzyczeć:

— Co ja słyszę? Co pan robi? Mnie donoszą... — po czym zamknął się z ojcem w gabinecie, skąd dochodziły gwałtowne krzyki i odgłosy uderzeń pięścią w stół. Staliśmy przerażeni w korytarzu, gdy otworzyły się z trzaskiem drzwi i ukazał się w nich Rogacki krzycząc:

— To jest obraza! Dostanie pan ode mnie rychło wiadomości, ale nie będą z tych, które pan lubi! — i wybiegł na podwórze, gdzie czekała jego bryczka.

— Niech wuj sobie wyobrazi... — rzekł ojciec, jakby usprawiedliwiając się przed dziadkiem Aslanem. — Z tym Rogackim trzeba mówić po polsku, ja powiedziałem „kwestia”, a on zrozumiał „bestia”! Chciałem mówić z nim o reformie rolnej, a on obraził się i wyleciał trzaskając drzwiami! Ludzie mu wszystko donoszą, już wie, że chodziliśmy ze skajańskimi gospodarzami po polach odmierzając działki i Stasik nawet wbijał paliki, aby je oznaczyć!

Takie i tym podobne wypadki jasno wykazywały trudności skomplikowanej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Postępowe poglądy ojca były znane w okolicy od dawna, ale to, co dawniej było tolerowane jako oryginalność, mobilizowało teraz wrogie uczucia, które przy odpowiedniej okazji mogły gwałtownie wybuchnąć. Z drugiej strony trudno było sobie wyobrazić, że nowa władza bolszewicka obdarzyłaby ojca zaufaniem, uznawszy za jednego ze swoich. Ojciec czuł więc potrzebę powzięcia jakiegoś postanowienia, skoro dawne życie się skończyło, a jeszcze nikt nie wiedział, jakie będzie życie nowe. Do tego dodatkowo spadł nam na głowę kłopot z Mlle Berthe, dawną moją nauczycielką, która tego roku była zaangażowana gdzieś w sąsiedztwie. Przerażona wypadkami, które przerastały jej zdolność pojmowania, powtarzała wciąż swą *idée fixe*: że chce wrócić do Francji. Nie mogliśmy dotrzeć do Kiszyniowa, mówił ojciec, a ona chce zajechać do Francji. Było to wtedy marzeniem ściętej głowy, ale Mlle Berthe upierała się przy swoim. Wreszcie aptekarz podjął się rozwiązać sprawę: zabrał Francuzkę do Tyrnowa i wpakował ją do przejeżdżającego pociągu towarowego, o którym nie było wiadomo, czy dojedzie do Drokii, ale Mlle Berthe pojechała szczęśliwa, jakby siedziała już w bezpośrednim ekspresie paryskim. Nie wiadomo jakim cudem, w czasach kiedy żadna poczta do nas nie dochodziła, przyszedł niespodzianie list od mamusi, która dalej przebywała w Zakopanem. Przez cały czas wojny ojciec starał się z nią porozumieć najróżniejszymi sposobami: kierował korespondencję przez kraje neutralne, przez Szwecję i nawet przez Szwajcarię, gdzie hiszpański król Alfons XIII zmontował biuro dla przekazywania listów rodzinom rozdzielonym przez wojnę. Biedna, osamotniona mamusia, wyczerpana fizycznie i nerwowo, pozbawiona została zupełnie środków do życia. Bez pomocy rodziny, bez pieniędzy, bez materiałów budowlanych, których podczas wojny nie można było dostać, stała się budowa domu w Zakopanem i mamusia więcej się tym martwiła niż własnym zdrowiem. Opisywała swą wdzięczność dla serbskiej rodziny Sulejman-Paściów, z którą szczerze się zaprzyjaźniła i która nie szczędziła jej pomocy moralnej i materialnej. List był wymiętoszony, posklejany kawałkami papieru i pełen skreśleń dokonanych czarną farbą drukar-

ską. Wpadł w nasze względnie spokojne życie jak bomba. Nic jeszcze nie było postanowione, ale czuliśmy wszyscy, że serce nas ciągnie do dalekiej, opuszczonej mamusi. Gdy raz biegłem przez salon, natknąłem się na zebranych starszych, którzy o czymś poważnie rozmawiali. Wydało mi się, że mowa była o wyjeździe ze Skajan, ale osiadłszy Muc czekał na mnie przed stajnią i nie chciało mi się zastanawiać, co to może znaczyć. Te poważne problemy, mogące zmienić zupełnie bieg mojego życia, nie docierały wtedy do mojej świadomości. To, że znaleźliśmy się wówczas na rozdrożu, zrozumiałem dopiero o wiele później, gdy będąc już w Polsce rozmyślaliśmy z ojcem o przeszłych czasach i „straconym raj”. Zjeżdżali się tymczasem do Skajan różni właściciele ziemscy z okolicy — lub niekiedy nawet jakiś adwokat czy lekarz z Bielc. Odbываły się wciąż narady, ciocia nosiła tace pełne zakąsek i karafeczki z wódką, gdyż wina po odjeździe Czerkiesów nie została ani kropla. Raz pan Kajetan pożarł się strasznie z dziadziem Asłanem i nie bacząc na nierówność sił, wymachiwał pięścią przed jego podobnym do bakłażana nosem. Niektóre osoby uważały ojca za „niebezpiecznego socjalistę”, lecz mimo niechęci podtrzymywały z nim stosunki „na wszelki wypadek”. Pewnego razu ojciec podsumował całą tę gadaninę:

— Są tylko dwie jasne postawy życiowe: zostać i pomagać tym, którzy chcą zaprowadzić w Rosji nowy, lepszy system polityczny, albo wyemigrować, jeżeli ktoś do postępowej ideologii nie może się nagiąć.

W naszej sytuacji wybór nie był łatwy. Znaczył on, że albo mamusia ma do nas na Besarabię wrócić, a to ze względu na jej zdrowie wymagające zakopiańskiego klimatu było chyba niemożliwe, albo że my pojedziemy do Zakopanego, to zaś było równoznaczne z emigracją za granicę, z wszystkimi konsekwencjami nieznajomości kraju, obyczajów i społeczeństwa.

— Na mnie nie liczcie, ja się stąd nie ruszę! — zdecydował dziadzio Asłan.

— Ani na mnie! — dodał wuj Teofil.

Trudną decyzję odłożono więc na później, natomiast teraz należało coś szybko postanowić, aby uniknąć niebezpieczeństwa band zbrojnych, które korzystając z tymczasowego bezkrólewia grasowały po okolicy. Bywały już u nas próby napadu, na szczęście zażegnane dzięki interwencji chłopów. Ale gospodarze, którzy przyszli oglądać nasz dom, drzwi i okna, orzekli, że ta gliniana chałupa jest nie do obronienia i że zanim się dowiedzą o ewentualnym napadzie, już będzie po wszystkim. Ojciec zdecydował więc, że „na razie” przeniesiemy się do tyrnowskiego pałacu o solidnych kamiennych ścianach i grubych drzwiach dębowych. Wynikła jeszcze sprzeczka między dziadziem, który chciał pozostać, a ojcem, który postanowił zabrać ze sobą najważniejsze, najpotrzebniejsze przedmioty z domu, chcąc u wuja Teofila urządzić się „we własnych meblach”. Zabraliśmy się wobec tego do roboty. Część narzędzi podarował ojciec zięciowi Popowiczki, zwanemu Wachą; szafkę z nutami na fortepian ofiarował popowi. Inne rzeczy ładowaliśmy na szarabany, stojące rzędem przed domem. Zabraliśmy pudełka z kolorowymi i białoczarnymi fotografiami, wielki czarny kilim, samowar Bataszewa, złożone kandelabry, srebro stołowe, atlas Kozena, różne pudełka i wyroby domowego rękodzielnictwa... i niewiele więcej. Wiadomość o naszym wyjeździe rozeszła się po wsi i gospodarze przyszli odradzać ojcu wyjazd. Dom się napelnił, jedni siedzieli na złożonych w kupę meblach i rajcowali, inni pomagali ładować. Nagle rozległ się trzask: przy ładowaniu nikomu niepotrzebnej umywalki stłukło się lustro.

— Po cóż mi ładujecie rzeczy, których nie potrzebuję! — krzyknął ojciec, wściekły. — A teraz co? Zbite lustro to nieszczęście przez siedem lat! — Zapanowała cisza.

— Niech na mnie to nieszczęście spadnie! — zabrzmiał głos sprawcy.

— Bo i po co wyjeżdżacie, kto was wyrzuca? — rzekł inny z gospodarzy. Kilku z nich zwróciło się do mnie:

— Ty urodziłeś się na naszej ziemi, ty jesteś bratem naszych dzieci! Ty kiedyś wrócisz! A gdy wrócisz, zawsze między nami znajdziesz swoje miejsce!

Brzmia mi w uszach jeszcze do dziś te przyjazne słowa.

Ale już był czas jechać; wsiadłem na kozacką kobyłę, ojciec na Tarkuna, ciocia z Lolą i babcią Władysławą do czarnego faetonu. Przed nami sunął długi łańcuch szarabanów, załadowanych najróżniejszymi przedmiotami, pośrodku szpaleru wyległych ze wsi ludzi, kiwających nam na „do widzenia”. Byli tam chłopcy, moi towarzysze. Poskoczył do mnie Jakub i ofiarował mi swój wspaniały scyzoryk o czterech ostrzach. Zwinęła w kłębek na posłaniu, załana łzami, została w domu moja kochana mamka Popowiczka. Sroka, przestraszona przesuwaniem mebli, znikła gdzieś w ogrodzie... Skajany zostały w dali, zmniejszały się białe chaty wioski pod wielkimi strzechami, aż stały się tylko jasnymi punktami na horyzoncie... Opary i mgiełki jesienne zaciągały zwiewną zasłonę, zamieniając w czas przeszły to, co było dotąd moją teraźniejszością... zasnuwając welonem nostalgii step besarabski, pola słonecznikowe, postaci serdecznych i dzielnych chłopów mołdawskich... całe to jędrne, barwne i porywające życie na szerokiej mołdawskiej ziemi; to życie, które mnie wymodelowało, a teraz zostawało za nami — może bezpowrotnie...

### Uciekinierzy w tyrnowskim pałacu

Kiedy przybyliśmy do pałacu w Tyrnowie, było tam już bardzo wiele osób. Różni właściciele ziemscy z okolicy zebrali się z rodzinami, aby pod opieką pana Teofila przeżyć ciężkie czasy. Pierwsze piętro i pokoje gościnne były przepełnione. Urządziliśmy się w sali bilardowej i sąsiednim pokoju, gdzie położono dla mnie materac na ziemi. Mieszkali też w pałacu oficerowie z wojskowego pociągu sanitarnego generała Ambroziewicza, doktora medycyny i ojca świetnej pianistki Jeleny, która grała na fortepianie Mahoniu. Ta różnoraka zbieranina napełniała dom hałasem i wesołością. Jedni wyjeżdżali na spacer konno, żeby korzystać z wiejskiego zdrowego powietrza. Inni zbierali się w bibliotece, gdzie czytali książki i dzielili się wrażeniami z lektury podczas długich dyskusji. Inni popijali wódkę i dyskutowali o „polityce” albo siedząc dookoła zielonego stołu grali w wista lub winta. Wielu wolało wskrzeszać tradycje koncertów w Tyrnowie. Ale gdzież było teraz szukać dawnych artystów? Brakło profesora Horra. Niemy stał Heban, na którym nikt nie odważał się grać pod nieobecność mistrza. Zmieniały się przy klawiaturze Mahonia ciocia Modzia i pani Jelena.

Generał Ambroziewicz był już staruszkciem. Siwe włosy i broda okalały jego różowe policzki. Lekarze i aptekarze pociągu sanitarnego traktowali go z najwyższym szacunkiem, salutując, stukając obcasami i stając przed nim na baczność. Generał był tak staranny i czysty, że wprowadzał mnie w osłupienie. Używał chustek do nosa tylko raz. Zamiast trzymać je w kieszeni

zwinęte byle jak, nosił je złożone w sposób skomplikowany, jak serwetki. Żeby wysiąkać nos, metodycznie rozwijał chusteczkę. Potem składał ją w ten sam sposób i przekładał do lewej kieszeni swej wojskowej bluzy. Z prawej kieszeni wyciągał nową chustkę, ślicznie wyprasowaną, znów zaczynał tę samą operację i tak przez cały dzień. Zawsze leżały u niego w pokoju stopy chustek: albo przygotowanych do prania, albo wypranych.

Pani Modesta, przyzwyczajona do prowadzenia kuchni, spiżarni i domu w Skajanach, kręciła się znudzona po korytarzach i salach pałacu, nie wiedząc, czym się zająć. Wyszukała sobie stolik w salonie, gdzie piło się kawę, i zaczęła stawiać swoje ulubione pasjanse: „Krzyż i półksiężyc”, „Inwazja napoleońska”. Zobaczył to generał, zbliżył się i zaledwie ciocia rozłożyła karty, zaczął je obracać, żeby leżały wszystkie w odpowiednim kierunku. Ciocia nie odważyła się protestować przeciw tej interwencji ani też kłaść pasjansa, żeby nie obrazić pocziwego generała, który poprawiał prostopadły układ obrazów i symetrię przedmiotów na półkach, nie zrażając się ludzkim brakiem szacunku dla geometrycznego porządku rzeczy.

### Napad na tyrnowski dwór

Kipiący od politycznych dyskusji, zabaw i gier pałac wznosił się pośród cichej i spokojnej wsi tyrnowskiej. Schronieni w nim uciekinierzy prowadzili własne, oderwane od spraw całego kraju życie, jak pasażerowie okrętu, którzy nie zanurzwszy się w wodzie, chcą przepłynąć bezpiecznie przez fale rewolucji. Przelatywali przez wieś konno, wierzchem lub w powozach, galopem, starając się nie zatrzymywać. Jedynie wuj Teofil i ojciec utrzymywali stały kontakt z chłopami.

Pałac był nabit uciekinierami, wciąż ktoś wchodził czy wychodził do parku, do stajni czy w stronę zabudowań gospodarskich — i nikt nie dbał o to, by zamknąć drzwi albo okiennice. Wchodził i wychodził kto chciał, o każdej porze dnia, a nawet nocy. W tych okolicznościach nastąpiło nieoczekiwane zdarzenie.

Była druga w nocy i spałem głęboko w pokoju na pierwszym piętrze. Ojciec został na dole z aptekarzami, z którymi grał w wista. Nagle zbudziłem się, potrząsany przez Lolę:

— Słyszysz te krzyki? — jęknęła. — Coś strasznego się tam dzieje!

Nastawiłem uszu: słychać było jakieś hałasy, ale przy takiej ilości ludzi nagromadzonych w pałacu nie było możliwości rozróżnienia ich. Nagle zabrzmiał ochrypły głos, który wydawał się pochodzić z dołu:

— Gawryło! Gawryło! Gdzie jesteś?

Nie przypominałem sobie żadnego Gawryły w domu. Otworzyły się drzwi i wszedł ojciec. Zamknął je na klucz i zaczął szybko wyciągać z kieszeni jakieś paczki, które wpychał pod mój materac.

— To pieniądze Teofila — powiedział cicho. — Jeżeli wejdą tutaj bandyci, połóżcie się na łóżku i płaczcie.

Wyszedł zaraz, zostaliśmy sami. Miałem dreszcze, a Loli szczękały zęby. Posłyszeliśmy znów krzyki i strzały. Pożerała mnie ciekawość i nie mogąc dłużej wytrzymać, odepchnąłem Lolę i wybiegłem na korytarz. Było tam całkiem ciemno, ale odbłask dalekich światłał znaczył kontury przedmiotów. Zszedłem ostrożnie po schodach i posłyszawszy hałas w gabinecie wuja, zbli-



żyłem się do drzwi, żeby zajrzeć przez szparę. Drzwi otworzyły się nagle, uderzając mnie w głowę, a z pokoju, przeskoczywszy przeze mnie, wyszli dwaj żołnierze i ciężkim krokiem pomaszerowali przez korytarz, kierując się do jadalni. Przytrzymałem opadające spodnie, źle zapięte w pośpiechu, i pobiegłem za nimi, pędzony ciekawością. Zatrzymali się w jadalni, żeby zjeść ciastka pozostawione na stole. Potem, schowawszy parę srebrnych łyżek do kieszeni, poszli do małego salonu, gdzie na stołach do gry, opuszczonych w pośpiechu, płonęły świece, oświetlając smutny, pełen cyprysów pejzaż Böcklina w złotej ramie. Napełnili kieszenie pieniędzmi znalezionymi na stołach i zaraz potem udali się do dużego salonu.

Zostałem sam w otaczającej mnie nocnej ciszy. Słyszać było tylko pryskanie knotów, gdyż świece właśnie się dopalały, rozlewając strumyki rozpuszczonej stearyny na zielone sukno. Nie odważyłem się, mimo ciekawości, zajrzeć, co robili bandyci w wielkim salonie.

Posłyszałem nagle jakiś dziwny hałas... za moment powtórzył się znowu. Przylepiłem ucho do drzwi. Wyglądało na to, że jakiś wóz jeździł po salonie. Prawie w tym samym momencie rozległy się okrzyki radości! Zebrawszy całą odwagę, nacisnąłem klamkę i spojrzałem przez szparę.

Niezwykły obraz przedstawił się moim oczom. Jeden z żołnierzy siedział w fotelu z kółkami, a drugi, popychając z tyłu, woził go po błyszczącej posadzce. Przystanęli na mój widok:

— Chodź no tutaj, mały! — rozkazali.

Niewiele myśląc, chwyciłem za oparcie i śmiejąc się razem z moimi nowymi towarzyszami zabawy popychałem fotel, który po salonie sunął tak gładko jak sanki po śniegu. Ładną minę byłby zrobił wuj Teofil, gdyby zobaczył rysy, jakie tworzyły się na ciemnej posadzce. Kiedy byliśmy u szczytu radości, dały się słyszeć jakieś głosy:

— Gawryło! Gawryło!

Żołnierze, przerywając jeżdżenie, zabrali swoją broń i nie zajmując się mną więcej wyszli z salonu do biblioteki.

W bibliotece światło wiszącej lampy naftowej wydobywało z mroku złocene grzbiety książek ustawionych na półkach. Żołnierze przystanęli na widok takiej ilości złota. Oparli karabiny o ścianę i zabrali się do wyciągania najgrubszych tomów, obracając je na wszystkie strony i nie otwierając ich, jakby to były sztaby złota. Ukazała się jakaś głowa w ciemnym kącie i czyjaś ręka popełzła jak ślimak w stronę karabinów. Poznałem Witę, specjalistę od kotów, który spał na sienniku w bibliotece, jako że wszystkie pokoje były przepełnione. Moje spojrzenie zdradziło go żołnierzom.

— Poszoł won! — krzyknął jeden z nich, rzucając w niego książką. Jak przestraszony ślimak Witia schował się do swego kąta.

Obładowani książkami, żołnierze ruszyli, bardzo zadowoleni z łupu, w stronę drzwi prowadzących do parku.

— Gawryło! Gawryło! — raz jeszcze dał się słyszeć głos trzeciego kompana, który wybiegł za przyjaciółmi.

Przez drzwi pozostawione otworem napływało chłodne nocne powietrze. Wróciłem do małego salonu. Poruszyły się firanki, zaskrzypiały szafy i zaczęli z nich wychodzić ci, którzy się tam pochowali.

— Poszli już? — pytali bojaźliwie.

Przebiegłem inne pokoje, szukając ojca, aby mu opowiedzieć o moich wyczynach. Wszędzie było widać ludzi w bieliźnie i nawet Witia wylaźł ze swojej kryjówki.

Zaledwie zdołaliśmy odzyskać spokój, kiedy zdarzyła się nowa niespodzianka. Byłem na korytarzu, gdy nagle rozpętała się burza strzałów, której ogłuszający huk w nocnej ciszy rozbrzmiewał szczególnie donośnie. Nadbiegł ojciec i wepchnął mnie za kufer. Odgłosy strzałów rozlegały się na pierwszym piętrze, kule gwizdały po klatce schodowej. Uciekliśmy do jadalni, przemykając się pod ścianami. Było tam wiele osób, które pokrzykiwały i lamentowały w obliczu nowego niebezpieczeństwa.

— Bandyci są na górze — zawołał ktoś zdławionym głosem. — Okradają sypialnię! Ci dwaj żołnierze przyszli tylko na zwiady. Teraz dopiero zacznie się właściwy atak!

— Żebyśmy tak mieli broń... — jęknął ktoś płaczliwie.

W tym momencie otworzyły się z trzaskiem drzwi i wpadła zwarta grupa atakujących z groźnymi minami i dymiącymi jeszcze rewolwerami w garści. Stanęli z wycelowanymi w nas lufami.

— Iiii... — pisnęła jakaś gruba matrona i zemdlała, wywracając z łaśsem krzesło. Inne panie w najwyższej panice zaczęły wzywać wszystkich świętych.

— Bandyci! Poddać się i prosić o łaskę! — wrzasnęli atakujący, wywołując tym szalone zdumienie.

Nagle zdałem sobie sprawę, że nowo przybyli to przecież nasi znajomi aptekarze z pociągu sanitarnego.

— Ależ, na miłość boską, to wy? — zawołał Teofil Antonowicz nie posiadając się ze zdumienia. — Cóż wam do głowy strzeliło! Przecież to my, nie żadni bandyci!

— Tak, ale bandyci mogli ukryć się między wami! — odpowiedział jeden z nich. — Nasze studia wojskowe pozwoliły nam ocenić napad jako bardzo niebezpieczny. Ukryliśmy się na schodach, aby mieć korytarz pod ostrzałem i odciąć przeciwnikowi drogę ucieczki. Tylko dzięki naszej przedsiębiorczości wszyscy się uratowali!

Opuścili wreszcie rewolwery i poszli sprawdzić, czy bandyci rzeczywiście wyszli przez ogrodowe drzwi. Po chwili osłupienia pośród obecnych wybuchło oburzenie. Słysząc było ironiczne komentarze, zebrani wykrzykiwali żywo gestykując.

— Widzieliście bohaterów! Uciekli, żeby się schować na piętrze. Tchórze! A teraz, żeby nas oszukać, wymyślili tę komedię. Szczęście, że nikogo nie zranili!

— Cicho! Dość już tego — powiedział ojciec. — Proszę zobaczyć, czego komu brakuje i co zabrali napastnicy.

Znikły pierścionki pani Jeleny, pieniądze, które były na stołach do gry, kilka srebrnych łyżek i książki z biblioteki. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że sprawcami kradzieży nie byli prawdziwi bandyci przebrani za żołnierzy, lecz żołnierze, którzy chcieli zabawić się udając bandytów. Nadeszli wreszcie chłopci ze wsi, których pobiegła budzić przestraszona służba. Postanowili zostać aż do świtu i zabrali się do zamykania drzwi i okiennic.

Kiedy zostaliśmy sami, uśmiechnął się ubawiony pan Teofil.

— Chwała Bogu, nic się nie stało. Ja sobie użyłem. Od wielu lat już nie uśmiełem się tyle co teraz z tych „dzielnych aptekarzy”. A książki? W gruncie rzeczy cieszę się, że zabrali je ci żołnierze. Może ich to zachęci do czytania i nauki — i może kiedyś staną się porządnymi obywatelami, czego im szczerze życzę.

## Las z bandytami

Wiele razy słyszałem — w rozmowach ojca, wuja Teofila, dziadzia Asłana i innych poważnych panów — to proste i wciąż powracające pytanie: — Co robić? — Sytuacja komplikowała się coraz bardziej, ustał zupełnie handel bydłem i zbożem, nawet bryczawscy Żydzi nie chcieli nic kupować ani sprzedawać. Ustały prace w polu, każdy obsiewał tylko mały kawałeczek ziemi, tyle ile sam potrzebował. Wuj był zmartwiony, zastanawiał się co robić z mlekiem i masłem, których nikt nie chciał. Opróżnił obory, porozdawał krowy chłopom. Dondiuszańską stadninę uprowadził jakiś oddział wojskowy, który jak meteor przeleciał przez okolicę. Gimnazja stały zamknięte, ja już straciłem cały rok, teraz ojciec się trapił, że stracę rok drugi. Komplikowało to w ogóle cały problem moich przyszlých studiów.

— Zdaj sobie sprawę, Teofil! — mówił ojciec. — Zostać to znaczy porzucić myśl o studiach! On chce być inżynierem, trzeba by przenieść się do Odessy lub Charkowa... w tych warunkach ja nie mam żadnej możliwości!

Powoli, boleśnie, jak narywający czyrak tworzyła się decyzja opuszczenia Besarabii i wyjazdu za granicę. Gdy gruchnęła wiadomość o podpisaniu zawieszenia broni w Brześciu Litewskim, ojciec zaczął przypuszczać, że przedostanie się przez granicę będzie możliwe. Ale czy Polska już istniała? A skąd wziąć potrzebne papiery i paszporty, bez których nie można było podróżować? W każdym razie dalszy pobyt w pałacu tyrnowskim, w otoczeniu tych wszystkich obywateli ziemskich narzekających i rozgoryczonych, wydawał się ojcu trudny do zniesienia. Zdecydował więc, że przeniesiemy się do Sorok, miasteczka portowego nad Dniestrem.

— Jakżeż dostaniecie się do Sorok? — zawołał wuj Teofil rozkładając ręce. — Po drodze jest Las Czarnodębski, a tam ukrywają się bandyci! Oskubią was do goła... jeżeli nie zabiją!

Usłyszał to generał Ambroziewicz i zapewniając, że bandyci nie odważą się zaatakować samochodów wojskowych, zaofiarował ojcu swój osobisty automobil i służbowy *gruzownik*, które towarzyszyły jego sanitarnemu pociągowi. Nasze rzeczy i meble zostały podane nowej selekcji i raz jeszcze odłożyliśmy przedmioty trudne do przewiezienia. Wczesnie rano, podczas gdy pożerałem oczami automobil generała, zebrali się wszyscy przed dworem, by nas pożegnać. Dziadzio Asłan, wuj Teofil i inni stali milcząc. Ciocia Modzia i Lola płakały. Ojciec sprawdził jeszcze raz, czy wszystkie kufry, walizki i meble załadowano na ciężarówkę. Gdy wuj mnie uściśnął, szepnął mi do ucha:

— Do prędkiego zobaczenia! Ja bez was długo nie wytrzymam!

Automobil ruszył wśród okrzyków pożegnalnych. Siedziałem koło kierowcy i byłem tak pochłonięty obserwowaniem wszystkiego, że nie pomyślałem nawet o krewnych i przyjaciółach, którzy zostawali w Tyrnowie i z których wielu nie miałem już nigdy zobaczyć. Wysylabizowałem markę samochodu, napisaną łacińskimi literami: Fiat. Obok kierownicy wznosił się pulpit na jednej nodze, pefen przełączników, guzików, dźwigniek i niklowanych śrubek. Rychło znaleźliśmy się na drodze, poza wsią. Kierowca poruszał lewarkami, naciskał pedały, wykonywał ruchy dla mnie niezrozumiałe. Automobil, za którym trzymała się w niewielkiej odległości ciężarówka, sunął gładko i niewiarygodnie szybko. Trawy po obu stronach drogi przela-

tywały z prędkością ekspresu, lecz kurzu nie było. Po kilku godzinach takiej jazdy ciocia Modzia wyciągnęła koszyczek, rozłożyła serwetki i rozdała nam buterbrody z kielbasą. Poczęstowała też kierowcę, który zaczął zjadać ze smakiem, prowadząc tylko jedną ręką.

— Ostrożnie! — zawołała przerażona ciocia. — Stój! Ja wysiadam!

Ojciec się roześmiał i uspokoił ciocię w oryginalny sposób:

— Tak! Będiesz teraz wysiadać, kiedy zbliżamy się do lasu bandytów!

Ciocia ucichła, a ojciec zwrócił się do kierowcy:

— Daj gazu i wal, ile możesz, aby bandytom było trudno w nas trafić!

W wieczornym świetle las wydał mi się groźny i ciemny. Drzewa, zrazu niewielkie i rzadkie, stawały się coraz gęstsze i wyższe, przypominały mi gigantyczne orzechy w caulskim ogrodzie botanicznym. Grube pnie spowijał gęstniejący mrok, w którym kryło się niebezpieczeństwo. Motor huczał, automobil podskakiwał na wybojach, lecąc z maksymalną szybkością. Zobaczyłem jakichś ludzi na brzegu drogi.

— Nie stawaj! — krzyknął ojciec do kierowcy. — Tylko nie stawaj!

Przelecieliśmy jak strzała. Raptem posłyszałem gwizd kul, potem wystrzały i z brzękiem rozleciała się boczna szyba. Wnet grzmiot motoru zagłuszył wszystkie inne hałasy, zresztą bandyci zostali tak daleko w tyle, że wyglądali jak muchy na drodze i już nie było co się obawiać ich strzałów. Drzewa zaczęły rzędnąć, potem rozstępować się i wylecieliśmy z lasu na otwarte pole jakby wyrzuceni z armaty. Przed nami na stepie widniała droga prosta jak cięcie szabłą. Po tych emocjach opanowała mnie senność i nie wiem już, jak dojechalismy do Sorok. Zmuszono mnie do wygramolenia się z samochodu, wprowadzono do jakiegoś domu, gdzie świeciły się elektryczne żarówki, ułożono do spania. Gdy zbudziłem się następnego dnia, znalazłem się raptem w całkiem nowym dla mnie świecie.

### Szewski terminator

Doktor Sardow, właściciel domu, był lekarzem. Nieduży, kostyczny człowieczek, na każdym kroku objawiał swój surowy i pedantyczny charakter. Pokoje, które zajmowaliśmy, miały oddzielne wejście i doktor pokazał mi miejsca, gdzie mogłem się swobodnie poruszać: wychodek, szopę pełną bezużytecznych rzeczy i ogród. W połowie ranka usłyszałem wesoły śmiech i szelest sukni. Była to Lolita, córka doktora Sardowa. Ucałowała mnie i zaraz poczułem do niej żywą sympatię.

— Nie przejmuj się... — powiedziała do mnie. — Mój ojciec jest już taki, ale nie zwracaj na to uwagi. Jeżeli ci czegoś zabroni albo nakrzyczy, powiedz mi, a ja ci wszystko załatwię.

Dom doktora Sardowa stał na ulicy Dworianskiej. Spotykało się na niej kupców, wojskowych, urzędników i w ogóle osoby poważne. Uczęszczana była też inna ulica, równoległa, o nazwie Dubowaja, gdzie w niedzielę przechadzała się młodzież. Roje pociągających dziewcząt, ładnie ubranych, spacerowały tam grupkami, a za nimi szli chłopcy, wybuchający co chwila śmiechem i głośno mówiący, tak żeby dziewczęta ich słyszały. Dzięki młodzieży panowała tu atmosfera ożywiona, wesoła, która mnie urzekła. Tam też spacerowała Lolita, a i ja poszukałem sobie odpowiedniej grupy, aby się do niej przyłączyć.

— W Skajanach też była tłoka. Nie rozumiem, dlaczego tak się zachwycasz tutejszymi spacerami — powiedział ojciec.

Ale dziewczęta z Sorok wydawały mi się dużo bardziej pociągające niż skajańskie i znów pobiegłem na ulicę Dubowaja.

— Spacerować, żeby się nie uczyć, albo uczyć się, żeby nie pracować — powiedział doktor Sardow z pogardliwą miną. — Tego to chce młodzież dzisiejsza.

Nazajutrz ojciec rozkazał mi surowym tonem:

— Jutro zaczniesz pracować jako terminator u szewca Grigorija. Żebyś się nauczył, że życie to rzecz poważna. Nie polega na spacerowaniu — dodał.

Co rano szedłem więc naprawiać buty. Grigorij był stary, wąsаты i zgorzkniały. Nie było sposobu, żeby go skłonić do uśmiechu. Spędzał cały ranek na gderaniu, szukając okazji, żeby mi dać szturchańca, jak to miał w zwyczaju. W warsztacie panował bałagan i wstrętny zaduch, a po kątach leżały stosy obrzynków skóry i starych butów.

— To, co czuć, to skóra na buty — mówił Grigorij do mnie i do innych terminatorów. — Wdychajcie ten zapach, bo dzięki niemu mamy co jeść.

W domu mieliśmy też buty ze skóry, ale nie śmierdziały tak bardzo.

Wiele butów przynoszono z taką furą błota przyczepioną do podeszew, że więcej roboty było z ich czyszczeniem niż z naprawianiem. Większa część miała podarte podeszwy, zdarte nosy lub wykręcone obcasy. Raz przynieśli nam buciki jakiejś młodej elegantki. Zdumiałem się na widok tak wysokich obcasów. Była też z nimi robota! Grigorij był zaskoczony, skrobał się za uchem pod swoją nieśmiertelną tłustą czapkę. Obcasy zrobiono z mnóstwa małych kawałków skóry, przybitych jeden na drugim. Jak się mogła utrzymać podobna piramida?

Polubiłem szewską robotę i robiłem szybkie postępy. Pewnego dnia przyszedł ojciec do warsztatu.

— Słuchaj no, Grigorij — powiedział zdziwiony. — Widzę, że mój chłopiec szyje już nowe buty, a ty mówiłeś, że nadaje się tylko do łatania starych.

Grigorij się zmieszał i zaczął coś tam mruczeć pod wąsem.

— No dobrze! — powiedział ojciec. — Bardzo się cieszę. Niedługo już stąd wyjedziemy, niechże więc chłopiec zrobi parę bucików dla mojej żony, numer trzydzieści sześć.

Na drugi dzień zacząłem więc szyć pod kierownictwem Grigorija parę bucików dla mamusi! Biedna, była wciąż w Zakopanem; nie wiedziała jeszcze, jaki to piękny prezent zamierzałem jej zawieźć. Ponieważ zbliżało się lato, wybraliśmy brązowe płótno, żeby zrobić letnie pantofelki. Zszyłem materiał, skroilem podeszwy z najlepszej skóry, jaka wówczas była, i zamiast używać pospolitych gwoździ — zbilem je jesionowymi kołeczkami na kleju. Była to para bucików uważanych za bardzo eleganckie w owym czasie. Pracowałem nad nimi cały tydzień i na koniec wyczernilem podeszwy przypalonym woskiem. Buciki, zawinięte w bibułkę, zrobiły w domu doskonałe wrażenie.

— Świetnie — powiedział zadowolony ojciec. — Już umiesz dość! Od jutra rana przestaniesz chodzić do warsztatu Grigorija. Teraz się będziesz uczył gramatyki i historii Polski, gdyż niedługo wyjedziemy z Sorok.

**Pan  
Woldemar**

Powoli organizowało się nasze życie w Sorokach. Ojciec chodził do różnych biur i do Uprawy\*, starając się uzyskać dokumenty potrzebne na wyjazd za granicę. Ciocia urządziła spiżarnię, kuchnię i całe gospodarstwo domowe. Był z nami Adam, lokaj z Tyrnowa, mający zajmować się sprzątaniami i podawaniem do stołu. Ojciec poszukał nauczyciela dla mnie i doszedł do wniosku, że już czas, żebym zaczął czytać poważne książki. Przyniósł mi jedną o dziwnym tytule: *Don Kiszot*. Z początku wydawała mi się nudna, ale z czasem, gdy przyzwyczałem się do czytania, polubiłem przygody Rycerza o Smutnej Twarzy. Poznałem to nieśmiertelne dzieło Cervantesa w wydaniu kijowskim, po rosyjsku.

Przez cały ten czas rewolucja robiła postępy w całym kraju i dochodziły nas sensacyjne wiadomości: generałowie Kołczak, Wrangel i Denikin rozpoczęli ofensywę przeciw bolszewikom! Car z rodziną zostali zamordowani na Syberii! Lud rosyjski popiera rewolucję! Generałowie carscy cofają się!

Podczas kiedy wszyscy komentowali te wypadki, ja uczyłem się polskiego z nowym nauczycielem, panem Woldemarem. Był to bardzo dobry człowiek, amator kartoflanki, który urodził się po to, żeby zadowalać bliźnich. Wkrótce się w tym zorientowałem i zacząłem go wykorzystywać. Znudzony lekcjami przy stole, z nieodzownymi zeszytami, książkami i atramentem, wymyśliłem lekcje na gałęzi drzewa. Na podwórzu domu doktora Sardowa rósł ogromny wiąz, z potężnymi, pokręconymi gałęziami. Wy tłumaczyłem nauczycielowi, że mój umysł pracuje dużo lepiej na wysokościach, w czystym powietrzu. Siadałem na trzeciej gałęzi i biedny pan Woldemar biegał dookoła pnia, zadzierając ku mnie głowę i krzycząc:

— Słyszysz mnie? Zdanie składa się z następujących części: podmiot, orzeczenie, dopełnienie...

A ja starałem się odłamać jakąś suchą gałąź, żeby mu spadła na głowę.

Pan Woldemar zdawał sobie sprawę z tych nadużyć, ale nie chciał sprzeciwiać się moim kaprysom. Pewnego dnia ojciec przyłapał nas w tej sytuacji. Bardzo się rozgniewał i krzyknął:

— *Czort wozmi!*

Potem zagroził, że wymówi panu Woldemarowi posadę. Przerażony, wdrapałem się wysoko, żeby się schować w liściach. Ale rzeczy jakoś się ułożyły i pan Woldemar zachował swoją posadę. Ja jednak dostałem rozkaz zgłoszenia się do warsztatu introligatorskiego, „żebym nauczył się brać życie na serio”. Zacząłem więc pracować jako terminator, a po południu miałem lekcje z panem Woldemarem; uczyłem się siedząc przy stole, pod uważnym spojrzeniem ojca.

Oprawianie książek bardzo mi się spodobało, i to, co miało być karą, okazało się rozrywką. Introligator był jednooki, nosił fartuch tak nasiąknięty karukiem, że stwardniał jak blacha i śmierdział padliną. W warsztacie było mnóstwo przyrządów, pras, aparatów do zszywania kartek, okrągłych noży do obcinania kątów książek, gilotyn, nożyc, puszek z różnymi klejami, pędzli — i stosy kolorowych papierów. Byłem zachwycony i tak się przykładalem do roboty, że wkrótce umiałem oprawiać książki nawet dosyć grube.

---

\* Uprawa (ros.) — Państwowy Urząd Ziemiański

— Tatusiu! — zawołałem z dumą któregoś dnia. — Możesz już dać mi słownik, o którym mówiłeś, ja ci go oprawię.

Ojciec wręczył mi słownik rosyjsko-niemiecki i inne, które później zaginęły podczas naszych wędrówek po Europie. Odziedziczyłem jeden z nich i mam go do dzisiaj. Postarzały się w nim zwroty i wyrażenia, ale oprawa i okładka do dzisiaj są tak solidne jak w czasie naszego pobytu w Sorokach.

Pan Woldemar był kawalerem i mieszkał z matką, panią bardziej grubą niż wysoką, a do tego głuchą; od jej potężnego, męskiego głosu trzęsły się szyby w oknach. Pan Woldemar otaczał ją synowską troskliwością, która wówczas wydawała mi się śmieszna, a którą teraz podziwiam. Znosił cierpliwie wszystkie jej kaprysy, prowadził ją pod rękę, kiedy szła na zakupy, towarzyszył jej na wizytach i chodził z nią na katolickie nabożeństwa do kaplicy. W niedzielę, kiedy wszyscy już siedzieli w ławkach, z dziedzińca dobiegały jej krzyki:

— Uwważ, Woldemar, nie leć tak prędko!

Otwierały się drzwi i wchodziła pani prowadzona pod rękę przez syna. W prawej ręce miała laskę i za każdym krokiem uderzała nią w drewnianą podłogę, wywołując głuchy huk w całej kaplicy. Pan Woldemar szukał miejsca, żeby matkę wygodnie usadzić.

— Nie! Tutaj nie! — grzmiała na cały głos. — Koło tej jędzy za nic!

Biedny syn czerwieniał, błądł, przepraszał „jędze” i starał się posadzić mamę na możliwie najlepszym miejscu. Potem siadał koło niej i oddychał z ulgą. Pewnie sobie myślał: „No, skończyły się moje kłopoty”.

— Woldemar! Módl się! — rozkazywała matka.

Nie dało się myśleć o czymkolwiek innym, wszyscy zwracaliśmy głowy w ich stronę, żeby zobaczyć, co robi Woldemar.

— Woldemar! — huczała dalej pani. — Uklęknij! Odmów *Ojcze nasz*.

I biedny Woldemar, kochający, pokorny syn, klękał i głośno odmawiał modlitwę.

Po powrocie do domu jak zwykle śmialiśmy się i kpili z pana Woldemara. Ojciec spoważniał, zamilkł na chwilę, po czym zwrócił się do mnie:

— Chciałbym, żebyś był tak dobrym synem dla twojej mamusi jak pan Woldemar dla swojej.

## W Sorokach

W kilka zaledwie tygodni po naszym zainstalowaniu się u doktora Sardowa przyjechał nagle do Sorok mój wuj Teofil Antonowicz. Ucieszyłem się niepomrotnie, gdyż było mi go brak przez cały ten czas — kochałem go bardzo.

— Kochany wujku! — wykrzyknąłem uradowany. — Zostań z nami!

Wuj spoważniał nagle i wskazał ręką na wozy, które przejechały, ciągnięte przez najlepsze rysaki. Na wielkim czarnym pudle faetonu piętrzyły się stosy kufrów i waliz.

— Opuściłem moje ukochane Tyrnowo na zawsze — powiedział i całując mnie, dodał: — Teraz już tylko śmierć nas rozdzieli.

W powitalnym rozgardiaszu słowa te przeszły mimo uszu, ale parę miesięcy później nabrały proroczego i złowrogiego znaczenia.

Zaczęliśmy wyładowywać faeton, ja nosiłem walizki do domu. Wkrótce

powstał z nich taki stos, że nie mieścił się w sieni. Ojciec poszedł do doktora Sardowa, żeby wynająć parę pokoi więcej oraz dużą stajnię dla tyrnowskich koni. Po południu nadjechały jeszcze dwa szarabany. Śmiech i liłość budziły te piękne konie z tyrnowskiej stadniny, przyzwyczajone do lakierowanej uprząży z herbami i rozetami ze srebra, zaprzężone przy pomocy roboczych chomąt i konopnych lejców do ciężkich, ordynarnych wozów. Ich woźnice zostali także w Sorokach, aby dalej służyć u Teofila Antonowicza.

Nasz mały, skromny dom nappełnił się gwarem i bieganiną. Ludzie przechodzący Dworianską ulicą pytali: „Któż to jest ten wielki pan? Ach, to pan z Tyrnowa?” Czulem się dumny z tej popularności mego wuja w okolicy.

Wkrótce ustalił się porządek dnia i wszyscy znaleźli sobie nowe zajęcia. Ojciec spędzał parę godzin na załatwianiu spraw związanych ze zdobywaniem dokumentów na wyjazd do Zakopanego. Nie było to wcale łatwe w tym zmiennym, niepewnym świecie. Co miesiąc pokazywali się nowi urzędnicy; po wyjeździe przedstawicieli szczyłego reżymu carskiego przyszli bolszewicy. Ulotnili się jak kamfora, kiedy nadeszli Polacy. Po odejściu Polaków ufurmował się samorząd besarabski i wreszcie pokazali się Rumuni — o których później.

Ojciec przywiózł ze Skajan pełną skrzynię różnych narzędzi, rzeźbiarskich dłutek i noży z wyborowej niebieskiej stali, świetnie hartowanych, z uchwytnymi z drzewa gruszkowego pasującymi do ręki jak ulał. Spędzał całe godziny rzeźbiąc deski z szlachetnego drzewa — ze skajańskich drzew owocowych zabitych ostrą zimą przed kilku laty. Wuj zajmował się trenowaniem ostatnich koni ze swej stadniny. Rankami, osiodłane lub zaprzężone do lekkiego koczka, wyjeżdżały rysaki, żeby się nie zastać; wracały dopiero koło południa. Potem wuj był obecny przy rozdziale obroku. Po południu kręcił się bez celu po naszych skromnych pokojach, czasem zabierał mnie na łowienie ryb w Dniestrze albo siedł na rynek, gdzie bawiło go targowanie się z Żydami.

— Nie zależy mi na dwóch czy trzech kopiejkach uzyskanych przy targowaniu się — mówił. — Ale bawią mnie fortele Żyda, który nie chce ich opuścić. Kupisz, nie kupisz, potargować można, jak mówi przysłowie.

Pani Modesta była ciągle zajęta starymi i nowymi nasionami, którzy nas odwiedzali. Trzeba było przyjąć każdego, jak na to zasługiwał, i podać mu coś do zjedzenia o każdej porze dnia. Opróżniały się słoiki z konfiturami, półmiski z zakąskami, dzwoniły kieliszki napelňniane domową wódką, ulatniały się ciasteczka i torty — przy zadowolonym, ciepłym mruczeniu samowara.

Doktor Sardow utrzymywał bardzo starannie swój ogród. Naprawiał właśnie ławki; ale skąd wziąć gwoździ? Sklepy żelazne były puste. Wziąłem na siebie zadanie zdobycia ich. Szukałem, gdzie się dało: stare paki, połamane krzesła, płoty — wszystko było dobre. Doktor wkładał rękawiczki i na małym kowadełku wyprostowywał pogięte gwoździe. Potem zaostrzał im końce pilnikiem. W ten sposób naprawiliśmy wszystkie ławki ogrodowe. Jakiś podróżny, który wpadł do Sorok przez pomyłkę, dostarczył nam dwa kilo nasienia rajgrasu angielskiego, za które doktor, zwykle bardzo skąpy, drogo zapłacił. Pracowaliśmy aż do dziewiątej wieczór, żeby wysiać całą zawartość woreczka. Znaczyliśmy w kalendarzu mijające dni, obserwując ziemię, ale trawa nie wschodziła. Czyżby nasienie było niedobre?

— Cha! cha! ile czasu myślicie ślepieć nad tą trawą? — spytał śmiejąc się wuj. — Nasionie jest dobre, to wasz kalendarz jest zły.



Rzuciłem podejrzliwe spojrzenie na kalendarz: „Idzikowski, Kijów, ulica Krieszczatik” — przeczytałem. Wydawał się normalny. Po upływie czterech tygodni trzeba było pogodzić się z oczywistością.

— Ten rajgras jest stary. Wystrychnęli mnie na dudka! — lamentował doktor.

Z energią wziął się do ubijania całego zasianego terenu. Nie była to łatwa praca mimo skromnej stosunkowo powierzchni ogrodu. Ja także pomagałem, spędzając tam długie godziny z „babą” w rękach. Wreszcie ziemia zamieniła się w klepisko twarde jak cement. Na drugi dzień gładko ubity placyk zarośli się dziurkami i grudkami ziemi, podniesionymi jakąś ukrytą siłą; trawa wschodziła wszędzie i bardzo obficie. Po paru dniach ziemia pokryła się zielonym dywanem.

— Rośliny także, nie tylko ludzie, mają zmysł przekory — powiedział doktor w zamyśleniu, patrząc na swój trawnik.

### Połów moskalików

Na wysokości Sorok Dniestr jest szeroki i spokojny. Jego wody widziane z daleka wydają się ziemiste, ale z bliska okazują się czyste i przeźrocze. Płyną spokojnie, gładkie, przybrane czasem festonami piany. Widziane z brzegu nie budzą wcale lęku. Ale kiedy byłem na środku rzeki i widziałem gałązki i żółtą trawę unoszone prądem, opanowywał mnie strach przed tym wodnym światem, przed tym płynącym stepem, prawdziwym krajobrazem w ruchu.

Co dzień po południu chodziliśmy się kąpać w Dniestrze. Do mojej paczki należeli Tigran, który umiał pływać, Gutsul, który umiał łowić ryby, Grisza, specjalista od dowcipów; ten zaś, który zostawał na brzegu, nazywał się Chaim.

— Rybacy co wieczór wyciągają masę ryb. Dlaczego by nie my? — zaproponował ktoś.

Ale Grisza wystąpił z dowcipami, Chaim z obawami i nie było sposobu, by dojść do porozumienia. Wreszcie któregoś dnia dołączył do mnie Miszka i razem przygotowaliśmy sznurek długi na dziesięć metrów z pięćdziesięcioma haczykami przyczepionymi na jedwabnych nitkach. Rozebraliśmy się i ze sznurkiem przymocowanym w pasie zaczęliśmy myszkować po płytkich zakolach rzeki, utrzymując sznurek naciągnięty i haczyki zanurzone w mętnej wodzie. Naprzeciw, na brzegu, usiadło kilka dziewcząt, między nimi Ziunia. Wpadło mi na myśl, że byłaby to dobra okazja do pochwalenia się przed nią.

— Miszka! Prędko! — zawołałem do towarzysza. — Lećmy do brzegu! Pokażemy im naszą zdobycz!

W miarę jak wychodziliśmy, ukazywał się sznurek, który miałem uwiązany w pasie. Co za cudowny połów! Byliśmy zachwyceni! Prawie u każdej wędki wisiała srebrzysta rybka, podrygująca w powietrzu. Wyszliśmy z wody i pokazaliśmy dziewczętom nasz łup. Nagle zdałem sobie sprawę, że jestem goły. Tak się zawstydyłem, że nie mając gdzie się schować, rzuciłem się brzuchem na ziemię. Dziewczeta wydawały się nie zwracać większej uwagi na naszą nieprzyzwoitość. Subtelna Ziunia popatrzyła na mnie i spytała:

— Co ci jest? Brzuch cię boli?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Ziunia, widząc moje zmieszanie, powiedziała drwiąco:

— Myślisz, że u nas nie ma samowara? Nasz jest taki sam jak twój, także ma kranik, z którego leje się woda.

Nadeszła matka Ziuni i dziewczęta zabrały się z nią na podwieczorek. Wtedy dopiero odważyłem się wstać. Byłem usmarowany błotem i musiałem wrócić do wody, żeby się umyć na nowo.

Wieczorem opowiedziałem wszystko w domu. Doktor Sardow wzruszył ramionami.

— Głupi jesteś. Dziewczęta wiedzą więcej o tych rzeczach niż chłopcy, nie wiem, po co robiłeś tę komedię. Nie tylko znają krany u samowarów, ale nawet umieją je polerować.

### Błękitna dywizja

Mijały dni i tygodnie szarego życia w mieście. Aż pewnego dnia ulice Sorokapełniły się wojskowymi błękitnymi mundurami.

— Cóż to za żołnierze? — pytaliśmy zdziwieni.

Nielatwo było się w tym zorientować. W tych niespokojnych czasach spotykało się na besarabskich drogach żołnierzy najrozmaitszych narodowości. Rosjan, Rumunów, Austriaków lub Niemców, Czerkiesów, Kozaków...

— To Polacy generała Hallera — wyjaśnił ojciec. — Generał walczył z Niemcami, a teraz przebił się ze swymi żołnierzami do Rosji, by tą drogą dotrzeć znów do Polski.

Generał poprosił ojca o pomoc w znalezieniu kwater i aprowizacji dla wojska oraz paszy dla koni, a sam ulokował się w naszym domu. Był to zawodowy oficer, małomówny i zawsze poważny: nie widziałem nigdy, by się uśmiechał. Nienawidził picia i gier hazardowych. Siadał na bujaku i prowadził z ojcem poważne rozmowy. Wyraził zaraz podziw dla doskonałego języka, jakim mówiliśmy w domu. Wydawało mu się to niezwykle:

— Sami Polacy nie mówią tak czystym i poprawnym językiem jak wy tutaj!

Ktoregoś dnia odniosłem sukces, deklamując patriotyczny wiersz Or-Ota, wyuczony na gałęzi wiązu. Generał podał mi rękę mówiąc:

— Mam syna w Polsce. Mógłby być twoim kolegą. Obiecuj mi, że się z nim zaprzyjaźnisz, kiedy tam pojedziesz.

I tak się stało. Kilka lat później w zakopiańskim gimnazjum siedziałem w jednej ławce z Erykiem, synem słynnego wówczas generała Hallera. Zmieniły się wtedy role. Generał był w Polsce ważną osobistością, a mój ojciec zwykłym emigrantem, po omacku szukającym drogi w nowym dla nas świecie. Przez pięć lat, jakie spędziłem tam do matury, byliśmy w przyjaźni z Erykiem Hallerem.

Ale wróćmy do lat wcześniejszych. Generał, wielki patriota, chciał zorganizować polskie życie kulturalne w Sorokach. Oficerowie raczej różnili się od swego szefa; wszyscy pogodni i weseli, śmiali się, grali w pokera i pili dużo mocnych trunków. Niektórzy byli prawdziwymi artystami amatorami — wszyscy należeli do polskiej inteligencji. Następowały więc po sobie odczyty, przedstawienia teatralne, żywe obrazy patriotyczne. Przy każdej

okazji zbierano składki na drogę do Polski, trudne i ryzykowne przedsięwzięcie czekające generała. Mieszkańcy Sorok byli radzi tej wesołej okupacji wojskowej. W mieście panował porządek i spokój, patrole polskie przebiegały nocą ulice, skończyły się burdy, a chuligani rozbijający piwnice byli już tylko przykrym wspomnieniem. W komisariacie i innych biurach państwowych zasiadali uśmiechnięci oficerowie polscy, którzy nie rozumiejąc ani słowa po mołdawsku, wykonywali swoje tymczasowe funkcje z wielką powagą. Wieczorem lokale publiczne napełniały się młodymi ludźmi w dobrze wyprasowanych mundurach, dzwoniły ostrogi, łańcuszki i niklowane klamry, szable obijały się hałaśliwie o meble — i o nogi tubylców.

— Och! — mówiła Lolita z anielskim wyrazem twarzy. — Co za elegancyj oficerowie ci Polacy! A przy tym pełni galanterii! Stają na baczność, stukają obcasami i po każdym tańcu całują mnie w rękę! Biją się, żeby tańczyć ze mną; jestem oczarowana!

— Cha, cha — śmiał się doktor Sardow, gdy siedzieliśmy w ogrodzie. — Jeżeli zostaną długo w Sorokach, to prędko trzeba będzie sadzić winnice na brzegach Dniestru. Bo trzeba widzieć, jak spijają besarabskie wino! Opróżnili już największe piwnice!

Z powodu tego wina — którego nie mieli zwyczaju pić żołnierze polscy u siebie — zaczęły się powtarzać zajścia i awantury po knajpach. Sypały się policzki; gdy zbierał je Besarabczyk, jakoś to przysychało, ale kiedy spoliczkowany został polski wojskowy, konsekwencje mogły być bardzo groźne.

— To obraza munduru, który noszę — wołał oficer, wyciągając szablę. — Muszę ją zmyć krwią chamów!

Inni solidarnie także wyciągali szable, rozświetlając karczmę błyskiem wypolerowanej stali, i szarżowali na tubylców, którzy uciekali w panicznym strachu, wyskakując drzwiami i oknami przy akompaniamencie tłuczonych szyb.

— Wczoraj widziałem, jak zbili Żyda Papieża — powiedział pan Wino-gradow. — Obcięli mu chałat na wysokości uda, a także brodę i pejsy. Przystałem chodzić do knajpy, boję się.

— Przyjawszy nawet, że pan nie przesadza — powiedział doktor Sardow — jeszcze i tak wychodzi to na naszą korzyść. Ci oficerowie nie szanują naszych butelek, to prawda, ale szanują nasze córki. Wiezorami odprowadzają je do domu, zabawiając konwersacją, i nigdy nie nadużywają sytuacji.

— Pan generał! Chcemy widzieć pana generała! — rozległy się głosy dwóch popów, którzy właśnie weszli, gestykulując żywo i powiewając długimi czarnymi rękawami.

Wszyscy umilkli zdziwieni. Roześmiałem się słysząc, co mówi doktor:

— No, co tam, moje dzieci? Hm, hm... nie, chyba „moi ojcowie”? albo wujowie? No, niech wam będzie wreszcie, jak chcecie. O co wam chodzi?

— O co nam chodzi? Tutaj dzieją się rzeczy straszliwe! Obraża się religię i nikt nie występuje w jej obronie. A gdzie obowiązek chrześcijański?

— Dobrze, dobrze — przerwał doktor — moim obowiązkiem jest pielęgnować tylko zdrowie waszych wiernych. Część, powiedzmy... powieściowa należy do was. Ale do rzeczy, co się dzieje?

— Chlebojedów, ten trochę przyglupi, przyszedł dzisiaj do cerkwi z kielbasą i tak próbował przystąpić do komunii.

— Z kielbasą? — wykrzyknęliśmy zdumieni.

— Tak, przyniósł ją w ręce. Uklęknął i powiedział: — „Chcę chleba, żeby zjeść kielbasę, chcę wina, żeby popić, jestem głodny”. — Oburzeni wierni schwycili go i wypchnęli na ulicę bijąc i kopiąc. Zdjąłem szybko szaty koś-

cielne i zdążyłem na czas, żeby uchronić biedaka przed pobiciem. Uspokoiłem ludzi i zaprowadziłem go do siebie. Był spocony i trząsł się ze strachu. Dałem mu kieliszek wódki, po czym wyznał mi, że jacyś żołnierze dali mu kielbasę, nauczyli, co ma powiedzieć w cerkwi, i wepchnęli go przez drzwi. Oburzony, zawałałem diaka i poszedłem z nim do karczmy, gdzie siedzieli i pili owi żołnierze, aby zaprotestować i wypomnieć im ich zły uczynek. Myślicie, że się poczuł zawstydzony tym, że nadużył dobrej wiary głuptasa i obrazili poważnie nasze uczucia religijne? — „Cicho siedzieć, popy!” — krzyknął jeden. — „Jak będziemy chcieli, to wcielimy Besarabię do Polski, zburzymy cerkiew, a nasi księża poobcinają wam brody i sutanny”. — I to są katolicy...

— Spokojnie, spokojnie — przerwał ojciec, który właśnie nadszedł. — Nie będziecie przecież brali na serio głupich pomysłów pijanego żołnierza. Generał jest katolikiem, jego religia jest tak dobra jak i prawosławna. On nie ma nic wspólnego z jakimiś chuliganami, których wszędzie jest pełno. Nie zwracajcie mu głowy, dość on ma kłopotów i bez tego. Ja to załatwię z dyżurnym sierżantem i przyrzekam wam, że nic podobnego się nie powtórzy.

Po zażegnaniu burzy wszyscy weszli do domu, żeby napić się wódki i coś przekąsić — w ten sposób położono kres konfliktowi.

Dni miały spokojnie. Odpoczęli oficerowie, żołnierze i konie. Pewnego dnia generał Haller zawałał trębacza i kazał mu trąbić na zbiórkę:

— Rozkaz wymarszu dla całej dywizji!

Skłębiły się błękitne mundury, ulice napełniły się płaczącymi dziewczętami, które żegnały swoich kilkudniowych narzeczonych, odchodzących z niejasnymi obietnicami pisania i powrotu. Generał wyciągnął rękę do ojca i rzekł:

— Wiele uprzejmości doznaliśmy w tym pięknym mieście Besarabskim. Zachowam na zawsze serdeczne o nim wspomnienie i poczucie, że jestem waszym dłużnikiem. — Potem wręczył ojcu list dziękczynny, uściskał go i ruszył za swoimi oficerami.

W następnych dniach, po wymarszu hallerczyków, Soroki wydały mi się miastem wymarłym. W dwa tygodnie później zaczęły napływać niepokojące wieści. Wreszcie pokazali się na rynku żołnierze obdarci, wyczerpani, ranni. Pod pokrywającym ich błotem można było dostrzec błękitny kolor ich mundurów. Wieść o ich przybyciu szybko obiegła miasto i ludzie zbierali się wokół grupek polskich rozbitków. Bolesnie wzdychali:

— Co za nieszczęście! Wszystko skończone!

Błękitna dywizja po opuszczeniu Sorok przekroczyła Dniestr i weszła na Ukrainę. Pod Kaniowem natknęła się na niemiecką dywizję, jedną z tych, które przedtem walczyły na froncie, nie istniejącym już po podpisaniu rozejmu niemiecko-rosyjskiego. Niemcy próbowali, tak jak Polacy, przedrzeć się do swego kraju. Hallerczycy, myśląc, że wojna już skończona i że w Niemczech znajdują sprzymierzeńców do walki z bolszewikami, zostali przez nich nagle zaatakowani, rozbici i zdziesiątkowani pośród nie dającego się opanować zamętu. Większa ich część zginęła w tej bitwie, rannych zaś zebrali ukraińscy chłopci. Generał Haller zdołał uratować się z garstką oficerów i żołnierzy.

— Obraziliście naszą religię — zabrzmiał głos popa, któremu wydało się, że poznaje w jednym z rozbitków chuligana zamieszanego w sprawę Chlebojedowa. — Bóg was pokarał! Rozbił waszą dumę w puch i proch. Jego archaniołowie...

— ...to znaczy Niemcy — przerwał tę perorę doktor Sardow, wybuchając śmiechem. — Cha, cha, cha!

Pękło napięte milczenie, w jakim słuchaliśmy relacji o tej tragedii. Wszyscy robili komentarze, wygłaszali opinie. Adwokat Kurowski zabrał rannych do projektowanego Domu Polskiego, a doktor Sardow poszedł po bandażę i środki dezynfekcyjne. Po początkowym wybuchu skruszony pop ogłosił wszystkim, że ma zamiar odprawić w cerkwi nabożeństwo żałobne za dusze Polaków poległych pod Kaniowem. Rozeszli się zebrani na rynku, a ja wróciłem do domu. W godzinę później, kiedy jadłem kromkę razowego chleba z bryndzą, przyszedł ksiądz katolicki.

— Ponieważ masz być moim ministrantem, chodź, pomożesz mi. Kaplica jest już prawie gotowa. Przygotuj ołtarz, zapal świece, zacznij dzwonić! Będę odprawiał mszę za zmarłych bohaterów!

— Co to znaczy konkurencja! — zaśmiał się doktor, kiedy ksiądz wyszedł. — Najpierw popi i księża wymyślali na wojskowych, teraz pędzą jeden przed drugim, żeby ich wychwalać. Mogliby się porozumieć i odprawić wspólną mszę... na przykład w bożnicy, żeby nie dać pierwszeństwa ani cerkwi, ani kościołowi! Cha, cha, cha!

Wszyscy obecni zaprotestowali, oburzeni tym nowym pomysłem doktora, który im się wydał skandalicznie cyniczny. Zobaczyć w owym czasie popów i księży modlących się razem w tej samej, i to żydowskiej, świątyni — wydawało się wszystkim okropnością wprost nie do pomyślenia.

### Katolicka kaplica

Obecność wojska polskiego w Sorokach spowodowała wzrost aktywności grupy katolickiej. Rozkazano mi chodzić co niedziela na nabożeństwo do kaplicy, abym przyzwyczajał się do polskich, katolickich obrządków. Jakiś oficer podarował mi książkę do nabożeństwa i w niej to zobaczyłem pierwsze łacińskie słowa. Były inne niż te, które poznałem później w podręcznikach botanicznych dziadzia Stefana. Sylabizowałem: *Dominus vobiscum, Oremus*, nie rozumiejąc, co to znaczy. Ale rychło nauczyłem się przyjmować z uczuciem ulgi słowa księdza: *Ite missa est*. Dawano mi wtedy na gwałt lekcje języka polskiego, ale nikt nie domyślał się, że to właśnie łacina miała potem stanowić największą dla mnie trudność w Polsce. Wobec braku ministrantów zmobilizowano mnie, abym służył księdzu do mszy. Po kilku lekcjach i odpowiednim przygotowaniu, ubrany w białą komżę, obładowany ciężkim mszałem na metalowym postumencie, przechodziłem z jednej strony na drugą, przyklękając przed ołtarzem. Ksiądz był bardzo zadowolony, a polscy oficerowie mrugali do mnie porozumiewawczo, klęcząc na jednym tylko kolanie. Wnet jednak, pojawiła się komplikacja:

— Dobrze się sprawujesz! — rzekł ksiądz do mnie. — Od jutra będziesz chodził z puszką podczas kazania i zbierał datki!

To mi nie odpowiadało. Nie wiedząc, jak się wykręcić, powiedziałem, że nie chcę. Ksiądz starał się mnie przekonać, potem zezłościł się i wreszcie poskarżył ojcu; powiedział, że moją odmową obraziłem go! Przeraziłem się, gdy ojciec zawołał mnie i kazał się tłumaczyć.

— Cóż ci to szkodzi? — zapytał.

— Będę zawsze winiem wszystkiemu! — zapiszczałem nie swoim gło-

sem. — Ja wiem, że ludzie wrzucają żelazne szajby, guziki i kawałki blachy! Potem ksiądz się wścieka i beszta ministranta!

Oczywiście nie przyznałem się, że to właśnie ja i moja banda wrzucaliśmy do puszek to nic niewarte żelastwo, aby potem śmiać się z księdza, gdy się wściekał otworzywszy puszkę. W jakiś czas później ustawiono w kaplicy fisharmonię, na której siedemdziesięcioletnia dziewczica grała pobożne melodie. Kilka osób towarzyszyło jej chóralnym śpiewem i tworzyła się z tego taka kakofonia, że zatykając uszy uciekałem do tzw. zakrystii. Ksiądz rychno zorientował się w moich umiejętnościach rękodzielniczych i powierzył mi produkcję opłatków. Rozpalałem na podwórzu ogień i grzałem duże szcypce żelazne przytrzymujące prostokątną formę, do której wlewało się klajster z mąki. Po przypieczeniu odkrawałem i zjadałem ze smakiem pachnące dymem brzegi. Gotowy, biały opłatek był prostokątny, ale na użytek osobisty księdza i do rozdawania komunii wycinałem nożyczkami większe i mniejsze kółka. Ksiądz był znów bardzo ze mnie zadowolony, ale mimo to narobił strasznego gwałtu, gdy okazało się, że nie wiem nawet, co to jest „pierwsza komunie”. Zorganizował potem kurs katechizmu dla kilku osób; siadaliśmy na porośniętych darnią grobach na pobliskim cmentarzu prawosławnym, podczas gdy on tłumaczył nam, że jedyną prawdziwą religią jest katolicka — z papieżem w Rzymie — i co to są „grzechy główne”. Gdy doktor Sardow usłyszał, na czym polegają te moje nowe lekcje, roześmiał się:

— No, jeżeli wierzyć temu twojemu katabasowi, to w ogóle nie warto żyć! Wszystko, co dobre, to według niego grzech!

Usłyszała to ciocia Modzia:

— Wstyd! Jak może pan mówić takie rzeczy! Jeszcze pan ściągnie nie-szczęście na ten dom!

Doktor wzruszył ramionami i rzucił pogardliwie:

— Nie bądź pani dziecinna! Młodzież terazniejsza wie o tym wszystkim więcej od pani. A co do doświadczenia, to oni przez jeden rok nauczyli się więcej niż pani przez całe życie! Jeżeli on gada, że „łakomstwo” i „obżarstwo” to grzechy, to tylko znaczy, że nigdy nie popróbowował żadnego dania przygotowanego pani mistrzowską ręką.

Ciocia uśmiechnęła się, mile połączona komplementem. Czy to też grzech? — pomyślałem.

— No, zgoda. Obżarstwo i łakomstwo to może nie takie znów poważne grzechy! — rzekła pojednawczo. — Ale te... — i popatrzyła na mnie — ...inne?

Wtedy doktor zaczął rozwijać jedną ze swoich ulubionych teorii na temat miłości, zupełnie nie do zniesienia dla niepokalanych uszu cioci. Zatykając je rękami wyleciała z pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

## Piwnice w sorokskich winnicach

Po rewolucji w miastach takich jak Soroki zniknęły miejscowe władze reprezentujące obalony reżym carski, zorganizowanie zaś nowych, bolszewickich, nie postępowało dość szybko. Nastąpiło „bezkrólewie”, przysparzające obaw spokojnym obywatelom, którzy lubią wiedzieć, że na ulicy jest porządek, i lubią dowiedzieć się u władzy, jakie są ich nowe obowiązki. Te przejściowe czasy były nieraz wykorzystywane przez różnych nicponiów — lub prawdziwych nawet opryszków — którzy obławiali się, jak i gdzie się dało. W Soro-

kach, zrazu spokojnym mieście, zaczęły się dziać w nocy dziwne rzeczy w piwnicach i składach winnych. Rychło okazało się, że grasuje po mieście grupa dezertków bez epoletów czy jakichkolwiek oznak wojskowych, którzy objawiają prawdziwe zamiłowanie do dobrych win. Soroki były otoczone winnicami, pokrywającymi wyniosłe brzegi Dniestru, i na krańcu miasta znajdowały się piwnice, pełne beczek, gdzie przechowywano zbiór roczny, a nieraz nawet wina z lat poprzednich. Chuligani przesypiali dzień w różnych spelunkach, a gdy zapadał zmrok, wybierali się na popijawę. Wkładając lufę rewolweru do ucha kłódki, otwierali drzwi do winnego raju. Przy świetle chwiejnego płomyka ukazywały im się krągłe kształty beczek — jak uda najpiękniejszej hurysy. Jedni usiłowali odczytać napisy robione kredą na denkach beczulek, drudzy szukali naczyń; odbijano czopy, otwierano kran-y albo przecinano obręcze — i rozpoczynał się festyn. Nietutejsze łobuzy, nienawykłe do picia wina, rychło wpadały w stan podniecenia; zaczynały się śpiewy, utarczki i bójki trwające przez całą noc. Sąsiedzi słyszeli te hałasy, ale bali się interweniować i tylko mocniej barykadowali się w domach. O świcie banda całkiem już pijana, niezdolna więcej wina w siebie wlać, przypuszczała szturm do pozostałych beczek z siekierami w ręku. Niektórzy jeszcze rzucali się na plecy i leżąc pod beczkami nastawiali usta pod lejącą się na ziemię strugę wina. Te dzikie bachanalie trwały aż do świtu. Na drugi dzień rano zrozpaczony *viticulor* mierzył wzrokiem rozmiary swojej ruiny. Przez drzwi jego piwnicy wyciekał strumień wina i słysząc było zwierzęce chrapania. Gdy przewyciężywszy obawę wyciągnął szyję i zajrzał do chłodnego, wionącego charakterystycznym zapachem wnętrza, dostrzegał między porozwalanymi beczkami i stosami luźnych klepek leżące w winnym błocie ciała pijaniców.

Wypadki te były komentowane w kasynie, gdzie zaglądał ojciec wieczorami, aby pogadać o wydarzeniach dnia i zagrać w szachy. Znajomi winogrodnicy skarżyli się, że chuligani upodobali sobie ich dzielnice i rujnowali im piwnicę za piwnicą, niszcząc najlepsze wina. Po drugiej stronie miasta były inne, gorsze piwnice, należące do kupców żydowskich, ale jakoś nikt nie odważał się ich ruszyć. Wtedy zaświtał ojcu w głowie pewien projekt, który natychmiast, ze zwykłą swą energią, wprowadził w życie. Zgłupiałem, gdy wieczorem zobaczyłem go ubranego w łachmany, dostarczone mu przez Adama. Kazał sobie podać butelkę czerwonego wina i ku naszemu zdumieniu wytrąbił ją duszkiem w naszej obecności.

— Muszę wejść w skórę osoby, którą mam przedstawiać! — rzekł do nas, po czym wyszedł na ulicę i zniknął w ciemnościach.

Gdy się pożegnał z nami, poszedł ojciec do dzielnicy, gdzie grasowali chuligani, by przyłączyć się do nich. Żeby wzbudzić zaufanie, symulował krok chwiejny i nadmierną wesołość. Na początek zaprosił wszystkich na kolejkę czerwonego wina. Otoczony łobuzami, z kieliszkiem w ręku, nakazał ciszę i zaśpiewał głosem ochrypłym i przepitym:

*Priekrasien Bożyj mir,  
W niom rzasiejany sielodki,  
No w odnom oszibsia Bog:  
Sdietał morie nie iz wodki! \**

---

\* *Priekrasien...* (ros.) — Przepiękny jest Boży świat, / Rozsiane są w nim śledziki, / Lecz raz omyliłeś się, Boże: / Nie z wódki stworzyłeś morze!

Sukces był ogromny, rozbawieni chuligani wiwatowali na cześć nowego kompana i bili brawo. Z punktu ojciec został przyjęty do szajki, z honorami należnymi przewodownikowi, i chcąc kuć żelazo póki gorące, zaraz zaczął wychwalać dobroć win w znanych mu piwnicach; wreszcie pociągnął wszystkich w stronę przedmieścia żydowskiego, wołając:

— A teraz do piwnicy Grynberga! Hurmą, panowie!

Grynberg był antypatycznym kupcem, wyzyskującym sprytnie przeciwności, na które natykali się ludzie w tych trudnych czasach. Miał duży i dobrze jeszcze wyposażony sklep na głównym placu, ale nie przyjmował różnorakich pieniędzy, które krążyły wtedy, tylko ruble carskie. Oglądał je pod światło, żeby sprawdzić, czy nie są przyniszczone. Banknoty jednorublowe, jeśli nie były jeszcze składane, przyjmował jako pełnowartościowe. Takie, które były już złożone, ale zupełnie dobre, za dziewięćdziesiąt kopiejek. Gdy były zmięte i przeświecały w środku, tylko za pięćdziesiąt kopiejek. Widziałem sam, jak biednej staruszce za jej starego i wymiętoszonego już przez wiele rąk rubla dał zaledwie dwadzieścia pięć kopiejek, co nas wszystkich oburzyło. Mielśmy go za zdecydowanie złego człowieka i wyzyskiwacza. Chuligani, pociągnięci obietnicą „najlepszych win”, poszli chętnie za ojcem, podśpiewując wesoło. Cała grupa szła środkiem ulicy. Pod jedną z latarni — w Sorokach było elektryczne oświetlenie — dwaj przyjaciele ojca poznali go. Sta-nęli jak wrzcy, po czym popodnosili kołnierze i pragnąc uniknąć nieprzyjemnego spotkania, ulotnili się jak kamfora. Słyszac wrzaski i śpiewy, mieszkańcy zamykali prędko okna i drzwi w obawie przed napadem. W piwnicy Grynberga bachanale trwały długo i biedny ojciec musiał, aby nie wzbudzić podejrzeń, pić przez całą noc z łobuzami. Wrócił do domu rano, zupełnie pijany, i spał potem aż do południa. Chuligani dobrze się poczuili w żydowskiej dzielnicy i jakiś czas tam jeszcze „operowali”, dopóki nie zniknęli na dobre z naszej okolicy. Dzięki interwencji ojca uratowały się piwnice naszych przyjaciół, *viticultorów* z dniestrzańskiego jaru.

Nocne awantury i napady skłoniły mieszkańców Sorok do wyłonienia spomiędzy siebie milicji obywatelskiej, która zastępowała nie istniejącą już carską policję. Uzbrojeni ochotnicy przebiegali ulice przez całą noc, zmieniając się co pewien czas, dzięki czemu uczciwi, cisi obywatele mogli spać w nocy spokojnie. Podobnie jak inni energiczni mężczyźni (Żydzi wykrecili się od tego obowiązku) ojciec również miał służbę co drugi dzień, od dziesiątej wieczór do szóstej rano. Pewnego razu, gdy już dniało, ojciec, kierując się w stronę domu, usłyszał krzyki:

— *Karaul! Karaul!* \*

Pośpieszył natychmiast z pomocą; z daleka już zobaczył jakiegoś marynarza, który starał się zerwać płaszcz z przechodnia i krzyczał:

— Burżuje! Krwio pijcy! Dobrześmy wam nastąpili na ogon!

Widząc nadbiegającego ojca, marynarz zwrócił się ku niemu:

— Ty też burżuj, pokaż mi ręce!

Ojciec opuścił dubeltówkę, dając znak napadniętemu, aby uciekał.

— Skąd wiesz, że ja jestem burżuj? — odpowiedział zwracając się do marynarza. — Ręce ci pokażę, jeżeli ty mi pokażesz swoje!

— Dobrze, dobrze! — rzekł pojednawczo marynarz, który zresztą wyglądał dość sympatycznie. — Ja tak mówię, bo tak się teraz mówi o tych, co byli dawniej na gorze!

---

\* *Karaul!*... (ros.) — Na pomoc!



Porównanie rąk przyniosło niespodziewany rezultat: dzięki naszym ciągłym pracom rękodzielniczym ręce ojca były bardziej spracowane niż ręce marynarza.

— Wiesz, co to znaczy? — zawołał ojciec groźnym głosem. — Że to ty jesteś burżujem... przypuszczalnie przebrany, aby władze wprowadzić w błąd!

Marynarz, zmieszany, myślał już tylko o tym, żeby się jakoś z tej sytuacji wykaraskać. Udając, że musi stawić się na jakąś zbiórkę, zapytał o godzinę. Ojciec, nic nie podejrzewając, wyciągnął zegarek:

— Jest... szósta! — rzekł.

W tym momencie marynarz złapał błyskawicznie za zegarek — był on ze złota — usiłując go ojcu wyrwać. Zaczęli się mocować i wreszcie, odrywawszy kopertę z wrytym monogramem, napastnik wziął nogi za pas.

Do dziś mam ten historyczny zegarek, używany przez ojca, ale będący podarunkiem dziadzia Władysławskiego dla mnie, wręczonym w dniu moich chrzcin. Wskazuje mi do dziś godzinę i patrzę na niego teraz, gdy piszę te słowa. Od incydentu z marynarzem w Sorokach upłynęło już prawie pięćdziesiąt pięć lat. Zegarek stracił wtedy swoje dwie złote koperty, ale chodzi jak chronometr i nigdy przez cały ten czas nie potrzebował naprawy ani nawet zwyczajnego czyszczenia.

### Dywizja koloru khaki

Pewnego dnia zdarzyło się znów coś niezwykłego: pojawiła się na ulicach Sorok duża armia polska. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu Polaków razem. Nosili mundury rosyjskie, ale bez bączka nad daszkiem czapki, gdzie widniał za to jednogłowy orzeł wysztancowany z jasnej blachy. Poza tym oficerowie zachowywali się w taki sposób, że nie można ich było pomylić z Rosjanami. Zalali miasto, chodząc wszędzie grupami, szukali kwater, jadłodajni i knajp.

Siadając do obiadu, ojciec powiedział:

— To jest dywizja uformowana przez generała Dowbór-Muśnickiego. Idą z głębi Rosji, przedzierając się przez zdezorganizowany kraj i kierują się ku Polsce, która powstaje z popiołów...

Mój profesor przyniósł mi książkę zatytułowaną *Wieczory pod lipą* i kazał mi czytać codziennie jeden rozdział. Były to łatwe opowiadania na temat historii Polski.

— Musisz się dobrze przygotować do podróży — powiedział ojciec.

Wygląd Sorok zmienił się zupełnie. Przedtem w mieście słychać było rosyjski, mołdawski lub jidysz. Teraz na ulicach, w kawiarniach, we wszystkich miejscach publicznych panował język polski. Zdawało mi się, że już jestem za granicą.

Oficerowie zakwaterowali się w różnych domach, także u nas. Musieliśmy przenieść łóżka i stłoczyć się do ostateczności. Wszyscy Polacy byli sympatyczni i weseli. Nigdy się ich nie widziało zamysłonych lub zmartwionych. Byli pełni optymizmu i zawsze mieli uśmiech na ustach. Na wszystko odpowiadali: „Jakoś to będzie!”

Urządzili u nas stoły do wista i pokera. Spędzali wieczory i noce grając o pieniądze najróżniejszego autoramentu: rosyjskie, carskie, republikańskie

i bolszewickie, austriackie, niemieckie, bony żydowskie etc. Krążyły kieliszki i ciocia zmobilizowała mnie w końcu do robienia wódki — w ilościach proporcjonalnych do tempa konsumpcji.

W Sorokach nie istniała żadna organizacja polska. Oficerowie zebrawszy grupę aktywnych osób oświadczyli, że należy koniecznie stworzyć Dom Polski. Adwokat Kurowski, z pochodzenia Polak, został wybrany prezesem, a mój wuj Teofil — wiceprezesem; zaraz jednak zgłosił dymisję, mówiąc, że jest Rosjaninem albo Mołdawianinem, ale nie Polakiem. Inni oficerowie wydębili na Żydzie Grynszpanie pozwolenie na użycie jego drukarni i zaczęli wydawać biuletyn. Pan Woldemar włączył czytanie go do naszych codziennych lekcji. Był to trudny do zrozumienia tekst, ponieważ polska ortografia obfituje w najrozmaitsze znaki, przecinki, ogonki, a drukarnia dysponowała wyłącznie uproszczonym alfabetem.

Niektórzy oficerowie słyszeli nasze rozmowy o Tyrnowie i Skajanach. Kiedy się dowiedzieli o cennych obrazach, książkach i srebrnych nakryciach, które zostały w Tyrnowie, wpadli na pomysł zrobienia „wycieczki” w nieznaną, aby przywieźć, co się da. Poprosili pana Teofila o dwa konie i obliczyli, że będą mogli załadować dwieście kilo na każdego. Według naszych objaśnień narysowali dokładne plany i zaznaczyli na nich schowki. Wreszcie, przygotowani i opatrzeni w najrozmaitsze rady, z uczernionymi twarzami, sztucznymi wąsami, przebrani za rosyjskich zdemobilizowanych żołnierzy, wyruszyli na wielką przygodę. Nie było ich przez cztery dni, w końcu piątego dnia pokazali się na podwórzu, śpiewając urywki mołdawskich piosenek, i zaczęli wyzywać nas gromkimi głosami.

— Te hałaburdy znalazły na pewno moją skrzynię z wódką — powiedział Teofil Antonowicz, wychodząc na ich spotkanie.

Nie można z nich było wydobyć żadnej informacji. Zsiedli z koni, załadowanych do granic wytrzymałości, i wzięwszy się za pasy, zaczęli tańczyć wesołego mazurka na podwórku. Sytuację opanowała moja ciotka, pokazując dzielnym wojakom karafkę pełną wódki i zapraszając ich do domu. Zaczęliśmy rozładowywać juki, rozwiązywać worki i badać zawartość.

— Te chłopaki są niezwykle — powiedział Teofil Antonowicz. — Zobaczcie no, ile rzeczy potrafili przywieźć!

Pokazały się cztery worki pełne książek oprawnych, pochodzących z biblioteki w Tyrnowie. Do boku jednego z koni był przywiązany kij zawinięty w płótno. Po co oni przywieźli ten kij... — pomyślałem zaintrygowany. Po rozpakowaniu okazało się, że na kij został nawinięty obraz Böcklina ze słynnymi cyprysami. Na drugim koniu był worek pełen gnoju.

— To jest nie do zniesienia — wykrzyknął wuj, oburzony. — Pewnie się upili i wyobrazili sobie, że to jest złoto. Będzie złotem w Polsce, gdzie ziemia jest chuda, ale nie na Besarabii.

Odrzuciliśmy worek daleko, oburzeni. Pękła juta, a pośrodku kupy gnoju ukazał się kant jakiejś skrzynki. Otworzywszy ją, znaleźliśmy srebrne skajńskie nakrycia stołowe. Od razu zmieniliśmy zdanie:

— Ależ to sprytni chłopcy! Proszę, proszę, jak to umieli schować srebro, żeby przejechać przez las z bandytami!

Wróciwszy do domu, chcieliśmy pogratulować dzielnym Polakom. Ale okazało się to niemożliwe; spali, chrapiąc na całego. Pani Modesta już ich ugościła swoją karafką wódki.

Nadeszła uroczystość Trzeciego Maja, data święcona przez Polaków. Nowo powstały Dom Polski postanowił urządzić wieczór patriotyczny z „żywym

obrazem". Miało w nim wziąć udział szereg osób; „artyści” wystrojeni w białe prześcieradła przybierali symboliczne pozy — i musieli w nich wytrzymać bez ruchu całe trzy minuty! Potem spadała kurtyna i wszyscy klaskali. Zostałem zaangażowany do pomocy przy montowaniu akcesoriów. Dano mi skrzynkę z narzędziami i łąziłem po sali z młotkami, szczypcami, raszplami, heblami i obcęgi, wbijając gwoździe i przygotowując dekorację. Równocześnie poznawałem z bliska elektryczność. Na scenie wisiały mosiężne oprawki, wewnątrz puste. Zauważyłem w środku mały guziczek. Niewiele myśląc, włożyłem palec, żeby go przycisnąć. Ratujcie, wszyscy święci! Jakieś piekielne ciarki przeleciały mi po ciele i nie mogąc wydobyć głosu z gardła, runąłem jak długi na podłogę, rozrzucając dookoła siebie narzędzia. Nadszedł sorokski elektryk, Timofiej.

— Naturalnie! Paniczowi się zachciało eksperymentów! — trącił mnie nogą. — Wstawaj, leniu! Musimy zamontować te żarówki.

W dzień przedstawienia kurtyna podniosła się ukazując imponujący żywy obraz. W środku stała wysoka, czarnowłosa Olią, młoda Rosjanka, ubrana w długą białą suknię. Wznosiła ku górze ramiona, z których zwisały kawałki poszarpanego łańcucha, zrobionego z czarnego papieru. Na piersiach miała pęk czerwonych goździków, a przed nią mokły w wiadrze dziesiątki białych irysów. Dookoła stały aniołki ze skrzydłami z gęsich piór, które ja własną ręką przyczepiłem im do pleców.

— Ten obraz przedstawia Polskę zrywającą kajdany wiekowej niewoli — wytłumaczył mi pan Woldemar.

Spadła kurtyna i rozległy się oklaski. Spojrzałem na mój palec, gdzie widniał czarniawy punkcik spalonej skóry.

Aż do dzisiaj nie zwracałem dużej uwagi na dziewczęta. Ale... prezes Domu Polskiego miał córkę, zwaną Ziunią. Nie wiem, czemu Ziunia ukazała mi się nagle jako zachwycająca zjawą. Ubierała się jak wszystkie inne, a idąc po ulicy Dubowaja, furkotała w powietrzu zgrabną spódniczką. Nie miałem oczu dla nikogo poza Ziunią.

Zaledwie zorganizowała się biblioteka polska i został ukończony katalog książek ofiarowanych przez mego wuja, gdy rozeszła się nagle wiadomość:

— Polacy wyjeżdżają!

Zaczęły się uczty pożegnalne, lała się wódka i wino besarabskie. Generał poprosił o powóz z końmi, aby dojechać wygodnie aż do Żmerynki, i obiecał zwrócić je w Polsce. Ojciec pożyczył mu ostatni faeton, jaki nam pozostał, i nasze konie, Sokoła i Krakusa. W owym czasie wierny Orlik już nie żył, gdyż padł ofiarą ataku sercowego.

W dzień odjazdu zaprezentowała się konnica polska na ulicy Dubowaja. Wyszedł wreszcie generał, usiadł w naszym faetonie i komenderując po polsku kazał żołnierzom ruszyć. Szli powoli aż do przystani na Dniestrze, gdzie mieli wsiąść na prom i przeprowić się na stronę ukraińską. Zebraliśmy się w domu i zaczęły się rozważania. Dokąd idą? Co się stanie z nimi? Czy zobaczymy ich w Polsce? Tatuś powiedział:

— Generał obiecał mi zwrócić Sokoła i Krakusa w Polsce! Nie bardzo w to wierzę, bo oni wszyscy są tak antyrosyjscy i antybolszewiczcy, że nie wiem, jak będą mogli przejść przez ten kraj z takimi poglądami. Skończą jak Haller pod Kaniowem — i nie zobaczymy więcej naszych koni.

Przepowiednia ojca spełniła się tylko częściowo: Dowbór-Muśnickiemu udało się przebić do Polski. Ale naszych koni więcej nie zobaczyliśmy.

**Pan  
Kornel**

W Skajanach jeszcze przeczytałem kiedyś bajkę pt. *Kaczor Kwak i szewc Kopytko*, którą ojciec przywiózł z Kijowa. Wspominałem ją obecnie z przyjemnością, gdyż zawsze lubiłem kaczkę, a teraz ja także byłem szewskim terminatorem — jak Kopytko. Raz, jeszcze zanim do nas weszli Rumuni, odbył ojciec podróż do Berdyczowa, aby odebrać należne mu pieniądze w cukrowni. Potem nam opowiadał:

— ... Była to duża stacja. Siedząc na tobołach lub śpiąc po kątach, mnóstwo ludzi czekało na jakiś przypadkowy pociąg. Usłyszałem polską mowę i w grupce uciekinierów rozpoznałem Kornela Makuszyńskiego! — Widząc, że nie wiem, o kogo chodzi, ojciec wyjaśnił: — To ten, który napisał *Kaczora Kwaka*! Opowiadał ciekawe rzeczy o rewolucji, o Kijowie... oto jego słowa: — „Rewolucja zastała mnie w Kijowie, gdzie byłem zesłany, jakby na wygnaniu, za propolską działalność w Kraju. Działy się różne rzeczy, niekiedy całkiem nieprzewidziane. Wreszcie miasto pozostało bez jakiegokolwiek władzy czy dozoru; bandy dezertarów i opryszków grasowały po ulicach, wykorzystując tymczasowe bezhołowie, aby się obłowić. Wszyscy żyli w ciągłej trwodze, nie wiedząc co robić ani do kogo w razie potrzeby się zwrócić. Pewnego popołudnia usłyszałem stukanie do drzwi. Zadrżałem i cofnąłem się instynktownie; ale i tak byliby je wywalili, więc otworzyłem. Weszło kilku typów o podejrzanym wyglądzie. Gdy zobaczyli, że jestem porządnie ubrany, a właśnie natarłem sobie głowę wodą kolońską, orzekli, że jestem z pewnością paskarzem, który wzbogacił się pijąc krew ludu. Zrobili rewizję w mieszkaniu, po czym rozkazali mi zabrać ze sobą najpotrzebniejsze manatki i zabierać się z nimi, gdyż jestem aresztowany. Była to więc poważna sprawa; dreszcz przeleciał mi po plecach. Przerażony zacząłem tłumaczyć im, jakąją się ze strachu, że jestem uczciwym pracownikiem, że narzędzie, którego używam, to pióro i że zarabiam na życie pisanie książek. A na dowód pokazałem im parę moich książek, wydanych w różnych miejscach. Jeden z intruzów, jak się okazało, górnik z Zagłębia Donieckiego, umiał po polsku. Podkreślił wąsa z zadowoleniem i zawołał do towarzyszy: — Toż to jest autor bajki o kaczorze Kwaku! To jest wielki pisarz, który wiele dzieci uczynił szczęśliwymi! — Ludzie, którzy wydali mi się z początku podejrzani, okazali się prawdziwymi delegatami komitetu dzielnicowego i odpowiedzialnymi osobami. Po krótkiej, cichej naradzie na boku oświadczyli mi oficjalnie: — Może pan zostać w domu. I niech pan będzie spokojny. To honor dla nas, że tak wielki pisarz mieszka w naszej dzielnicy! — Moja sytuacja zmieniła się więc jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Począwszy od tego dnia, delegaci odwiedzali mnie często, ale już w charakterze przyjaciół. Pytali mnie o zdrowie, o to, czy mam co jeść, i nawet przynosili mi kartki żywnościowe lub bilety wstępu na spektakle. Kaczor Kwak, który żył tylko w bajce, stał się w gruncie rzeczy ptakiem realnym, lecącym spokojnie pod groźnymi chmurami rewolucji i roztrzaskującym nade mną swoje opiekuńcze skrzydła. Ale mijały dni i tygodnie. Moi sympatyczni delegaci gdzieś się podzieli, w sklepach wszystkiego było brak. Nadeszły wiadomości o nowo tworzącej się niezależnej Polsce, poczułem tęsknotę za Krajem... Pożegnałem się z Kijowem i wsiadłszy do przejeżdżającego pociągu, puściłem się w drogę. Chciałem przyłączyć się do dywizji generała Hallera i dotrzeć aż do Polski”. — Spóźnił się pan! — rzekł ojciec. — Zresztą to pana szczęście, bo Haller został rozbity pod Kaniowem. Ja też

mam zamiar wyjechać do Polski z rodziną. Niech pan zapamięta, że w moim zakopiańskim domu będzie zawsze trochę wody dla kaczora Kwaka, a wódki dla autora jego dni!

Tak się rzeczywiście potem stało i wiele razy Kornel Makuszyński zachodził do naszego domu, gdy mieszkał w Zakopanem. Przysłuchiwałem się wtedy jego rozmowom z ojcem, gdyż nie we wszystkim się zgadzali: my wspominaliśmy dobrze burzliwe czasy rewolucji, on zaś tylko incydent z kaczorem Kwakiem.

## Mołdawski rząd

Nadeszły alarmujące wiadomości: wojska rumuńskie przygotowywały się do przekroczenia Prutu i zajęcia Besarabii. Wielki niepokój ogarnął mieszkańców Sorok, gdyż oznaczało to zmianę państwowości. Wielu Besarabczyków myślało o stworzeniu niezależnej republiki mołdawskiej jako najlepszym wyjściu z sytuacji. Na ulicach pokazały się afisze zwołujące zebranie w Ziemstwie w tym celu. Byłem już dużym chłopcem, zdolnym zrozumieć pewne problemy polityczne, tak że wieczorem poszedłem z ojcem do Ziemstwa.

Między różnymi przemówieniami, któreśmy usłyszeli — jedne były wygłaszane po rosyjsku, inne po mołdawsku — zapamiętałem wystąpienie jakiegoś pana ubranego po cywilnemu, który wyszedł na podium. Jego sympatyczną twarz zdobiły wąsy, a on sam posługiwał się swobodnym, wyrazistym gestem. Przeczytał parę wierszy po mołdawsku o wsi, polach pszenicy i stepie besarabskim.

— To jest poeta Buzdugan — powiedział mi szeptem ojciec.

Na drugi dzień jadłem właśnie podwieczorek w domu, pogryzając chleb z masłem, powidłami i miodem, kiedy weszło paru panów z tym właśnie poetą Buzduganem na czele i zapytali o ojca.

— Zostało stworzone Narodowe Zgromadzenie Mołdawskie. Jest nam teraz potrzebna maszyna do pisania. W imieniu Niezależnego Rządu Mołdawskiego musimy wysłać noty dyplomatyczne do innych rządów. Czy pan wie, gdzie można znaleźć maszynę do pisania z literami łacińskimi?

Ojciec zastanawiał się przez chwilę. Gdzie tu znaleźć taką maszynę?

— Posłaliśmy ludzi na poszukiwanie do Kiszyniowa i Biela — dodał jeden z delegatów, nazwiskiem Margiloman. — Wygląda na to, że w całej Besarabii nie znajdzie się ani jedna. Wszystkie mają litery rosyjskie.

Ojciec rozłożył bezradnie ręce.

— Chociaż bardzo chciałbym wam pomóc, nie mogę. Ale dlaczego nie napiszecie po rosyjsku? Przecież to język bardziej znany na świecie niż mołdawski.

Dowiedzieliśmy się potem, że trudność została rozwiązana w sposób oryginalny: noty dyplomatyczne Niezależnego Rządu Mołdawskiego napisano po mołdawsku, ale użyto czcionek rosyjskich — system, który wiele lat później został ustanowiony definitywnie w Socjalistycznej Republice Mołdawskiej. Później, w roku 1934, w epoce rumuńskiej, pojechałem na Besarabię. Między dawnymi przyjaciółmi ojca, wówczas już nieżyjącego, spotkałem pana Buzdugana. Miał już siwe wąsy, ale uściśnął mnie serdecznie, mówiąc:

— Przypominasz sobie historię maszyny do pisania z łacińskimi czcion-

kami? Nie znaleźliśmy jej wtedy. Potem Rumuni przywieźli ich dużo, ale to już nie było to samo.

Natomiast nigdy nie spotkałem pana Margilomana, którego nazwisko figuruje obecnie w podręcznikach historii Besarabii.

### Okupacja rumuńska

Po rewolucji zaczęły się krzyżować na Besarabii najrozmaitsze prądy polityczne. Wojska rosyjskie odkomenderowane do Rumunii podzieliły się. Część ich pozostała wierna nie istniejącemu już caratowi i przygotowywała razem z Rumunami najazd na nasz kraj. Inni, zwolennicy nowej ideologii, rzucali broń i wracali do Rosji, przechodząc przez Besarabię. Opinie samych Besarabian były podzielone. Większość sympatyzowała z nowo powstającą władzą radziecką, mniejsza zaś grupa, odrzucając zdecydowanie ideologię komunistyczną, myślała jedynie o uratowaniu swoich prywatnych interesów. Rumuni obserwowali sytuację, aby w odpowiednim momencie wyciągnąć z niej korzyści dla siebie. Zrealizowali swe plany w 1918 roku i raz jeszcze trzeba było odłożyć naszą przygotowaną już podróż. Któregoś dnia rozległy się wołania na alarm:

— Do broni! Idą Rumuni!

Rozpoczęto werbunek do pospolitego ruszenia mołdawskiego, gdyż regularnych wojsk nie było. Poczulem przypływ patriotycznego zapału, wyciągnąłem flobert ze strychu i otrzymawszy pozwolenie od ojca, zaciągnąłem się wraz z kolegami i innymi chłopakami do oddziału, który ćwiczył na placu Arbuzowym zasady ataku i obrony na polu bitwy. Potem posłano nas biegiem na wysoki brzeg Dniestru. Nie widząc nigdzie wrogów, rozleźliśmy się po ogrodach, pełnych jarzyn i owoców. Kiedy mieliśmy już dość łażenia, dowódca rozkazał nam:

— Chłopcy, do domu! Odstraszyliśmy napastnika!

Ale pewnej nocy Rumuni pod osłoną ciemności weszli do Sorok. Zmęczeni wieczorną służbą na ulicach miasta, spaliliśmy twardo. Kiedy zbudziłem się nazajutrz późnym rankiem, na ulicach Sorok ujrzeliśmy pełno mundurów rumuńskich. W tym stanie rzeczy trzeba było pogodzić się z faktem. Nasze życie uległo wyraźnej zmianie wraz z przybyciem Rumunów. Papiery, tak pracowicie zdobywane przez ojca na wyjazd do Zakopanego, przestały mieć wartość. Trzeba było zacząć starania od nowa.

Jedną z pierwszych uchwał powziętych przez Rumunów było zarządzanie o podatku, płatnym w rumuńskich lejach. Ale tych lei nikt nie miał. Gdzie je znaleźć?

— Bardzo proste — powiedzieli Rumuni. — Na ulicy Dworianskaja jest biuro, gdzie można wymienić ruble na leje.

Wszyscy pośpieszyli do owego biura. Wnet wrócił przygnębiony ojciec:

— Czy wiecie, ile trzeba dać dobrych rubli carskich, żeby zdobyć nędzną setkę lei? To jest ruina!

Tymczasem zaczęli u nas bywać oficerowie rumuńscy. Wnet zwrócili uwagę na piękną Lolitę, córkę doktora Sardowa, i zaczęli ją emablować. Nie podobало się to doktorowi Kropotkinowi. Ale doktor Sardow rzekł, rozkładając ramiona bezradnym gestem:

— Cóż można zrobić? Trzeba współpracować z potęgą okupacyjną. Oni są teraz panami.

Następnego dnia zauważyłem, że ciocia jest przejęta poważnym problemem. Było jakieś święto i trzeba było wywiesić chorągiew rumuńską. Tym, którzy ośmielią się tego zaniedbać, groziła wysoka kara pieniężna. Spruliśmy perkalową chorągiew rosyjską i ugotowaliśmy w wywarze z łupin cebuli jej biały pas. Wyszedł świetny żółty kolor i po zeszcieniu z pasami niebieskim i czerwonym z dawnej chorągwi powstała chorągiew rumuńska. Kiedyśmy ją wywiesili na balkonie, przyszła nagle burza. Gdy ustał deszcz, jakiś oficer rumuński zatrzymał się na trotuarze i zaczął krzyczeć w stronę naszego domu:

— Zdjąć natychmiast tę chorągiew! Zdjąć natychmiast!

Deszcz zmył częściowo żółty kolor i łatwo było pomylić chorągiew z rosyjską.

Pewnego razu zbudziły mnie krzyki. Cały dom był poruszony. Zobaczyłem w przedpokoju żonę doktora Sardowa pochyloną nad otwartą klapą do piwnicy.

— Nic, nic — powiedziała ciocia Modzia, pociągając mnie do wnętrza mieszkania. — Nic się nie stało. Ta pani nie ma czasu prać bielizny, rzuca ją więc do piwnicy, a potem mówi mężowi, żeby kupił nową, i ma spokój.

Wkrótce potem przybył doktor Kropotkin.

— Nie wiem, nie wiem... — mówił z powagą w twarzy, pijąc herbatę przygotowaną przez ciocię. — Nie wiem, czy będę mógł uratować tę dziewczynę.

Okazało się, że Lolita targnęła się na swoje życie.

— Wzięła dwa pudełka zapalek — powiedział doktor — poobcinała im główki i połknęła je. Zaaplikowałem jej dwa litry mleka i tuzin jaj. Nie wiem, czy da się ją uratować.

Lolite spotkał wielki zawód miłosny. Jakiś oficer rumuński zakochał się w niej i oświadczył o jej rękę. Postanowili pojechać do Bukaresztu i tam się pobrać. Ale zanim do tego doszło, zjawiła się w Sorokach tęga, wymalowana pani, poszukująca swego męża. Tym mężem okazał się narzeczony Lolity.

Te wszystkie wiadomości zdumiewały mnie. Jeżeli Lolita chciała jechać do Bukaresztu, czyż nie mogli się umówić wszyscy troje i pojechać razem? Zrobiono mi wykład o specjalnych cechach ludzkiej miłości i zapewniono, że było to niemożliwe.

Biedna Lolita przez trzy dni znajdowała się między życiem a śmiercią. Jej ojciec, jak wszyscy lekarze, zostawił los swej córki w rękach innego lekarza. Powoli, wymiotując zapalkami, przychodziła do zdrowia. W końcu, chudziutka i blada, wstała ślaniając się z łóżka i wyszła do ogrodu, żeby posiedzieć na słońcu. Usiadła na jednej z ławek, które naprawiliśmy z doktorem Sardowem, i powiedziała całując mnie:

— Teraz już jestem spokojna. Stasik, kocham cię. Wyjdę za mąż za ciebie.

## Barania inwazja

Któregoś dnia, niedługo po wkroczeniu Rumunów, silna kanonada zbudziła nas o czwartej nad ranem. Armaty strzelały z wysokiego Dniestrowego brzegu, gdzie kończyły się winnice, i pociski ze złowrogim gwizdem przelatywały nad miastem.

— To wojna! — wrzasnęła histerycznym głosem ciocia Modzia. Przez chwilę zastanawiali się wszyscy, co to mogła być za wojna? Z Rumunami... nie, bo oni mieli już w ręku całą Besarabię. Z Niemcami... nie, oni już byli pobici. Z Polakami... nie, czegoż by oni tu szukali? Z Rosją... tak, bo prędzej czy później przyjdzie ona odebrać swoją własność, tylko że wtedy strzały byłoby słychać w przeciwną stronę! Z kimże więc ta wojna?

— Wszystko jedno — orzekł ojciec. — Wszyscy jazda do piwnicy! Żywo! Ubraliśmy się pośpiesznie, przy nieustającej kanonadzie, i zesłaliśmy do piwnicy. Leżały tam stosy brudnej bielizny, a na nich, na pół zemdlona, żona doktora Sardowa. Lolita wachlowała ją i uderzała po twarzy palcami, aby przywołać ją do przytomności. Mnie było zimno, więc owinąłem się w stary dywan.

Dwie godziny trwała kanonada, po czym urwała się równie gwałtownie, jak się zaczęła. Około szóstej wystawiliśmy zmęczone, przestraszone twarze przed kłapę piwnicy. Dopiero w południe wyjaśniła się cała sprawa:

Rumuni zaskoczeni łatwością, z jaką bez walki zajęli Besarabię, obawiali się wciąż jakiejś pułapki: albo powstania ludowego, albo kontrataku ze strony rosyjskiej. Obserwowali więc dzień i noc ukraiński brzeg Dniestru. Przeszłej nocy dyżurni spostrzegli jakiś wielki tłum, usiłujący zbliżyć się po cichu do rzeki. Obserwując dokładniej doszli do wniosku, że są to Rosjanie, zbliżający się niepostrzeżenie, aby cichaczem zaatakować. Zaczęły więc dzwonić nerwowo polowe telefony, rozbiegli się posłańcy, by pobudzić szefów. Zbiegli się oficerowie w kalesonach i ustawione od pierwszego dnia baterie dostały rozkaz ostrego strzelania. Obserwatorzy artylerijscy dostrzegli przez nocne lornetki, że pociski ich padały w sam środek nieprzyjacielskiego wojska, czyniąc wielkie spustoszenie. Dwie godziny później pokazał się jakiś czaban, cały mokry, zdyszany, przerażony, bełkoczący coś niezrozumiale. Zaprowadzono go, poszturchując, przed komendanta, który zapytał go, co to za wojska usiłują sforsować Dniestr, po czym zagroził:

— Jeżeli powiesz prawdę, będziesz ułaskawiony, jeżeli nas okłamiesz, zostaniesz rozstrzelany!

— Ekscelencjo! — wyjęczał czaban półzywy ze strachu. — Zmiłujcie się nad nami! Nic złego nie zrobiliśmy! Chcieliśmy powrócić do naszych *styn*! Stado nasze jest już w połowie zniszczone!

Były to bowiem stada czarnych owiec, które jak co roku wracały z Ukrainy na Besarabię. Pędzono je nocami, aby uniknąć gorąca dziennego, i wielką była radość czabanów, gdy zobaczyli wreszcie ojczysty brzeg besarabski. Gdy zbliżyli się do Dniestru, wybuchła nagle istna burza nad ich głowami i na bezbronne owce zaczął sypać się grad artyleryjskich pocisków. Wspomagani przez psy, czabanów zaczęli wycofywać stada, w nadziei uratowania owiec, lecz w miarę jak się oddalali, linia ostrzału wydłużała się. Jeden z czabanów zaofiarował się przepłynąć wpław Dniestr i wybłagać pozwolenie powrotu do domu u celnie strzelających artylerzystów.

Naturalnie incydent stał się głośny w całych Sorokach. Wojskowi byli



sympatyczni, grzeczni, nikt im źle nie życzył, ale okupant nigdy nie cieszył się popularnością. Zaczęto więc powtarzać dowcipy i bawić się jego kosztem:

— To ci dopiero pomyłka! Ale i tak pokazali swoją odwagę!

— Co by było, gdyby to zamiast owiec było wojsko rosyjskie?

— No cóż... teraz nie została ani jedna owca, a wtedy nie zostałby ani jeden Rumun!

— Oni są za mądrzy, żeby się tak pomylić. Skoro odważyli się strzelać, to widać byli pewni, że to owce!

— *Mołodiec naprotiw owiec; naprotiw mołodca sam jak owca!* \*

Przez następne dni sklepy mięsne obfitowały w baraninę. Trzech rannych czabanów leżało w szpitalu. Artylerzyści chodzili nerwowym krokiem, oglądając się wciąż, by sprawdzić, czy nikt się nie śmieje. Z tuzin dzielnych psów pasterskich, które ofiarnie przeganiały owce pod kanonadą, utraciło życie w tej pamiętnej nocnej bitwie, dzięki której Soroki uratowały się od baraniej inwazji.

## Tragedia

Wszystkie te nieprzewidziane wydarzenia odwróciły naszą uwagę od osoby wuja Teofila. Żył jakby na uboczu, odsuwał się i zamykał w swoim pokoju, gdy tylko nie zajmował się rysakami. Nie palił, nie pił wódki, nie lubił grać w karty. Podczas bytności w Sorokach obu polskich formacji wojskowych unikał kontaktu z oficerami, generał Haller zaś wydał mu się wprost antypatyczny. Czasem widziałem go siedzącego na ławce w ogrodzie i rozmyślającego ze spuszczoną głową. Doktor Sardow go nie lubił:

— To takim wielkim panom jak wy — mówił do niego — zawdzięczamy sytuację, w jakiej się znajdujemy!

Możliwe, iż wuj się czuł rzeczywiście częściowo odpowiedzialny, bo siedział milcząc nieraz i godzinę na owej ławce, spuściwszy głowę.

— Co ja tu robię? — zawołał raz w obecności ojca. — Ja nie chcę jechać do Polski. Powinienem wrócić do Tyrnowa, żyć moim życiem! Teraz jestem jak wykorzeniony! Czuję się tu obcy między tymi wszystkimi kupcami. Co mam robić, jakiej idei mam służyć? Nie widzę celu ani sensu w tym życiu!

Kilka razy pochwyciłem urywki takich rozmów, gdy przebiegałem obok, przejęty własnymi problemami. Nie mogłem wtedy zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji, zwłaszcza że z drugiej strony życie wydawało się iść normalnym trybem; codziennie wuj kazał zaprzęgać klacz Ariszkanę do linijki, ja siadałem za nim i długim, nieznudzonym kłusem objeżdżaliśmy ogrody i winnice na brzegach Dniestru. Czasem wydostawaliśmy się na płaskowyż i oglądaliśmy chłopskie pola. Rychło przyzwyczailem się do tego życia, tak przecież różnego od skajańskiego, i wydawało mi się ono czymś naturalnym. Gdy więc spadło na nas nieszczęście, byłem nań zupełnie nie przygotowany i tak jak innych to ciężkie uderzenie losu przyniotło mnie jak głąz...

Pewnego ranka zbudziły mnie wołania lokaja Adama:

— Co za nieszczęście! To straszne! Lew Nikiforowicz, proszę, niech pan pójdzie zobaczyć ze mną!

---

\* *Mołodiec...* (ros.) — Zuch wobec owiec, a wobec zucha sam jak owca!

Mnie zakazano ruszać się z pokoju, gdzie siedziałem jak na rozpalonych węglach. Rychło smutna wiadomość rozeszła się po domu: mój kochany wuj Teofil nie żył. Według codziennego zwyczaju Adam zaniósł mu szklanekę herbaty specjalnie zrobionej w ulubionym przez niego samowarze Bataszewa. Całkiem ubrany, Teofil Antonowicz leżał na łóżku nieżywy i już zimny. Obok na nocnym stolicku widniała filiżanka, na której dzień odkryła później policja rumuńska resztki wywaru z cykuty. Leżał też list:

„Drogi mój bracie, Leonie! Wybacz mi... Chciałem pomagać ludziom, ale ludzie mnie nie potrzebują. Zostałem sam. Po co żyć? W tym, co po mnie zostanie, będzie miłość do was. Żegnajcie. T.”

Był to dla nas straszliwy wstrząs. Ani śmierć dziadzia Juliana, ani Munia nie wydawały się takim kataklizmem życiowym jak śmierć wuja Teofila. Ciocia i Lola płakały przed obrazem Matki Boskiej. Ojciec siedział koło nieboszczyka, pogrążony w bolesnej medytacji. Zalany łzami włożyłem się z kąta w kąt tego nieszczęsnego dnia, którego daty nie chcę pamiętać.

Poroszyłani zostali posłańcy, rozeszły się telegramy, dzwoniły telefony roznosząc smutną wiadomość we wszystkie strony. Kilku parobków osiodłało konie i wyruszyło galopem, aby zawiadomić ludzi z Tyrnowa i Skajan. Tymczasem pokój wuja został zamieniony w kaplicę, pozawieszano dywany na ścianach, poustawiano wazony i klosze z kwiatami, pozapalano świece w kandelabrach i świecznikach. U stóp trumny zawodziła grupa płaczek, które od czasu do czasu ostentacyjnie wyżywały nasiąknięte łzami chusteczki. Ojciec wyszedł, aby zająć się zorganizowaniem pogrzebu, i wrócił z popem oraz księdzem, którzy odmówili modlitwę za zmarłych. Jako prawosławny, wuj miał być pochowany na cmentarzu koło cerkwi, w każdym razie nie na katolickim! — jak podkreślił ksiądz — zwłaszcza że nie umarł śmiercią naturalną. Wybrano miejsce, gdzie dawano nam lekcje katechizmu, skąd był piękny widok na Dniestr. Następnego dnia pod wieczór miasto napełniło się niezwykłym ruchem; zewsząd słychać było galopowanie koni, turkot pojazdów, nawoływania woźniców. Koło domu doktora Sardowa zebrała się grupa ludzi, widać było oryginalne stroje mołdawskie, tatarskie, kozackie, ukraińskie, wyszywane rubaszki, błyszczące, wywoskowane buty, piękne barankowe czapki i papachy, szare i czarne, z kolorowym denkiem i stożkowate mołdawskie — jak głowa cukru. Mimo że stadnina już nie istniała, pokazało się jeszcze kilku Kozaków i Tatarów w obcisłych spodniach, w kurtkach ze skóry przepasyanych niezliczonymi rzemieniami, w małych czapeczkach z czarnego filcu, wyszywanych białą nitką, z baszłykiem wiszącym na plecach. Wypolerowana broń, bogato zdobione pochwy kindżałów rzucały błyski przy każdym ruchu. Przy żelaznej kracie ogrodzenia stały przywiązane za cugle wierzchowce. Pod wieczór rozległy się trzaskania z bicia i ciągniony przez czwórkę w lejc zajęchał *wan* tyrnowski, z którego wyładowano sławnego kulawego ogiera Azowa. Nie było mowy o pomieszczeniu tylu ludzi pod dachem, rozpalono ogniska na placach i grzejąc się przy nich, przyzwyczajeni do świeżego powietrza Kozacy i Tatarzy spędzili noc, zmieniając się co kilka godzin przy trumnie swego chlebowawcy. Rano zjawił się pop z dwoma diakami i zaczęli odmawiać modlitwy. Spałem zaledwie kilka godzin i obudziłem się na pół przytomny ze zmartwienia. Kazano mi się ubrać odświętnie, gdyż pogrzeb został wyznaczony na jedenastą. Gdy skończył pop, zaczął modły ksiądz katolicki; zjawił się też rabin — w imieniu żydowskiej kolonii. Wyniesiono wreszcie trumnę i przypięto ją rzemieniami do linijki zaprzężonej w dwa rysaki. Gdy ustawił się cały orszak, okazało się, że wiele ludzi chce oddać ostatni hołd

zmarłemu, i trzeba było obrać okreśną drogę, aby wszyscy mogli się pomieścić. Zaraz za trumną szliśmy my, jako najbliżsi krewni, gdyż Wania gdzieś się zawieruszył na początku rewolucji i tylko z rzadka przysyłał wiadomości o sobie. Ponad wszystkimi wystawała głowa dziadzia Asłana, który specjalnie przybył z Bielc na pogrzeb. Popatrzyłem na idących za nami; widać było same poważne i zasmucone twarze — wszystkich przejmował szczery ból. Trochę dalej szła zwarta grupa Kozaków i Tatarów, którzy na ten raz zapomnieli o swoich odwiecznych sprzeczkach i prowadzili osiodłanego, tak jak to wuj lubił, ogiera Azowa. Orkiestra Uprawy grała marsza żałobnego Chopina. Szliśmy powoli, jakby chcąc oddalić straszny moment złożenia trumny do dołu. Na cmentarzu pop znów odmówił modlitwę i zaczęły się przemówienia różnych ważnych osobistości. Gdy skończył adwokat Kurowski, na znak ojca podbiegliśmy z Miską do trumny i wraz z innymi przyjaciółmi ponieśliśmy ją aż na brzeg przygotowanego dołu, który ziała czarną, złowrogą otchłanią pośród zwyczajnej zielonej trawy. Gdy ujrzałem, jak trumna zjeżdża na sznurach w głąb ziemi, gdy kazano mi rzucać na nią grudki ziemi, poczułem gdzieś w głębi, że stało się coś nieodwołalnego. Nasze dawne życie skończyło się. Coś bliskiego, intymnego — niszczało. Teraz już sami tylko mieliśmy kontynuować podróż ku nieznanej przyszłości. Głucho dudniła ziemia na skrzyni, w której był wuj. Pop, diacy, ksiądz i rabin modlili się cichymi głosami. Grabarze pracowali szybko, zagarniając zręcznie ziemię i wypełniając dół. Usłyszałem raptem jakieś głosy; ksiądz, cały czerwony z oburzenia, krzychał coś do Tatarów, a pop — o dziwo! — z nim się solidaryzował. Patrzyłem za Tatarami, którzy odchodzili z cmentarza uprowadzając Azowa ze sobą. Widziałem ich, jak szli ku Dniestrowi. Kozacy, którzy pozostali, zaczęli sprzeczać się z cicha.

— Tego jeszcze brakuje, żeby pozwolić na podobne zabobony! Ci znów chcieliby pogrzebać zmarłego na stojąco, z osełdce wystającym ponad trawę! — powiedział ktoś.

Raptem rozległ się strzał i zobaczyłem, że Azow sprowadzony na brzeg Dniestru runął do wody.

— Dlaczego zabili biednego Azowa? Co się stało? — zawołałem, biegnąc w stronę Dniestru. Gdy znalazłem się na miejscu wypadku, było już po wszystkim. Woda unosiła zabitego Azowa w dół rzeki, środkiem, gdzie prąd był bystrzejszy. Patrzyłem przejęty na tę scenę, nie mogąc zrozumieć, co się stało.

— Dlaczegoście zabili Azowa? — spytałem Tatarów.

— Wielki chan ma być pogrzebany razem ze swoim ulubionym koniem! — tłumaczyli mi Tatarzy. — Ten kapłan chrześcijański tego nie rozumie. My więc musimy dbać, by stało się zadość stepowemu zwyczajowi. W świecie cieni podziemnych wielki zmarły pan znajdzie swego ukochanego konia.

Szczery ból i prosta wiara Tatarów wywarły wrażenie na obecnych. Stał się milcząc nad szarą wodą, płynącą cicho u naszych stóp.

— Co za koniec... i pana, i konia — rzekł doktor Sardow, zamyślony.

— Tak, to jest koniec tyrnowskiej stadniny... — westchnął ojciec.

— Biedny Azow. To niesprawiedliwość! — orzekły panie.

Przysłuchiwałem się, jak dziadzio Asłan rozmawiał z tatarskim watazką:

— Nie! — rzekł Tatar, gładząc swoją rzadką brodę. — To nie jest niesprawiedliwość. Szlachetny koń zna swój obowiązek, gdy jego pan zginie. A Azow był najszlachetniejszym z koni. Płynie teraz Dniestrem jego trup, po-

śródo pól, które niegdyś rozbrzmiewały jego gromkim galopem, aż osiągnie mokre stępy Akermanu. Dotrze aż do limanu, gdzie przyjmą go siły podwodnych zaświatów.

Wieczorem przyszli pożegnać się Kozacy i Tatarzy; jedni wracali do Sicz, inni do krymskich aulów. Ojciec ścisnął im ręce, wypłacał należności, rozdarowywał srebrne łańcuszki, zapalniczki, zegarki — wszystko, co zdołał zgromadzić w krótkim czasie — żegnając tych porządných i dzielnych ludzi, którzy tyle czasu z nami żyli szczęśliwi, a teraz równie jak my dotknięci nieszczęściem, opuszczali nasz kraj.

— Było zapisane! — powiedzieli.

Zgodnie z ostatnim wują życzeniem — i charakterem, pełnym skromności i pokory — nie przewidziano pomnika na jego grobie. Został pogrzebany na wieki pod małym wzgórkim czarnej ziemi i zwyczajny drewniany krzyż znaczy miejsce ostatniego spoczynku tego wielkiego pana, przyjaciela biednych, opiekuna artystów, mojego najlepszego i niezapomnianego wuję, Teofila Antonowicza.

## Mikroby i osy

Płynęły dalej nasze dni w Sorokach. Ojciec chodził po biurach, ja miałem lekcje gramatyki z panem Woldemarem, który często mruczał coś niezrozumiałe pod swoim opadającym blond wąsem. Dziadzio Aslan wrócił do Biela i nie dawał znaku życia. Skończyły się słoiki z konfiturami. Doktor Sardow był coraz mniej uprzejmy:

— No, kiedy wyjeżdżacie wreszcie? — spytał bez ogródek. — Jeden Rumun chce wynająć mój dom.

Gdy ja intensywnie uczyłem się języka polskiego, żeby się przygotować do naszego przyszłego życia w Zakopanem, tatuś wycinał i rzeźbił kasetki, półki i mebelki z gruszkowego drzewa.

Drugą stronę stołu w jadalni zajął Wołodia, który właśnie przyjechał z Rusian. Rozłożył swoje papiery, ołówki i grafiony, zdjął marynarkę, włożył rubaszkę wojskową zielonego koloru i przeciągając się, zawołał:

— Nie ma nic wygodniejszego do rysowania jak rubaszka!

— Co robisz? — spytał doktor Sardow, obserwując go uważnie.

— Dodatek do planów reformy rolnej, którą przeprowadzą w przyszłości Rumuni na naszych ziemiach — odpowiedział Wołodia, napełniając tuszem grafion.

— Ty? I co na to twój ojciec? Myślisz, że robisz coś dobrego? — powiedział doktor ze zdziwieniem.

— Nie wiem... — odpowiedział Wołodia zamyślony. — *Uwidim, skazał ślepo\**.

— W gruncie rzeczy — rzekł doktor, obracając się, żeby napełnić szklankę herbatą z samowara — może masz rację. Nie można się sprzeciwiać biegowi historii, jak by chcieli niektórzy.

— Jasne — dorzucił ojciec, przestając męczyć dłutem deskę, którą miał przed sobą. — Obszarnicy, żeby uciec od reformy rolnej nowego rządu ro-

---

\* *Uwidim...* (ros.) — Zobaczymy, powiedział ślepy.

syjskiego, rzucili się w ramiona Rumunów, zachęciwszy ich do zajęcia Besarabii. A teraz, he, he! — zaśmiał się — mają za swoje. Rumuni ogłosili tę samą reformę rolną, żeby sobie zjednać mołdawskich chłopów.

Wypito jeszcze wiele szklanek herbaty owego wieczoru. Ja zasnąłem i przez sen słyszałem trzask drzewa i skrzyp ołówka na papierze.

Na drugi dzień rano ojciec rozchorował się; miał dreszcze, a gdy zmierzył sobie temperaturę, termometr wskazał 39 stopni. Doktor Sardow popatrzył na ojca i zawyrokował:

— Zwyczajny *nasmork*! To te nocne stróże na ulicy, gdzie się pan narażał na jeszcze gorsze rzeczy.

Płynął czas, gorączka nie spadała i ciocia Modesta zdecydowała zawołać innego lekarza.

Doktor Kropotkin miał szpakowatą brodę, był jowialny i sympatyczny. Ośluchał ojca, zrobił poważną minę i rzekł:

— Zapadł pan na nowoczesną chorobę. Nazywa się „hiszpanka”.

— Hiszpanka? — krzyknąłem podniecony. — To musi być coś z *Don Kiszota*?

— Nie, nie — odpowiedział z uśmiechem doktor Kropotkin. — To nie to. Nazywają ją tak, gdyż człowiek z nią leży w łóżku, a temperament Hiszpanek jest słynny na całym świecie. Trudno uwolnić się od tej grypy, która czasem bywa groźna dla życia. Jak kogoś złapie, powiadają: „Położył się z Hiszpanką”.

W owym czasie nie istniały antybiotyki ani sulfamidy. Mieliśmy za to lekarstwa pogardzane przez obecną farmakologię. Dieta, jaką przepisał lekarz ojcu, była następująca: kromka chleba razowego i kistka winogron na cały dzień. Dwadzieścia dni trwała przygoda ojca z „hiszpanką”. Kiedy wreszcie wstał z łóżka, okazało się, że stracił swój zapasik tłuszczu i wyglądał jak młody chłopak z siwymi skroniami.

Kilka dni później nadeszła moja kolej: dostałem także dreszczy. Ciocia pomacała mi plecy, wkładając rękę za wąski kołnierz rubaszki.

— Do łóżka! — zawyrokowała. — Zaraziłeś się od ojca!

Położyłem się, pełen nadziei. Jakaż to musi być przyjemna choroba! Leżeć w łóżku z Hiszpanką — pomyślałem. Ale rzeczywistość okazała się całkiem inna: dostałem wysypki na całym ciele i doktor Kropotkin skonstatawał wietrzną ospę. Wkrótce zaczęła mnie wszędzie swędzić skóra i pomimo zakazu drapania się wyrywałem paznokciami całe jej kawałki. Zmusili mnie wtedy do noszenia grubych rękawic z jednym palcem, a ja wierciłem się na łóżku, czyniąc bezskuteczne wysiłki, żeby sobie ulżyć w cierpieniu. Pewnego razu, kiedy tatuś wyszedł, zacząłem błagać babcię Władysławę:

— Babciu, zdejmij mi te rękawice, tak mnie swędzi.

— No, pokaż babci, gdzie cię najwięcej swędzi? — zbliżyła się chętna do pomocy babcia.

— W kranik od samowara! — wrzasnąłem bez zastanowienia i zamilkłem, przestraszony własną bezczelnością.

Najadłem się dobrze wstydu. Babcia odrzuciła kołdrę i podniosła moją długą nocną koszulę, mówiąc:

— Zobaczymy.

Nie miałem zastrzeżeń co do pokazywania się nago moim kolegom, ale... pokazać wszystko babci wydało mi się okropnością. Nie było jednak innej rady i babcia nie dała mi spokoju, póki nie przemyła wodą utlenioną i nie zabandażowała tego, co tak bardzo mi dokuczało.

Gorączka zaczęła wreszcie spadać, a ja byłem wynudzony tak długim leżeniem. Poprosiłem o pozwolenie przeczytania jakiejś książki z biblioteki publicznej. Doktor Kropotkin poruszył wąsami z powątpiewaniem, a potem zawyrokował:

— Niemożliwe, poprzez książki zaraziłbyś całe miasto!

Zaledwie wyszedł doktor, posłyszałem krzyk i wpadła ciocia z rozwianym włosom, machając rękami:

— Chodźcie? Chodźcie wszyscy! Adam umiera!

Nareszcie pękła nuda. W nocnej koszuli wypadłem na werandę. Adam dyszał, leżąc na ziemi. Sprowadzony w pośpiechu doktor Sardow oświadczył jak zawsze:

— Nic mu nie jest! Czysta komedia!

Zaalarmowany krzykami, przyszedł ojciec. Rzucił okiem na Adama i ze swoim praktycznym zmysłem zabrał się do roboty. Włożył dwa palce do ust chorego i przycisnął spuchnięty język, żeby dopuścić powietrze do gardła. Adam wydał parę jęków i po chwili zaczął oddychać normalnie. Po południu na tyle przyszedł do siebie, że zbliżył się do mojego łóżka i opowiedział mi, co się stało:

— Miałem pół szklanki herbaty, do której wrzuciłem pięć kostek cukru, tak jak lubię. Nie zdążyłem jej wypić, kiedy zadzwonił dzwonek, i wybiegłem co prędzej. Wróciwszy zauważyłem, że jeszcze zostało trochę tej herbaty, i wypięm ją jednym haustem, nie zaglądając do szklanki. Niech to wszyscy diabli! Co za przeraźliwy ból! Jakby mi ktoś wbił sztyło w język! Zemdlałem od razu.

— He, he! — śmiał się doktor Sardow. — Osa, która sobie spokojnie piła herbatę na dnie szklanki, wyobraziła sobie, że ją chcesz zjeść, i postanowiła się bronić! Ból jest bardzo silny, ale krótkotrwały. Poza tym to jest bardzo dobre na reumatyzm, możesz być w gruncie rzeczy zadowolony.

— Teraz jeszcze brakuje, żebym ja się rozchorowała — powiedziała ciocia.

Ale miała szczęście — na osie skończyła się seria chorób i wypadków w naszym tymczasowym domu w Sorokach.

## Cyrk „Tamar”

Któregoś dnia przyszli po mnie całą paczką moi koledzy zabijaki.

— Przyjechał cyrk „Tamar”! Jeżeli pomożemy w ustawieniu namiotu, dostaniemy bilety za darmo!

Cyrk! Podniecony, pobiegłem wbijać kołki, naciągać liny i rozciągać płótna. Po całym dniu pracy przystanęliśmy, podziwiając rezultat: na placu Arbuzowym wznosiła się góra brezentu naciągnięta na dwóch masztach, u których szczytu zbiegały się niezliczone druty i liny. Z boku, oddzielone uliczkami, stały zakratowane klatki z dzikimi zwierzętami: to była menażeria. Mimo wielkiej ochoty nie mogłem być na premierze. Ciocia powiedziała:

— Nawet nie myśl o tym! Jesteśmy wszyscy w żałobie i ty także.

Poszli więc moi koledzy i jeszcze jeden chłopiec na mój bilet.

Dni mijały, a ja chodziłem smutny, osowiały, nie próbując nawet zająć się czymkolwiek, podczas gdy moi przyjaciele byli pełni życia. Tatuś po-

myślał, że najlepszym sposobem, żeby mnie ożywić i polepszyć mi apetyt, będzie jednak posłać mnie do cyrku. Siedząc na krześle blisko areny, otwierałem zdumione i zachwycone oczy na ten świat fantastyczny, w którym zakochałem się na zawsze. Arena była pokryta żółtym piaskiem znad Dniestru. Na balkonie, ponad wejściem dla aktorów i zwierząt, usytuowana była orkiestra. Przeważały w niej instrumenty dęte, których dźwięki elektryzowały nas na wstępie każdego numeru. Spektakl rozpoczynał się kaukaską dzygitywką, wykonywaną przez jeźdźców ubranych tak jak nasi przyjaciele Czerkiesi. Potem nastąpiły pokazy na trapezie i na linie. W połowie przedstawienia wyszedł błazen, zwany Bieleckim. Nos miał jak pomidor, a na głowie kłaki blond, opadające mu aż na ramiona. Nosił spodnie „pepito”, w drobniutką kratkę czarno-białą, a w ręce miał grubą pałkę, którą walił hałaśliwie swego towarzysza. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że uderzenia nie były tak silne, jak mogło się wydawać, a hałas powstawał dzięki niewidocznym nacięciom zrobionym na końcu pałki. Bielecki opowiadał dowcipy nawiązujące do miejscowych realiów, robił aluzje do pańienek przechadzających się po ulicy Dubowaja, do chłopców, którzy za nimi chodzili, do żydowskich kupców i Cyganów. Kto znał życie w Sorokach, nie mógł się oprzeć dowcipowi tych komentarzy, a ja wprost skręcałem się ze śmiechu. Na końcu tego numeru publiczność nie szczędziła oklasków.

Druga część była najbardziej interesująca z całego przedstawienia. Nagle pod samym szczytem namiotu ukazała się, wydobyta z mroku światłem reflektora, bogini z ciepłego marmuru, którą nam dane było podziwiać tego wieczoru: *mademoiselle* Arnoni. Miała krótką, tiulową spódniczkę ze staniczkiem, który pozwalał widzieć rzeczy normalnie ukryte przed naszym wzrokiem. Dziewczęta, które widziałem gołe w Skajanach, nie miały nic specjalnego: dwie zwyczajne kulki na piersiach, a niżej... nic. *Mademoiselle* Arnoni w swoim kostiumie wydawała się bardziej naga niż one. Niektóre szczegóły jej sylwetki wyglądały... niecodziennie. Pod opinającym je materiałem wydymały się krągłe kształty; obfite, arogancko sterczące piersi rozpychały stannik jej stroju. Patrzyliśmy na nią ogłupiali, zaszokowani, kiedy wychodziła strojna w cały urok swej kobiecości. Lekka i uśmiechnięta, zręcznie poruszała się z parasolką po ukośnie napiętym drucie, siadała na nim, klękała, wyciągała chusteczkę spod kolana, kładła się, jakby chciała zasnąć w tej niebezpiecznej pozycji, a potem wstawiała, by zatańczyć polkę. Z zapartym tchem patrzyłem, jak wspinała się do góry, gdy tymczasem orkiestra milkła nagle. Rozległ się głos bębna i *mademoiselle* Arnoni rzucała się raptem w dół, ześlizgując się po drucie stalowym jak na nartach. Pan we fraku czekał na dole i chwycił ją w ramiona, gratulując jej.

Wspaniałe! Jakżeż piękna jest *mademoiselle* Arnoni! — myślałem, podczas gdy orkiestra cyrkowa grała *La valse brune*, bardzo wtedy modną melodię.

Po tym przedstawieniu wróciłem do domu z niezwykłym apetytem. Ojciec był zadowolony, a ciocia nałożyła mi podwójną porcję mamałygi.

— Jutro wrócisz do cyrku — rzekł ojciec, rzucając mi groźne spojrzenie.

## Przyjęcie w Uprawie

Gdy znaleźliśmy się pod okupacją rumuńskich wojsk, nikt nie był jeszcze pewien, co z tego wyjdzie. Rosja zdawała się nie pamiętać o swojej besarabskiej córce.

— No, no! — mówili wszyscy, oglądając się na przechodzących oficerów. — Niechby tylko przyszły dwa nasze rosyjskie pułki, toby ich miotłami wymietli!

Ale pułki nie nadchodziły. Pokazali się natomiast za wojskiem urzędnicy i cywile. Chodzili po sklepach, weszli, gdzie co można kupić. Aby nawiązać stosunki z miejscowymi i zjednać ich sobie, zapowiedzieli wielkie przyjęcie w Uprawie, białym pięknym budynku, pokrytym zielonym dachem. Miała być zimna kolacja, a potem bal. Choć wielu odgrażało się, że nie pójdzie, sama ciekawość i chęć przyjrzenia się Rumunom z bliska zwyciężyła opory; zjeść bowiem i potańczyć — nie wydawało się nikomu specjalną kompromitacją. W dniu przyjęcia, około szóstej po południu, przygotowywano się wszędzie; dymiły żelazka, pracowały szwaczki i fryzjerki. Było to pierwsze wielkie oficjalne przyjęcie po długim wojennym okresie. U nas też ciocia prasowała suknię Loli, ojciec chodził po domu z założoną na twarz bindą, włączając wiszącymi szelkami po podłodze. Od chwili już zauważyłem, że Lola siedzi zamknięta w kłozecie.

— Tatusiu! — poskarżyłem się zaraz. — Ja chcę wejść, a ona mnie nie puszcza.

Wyszła ciocia i zaczęła parlamentować z Lolą przez drzwi. Okazało się, że Lola cierpiała na rozwolnienie i nie mogła wyjść, gdyż co chwila ją czyściło.

— Jest zdenerwowana! — wytłumaczył ojciec. — To nie brzuch, to nerwy. Ona nie chciała iść na to przyjęcie, ja jej kazałem, więc teraz jest przerażona! Modesta! Daj jej zaraz dwa kieliszki wódki, tej mocnej!

Nigdy jeszcze nie widziałem picia wódki w kłozecie. Byłem zachwycony i zapomniałem nawet, że sam tam chciałem wejść. Lola uchyliła trochę drzwi i ściskający gardło zapaszek buchnął przez szparę, podczas gdy ciocia podawała jej kieliszki z wódką. Ojciec miał rację. Po dziesięciu minutach Lola wyszła już całkiem spokojna, różowa i uśmiechnięta. Poszła potem z nami na przyjęcie i zamiast siedzieć w kącie witała się ze wszystkimi i rozmawiała z ożywieniem. Ojciec pilnował jednak, żeby co pół godziny wypijała kieliszek wódki.

— To tak, jak z tym Srulem na wojnie! — tłumaczył ojciec, otoczony znajomymi, którzy lubili jego kawały. — Wódka dodaje odwagi. Rozdano raz na froncie wódkę przed atakiem. Wszyscy ruszyli na bagnety, ale został Srul, ukryty w kącie okopów. — „Jak ci nie wstyd! — zawołał widząc go oficer. — Twoi towarzysze giną za ojczyznę, a ty... Piłeś wódkę?” — „No, piłem, ale wolę wstydzić się przez pół godziny, niż na całe życie być zabitym!”



## Piękna linoskoczka

W Sorokach było kino. Gdy dzięki znajomemu chłopcu dostałem się do kabiny, zobaczyłem aparat o wiele większy i bardziej od naszego skomplikowany, który jedynym okiem patrzył na ekran przez szparę w ścianie. Zamiast małej, o pełgającym płomieniu lampki naftowej były tu dwa podłużne węgle retortowe, między którymi zawiązywał się łuk elektryczny oślepiającej białości. Programy zmieniano co tydzień; filmy szły białe-czarne, ale gdy przechodziła sekwencja niebieska, oznaczało to noc, a gdy czerwona — pożar. Aby wypełnić panującą ciszę, żeby nie było słychać mruczenia aparatu ani chrząkań czy kaszłów na sali, nauczycielka muzyki Bożenkowa grała na stojącym pod ekranem fortepianie. Kino o nazwie „Ilusion” stało się wnet ważnym elementem mego życia. Wciąż prosiłem ciocię o pieniądze, aby kupić sobie bilet.

— Przecież widziałeś już ten film trzy razy! — mówiła ciocia, zdziwiona.

Ale ja zawsze mogłem oglądać filmy dwa lub trzy razy z rzędu i za każdym razem znajdowałem w nich coś nowego. A poza tym... jak przyjemnie było zasnąć na ławce! Z ekranu płynęło białawe, księżycowe światło. Ciemności nad moją głową przecinała smuga jasnego promienia. Muzyka napęłniała wnętrze, a cichy turkot aparatu projekcyjnego usypiał. Spałem jak młynarz; gdy ustał turkot i następowała przerwa, budziłem się natychmiast. Wychodziłem przy zapalonych światłach i zaspany, szedłem powoli do domu.

Pewnego dnia pokazał się w Sorokach Witia, ten od opętanych kotów. Ojciec, gdy tylko go zobaczył, zaraz zapytał:

— No! Cieszę się, że cię widzę, ale cóż znowu takiego wymyśliłeś?

— Eee... nic, nic — bronił się Witia, odwracając przy tym twarz. Po kolacji z tajemniczą miną szepnął mi do ucha:

— Chodź do mojego pokoju!

Poszedłem za nim, zaintrygowany. Teraz — pomyślałem — dowiem się, co on knuje! Witia zamknął drzwi i zaczął się rozbierać. Zdjął najpierw marynarkę, potem, odpinając powoli niezliczoną ilość guzików, kamizelkę, wreszcie koszulę i podkoszulek. Nagi do pasa, rzucił się na łóżko twarzą do poduszki. Zbliżyłem się zdziwiony, przypatrując się pewnej rzeczy niezwyklej... całe jego plecy pokrywały wymalowane tuszem kratki! W każdym kwadraciku był wymalowany numer! Co to miało znaczyć?

— Stasik! — zawołał Witia, obracając głowę na poduszce. — Poskrob mnie w kwadracie numer dziesięć!

Byłem zdumiony. Znałem dobrze czynność skrobania, była to przecież zwykła rzecz. Starsi, poważni panowie często się skrobali sami, czasem stojąc pocierali plecami o futrynę drzwi, czasem wołali mnie albo innych chłopców w moim wieku, aby ich poskrobano we wskazanym miejscu. Ale kazać się skrobać w wymalowaną szachownicę? Tego jeszcze nikt nie widział.

— Mocniej! — rozkazywał Witia. — Nie bój się, pazurami!

Zacząłem więc skrobać, jakbym chciał zedrzyć farbę z drzwi.

— Teraz dobrze! — zachęcał mnie Witia. — Teraz kwadrat numer czternaście!

Gdy tak go skrobałem, rozkazywał wciąż:

— Teraz numer trzy! Jedenaście! — itd.

Po kwadransie zasnął zadowolony. Począwszy od tego dnia, zaczęliśmy

chodzić razem do cyrku, jak dwaj kumple. Rychło zorientowałem się, że numer Mlle Arnoni specjalnie pochłania jego uwagę. Nie mógł oderwać oczu od jej ud i obfitego siedzenia.

— Ten cymbał — rzekł raz ojciec śmiejąc się — włóczy się od jakiegoś czasu za jakąś linoskoczka. On zawsze był taki. Wydaje dużo pieniędzy i nie umie z niej wydostać więcej, niżby uzyskał Stasik, który jest dzieckiem!

Witia był sympatycznym kompanem i żywilem dla niego szczerą przyjaźń. Postanowiłem posłużyć się moim doświadczeniem życiowym i pomóc mu w jego kłopotach. Następnego dnia, po przedstawieniu, trąciłem go łokciem i zaproponowałem:

— Idziemy do łoży Mlle Arnoni? Ja ją poproszę za ciebie o to, o czym ty marzysz! Zgoda?

— ...O czym ja marzę? — wysylabizował zmieszany Witia, jękając się i wybałuszając oczy.

— Nie bądź naiwny w postępowaniu z kobietami! — pouczałem go z dużą pewnością siebie. — Wymagaj! Wymalujesz jej szachownicę na plecach, ja ją poskrobie, i gdy już będzie zadowolona, wycyganimy od niej dwa bilety darmowe na jutro! — i pociągnąłem go zdecydowanym gestem za kulisy.

### Starość dziadzia Asłana

Po śmierci i pogrzebie wuja Teofila dziadek Asłan, złamany nieszczęściem, jakie na nas spadło, pozostał parę dni dłużej w Sorokach, nie wiedząc co robić. Wkrótce zaczął się skarżyć na swoje położenie.

— Pomyśl tylko! — powiedział mi oburzony. — Taki człowiek jak ja, przyzwyczajony żyć na koniu od rana do wieczora, musi teraz męczyć się w małym miejskim mieszkaniu. Chcą mnie chyba uśmiercić!

— Nie, wuju — rzekła ciocia Modesta. — Wszyscy mają dla wuja jak największe względy. Ale jakże wuj będzie dosiadał nieujarzmionych żrebców, nie myśląc o swoich starych kościach? Trzeba wstawać późno, zjeść dobre śniadanko, przeczytać gazetę, zjeść obiad, odbyć poobiednią drzemkę i wcześniej iść do łóżka. To jest właściwe życie dla wuja obecnie.

— Moja Modesto! Wszyscyście się zmówili przeciwko mnie i chcecie mnie zamęczyć najprędzej, jak się da. Mnie trzeba pracy, ruchu, konia!

Kochany „straszny dziadunio” wyruszył wreszcie do Biela. W kilka miesięcy później dowiedzieliśmy się od znajomych, że już nie miał powodów do skarg. Włączył się całkowicie w rytm życia miasta. Wybuchł pożar? Dziadek pędził tam zaraz, niosąc wiadra i ładując na plecy beczki z wodą, jakby to były butelki dla niemowląt. Wdrapywał się na dachy i schody, a o świcie wracał z opalonymi wąsami do domu, gdzie czekała na niego zrozpaczona Aurelia. Czasem słychać było wzywające pomocy głosy z ulicy, gdzie jakiś chuligan napadł na nieprzeznaczonych przechodniów. Dziadek zdejmował z gwoźdźcia dubeltówkę i przybiegał rycząc grubym głosem. Nie było potrzeby strzelać ani ranić nikogo. Kiedy tylko chuligani spostrzegli tego grzmiącego Jupitera, uciekali nie stawiając oporu. Czasem przyjeżdżała ciężarówka załadowana workami mąki i wszyscy biegli ją kupować, bez wagi, bez miar; mąkę sprzedawało się w trzypudowych worach (około 50 kg). Dziadek Asłan, siedząc na przyzbie z innymi starymi, obserwował tę scenę ukradkiem. Gdy kupująca była młoda i ładna, wstawał, żeby jej pomóc.

— Slicznotko, chce pani, żebym jej zaniósł woreczki do domu?  
Dziewczyna stała niezdecydowana, patrząc na staruszką niepewnym wzrokiem.

— Nie, nie, dziękuję, jeszcze pan sobie zaszkodzi.

Dziadek Asłań, uśmiechnięty, wołał chłopaków, włóczących się w pobliżu.

— Nieroby! Pomóście mi załadować te paczuszki!

Opierając ręce na biodrach, mój prawie stułetni dziadek brał po jednym worku z każdej strony i szedł lekko za dziewczyną niosąc sto kilo mąki, jakby to było piórko.

Jego wyczyny stały się legendarne. Podróżni przyjeżdżający z Biele opowiadali nam o dziwactwach drogiego, niezapomnianego dziadka. Są to ostatnie obrazki, jakie pamiętam z życia tego kolosa dobroci i siły, jakim był mój ukochany i podziwiany dziadzio Asłań.

### Królowa naszego domu

W Sorokach mieszkało wielu chłopców w zbliżonym do mojego wieku. Starsi rzucali mi pogardliwe spojrzenia, byli... ważni. Nie dopuszczali mnie ani moich rówieśników do swoich zabaw. Tworzyli bandę zwaną „Wilkami”. My, ci pogardzani, woleliśmy jeszcze konfiturę z róży od całusa dziewczyny. Pretendując jednak do podobnej jak ich męskości, zawiązaliśmy inną bandę, nazywając ją „Borzaje”. Obie bandy miały się czasem na ulicy Dubowaja, gdzie lubiły spacerować dziewczęta. Wystarczało jedno słowo, jeden gest, sama nasza obecność, żeby „Wilki” rzuciły się na nas. Sypały się kopniaki i uderzenia pięści i wieczorem wracałem do domu kulejąc, z podbitym okiem i krwawiącym nosem.

— Siedź cicho, Modesta! — wołał ojciec, kiedy ciocia lamentowała, przykładając mi na guzy woreczek z lodem. — Chłopak już zmężniał, niech się uczy sam bronić. Nie chcę, żeby zbabiał jak jaki panicz!

Gdy tylko podgajały mi się rany, wracałem na ulicę, żądny odwetu i bardziej jeszcze zadzierzystym niż przedtem.

Na wysokim brzegu Dniestru zieleniły się łąki. Tam, daleko od miasta i jego rozgwaru, mieszkało kilkunastu chłopów w chatach podobnych do skajańskich. Świeciły białe i czyste ściany pośród bujnych ogrodów i pól uprawnych. Chłopi hodowali gęsi, które trzeba było co rano wyprowadzać na łąkę. Było to zajęciem wiejskich dziewcząt w wieku od dwunastu do piętnastu lat. W powolnym pochodzie, przy akompaniamencie gęgania i bicia skrzydłami przelazło odporne stado przez rowy i miedze, dochodząc do Jar-al-Drakuluj, głębokiego wąwozu, na którego dnie płynęła szeroka, bujna struga zieleni, durmanów, łopianów i cykut. Gęsi zsuwały się ciężko w dół, rozkładając skrzydła, a odzyskawszy swą godną postawę na dnie jaru, dawały nura pod wielkie łopianowe liście; gęsiarki popędzały je, wymachując gałęziami burzanu. Ale po dojściu do łąk droga stawała się niepewna. Istniała bowiem sprzeczność interesów i niektórzy właściciele łąk uważali się za poszkodowanych na skutek pasienia tam gęsi. Kiedyś napadli na gęsiarki przy przejściu przez jar i nawet je zbili.

— Kobieta, młoda czy stara — orzekła ciocia Modesta przy kolacji —

nie powinna się bić z mężczyznami. Jar, daleko od domu, to nie miejsce dla nich.

— Miejsce kobiety jest w kościele — powiedział uroczyście ksiądz katolicki, wyskrobując łyżeczką skorupkę jajka na miękko.

Wszyscy ucichli, zajęci zsiadłym mlekiem.

— A teraz ci... komuniści — dodał ksiądz zachęcony naszym milczeniem — niech im Bóg przebaczy! mówią, że miejsce kobiety jest w fabryce. To po to, żeby ją oddalić od kościoła.

— Cha, cha — zaśmiał się Wołodia. — Szkoda, że tu nie ma Tatiany. Ona by księdzu powiedziała, że gdyby świat był urządzony według życzenia księdza... biedne byłyby kobiety!

— Jak to? — zawołał ksiądz, zirytowany.

— Całkiem proste, musiałyby cały czas stać na dworze! Kobiet jest więcej niż mężczyzn, a kościołów w Rosji jest tak mało jak fabryk. Chyba żeby zgodnie z życzeniem księdza miały chodzić do... cerkwi? — i rzucił mu ironiczne spojrzenie.

Ksiądz zamilkł, zaciskając wąskie wargi. Zналиśmy jego niechęć do prawosławnej cerkwi. Przerwał milczenie doktor Sardow:

— Miejsce kobiety jest w łóżku.

Wszyscy głupieli, słysząc głośny śmiech, którym wybuchnąłem... ja!

— Patrzcie no na tego smyka! — wykrzyknął ojciec ubawiony. — A nie mówiłem, że to już mężczyzna! Teraz puści jakiś nieprzyzwoity kawał!

Poczułem liczne pytające spojrzenia zwrócone na mnie.

— Cha, cha! — roześmiałem się, nabierając pewności siebie. — Kobieta w łóżku! Ciekawym, co byśmy jedli, gdyby ciocia Modesta wylegiwała się w łóżku przez cały dzień!

— Cha, cha! — roześmiali się wszyscy. — Pewnie! Ma chłopiec rację!

— Funkcja odżywiania ludzkości — powiedział sentencjonalnie doktor Sardow między jednym a drugim łykiem herbaty — jest bardzo ważna dla kobiety. Każdy z nas rozpoczął życie ssąc co sił matczyne lub mameczne piersi. Co prawda, piersi te zwisałyby puste i workowate, gdyby przedtem jakiś mężczyzna nie wykonał pewnej drobnej pracy... hydraulicznej!

— Cha, cha! — wybuchy śmiechy.

— Ja się wynoszę! — powiedział ksiądz z obrażonym wyrazem twarzy.

— Chwileczkę — zawołał tatuś i kiedy wszyscy umilkli, trwał dalej w milczeniu i zadumie. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

— Prawdziwe miejsce kobiety — zaczął mówić poważnym głosem — jest w sercu bliskich. Jak moja Marynia jest w naszym... Dobra, biedna Marynia, która głoduje w Austrii, podczas gdy nam tu niczego nie brak.

Wyczuliśmy wszyscy ton szczerzego smutku w głosie tatusia. Parę osób zwróciło się doń, by go pocieszyć i zająć czym innym. Wszystkim na pamięć przyszła biała postać mamusi, która choć nieobecna i daleka, bezwzględnie królowała w naszych sercach i w naszym domu. Nie było już więcej mowy o kobietach tego wieczoru i ksiądz mógł zostać spokojnie do końca.

## Jar-al-Drakuluj

Po ostatniej wielkiej bitwie ulicznej banda „Wilków” zdała się zmieniać swój wrogi stosunek do naszej bandy „Borżajów”.

— Nu, po co się bić? — rzekł Wowa pojednawczym tonem. — Chcecie

nam pomóc jak dobrzy chrześcijanie? — I zaprowadził nas na wysoki brzeg nad miastem, gdzie gęsia ścieżka przecinała wąwóz zwany Jar-al-Drakuluj\*.

— Zaczajcie się tutaj! — rozkazał. — Nie pozwólcie przedrzeć się gęsiom. To są nasi nieprzyjaciele! A może... — i popatrzył na nas podejrzliwie — może wy, mali, boicie się gęsi?

Spędziwszy więc całe popołudnie, pilnując gęsiej ścieżki, w służbie naszych dawnych wrogów, a obecnie już sprzymierzeńców. Wieczorem, przejęty nową rolą, wytłumaczyłem ojcu sytuację:

— „Wilki” zobaczyły, że bez naszej pomocy nie dadzą rady! Te gęsi są bardzo mocne!

Ale ojciec jakoś nie był zdolny pojąć całej wagi powierzonej nam misji.

Następnego dnia, gdy bolały mnie już kolana od czatowania na dnie jaru za krzakiem, nareszcie pokazały się gęsi. Szły powoli, poważnie, stanęły na brzegu i powyciągały szyje, rzucając w głąb jaru ostrożne spojrzenia. Wyskoczyliśmy jak salwa kartaczy, wrzeszcząc dziko, klaskając w dłonie i rozdzielając kopniaki. Posypały się pióra, rozległy się rozpaczliwe gęgania i bijąc skrzydłami gęsi cofnęły się rozproszone w głąb łąki. Uciekły też przerażone dziewczęta i dopiero gdy były od nas daleko, zdołały znów zebrać do kupy gęsie stado i ruszyły ku górnemu przejściu, szczęśliwe, że się od nas oddalają.

— Cha, cha! — zaśmiał się tryumfalnie Gawryło. — Aleśmy im dali bobu! Teraz wpakują się wprost na „Wilków”. Zobaczymy, czy oni potrafią je skopać tak jak my!

Zadowoleni z siebie, wyciągnęliśmy się na trawie, żeby odpocząć. Po jazgotliwych gęganiach i walce nastąpiła cisza. Na szafirowym niebie, wysoko zobaczyłem czarny punkt. Orzeł stepowy kreślił powolne kręgi, nie poruszając skrzydłami. Jego bystre, przeszywające przestrzeń spojrzenie śledziło chód niewidocznych już dla nas gęsi.

— Po praniu, jakieśmy im sprawili — zaopiniował Gogotaniuk — już tu nie wróć. Pójdziemy zobaczyć, jak sobie dają radę z nimi „Wilcy”?

— He, he! Uśmiełbym się, gdyby im nie dali rady! — zaśmiał się „Czinownik”. — Gęsi odeszły stąd wściekle, no a dziewczęta... nawet już nie mówię!

Wstaliśmy z naszych zielonych, świeżych podściółek i ruszyliśmy w górę, idąc dnem jaru. Szliśmy cicho i pochyleni, żeby „Wilcy” nas nie mogli odkryć. Niedługo usłyszeliśmy głośnie gęgania przed nami.

— Tssss! — szepnął „Aptiekar”. — Niech ich zeżrą gęsi! Tutaj nie mamy obowiązku im pomagać! To dziady ci „Wilcy”!

Ześliznęliśmy się na ziemię i zaczęliśmy pełzać, wykorzystując zarośla łopianu i cykut, aby zbliżyć się niepostrzeżenie do pola walki. Widać już było podskakujące w górę gęsi, trzepocące skrzydłami, a między nimi siepali się i rozdzielali kopniaki „Wilcy”, krzycząc przeraźliwie. Zbliżyłem się jeszcze trochę, chowając się za krzakiem, i... zamarłem pod wrażeniem tego, co odkryłem. To się tylko tak wydawało, na pierwszy rzut oka, że „Wilcy” walczy z gęsiami, które stały tworząc półkole w ostrożnej odległości, wyciągając szyje, otwierając dzioby i sycząc groźnie na napastników. Na środku małej polanki „Wilcy” otoczyli pasące gęsi dziewczęta. Złapali jedną i wywrócili ją na ziemię. Biedna, zaczęła pisać, podczas gdy inny chłopiec złapał ją za warkocze i pociągnął, aby odjąć jej chęć oporu. Widząc to, poculiśmy jakies

\* Jar-al-Drakuluj (mołd.) — Czarczi Jar

podniecenie bestialskie, ja ścisnąłem w ręce kolczasty owoc durmanu, którego wbijające się w dłoń kolce nie były zdolne przywołać mnie do przytomności. Przed moimi oczami kołysały się w lekkim wietrze świeże, białe, piękne lilie durmanu, które wydawały niepokojący i oszałamiający zapach.

— Zabierajmy się! — wyszeptał „Czinownik”, ciągnąc mnie za kostkę. — Potem powiedzą, że to zrobiliśmy my!

Lecz w tym momencie zoczyli nas „Wilcy”.

— *Poszli won, sobaki!*\* — zagrział Wowa, rzucając się na mnie z kółem w garści. — Czego tu szukacie? Idźcie do waszych *sosek*, *sukinsyn* „Borzaje”!

Wydrałowaliśmy, nie czekając na resztę. Lecieliśmy tak dobrą chwilę, potykając się, popychając, aby tylko znaleźć się daleko. Siedliśmy wreszcie na kamieniach, zdyszani, zdenerwowani, przestraszeni.

— A teraz co? — rzuciłem, jakbym obawiał się ponownego ukazania się komety Halleya. Inni „Borzaje” zdawali się zastanawiać, nieco już spokojniejsi.

— Teraz? — podjął Gawryło. — Teraz trzeba znaleźć sposób, żeby zrobić to samo. Musimy pokazać, że jesteśmy mężczyznami! Chcecie, żeby ci „Wilcy” z nas się wyśmiali i mieli nas za dzieciuchów? — widząc zaś nasze wahanie, dodał: — Kto chce iść na gęsiarki ze mną, niech się stawi tu, w jarze, jutro rano!

Wieczorem, w domu, chcąc przed kimś się wywnętrzyć, ale bojąc się opowiedzieć ojcu, cośmy widzieli w jarze, wtajemniczyłem w sprawę doktora Sardowa.

— Cymbały! — rzucił pogardliwie, jakby splunął. — Odegraliście rolę naganiaczy, a nie *borzajów*, jak się sami nazywacie! Psy nie naganiają, *borzaje* polują na własny rachunek! Nie rozumiesz, że was posłali jako zwyczajnych naganiaczy, abyście napędzili zwierzynę pod ich strzelby? He, He! Choćby się okazało, że to nie strzelby, lecz pistolety, to w każdym razie wyszło na to, że wy macie tylko krany od samowarów! He, he, he!

Mimo uczucia poniżenia i frustracji, które żarło grupkę „Borzajów”, o oznaczonej godzinie zjawiono się tylko trzech „odważnych” w Czarcim Jarze: Gawryło, „Czinownik” i... ja. Ukryliśmy się w zaroślach łopianu, czekając, co „szczęście” nam przyniesie. Przeszła jedna godzina, potem druga. Ogarnęła nas senność. Od czasu do czasu przelatowały nad nami bociany. Szybowały majestatycznie, nie poruszając skrzydłami, trzymając szyje i łapy sztywno wyciągnięte. Szyja z dziobem były dłuższe niż pomarańczowe nogi, odcinające się na szafirowym niebie. Widziałem wyraźnie, jak jeden bocian, lecący niżej od innych, przekrzywił głowę i obserwował nas z uwagą. Widocznie zaniepokojony czymś, co zobaczył, przyspieszył, wiosłując mocno skrzydłami. W tym momencie ujrzałem gęsi łebek na brzegu jaru. Był biały, z żółtym dziobem i czarnym okiem, które penetrowało uważnie dno jaru. Pokazało się wnet więcej gęsi głów i po chwili, uznawszy widocznie przejście za wolne, gęsi zaczęły ostrożnie schodzić: jedna... pięć... dwanaście... liczyłem nie ruszając się, starając się nawet nie mrugać. Wreszcie pokazała się za nimi dziewczyna; spojrzałem z podziwem na jej zgrabną, silną sylwetkę. Kształtne łydki zniknęły w cieniu spódnicy. Zawahała się chwilę i nie widząc nic niepokojącego, zbiegła w głąb jaru, popędzając gęsi gałęzią burzanu. Poruszyły się liście ło-

---

\* *Poszli...* (ros.) — Precz stąd, psy!

puchów i wyskoczyliśmy z zasadzki. Zagegały przestraszone gęsi, ale my już, w okamgnieniu, otoczyliśmy zdębiałą dziewczynę.

— Ostrożnie! — zawołał ostrzegawczo „Czinownik”. — To jest Jewdokia! Jewdokia! — błysło mi w głowie. — Słyszałem, że Jewdokia to był zabijaka w spódnicy, że raz obezwładniła atakującego ją marynarza. Chciałem się cofnąć, przerażony następstwami tego, co mieliśmy zrobić. Ale już było za późno na wycofanie się. Wrzeszcząc, złapaliśmy dziewczynę, jeden za ramiona, drugi za warkocze, trzeci za spódnice, i zaczęliśmy ją ciągnąć w dół, gdzie było więcej trawy i nikt nie mógł nas zobaczyć.

— Dobra jest! — wrzeszczał Gawryło u szczytu podniecenia. — Już jest nasza!

Ale nasza domniemana ofiara, otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, zaparła się dobrze nogami w ziemię i wyprostowała nagle, nie przejmując się widocznie tym, co ją czekało. Gwałtownym ruchem wyrwała się nam i stając z rękami na biodrach, w wyzywającej pozie, z grymasem złości na ustach, krzyknęła:

— Patrzcież na tych aniołków! Bezwstydnicy! — zaczęła wrzeszczeć, tracąc panowanie nad sobą. — Panicze chcą się dobrać do miodu? Zaraz wam dam część plastra, ale razem z pszczelimi żąłdami!

Przystanęliśmy jak wryci. — Pac! Pac! — brzmiały uderzenia, które Jewdokina rozdzielała szczerze. — Uh! — jęknąłem, dostawszy kopniaka w sam brzuch. Silny ból przeciął mi oddech, skrzyłem się w kłębek i przewróciłem na ziemię, tarzając się w bezskutecznym wysiłku, aby przemóc cierpienie. Zobaczyłem, że „Czinownik” ucieka z krwawiącym nosem, a Gawryło, który został sam na placu boju, ogląda się za nim. Jednym susem Jewdokia znalazła się koło niego i gdy zasłonił twarz rękami, podnosząc kolano wbiła mu je w pachwinę. Gawryło, dostawszy w jądra, ryknął niehumanicznym głosem, upadł na kolana, a potem na bok, jęcząc w straszny sposób. Wściekła Jewdokia rzuciła się na niego, zaczęła go szarpać, obracać, podnosić, potem znów rzucać na ziemię. Na pół omdlały z bólu patrzyłem, jak Jewdokia rozbierała go. Potem zajęła się swymi gęsiami, odszukała rozbiegłe ptactwo, spędziła je w stado i ruszyła dalej ścieżką przez jar. Gdy była już na drugim brzegu, zatrzymała się na chwilę i rzuciła spojrzenie na pole bitwy, gdzie leżeli ranni, udając zabitych, by uniknąć dalszej walki. Roześmiała się i pożegnała nas potrząsając w powietrzu jak chorągwią zdobytą na nieprzyjaciela... spodniami Gawryły.

Choć powoli, ból jednak przechodził. Otworzyłem ostrożnie oko: „Czinownik” gdzieś zniknął. Potem zasnął, zmęczeni bezsilną złością. Gawryło chciał czekać aż do wieczora, aby móc ukryć swą nagość. Gdyśmy się zbudzili, było już ciemno. Mimo to nie było łatwo wrócić do domu. Ja szedłem przodem i tak przesmyknęliśmy się między ogrodami, przeskakując przez płoty, unikając miejsc otwartych i oświetlonych latarniami. W ciemnym końcu przekroczyliśmy ulicę Dworianską i stanęliśmy wreszcie przed żelazną kratą naszego ogrodu. Odetchnęliśmy z ulgą, widząc, że jest ciemno i w ogrodzie nie ma nikogo. Przeskoczyliśmy płot i wylądowaliśmy między krzakami spirei.

— Oh! Oh! — zabrzmiał zaraz obok cichy wykrzyknik i rozpoznałem Lolitę. Skamienieliśmy na moment. — Tssss! — szepnęła Lolita, nakazując milczenie. — Nie ruszajcie się, inaczej odkryje mnie ojciec! Znikajcie!

— Won! Poszli won z mojego domu! — zagrzmiął mi tuż nad uchem głos doktora. — Oficerowie! Chuligani! Swolocz! Poszli won!

Nie tracąc ani sekundy poderwałem się z miejsca i pobiegłem w stronę domu; słyszałem, jak Gawryło biegnie za mną. Doktor widocznie nas wziął za rumuńskich oficerów, którzy chodzili za Lolitą. Zaplątałem się w jakieś rośliny, wywalilem się, podniosłem się migiem, cały podrapany i przerażony. Przeleciałem jak strzała przez ciemne podwórze i wpadłem do domu, przez nikogo nie widziany. Przewróciwszy po omacku zawartość szafy, wybiegłem z powrotem na taras i wręczyłem Gawryle moje stare spodnie. Potem rozebrałem się po ciemku i bez kolacji wśliznąłem się do łóżka. Po tym dniu pełnym emocji zasnąłem od razu jak kamień.

Następnego dnia rano spotkałem się z Lolitą w ogrodzie.

— Słuchaj! — rzekła, rzucając mi surowe spojrzenie. — Była tu Nadia, siostra Jewdokii. Ona cię poznała — wczoraj w Czarcim Jarze!

Dusza poszła mi w pięty. Byliśmy zdemaskowani! Teraz ojciec wkroczy w tę sprawę i popamiętam ją aż do sądowego dnia!

— Patrzcież na tę jego minę! — zawołała Lolita niby oburzona, mrugając do mnie. — Ja sama z nią rozmawiałam, twój ojciec nie wie o niczym! Słuchaj, przypuszczalnie spodobałeś się Jewdokii, posyła ci wiadomość, żebyś na nią czekał w jarze dziś o szóstej.

Zdumiałem się. Musiałem zrobić niezbyt mądrą minę, bo Lolita wybuchnęła śmiechem. Poczułem przypływ zaufania do niej i zdecydowawszy się błyskawicznie, wszystko jej opowiedziałem.

— Fiu, fiu! — zagwizdała Lolita, gdy doszedłem do końca opowiadania. — Ładne to żarty przygotowujecie dziewczętom! Naprawdę, nie wiem, jak przy takich chłopczyskach w mieście odważają się w ogóle wychodzić na ulicę! — Potem dorzuciła: — Stasik, wierz mi, porzuć twoich kompanów z szajki „Borżajów”. Ty przecież jesteś niczego, z dziewcząt wydobędziesz więcej uśmiechem niż pałką! To, czego przestraszona i pobita dziewczyna broni do ostatniego tchu, może ofiarować z chęcią chłopcu, który jej się podobą. Dobrze ci radzę: zostaw te napady. Idź na spotkanie z Jewdokią!

Spędziłem dzień w stanie podniecenia. Ciocia Modzia zdała sobie sprawę, że zaglądam często do jadalni, aby popatrzeć na zegarek.

— Ciagle jesteś głodny? — zapytała zdziwiona.

Przed szóstą poszedłem do ogrodu ubrany odświętnie i uczesany. Lolita przyjrzała mi się krytycznym okiem, ułożyła mi fałdy rubaszki, pokropiła mnie wodą kolońską, dała ostatnie rady. Tanecznym krokiem wspiąłem się po wysokim brzegu Dniestru, wyszedłem na górne łąki i nie ukrywając się usiadłem na dnie sławnego jaru. Długo czekałem, denerwując się myślą: przyjdzie, nie przyjdzie? Raptem przestało mi bić serce; na wyniosłym brzegu pokazała się Jewdokia. Podniosłem się, cały drżący i pełen nadziei:

— Jewdokia moja! — wyjąkałem wzruszony i wyciągnąłem jedną rękę w górę kładąc drugą na sercu, tak jak zaobserwowałem to w cyrku.

— Masz! — zawołała Jewdokia śmiejąc się i rzuciła mi jakieś zawiniątko. — Chi, chi, chi! — po czym obróciła się na jednej nodze i znikła mi z oczu. Speszony wdrapałem się na brzeg jaru; dziewczyna była już daleko. Swobodna i bez troska, biegła ku domowi po łące, rozdając kwiatkom lekkie kopniaki na prawo i lewo. Zniechęcony zszedłem na dno jaru i wziąłem do ręki leżące na ziemi zawiniątko: były to spodnie Gawryły! Jewdokia pomyliła mnie z innym! Rozczarowany i rozgoryczony wróciłem do domu.

Na ławce w ogrodzie siedzieli doktor Sardow, ksiądz i kilku jeszcze panów. Oni czegoś się dowiedzieli! — pomyślałem przerażony, słysząc, o czym rozmawiają.



— To jest straszne! — lamentował ksiądz. — Oprócz faktu, że to jest grzech, jakie to może mieć konsekwencje dla biednych dziewcząt!

— He, he! Co też ksiądz gada! — zaśmiał się doktor. — Ksiądz o tym nie ma pojęcia! Nauka wykazuje, że w tym wieku nie ma niebezpieczeństwa! To jest coś jak pojedynek ze starożytnymi pistoletami! Prochu tam dużo, ale siekanicy... bardzo niewiele. Dla młodzieży... to jest bardzo zdrowa rozrywka!

— Boże! — zawołał ksiądz zgorszony i wstał mówiąc: — Ja sobie stąd idę!

— Chuligan! Łobuz! — wrzasnął doktor na mój widok i porwał się z miejsca, starając się złapać mnie za kołnierz. — Widziałem cię! Toś ty wczoraj zaczął się w krzakach na moją córkę!

Nie wiem, jak by się była skończyła ta nowa awantura, gdyby w tej chwili nie weszła na werandę ciocia Modzia, spokojna i obca naszym mętnym kombinacjom. Jednym ruchem ręki zatrzymała wściekłego doktora i zawołała swoim pięknym, dźwięcznym głosem, tak by słyszeli ją wszyscy:

— Skończone! Kolacja! Mamałyga na stole, czekać nie może!

### Śmierć babci Władysławy

Minęło już wiele miesięcy, odkąd babcia Władysława wyjechała do Czerniowców. Mieszkała tam u krewnych i jej sytuacja życiowa wydawała się ustalona. Raptem przyszła wiadomość o jej śmierci, spowodowanej gangreną po wyrwaniu jakiegoś zęba. Dziadzio Stefan, który właśnie zjawił się w Sorkach, miał do załatwienia różne sprawy w Czerniowcach. Zdecydowano, abym z nim pojechał, reprezentując naszą rodzinę, i został tyle czasu, ile on będzie potrzebował, gdyż nie kursowały jeszcze pociągi przez granicę nowo powstałej Polski; mówiono nawet o jakichś potyczkach i nieporządkach. Pociągi między Besarabią i Bukowiną, na nowo nabytych przez Rumunię ziemiach, jeździły nieregularnie. Brakowało węgla kamiennego, palono więc w parowozach drzewem, ciśnienie pary w kotle było zbyt małe i pociąg włócił się z szybkością klusa końskiego. Czasem zatrzymywaliśmy się w pustym polu. Na noc pociąg stanął w lasku, „żeby ludzie mogli się wyspać”, jak mówili pasażerowie, ale rano okazało się, że to z braku drzewa. Maszynista i kilku ochotników z trzeciej klasy ścinali i ładowali do tendra zielone jeszcze polana. Tak jadąc, dojechalśmy wreszcie do Czerniowiec, gdy już było dawno po pogrzebie. Poszliśmy na cmentarz, a po drodze przyglądałem się temu dziwnemu, austriackiemu i obcemu mi miastu. Budynki wyglądały całkiem inaczej niż u nas, na fasadach nie widziałem rynien zewnętrznych, ogromne gmachy przypominały ule; prowadziły do nich maleńkie drzwi na poziomie chodnika. Zamiast sztyldów widniały jedynie wymalowane wprost na tynku czerwone i czarne litery. Patrzyłem na te litery czując jakiś lęk, były ostre, hakowate, agresywne, wrogie... W sali restauracyjnej spostrzegłem pełno niemieckich napisów na wszystkich ścianach, na serwetkach, nawet w kłozecie; dziadzio przetłumaczył mi: „Bóg nagradza za czystość”.

Następnego dnia poszliśmy do prawdziwego kościoła katolickiego, gdzie dziadzio zamówił mszę za duszę babci. Po południu wybraliśmy się na zwiedzanie innych świątyń, „bym miał jednaki respekt” dla różnych wierzeń religijnych. Dawno już obejrzałem meczet w Chocimiu, teraz zaś odwiedziliś-

my świątynie protestancką, katolicką i żydowską. Podczas gdy spacerowaliśmy po *strada Voievodul Mihăi*, rozmyślałem sobie o religiach; kościół udekorowany obrazami, figurami, świecznikami i złoconiami wydawał się pałacem w porównaniu z protestanckim zborem, pustym, szarym jak stodoła. W cerkwi zdejmowało się czapkę, a gdy teraz zrobiłem to samo w synagodze, dziadzio zaraz krzyknął na mnie:

— Wkładajże czapkę, nie bądź źle wychowany!

Gdy byliśmy kiedyś w meczecie, muezin nas wyrzucił; trzeba było zdjąć buty. Kiedyśmy to już zrobili, znów nas wyrzucił; trzeba było umyć sobie nogi! Gdyśmy to też zrobili, jeszcze raz nas wyrzucił, bo okazało się, że nie jesteśmy muzułmanami! Dziadzio wtedy powiedział:

— No, meczetu nie zobaczyliśmy, ale za to umyliśmy sobie nogi!

Po dwóch dniach pobytu w Czerniowcach zaczęliśmy prowadzić życie uregulowane: rano dziadzio coś załatwiał, a ja zestawiałem zielnik z traw zebranych poprzedniego dnia na okolicznych polach. Po południu wyjeżdżaliśmy za miasto elektrycznym tramwajem i szliśmy w pole. Dziadzio, wielki naukowiec, był zwolennikiem i propagatorem chodzenia boso, kąpania się w przerębli, nacierania ciała śniegiem i jedzenia tylko produktów roślinnych. Kazał mi więc zaraz za miastem zdejmować sandały i obaj chodziliśmy po polach boso, szukając roślin, które potem segregowałem, zapisując ich nazwy w różnych językach. Dziadzio przygotowywał, od wielu już lat, słownik botaniczny w pięciu językach: rosyjskim, polskim, mołdawskim, ukraińskim i węgierskim, stale więc wypytywał przechodzących ludzi o nazwy zebranych roślin. Wtedy to usłyszałem rozmowę, z której później ukuto dowcip:

— Jak się nazywają te jagody?

— Teee... no, czarne jagody! — odpowiedziały baby.

— No, a czemu są czerwone?

— Nooo... bo są zielone!

Wieczorem następował najprzyjemniejszy dla mnie moment dnia: szliśmy na pierogi z wiśniami, mój najulubieńszy przysmak. Dziadzio był zapalonym wegetarianinem i wciąż mi tłumaczył, jakie to trucizny znajdują się w mięsie. Gdy wiele lat później byłem znów w Czerniowcach, właśnie w okresie dojrzewania wisien, istniała jeszcze ta sama restauracja wegetariańska i podawano te same doskonałe pierogi ze śmietaną. Interes utrzymywał się z trudem i uprzejmy właściciel zapewniał mnie, że od czasów mojego dziadka nie miał już nigdy tak wiernych i entuzjastycznych klientów, jakimi my byliśmy wówczas.

Gdy już nie pozostała w okolicy ani jedna nie znana roślina i zielnik wypełnił całą walizkę, gdy skończyły się wiśnie i pierogi, wróciliśmy do Sorok, nie wiedząc, że są to ostatnie już nasze dni na Besarabii.

**Żegnaj,  
Besarabio!**

Ustały utarczki na granicy i zaczęły kursować pociągi. Skończyły się też wielomiesięczne starania o dokumenty i ojciec pokazał nam nasze rumuńskie paszporty opatrzone odpowiednimi pieczęciami i podpisami. Teraz nie był to już mglisty projekt, lecz konkretna rzeczywistość: wyjazd do Polski! Mimo iż cieszyłem się z bliskiego zobaczenia mamusi, czułem, że ogarnia mnie strach na myśl o opuszczeniu mej ziemi ojczystej. Wtedy powstał projekt eskapady

do Skajan, gdyż ojciec chciał odbyć pielgrzymkę do domu, gdzie byliśmy szczęśliwi, gdzie ja się urodziłem, i pożegnać się na zawsze ze wszystkimi. Dosiedliśmy ostatnich koni ze stajni zmarłego wuja i ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy na przełaj przez pola lub po drogach, które znał tylko mój ojciec. Spędzaliśmy noce jak włóczędzy pod ogromnymi, złotej barwy stertami.

Z ogromną radością zobaczyłem znowu Tyrnowo na horyzoncie. Z dala widniał pałac, który nic nie straciwszy ze swego pięknego kremowego koloru, wznosił się wśród zieleni parku. Ale kiedy podjechalśmy bliżej, ukazały się szkody i zniszczenia. W parku brakowało wiele drzew, widać było, że zostały wycięte.

— Naturalnie — powiedział ojciec — trudno o drzewo i jacyś ludzie bez sumienia wykorzystali brak dozoru.

W pałacu czekała nas gorsza niespodzianka: znikło całe prawe skrzydło i wielka sala balowa. Na ich miejscu był stos gruzów. Kiedy zsiadłszy z koni oglądaliśmy te zniszczenia, z ruin wyszedł Wania, spokojny i uśmiechnięty.

— Och! Jak się macie? — rzekł. — To nic! To czterometrowy *machowik* to zdziałał. Pękl.

Dowiedzieliśmy się, że Wania ożenił się w sekrecie przed ojcem z piękną aktorką rumuńską z teatru w Bukareszcie i miał z nią dziecko. Po śmierci pana Teofila, który nie godził się na to małżeństwo, aktorka zainstalowała się w Tyrnowie. Wania myślał oczywiście wciąż o maszynach i doświadczeniach naukowych. Żeby dostosować się do nowej sytuacji, postanowił przerobić odziedziczony pałac na *masłobojnię* i zainstalować tam urządzenia do wygniatania oleju z nasion słonecznika. Zaprojektował prasy i zamówił w Rumunii kotły, rury, cylindry i koła zamachowe. Chłopi tyrnowscy interesowali się żywo tym projektem. Ale w dzień puszczenia w ruch urządzeń zdarzyło się nieszczęście.

— Wszystkiemu winna siła odśrodkowa — tłumaczył Wania. — Ja wszystko doskonale obliczyłem, ale *machowik* przyszedł z fabryki gotowy, nie ja go projektowałem. Gdy osiągnął przewidziane obroty, eksplodował, rozwalając ściany, pierwsze piętro i dach. Co za siła! To było wspaniałe! — dokończył tonem podziwu.

Zawiedziona być może w swoich nadziejach, aktorka rumuńska wyprowadziła się do Bukaresztu, zabierając z sobą dziecko, i Wania został sam — z ruinami projektów.

W Skajanach czekały na nas inne niespodzianki. Pop przeniósł do siebie większą część naszych mebli i zajął trzy pokoje w naszym domu... na hodowlę świń! Ogród i park były całkowicie opuszczone. Moja mamka Popowiczka, u szczytu radości, o mało nie zemdląła z wrażenia, uściskała mnie i ucałowała. Jej zięć Wacha założył warsztat reperacyjny — z narzędziami, które mu ojciec podarował. Chłopi, którzy wyszli nas witać, opowiadali o najnowszych wydarzeniach. Pan Ostap umarł, a jego własność, otoczona wysokim kamiennym murem, stała opuszczona i zarosła chwastami. Pan Rogacki gdzieś wyjechał. Rumuni skonfiskowali wszystkie prywatne majątki i rozdzielili je między chłopów, aby sobie zjednać ludność mołdawską, wykorzystując pierwotny plan rosyjski. Właścicielom pozostawili działki stuhektarowe. Wania został z ogromnym, bezproduktywnym parkiem i niczym więcej. Chłopi ucałowali mnie w oba policzki, potem uścisnęli ojca, mówiąc:

— Wracajcie, panie, prędko wszyscy, Stanisław Lwowicz, Maria Władimirowna i rodzina. Daj Boże, abyśmy znowu mieli między nami wszystkich Makowejów.

Po raz pierwszy usłyszałem, jak ktoś nazwał mnie z *otczestwa*, jak dorosłego.

Opuściliśmy Skajany ze ściśniętym sercem. Pola leżały odłogi i mogliśmy jechać na przełaj. Spaliśmy w stertach, gotowaliśmy mamałygę na ogniu ze słomy i pod koniec tygodnia byliśmy z powrotem w Sorokach. Ciocia zapakowała tymczasem wszystkie nasze rzeczy. Doktor Sardow chodził między kuframi i walizkami, rozglądając się po pokojach. Przyszli szewc Grigorij i introligator, żeby się ze mną pożegnać. Dołożyłem do naszego bagażu podarunek dla mamusi: własnoręcznie zrobione przeze mnie buciki z płótna na skórzanej podeszwie. Adam, dobrze wynagrodzony, wyruszył do swojej wioski. Żegnaliśmy przyjaciół, ściskając wiele, wiele rąk. Pożegnałem towarzyszy moich wypraw na ryby oraz tych z lekcji katechizmu — i westchnąłem, czując ciężar na piersi.

Ruszyła wreszcie nasza karawana z Sorok w stronę Floreszti. Ojciec i ja jechaliśmy konno, a ciocia i Lola powozem. Zamykały pochód szarabany załadowane naszymi rzeczami. Ukazały się białe kredowe urwiska pośród zielonych drzew. Tam się kryły jaskinie przysłowiowych czterdziestu rozbójników. W skalistej ścianie wykute były dziury i stopnie, by ułatwić wchodzenie do grot. Potem, skręciwszy w wąski wąwóz, ujrzałem po raz ostatni błysk Dniestrowej wody i wdrapaliśmy się na płaskowyż besarabski.

Ze łzami w oczach opuszczałem ten piękny kraj, gdzie się urodziłem i przeżyłem pierwsze szczęśliwe lata mego życia.

Szybko, zbyt szybko, dojechaliśmy do stacji kolejowej. Stojące wagony, tragarze, walizki i kufry, których zawartość rozsypuje się po peronie... Dwa dni i dwie noce w starodawnej *tiepluszce* rosyjskiej i w końcu granica... Takie są obrazki, które zamykają cały ten bogaty rozdział mego życia. Po drugiej stronie granicy — Polska, nowy, nie znany mi kraj. Daleko za mną zostało dzieciństwo i najwcześniejsza młodość, ludzie rosyjscy i mołdawscy — dobrzy, weseli, pracowici i serdeczni — słońce i utracone szczęście.

Żegnaj, ziemio czarna i hojna! Żegnajcie, gorejące twarze słoneczników! Żegnajcie, wyścigi *trojek*! Żegnaj, złota i kochana mamałygo moja!

Gualba, Casa Mak, 1973.

## Słowniczek

**alakiaz** — tradycyjna pieśń kaukaska

**archijerej** — wyższy duchowny w kościele gr. i prawosł.; patriarcha

**arszyn** (ros.) — jednostka długości, ok. 71 cm

**ataman** — tu: naczelnik koniuchów tatarskich i kozackich

**bajat** (mołd.) — chłopiec

**bakłażannaja ikra** (ros.) — mołdawska przystawka z bakłażanów i cebuli (*ikre de winete*)

**banatka** — rodzaj pszenicy transylwańskiej pochodzącej z Banatu

**baraban** (ros.) — bęben

**barbat** (mołd.) — mężczyzna, mąż

**barinia** (ros.) — pani

**baszłyk** (ros. z tur.) — rodzaj ciepłego kaptura o długich patkach do zawiązywania dookoła szyi; noszą go przeważnie mężczyźni, wkładając na czapkę lub układając na szyi w kształcie wysokiego kołnierza

**batuszka** (ros.) — ojciec, ojczulek; tu: pop

**bekierować** — od nazwiska Beker; przepuścić przez maszynę Bekera, segregującą ziarno według wielkości

**binda** (niem.) — opaska, którą podwiązuje się wąsy, aby się dobrze ułożyły

**bondz** (reg.) — bundz, ser owczy o wielkiej, płaskiej formie

**borzaja** (ros.) — pies myśliwski, chart

**buterbrody** (niem.) — dwie kromki chleba z masłem, przełożone plasterkiem sera lub wędliny; kanapki

**butersznyty** (niem.) — zob. buterbrody

**chołoszczzenie** (ros.) — trzebieenie, kastracja

**cieciorka** — roślina zielna z rodziny motylkowatych, o różowych kwiatach skupionych w duże główki

**crêpes** (fr.) — naleśniki

**czaban** (mołd.; tur.) — pasterz owiec (lub wołów)

**czemodan** (ros.) — walizka

**czesuca** (chiń.) — rodzaj chińskiej tkaniny z surowego jedwabiu

**czinownik** (ros.) — urzędnik

**czoban szeful** (mołd.) — główny pasterz; baca

**czornorabocziye** (ros.) — robotnicy, wyrobniicy

**czugun** (ros.) — lane żelazo

**dacza** (ros.) — podmiejska willa w Rosji; letnie mieszkanie, letnisko

**diadia** (ros.) — wuj

**dienszczik** (ros.) — ordynans

**dojna** (mołd.) — mołdawska ludowa pieśń liryczna

**domn** (mołd.) — pan

**dornik** — narzędzie do wybijania dziur w obręczach żelaznych

**durman** — trująca roślina stepowa o odurzająco pachnących, wielkich białych kwiatach

**dżygitówka** (ros.) — ćwiczenia gimnastyczne wykonywane na koniu w biegu, rodzaj sportowej walki na koniach uprawianej wśród kaukaskich górali i kozaków

faeton — pojazd konny czterokołowy, na resorach, z podnoszoną budą  
falcza (mołd.) — miara powierzchni,  $2\frac{1}{4}$  morga  
falczowy — odpowiedzialny za uprawę falczy  
flujer czobanesk (mołd.) — fujarka pasterska  
frendzola (mołd.) — pleciona bułka, posypana makiem  
fusta (mołd.) — spódnica

garmoszka (ros.) — harmonia (zdrobniale)  
głagoły (ros.) — czasowniki  
goj (hebr.) — pogardliwa nazwa nadawana przez Żydów wszystkim innowiercom  
gorniczna (ros.) — służąca  
gospoda (ros.) — panowie  
gruzownik (ros.) — samochód ciężarowy  
gusli (ros.) — gęśle

halma — 1) gra towarzyska, 2) (ros.) hamulec  
hołoble (ukr.) — dyszle poboczne, w które wprzega się konia

indiuk (ros.) — indyk  
inkarnatka — rodzaj czerwonej koniczyzny  
inochodiec (ros.) — inochodziec, koń biegnący chodem symetrycznym, w którym  
unosi i opiera o ziemię na przemian równocześnie obie nogi prawe lub lewe;  
słychać dwa uderzenia kopyt  
isprawnik (ros.) — naczelnik policji powiatowej

jamón serrano (hiszp.) — nacierana przyprawami, suszona szynka hiszpańska  
jamszczik (ros.) — woźnica  
jaszczyk — skrzynia, w wojsku używana do przechowywania i transportu amu-  
nicji  
jedlica (reg.) — smukła żerdź jodłowa

kabak — kabaczek, roślina z rodziny dyniowatych, o wydłużonym owocu  
kacap (ukr.) — kupiec wielkoruski  
kaiser (niem.) — cesarz  
kantarka — miękka konopna uzda  
kar (mołd.) — ciężki czterokołowy wóz, służący do transportu  
karauł (ros.) — posterunek  
karuk — klej otrzymywany z pęcherzy rybnych, odpadków skór, rogów i kości  
zwierzęcych  
katabas — pogardliwie: ksiądz  
katryncja (mołd.) — spódnica owijająca ciasno biodra i nogi, noszona w Mołdawii  
górskiej  
kazionnyj (ros.) — państwowy  
kazirok (ros.) — daszek czapki wojskowej  
kebab (tur.) — turecka pieczeń z jagnięcia z cebulą, pieprzem, jajami i ryżem;  
tu: gałka z siekanego mięsa pieczonego na rożnie  
kennel (ang.) — psiarnia  
klipać (reg.) — mrugać  
klukwa (ros.) — żurawina  
kładbiszcze (ros.) — cmentarz  
kłania (reg.) — kopa snopów ułożonych w sposób charakterystyczny dla danej  
okolicy

kociuba (tur.) — narzędzie do wygarniania węgla z pieca chlebowego; pogrzebacz  
kokosze — ziarna prażonej kukurydzy  
kołokolczik (ros.) — dzwoneczek  
koromysło (ukr.) — nosidła; tu: żuraw w studni  
kręczelniki — rodzaj ciasta wielkanocnego  
kriwacul (mołd.) — ostry wiatr północno-wschodni  
kulicz — rodzaj ciasta wielkanocnego  
kuptior (mołd.) — duży piec ulepiony z gliny  
kurdul (mołd.) — stado owiec; kierdel

lajśnia (niem.) — zrzynek od tarcicy  
leżinka (ros.) — narodowy taniec kaukaskich Lezginów  
liman (ros. z gr.) — płytka zatoka morska, oddzielona od pełnego morza mierzeją;  
występuje nad Morzem Czarnym i Azowskim  
limpacz (mołd.) — bloki suszonej surowej gliny do budowy ścian  
linijka — lekki pojazd gospodarski, czterokołowy, jednokonny, z podłużnym, wą-  
skim siedzeniem podpartym na osiach lub resorach, do jazdy okrakiem

machowik (ros.) — koło rozpedowe  
macziche (port.) — brazylijski taniec z drugiej połowy XIX w.; w Europie poja-  
wił się ok. 1890 r.  
madapolam — biała tkanina bawełniana o splocie płóciennym  
majufes (hebr.) — żydowska pieśń śpiewana podczas niektórych obrzędów religij-  
nych i zwyczajowych  
manke (mołd.) — piastunka  
masłobojnia (ros.) — olejarnia  
masztelarnia — pomieszczenie przy stajni, służące za skład sprzętu i miejsce do  
spania dla służby stajennej  
miotłyczynia — roślina o twardej łodydze, miotlasto rozwidłonej; po opadnięciu  
liści mołdawskie gospodynie używały jej jako miotły  
mołodiec (ros.) — zuch

nargile (tur.) — fajka wodna; podczas palenia dym przechodzi rurką przez naczyn-  
ie napełnione wodą  
narzan — popularna kaukaska woda mineralna  
nasmork (ros.) — katar  
naspinnyj ramię (ros.) — rzemień grzbietowy, część uprzęży końskiej  
nimik (mołd.) — nic  
nutrieniak (ros.) — połowicznie wykastrowany, tzw. „wnęter”

obturator — urządzenie likwidujące drgania obrazu na ekranie w czasie projekcji  
odaja (mołd.) — obejście, przestrzeń z zabudowaniami gospodarskimi i stertami,  
gdzie m. in. odbywała się młocka  
ofis (ang.) — biuro, gabinet  
okka (tur.) — jednostka wagi, funt  
oseledec (ukr.) — kosmyk włosów na czubku ogolonej głowy

pałatka (ros.) — namiot  
panichida (ros.) — nabożeństwo żałobne w cerkwi  
pchinkać (reg.) — popłakiwać, pochłipywać  
pedigree (ang.) — rodowód

pielmieni (ros.) — pierożki z mięsem  
plennyje (ros.) — jeńcy  
plimbare (mold.) — spacer  
plombir (fr.) — lody śmietankowe z owocami kandyzowanymi  
pogrieb (ros.) — piwnica  
prijutny (ros.) — przytulny  
pristaw (ros.) — komisarz policji  
pud (ros.) — jednostka wagi, ok. 16 kg  
putnia — duże naczynie z klepek, z jednym lub dwoma uchami, używane na wsi,  
zwłaszcza do noszenia wody nosidlami; cebrzyk, szaflik

remont — doroczny zakup koni dla wojska  
rypa (mold.) — jar, rozpadlina  
rysaki (ros.) — klusaki; konie odznaczające się zdolnością do bardzo szybkiego  
kluska

sapa (mold.) — motyka  
szczoty (ros.) — liczydła  
sielodka (ros.) — śledek, tu: gumowa pałka policyjna  
siemiaczki (ros.) — nasiona słonecznikowe  
sizal — twarde włókno otrzymywane z liści agawy (sizalskiej), używane do wy-  
robu sznurów, lin, mat itp.  
skrzydlówka — niklowana trąbka, używana w kawalerii  
smorodina (ros.) — porzecza  
sobacznik (ros.) — psiarczyk  
sogiówek (reg.) — ścieżka polna, miedza  
soska (ros.) — smoczek  
srokari (ros.) — pracownicy terminowi (sezonowi)  
stepun (mold.) — wielki pan  
styna (mold.) — przenośne ogrodzenie dla owiec  
szaraban — rodzaj bryczki z poprzecznymi ławkami  
szaszka (ros.) — szabla  
szeńful czoban — zob. czoban szeńful  
szirokogony (ros.) — gatunek owiec karakułowych  
szkarpaty (reg.) — bardzo pochyły  
szyk (ros.) — bagnet  
syrba (mold.) — ludowy taniec moldawski

tarantas — dawny powóz czterokołowy o nadwoziu w kształcie pudła osadzonego  
na długich sprężystych listwach, zastępujących resory  
tarok — gra w karty  
telega — wóz, fura  
tępluszka (ros.) — ciepłuszka, wagon towarowy ogrzewany  
tiftieliki (ros.) — pulpety z siekanego mięsa wieprzowo-wołowego, podawane  
z sosem  
tılbury (ang.) — lekki, otwarty jednokonny powozik o dwóch kołach  
tłoka (reg.) — plac we wsi, miejsce wspólnych prac i zabaw  
torgowoje sudno (ros.) — statek handlowy

uriadnik (ros.) — urzędnik policji



viticultor (łac.) — hodowca winnej latorośli

wan — klatka na kołach do przewozu koni rasowych czy wyścigowych

wataha (ukr.) — tu: rządca

werszek (ros.) — miara długości, 4,4 cm

wintowka (ros.) — karabin

włoara (mołd.) — mołdawski instrument muzyczny, gęśle

wołkodawy (ros.) — wilczarze, specjalna odmiana chartów używana do polowań na wilki

wurdzić (reg.) — ścinać się podczas warzenia (gotowania)

zahara — pożywienie ze sparzonej mąki kukurydzianej i grochowej dla bydła i trzody

żarienyj baraszek (ros.) — pieczone jagnię

żok (mołd.) — ludowy taniec mołdawski

żugeniye (mołd.) — kastracja

## SPIS ILUSTRACJI

Ojciec Autora, Leon Makowiecki, w 1912 r.

Matka Autora, Maria Makowiecka (na odwrocie — poniżej — adres fotografa odeskiego wraz z reprodukcjami przyznanych mu medali i wyróżnień)

Grupa rodzinna w Komarowie; na pierwszym planie mały Staś Makowiecki, jego matka, babcia i dziadzio Władysławscy (1911 r.)

Teofil Antonowicz, właściciel Tyrnowa

Pałac w Tyrnowie

Mały Staś ze swoją soroką

Odaja w Skajanach

W czasie zbioru kabaczków — Staś Makowiecki i Mlle Berthe

W komarowskim parku, u dziadzia Władysławskego — Staś obok babci

Przegląd koni w czasie remontu w Tyrnowie

Goście Teofila Antonowicza w Tyrnowie — po dorocznym remoncie (1912 r.)

Dziadzio Julian przy swym stoliku do robót

Orkiestra wojskowa sprowadzona z Biela na imieniny Marii Władimirowny

Tak ubierano się w tamtej epoce

Profesor Horr

Babcia Nucia

Pałac w Rusianach

Wpuszczanie narybku do Szuwarowego Stawu

Jakby w Bryczawie... (zdjęcie z gazety podpisane: „Dans un village d'Europe de l'Est, en 1915”)

Ciocia Modzia (1920 r.)

Leon Makowiecki na swoim koniu Tarkunie

Ulica w Odessie (1913 r.)

Samowar z Frasiny — dzieło mistrza Bataszewa z Tuły

Wyścigi „Yacht Clubu” w Odessie

Niedźwiedź w Widłach

Tańce moldawskie w Skajanach podczas ludowego święta

Polowanie systemem „w kocioł”

Na daczach u doktora Władimira Iwanowicza Szonina

Panie zazwyczaj pozwały do zdjęcia, trzymając za skoki ubite zajce

Obiad wielkanocny na otwartej werandzie w Skajanach

Na „święconym” w Tyrnowie w 1912 r.

Teofil Antonowicz ze swymi gośćmi przed tyrnowskim pałacem

Pocztówka od słynnego tenora Ignacego Dygasa — z jego własną podobizną — wysłana do Leona Makowieckiego na Besarabie

Moskiewscy artyści w tyrnowskim parku; z prawej Nadieżda Iwanowna

Mlle Berthe i Staś — w przebraniu

Pożar sterty w Skajanach

Pałac w Michałowie, gdzie powstawała Trylogia Sienkiewicza

„Studnia zbrodniarza” na stepie

Cyganie w Tyrnowie

Obóz cygański w Tyrnowie

Na stacji Skajany

*Wojsko rosyjskie w Biłcach*  
*Tramwaj konny w Kiszyniowie*  
*Rynek w Sorokach*  
*Budynek Uprawy w Sorokach*  
*Forteca genueńska z XV w. nad Dniestrem w Sorokach*

Wszystkie zdjęcia pochodzą ze zbiorów prywatnych Autora. Wykonane w pierwszych latach naszego wieku, nie dochowały się do dziś w najlepszym stanie technicznym. Niektóre z nich, choć zniszczone i uszkodzone, zostały jednak zreprodukowane w niniejszej książce dla ich istotnych walorów dokumentalnych.

## WYKAZ TYTUŁÓW

Besarabia . . . . .	7
---------------------	---

### POKÓJ

Mała mołdawska wioska . . .	13
Chata . . . . .	19
Żniwa . . . . .	21
Słońce na stole . . . . .	22
Młocka na odai . . . . .	23
Soroka . . . . .	25
Ogród zoologiczny . . . . .	27
Cerkiewne akacje . . . . .	29
Tytoń Popowa . . . . .	25
Francuski chór . . . . .	36
Narzutka Teofila Antonowicza	38
Remont . . . . .	39
Szachy telefoniczne . . . . .	43
Igła z platyny i igła ze stali	44
Tyrnowski ogrodnik . . . . .	46
Największe skajańskie święto .	46
Tyrnowska stadnina . . . . .	57
Gigant . . . . .	59
Babcia Mena i babcia Nucia . .	61
Bal w rusiańskim pałacu . . .	63
Wyścig . . . . .	66
Pożar stepu . . . . .	71
Indyk Musztułek . . . . .	72
Tyrnowskie laboratorium . . .	74
Szuwarowy Staw . . . . .	76
Lekarstwa i recepty . . . . .	78
Kulisty piorun . . . . .	80
Eskapada Zojki . . . . .	82
Morderstwo w Bryczawie . . .	84
Pierwszy samochód . . . . .	87
Czabani i karakuły . . . . .	90
Pierwszy lot . . . . .	94
Królowa owoców . . . . .	96
Ciocia Modzia . . . . .	97
Rozkosz picia . . . . .	98
Besarabska kozina . . . . .	100
Prawo stepu . . . . .	101
Czarnomorskie jesiotry . . . .	103
Besarabski krajobraz	
gastronomiczny . . . . .	105
Skajański pogrzeb . . . . .	106
Knur Balaur . . . . .	108
Zakład dziadzia Asłana . . . .	110

Indyczy maraton pana Hałaj- dżoglu . . . . .	112
Turecki osilek . . . . .	115
Per pedes apostolorum do ziemi obiecanej . . . . .	116
Frasina i pierwszy samowar . . . . .	119
Niedźwiedź i wróbel . . . . .	121
Profesor Toki . . . . .	122
Bracia Lumière . . . . .	124
Stepowy lis . . . . .	125
Pojedynek o świcie . . . . .	126
Kino Iluzjon . . . . .	129
Instytut Pasteura . . . . .	131
„Mieć dach na Besarabii” . . . . .	134
Rabin Mosze . . . . .	135
Ludzie z żelaznych dróg . . . . .	137
Charty i lisy . . . . .	139
Burza . . . . .	141
Szczury . . . . .	144
Buhaj batiuszki . . . . .	146
Dezerterzy . . . . .	147
Wyprawa do Mohylowa nad Dniestrem . . . . .	149
Zaczarowany flet . . . . .	153
Wrona i Don Kichote . . . . .	157
Najwierniejsi poddani cara . . . . .	159
Pieśń skowronków . . . . .	161
Młocka kamieni . . . . .	163
Kocioł do młyna . . . . .	166
Czarnomorski liman . . . . .	170
Wółkodawy polują na wilki . . . . .	171
Andrzejki . . . . .	173
Zaspy śnieżne we Floreszti . . . . .	175
Boże Narodzenie . . . . .	176
Zaśnieżony step . . . . .	179
Polowanie w „kocioł” . . . . .	184
Wielkanoc . . . . .	187
Eleganccy krawcy bryczawscy Pożegnanie czabanów i karaku- łów . . . . .	190
Jedziemy na odaję! . . . . .	193
Statkiem na Dniestrze . . . . .	194
Szczyt niebosiężny . . . . .	196
Mahoń i Heban . . . . .	200
Opera włoska . . . . .	202
Opera rosyjska . . . . .	204
Ogier Azow . . . . .	206
Słonecznikowy ogień . . . . .	208
Wieczornica . . . . .	211
Z chartami na zająca . . . . .	212
Atak wilków . . . . .	214

Kulig . . . . .	221
Skrzypce w błocie . . . . .	224
Sienkiewicz i genealogia . . . . .	227
Pożar sterty . . . . .	229
Z wioarą w Dobrudży . . . . .	230
Śmierć dziadzia Juliana . . . . .	235
Nie iskuszaj... . . . .	236
Studnia zbrodniarza . . . . .	236
Ujeżdżanie żrebca . . . . .	238
Kumys . . . . .	239

## WOJNA

Wojna . . . . .	245
Turecki bednarz . . . . .	246
Jeńcy wojenni . . . . .	246
Wojenne żony . . . . .	249
Choroba Munia . . . . .	250
Przewrotna modlitwa . . . . .	251
Ptaki w wojnie 1914 roku . . . . .	252
Bojum i Kreczun . . . . .	254
Pierwsza potyczka powietrzna . . . . .	257
Patriotyczny kos . . . . .	259
Deportacja profesora Horra . . . . .	261
Przyjaciele Tolstoja . . . . .	262
Podboje aptekarza . . . . .	263
Pierścionki wolności . . . . .	265

## REWOLUCJA

Rewolucja . . . . .	269
Opętane koty . . . . .	271
Kozacy ze Starogrigoriowskiej Stanicy . . . . .	272
Śmierć Munia . . . . .	274
Pierwsze jaskółki . . . . .	275
Czornaja sotnia . . . . .	276
Obligacje pierwszego rządu re- publikańskiego . . . . .	281
Pożegnanie Czerkiesów . . . . .	282
Muzyczne zamięłowania popa . . . . .	285
Napad na Kyjce . . . . .	286
Żegnajcie, Skajany! . . . . .	287
Uciekinierzy w tyrnowskim pa- łacu . . . . .	290
Napad na tyrnowski dwór . . . . .	291
Las z bandytami . . . . .	294
Szewski terminator . . . . .	295
Pan Woldemar . . . . .	297
W Sorokach . . . . .	298
Półów moskalików . . . . .	300
Błękitna dywizja . . . . .	301
Katolicka kaplica . . . . .	304

Piwnice w sorokskich winni- cach . . . . .	305
Dywizja koloru khaki . . . . .	308
Pan Kornel . . . . .	311
Moldawski rząd . . . . .	312
Okupacja rumuńska . . . . .	313
Barania inwazja . . . . .	315
Tragedia . . . . .	316
Mikroby i osy . . . . .	319
Cyrk „Tamar” . . . . .	321
Przyjęcie w Uprawie . . . . .	323
Piękna linoskoczka . . . . .	324
Starość dziadzia Asłana . . . . .	325
Królowa naszego domu . . . . .	326
Jar-al-Drakuluj . . . . .	327
Śmierć babci Władysławy . . . . .	332
Żegnaj, Besarabio! . . . . .	333
 Słowniczek . . . . .	 336
Spis ilustracji . . . . .	341

Obwolutę i łączenie projektował  
Adam Korpak

Redaktor  
Irena Elle

Redaktor techniczny  
Hanna Nawrot

Printed in Poland  
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976  
Wydanie I. Nakład 5000 + 283 egz.  
Ark. wyd. 32,3 Ark. druk. 21,75 + 2 ark. ilustr.  
Papier druk. mat. kl. III, 70X100 cm, 70 g  
Oddano do składania 5 XI 1975  
Podpisano do druku 28 III 1976  
Druk ukończono w maju 1976  
Zam. 765/75 Z-18-163  
Cena zł 75.—  
Drukarnia Narodowa Z-1  
Kraków, ul. Manifestu Lipcowego 18







Ojciec Autora, Leon Makowiecki, w 1912 r.



Matka Autora, Maria Makowiecka (na odwrocie — poniżej — adres fotografa odeskiego wraz z reprodukcjami przyznanych mu medali i wyróżnień)



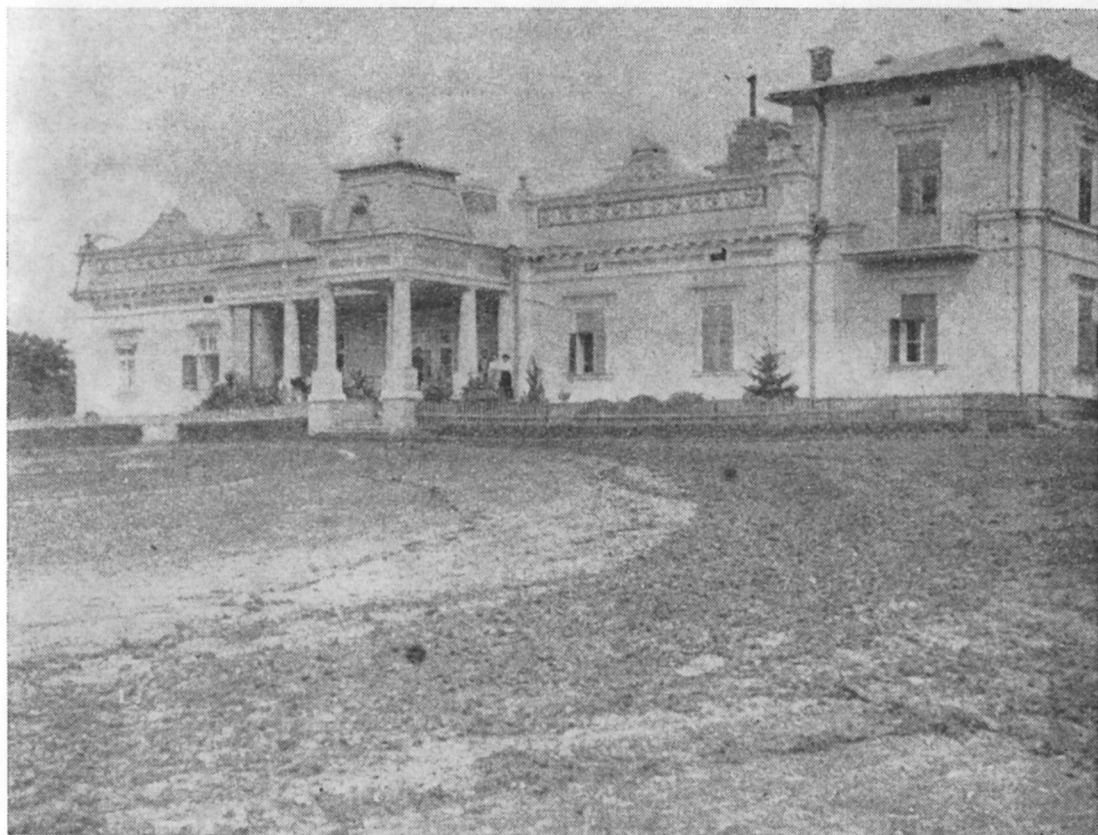


*Grupa rodzinna w Komarowie; na pierwszym planie mały Staś Makowiecki, jego matka, babcia i dziadzio Władysławscy (1911 r.)*

*Teofil Antonowicz, właściciel Tyrnowa*



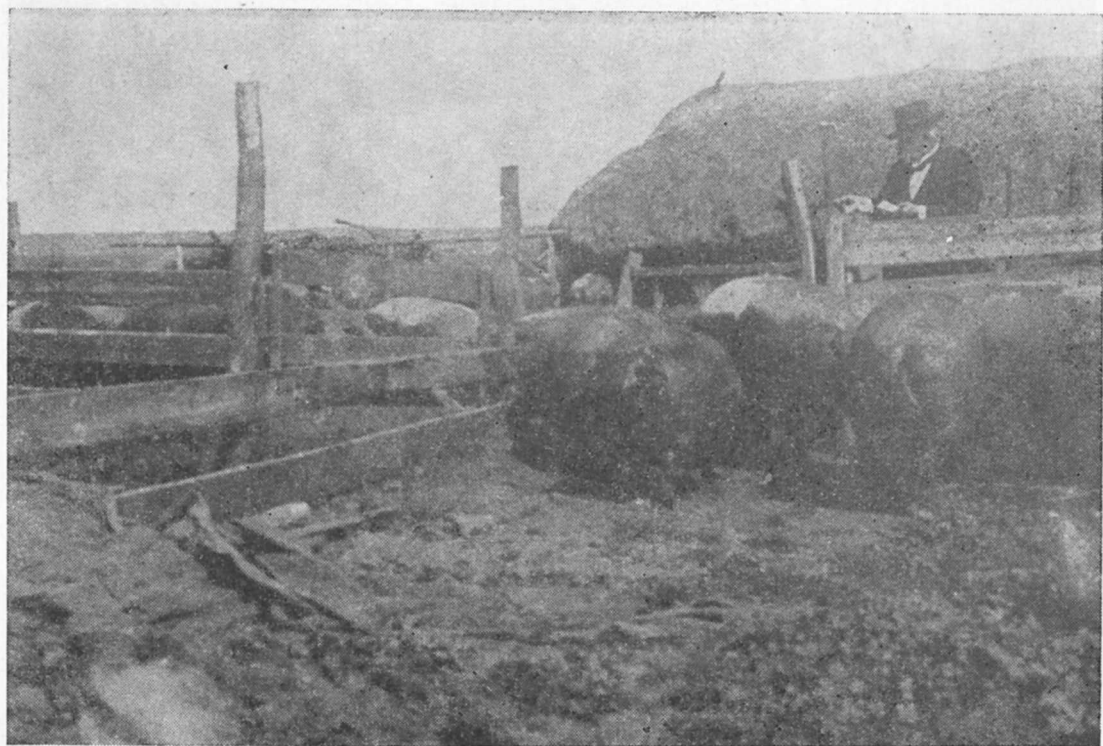
*Pałac w Tyrnowie*



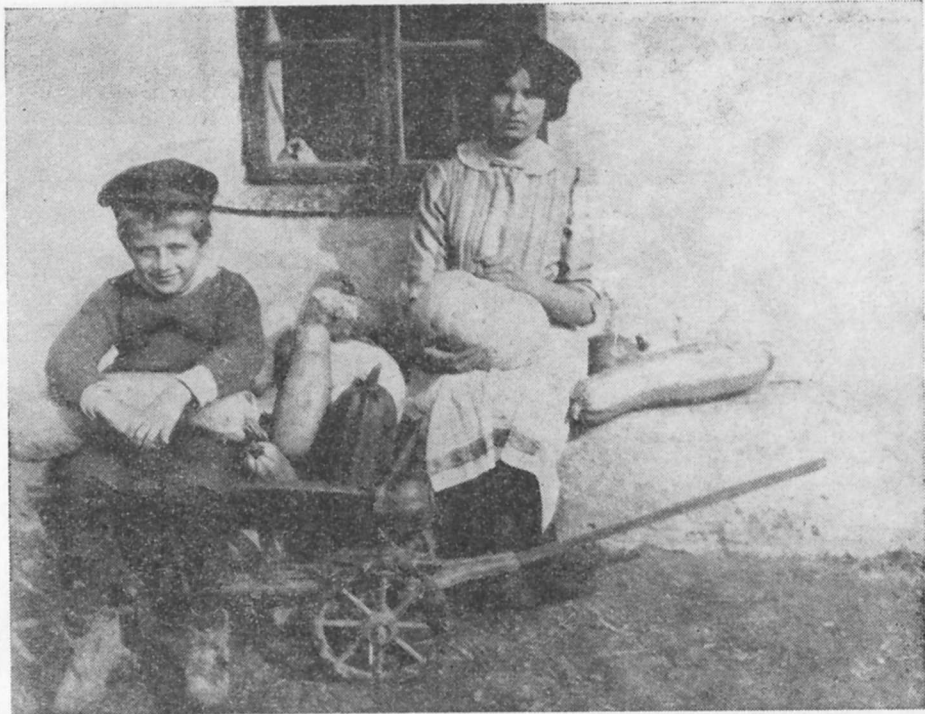


*Mały Staś ze swoją soroką*

*Odaja w Skajanach*







*W czasie zbioru kabaczków — Staś Makowiecki i Mlle Berthe*

*W komarowskim parku, u dziadzia Władysławskiego — Staś obok babci*





*Przegląd koni w czasie remontu w Tyńowie*

*Goście Teofila Antonowicza w Tyrnowie — po dorocznym remoncie (1912 r.)*





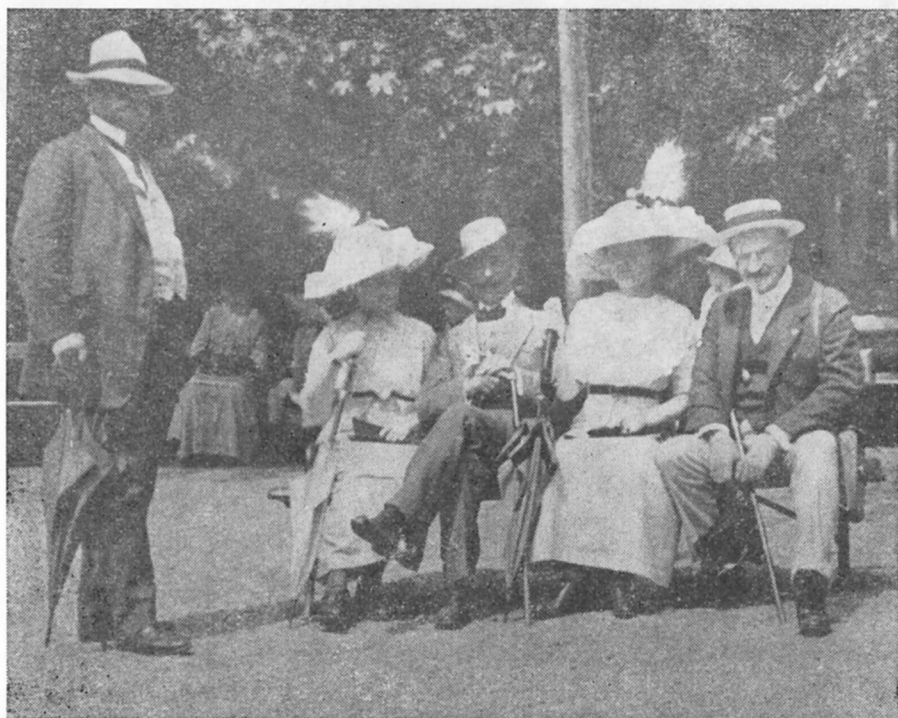


*Dziaźcio Julian przy swym stoliku do robót*



*Orkiestra wojskowa sprowadzona z Bielec na imieniny Marii Władimirowny*

*Tak ubierano się w tamtej epoce*





*Profesor Horr*



*Babcia Nucia*





*Pałac w Rusianach*



*Wpuszczanie narybku do Szuwarowego Stawu*



*Jakby w Bryczawie... (zdjęcie z gazety podpisane: „Dans un village d'Europe de l'Est, en 1915”)*

*Ciocia Modzia (1920 r.)*

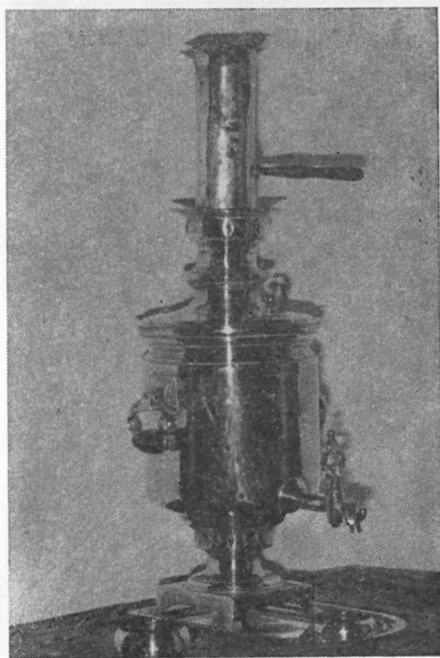


*Leon Makowiecki na swoim koniu Tarkunie*



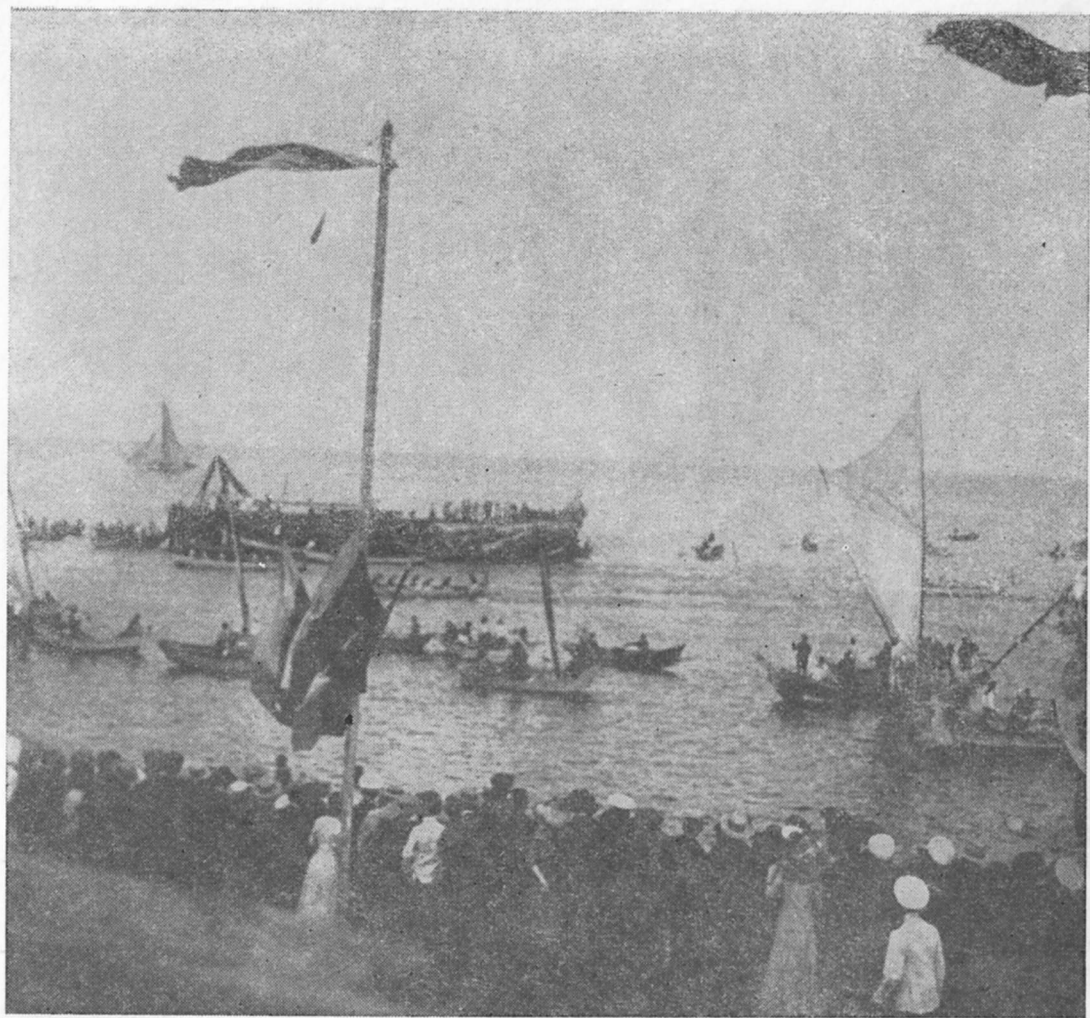


*Ulica w Odessie (1913 r.)*



*Samowar z Frasiny — dzieło mistrza Bataszewa z Tuły*





### Wyścigi „Yacht Clubu” w Odessie

*Niedźwiedź w Widłach*





*Tańce mołdawskie w Skajanach podczas ludowego święta*





*Polowanie systemem „w kocioł”*





*Na daczcy u doktora Władimira Iwanowicza Szonina*

*Panie zazwyczaj pozowały do zdjęcia, trzymając za skoki ubite zające*





*Obiad wielkanocny na otwartej werandzie w Skajanach*



*Na „święconym” w Tyrnowie w 1912 r.*



Teofil Antonowicz ze swymi gośćmi przed tyrnowskim pałacem



Pocztówka od słynnego tenora Ignacego Dygasa — z jego własną podobizną — wysłana do Leona Makowieckiego na Besarabię

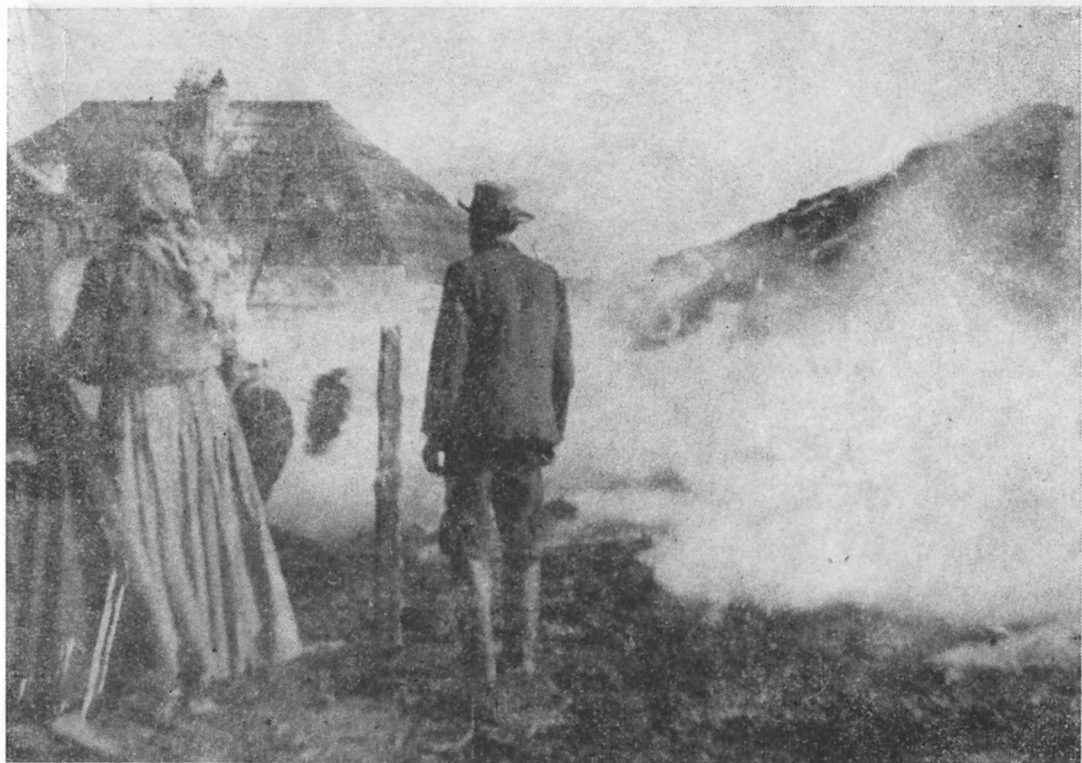




*Moskiewscy artyści w tyrnowskim parku; z prawej Nadieżda Iwanowna*

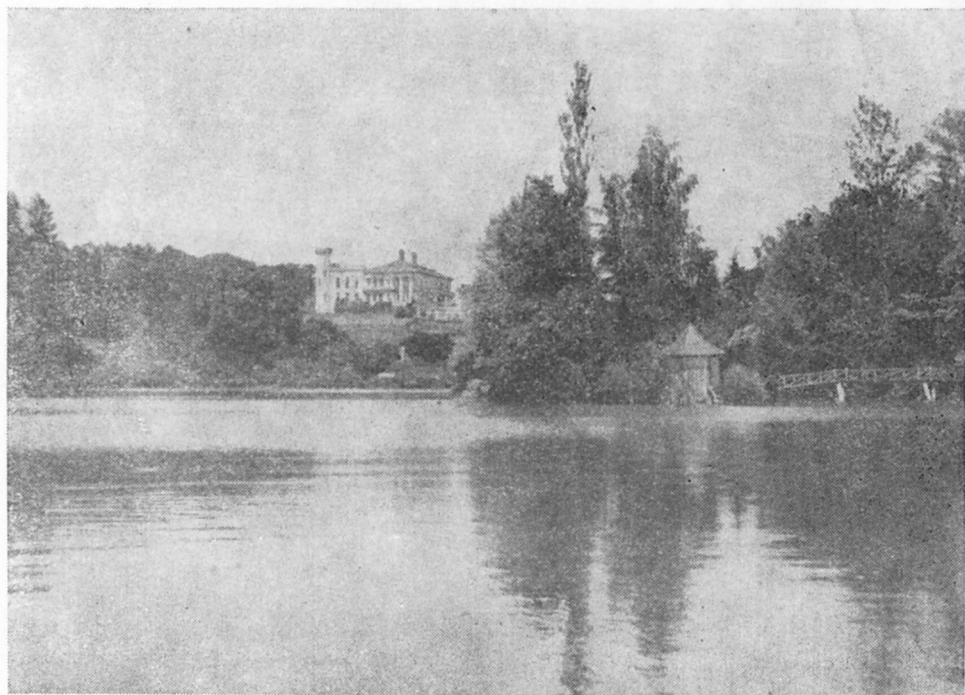
*Mlle Berthe i Staś — w przebraniu*

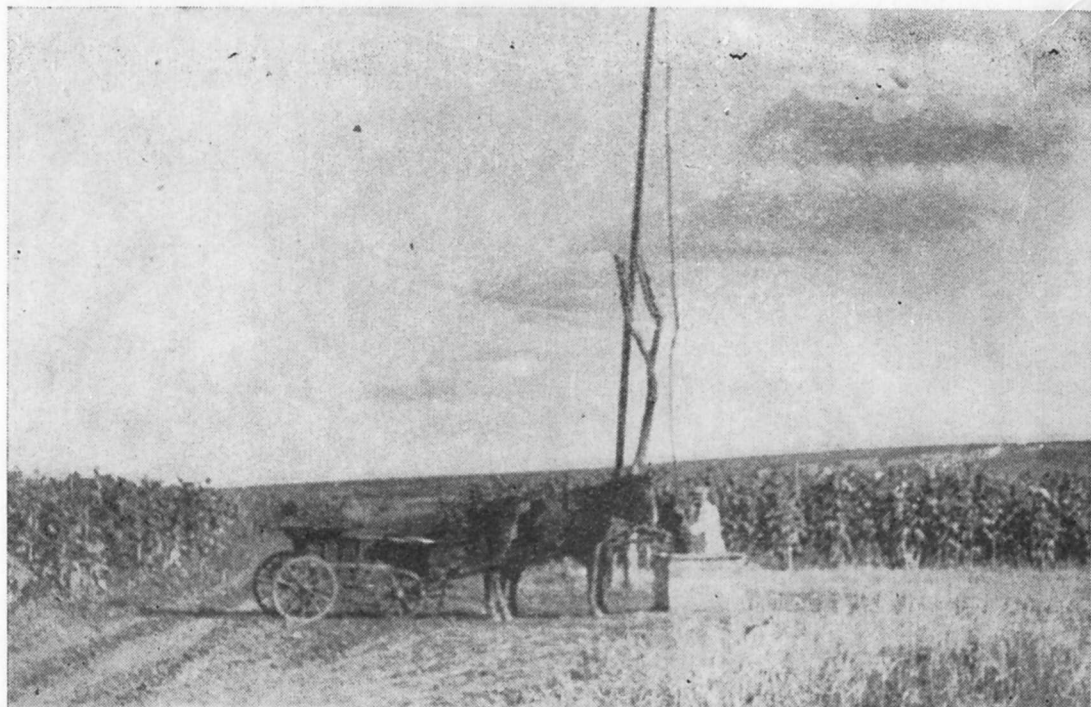




*Pożar sterty w Skajanach*

*Pałac w Michałowie, gdzie powstawała Trylogia Sienkiewicza*





„Studnia zbrodniarza” na stepie

Cyganie w Tyrnowie





*Obóz cygański w Tyrnowie*

*Na stacji Skajany*







*Wojsko rosyjskie w Bielcach*

*Tramwaj konny w Kiszyniowie*



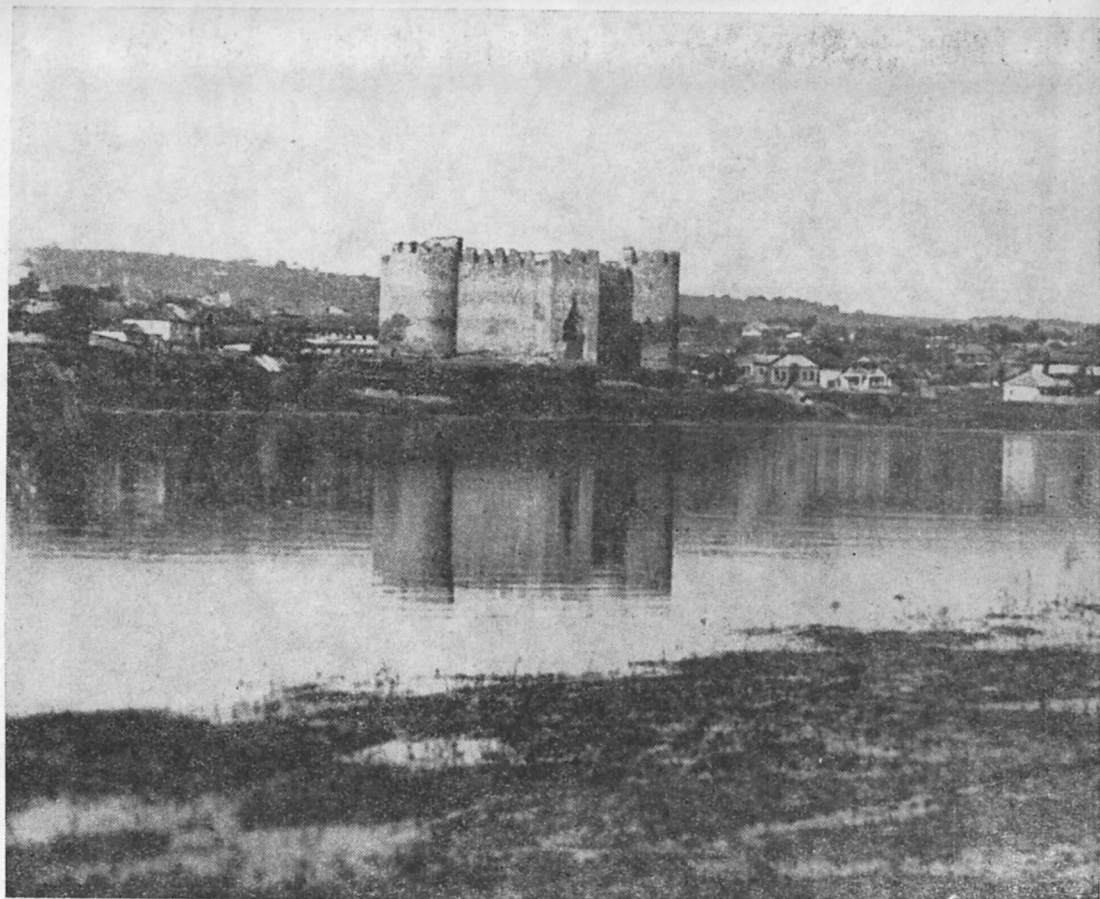


*Rynek w Sorokach*



*Budynek Uprawy w Sorokach*





*Forteca genueńska z XV w. nad Dniestrem w Sorokach*

9,50

47,50









